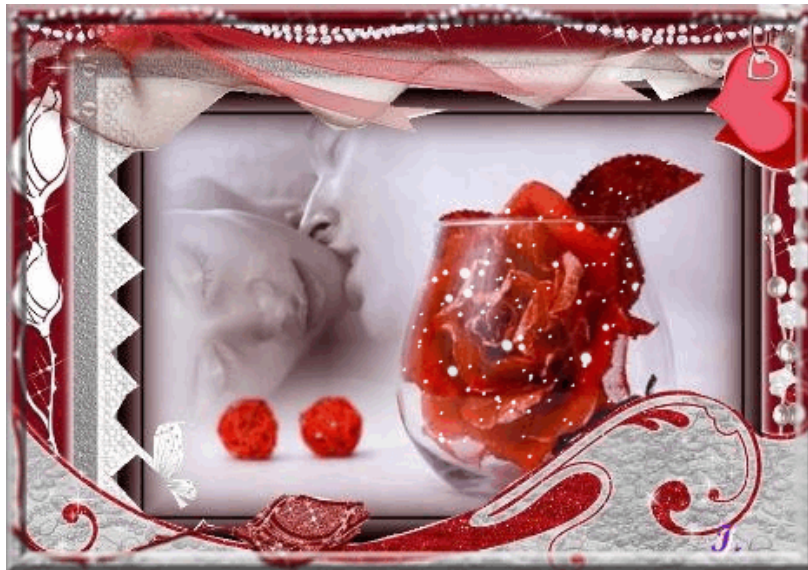




Sheila O'Flanagan



Moje najmiłsze pożegnanie

Rozdział 1

Smażone warzywa

Papryka, pieczarki, groszek, marchewki, miniaturowe kukurydze.

Smażyć krótko na oleju, na dużym ogniu.

Ash pakowała właśnie pięć tuzinów miniaturowych pizzy do plastikowych pojemników, kiedy rozległ się dzwonek. Zaklęła półgłosem i spojrzała na zegarek. Molly przysłała przed czasem. Nigdy by się nie spodziewała, że ciotka zjawi się za wcześnie, skoro spóźniałstwo było ich rodzinną cechą, której notabene sama nie odziedziczyła. Nakryła pozostałe pizze papierowymi ręcznikami, a pełne pojemniki ustawiła na ladzie. Będzie musiała dokończyć pakowanie, kiedy Molly już sobie pójdzie, chociaż zamierzała to zrobić przed przybyciem ciotki. Teraz nie miała już nawet czasu, by doprowadzić się do porządku. Nie mogła wprost uwierzyć, że Molly wybrała sobie właśnie dzisiejszy dzień, żeby po raz pierwszy w życiu się nie spóźnić.

Wchodząc do salonu, spojrzała w lustro. Jej jasna szminka wyblakła, na policzku miała smugę mąki, a jeden kosmyk próbował wymknąć się spod wstążki, którą ściągала włosy podczas pracy. Szminki nie chciało jej się już poprawiać, ale starła mąkę z policzka i zdjęła czarną wstążkę, tak że włosy rozsypały jej się luźno na ramiona, połyskując jak białe złoto. Pomyślała, że wygląda całkiem nieźle. A przede wszystkim nie wygląda na umęczoną. Zawsze uważała, że to ważne, by Molly nie widziała jej umęczonej. Nacisnęła guzik domofonu.

— To ja — odezwała się Molly. — Wpuść mnie, Ash, bo zaczyna padać.

— Co? Znowu? — Ash była zbyt zajęta, by zauważyć zmianę pogody. — Wygląda na to, że będzie to najbardziej mokra jesień, jaką pamiętam.

Otworzyła drzwi i czekała, aż ciotka wejdzie na czwarte piętro. Srebrzystoszary kot przeniknął obok niej i usiadł na parapecie, na przemian to liżąc przednią łapę, to drapiąc się nią oskarżycielsko za uchem.

— Wybacz, Bajgiel. — Spojrzała na niego przeproszająco. — Wpuściłabym cię wcześniej, gdybym wiedziała, że znów pada.

— Cześć, Ash — wysapała Molly, zatrzymując się przed drzwiami. — Te schody za każdym razem są bardziej strome!

— Daj mi te torby! — Ash wzięła od starszej pani część siatek. Molly musiała chyba odwiedzić wszystkie sklepy w Jervis Shopping Centre. Dla Ash już sama myśl, że miałyby w

jeden dzień przebrnąć przez tyle zatłoczonych sklepów, była czymś nieznośnym, ale Molly to lubiła. Mimo to, gdy oddała Ash torby i weszła do mieszkania, odetchnęła z ulgą.

— Musisz przemóc w sobie ten lęk przed windami, Molly — surowo stwierdziła Ash. — Któregoś dnia dostaniesz zawału od tego wchodzenia po schodach. Zwłaszcza gdy wpadasz w taki ciąg zakupowy jak dziś.

— Robię to, żeby utrzymać formę — powiedziała Molly. — Choć może tym razem trochę przesadziłam. Nie czuję nóg mimo butów na płaskich obcasach.

— Nie przejmuj się. — Ash ustawiła torby pod ścianą w równym rzędku, zwracając uwagę na to, by były zgrupowane według sklepów. — Daj mi żakiet i usiądź. Przyniosę ci coś do picia.

Molly zdjęła żakiet i wręczyła Ash, która powiesiła go na stalowym wieszaku przy drzwiach. Potem usiadła, wyprostowała nogi i zaczęła poruszać palcami.

— Wiesz co, nie powiem, żebym czuła się coraz starsza, ale taka całodzienna runda po sklepach po prostu mnie wykańcza.

— Każdy by się wykończył, gdyby wykupił pół Dublina. A ty nie wyglądasz na ani jeden dzień więcej niż pięćdziesiąt lat — lojalnie zapewniła ją Ash.

Molly, która miała lat pięćdziesiąt dziewięć, skrzywiła się wymownie.

— Dzięki.

— Podoba mi się twoja fryzura — dodała Ash. — Z krótkimi włosami jest ci do twarzy.

— Łatwiej o nie dbać — powiedziała Molly. — Poza tym takie szare włosy wyglądają lepiej, jak są krótkie.

— Nie szare, tylko siwe — zaprotestowała Ash.

— Może i tak — przyznała Molly. — Muszę wyglądać z nimi tak żałośnie, że czasem nawet ktoś mi ustąpi miejsca w autobusie!

Ash roześmiała się.

— Ty nigdy nie mogłabyś wyglądać żałośnie. Jesteś na to o wiele za silna, żeby wzbudzać litość. — Podeszła do klonowego kredensu i otworzyła drzwiczki z matowego szkła. — Czego się napijesz?

— A co masz? — zapytała Molly.

— Mam wszystko — powiedziała Ash. — Dżin, wódkę, krem Bailey's, whisky... — Odwróciła się, by spojrzeć na Molly, i wzruszyła ramionami.

— Chętnie napiję się whisky — odparła Molly.

— Z lodem? — zapytała Ash.

— Żeby zepsuć dobrą whisky? — uśmiechnęła się Molly. — Czysta jest w porządku.

Ash nalala bursztynowego płynu do kryształowej szklaneczki i wręczyła ją Molly.

— Miło znów cię zobaczyć — powiedziała.

— Ciebie też — odparła Molly i omiotła wzrokiem ściany w ciemnożółtym odcieniu płatków kukurydzianych. — Zrobiłaś to po mojej ostatniej wizycie.

Podczas ostatnich odwiedzin Molly, przed kilkoma miesiącami, ciemnobrązowe ściany obwieszane były wykonanymi węglem szkicami starego Dublina.

— Przedtem było tu za ciemno — wyjaśniła Ash, po czym usiadła obok Molly z kieliszkiem białego wina w ręku.

— A co z tamtymi rysunkami? — zapytała Molly. — Były całkiem ładne.

— Och, oddałam je Kieranowi — powiedziała Ash. — Nie chciałam ich trzymać. Poza tym tak naprawdę kupiłam je tylko po to, żeby go wspomóc.

— A co u Kierana? — Sącząc whisky, Molly spojrzała z ciekawością na Ash.

— Chyba dobrze. — Ash wzruszyła ramionami. — Nie widuję go. I raczej nie będę, Molly. Ostatnio nie bywamy w tych samych miejscach.

— Ale bywaliście przez prawie sześć miesięcy — zauważyła cierpko Molly.

Ash upiła łyk wina.

— Za długo — rzuciła po chwili.

Siedziały przez jakiś czas w milczeniu. Ash zerknęła na Molly, która oglądała mieszkanie. Ash wolalała jego nowy wystrój. Prawdę mówiąc, wcale jej się nie podobało, kiedy było pomalowane na ciemny kasztan. Jak na liczące sobie zaledwie kilka lat mieszkanie w apartamentowcu nad rzeką, kolor był chyba zbyt staroświecki. Pasował jednak do jej stanu ducha, w czasach gdy chodziła z Kieranem, ponurym melancholikiem, który sprawiał, że sama czuła się ponurą melancholiczką. Gdy tylko się rozstali, natychmiast przemalowała całe mieszkanie.

— Kiedy zerwałaś z Kieranem? — zapytała Molly. Ash westchnęła.

— Och, Molly, to nie był facet dla mnie. Lubiłam go, ale nie na tyle, żeby to mogło do kądkolwiek prowadzić.

— Może nie dałaś wam szansy — zasugerowała Molly.

— Dałam, i to mnóstwo. — Ash potrząsnęła głową. — Możesz sobie wyobrazić mnie spędzającą resztę życia z takim mężczyzną jak Kieran? To byłoby strasznie przygnębiające.

— Są na świecie gorsi mężczyźni, Ash.

— Ale to żadna pociecha. — Ash podniosła się. — Jedzenie będzie gotowe za dziesięć minut — zwróciła się do Molly. — Kotlety z łososia. Smażone warzywa i lekki sos. To było moje specjalne danie tego lata — łososie były w przystępnej cenie, a nikt nie lubi ciężkostrawnej kuchni, kiedy jest gorąco.

Molly spojrzała na okno. Deszcz lał się ciurkiem po szybach, sięgających od podłogi do sufitu. Ash roześmiała się.

— W każdym razie w zeszłym miesiącu było gorąco.

Przeszła do kuchni, a za nią Bajgiel. Molly została w salonie i sączyła whisky. Kot wskoczył zwinnie na szeroki parapet i patrzył, jak Ash wsuwa kotlety na grill.

— A co u Michelle?! — zawołała Ash do Molly. — Ciągle mam zamiar do niej zadzwonić, ale ostatnio byłam strasznie zajęta...

— U niej wszystko w porządku. — Molly wygramoliła się z sofy i podeszła do kuchennych drzwi. — Skarży się, że od chrzcina rzadko cię widuje.

— To moja wina — przyznała Ash. — Ciągle powtarzam, że zadzwonię albo wpadnę, a potem tego nie robię.

— A powinnaś. — Molly patrzyła, jak Ash wsypuje zielony groszek oraz pokrojoną na plasterki marchewkę i paprykę na wok. — Jej nie tak łatwo rzucić wszystko i wybrać się do ciebie z wizytą, Ash.

— Wiem. — Ash nachyliła się, by wyjąć talerze z ogrzanej części pieca. Potem wyprostowała się, odgarnęła włosy opadające jej na oczy i przepaszająco uśmiechnęła się do Molly. Starsza pani zagryzła wargi. Wykapana Julia, pomyślała, patrząc na siostrzenicę. Nawet jeśli nietypowa kombinacja jasnych włosów i ciemnych oczu sugerowała kogoś zupełnie innego.

— Usiądź, a ja przyniosę jedzenie — powiedziała Ash. — Którym pociągiem wracasz, Molly?

— Tym późniejszym — odparła Molly. — Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

— Zwłaszcza że przyszedłaś wcześniej. Molly uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że zauważysz. Specjalnie zwolniłam, kiedy doszłam do nabrzeża, ale widocznie za mało.

— Nic się nie stało, że przyszedłaś za wcześnie — skłamała Ash. — Chociaż, trzeba przyznać, byłam trochę zaskoczona.

— Całkiem opadłam z sił — wyjaśniła Molly. — Stałam w supermarkecie, a dokoła kłębiły się tabuny ludzi, i nagle pomyślałam sobie, że mam już dość. Ale założę się, że przewróciłam ci do góry nogami cały plan dnia.

— Ja zawsze tak się czuję, kiedy jestem w sklepie. Poza tym nie mam żadnego planu. — Ash podała ciotce młynek do pieprzu. — Proszę, jedz.

— Wygląda przepysznie — stwierdziła Molly. — Naprawdę nie musiałaś robić sobie tyle kłopotu, Ash.

— To żaden kłopot. — Molly spojrzała na nią ze zdumieniem. — Mogłabym to robić przez sen, Molly.

— Bardziej interesuje mnie twoje życie na jawie — powiedziała Molly. — Jest w nim ktoś w tej chwili? Po Kieranie?

Ash wzruszyła ramionami.

— Brendan.

— Opowiedz mi o nim. — Molly ożywiła się.

— Kiedy nie ma o czym — mruknęła Ash. — Lubię go, ale...

— Ale co? — zapytała Molly.

— Ale... och, sama wiesz, jak to jest. Poznajesz kogoś na przyjęciu i po kilku drinkach wydaje ci się idealny... — Ash westchnęła. — A potem spotykasz się z nim kilka razy i okazuje się, że wcale tak nie jest.

— Och, Aisling. — Molly była wyraźnie zawiedziona. — Jak długo go znasz?

— Kilka tygodni — wymijająco odparła Ash.

— Jest przystojny?

— Molly, jego wygląd nie ma znaczenia — powiedziała Ash. — Może po prostu poznaję nie tych mężczyzn, co trzeba.

— A może taki mężczyzna, jakiego szukasz, nie istnieje, Ash. Ty chcesz mieć kogoś, kto idealnie wpasowałby się w twoje życie, a to się nigdy nie uda. Zawsze trzeba trochę dawać i trochę brać, sama wiesz.

— Wiem — ostro odparła Ash. — Ale nie mam ochoty ciągle tylko dawać i dawać, nie dostając nic w zamian.

Molly stropiła się.

— Mimo to byłoby miło, gdybyś jednak kogoś sobie znalazła, i to już niedługo — powiedziała z nadzieją w głosie.

— Ach, Molly! — roześmiała się Ash. — Tylko dlatego, że Michelle jest już mężatką z całym tabunem dzieciaków?! Ja jestem szczęśliwa, naprawdę.

— Nie wątpię, że uważasz się za istotę szczęśliwą — powiedziała Molly. — Ale nie będziesz przecież chciała wiecznie być sama. Nie możesz zmieniać mężczyzn jak rękawiczki.

— Nie bądź taka staroświecka. — Ash upuściła płat łososia na klonową posadzkę i Bajgiel, który czekał pod stołem, pożarł go w mgnieniu oka.

— Wcale nie jestem staroświecka — zaprotestowała Molly.

— Mam dwadzieścia dziewięć lat — powiedziała Ash. — I mnóstwo czasu, by znaleźć swój ideał.

— Ja w tym wieku byłam już mężatką z trójką dzieci — cierpko stwierdziła Molly.

— Ale to było wtedy. — Ash rzuciła na podłogę kolejny plasterek łososia.

— A Michelle? — dorzuciła Molly. — Też ma trójkę, a jest starsza od ciebie tylko o kilka miesięcy.

Ash wzruszyła ramionami.

— Ona jest inna niż ja. Jest twoją córką, Molly. Dlatego wdepnęła w rodzinę i tak dalej.

— Martwię się o ciebie — przyznała się Molly. — I nie śmiej się ze mnie z tego powodu, Ash.

— Z pewnością bym się nie odważyła — odparła Ash. — Ale musisz zrozumieć, Molly, że jestem naprawdę szczęśliwa. Lubię moją pracę, znam kupę ludzi i mogę sobie wyjść, kiedy mi się podoba...

— A potem wracasz do pustego łóżka i swojego kota — dokończyła Molly.

— Nie zawsze. — W oczach Ash zamigotały iskierki. Molly oblała się rumieńcem.

— Wybacz, ale nie chcę nic wiedzieć o twoim życiu intymnym — powiedziała.

— Nie mam najmniejszego zamiaru opowiadać ci o nim. — Ash uśmiechnęła się. — Zawsze sobie jakoś radziłam, Molly, ale są pewne granice. Nie martw się, nie sypiam ze wszystkimi mężczyznami, którzy pojawiają się w moim życiu. Poza tym lubię również samotne wieczory z moim kotem.

— W tym wszystkim najbardziej martwi mnie to, że nie potrafisz osiąść przy nikim na dłużej — cierpko stwierdziła Molly. — Jestem jak najbardziej za tym, żeby korzystać z życia, i zgadzam się z tobą, Ash, że w dzisiejszych czasach kobiety nie muszą zakładać rodziny i mieć dzieci w wieku lat dwudziestu. Ale musisz kogoś mieć.

— Nie spotkałam ani jednej osoby godnej uwagi — rozsądnie zauważyła Ash. — Poza tym nikogo nie potrzebuję. Jeżeli znajdę jakiegoś faceta, to dobrze. A jeśli nie — no to co?

Wstała, by odnieść talerze do kuchni. Bajgiel poszedł za nią i głośno zamiauczał, kiedy zgarnęła resztki łososia do jego miski. Pogłaskała go po głowie, a on zaczął mruczeć jak szalony.

— Nie chcę wiercić ci dziury w brzuchu — powiedziała Molly, kiedy Ash wróciła do salonu.

— Wiem. — Ash otaksowała ją wzrokiem. — Boisz się po prostu, że skończę jak Julia, prawda?

Molly poczerwieniała.

— Och, Molly, czytam w tobie jak w otwartej książce! — roześmiała się Ash. — Przecież wiesz, że w niczym nie przypominam Julii.

— Pod wieloma względami jesteś bardzo do niej podobna — zaprotestowała Molly.

— Nie bądź śmieszna — uniosła się Ash. — Kochałam ją, ale to była najgorzej zorganizowana, najbardziej płocha, najgłupsza kobieta, jaką znałam. Z całą pewnością nie jestem taka jak Julia.

— Przyznaję, że nie jesteś źle zorganizowana czy głupia — powiedziała Molly.

— Płocha też nie jestem! — krzyknęła Ash.

— Nie w takim sensie jak Julia — przyznała Molly. — Ale ona nie potrafiła się zdecydować na jednego mężczyznę i ty też nie potrafisz, Ash.

— Ale z zupełnie innych powodów — wytknęła jej Ash. — Ona zaczęła od tak zwanej wolnej miłości. A potem wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i w każdym mężczyźnie widziała potencjalnego męża! Ja absolutnie taka nie jestem!

— Ash, robisz to samo co Julia, tyle że w zupełnie inny sposób — stwierdziła Molly.

— To nieprawda! — powiedziała z furią Ash. — Nie sypiam z całymi tabunami facetów i jeszcze nie zaszłam w ciążę z kimś, kogo nawet nie mogę sobie przypomnieć!

Zapadła krępująca cisza.

— Posłuchaj, Molly — odezwała się w końcu Ash. — Kochałam moją matkę, ze wszystkimi jej wadami. Robiła dla mnie, co mogła, bez względu na to, jaka była stuknięta. Ale nigdzie nie zagrzała miejsca i zakochiwała się w mgnieniu oka. Wiesz, ilu miała facetów po moim urodzeniu? Straciłam rachubę! I naprawdę wierzyła, że każdy z nich to był właśnie ten. Tymczasem żaden nie był. To było chore, Molly. Po prostu chore.

— Wiem. — Molly ze współczuciem spojrzała na siostrzenicę.

— I żeby potem ni stąd, ni zowąd zrobić takie głupstwo, jak... — Ash urwała. — Zresztą, to już nie ma znaczenia. Dużo wody upłynęło w rzece od tamtej pory. Ale powtarzam ci, i to po raz ostatni, że zostanę z kimś, tylko jeżeli będę wiedziała... jeżeli będę miała absolutną pewność, że to ten jeden jedyny.

Molly westchnęła.

— Rozumiem to, Ash. Naprawdę rozumiem.

— Więc nie ma potrzeby już o tym mówić, prawda?

— Chyba nie. — Molly potrząsnęła głową.

— To świetnie. — Ash wstała. — Przyniosę deser. Pomyślałam, że po takim zdrowym głównym daniu możesz nabrać ochoty, żeby sobie trochę pofolgować. — Wróciła do kuchni. Bajgiel, który siedział przy pustej misce, spojrzał na nią wyczekująco. — Ciągłe głodny? — zapytała. — Nawet po łososiu? — Wyjęła z szafki foliowe opakowanie, rozdarła je u góry i skrzywiła się, kiedy wokół rozszedł się zapach kociej karmy. — To obrzydliwe, że musisz lubić coś takiego — zwróciła się do kota. — Wątróbka i nerki z odrobiną myszy. — Wsypana zawartość do miski, a kot odepchnął jej rękę. Potem wzięła z kredensu dwa gładkie, białe talerze i wyłożyła na nie swój specjał — soczysty budyń o smaku toffi, po czym zaniósła talerze na stół.

— Niezły z ciebie numer! — uśmiechnęła się do niej Molly. — Wiesz, że tego nie ma na mojej liście rzeczy dozwolonych.

— Danie specjalne — powiedziała Ash.

Molly wbiła łyżeczkę w budyń, który rozdzielił się, jak słodkie tchnienie sosu i złocistej masy.

— Zaraz mi się odłoży na biodrach — stwierdziła z rezygnacją.

— Och, dość się nachodziłaś po sklepach, żeby spalić te kalorie — pocieszyła ją Ash. — Co dziś kupiłaś? Były jakieś wyprzedaże?

— W niektórych sklepach. Kupiłam kilka naprawdę ślicznych prześcieradeł plażowych, przepiękny kaszmirowy sweter i parę naprawdę ślicznych spodni. Mają też ładne kostiumy kąpielowe — kupiłam kilka u Marksa i Spencera.

— Molly, przyniosłaś chyba ze sto toreb. Żałuję, że nie mogę chodzić po sklepach, bo miałabym wtedy w szafie coś więcej niż tylko same białe podkoszulki i czarne dżinsy. Co jeszcze kupiłaś?

— Ach, takie tam ciuszki dla dzieci. Podkoszulki. Bluzy. Sweterki. Śliczne sukienki. Uwielbiam kupować rzeczy dla dzieci, są takie słodkie!

— Chłopcy na pewno by ci nie podziękowali, że kupujesz im ubrania, które uważasz za słodkie — powiedziała Ash.

— Przecież Shay junior ma dopiero dziewięć miesięcy. — Molly rozpromieniła się. — A dla niemowląt można kupić takie rozkoszne ubranka. Zresztą, dla innych też lubię kupować. Michelle prawie nigdy nie ma czasu, a starszą dwójką jest taka wybredna.

Ash wzruszyła ramionami. Z Michelle mieszkała od jedenastego roku życia i wciąż trudno jej było uwierzyć, że kuzynka ma trójkę dzieci. Zmarszczyła brwi i spróbowała sobie przypomnieć wiek pozostałej dwójki.

— Lucy ma sześć lat, a Brian trzy — podpowiedziała jej Molly.

— Wiem — zirytowała się Ash. Była zła, że Molly odgadła jej myśli. — Napijesz się kawy?

Molly skinęła głową. Ash przyniosła z kuchni dzbanek. Kiedy zaczęła nalewać kawę, Bajgiel, który przyszedł za nią, wskoczył jej na kolana i zaczął deptać po brzuchu, a ona skrzywiła się z bólu, gdy jego pazury przebiły bawełnianą bluzkę.

Molly wsypała sobie do kawy kilka łyżeczek brązowego cukru.

— A jak tam twój interes? — zapytała.

— Kwitnie. — Ash lubiła rozmawiać o swojej pracy kucharza — wolnego strzelca. Pracowała głównie dla instytucji, które potrzebowały cateringu na służbowe lunche i obiady, ale gotowała również sporo na prywatne przyjęcia i kolacje. Po odejściu z małej restauracji, w której zaczynała, osiągnęła w ciągu pięciu lat sukces przekraczający jej najśmielsze oczekiwania. — Mam zamówienia na każdy dzień. To lato było wręcz niewiarygodne. Myślałam, że wszystko padnie, jak zwykle, kiedy są upały, ale nawet jeśli w porze lunchu panował zastój, w zamian przygotowywałam przyjęcia w ogrodzie i tym podobne. Dzisiaj piekłam ciasto na imprezę charytatywną w klubie rugbyistów. Na szczęście nie muszę tam być. Zamówili same zakąski i ktoś później po nie przyjedzie.

— A co przygotowałaś? — zapytała Molly.

— Typowe menu na tego rodzaju przyjęcia — odparła Ash. — Kielbaski w cieście, paszteciki, pizzę i tak dalej.

— Czy to się opłaca? — zapytała Molly.

— Bardzo.

— No i jesteś zajęta.

— Nigdy byś nie uwierzyła, jak bardzo jestem zajęta — powiedziała Ash. — Zastanawiam się, czy nie wziąć sobie kogoś do pomocy, ale jeszcze nie wiem. Nie chcę stracić osobistego kontaktu z klientami, sama rozumiesz. Człowiek nawet się nie obejrzy, a pomocnicy już odstraszą klientów. Dlatego jeszcze się nie zdecydowałam.

— Jednak mogłoby cię to trochę odciążyć — zauważyła Molly.

— Może i tak — przyznała Ash. — Ale pociągnęłoby to za sobą nową serię obciążeń, a ja nie wiem, czy mam na to ochotę. Teraz mogę brać zamówienia na każdy dzień, kiedy tylko zechcę. Staram się przy tym zachować równowagę pomiędzy regularnymi klientami i zamówieniami na specjalne okazje.

— Chciałabym wiedzieć, po kim to masz — powiedziała Molly. — Umiem gotować, ale nie tak jak ty, Ash. A Julia...

— Znała się na kuchni na wynos — przerwała jej Ash. — Chcesz jeszcze kawy?

Molly potrząsnęła głową i zmieniła temat.

— Masz już jakieś plany na Boże Narodzenie?

— Daj mi trochę odetchnąć, Molly. Przecież jest dopiero koniec września. — Ash była przerażona.

— Ale ja cię znam — powiedziała Molly. — Gdybym otworzyła twój kalendarz, pewnie by się okazało, że masz już rozplanowany każdy dzień aż do dwudziestego piątego grudnia.

— Owszem, mam ogromną listę zamówień — broniła się Ash. — Ale muszę tak robić. Poza tym nie mam jej w kalendarzu, tylko w komputerze. Jestem kucharzem o technicznym umyśle. W zeszłym miesiącu założyłam sobie stronę internetową.

— To dobrze. — Molly nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z komputerami. — Tak czy inaczej, masz już wszystko zaklepane. No więc, co planujesz na święta?

— Przecież zawsze przychodzę do was, prawda? — powiedziała Ash. — Tradycyjne rodzinne spotkanie O'Halloranów i Rourke'ów? — zapytała, na co Molly pokiwała głową. — Więc dlaczego w tym roku miałyby być inaczej?

— Sama nie wiem — westchnęła Molly. — Może mi się wydaje, że masz nas już dosyć.

— Oczywiście, że nie! — Ash była zaszokowana. — Oczywiście, że nie — powtórzyła.

— Rzecz w tym, że coraz rzadziej nas odwiedzasz — zarzuciła jej Molly. — Shay powiedział to całkiem niedawno.

— No tak, ale rzadko mam czas, żeby jechać do Droghedy — tłumaczyła się Ash. — W tygodniu i w soboty jestem zbyt zajęta. W ubiegłym miesiącu w każdą sobotę wieczorem obsługiwałam jakąś imprezę. Co oznacza, że w niedziele wstaję późno, a pociągi nie chodzą znów tak idealnie...

— Nie musisz się tłumaczyć — powiedziała Molly. — Ja ci tylko mówię, że niezbyt często nas odwiedzasz. Ale w porządku. Nie musisz.

— Nie dlatego, że nie chcę — powiedziała Ash. — Tylko dlatego, że...

— Ależ wiem — przerwała jej Molly. — Naprawdę wiem, Ash.

— Nic nie wiesz — rozzłościła się Ash. — Wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy, Molly, ale tak nie jest. — Zagryzła wargi. Bajgiel popatrzył na nią, a potem zeskoczył jej z kolan i usiadł z powrotem na oknie. Ash zaczęła machinalnie składać i rozkładać na stole lnianą serwetkę.

— Michelle przyjdzie oczywiście z całą rodziną. — Molly znów ze spokojem podjęła temat świątecznego obiadu. — No i będą chłopcy ze swoimi żonami.

— To straszny tłum. — Ash spojrzała na nią znad serwetki. — Jesteś pewna, że chcesz mieć aż tyle ludzi?

— Przecież robiłam to już wcześniej — powiedziała Molly. — Kiedy miałam wszystkich w domu.

— Wiem — na to Ash. — Ale wtedy to było co innego.

— W końcu to tylko obiad. — Molly uśmiechnęła się. — Sama tak powiedziałaś, kiedy gotowałaś dla nas po raz pierwszy.

Ash uśmiechnęła się niepewnie.

— Pamiętam.

— Było fantastycznie.

— Indyk to nic trudnego. — Ash wzruszyła ramionami. — Powiedzmy sobie szczerze, wstawia się go tylko do piekarnika i już. Świąteczny obiad to głównie sprawa dobrego zgrania w czasie, i tyle.

— Skoro tak, kto może być w tym lepszy niż ty? — rzuciła z przekąsem Molly. — Ale obiecuję ci, Ash, że nie będziesz musiała gotować. Zresztą, tak czy inaczej, będziesz pewnie miała dosyć gotowania.

— Pewnie tak — przyznała Ash. — Ale ja lubię to robić, Molly. Czuję...

— Nie musisz tego robić, żeby czuć się potrzebna — powiedziała Molly. — Albo z jakiegoś źle pojętego poczucia wdzięczności.

Ash poczuła, że policzki pokrywają jej się rumieńcem.

— Kocham cię — dodała Molly. — A jeśli się kogoś kocha, nie trzeba ciągle czegoś robić, żeby tego dowieść.

— Ty dość dużo dla mnie zrobiłaś — zauważyła Ash.

— Jesteś córką Julii — przypomniała jej Molly. — Jak mogłabym postąpić inaczej?

Ash westchnęła.

— Czasami po prostu zastanawiam się, jak by to było, gdybym nie była córką Julii. — Pomasaowała sobie kark. — Kiedy się miało taką matkę jak Julia... sama wiesz... ludzie patrzą na ciebie i tylko czekają, żebyś prędzej czy później zrobiła jakieś głupstwo.

— Pewnie Michelle znowu coś powiedziała — domyśliła się Molly.

— Michelle zawsze ma coś do powiedzenia — stwierdziła ze smutkiem Ash.

— Tym się nie przejmuj — doradziła jej Molly.

— Ja się nie przejmuję — powiedziała Ash. — To twoja córka, oczywiście, ale czasami potrafi nieźle zająć za skórę.

— Wiem — przyznała Molly.

— Czy w ogóle jest coś, czego nie wiesz? — spytała Ash. Molly roześmiała się.

— Nie wiem, jak zdołam podnieść się z tego krzesła i wrócić na stację. Dawno tak się nie objadłam.

Ash także się roześmiała.

— Cieszę się, że ci smakowało — powiedziała.

— Musiałabym mieć źle w głowie, żeby nie lubić twojej kuchni — stwierdziła z żalem Molly. Ziewnęła, po czym wstała od stołu. — Zadzwoń do Michelle, Ash. Bardzo się ucieszy.

— Jasne. Na pewno zadzwonię. — Ash spojrzała na zegarek. — Masz jeszcze mnóstwo czasu.

— Próbuję upodobnić się do ciebie — powiedziała Molly. — Punktualna co do sekundy! Poza tym w taki deszcz...

— Powinnaś wziąć taksówkę — stwierdziła Ash. — Zaraz zadzwonię.

— Do Amiens Street jest najwyżej dziesięć minut spacerkiem — powiedziała Molly. — Jeżeli myślisz, że jakkolwiek taksówka przyjedzie tu tylko po to, żeby przejechać na drugą stronę rzeki, to chyba upadłaś na głowę.

— Może masz rację — odparła Ash. — Wobec tego pójdę z tobą, dobrze? Mogę ci ponieść część toreb.

— Nie musisz.

— Nie muszę, ale chcę. — Ash zdjęła z wieszaka długą impregnowaną kurtkę. — Nie byłam dziś na dworze; spacer dobrze mi zrobi.

— A co z tym człowiekiem, który ma odebrać jedzenie na przyjęcie? — zapytała Molly. — Nie powinnaś być w domu, na wypadek gdyby ktoś przyjechał?

Ash spojrzała na zegarek.

— Dopiero za godzinę — powiedziała do Molly. — Nie martw się.

Molly wzruszyła ramionami i poczekała, aż Ash wyłączy z kontaktu wszystkie urządzenia elektryczne w całym mieszkaniu.

— Przecież nie będzie cię tylko przez kilka minut — zwróciła się do siostrzenicy. — Nie musisz wyjmować z kontaktu wtyczki od telewizora.

— Wiem. Ale czuję się lepiej, kiedy to zrobię. — Ash wzięła tyle toreb, ile zdołała, po czym wcisnęła guzik od windy. — Chodź! — zwróciła się do Molly. — To potrwa jakieś pięć sekund. Poza tym będę z tobą, więc nie musisz się denerwować.

— Wcale się nie denerwuję, tylko tego nie lubię — powiedziała Molly.

Wsiadła z Ash do windy i kurczowo zacisnęła powieki, a winda pomknęła w dół.

— Podoba mi się to, że tak się boisz — stwierdziła Ash, kiedy wysiadły na parterze. — Wydajesz się przez to bardziej ludzka.

— Ja i ludzka! — Molly zaśmiała się nerwowo. — Jestem nadludzka, dziewczyno. Nie wiedziałas o tym? W końcu wychowałam was wszystkich. Jak inaczej można to nazwać?

Ash uśmiechnęła się.

— Jesteś nadludzka. Oczywiście. — Pchnęła drzwi wyjściowe i wyjrzała na zewnątrz. — Nie najgorzej — zwróciła się do Molly. — Mży, ale poza tym w porządku.

Molly wyszła za nią na dwór. Światła wzdłuż nabrzeża odbijały się w ulicznych kałużach, a także w czarnych wodach rzeki Liffey. Budynek centrum finansowego na drugim brzegu stały skąpane w białych i zielonych światłach, igrających na ich fasadach. Wiatr wiał ze wschodu, od ujścia rzeki. Ash drżąc, przemknęła na drugą stronę ulicy, a torby Molly obijały jej się o nogi.

Pograżone w milczeniu przeszły szybkim krokiem obok wejścia do oświetlonych budynków biurowych, i dalej, wzdłuż Amiens Street, aż dotarły do stacji kolejowej.

— Jest jeszcze mnóstwo czasu — powiedziała Ash, gdy znalazły się w hali dworcowej.

— Już ci mówiłam. — Molly uśmiechnęła się do niej. — Dzięki za obiad, Ash.

— Było mi miło.

— Zadzwonisz do Michelle?

— Przecież mówiłam, że zadzwonię.

— I przyjedziesz na święta?

— Molly, dam ci znać wcześniej.

— Dbaj o siebie, dobrze, Ash? Ash pokiwała głową.

— Możesz być pewna.

— Może nawet dasz temu Brendanowi jakąś szansę?

— Och, Molly! — Ash spojrzała na nią z rozpaczą. Molly uśmiechnęła się.

— Przepraszam, przepraszam. Wiem, że to twoje życie.

— Owszem — powiedziała z naciskiem Ash. — O mnie się nie martw, Molly. Bardzo cię proszę. Wszystko jest w porządku. I zawsze tak było.

— Wiem.

— Wobec tego masz tu swoje torby i wsiadaj do pociągu. Powiedz Shayowi, że o niego pytałam. I Robowi, jeżeli będziesz się z nim widzieć.

— Z Robem widuję się codziennie, Ash. Ash wzruszyła ramionami.

— No to powiedz wszystkim, że o nich pytałam.

— To nie jest taka znów straszna wyprawa — odezwała się Molly. — Dobrze wiesz, że zawsze możesz przyjechać.

— Pewnie przyjeżdżałabym częściej, gdyby łączyło się to z jakąś wyprawą — stwierdziła Ash z wymuszonym uśmiechem. — Kiedy ludzie nie są zbyt daleko od siebie, po prostu im się nie chce. Przepraszam, Molly. Spróbuję odwiedzić was przed świętami. Ale ty także wiesz, że możesz do mnie przyjechać w każdej chwili. Molly pokiwała głową.

— Wiem.

— To dobrze. — Ash pocałowała ją w policzek. — Było naprawdę cudownie znów cię zobaczyć.

— Ciebie też.

— Wkrótce się odezwę — powiedziała Ash.

Molly pokiwała głową i poszła w stronę pociągu.

Rozdział 2

Pizza z pieczarkami

Ciasto na pizzę, ser mozzarella, pomidory, mieszanka ziół, pieczarki.

Piec w temperaturze 200°C około 20-30 minut.

Znowu się rozpadało i Ash, która pospiesznym krokiem wracała do domu, postawiła kołnierz kurtki. Na moście Matta Talbota panował duży ruch. Ash skrzywiła się, gdy wiatr smagał ją deszczem w twarz. Z minuty na minutę włosy miała coraz bardziej mokre.

Gdy światła na skrzyżowaniu zmieniły się, przebiegła przez most, nie patrząc na wzburzoną rzekę. Obok przemknęła ciężarówka, ochlapując ją brudną wodą.

— A niech to jasna cholera! — krzyknęła, gdy zagarnęła ją fala miniprzyływu, mocząc ją od stóp do głów. — Cholera! Cholera! — Resztę drogi do domu pokonała biegiem, przeklinając pod nosem deszcz oraz kierowcę ciężarówki.

Osiedle Viking Quay obejmowało kilka niewielkich budynków, które powstały, gdy rozpoczęła się prywatna zabudowa terenów miejskich położonych nad rzeką. Ash zdążyła kupić mieszkanie na najwyższym piętrze, zanim spirala cen osiągnęła niewiarygodne rozmiary, ale nawet teraz wydawało się ono szokująco drogie. Jedną z przyczyn, dla których tak ciężko pracowała, była konieczność spłaty rat hipotecznych, które co miesiąc pochłaniały lwią część jej zarobków. Ale ona zawsze chciała mieć własne lokum i Molly gorąco namawiała ją na kupno, choć Ash wiedziała, że ciotka nienawidzi myśli, iż miałyby opuścić dom w Droghedzie. Musiała się jednak wyprowadzić. Wiedziała przecież, że nie może wiecznie mieszkać u Rourke'ów.

Otworzyła drzwi do budynku i wsiadła do windy, uśmiechając się na myśl o awersji, jaką żywiła do wind biedna Molly. Swoją drogą to ciekawe, że Molly, osoba tak praktyczna, tak bardzo ich nie znosiła.

Bajgiel miauczał za drzwiami. Gdy weszła do mieszkania, przemknął jej między nogami i zaczął mruczeć jak szalony, kiedy się nachyliła i podrapała go za uchem. Potem rozejrzała się z niepokojem po mieszkaniu i odetchnęła z ulgą.

— Dla mnie prysznic — zwróciła się do kota, zdejmując kurtkę. — Zmarzłam i przemozłam, Bajgiel. Poza tym nienawidzę tych dupków w ciężarówkach, którzy jeżdżą za szybko podczas deszczu i mają gdzieś pieszych.

W mieszkaniu Ash sypialnia i łazienka znajdowały się na półpiętrze. Ash wbiegła po drewnianych schodach, ściągając po drodze bluzkę. Bajgiel ruszył za nią i omal się o nią nie potknął, kiedy dotarła na górę. Rzuciła ubranie na łóżko i weszła, naga, do łazienki wyłożonej białymi kafelkami. Odkręciła do końca gorącą wodę, tak że lustra i szklane drzwi kabiny prysznicowej niemal natychmiast zaparowały. Stała pod prysznicem i podstawiła głowę pod strumień wody.

Molly miała rację. Nie dość często odwiedzała ich w Droghedzie. A co gorsza, była w Belfaście w ubiegły piątek, więc mogła zatrzymać się w drodze powrotnej do Dublinu i odwiedzić Molly, Shaya i resztę Rourke'ów. Przemknęło jej to nawet przez myśl, ale natychmiast znalazła sobie usprawiedliwienie — że ma pracę w sobotę, że jest późno, że nie zadzwoniła wcześniej, by ich uprzedzić. Oczywiście wiedziała, że są to czcze wykręty, bo Molly i Shay byliby szczęśliwi, gdyby wpadła, tak po prostu. Ale ja tak nie robię, powiedziała sama do siebie, wcierając we włosy odżywkę. Nigdy nie wpadam bez uprzedzenia.

Inaczej niż Julia. Na myśl o matce Ash zadrzała. Julia, która przez całe życie wpadała bez uprzedzenia. Julia, która nie mogła znieść organizacji i planowania, i tego, żeby ktoś za nią decydował. Płyn z prądem, brzmiało motto Julii. Ash potrząsnęła głową. Od dawna nie myślała o matce. Dopiero wizyta Molly sprawiła, że powróciły niektóre wspomnienia.

Nie, nie będzie teraz myśleć o Julii. Z haczyka po drugiej stronie drzwi zdjęła szlafrok, energicznie wytarła włosy puszystym ręcznikiem w biało-niebieskie paski, a potem rozwiesiła go starannie na suszarce, tak by oba końce przypadkiem się nie zetknęły. Zupełnie inaczej niż Julia, pomyślała, poprawiając z uśmiechem ręcznik.

Bajgiel siedział na łóżku, z głową na jej swetrze. Spojrzał na nią, a w jego zielonych oczach odmalowała się niepewność — czy nie będzie się na niego wściekać, że zostawił srebrzystą sierść na czarnym kaszmirze. Ash z westchnieniem pozbierała włoski ze swetra, złożyła go starannie i odłożyła na bok. A potem zeszła na dół.

Weszła do kuchni i wrzasnęła. Bajgiel siedział na stole i obwąchiwał pizzę. Chwyła go i zrzuciła na podłogę.

— Ty czorcio! Ruszałeś je? — Obejrzała pizzę. Kot nadgryzł jedną z nich, ale pozostałe wyglądały, jakby były nietknięte. — Ty mały potworze! — skrzyczała go. — To nie było dla ciebie! Przecież dałam ci już łososa!

Obejrzała pizzę z bliska. Wyglądało na to, że nadgryzł tylko jedną, ale prócz niej było jeszcze pół tuzina i Ash wiedziała, że nie może ryzykować. Wyobraziła sobie nagłówki, gdyby

coś się stało. „Uczestnicy przyjęcia śmiertelnie zatruli się pizzą. Szef kuchni obwinia kota”. Musiałaby się pożegnać ze swoją firmą. Wzięła te pizze, które mógł obwąchać, i wyrzuciła je do śmietnika.

— Mały sukinkot! — rzuciła za nim, gdy z uniesionym ogonem pomaszerował do salonu. Mimo wszystko, powiedziała sama do siebie, pakując do pudełek pozostałe pizze, będą miała nauczkę, żeby nie zostawiać niezabezpieczonego jedzenia z kotem w tym samym pomieszczeniu. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego zrobiła. Zazwyczaj wszystko dokładnie sprawdzała.

Ale kiedy Molly zaczęła mówić o Julii... Ash westchnęła głęboko; wolałaby, żeby nie rozmawiały o Julii. W tej chwili nie chciała nawet myśleć o Julii.

Właśnie wcisnęła pokrywkę na ostatni pojemnik, kiedy rozległ się dzwonek. Laura Pearson, która miała zabrać przygotowane jedzenie, także zjawiała się za wcześnie. Co się dziś dzieje z tym ludźmi?!

Ash nacisnęła guzik domofonu, żeby ją wpuścić. W tym czasie popędziła na górę i naciągnęła na siebie ciepły czerwony sweter oraz dżinsy.

— Cześć! — Otworzyła drzwi dokładnie w chwili, gdy Laura dotarła na górę.

— Cześć! — Laura otrząsnęła się. — Wstrętna, obrzydliwa pogoda.

— Wiem — odparła Ash. — Masz na dole samochód? Laura skinęła głową.

— To dobrze — powiedziała Ash. — Zrobiłam wszystko, co zamówiłaś. Dorzuciłam też, ekstra, kilka pojemników z hinduską kuchnią. Z łagodnym curry, bo wiem, że ci faceci to uwielbiają.

— Jesteś kochana — powiedziała Laura. — Mam tylko nadzieję, że wszyscy się pojawiają.

— Z całą pewnością tak. — Ash zapakowała pojemniki do dużego pudła, by Laura mogła je znieść do samochodu. — O której zaczynacie?

— Ach, niektórzy już teraz siedzą w barze — odparła Laura. — Na kogo wystawić czek? Na ciebie?

Ash potrząsnęła przecząco głową.

— Celtycka Kuchnia Marzeń — powiedziała Laurze. — To nazwa mojej firmy.

— W porządku. — Laura wypisała czek. — Tylko nie pędź z nim za szybko do banku — powiedziała — bo jeszcze ci go zwrócą.

— Lepiej, żeby nie zwrócili. — Ash smętnym spojrzeniem obrzuciła Bajgla, który zwinął się w kłębek na sofie, jakby całkiem o niej zapomniał. — Mam kredyt do spłacenia i kota do nakarmienia. Dzięki za zamówienie, Lauro. Daj mi znać, jak się udało.

— Jedzenie na pewno będzie w porządku. — Laura westchnęła. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Oni i tak zjedzą wszystko, co im podasz.

Ash roześmiała się.

— Moje ego legło w gruzach!

— Nie to chciałam... — Laura urwała zmieszana. — Jestem pewna, że będzie im smakowało.

— Miłego wieczoru — pożegnała ją Ash. — Jedź ostrożnie przy tej pogodzie.

— Oczywiście. — Laura uniosła pudło i stęknęła z wysiłku.

— Dasz sobie radę? — zapytała Ash. — Może pomóc ci je znieść do samochodu?

— Nie, w porządku. — Laura skrzywiła się. — W końcu wychowałam dwóch cholerych rugbyistów, prawda? Muszę mieć krzepę.

Ash przywołała windę, a potem wyjrzała przez okno na klatce schodowej, chcąc sprawdzić, czy Laura nie ma kłopotów z umieszczeniem pudła w samochodzie. Po jej odjeździe wróciła do mieszkania.

— Nareszcie spokój — zwróciła się do Bajgla, opadając na sofę. Przerzuciła gazetę, żeby sprawdzić program telewizyjny, i wtedy zadzwonił telefon. Ash głośno jęknęła.

— Halo!

— Cześć, Ash.

— Jodie! Jak leci?

— Nieźle. To znaczy, OK.

Jodie pracowała u niej, ilekroć Ash obsługiwała imprezę na tyle osób, że potrzebna była kelnerka. Na ogół tak się właśnie działo i Jodie współpracowała z nią od dwóch lat. Kiedy Jodie nie była kelnerką, śpiewała bluesa w restauracji, z nadzieją, że pewnego dnia zostanie dostrzeżona przez kogoś, kto zaproponuje jej olbrzymi kontrakt, który przyniesie jej sławę i — na co w duchu również liczyła — fortunę.

— Tylko OK? — zapytała Ash. — W czym problem?

— To nie jest jakiś wielki problem — odparła Jodie. — W każdym razie nie z rodzaju tych nie do pokonania, Ash, ale...

— Ale co? — przerwała jej niecierpliwie Ash.

— Zwichnęłam sobie nadgarstek — przyznała się Jodie. — Przepraszam. Poślizgnęłam się i wylądowałam dość niefortunnie, a teraz mnie boli.

— To tylko zwichnięcie? — spytała Ash.

— Tak, ale próbuję posługiwać się tą ręką — mówiła Jodie. — Do przyszłego tygodnia pewnie będzie OK, ale pomyślałam sobie, że lepiej cię wcześniej zawiadomić. W poniedziałek obsługujemy Chathama, prawda?

— Tak — powiedziała Ash. — Ale nie będzie tak źle, Jodie. Tylko osiem osób.

— Wiem. Jestem pewna, że dam sobie radę. Może tylko będę trochę powolniejsza, to wszystko.

— Daj mi znać jutro, gdyby się okazało, że to coś poważnego — powiedziała Ash. — Zawsze mogę ściągnąć Margaret albo Seamusa.

Zapadła cisza. Jodie nie życzyła sobie, by ktoś inny wykonywał jej pracę. Ash dobrze jej płaciła. Zarabiała znacznie więcej, pracując dla niej, niż śpiewając w Temple Bar.

— Będzie w porządku — zapewniła Ash.

— OK. Tak czy inaczej, zadzwoń do mnie jutro.

— Jasne — odparła Jodie. Głos jej się ożywił. — Może byś przyszła dziś wieczorem do restauracji? Zaczynam za jakieś dwadzieścia minut.

Ash spojrzała na zegarek. Było już po dziewiątej. Nie chciało jej się znowu wychodzić, a poza tym miała ochotę spędzić ten wieczór w domu.

— Dziś wieczorem siedzę w domu — powiedziała do Jodie. — Rozłożymy się z Bajgłem na sofie i będziemy oglądać telewizję.

— Och, Aisling! — Ash przez moment wydawało się, że znów rozmawia z Molly. — Klnę się na Boga, że wolisz tego kota od ludzi.

— Nie bądź głupia — powiedziała Ash łagodnym tonem.

— Czemu nie zadzwonisz do Brendana? — zaproponowała Jodie. — Nie mogę uwierzyć, że nigdzie nie wychodzicie w sobotni wieczór.

— Nie chcę go widzieć — ostro rzuciła Ash. — A już na pewno nie chcę do niego dzwonić.

— Ale dlaczego? Przecież to twój chłopak, prawda?

— Nie mam ochoty nigdzie wychodzić z Brendanem dziś wieczorem — twardo powiedziała Ash.

— No to przyjdź do restauracji — błagała Jodie. — Nie możesz siedzieć sama w domu przez cały weekend.

— Jestem sama z wyboru — oznajmiła Ash. — Nikt mnie do tego nie zmusza. Poza tym — dodała cieplejszym tonem — była u mnie wcześniej moja ciotka i odprowadziłam ją na pociąg. Zmokłam, więc wzięłam prysznic i naprawdę nie chce mi się znów przebierać.

— Och, w porządku. — Jodie pogodziła się z klęską. — Po prostu nie lubię myśleć, że jesteś sama.

— Jodie, sama nie znaczy wcale samotna — rzuciła Ash. — Niczego mi nie trzeba. Zobaczymy się w poniedziałek.

Bajgiel zwykł wychodzić nocami na spacer, ale tego wieczora wiatr i deszcz sprawiły, że kiedy Ash otworzyła okno od kuchni, żeby go wypuścić, zrobił w tył zwrot i pobiegł z powrotem na górę.

— Powinam była wyrzucić cię przez okno — rzuciła w ślad za jego uciekającym ogonem. — Za to, że grzebałeś w tych pizzach. Poza tym, jak słyszałam, koty nie lubią oliwek i sera!

Czajnik, który wcześniej napelniła, wyłączył się z cichym szcęknięciem. Ash wyjęła z szafki słoik rozpuszczalnej czekolady, wsypała trzy kopiaste łyżeczki do kubka i zalała gorącą wodą. A potem, aby przekreślić wszystkie pozytywne skutki płynące ze spożywania produktu beztłuszczowego, odłamała kwadracik mlecznej czekolady Cadbury i dorzuciła do napoju. Wzięła kubek, wróciła do salonu i usiadła. Miała nadzieję, że nikt więcej nie zadzwoni tego wieczora. Naprawdę chciała być teraz sama, choć wszystkie pisma i książki, które czytała, mówiły jej, że powinna wyjść i świetnie się bawić, żłopać Chardonnay i poznać mężczyznę swoich marzeń. Pałaszując kawałek czekolady, pomyślała, że przynajmniej lubi dobrze zjeść.

Bajgiel obudził ją następnego ranka, depcząc jej łapami po brzuchu i miaucząc przeraźliwie, poinformował ją, że chce wyjść. Zamrugła, a potem do niej dotarło, że przestało już padać i chmury zniknęły — przez okno dachowe sypialni widziała czysty błękit.

Odrzuciła kołdrę i otuliła się szlafrokiem. Bajgiel popędził przodem i wskoczył na parapet.

— Poczekaj! — powiedziała, widząc, jak wyrznął głową w szybę. — Na miłość boską, poczekaj minutkę! A tak przy okazji, nie myśl sobie, że ci wybaczyłam wczorajszy wieczór.

Kot wyszedł na zewnątrz, a potem wskoczył z wdziękiem na najbliższy gzyms i po pionowej ścianie wspinał się na dach. Czasami rozsiadał się na oknie dachowym sypialni, czym rozśmieszał, a zarazem przerażał Ash.

Ziewnęła i starła z oczu sen. Przez ostatnie dwa tygodnie była tak zajęta, że nie miała czasu odetchnąć. Codziennie obsługiwała jakiś lunch, a prawie co wieczór kolację, i doskonale wiedziała, że przeciąga strunę. Ale kiedy pracuje się na własny rachunek i dostaje się pensję, tylko jeżeli się coś przygotowuje, człowieka aż kusi, by przyjąć każde zamówienie. Jodie także ją namawiała, by przyjmowała wszystkie zamówienia, bo nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się jakiś ważny gość, który zechce zatrudnić ją jako swojego osobistego kucharza. Jodie sądziła, iż obie się zgadzają, że świetnie byłoby zostać osobistym kucharzem, ale Ash wcale tak nie uważała. Lubiła być wolnym strzelcem i sama układać plany, lubiła sama organizować każdego dnia swoją pracę. Gdyby pracowała dla kogoś, musiałaby słuchać jego koncepcji dobrego menu, trzymać się jego dziwacznych nawyków żywieniowych i robić wszystko na cudzą modłę. A na to nie miała najmniejszej ochoty.

Wróciła na górę i weszła pod prysznic, tym razem chroniąc jasne włosy pod plastikowym czepkiem. Nigdy nie czuła się w pełni obudzona, póki nie stanęła pod prysznicem, jednak zbyt częste mycie sprawiało, że jej cienkie, delikatne włosy nie chciały się później układać. W niedzielę lubiła jeść śniadanie u Bewleya przy Grafton Street. Po drodze kupowała gazety, siadała przy jednym z ciemnych, drewnianych stolików i czytała suplementy, popijając kawę z pianką i zajadając świeże croissanty. Czasami, w środku zimy, zamawiała sobie nawet na śniadanie mieszany półmisek z grilla, by potem przez całe wieki mieć wyrzuty sumienia.

Odkąd poznała Brendana, on także zaczął dołączać do niej na niedzielne śniadania. Z początku lubiła jego towarzystwo, ale teraz on przyjął już za pewnik, że będą się tu spotykać, a ona wcale nie chciała widywać go w każdą niedzielę. W sumie nie potrafiła powiedzieć dlaczego, bo choć lubili zupełnie co innego, był zabawnym towarzyszem i miał sympatyczne poczucie humoru. Wiedziała, że to ważne, by mieć chłopaka z poczuciem humoru. Był to wymóg uwzględniany we wszystkich rubrykach Samotnych Serc. Poza tym, co za odświeżająca odmiana po Kieranie, który był kompletnie pozbawiony poczucia humoru.

Otworzyła okno w kuchni i zagwizdała na Bajgla. Ani śladu kota, czego się zresztą spodziewała. Ilekroć nocował w domu, następnego dnia lubił powłóczyć się przez kilka godzin. Poza tym dobrze wiedział, że ciągle jest na niego wkurzona. Zamknęła okno i nałożyła kurtkę z owczej wełny. A potem dokładnie sprawdziła całe mieszkanie.

Ash zdawała sobie sprawę z tego, że postępuje irracjonalnie. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Bała się, że jeśli przed wyjściem zapomni sprawdzić choć jedną rzecz, przyniesie jej to pecha. Gdy poprzedniego wieczoru odprowadzała Molly na pociąg, denerwowała się, że nie wyjęła z kontaktu grzałki. Bała się, że nim wróci, grzałka, choć wyłączona, przepali się i wybuchnie. Martwiła się tym przez całą drogę na dworzec i z powrotem, chociaż wiedziała, że to głupie.

Swój rytuał zaczęła od upewnienia się, że wyłączyła centralne ogrzewanie. Obejrzała też krany, czy nie ciekną. Sprawdziła, czy właściwe wtyczki zostały wyłączone z kontaktu, a na koniec zbadła, czy powierzchnie robocze w kuchni są wytarte do czysta i czy alarm został włączony. Któregoś dnia, mruknęła sama do siebie, wyłączając z kontaktu czajnik elektryczny, wyjdę z domu i zostawię wszystkie wtyczki w kontaktach. Któregoś dnia. Ale nie dziś.

Ash uwielbiała miejskie ulice w niedzielne poranki. Na początku, kiedy kupiła to mieszkanie, bardzo mało ludzi kręciło się tu przed południem. Ale w ostatnich latach ulice ożywiły się, a Ash pokochała ich szum. Minęła Trinity College i grupkę amerykańskich turystów, którzy spierali się o to, czy będą musieli stać w kolejce czy nie, by obejrzeć słynną Księgę z Kells*, przeszła obok spizowego pomnika Molly Malone** — jej ciotka uporczywie zaprzeczała, jakoby otrzymała imię po najsłynniejszej domniemanej prostytutce tego miasta — i dalej czerwonym, ceglanym chodnikiem wzdłuż Grafton Street, gdzie było mnóstwo sklepów z gazetami. Ash uwielbiała niedzielną prasę. Kupowała gazety irlandzkie i angielskie, a czasami, nie chcąc zaniedbywać włoskiego, którego uczyła się w szkole, także włoskie.

* Księga z Kells — bogato iluminowany manuskrypt czwartej Ewangelii, pochodzący z ok. 800 r., jeden z najcenniejszych zabytków piśmiennictwa średniowiecznego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Molly Malone — dublińska straganiarka, symbol miasta.

Zauważyła, że w oknach wystawowych na Grafton Street króluje motyw jesieni, a stroje są obecnie w zgaszonych odcieniach zieleni i szarości. Przystanęła przed witryną Brown Thomas*** i zaczęła żałować, że nie ma podstaw, by wydać prawie tysiąc funtów na czerwony sweter z czarnym aksamitnym kołnierzem, w którym byłoby jej z pewnością do twarzy. Westchnęła i owinęła się szczelniej ciepłą, szarą kurtką. Lepsza jakość za jedną dziesiątą tej ceny, pocieszyła się w myślach, i pewnie jest znacznie bardziej praktyczna.

*** Brown Thomas — elegancki magazyn odzieżowy, w którym ubierają się znane osobistości.

Bewley's Café, jak zwykle pełna brzęku i hałasu, z miejsca urzekła ją aromatem świeżo zmielonej kawy. Rozejrzała się za Brendanem i zobaczyła, jak ogląda wystawione gatunki kaw.

— Cześć, Ash! — Pomachał jej. — Spóźniłaś się.

Spojrzała na zegarek. Była dokładnie na czas. Zawsze zjawiała się dokładnie na czas. Co się dzieje, że ludzie nagle zaczęli pojawiać się przed czasem?

— Cześć! — odparła, odwracając lekko głowę, kiedy ją całował, tak że jego usta musnęły jej policzek, a nie, jak zamierzał, wargi.

— Umieram z głodu — oświadczył. — Biorę wszystko. A ty? Potrząsnęła głową.

— Kawę i croissanty.

— Chodź — powiedział. — Znajdźmy sobie stół. Wybrała stół w rogu, a Brendan złożył zamówienie.

— Wiesz co? — rzucił z promiennym uśmiechem.

— Co?

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kopertę.

— Właśnie to.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i wsunęła palec do koperty. Wewnątrz była błyszcząca niebieska okładka na bilety.

— No dalej. — Brendan uśmiechnął się. — Otwórz.

W środku były bilety na Wyspy Kanaryjskie. Wystawione na nazwiska jej i Brendana.

— Co to ma znaczyć? — W piwnych oczach Ash błysnęło zaskoczenie.

— A jak myślisz? — roześmiał się. — Wakacje. Zarezerwowałem już miejsca.

— Co zrobiłeś?! — Spojrzała na niego w osłupieniu.

— W zeszłym tygodniu powiedziałaś, że nie znosisz jesieni, wieczorów w domu i coraz chłodniejszej pogody. Oczywiście nikt się wtedy nie spodziewał, że w takim tempie zrobi się tak zimno! Mój znajomy pracuje w biurze podróży. Powiedział mi o tej ofercie, więc z niej skorzystałem.

— Dla nas?

— Przecież widzisz nasze nazwiska. Zobacysz, będzie świetna zabawa.

— Brendan, nie mogę pojechać z tobą na wakacje — powiedziała.

— Oczywiście, że możesz.

— Prowadzę firmę — tłumaczyła. — Kiedy biorę urlop, muszę wszystko zaplanować z wyprzedzeniem.

— Och, trzeba przecież trochę pożyć — rzucił lekceważąco.

— Co takiego?

— Trzeba trochę pożyć, Ash. Czasami jesteś taka spięta. Wiem, że prowadzisz firmę. Podobnie jak wiele osób w dzisiejszych czasach. Ale oni uważają, że mają dzięki temu raczej większą swobodę, nie mniejszą. — Brendan pracował w kasie kredytowej.

— Nie bądź głupi — rzuciła ostro. — Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś, Brendan.

— Zrobiłem to, bo chcę być z tobą — odparł. Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. — Naprawdę mi na tobie zależy, Ash.

Ash głośno przełknęła ślinę. Lubiła go, choć tak bardzo się różnili. Ale nie aż tak, żeby pojechać z nim na wakacje. A już na pewno nie podobała jej się jego pewność, że rzuci wszystko i zrobi to, czego on sobie życzy. Co on sobie właściwie wyobraża? Że kim jest?

— Kocham cię — wyznał Brendan.

— Przecież prawie mnie nie znasz.

— Chcę spędzić z tobą trochę więcej czasu. Dlatego zrobiłem rezerwację.

— Posłuchaj, Brendan, jest mi bardzo przykro. — Ash zagryzła wargi. — To mi... pochlebia, że tak uważasz. Naprawdę. Ale nie jestem jeszcze gotowa na coś takiego.

— „Coś takiego”? Jak mam to rozumieć? — zapytał.

— Nie jestem jeszcze gotowa, by pojechać z tobą na wakacje.

— Ale...

— Trzeba było najpierw mnie zapytać.

— A co byś odpowiedziała? Ash znów zagryzła wargi.

— Powiedziałabym „nie”.

— Dlaczego?

— Bo nie jestem gotowa.

— Przecież to tylko głupie wakacje! — uniósł się Brendan. — A nie deklaracja dozgonnej miłości.

— Dopiero co mówiłeś, że mnie kochasz — przypomniała mu.

— Wiem. I kocham cię. Ale tu chodzi tylko o wakacje. Nie możesz mnie teraz prosić, żebym wszystko odwołał.

— Przecież cię nie prosiłam, żebyś robił rezerwację. Brendan patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

— Większość dziewczyn byłaby zachwycona, że ktoś zabiera je na wakacje.

— Ale ja nie jestem większość dziewczyn — powiedziała.

— Wiem. — Westchnął. — Przepraszam, to było może zbyt protekcyjne. Posłuchaj, Ash, przemyśl to sobie jeszcze. Nie mów „nie” bez zastanowienia.

Ash odgarnęła włosy za uszy.

— Już o tym myślałam — powiedziała. — A w każdym razie, o nas. I myślę, że nic z tego nie będzie, Brendan.

— Co takiego?

— Lubię cię — powiedziała. — Człowiek dobrze się z tobą bawi, ale... no cóż... — Wzruszyła ramionami.

— Nie wierzę ci. — Brendan popatrzył na nią ze zdumieniem. — Zrywasz ze mną? Bo załatwiłem wakacje?

— Niezupełnie. Ale...

— Ja tylko chciałem, żebyśmy się zabawili. Myślałem, że będzie miło.

— Nie mówię, że nie byłoby miło — powiedziała. — Ale ja...

— Ty nie chcesz, żeby było miło! — Brendan wytrzeszczył oczy. — Gównu ci na mnie zależy, prawda? Nigdy ci na mnie nie zależało.

Ash westchnęła.

— To nie tak.

— No to jak, do jasnej cholery? — odezwał się w końcu.

— Przepraszam — powiedziała.

Brendan wziął bez słowa granatowy portfel z biletami.

— Przez ciebie zrobiłem z siebie kompletnego fiuta.

— Nieprawda — powiedziała Ash. — Wiem, że teraz jest ci głupio, Brendan, ale przysięgam, nie chciałam sprawić ci przykrości. Nie jestem jeszcze gotowa na żadne zobowiązania.

— Przecież to tylko wakacje, do cholery!

— Wiem.

— Myślałem, że lubisz być ze mną — powiedział. — Zdawało mi się, że dobrze nam ze sobą.

— Bo to prawda. Tak było. Rzecz tylko w tym, że jeszcze do tego nie dojrzałam, żeby wiązać się z kimś na dłużej.

— W naszym wypadku chyba trudno mówić o czymś takim.

— Przepraszam — powtórzyła raz jeszcze.

— W porządku. — Brendan wstał od stolika w chwili, gdy zjawiała się kelnerka z jego śniadaniem. Wyjął z portfela dwadzieścia funtów. — To powinno wystarczyć.

— Ja zapłacę — powiedziała pośpiesznie Ash.

— Nie trzeba — burknął.

— Do widzenia, Brendan — rzuciła za nim, kiedy odwrócił się i odszedł.

Przesiedziała jeszcze pięć minut w kawiarni, przeglądając nagłówki gazet i usiłując zignorować gwałtowne bicie serca oraz dziwne mrowienie czubka nosa. Jednak słowa zapisane na stronach gazet były tylko chaotycznym zbiorowiskiem liter i czuła, że nie wysiedzi długo bez ruchu.

Wyszła więc z kawiarni i szybkim krokiem ruszyła w dół Grafton Street. Czuję się dobrze, powiedziała sama do siebie. Jestem spokojna. Jestem zrelaksowana. Nic mi nie jest.

Weszła na jezdnię na Suffolk Street, ale zaraz wskoczyła z powrotem na chodnik, kiedy kierowca rovera upomniał ją hałaśliwie klaksonem. Nie zauważyła go; nie zdawała sobie sprawy, że przechodzi przez ulicę na czerwonym świetle. Kierowca gestykulował, zły, że weszła mu przed maskę; a zarazem pewnie mu ulżyło, że jej nie przejechał.

Uspokój się, powiedziała sobie, czekając na zmianę świateł. Opanuj się. Nie ma powodu się denerwować.

Jednak już czuła narastającą panikę. Serce biło jej coraz szybciej, nogi zaczynały się trząść i jeszcze na koniec to nagłe uczucie, które zawsze tak ją przerażało — że wychodzi z siebie. Zacisnęła pięści tak mocno, aż poczuła paznokcie wbijające się w dłonie.

Nic ci nie jest, powiedziała półgłosem. Wszystko w porządku, jest OK, nie ma się czym przejmować.

Zaczynała już odczuwać mrowienie warg, a serce przeskakiwało kolejne uderzenia. Powtarzała sobie, że tak naprawdę nie odczuwa przeskakujących żadnych uderzeń — doktor Mullen wytłumaczył jej to wszystko wiele lat temu. Od tamtej pory dużo przeczytała na ten temat. Wiedziała, że to gwałtowny przyływ adrenaliny sprawiał, że tak się czuła. Nie było innej fizycznej przyczyny. Nie zemdleje, nie zasłabnie i nie grozi jej atak serca. Doktor Mullen powiedział jej, że atak serca to uczucie, jakby ktoś rzucił na pierś ciężką torbę golfową. A ona wcale nie czuła się, jakby dostała torbę golfową w pierś.

Idąc wzdłuż Trinity College i Poolbeg Street ku George's Quay, recytowała półgłosem przepisy kulinarne. Recytowanie przepisów pomagało jej skupić się na myśli, że jednak nie umrze.

Główne dania z drobiu. Była dobra, jeśli chodzi o dania z drobiu. Piersi kurczaka. Z makaronem. Pieprz chilli. Kumin. Oregano. Czerwona papryka. Czosnek. Siekane pomidory, twarożek. Świeża bazylia. Włożyć kurczaka do plastikowej torby z oliwą, ziołami i przyprawami. Natrzeć oliwą i przyprawami. Zostawić na chwilę. Ugotować makaron. Rzucić paprykę i czosnek na rozgrzany olej i mieszać przez chwilę. Zmieszać pomidory i paprykę z odrobiną wody. Gotować przez pięć minut. Dodać bazylię i twarożek. Dodać makaron. Obsmażyć paseczki kurczaka na rozgrzanej uprzednio patelni. Wyłączyć. Podawać na makaronie. To pożywne danie. I proste. Ładnie wygląda i nie jest czasochłonne.

Przeszła na drugą stronę City Quay i zaczęła liczyć kroki. Liczenie było kolejnym sposobem radzenia sobie z atakiem paniki. Wiedziała, że do domu ma dokładnie sześćset trzy kroki. Pięćset dziewięćdziesiąt, powiedziała półgłosem, mijając sąsiedni biurowiec. Sześćset. I jeden. I dwa. Sześćset trzy. Kiedy wkładała klucz do zamka, ręce jej się trzęsły. Aby się uspokoić, zaczęła głęboko oddychać. Wreszcie brama się otworzyła. Wbiegła po schodach na górę, wpadła do mieszkania i porwała leżącą na szafce szarą papierową torbę.

Przyłożyła ją do twarzy i zaczęła głęboko oddychać. Czuła się głupio, ilekroć to robiła, jakby była oszustką. Przecież nic złego się nie działo. Nie była śmiertelnie chora. Nie miała astmy, rozedmy płuc ani problemów z sercem. To tylko hiperwentylacja. Doktor Mullen powiedział, że nie ma się czego wstydzić. Mnóstwo ludzi cierpi na to, kiedy są zmartwieni, zdenerwowani albo przygnębieni. Kiedy była młodsza, gdy Molly przywiozła ją z powrotem do Irlandii, zdarzało jej się to bardzo często. Teraz ataki były rzadsze, ale nadal ją przerażały. Na ogół dopadały ją, kiedy z kimś zrywała albo kiedy była bardzo spóźniona na jakąś imprezę, a czasami po spotkaniu z Michelle.

A przecież nie powinna się już przejmować czymś takim jak zerwanie. Zrywała już z tyłoma mężczyznami, że powinno to być łatwe! Co by sobie pomyślał Brendan, gdyby ją teraz zobaczył, z głową w papierowej torbie? Pewnie ucieszyłby się, że udało mu się wprawić ją w taki stan, i w zasadzie trudno byłoby mieć o to do niego pretensje. Propozycja wakacji to był miły gest. Naprawdę. Ale nie powinien był tego robić. Nie powinien był wywierać na nią presji. Bardzo nie lubiła, kiedy ktoś próbował wywierać na nią presję. Tak czy inaczej, pomyślała, odejmując w końcu torbę od twarzy, prędzej czy później i tak by się rozstali. Lepiej to zrobić teraz, zanim zacznie jej na nim za bardzo zależeć. Zanim najdzie ją szalona myśl, że może to Ten Jedyńy. Zanim zrobi z siebie kompletną idiotkę. Jak Julia.

Poza tym uczucie to trwało na ogół tylko kilka godzin. Było okropne, kiedy ją dopadało, ale umiała już sobie z nim radzić. Była pewna, że i tym razem sobie poradzi. Nauczyła się tego, bo zmusiło ją do tego życie.

RS

Rozdział 3

Kurczak z estragonem

Kurczak, cytryna, estragon, białe wino, crème fraîche.

Piec w 200°C, póki mięso nie będzie miękkie (nieco ponad godzinę).

Ash wstawiała czasami bardzo wcześnie i jechała na targ owocowo-warzywny w Smithfield. Lubiła wędrować pomiędzy kramami, patrzeć na olbrzymie skrzynie jarzyn i wdychać zapach bananów, pomarańczy oraz innych dojrzewających owoców. Lubiła hałas i ruch, jak również to, że targ znajdował się tak blisko Four Courts i prawniczego centrum Dublina. Bawił ją kontrast pomiędzy straganiarzami zachwalającymi swój towar a orłami Temidy, przemierzającymi ulice później, w ciągu dnia. Podobało jej się także to, że rejony te zostały w ostatnich latach uporządkowane i ludzie zamieszkali tu w nowych apartamentowcach oraz odnowionych budynkach, które niegdyś stały opuszczone.

Do Smithfield jeździła zazwyczaj w miesiącach letnich, bo zużywała wtedy mnóstwo sałaty, a poza tym lubiła wstawać o świcie. Gdy nadchodził wrzesień, zaczynała kupować owoce i warzywa na Moore Street, dokąd przenosili się ludzie, którzy wcześniej sprzedawali swoje towary w Smithfield. Na Moore Street owoce i warzywa były niedrogie i Ash nawet by nie przyszło do głowy, by kupować je gdzie indziej.

Na lunch, który przygotowywała dla maklerów u Chathama w poniedziałkowe przedpołudnie, zaplanowała kurczaka w estragonowym sosie, zielony groszek oraz młode ziemniaczki.

U Chathama nie chcieli niczego ciężkostrawnego na comiesięczne spotkania zarządu, więc opracowała rotacyjny system sześciu różnorodnych dań, które im kolejno serwowała. Prócz regularnych lunchów gotowała dla nich również wtedy, gdy podejmowali klientów, co zdarzało się przynajmniej raz w miesiącu. Ale nie wszyscy przychodzili na te lunchy i dla nich miała przygotowany inny zestaw.

Lubiła zamówienia od Chathama. Ludzie byli mili i wyluzowani i dobrze jej płacili. Niektórzy spośród ich partnerów wynajmowali ją, kiedy urządzali kolacje w domu, co było jeszcze bardziej lukratywne. A potencjalnie najbardziej lukratywne było to, pomyślała, włączając komputer przed wyjściem po zakupy, że miała rachunek u maklerów Chathama, co pozwalało jej na samodzielne kupno i sprzedaż akcji.

Poprosiła Kate Coleman, dziewczynę, która przed pięciu laty pierwsza zamówiła u niej lunch, aby jej wyjaśniła, na czym polega kupno i sprzedaż akcji. Kate wszystko jej wytłumaczyła i powiedziała, że na dłuższą metę akcje prawie zawsze okazują się dobrą inwestycją.

— Ale ja nie mam pieniędzy na długoterminowe inwestycje — powiedziała Ash z ponurą miną. — Chwilowo nie mam nawet pieniędzy na bieżące wydatki.

— Jak będziesz miała, powinnaś kupić kilka akcji — doradziła jej Kate.

Do końca tego roku, w którym odbyła się ich rozmowa, Ash zdołała zgromadzić większe oszczędności, niż się spodziewała, gdyż pomysł, by założyć jednoosobową firmę cateringową, okazał się strzałem w dziesiątkę. Nie była to wielka suma, lecz zupełnie wystarczająca, by zafundować sobie bardzo miłe wakacje. Jednak Ash, mając w pamięci słowa Kate, przysłuchiwała się w trakcie lunchów rozmowom partnerów o rozmaitych spółkach, o tym, jak im się powodzi i jak może się to odbić na cenach akcji. Zaczęła czytywać strony finansowe w gazetach i porównywać to, co tam przeczytała, z opiniami wyrażanymi podczas lunchów. Nigdy nie próbowała podsłuchiwać partnerów, ale jeśli usłyszała jakąś interesującą informację, zachowywała ją w pamięci.

Gdy przyszło Boże Narodzenie i Kate dała jej kopertę, w której znajdował się dodatkowy świąteczny czek za całoroczną pracę, Ash zapytała ją, jak się otwiera rachunek. Kate powiedziała, że to świetny pomysł, i umówiła ją ze Steve'em Proctorem, jednym z młodszych dilerów. Ash, która doszła do wniosku, że oprocentowanie spada i że to dobra wiadomość dla ludzi w sektorze finansowym, kupiła kilka akcji pomniejszych banków i już w styczniu odnotowała zyski. W lutym zarobiła dość, by móc się wybrać na znacznie droższe wakacje niż te, na które mogła pojechać wcześniej. W lipcu miała już tyle, że mogłaby wyjechać na całą zimę. Jednak czasami zdarzało jej się stracić pieniądze i wtedy wpadała w panikę. Wciąż miała jednak w pamięci słowa Kate, że to długoterminowa inwestycja, i nigdy nie kupowała akcji za sumę większą niż kilkaset funtów.

Kliknęła na plik nazwany „moje portfolio”. Już sam termin „portfolio” wywoływał uśmiech na jej twarzy. Brzmiał zdecydowanie zbyt pompatycznie jak na to, co naprawdę oznaczał, ale wszyscy maklerzy określali tym mianem portfele swoich klientów, więc i ona tak go nazwała. Plik podłączony był do wykresu cen, który przesyłano z giełdy do Chathama, co znaczyło, że w każdej chwili mogła sprawdzić, czy wartość jej akcji wzrosła, czy spadła. Śledzenie ruchu cen podniecało Ash, chociaż w ogólnym rozrachunku nie były to aż tak wielkie sumy.

Tego dnia, jak na razie, nie odnotowano większych wahań, więc zamknęła „moje portfolio” i otworzyła folder spółki Chatham. Pamiętała, że teraz przypada miesiąc kurczaka w estragonowym sosie, ale chciała to jeszcze raz sprawdzić. Cieszyła się opinią osoby solidnej, o czym wiedziała, i zawsze starała się jej sprostać. Wydrukowała menu, zamieszczając obok małe rubryczki, w które wpisała ceny wszystkiego, co kupiła, po czym wpięła złożoną kartkę do segregatora. (Mimo zamiłowania do technologii Ash nie przekonała się jeszcze do elektronicznego organizera). Postawiła segregator obok torby i zrobiła zwyczajowy obchód mieszkania. Potem wzięła torbę, sprawdziła, czy ma w środku portmonetkę, i otworzyła drzwi na klatkę.

Bajgiel przybiegł z dołu po schodach. Zakłęła, bo o mały włos byłaby się o niego potknęła.

— Skąd wracasz? — rzuciła. — Otworzyłam ci przecież okno w kuchni, ale nie raczyłeś się zjawić! Przez ciebie się spóźnię. — Kot owinał jej się wokół nóg. — Poza tym kto ci otworzył drzwi na dole? — zapytała. — Wiesz, że nienawidzę, kiedy włóczysz się przed blokiem i po nabrzeżu. — Zielone oczy Bajgla zmierzyły ją taksującym spojrzeniem. — Pewnie chcesz jeść — stwierdziła, kiedy wskoczył do mieszkania i ruszył prosto do swojej miski. Otworzyła świeżą puszkę tuńczyka z łososiem i wrzuciła część jej zawartości do miski. — Masz — powiedziała. — Smacznego.

Bajgiel wetknął pyszczek w karmę i zaczął jeść łapczywie. Ash westchnęła.

— Świnia jesteś — zwróciła się do jego zaokrąglonego grzbietu. — Kompletna świnia. Prosiłam o kota, a dostałam prosiaka w przebraniu. Szurniętego prosiaka, który kradnie pizzę! — Ale gdyby ktoś mnie teraz słyszał, jak rozmawiam z tobą na głos, pomyślała ze smutkiem, pewnie to ja zostałabym odesłana do czubków. — Do widzenia — powiedziała, wychodząc z mieszkania. — Bądź grzeczny, póki nie wrócę. Co za szczęście, że nie nauczyłeś się jeszcze otwierać lodówki.

— A może wzięliby mnie za biedną, sfiksowaną starą pannę, która wiecie smętny, samotny żywot wraz ze swoim kotem — mruknęła głośno, i nagle zaczęła się zastanawiać, czy nie ma w tym przypadku ziarna prawdy.

Na dole u Chathama siedziała nowa recepcjonistka. Ash musiała poczekać chwilę, aż dziewczyna upewni się u Kate, że Ash jest tym, za kogo się podaje. Ciekawe, czy mnie podejrzewa, że przyszłam wziąć zakładników, z torbą pomidorów i przejrzałych bananów, pomyślała. Była to dość interesująca koncepcja, ale zanim zdążyła ułożyć w myślach plan przejęcia

firmy, recepcjonistka wręczyła jej kartę magnetyczną umożliwiającą wstęp na czwarte piętro, gdzie znajdowały się kuchnia i jadalnia. Prawdziwa praca odbywała się u Chathama na drugim piętrze, gdzie — jak Ash się dowiedziała — pracownicy tłoczyli się przed monitorami komputerów przez dziesięć albo dwanaście godzin na dobę.

Na myśl o tym, że miałyby siedzieć przed komputerem od ósmej rano do ósmej wieczorem, przebiegł ją dreszcz. Nie mogła sobie wyobrazić nic bardziej zabójczego dla ducha niż całodzienna praca przy liczbach. Była oczywiście w stanie zrozumieć podniecenie, w jakie wpadali, gdy zakupione przez nich akcje szły w górę — ją także to podniecało — ale dwanaście godzin, i to dzień w dzień! Większość ludzi by tego nie wytrzymała.

Postawiła torby przy drzwiach na czwartym piętrze i wsunęła kartę. Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Ash wniosła torby do kuchni. Pomyślała, że jej praca jest znacznie bardziej satysfakcjonująca niż czytanie całych stron analiz przed dokonaniem zakupu lub sprzedaży. Ona może sama wybrać wszystkie ingrediencje i dokładnie je sobie obejrzeć. Obracać w dłoni papryki i myśleć z podziwem, że kilka dni wcześniej zostały zerwane w Hiszpanii. Wąchać grzyby, wiedząc, że zebrano je wprost z ziemi. Rozbijać jajka ze świadomością, że naprawdę była na farmie, z której pochodzą. Gotowanie to proces twórczy. A to, co robili ludzie u Chathama, to tylko liczenie grosików.

Mimo wszystko to liczenie grosików musiało im przynosić całkiem niezły dochód. Chatham miał luksusowe biura, a także jedną z najlepiej wyposażonych kuchni, z jakich Ash zdarzyło się korzystać. Podwójny piekarnik, z gazową płytą, był najlepszy w swojej klasie, były też dwie mikrofalówki, lodówka z zamrażarką w stylu amerykańskim oraz tak przez nią lubiane blaty robocze z chłodnego granitu. Chatham miał także schładzarkę do win, która mogła pomieścić do stu czterdziestu butelek, przechowywanych w idealnej temperaturze.

Stała przy kuchennym oknie i popatrzyła w stronę rzeki. Stąd mogła widzieć róg budynku, w którym mieszkała — reszta ukryta była za biurowcem. Widać było też wzgórze Dublina, wieże kościołów, a także dźwigi sterczące ponad terenami budów wokół miasta. Po niebie pędziły czarne chmury. Wyglądało, jakby zaraz miało lunąć.

Odwróciła się od okna i nałożyła fartuch. Nalała sobie szklaneczkę wody mineralnej, wrzuciła do niej plasterki cytryny i zaczęła przygotowywać potrzebne ingrediencje.

Właśnie nacierała kurczaka cytryną, kiedy zjawiała się Jodie. Ash uśmiechnęła się do filigranowej brunetki, która stanęła w drzwiach, a potem skrzywiła się na widok szerokiego bandaża wokół jej nadgarstka.

— Myślałam, że go sobie tylko nadwerezylaś — powiedziała z wyrzutem.

— Wygląda gorzej, niż jest — tłumaczyła się Jodie. — Poza tym wiem, że dam sobie radę.

— Nie będziesz mogła serwować jarzyn — stwierdziła Ash. — Nie utrzymasz półmiska i nie poradzisz sobie z nakładaniem.

— Pomyślałam sobie, że można by je podać na dodatkowych talerzykach zamiast na dużych półmiskach — powiedziała Jodie.

— A co z napojami? — zapytała Ash. — Jak będziesz nalewać?

— Z aperitifami sobie poradzę — odparła Jodie. — Ale może ty mogłabyś rozlać wino?

— Ja?!

— Och, Ash, tylko na początku. A potem dam ci znać, kiedy trzeba będzie komuś dolać.

— Kiedy trzeba będzie dolewać, będę zajęta robieniem deserów — powiedziała Ash.

Jodie spojrzała na nią błagalnym wzrokiem.

— Już niedługo będę mogła zdjąć bandaż. Proszę cię, Ash. Ja naprawdę potrzebuję tej pracy.

Ash potarła czoło. Nie chciała brać nikogo innego — zresztą, dziś i tak byłoby to nierealne, gdyż było już o wiele za późno — ale przecież to prawie niemożliwe, by Jodie mogła obsługiwać przy stole jak należy z nadgarstkiem w takim stanie. Poczowała, jak z wolna narasta w niej panika, ale szybko ją w sobie zdławiła. Bez względu na to, jak się czuła, nie pomoże sobie, panikując przy Jodie, która jeszcze nie widziała jej z twarzą w papierowej torbie! Policzyła do dziesięciu. Jodie była dobrą kelnerką — solidną, atrakcyjną i sprawną. Wiedziała, kiedy można pogawędzić z gośćmi, a kiedy trzeba wtopić się w tło, tak by zapomnieli o jej istnieniu. Dlatego, jeśli Jodie uważała, że sobie poradzi, Ash uznała, że powinna rozstrzygnąć wątpliwości na jej korzyść.

— Myślę, że możemy spróbować — zwróciła się do Jodie. — Tylko proszę, uważaj, żebyś ich czymś nie oblała!

— Nie zrobię tego — zapewniła ją Jodie. — Ćwiczyłam przez cały weekend. Napełniłam wodą pustą butelkę po wódce i próbowałam nalewać lewą ręką. Idzie mi już całkiem nieźle.

Ash roześmiała się nerwowo.

— Skoro tak, wszystko w porządku.

— No, niezupełnie — przyznała Jodie. — Kilka razy upuściłam butelkę. Ale to było na samym początku.

— Jak to się stało, że zwichnęłaś sobie nadgarstek? — Ash wepchnęła resztkę cytryny i trochę estragonu do wypatroszonego kurczaka.

Jodie zaczerwieniła się i nie odpowiedziała.

— Jodie? — Ash posmarowała kurczaka masłem, a potem przyprawiła solą morską i mielonym pieprzem.

— Wyglądałam się z Chrisem — przyznała się Jodie. Ash spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Wyglądałaś się z Chrisem?

— No wiesz. — Jodie zrobiła zawstydzoną minę. — Zabawialiśmy się i poślizgnęłam się. I mogę ci powiedzieć — dodała szybko — że nie jest łatwo ubrać się i jechać do szpitala, kiedy jest się wysmarowanym oliwką dla dzieci, a do tego ma się zwichnięty nadgarstek.

Ash wybuchnęła śmiechem.

— Przynajmniej mieliście niezły ubaw!

— Tego nawet nie pamiętam — powiedziała Jodie. — A Chrisowi nie było później ani trochę do śmiechu. Czekaliśmy w ambulatorium przez cztery godziny, zanim ktoś raczył mnie wreszcie obejrzeć.

— Myślę, że cała przyjemność wyparowała do tej pory. — Ash wstawiła kurczaka do piekarnika.

— Tak jakby. — Jodie westchnęła. — Za to wczoraj był dla mnie miły. Przyniósł mi śniadanie do łóżka, i w ogóle.

— Szczęściara z ciebie — stwierdziła Ash i ponownie napełniła swoją szklaneczkę wodą mineralną.

— A co z tobą? — zapytała Jodie.

— Co to znaczy, co z tobą?

— Robiłaś wczoraj coś fajnego? Byliście gdzieś z Brendanem?

Ash skrzywiła się. Od wczoraj nawet nie pomyślała o Brendanie. Nigdy zresztą nie myślała o swoich mężczyznach, z chwilą gdy udało jej się pokonać atak paniki z powodu zerwania. Jakby przestali dla niej istnieć. Nigdy też nie żałowała, że nie postąpiła inaczej, bo zawsze miała pewność, że postąpiła słusznie. Nawet jeśli Molly była na nią później wściekła, a jej kuzynka Michelle przy następnym spotkaniu robiła kąśliwe uwagi na temat tempa, w jakim wykańcza facetów.

— Zerwaliśmy — odparła lakonicznie.

— Ojej, Ash! — Jodie spojrzała na nią. — Lubiałam go.

— Ale ja nie — stwierdziła Ash.

— A ja myślałam, że tak! Jak on to przyjął?

— Nie był zachwycony — przyznała Ash. — Chciał, żebyśmy pojechali razem na urlop.

— I dlatego z nim zerwałaś? — Jodie pokręciła głową. — Ash, sama wiesz, że to nie-normalne.

— Zrobił już rezerwację i sam wszystko załatwił — powiedziała Ash. — Nie lubię, jak ktoś mnie zmusza.

— Ale... on był taki miły, Ash.

— Widziałas go tylko raz — przypomniała jej Ash, a potem spojrzała na zegarek. — Ruszaj się, Jodie. Nakrycie stołu zajmie ci dziś pewnie dwa razy więcej czasu. Na początek podamy sałatki. Będzie osiem osób na lunchu.

Jodie wiedziała, kiedy należy złożyć broń. Ash nie zamierzała już więcej rozmawiać o Brendanie, tak jak nigdy nie rozmawiała o innych swoich związkach. Ash była najbardziej dyskretną osobą, jaką Jodie знаła. Czasami wspomniała imię kogoś, z kim właśnie się spotykała, ale związki te z reguły nie trwały długo. Z Brendanem spotykała się zaledwie od kilku tygodni. Jodie lubiła Ash, ale uważała, że jej szefowa nie umie postępować z mężczyznami. Z tym jednym wyjątkiem, pomyślała, wchodząc do jadalni, że to Ash zawsze zdawała się być tą stroną, która zrywa. Nigdy nie widziała Ash pogrążonej w otchłani rozpaczony z powodu jakiegoś nie-udanego romansu. Może w przeszłości był ktoś, ale kimkolwiek był, najwyraźniej przestraszył Ash na dobre, bo — tego Jodie była absolutnie pewna — mimo lekceważącego stosunku do swoich chłopaków Ash bardzo się nimi przejmowała. Któregoś dnia, mówiła sobie Jodie, rozkładając na stole sztuce, któregoś dnia dowiem się wszystkiego, co tylko się da, o Ash O'Halloran. Ale wygląda na to, że jeszcze nie dziś.

Zmierzyła stół taksującym spojrzeniem. Prezentował się dobrze. Podobały jej się kompozycje kwiatowe, które dostarczono wcześniej tego ranka. Chatham miał stałą umowę ze swoimi kwiaciarniami na dostarczanie nowych stroików w każdy poniedziałek — jednego do recepcji, jednego do biura dyrektora naczelnego i jednego do jadalni. Czasami bukietarz lubił trochę poszaleć i przysyłał dziwaczne, ultranowoczesne kompozycje, które podobały się Jodie, ale nie klientom. Ale ta akurat powinna zadowolić obie strony.

Wróciła do kuchni, gdzie Ash myła właśnie owoce. W pomieszczeniu zaczynał się już rozchodzić aromat pieczonego kurczaka.

— Więc tak, na jutro nie mamy nic, ale w środę jesteśmy u Butlera, Bank Hamburgski mamy w czwartek, a Houghton i Spółka są w piątek — powiedziała. Ash pokiwała głową.

— Jutro będę przygotowywała zakąski na przyjęcie — zwróciła się do Jodie — z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Mam je dostarczyć pod wieczór, ale na szczęście nie będę musiała tam zostawać.

— Tylko mi nie mów, że zaczynasz odczuwać swoje lata — roześmiała się Jodie.

— Czasami — przyznała Ash. — Ale nigdy nie przywiązywałam większej wagi do czegoś takiego jak dwudzieste pierwsze urodziny.

— Ja się dobrze bawiłam — powiedziała Jodie. — Wtedy po raz pierwszy w życiu urznęłam się w obecności moich starych.

Ash uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała, a Jodie zrobiło się głupio. Nie miała zamiaru napomykać o swoich rodzicach; nie znosiła mówić o nich przy Ash, która, gdy po raz pierwszy zapytała ją o jej rodziców, odpowiedziała po prostu, że już nie żyją. Powiedziała to w taki sposób, że Jodie zrozumiała, iż wszelkie próby dowiedzenia się, jak dawno się to stało, nie mają najmniejszego sensu. Jodie nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak to jest stracić rodziców w dzieciństwie. Tym właśnie tłumaczyła czasami zbyt poważny stosunek Ash do życia. Jak również jej obyczaj, by systematycznie zrywać ze swoimi chłopakami.

Wspólnicy stawili się na lunch za kwadrans pierwsza. Jodie ostrożnie nałala im drinki — dwie wody mineralne, dwa džiny z tonikiem, dwa soki pomidorowe z odrobiną sosu Worcester i dwa soki pomarańczowe. Potem bolała ją lewa ręka. Obniosła wokół stołu prażone orzeszki ziemne, zastanawiając się jak zwykle, jak by się czuła, będąc — dla odmiany — osobą obsługiwaną, a nie tą, która obsługuje. Nigdy nie była gościem na lunchu w prywatnej jadalni dużej spółki, gdzie rozmowy dotyczą wyłącznie interesów i robienia pieniędzy. Jodie nie zależało na pieniądzach, w każdym razie nie w taki sposób, jak tym facetom w garniturach. Jodie chciała tylko, by wystarczało jej na życie. A także na nakręcenie kilku demo, które mogłyby pewnego dnia doprowadzić do podpisania kontraktu z wytwórnią płytową. Co z kolei mogłoby doprowadzić do niezliczonych bogactw i sławy, ale — i to jest ten ważny punkt — często sobie powtarzała, że byłyby to tylko bardzo miłe skutki uboczne tego, iż ktoś docenił jej śpiew.

— Proponuję, żeby już zasiadać do stołu. — Ross Fearon, przedwcześnie wyłysiały dyrektor naczelny, skinął w stronę stołu i pozostali partnerzy zajęli swoje miejsca. Jodie wymknęła się do kuchni i powiedziała Ash, że wszyscy są już gotowi.

Ash skinęła głową. Wiedziała, że mieszane sałatki są nudne, ale do dzisiejszego lunchu zamierzała podać do sałatek jeden z przygotowanych wczoraj guiche'ów. Przyczynił się do tego Bajgiel, bo musiała dołączyć guiche do zamówienia Laury Pearson, aby zrekompensować stratę kilku małych pizz.

— Wyglądam OK? — zwróciła się do Jodie. — Nie mam kawałków estragonu we włosach? Ani tłustych plam od masła?

Jodie uśmiechnęła się.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziała. — Jak zwykle. Chciałabym wiedzieć, jak ty to robisz. Kiedy czasami gotuję, zawsze jestem na koniec czerwona i roztrzęsiona. A ty, krowo, wyglądasz jakbyś zeszła prosto ze stron „Vogue'a”.

— To już lekka przesada. — Ash przyglądała włosy splecione w ciasny warkocz, związany na końcu jedną z jej wielu czarnych wstążek. — Mam na sobie koszulkę od Marksa i Spencera i parę wiekowych spodni. Nie mam za to makijażu. Dlatego nie sądzę, żeby mnie wybrali do zdjęć typu „przed i po” w jakimkolwiek magazynie.

— Chodzi o to, że jesteś taka opanowana — powiedziała Jodie.

Ash roześmiała się.

— Chciałabym.

Zaniosła do jadalni butelkę wina. Była to prostokątna sala z długim, wąskim stołem na dziesięć osób. Ross Fearon siedział jak zwykle u szczytu stołu, a John Minihan, kontroler finansowy, na jego przeciwległym końcu. Ash знаła pozostałych gości 7. widzenia, ale nie pamiętała wszystkich nazwisk. Jedyne dwa, jakie utkwiły jej w pamięci, to Adrian Leigh, który specjalizował się w akcjach japońskich, i Dan Morland, z którym rozmawiała o swoim rachunku, kiedy nie było pod ręką Steve'a Proctora. Ash lubiła Dana. Przyjemnie jej się z nim rozmawiało, poza tym nie przeszkadzało mu to, że za każdym razem mogła zainwestować jedynie kilkaset funtów. (Niektórym maklerom nie chciało się nawet gadać z kimś, kto miał mniej niż parę tysięcy). Stała obok Dana i zaczęła mu nalewać wina do kieliszka. Kiedy skończyła, odwrócił się raptownie na krześle i niechcący podbił jej rękę. Wino chlapnęło na stół, zanim zdążyła temu zaradzić, rozlewając się złotą kałużą na lśniącym orzechowym blacie.

— Cholera! — wyrwało jej się mimowolnie. Spłonęła rumieńcem. Nie wypada przecież kłąć przy gościach, bo to ich krępuje.

— Och, przepraszam! — Dan spojrzał na nią. — To wszystko moja wina.

— Nie ma sprawy. — Próbowала nie okazywać irytacji, ale nie mogła uwierzyć, że właśnie ona rozlała wino, choć to Jodie miała zwichnięty nadgarstek. Zazwyczaj była taka ostrożna, tak zgrana z ruchami ludzi wokół, tak pilnowала, by nie było jakichś niefortunnych przypadków. Ale tym razem okazała się nie dość uważna, bo zapatrzyła się na Jodie, która dzielnie walczyła z półmiskami sałatek. — Zaraz przyniosę ściereczkę — powiedziała, czując, że płoną jej policzki.

Poszła do kuchni, skąd wróciła z białą serwetką. Za nic w świecie nie użyłaby jakiejś zabrudzonej ściěrki do naczyń, żeby wytrzeć stół w jadalni Chathama.

— To moja wina — powtórzył Dan, kiedy wycierała stół. — Chciałem umocować żaluzje w oknie za moimi plecami. Nie zauważyłem cię.

Cała ja, pomyślała Ash. Tak bardzo staram się nie przeszkadzać, że robię się niewidzialna. Poza tym jak możesz twierdzić, że mnie nie zauważyłeś? Przecież cię pytałam, czy chcesz jeszcze wina.

— Nic się nie stało — powiedziała ze spokojem. — Przynajmniej twój kieliszek jest nadal pełny. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

— Oczywiście, że tak. — Dan uśmiechnął się i rysy mu złagodniały. Stał się nagle jakby mniej dynamicznym facetem w garniturze, za to bardziej... no cóż, pomyślała... tak naprawdę nadal był dynamiczny. Żaden z facetów siedzących przy stole nie wyglądał inaczej, jak tylko na biznesmena, wystrojonego, by robić wrażenie.

Skończyła nalewać wino i wróciła do kuchni. Już wcześniej wyjęła kurczaka z piekarnika i pokroiła go, więc teraz dołala tylko kieliszek wina do sosu i zagotowała.

Jodie weszła do kuchni.

— Może to jednak ja powinnam była zająć się winem.

— To nie była moja wina — powiedziała Ash. — To on nie uważał. Jak mi Bóg miły, Jodie, ci faceci mają w dupie zwyczajnych ludzi.

— A to nie są zwyczajni ludzie? — Jodie włożyła do ust kawałek kurczaka. — Mmm, Ash, to genialne.

— To dobrze — rzuciła sucho Ash. — I żaden z tych tu nie zalicza się do zwyczajnych ludzi. Żaden z nich nie musi się martwić o kredyt, oszczędzać na wakacje albo się zastanawiać, czy stać go na nowy samochód.

— Ty też nie musisz się o to martwić — powiedziała Jodie.

— Tylko dlatego, że nie mam samochodu! Mam za to kredyt do spłacenia. — Ash dołąła do sosu trochę śmietany.

— Ale masz przecież akcje, prawda? — Jodie patrzyła, jak Ash dodaje jeszcze estragonu. Ash pokiwała głową.

— Ale bardzo mało. Nie jestem bogata, Jodie. Nie mam ukrytych oszczędności ani nic w tym rodzaju. A chciałabym!

— To by ci nie dało szczęścia — stwierdziła Jodie. — Założę się, że żaden z tych tu nie jest szczęśliwy.

— A ja się, kurde, założę, że tak — powiedziała Ash. Jodie wróciła do jadalni, żeby zbierać talerze.

— Jeszcze wina — wyszeptała bezgłośnie do Ash, wnosząc je do kuchni. Ash starannie wytarła rękę. Ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to żeby butelka wyslizgnęła jej się z rąk umazanych tłuszczem.

Rozmawiano o japońskim rynku. Adrian był w ubiegłym tygodniu w Tokio i dzielił się teraz swoimi spostrzeżeniami z resztą. Cudownie byłoby pojechać do Tokio, myślała Ash, okrążając stół. Cudownie byłoby pojechać gdzieś za granicę i żeby jeszcze ci za to zapłacili.

Po powrocie do kuchni ułożyła potrawy na półmiskach, które wręczyła Jodie. Występowanie w podwójnej roli kucharza i kelnera od win okazało się ciężką pracą. Lunch nie przebiegał tak gładko, jak powinien. Rozlała też olej na podłogę w kuchni i dwa razy omal nie runęła jak długa, chociaż wytarła wszystko najlepiej, jak tylko umiała. Jodie tymczasem biegła tam i z powrotem z półmiskami i talerzami, starając się omijać śliskie fragmenty posadzki.

— Z moim szczęściem pewnie wyląduję na tyłku i zwichnę sobie drugi nadgarstek — stwierdziła.

— Mam nadzieję, że drugiego nadgarstka nie masz w tyłku — rzuciła Ash i obie zachichotały.

— Za chwilę znów tam zajrzę — powiedziała Jodie. — Powiem ci, co słychać na froncie win.

— Tak czy inaczej, powinnam była pozwolić, żebyś to ty nalewała — stwierdziła Ash. — Różnica byłaby niewielka, zważywszy na to, że o mały włos nie utopiłam w winie Dana Morlanda.

— Na którego z nich miałabyś chętkę? — spytała nagle Jodie.

— Co takiego?

— Mówię o tych tam, na sali. No, na którego, gdybyś miała taką szansę?

Ash zmarszczyła nos.

— Jodie, przecież to moi klienci. Nie traktuję ich jak potencjalnych... potencjalnych...?

Jodie zachichotała.

— Ja osobiście wybrałabym chyba Rossa. Wiem, że jest łysy, ale ma taką seksowną łysinę, nie uważasz?

— Pomyśl o Chrisie! — obruszyła się Ash. — Jak myślisz, jak by się poczuł, gdyby wiedział, że masz ochotę na dyrektora naczelnego u Chathama?

— Przecież to tylko na niby — broniła się Jodie. — Nieszkodliwe fantazje.

Ash nic nie odpowiedziała.

— No więc w sytuacji na niby — ciągnęła dalej Jodie — którego byś wybrała, Ash?

— Żadnego. — Ash wzruszyła ramionami. — Już ci mówiłam. Nawet ich nie zauważam.

— Och, daj spokój, Ash!

— Naprawdę.

— A co powiesz na Gordona O'Sullivan? Nie uważasz, że jest całkiem miłutki?

— Który to Gordon? — zapytała Ash.

— Ten blondynek — odparła Jodie. — Siedzi obok Daniela Morlanda. Daniel to ten, którego próbowałaś utopić w winie.

Ash znów się zaczerwieniła, poirytowana.

— Wiem, który to Dan. Rozmawiałam z nim raz czy dwa o moich akcjach.

— Gotów pomyśleć, że jesteś wkurzona z powodu małych zysków. — Jodie roześmiała się. — Pomyśli, że oblewając go Meursaultem, chciałaś dać mu coś do zrozumienia.

— Dać mu coś do zrozumienia? — powtórzyła Ash. — Musiałabym go oblać domowym sikaczem, wtedy dałoby mu to do myślenia.

— On jest seksy, w jakiś taki promienny sposób.

— Dan? — Ash wyjęła z lodówki półmiski z owocami, bo nie chciała, by były zbyt zimne, kiedy będzie je podawać na stół.

— Tak uważam — stwierdziła Jodie. — Miła twarz, niezła figura, dobrze się ubiera. I, w przeciwieństwie do Rossa, ma mnóstwo włosów!

— Przestań się podniecać klientami i sprawdź, czy wszystko tam jest OK. — Ash pchnęła lekko Jodie w plecy i odesłała ją z powrotem do jadalni.

— Mogłabyś dolać wina — zasugerowała Jodie po powrocie. — A Adrian chce jeszcze dobrać kartofli. Ten facet to istny wieprz, daję słowo.

Ash wyjęła półmisek ziemniaków z piekarnika, gdzie trzymała go, żeby wszystko było ciepłe.

— Dasz sobie radę? — zapytała. — Jest ciężki.

— Postawię go po prostu na środku stołu — odparła Jodie. — Założę się, że wszyscy zaraz się rzucą.

Ash pokiwała głową, chociaż nie podobał jej się pomysł, że goście będą się sami obsługiwać. Nie mogła jednak robić wszystkiego, a Jodie nie była w stanie utrzymać półmiska i jednocześnie nakładać. Trzeba było jej powiedzieć, żeby dała sobie spokój, pomyślała Ash, poprawiając podkoszulek. Powinnam była wziąć zamiast niej Margaret. Nawet jeśli praca z nią nie jest ani w połowie taka przyjemna.

Goście przerwali się teraz na gospodarke USA. Drobny, chudy i wyjątkowo mało pociągający mężczyzna mówił o perspektywie fuzji dwóch wielkich koncernów samochodowych w Stanach.

Co za nuda, pomyślała Ash, napełniając im kieliszki. Zastanawiała się, czy po lunchu będą bardziej czy mniej skłonni do podjęcia ryzyka. Bo na tym przecież polega ich praca. Na kupowaniu akcji w nadziei, że pójdą w górę. I na sprzedawaniu ich z nadzieją, że pójdą w dół. Czy kilka kieliszków wina jest w stanie sprawić, by spojrzeli na to z innej perspektywy?

Kiedy podano desery, lunął deszcz. Ash stała w kuchni i patrzyła na wzbierającą rzekę. Wybuchy śmiechu, dobiegające z jadalni, wywołały na jej twarzy uśmiech. Najwyraźniej chęć podjęcia ryzyka zaczynała przeważać.

Odwróciła się od okna i usiadła. Kiedy lunch dobiegnie końca, będzie wolna. To Jodie miała wszystko posprzątać, wypolerować drewniany stół w jadalni i wstawić naczynia do zmywarki. Jednym z powodów, dla których Ash lubiła pracować z Jodie, była świadomość, że może jej zaufać. Wiedziała, że Jodie poczeka, aż wszyscy opuszczą jadalnię, i porządnie posprząta. Miała kiedyś niemiłe doświadczenie z kelnerką o imieniu Odhran, która po podaniu kawy poszła sobie do domu. Ash odebrała na drugi dzień telefon z pretensjami, że w jadalni zostawiono straszny bałagan. Było to w Banco Brava i później potrzebowała całych miesięcy, by odbudować w ich oczach swoją reputację.

Podnosząc dzbanek z kawą, Jodie skrzywiła się z bólu. Ash zauważyła to.

— Pomóc ci? — zapytała. Jodie potrząsnęła głową.

— Dam sobie radę.

— Na pewno? Nie chciałabym, żebyś go upuściła.

— Bądź spokojna — powiedziała Jodie. — Nie upuszczę. Mam talent. — Chociaż, pomyślała, będę miała szczęście, jeżeli nie wyląduję z drugim zwichniętym nadgarstkiem.

— Jest OK — powiedziała do Ash po powrocie. — Nie wydaje mi się, żeby chcieli długo siedzieć. Kiedy wychodziłam z kawą, Ross spoglądał na zegarek. A ty chcesz kawy?

Ash skinęła głową. Kiedy gotowała, nie odczuwała głodu, za to potem uwielbiała napić się kawy. Lubiła mocne mieszanki kenijskie, pozostawiające po sobie gorzki posmak, choć u Chathama podawała kawę dość łagodną. Mimo to z wdzięcznością przyjęła filiżankę od Jodie.

— Dzięki — powiedziała.

— Nie. — Jodie odstawiła szklany dzbanek na gorącą płytkę. — To ja ci dziękuję. Wiem, że nie byłam dziś zbyt zgrabna, a mimo to mnie tolerowałaś.

— To nawet dobrze, jeżeli od czasu do czasu sama spotkam się z klientami. — Ash uśmiechnęła się do niej.

— Byłoby lepiej, gdybyś wzięła Margaret albo Seamusa. Ash pokiwała głową.

— Tak. Ale jesteś ze mną od dawna, Jodie, i lubię z tobą pracować. Jeżeli dostanę jakieś większe zlecenie niż to dzisiejsze, będę musiała wziąć kogoś innego. Ale reszta w tym tygodniu jest w porządku. Największe zlecenie mamy dla banku, a to tylko sześć osób.

— Jesteś prawdziwym skautem — powiedziała Jodie.

— Wiem. — Ash wstała i przeciągnęła się. — Wszyscy tak mówią.

W jadalni zapanował ruch. Dziewczyny popatrzyły na siebie z zadowoleniem. Partnerzy rozchodzili się do pracy. Ash chwyciła ścierkę i znów zaczęła ścierać z podłogi tłustą plamę.

— Pójdę posprzątać — odezwała się Jodie. — Żeby mieć to już z głowy. Och, przepraszam! — Otworzyła drzwi jednocześnie z Danem Morlandem i omal się z nim nie zderzyła.

— Przepraszam, Jodie — powiedział Dan. — Mam nadzieję, że nie uszkodziłem ci drugiego nadgarstka.

— Nic mi nie jest. — Jodie zmarszczyła nos. — Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś. Właśnie zamierzałam posprzątać.

— Chciałem zamienić z tobą słówko, Ash — powiedział Dan. — Oczywiście, o ile nie jesteś zbyt zajęta odgrywaniem roli sprzątaczk.

Ash podniosła się zaczerwieniona. Obciągnęła koszulkę i mocniej zaplotła warkocz. Nie znosiła, kiedy goście wchodzili do kuchni po posiłku. Wolała, by myśleli, że potrawy pojawiają

się na talerzach jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Dan Morland raczej tak nie pomyśli, po tym jak ujrzał ją na czworakach.

— Cześć, Dan — powiedziała, gdy Jodie zniknęła w jadalni. — Czy coś się stało?

— Bynajmniej. — Dan uśmiechnął się, a ona odetchnęła z ulgą. Przeżyła moment potwornego strachu, że przyszedł jej powiedzieć, iż zniszczyła mu drogi markowy garnitur — czego oczywiście nie zrobiła, ale jednak... Albo, co gorsza, że na giełdach nastąpił krach i straciła wszystkie pieniądze. Na myśl o tym, że mogłaby stracić pieniądze, poczuła przykry skurcz żołądka.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Dan. Jego niebieskie oczy spoglądały na nią z troską.

Ash skinęła głową.

— W porządku — powiedziała. — Przez chwilę sądziłam, że chcesz mi zakomunikować, że was wszystkich otrułam.

Dan roześmiał się.

— Nie stałbym tu, gdybyś mnie otruła. A lunch był pyszny, jak zwykle. O tym właśnie chciałem z tobą pomówić.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, a on ciągnął dalej:

— Zastanawiałem się... wiem, że obsługujesz czasami prywatne przyjęcia. Chciałem zapytać, czy mogłabyś przygotować dla mnie kolację.

— Jaki dzień masz na myśli? — Ash sięgnęła do torebki i wyjęła notes.

— Albo piątek, albo sobotę za dwa tygodnie — odparł. Popatrzyła na listę zleceń.

— W piątek nie mogę — powiedziała. — Mam tego dnia duży lunch z prezentacją i nie skończę wystarczająco wcześnie. To znaczy może i tak, ale, szczerze mówiąc, Dan, będę zbyt wykończona i nie byłoby to fair ani wobec mnie, ani wobec ciebie. Ale w sobotę jestem wolna.

— Może być w sobotę — powiedział.

— Ile osób? — zapytała.

— Tylko dwie.

Ash odniosła wrażenie, że się zaczerwienił. Trudno powiedzieć, bo twarz miał opaloną i wyglądał zdrowo, ale była prawie pewna, że się zarumienił.

— Gdzie? — zapytała.

— U mnie w domu.

— Jakaś specjalna okazja?

— Coś w tym rodzaju. — Teraz zdecydowanie się zaczerwienił.

Ash uśmiechnęła się do siebie. To miłe, że mężczyzna potrafi się czerwienić. Nigdy nie spotkała faceta, który by się rumienił jak panienka.

— Urodziny? Rocznica? — zapytała z uśmiechem. — Zaręczyny?

— No więc, ja... — urwał zmieszany. — Nie jestem jeszcze pewny.

— Dan, między tymi trzema rzeczami jest pewna różnica! Wiem, że chcesz mieć możliwość wyboru, ale czy nie uważasz, że przesadzasz? — zapytała rozbawionym tonem.

— Może. — Spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem.

— Mnie wszystko jedno, co to za okazja — powiedziała. — Nie muszę wiedzieć.

— Rzecz w tym, że...

— To naprawdę nie ma znaczenia. — Ash zamknęła notes. — Przyrządę ci coś szczególnego, co tak czy inaczej podniesie twoje akcje. W przyszłym tygodniu zadzwonię, to zaplanujemy menu. Specjalne menu, ze specjalną ceną za osobę.

— Dobrze — powiedział Dan. — Dzięki, Ash.

— Nie ma za co — odparła. — To moja praca.

Rozdział 4

Kebab słodko-kwaśny

Wybrane rodzaje mięs, ananas, sok cytrynowy, sos sojowy, czosnek, oliwki.

Marynować przez noc. Piec na rozgrzanym grillu.

Ash miała wielkie wyrzuty sumienia, że nie spotkała się z Michelle od chrzcina Shaya juniora. Kuzynka dzwoniła do niej raz czy dwa, ale ona zawsze była zajęta — albo właśnie była w trakcie gotowania czegoś, albo szykowała się do wyjazdu z potrawami na imprezę. Za każdym razem zbywała Michelle dość obcesowo, mówiła jej, że się spieszy i że zadzwoni. Ale nie dzwoniła.

Molly lubiła myśleć, że Ash i Michelle są ze sobą bardziej zżyte niż naprawdę, tylko dlatego, że były niemal w tym samym wieku. Tłumaczyła sobie też, że ich ciągle kłótnie spowodowane są tym, że znają się tak dobrze. Jednak Ash już od chwili, kiedy przyjechała do domu w Droghedzie, wiedziała, że ona i Michelle nigdy nie staną się sobie bliskie. Michelle, jedyna córka, była wściekła, gdy w jej rodzinie pojawiła się kuzynka, i nigdy jej nie zaakceptowała. Poza tym Ash była drobniutką blondyneczką, a nie brunetką przy kości, więc w żaden

sposób nie można było wziąć ich za siostry. Michelle była wściekła, że jej rodzice darzyli Ash takimi względami, chociaż Molly zawsze starała się być sprawiedliwa. Nie miało to jednak znaczenia. Ash po prostu miała w sobie czar, którego natura poskapiła Michelle, bo Ash była córką Julii.

Julia nigdy nie żyła zbyt blisko ze swoją rodziną. Była tą krnąbrną, zbuntowaną córką, która uznała Irlandię, a już z całą pewnością Droghedę, za miejsca, w których nie ma czego szukać. Julia była typową dziewczyną z lat sześćdziesiątych, z lokami zaczesanymi do tyłu i przytrzymywanymi całą gamą różnokolorowych bandanek, z ramionami i szyją ozdobioną sznurami paciorków oraz garderobą składającą się z drelichowych dżinsów i perkalowych spódnic.

Julia była tą, która żyła w zgodzie z głoszonymi przez siebie zasadami i spędziła kilka lat w komunie w San Francisco. W tym czasie zaszła w ciążę, ale nim dziecko się urodziło, komuna się rozpadła i Julia została samotną matką, która nawet nie wiedziała, kto jest ojcem jej córki. Julia była bardzo zawiedziona, kiedy komuna się rozleciała. Lubiła przebywać wśród ludzi i cieszyło ją poczucie wspólnoty. Później dryfowała od miasta do miasta i od pracy do pracy. Na początku nie przeszkadzało jej to, że ma ze sobą dziecko. Ale kiedy Ash trochę podrosła, Julia doszła do wniosku, że jej wcześniejsze przekonanie, iż dziewczynka nie potrzebuje ojca, jest kompletną pomyłką, i postawiła sobie za cel znalezienie mężczyzny, który chciałby mieć od ręki rodzinę w komplecie. Julia była kobietą, która żarliwie we wszystko wierzyła. Tak jak ongiś wierzyła, że komuna jest jedynym sposobem na życie, tak później uwierzyła, że tylko znajdując mężczyznę i poślubiając go, zabezpieczy siebie i dziecko.

Niestety, żaden z poznanych mężczyzn nie chciał gotowej rodziny. Wszyscy chcieli tylko Julii, która wciąż była atrakcyjna, wesoła i pełna życia — ale nie Julii z Ash. Ash patrzyła, jak coraz to nowi przychodzą i odchodzą — czasami z ulgą, czasami z uczuciem zawodu — jednak Julii nie udało się znaleźć właściwego mężczyzny. I za każdym razem, kiedy któryś z nich odchodził, Ash widziała, jak Julia płacze i się zamartwia. Wtedy właśnie przysięgała sobie, że nigdy nie pozwoli na to, by ktoś doprowadził ją do takiego stanu. Nigdy!

Wysiadła z kolejki w Killester i wąskimi drogami Demesne i Middle Third doszła do domu Michelle. Z początku była zdziwiona, że Michelle i Emmet nie kupili domu w Droghedzie, bliżej Molly i Shaya, musiała jednak przyznać, że dziwaczny parterowy budynek, w którym zamieszkali Somersowie, świetnie się nadawał na dom dla dużej rodziny. Cofnięty trochę od drogi, stał na narożnej działce otoczonej wysokim żywopłotem, zapewniającym dodatkową

osłonę. Było w nim mnóstwo miejsca dla rodziny pięcioosobowej — albo nawet większej, jak często żartowała Michelle, a Ash uśmiechała się wtedy obojętnie.

Przeszła krótką, zwirowaną ścieżką i zadzwoniła do drzwi.

— Cześć, Ash! — Otworzył jej Emmet, mąż Michelle. Michelle chodziła z nim, odkąd skończyła piętnaście lat. Ash pamiętała, jak kręcił się wokół domu, kiedy byli jeszcze dziećmi, bo chciał zobaczyć Michelle. Prawdę mówiąc, przez całe wieki nie odważył się na rozmowę, tylko patrzył na nią z daleka, ale w końcu poszli razem na jakieś przyjęcie (urodziny Sarah Murphy, przypomniała sobie nagle Ash; ona sama także poszła i bawiła się okropnie) i od tamtej pory stali się nierozłączni.

Z Emmetem nie rozmawiała od chrzcin. Emmet był mężczyzną przystojnym i dobrze zbudowanym, o szerokich barach, jasnych włosach i żywych niebieskich oczach. Kiedy wprowadzał ją do domu, był taki odprężony i swobodny, w wystrzępionych u dołu džinsach i opadającej na spodnie koszuli w czerwono-czarną kratkę.

— Co tam u was? W porządku? — Jakie to banalne, pomyślała. Mogła chyba wymyślić coś bardziej błyskotliwego i oryginalnego. Ale Emmet nie należał do ludzi, którzy pobudzali jej intelekt. Był jak domowy labrador — ciepły, miły i niezawodny.

— Nie tak źle — odparł Emmet. — Oczywiście interes kwitnie.

— To dobre czasy dla budowlańców — przyznała, idąc za nim do salonu.

Michelle oglądała telewizję, ale na widok Ash nacisnęła klawisz wyłączający dźwięk.

— Cześć, dawno nie widziana!

— Och, Michelle, przepraszam że wcześniej nie wpadłam. Jest mi naprawdę przykro. — Wręczyła kuzynce butelkę wina. — Jak leci?

— W porządku. — Michelle wzięła butelkę. — Oczywiście, co ty możesz wiedzieć na ten temat.

— Już mówiłam, że jest mi przykro — powiedziała Ash. — Wiem, że powinnam częściej przyjeżdżać. — Jestem jak stara płyta, pomyślała. Za każdym razem, kiedy widzę Michelle, mówię to samo. A tak naprawdę nie jest mi wcale przykro, bo za każdym razem, kiedy ich widzę, czuję się... nie była pewna, jak się czuje. Wiedziała, że powinna być wdzięczna, bo jej rodzice przyjęli ją pod swój dach i do swojej rodziny, i rzeczywiście sprawili, że czuła się mile widziana. Ale to nie było to, czego naprawdę chciała. A Michelle, odkąd wyszła za mąż, wciąż dawała jej do zrozumienia, że jest do niczego, bo nie ma jeszcze męża. Poza tym Michelle, Molly i reszta Rourke'ów wiedzieli o niej za dużo, żeby mogła czuć się przy nich swo-

bodnie. Wolą się spotykać z ludźmi, którzy jej nie znali. W ten sposób mogła być kimś zupełnie innym; kimś, z kim można się dobrze zabawić. Łatwo bawić się z kimś, kogo się widzi tylko raz.

— Dzieciaki lubią, kiedy przychodzisz — odezwała się Michelle.

— Molly wpadła do mnie w zeszłym tygodniu. — Ash usiadła obok kuzynki.

— Wiem. Mówiła mi — powiedziała Michelle. — Dlatego czułam, że wkrótce się tu wybierzesz. Bo masz wyrzuty sumienia.

— Michelle! — W głosie Emmeta zabrzmiało ostrzeżenie.

— Trzeba cię tu ściągać siłą — mówiła dalej Michelle. — Myślałam, że ktoś, kto mieszka sam, tak jak ty, lubi od czasu do czasu pobyc w towarzystwie.

— Lubię, oczywiście — powiedziała Ash. — Ale sporo pracuję w domu i... — Wzruszyła bezradnie ramionami. — Czas mi umyka. Nie chciałam tego, ale tak jest.

— Mama mówiła, że zerwałeś z Kieranem.

— To nic ciekawego.

— Daj spokój, Ash! Mówiła też, że od tamtej pory miałeś już innego chłopaka. Chyba trochę gonisz w piętke, co? — Michelle uśmiechnęła się, by zaznaczyć, że to żart, ale Ash nie odpowiedziała uśmiechem.

— Zerwałam z Kieranem, bo nam się nie układało — powiedziała. — A Brendan był po prostu zabawny. — Zamknęła na moment oczy i przypomniała sobie jego twarz w kawiarni. Miało być wesoło. To nie jej wina, że nagle zrobił się tak cholernie poważny.

— Więc kto jest twoją aktualną ofiarą? — zapytała Michelle. Ash westchnęła.

— Dlaczego ty i Molly zawsze zadajecie takie same pytania? Poza tym to nie są ofiary. W tej chwili nie ma nikogo na tapecie. Nie potrzebuję nikogo. Jest mi dobrze. Mam mnóstwo pracy.

— Jasne. — Michelle sięgnęła nad oparciem sofy po albumik ze zdjęciami. — Pomyślałam, że może będziesz chciała je sobie obejrzeć — powiedziała. — Lucy miała gości na podwieczorku w zeszłym tygodniu.

Ash wzięła zdjęcia i szybko je przejrzała. Pomyślała, że siostrzenica to cała Michelle. Czarne włosy, oliwkowa cera, harde spojrzenie. U niej za to, geny ojca musiały być szczególnie silne, skoro w takiej śniadej rodzinie uczyniły z niej blondynkę.

— Wygląda świetnie — stwierdziła.

— Udaje cię — odparła Michelle. Ash ze zdumieniem spojrzała na kuzynkę.

— Uparła się, by pokroić kanapki w różne kształty, tak jak to zrobiłaś na jej urodzinach, pamiętasz? Chciała też, żebym jej zrobiła to ryżowe ciasto z czekoladą, które dla nich przygotowałaś — to w pojemniku na kanapki, z lodami i pokruszonymi biszkoptami.

Ash uśmiechnęła się.

— Mnie też dosyć smakowało.

— Ona była zachwycona — powiedziała Michelle. — I zażądała go. Innym dzieciom też smakowało, więc dokładnie im opowiedziała, jak je zrobiłaś.

— Dziwię się, że zapamiętała.

— Dzieciaki nie zapominają — powiedziała Michelle. — Wyskakują z najdziwniejszymi rzeczami wiele miesięcy po tym, jak dorośli zdążyli o wszystkim zapomnieć.

— A jak reszta? — Ash zamknęła albumik.

— Och, świetnie. Wszyscy leżą już w łóżkach. Chcesz wejść i rzucić okiem?

Ash skinęła głową. Wstała z sofy i poszła do dziecinnego pokoju. Obecnie Lucy dzieliła go z Brianem, a Shay spał w pokoju Michelle i Emmeta. Dzieci już zasnęły — Lucy zwinięta w kłębek pod swoją kołdrą, a Brian ze swoją skopaną do kolan. Ash delikatnie naciągnęła mu kołdrę po same ramiona, a on westchnął przez sen i obrócił się na drugi bok.

Po śmierci Julii Ash przez całe lata bała się zasnąć. Leżała w łóżku i walczyła z tym, pełna lęku, że zapadnie w sen, by już nigdy się nie obudzić. Ani przez chwilę nie wierzyła w to, co wmawiała jej Molly, że Julia jest w niebie i nad nią czuwa. Wpadała w panikę i trzęsła się pod prześcieradłem, nie mogąc się doczekać ranka. Kiedy była pewna, że Michelle już śpi, zapalała lampkę przy łóżku i czytała książki, póki oczy same jej się nie zamknęły. Molly co rano przychodziła do ich pokoju, by je zbudzić, co rano znajdowała Ash z twarzą na otwartej stronie czegoś, co właśnie czytała, i co rano mówiła jej, że to niedobrze czytać w środku nocy i że będzie musiała z tym skończyć. Zabrała nawet lampkę nocną, ale Ash za swoje kieszonkowe kupiła sobie latarkę i czytała przy jej świetle. Kosztowało ją to fortunę wydaną na baterie.

Wyszła z dziecinnego pokoju i weszła na palcach do sypialni. Shay spał na wznak, absolutnie szczęśliwy. Skrzyżowała ramiona na piersi. Nie mogła sobie wyobrazić siebie z własnym dzieckiem, choć czasami miała ochotę przytulić dzieci Michelle — i nigdy ich nie wypuścić z objęć.

— Śpią — powiedziała do Michelle, kiedy znów wróciła do salonu.

— Zmęczyły się — przytaknęła Michelle. — Dzięki Bogu. bo to koszmar, kiedy nie są zmęczone, nie można sobie wtedy z nimi poradzić.

— My też byliśmy takie. Michelle spojrzała na nią wymownie.

— Ale to ja zawsze miałam kłopoty. Ciebie Molly nigdy nie karciała, Ash.

— Nie — przyznała Ash. — Myślę, że to nie było fair.

— Oczywiście, że nie było fair — powiedziała Michelle. — Ale ona nigdy nie była wobec nas fair, prawda?

— Próbowала mi coś zrekompensować. — Znowu to samo, Tylko nie to, pomyślała Ash. Jak to się dzieje, że ciągle rozdrapujemy przeszłość?

— I przez ciebie zmieniła swój stosunek do mnie. — W głosie Michelle zadźwięczała stalowa nuta.

— Michelle, nie chcę się o to kłócić — powiedziała Ash. — To było tyle lat temu. To już nie ma znaczenia.

— Dla ciebie, oczywiście, że nie — stwierdziła Michelle. — Czemu miałyby mieć dla ciebie jakieś znaczenie? Przecież to ty byłaś jej ulubienicą.

— Och, dorosnij wreszcie! — Ash była wyraźnie znudzona.

Emmet, który czytał gazetę, popatrzył na obie kobiety. Ash wyglądała zbyt spokojnie, za to Michelle miała na policzkach dwie plamy czerwieni.

— Ja już dorosłam — uniosła się Michelle. — To ty masz z tym kłopoty.

— I co to konkretnie oznacza?

— Michelle, Aisling, nie ma powodu się kłócić — odezwał się Emmet.

— Ja się nie kłócę — zaprotestowała Michelle. — Ja tylko mówię, że Ash zatrzymała się w rozwoju.

— Wypraszam sobie! — Ash wstała. — To, że nie otoczyłam się mężem i kupą dzieciaków, wcale jeszcze nie znaczy, że coś jest ze mną nie tak.

Emmet patrzył na nie bezradnie.

— Nie widzę sensu...

— Och, zamknij się, Emmet! — rzuciła z gniewem Michelle. — To sprawa między Ash a mną.

— Co jest między nami? — zapytała Ash. — Na miłość boską, o co ci chodzi, Michelle?! Czemu zawsze mnie krytykujesz? Czemu ciągle się czepiasz? Wiem, że mnie nie znosiłaś, nie przecież nie musisz już tego robić.

— To nieprawda, że cię nie znosiłam — wykrzyknęła Michelle. — Jak możesz tak mówić? Wpuściłam cię do mojego domu i do mojego pokoju, pozwoliłam ci wszędzie ze mną

chodzić i byłam dla ciebie cholernie miła, Aisling O'Halloran, ale ty nigdy nie dałaś niczego w zamian. Nie mam racji? Zawsze byłaś taka wyniosła i zimna, z tym twoim jasnym końskim ogonem i tą swoją irytującą schludnością.

— Michelle! — Ash popatrzyła na nią z przerażeniem.

— Ciągle sprzątałaś w sypialni. Ustawiałaś książki na półkach. Godzinami przesiadywałaś w wannie. Pomagałaś w domu. Uczyłaś się gotować!

— Ja...

— I w ten sposób wkupiłaś się do naszej rodziny i doprowadziłaś do tego, że było nam ciebie żal, bo nie wiedziałaś, kto jest twoim ojcem, a twoja matka była na tyle głupia, że się zabiła.

Ash poczuła, że robi jej się niedobrze. Żołądek już podjeżdżał jej do gardła; czuła gulę w przełyku i metaliczny smak w ustach.

— Michelle, wystarczy! — Głos Emmeta zabrzmiał stanowczo.

Michelle patrzyła na Ash z zaciśniętymi ustami i ogniem w oczach.

— Po co mnie tu zapraszasz? — Ash głośno przełknęła ślinę. — Po co mnie ciągle zapraszasz do siebie, a kiedy przyjdę, zawsze wygadujesz takie okropieństwa? — Nagle uświadomiła sobie, że to prawda. To dlatego niezbyt często odwiedzała Michelle. Za każdym razem, kiedy tu była, Michelle mówiła różne rzeczy — wprawdzie nie takie straszne jak dziś, ale mimo uśmiechów zawsze potrafiła powiedzieć coś takiego, by kuzynka poczuła, że nie jest mile widziana.

— Ona musi wreszcie przejrzeć na oczy — powiedziała Michelle. — Wszyscy cackają się z nią jak ze śmierdzącym jajkiem. Za każdym razem, kiedy rozmawiam o niej z mamą, mama mówi coś w rodzaju: „Biedna Aisling, miała takie ciężkie życie”. A przecież Bóg mi świadkiem, że miała tylko jedenaście lat, kiedy Julia umarła. Pora wreszcie z tym skończyć.

— Ja już z tym skończyłam — rzuciła sucho Ash. — Żyłam z tym przez ostatnie osiemnaście lat, ale już skończyłam. A to, że twoja matka była dla mnie miła, kiedy byłam dzieckiem, wcale jeszcze nie znaczy, że zepchnęłam cię na margines albo że kochała mnie bardziej niż ciebie. Ale jeżeli uważasz, że tak właśnie było, to znaczy, że to ty potrzebujesz pomocy, Michelle, bo cholernie brak ci pewności siebie. Może właśnie dlatego wyszłaś tak szybko za mąż, za kogoś, kogo znałaś całe życie, zamiast się trochę rozejrzeć, i dlatego czujesz potrzebę, by co trzy lata zaludnić naszą planetę.

— Ty cholerna krowo!

— Ash, myślę, że...

— Emmet, kogo to obchodzi, co ty myślisz? Co myśli każde z was. — Ash chwyciła torbę i żakiet. — Mam was obojga po dziurki w nosie. Mam dość waszych ciągłych napaści. Znudziły mi się te ciągle starania, żeby być miłą!

Wymaszerowała z salonu, przecięła hol i otworzyła frontowe drzwi. Miała cichą nadzieję, że Emmet albo Michelle pobiegną za nią, ale tego nie zrobili. Przemknęło jej przez myśl, żeby trzasnąć drzwiami, przypomniała sobie jednak o śpiących dzieciach i ostrożnie je zamknęła. Choć właściwie trzeba było tak zrobić, myślała w drodze powrotnej na stację. Trzeba było trzasnąć tymi zasranymi drzwiami i obudzić dzieciaki, a ją zostawić z ryczącą, rozwrzeszczaną trójką. I sama byłaby sobie winna!

Stała na peronie i drżała, smagana podmuchami wichru, który dął wzdłuż torów. Zawsze wiedziała, że Michelle jej nienawidzi i uważa ją za intruza. Czasami wyobrażała sobie rozmowę, jaką Molly musiała z nią odbyć, zanim ona z nimi zamieszkała. „Musisz być miła dla Aisling”, mówiła ciotka do Michelle. „Ona ma za sobą okropne przejścia. Poza tym nie ma tatusia. A teraz nie ma nawet mamy. Biedna Aisling nie ma już nikogo, kto by ją kochał, dlatego my musimy ją pokochać”.

Oczyma wyobraźni widziała też, jak Michelle kiwa głową i myśli sobie, że za nic na świecie nie pokocha swojej kuzynki, której nigdy nie poznała, i za nic na świecie nie pozwoli jej bawić się swoimi zabawkami. I że Molly może sobie gadać, co chce, a ona i tak będzie robić, co jej się podoba.

Zielona kolejka podmiejska wślizgnęła się na stację i Ash nacisnęła guzik w drzwiach. Potem zajęła miejsce przy oknie i oparła głowę o szybę. Zawsze myślała, że to już sprawy minione i dawno zapomniane. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak Michelle mówiła jej, że nie może brać jej lalki Barbie albo wrotek. Ale pamiętała też, jak Michelle pytała ją, jak to było, kiedy mieszkała w Ameryce i w Anglii, a pytała ją tak, jakby ją to rzeczywiście interesowało.

Poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszalałe. Nie teraz, pomyślała. Tylko nie teraz! Nie chcę znów tego przeżywać, naprawdę nie chcę. Ale znajome mrowienie już ogarniało całe jej ciało i czuła, że oddycha o wiele za szybko. Wyrzała przez okno i spróbowała przypomnieć sobie stacje pomiędzy Howth i Bray. To było jak liczenie, jak przepisy, i pomagało jej pokonać strach, że zaraz umrze.

Howth Junction, pomyślała. Bayside. Kilbarrack. Harmonstown. Raheny. Killester. Clontarf.

Odetchnęła, kiedy pociąg wjechał do Clontarf i jakaś kobieta zajęła miejsce naprzeciw niej. Jeżeli teraz zemdleję, pomyślała, przynajmniej ktoś to zauważy. Przeszukają mój portfel, znajdą dokumenty i będą wiedzieli, kim jestem. Więc wszystko będzie OK. Poczula, że oddycha coraz wolniej i stopniowo ustępuje uczucie paniki.

Wtedy znów ogarnęła ją złość na Michelle. Szczerze mówiąc, jej kuzynka to wstrętne, uprzykrzone babsko. Jeżeli dla Michelle nadal problemem są wydarzenia sprzed osiemnastu lat, to znaczy, że to nie ona potrzebuje pomocy, tylko Michelle.

Ona rozprawiła się ze swoimi demonami. Już dawno zdążyła się nimi uporać.

Rozdział 5

Smażony tuńczyk w pomidorach

Płaty tuńczyka, sok z cytryny, oliwa z oliwek, czosnek, siekane pomidory, sól i pieprz, świeża bazylija.

Marynować tuńczyka w soku z cytryny, oliwie z oliwek, soli i pieprzu. Piec na dużym ogniu. Zbrązować czosnek na oliwie z oliwek, dodać pomidory i bazylię, polać tym sosem tuńczyka.

Zgodnie z obietnicą, Ash zadzwoniła w następnym tygodniu do Dana Morlanda, by omówić sprawę kolacji dla dwojga. Kazano jej nie odkładać słuchawki, gdyż Dan kończył właśnie inną rozmowę. Czekać na niego, przeglądała swój portfel akcji i po raz tysięczny myślała, że koniec końców liczą się tylko aktywa. Julia miała rację, że szukała zabezpieczenia, ale szukała nie tego rodzaju zabezpieczenia, co trzeba. Ludzie mogą cię skrzywdzić, pomyślała Ash, ale pieniądze w banku — nigdy.

— Cześć, Ash. Przepraszam, że kazałem ci czekać — rozległ się radosny głos Dana.

— Czy to odpowiednia pora? — zapytała. — Mogę zadzwonić kiedy indziej, to nie problem.

— Nie, w porządku. Poczekaj jeszcze sekundkę, dobrze?

Zaczęła się zastanawiać, jak on może żyć w takim napięciu, skoro dzień w dzień musi oglądać, jak ceny idą to górę, to w dół. Oczywiście dla niego nie ma to znaczenia. Dan zarabiał

pieniądze, kupując i sprzedając akcje dla swoich klientów, nie dla siebie. Choć pewnie miał też swój portfel akcji. Byłoby to kompletnie pozbawione sensu, gdyby pracując w firmie maklerskiej, nie miał własnego portfela.

— To znowu ja. — Jego głos nadal brzmiał radośnie. — Musiałem przekazać komuś wiadomość, ale teraz jestem już całkowicie do twojej dyspozycji.

— To raczej ja jestem całkowicie do twojej dyspozycji — powiedziała Ash. — Bez względu na to, czego chcesz, jestem kobietą, jakiej ci potrzeba.

— Mój Boże, to brzmi jak propozycja nie do odrzucenia.

— To nie ten rodzaj kobiety — powiedziała.

— No cóż, nie można chyba mieć wszystkiego. — Dan cicho się zaśmiał. — Nie kupowałaś nic u mnie ostatnio, prawda?

— Nie. Odnawiałam mieszkanie i potrzebna mi była kasa — powiedziała Ash. — Nie stać mnie na to, żeby wyrzucać pieniądze na akcje, skoro muszę spłacać pożyczkę, którą wzięłam na farby i tapety.

— I to pewnie znacznie wyżej oprocentowaną — stwierdził Dan.

— Owszem. Za tę cenę lepiej było kupić akcje jakiejś fabryki farb!

— Nie przejmuj się — powiedział. — Spłacisz wszystko, jak przygotujesz dla mnie kolację.

— Na dwie osoby? — Ash roześmiała się. — Musiałabym zedrzeć z ciebie skórę.

— Ale nie powiesz o tym nikomu, dobrze? — zaniepokoił się Dan. — Ja nie...

— Oczywiście, że nikomu nie powiem. To prywatna umowa między tobą a mną. — Ash była urażona, że mógł w ogóle o coś takiego pytać.

— Wiem, wiem. — Siedząc przy biurku i wpatrując się w ciągi cyfr na monitorze komputera, Dan Morland pomyślał, że znacznie łatwiej poradzić sobie z liczbami niż z kobietami. Lubił kobiety i często się z nimi spotykał, ale nigdy jeszcze nie spotkał takiej, z którą chciałby zamieszkać. Prawdę mówiąc, na myśl o tym, że miałby zamieszkać z którąkolwiek ze swoich poprzednich przyjaciółek, przechodziły go ciarki. Ale Cordelia Carroll była inna.

Cordelia była analityczką w jednym z wielkich amerykańskich funduszy inwestycyjnych, które ostatnio otworzyły swoje przedstawicielstwa w Dublinie. Wysoka, o oliwkowej cerze, miała rudobrązowe włosy, urzekające zielone oczy i żywy umysł. Poznał ją na seminarium inwestycyjnym w ekskluzywnym St Helen's Hotel, gdzie wygłosiła wykład na temat najnowszej technologii na giełdach. Była urodzonym mówcą — potrafiła utrzymać zainteresowanie słu-

chaczy, dozując informacje w życzliwy, praktyczny sposób, w przeciwieństwie do poprzedniego mówcy. Dan był pod wrażeniem jej wiedzy, a także pod urokiem jej uśmiechu. Później zagadnął ją i, ku swemu zdumieniu, zaprosił na kolację. Przyjęła jego zaproszenie, i to właśnie podczas tej kolacji odkrył, że mimo lekkiego amerykańskiego akcentu tak naprawdę pochodziła z Wexword.

— Ale od dyplomu mieszkałam w Stanach — powiedziała mu. — A ja zbyt łatwo łapię każdy akcent. Trzeba mnie słyszeć, jak odwiedzam kumpli w Kerry.

— Myślisz o tym, żeby się przenieść do Kerry? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— Nie. Ale wróciłam znów do Dublina, więc niedługo zaczniesz ci się wydawać, że urodziłam się i wychowałam w Liberties.

— Czy skoro wróciłaś, jest jakaś szansa, żebyśmy znów mogli zjeść razem kolację?

Cordelia obdarzyła go szerokim, ujmującym uśmiechem.

— Pewnie, że tak!

Tak wyglądał początek związku, który Dan uważał za niemal idealny.

A stałby się idealny, gdyby Cordelia zgodziła się wyjść za niego za mąż. Dan był zdecydowany poprosić ją o to. Już wcześniej chciał to zrobić, ale czas i miejsce nigdy nie wydawały mu się stosowne.

— Dan? — Głos Ash przywołał go do rzeczywistości.

— Przepraszam — powtórzył po raz trzeci. — Jestem trochę rozkojarzony.

— Posłuchaj, zadzwoniłam do pracy, bo to jedyny numer, jaki mam — powiedziała. — Jeżeli wolisz, zadzwonię do ciebie do domu. Tak czy inaczej, będzie mi potrzebny twój numer domowy.

— Nie, Ash. Załatwmy wszystko teraz — stwierdził zdecydowanym tonem. — Masz jakąś koncepcję?

— To zależy od ciebie — odparła. — Masz ochotę na coś konkretnego? Wiesz, że możesz zamówić swoje wymarzone menu!

Dan roześmiał się.

— Nie mam swojego wymarzonego menu. A nawet gdybym miał, byłyby to pewnie ryba z frytkami, a to nie jest akurat najbardziej... najbardziej... — Urwał, z obawy, by koledzy nie usłyszeli ich rozmowy.

— A twoja dziewczyna? — zapytała Ash, jakby dokończył zdanie. — Jest coś, co ona lubi?

— Nie wiem. — Dan zmarszczył brwi. — Myślę, że lubi kuchnie etniczne — jedliśmy już chińszczyznę, dania tajskie i hinduskie. Kiedyś wspomniała też, że lubi ryby... — Głos mu zamarł. — To źle, prawda? Powinienem wiedzieć.

— Niekoniecznie — pocieszyła go. — Tym się nie przejmuj. Zrobię coś odpowiedniego.

— Wielkie dzięki. — W głosie Dana zabrzmiała ulga.

— OK — powiedziała. — Obiecuję ci, że będzie wam smakowało. Jak ona ma na imię?

— Imię?

— Tak — cierpliwie odparła Ash. — Byłoby mi miło, gdybym mogła zwracać się do niej po imieniu, kiedy będę zonglować talerzami.

— Cordelia. — Dan z lubością wymówił to imię. — Ma na imię Cordelia.

— W porządku — mruknęła. — O której chcecie jeść?

— Och, koło ósmej? — zasugerował.

— Dobrze — zgodziła się. — Będę koło szóstej. Zajmiesz się winem czy ja mam to zrobić?

— Ty powinnaś to zrobić — powiedział — bo to ty ustalasz menu.

— Nie masz żadnych czerwonych czy białych uprzedzeń? — zapytała.

— Nie. — Dan westchnął. — To znacznie bardziej skomplikowane niż wyjście do restauracji, prawda?

— Tylko dlatego, że muszę być przygotowana na każdą ewentualność — wyjaśniła Ash. — Gdybyś jadł w restauracji, wszystko byłoby pod ręką.

— Pewnie tak — przyznał Dan. — Czyli jesteście umówieni.

— Jest jakaś górna granica kosztów? — zapytała. — Na głowę. Żebym wiedziała.

— Nie. — Tego Dan był absolutnie pewny. — Jakiegokolwiek byłyby to koszty, ona jest tego warta.

Gdy nadszedł sobotni poranek, Dan był zaskoczony, że do tego stopnia dał się w to wciągnąć. Nigdy by nie przypuszczał, że będzie się tak denerwować, i nawet na myśl mu nie przyszło, że będzie miało to dla niego tak wielkie znaczenie. Rzecz w tym, że chciał, by wszystko odbyło się jak należy. Wiedział już, że Cordelia jest dla niego idealną partnerką. Czasami zastanawiał się — a miał już trzydzieści trzy lata — czy kiedykolwiek trafi na właściwą dziewczynę. Ale Cordelia była nią, dobrze o tym wiedział. Była dla niego dobra i sprawiała, że traktował siebie mniej serio, ją natomiast bardziej serio — dotąd wyznawał dość szowinistyczne poglądy na temat kariery zawodowej kobiet. Czuł, że Cordelia jest tą właśnie ko-

bieta, przy której z radością mógłby się ustatkować. W przeszłości zdarzało mu się popełniać pomyłki, ale teraz chciał scementować ten związek. I był absolutnie przekonany, że Cordelia jest dla niego dobrą partią. Czy on jest dla niej odpowiedni, tego już nie był taki pewien, ale mówiła mu, że go kocha, szeptała mu to bez przerwy, kiedy się kochali na olbrzymim, podwójnym łóżku u niego w domu. Oplatała go swoimi arcydługimi nogami i sprawiała, że czuł się jak w niebie. Kobiety nie mówią „kocham cię” ot tak. Już wcześniej słyszał o tym i głęboko w to wierzył. Jeśli kobiety coś mówią, to mówią poważnie, są też bardziej stworzone do życia w związku niż mężczyźni. Cordelia kochała go tak bardzo jak on ją i tego wieczora zamierzał poprosić ją o rękę.

Rozważał pomysł, by rozegrać to w sposób niebywale romantyczny — na przykład położyć jej pierścionek zaręczynowy na talerzu albo (jak to kiedyś widział w kinie) zamrozić go w kostce lodu i wrzucić jej do kieliszka, ale to znaczyło, że musiałby wybrać pierścionek bez niej, a tego robić nie chciał. Podejrzywał, że nie byłaby zachwycona, gdyby sam wybrał pierścionek, gdyż była jedną z tych osób, które dokładnie wiedzą, czego chcą, a on potrafił to zrozumieć. Nie ma nic gorszego, niż dokonać złego wyboru; wybrać coś, co jemu się spodoba, a jej nie. Dlatego powstrzymał się od tego wielkiego romantycznego gestu, z nadzieją że kolacja okaże się równie dobrym rozwiązaniem.

Zresztą, musiał przyznać, że jedyne, czego mógł być absolutnie pewny, to udanej kolacji. Ash O'Halloran była dobrą kucharką — nie, szefem kuchni, wiedział, że zwykła nazywać się szefem — a Ross wręcz rozplątywał się w pochwałach po tym, jak kilka miesięcy temu przygotowała kolację na rocznicę ślubu jego i Sarah. Zrobiła też dla Chathama letnie barbecue, które odbyło się na terenie klubu rugbyistów i udało się wprost fantastycznie. Jedyne, o jaką nie musiał się dziś wieczorem martwić, to kuchnia.

Taksówka spóźniła się dwadzieścia minut. Ash stała w bramie i z wściekłością myślała, że nikt w tym mieście nie jest w stanie zrobić niczego na czas. Na szczęście, dla pewności, zamówiła taksówkę pół godziny wcześniej niż trzeba. Przez te wszystkie lata korzystania z dublińskich taksówek tylko raz zdarzyło się, że taksówka przyjechała przed czasem.

Patrzyła, jak kierowca zatrzymuje się przed budynkiem i sprawdza, czy trafił pod właściwy adres. Kolejną irytującą rzeczą było to, pomyślała, otwierając bramę i machając do niego, że regularnie korzystała z taksówek tej korporacji. Ale oni zawsze zachowywali się tak, jakby nie znali ani jej, ani jej budynku.

Załadowała torby do samochodu, wsiadła i podała adres Dana w Rathgar.

— Randka, co? — spytał taksówkarz, ruszając.

— Nie — rzuciła sucho Ash, choć w głębi duszy czuła, że już pora znów sobie kogoś poszukać.

— W sobotni wieczór taka młoda osoba powinna wyjść z domu, żeby się zabawić.

Ash westchnęła.

— Pracuję — wyjaśniła.

— Czasy się zmieniły, prawda? — Kierowca wepchnął się tuż przed inny samochód. Ash wzdrygnęła się i mocno chwyciła za klamkę. — Dawniej nikt nie pracował w sobotę wieczorem — oprócz taksówkarzy.

— Taksówkarzy, kelnerów i kelnerek, barmanów, lekarzy i pielęgniarek...

— Ach, rozumiem — powiedział taksówkarz. — A pani do których się zalicza?

— Jestem szefem kuchni.

— Gotowanie to wspaniała rzecz. Osobiście jestem wielkim fanem kuchni hinduskiej. Zna pani jakieś dobre przepisy?

— Robię niezłe chicken korma*.

— Ja lubię vindaloo**. Tylko potem pali w żołądku — powiedział kierowca. — A gdzie pani pracuje? Ten adres, który mi pani podała, to nie jest restauracja, prawda?

— Nie — powiedziała Ash. — To prywatna impreza.

— Nie uważa pani, że przyjemnie byłoby mieć pieniądze? — zapytał taksówkarz. — Żeby człowiek mógł sobie pozwolić na wynajęcie kucharki na prywatne imprezy.

— Tak. — Ash odchyliła się na fotelu. — Jasne, że tak. Choć ruch był duży, do Dana przyjechali na czas. Ash zapłaciła kierowcy i wyciągnęła torby z samochodu.

— Ładne miejsce — stwierdził taksówkarz, kiedy dała mu napiwek.

— Całkiem niezłe — przytaknęła.

* Chicken korma — duszony kurczak z warzywami.

** Vindaloo — rodzaj bardzo pikantnego curry.

Dan Morland zajmował jeden z centralnych segmentów wiktoriańskiej szeregówki z czerwonej cegły, w wąskiej, bocznej uliczce. Ash była już wcześniej w domach tego typu. Z zewnątrz sprawiały złudne wrażenie małych, ale wiele z nich miało aneksy i przybudówki na tyłach, przez co były znacznie większe, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Pchnęła żelazną furtkę, przeszła wybrukowaną ścieżką i nacisnęła dzwonek.

Dan otworzył drzwi i uśmiechnął się na powitanie. Włosy wciąż miał wilgotne — widocznie niedawno brał prysznic. Ubrany był w czarne dżinsy i czarny podkoszulek. Ash nigdy go nie widziała w stroju codziennym i była zaskoczona, że wygląda o tyle młodziej i wydaje się znacznie bardziej zrelaksowany. Pracownicy firmy nosili dżinsy latem, kiedy urządzano grilla, ale nie mogła sobie przypomnieć, by widziała Dana na takiej imprezie. Pamiętała tylko, jak się dziwiła, że ci wszyscy faceci w strojach codziennych wyglądają zupełnie inaczej. U Chathama wszyscy, nawet pracownicy recepcji, nosili służbowe garnitury. Kate mówiła jej, że dostają ekstra dodatek na ten cel.

— Wejdz — powiedział Dan. — Jesteś punktualna.

— Robię, co mogę. — Wniosła torby do holu i rozejrzała się wokoło. — Piękny dom.

— Tylko częściowo — odparł. — Kupiłem go kilka lat temu, w okropnym stanie. Był podzielony na mieszkania. Odnawiam kolejno pokój po pokoju, ale to powolny proces.

— Robisz dobrą robotę — stwierdziła.

— Ale nie widać końca — powiedział. — Poza tym to pochłania wszystkie moje oszczędności, co do grosza. A nawet więcej. — Uśmiechnął się. — Wszyscy myślą, że maklerzy są nadziani, ale ja nie zarabiam aż tyle, żebym mógł zrobić więcej niż jeden pokój rocznie. Wejdz, pokażę ci kuchnię.

Poszła za nim długim korytarzem, urządzonym w ciepłych odcieniach terakoty, a potem kilka schodków w dół, do kuchni. Kiedy ją zobaczyła, aż się zająknęła z wrażenia. Kuchnia najwyraźniej była jednym z pomieszczeń, które zdołał już odremontować. Patrząc na nią, trudno się było dziwić, że mógł odnowić tylko jeden pokój w roku.

— To niesamowite! Dan uśmiechnął się.

— Która część?

— Wszystko razem. Ależ to jak... jak profesjonalna kuchnia!

Podłużny segment firmy Gaggenau z nierdzewnej stali, z dyskretnie wbudowanym podwójnym piekarnikiem, zajmował jedną ścianę. Dwa wolno stojące moduły znajdowały się w środkowej części pomieszczenia — jeden z podwójnym zlewozmywakiem i dodatkową powierzchnią roboczą, a drugi z serią palników gazowych, elektrycznych i ceramicznych. Wyciąg z okapem z nierdzewnej stali zwisał z sufitu nad płytą kuchenną, na której nie stały żadne garnki ani patelnie. Surowy wystrój pomieszczenia łagodziła podłoga z bukowego drewna, u także tafla szklana, którą zastąpiono narożnik pomiędzy dwoma segmentami na stykających się ze sobą ścianach, tak że można było wyjrzeć na rozciągający się na tyłach ogród. I choć na dworze

było już ciemno, Ash mogła zobaczyć, że ogród jest duży, gdyż oświetlony był łagodnym światłem ogrodowych lump, rozmieszczonych wzdłuż ścieżki wijącej się meandrami wśród zimozielonych krzewów.

— W porządku? — zapytał Dan.

— Jest absolutnie fantastyczna. — Odwróciła się z uśmiechem. — Ale mnie zaskoczyłeś. Często sam gotujesz?

— Prawdę mówiąc — Dan zrobił zawstydzoną minę — głównym polem moich eksperymentów jest to oto urządzenie. — Wskazał na kuchenkę mikrofalową z nierdzewnej stali. — Jestem okropnym kucharzem, za to świetnie odgrzewam mrożone lasagne.

— Chyba żartujesz! — powiedziała. — Po kiego licha robiłeś taką fantastyczną kuchnię, jeżeli nie chce ci się gotować?

— Na jedną osobę? — Dan wzruszył ramionami. — Szkoda zachodu. Poza tym często jadam poza domem. Dawna kuchnia była po prostu w tak strasznym stanie, że musiałem coś z nią zrobić. I tak się to skończyło.

— Wielka szkoda — westchnęła. — Byłabym szczęśliwa, gdybym u siebie miała do dyspozycji taką powierzchnię kuchenną.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał.

— Na nabrzeżu. W zasadzie niemal naprzeciwko budynku Chathama.

— W tym apartamentowcu? — Dan pokiwał głową. — Ładny budynek. Zwłaszcza jeśli się mieszka na najwyższym piętrze.

Ash uśmiechnęła się.

— Tak jak ja. I masz rację, to piękne mieszkania. Ale, jak mówił agent od nieruchomości, dosyć przyciasne.

Dan uśmiechnął się.

— Chyba nie aż tak małe! Nie ciasne!

— Aż tak małe może nie — przyznała — ale nie umywa się do tego tutaj. — Zdjęła zakiet. — Tak czy inaczej, powinnam brać się do pracy. Gdzie będziecie jedli?

— Jadalnia jest na górze — powiedział Dan. — W kuchni jest coś w rodzaju kącika śniadaniowego, jednak, rzecz jasna, nie zamierzam tam jeść. Ale nie martw się, jadalnia jest blisko, nie będziesz musiała chodzić zbyt daleko z talerzami i całą resztą.

— Najlepiej, jak mi pokażesz — zasugerowała. — Żebym mogła się zorientować.

Przeszła za nim z kuchni do jadalni. Było to kolejne odremontowane pomieszczenie, charakteryzujące się chłodną elegancją, z oryginalną posadzką, wycyklinowaną i polakierowaną, ze ścianami w odcieniu zgaszonej bieli, z tu i ówdzie zawieszonymi sztychami oraz zwojami gazy upiętej nad oknem. Wokół stołu z grubego dymnego szkła, wspartego na żelaznej konstrukcji, stało osiem kremowych krzeseł, także z kutego żelaza. Ash przygryzła wargę. Stylowe, owszem. Tak naprawdę niektóre z tych kolorów nie różniły się aż tak bardzo od tych w jej mieszkaniu, nie mogła sobie jednak wyobrazić intymnej kolacji we dwoje w takim wnętrzu. Było zbyt chłodne. Zbyt eleganckie. Zbyt designerskie!

— Jak ci się wydaje? — Dan spojrzał na nią z nadzieją. — Kolacja nie wystygnie chyba w drodze z kuchni do jadalni, prawda?

— Neeee — bąknęła z powątpiewaniem.

— Coś jest nie tak? — zapytał. Wzruszyła ramionami.

— Myślę, że będę musiała popracować trochę nad stołem, Dan. Będziecie tylko we dwójkę, a stół jest taki... taki wielki!

Dan przyjrzał mu się uważnie.

— Ale według tego, co mówił mój architekt wnętrz, do tego pokoju pasuje duży stół.

— To prawda — przyznała. — Ale dla ciebie i Cordelii bardziej odpowiedni byłby mniejszy stół, nie uważasz?

Dan podrapał się w głowę.

— Chyba masz rację — przyznał ze zmartwioną miną.

— To nie potrwa długo — zapewniła go. — Na wszelki wypadek przyniosłam ze sobą parę drobiazgów. — Uśmiechnęła się. — Wracaj do siebie i rób swoje, a ja się tu wszystkim zajmę.

— Jesteś pewna? — zapytał.

— Absolutnie tak. Poza tym lepiej mi się pracuje, kiedy nikt nie sterczy mi nad głową.

Dan roześmiał się.

— Rozumiem. Nie martw się, mam co robić. A kiedy przyjdzie Cordelia, wezmę ją najpierw do salonu, na drinka. Salon jest po przeciwnej stronie korytarza. Chodź, to ci pokażę.

Czuję się jak pies albo coś w tym rodzaju, pomyślała Ash, idąc za nim do kolejnego pomieszczenia.

Jeżeli kuchnia w tym domu w swej utylitarności ocierała się niemal o przesadną surowość, jadalnia zaś odznaczała się chłodną elegancją, salon okazał się ciepły i przytulny. Ciem-

nogranatowa sofa była już dobrze wysiedziana, ściany zostały pomalowane na odcień palonej sjeny, a podłogę pokrywało mnóstwo dywaników w azteckie wzory, ciepłe, a zarazem bardzo kolorowe.

— OK — powiedziała. — Postaram się mieć kolację gotową na ósmą. Albo możecie sami przyjść do jadalni, albo ja po was przyjdę. Jak wolisz.

— Mam domofon. — Dan spojrział na nią przeproszającym wzrokiem.

— Słucham?

— Między pomieszczeniami w tym domu. — Wzruszył ramionami. — Technologia jest tu wszędzie obecna, w taki czy inny sposób. Robił mi to kolega. Pracuje dla firmy elektronicznej i ma bzika na punkcie wszystkiego, co działa na guzik albo na myszkę. To on uznał, że domofon to dobry pomysł.

— Więc zadzwonisz po mnie, kiedy będziecie chcieli jeść?

— Czy to aż tak straszliwie pretensjonalne? — zapytał.

— Dosyć — powiedziała. A potem uśmiechnęła się. — Ale rób, jak uważasz. To ty płacisz rachunek, Dan.

W drodze do kuchni zachichotała półgłosem. Ach, ci mężczyźni, z tymi swoimi gadżetami! Mają hopla na punkcie wszystkiego, czym da się klikać albo co można wciskać czy przekreślać. Rodzina Rourke'ów wcale nie była pod tym względem inna; bracia Michelle pasjonowali się wszystkim, przy czym można było podlubać. Ale przynajmniej znaczyło to, że ktoś zawsze gotów był popróbować i coś ci naprawić. Zaczęła rozpakowywać torby i z westchnieniem pomyślała o kuzynach. Żałowała, że pokłóciła się z Michelle. Ale ta dziewczyna czasami naprawdę doprowadzała ją do szału. Z drugiej strony, pomyślała z goryczą, czy mogę mieć do niej pretensje? Ja też dostałabym kręcka, gdyby ktoś zwał mi na głowę jakąś niechcianą kuzynkę.

Dan stał przed lustrem i patrzył na swoje odbicie. Całkiem nieźle, pomyślał, a wszystko dzięki miękkiemu swetrowi od Calvina Kleina w kolorze biszkoptowym oraz markowym levisom, choć prawdę mówiąc, powinienem jednak trochę więcej poćwiczyć. Odwrócił się bokiem i przyjrzał się sobie krytycznie. Wszystkie te służbowe lunchy przekładały się, niestety, na dodatkowe kilogramy, a choć z całą pewnością nie miał jeszcze nadwagi, zdawał sobie sprawę, że nie ma już takiej figury jak w wieku lat dwudziestu. Z drugiej strony, kto ma — zapytał sam siebie. Przeczesał palcami włosy i wklepał w policzki wodę kolońską, krzywiąc się, kiedy go zapiekło. Te dziewczyny to szczęściary, pomyślał, gdy pieczenie ustało. Nie muszą się golić.

Wyrzął przez okno dokładnie w momencie, gdy taksówka zajechała pod dom. Cofnął się natychmiast, z nadzieją że Cordelia nie zobaczyła go w oknie. To byłoby idiotyczne, pomyślał, gdyby przyłapała go na wyglądaniu zza firanki.

Począł, aż zadzwoni, i dopiero wtedy zszedł na dół i otworzył drzwi.

Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł znajomy dreszczyk podniecenia. Była cudowna, naprawdę cudowna.

— Cześć! — Nadstawiła mu policzek do pocałunku, a on wychylił się ku niej. Przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt przywykł do tego, że musiał nachylać się nad kobietami. Ale nad Cordelią w zasadzie nie, bo kiedy wkładała buty na wysokich obcasach, nieomal dorównywała mu wzrostem.

— Wejdz. — Przeprowadził ją przez hol do salonu. Usiadła na jednym z foteli i wyciągnęła przed siebie długie nogi. Miała na sobie zieloną sukienkę i zielony żakiet, a każda z tych rzeczy dobrana była pod kolor jej oczu. Miała też szmaragdowe kolczyki oraz naszyjnik ze szmaragdem.

— Wyglądasz dziś olśniewająco — powiedział.

— Ty też — odparła. — Nie widać po tobie, że harowałeś przez cały dzień w kuchni.

Roześmiał się i wręczył jej dzin z tonikiem.

— Nie harowałem — powiedział. — Ja nigdy nie haruję.

— Więc jakie jest menu? — zapytała. — Dania na wynos? Potrząsnął głową.

— Poprosiłem tę dziewczynę, która gotuje dla Chathama. Jest całkiem niezła.

— To świetnie. — Cordelia uśmiechnęła się do niego. — Zakładam, że zostało jeszcze trochę czasu do kolacji?

— Zakładam, że tak. — Dan usiadł na oparciu jej fotela. Tym razem musiał się nachylić, żeby ją pocałować. A ona przyciągnęła go do siebie i objęła ramionami.

Ash miała już przygotowane wszystkie składniki na tajska zupę z krewetek, ale ponieważ ugotowanie jej zajmowało zaledwie kilka minut, nie chciała zaczynać, póki Dan nie zadzwoni. Najgorsze, co mogłoby jej się przydarzyć, to gdyby zupa gotowała się za długo. Popatrzyła na zegarek. Kwadrans po ósmej. To już za chwilę, pomyślała.

— Głodna? — Dan pocałował Cordelię za uchem.

— Już nie — mruknęła leniwie. Roześmiał się.

— Mimo wszystko ta dziewczyna uwija się w kuchni jak szalona tylko dla ciebie.

— Ale nie przeze mnie. — Cordelia usiadła i poprawiła na sobie sukienkę, a potem przeczesała palcami włosy.

— Umieram z głodu — oznajmił. — Kiedy się Kocham, zawsze robię się głodny.

— Jakie to romantyczne — stwierdziła sucho Cordelia. Wstała i obejrzała się w lustrze nad kominkiem.

— Wyglądasz cudownie — powiedział z przekonaniem.

— Wystarczająco dobrze, żeby coś zjeść? — Odwróciła się do niego z uśmiechem.

— Boże, Cordelio, co ty ze mną wyprawiasz... — Wyciągnął rękę, a ona znów padła mu w ramiona.

Ash zaczęła się poważnie zastanawiać, czy domofon w ogóle działa. Przypomniała sobie dźwig, który zrobił kiedyś Rob Rourke. Wyglądał absolutnie fantastycznie i był autentyczny w najmniejszych szczegółach — miał nawet wzdłuż wysięgnika rząd maleńkich żaróweczek, które, jak mówił Rob, można będzie zapalić na Boże Narodzenie. Miał tylko jedną wadę — niestety, nie działał. Rob wciąż od nowa wszystko sprawdzał, ale dźwig nigdy nie funkcjonował jak należy. Aż w końcu wyrzucił go przez okno.

— A teraz jesteś głodna? — zapytał Dan.

— Chyba tak. — Cordelia ziewnęła. — Choć może nawet bardziej śpiąca niż głodna.

— Powinienem był zorganizować kolację w łóżku — powiedział.

— Bardzo dobry pomysł. — Cmoknęła go w czoło. — Ale skoro już zadałeś sobie tyle trudu...

— Chodź! — Dan przeszedł przez pokój i wcisnął guzik domofonu. — Hej, Ash, jesteśmy już gotowi.

Najwyższy czas, do cholery, pomyślała Ash, włączając palnik pod rosołem z kurczaka. Szczerze mówiąc, gdyby od razu powiedział, że tak naprawdę nie zasnę jeść przed dziewiątą, nie szykowałabym wszystkiego na ósmą. Czemu ludzie nie potrafią być punktualni? Ja mogę, więc czemu inni nie mogą? Bo to on płaci rachunek, powiedziała sobie, dorzucając do wywaru trawkę cytrynową. Kiedy to ja stawiam, mogę się spóźnić, ile mi się podoba.

— Mój Boże, to wygląda fantastycznie! — Cordelia rozejrzała się po jadalni.

Dan stał obok niej, równie poruszony.

W jakiś dziwny sposób Ash O'Halloran zdołała przekształcić pokój, który w głębi duszy uważała za raczej zbyt lodowaty w pomieszczenie cieplejsze i bardziej przytulne. Położyła biały obrus na środkowej części stołu, zmniejszając go optycznie. Odsunęła też część krzeseł i poroz-

stawiała w całym pokoju małe świece w szklanych lichtarzykach. W rogu, na bufecie białe wino chłodziło się w wiaderku, a obok stała odkorkowana butelka czerwonego wina.

— Usiądź — powiedział Dan.

— Twoja kelnereczka zna się na rzeczy — stwierdziła Cordelia.

— Ona jest szefem kuchni — poprawił ją Dan.

— Kelnerka, szef czy jak tam. — Cordelia sięgnęła po jedną ze starannie złożonych serwetek i rozłożyła ją sobie na kolanach. Dokładnie w tej samej chwili Ash wkroczyła z wazą zupy, postawiła ją na bufecie, po czym podeszła do Dana z butelką wina.

— To Sancerre — powiedziała. — Chcesz spróbować? Dan potrząsnął głową.

— Możesz nalewać.

Popatrzyła na niego. Nigdy dotąd nie widziała, żeby był z siebie taki zadowolony. To znaczy nie widywała go aż tak często, poprawiła się w myślach, ale tego wieczoru wyglądał jak mężczyzna, który dostał dokładnie to, czego chciał. A najwyraźniej dostał, pomyślała, patrząc na Cordelię, która także pławiła się w błogiej aurze.

Podawała zupę i zostawiła ich samych.

— To było naprawdę dobre. — Cordelia odłożyła łyżkę i spojrzała na Dana. — Ona umie gotować, prawda!

— Mówiłem ci. — Dan był z siebie bardzo zadowolony.

— Chciałabym tak gotować.

— Gotowanie to nie wszystko — zapewnił ją lojalnie. Cordelia uśmiechnęła się.

— Mimo to miło byłoby umieć tak gotować.

— Zostawmy to ekspertom — poradził jej Dan.

— Myślę, że jeżeli stać cię na to, żeby zatrudnić kogoś, kto będzie codziennie gotował...

— Nie mógłbym jeść codziennie tego rodzaju rzeczy — powiedział. — Moja talia już i tak jest wystarczająco fatalna.

— Więc jednak coś przemawia za tym, żeby być w kuchni bezużytecznym! — Cordelia śmiała się, gdy Ash przyszła, żeby pozbierać miseczki po zupie i podać główne danie.

Zacząli jeść pieczonego tuńczyka w sosie pomidorowym. Dan patrzył w milczeniu na Cordelię. Jest taka pewna siebie, pomyślał, nikt by nie uwierzył, że ma zaledwie dwadzieścia cztery lata. Kochał tę jej pewność siebie, tę wiarę, że jest niepokonana. Zaczął się zastanawiać, kiedy powinien jej się oświadczyć. „Wyjdiesz za mnie?” — to nie jest przecież pytanie z gatunku tych, z którymi można wyskoczyć w trakcie jedzenia! Mimo iż miał u siebie Cordelię, i

to w sytuacji, którą tak pieczołowicie zaaranżował, nadal nie bardzo wiedział, jak poruszyć ten temat. Szczerze mówiąc, wyobrażał sobie, że Cordelia domyśli się, kiedy zobaczy, ile sobie zadał trudu, i, kwestia małżeństwa wyłoni się sama, bez jego udziału. Co, jak musiał przyznać, było z jego strony, pewną głupotą.

Najlepiej byłoby zapytać ją wprost. A najgorsze, co może się zdarzyć, to że odpowie „nie”. Ciarki przeszły go na myśl o tym, jakiego zrobiłby z siebie durnia, gdyby powiedziała „nie”.

— Właśnie chciałem...

— Muszę ci powiedzieć...

Oboje odezwali się jednocześnie i jednocześnie urwali ze śmiechem.

— Mów pierwszy — powiedziała Cordelia. Potrząsnął głową.

— Nie, ty.

— Chciałam ci powiedzieć, że... — Cordelia wsunęła ostatni kawałek tuńczyka do ust i przełknęła go — że bank wysłała mnie na jakiś czas do Nowego Jorku.

Dan spojrział na nią zszokowany.

— Do Nowego Jorku!

— Tak. — Pokiwała głową. — Czy to nie fantastyczne. Uwielbiałam tam pracować, ale byłam tylko podwładną. Teraz będę pracować z grupą starszych analityków, a to znacznie lepsza pozycja.

Dan zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł uwierzyć w to, co mu właśnie przekazała

— Jak długo cię nie będzie? A co z twoją pracą tutaj? — zapytał w końcu.

— Pracuję dla firmy, a nie konkretnie dla biura w Dublinie — wyjaśniła. — A ten wyjazd to jednocześnie szkolenie i awans. Sześć miesięcy, czy coś w tym rodzaju, w Nowym Jorku, a potem już mogą mnie wysłać wszędzie. Nadal potrzebują ludzi w Irlandii, więc będę mogła wybrać powrót do domu.

— Ale co z nami? — zapytał.

— Przecież mamy telefony i e-maile i będziemy mogli się kontaktować. Będę też mogła przylatywać do Dublina, kiedy tylko zechcę. Oczywiście, o ile obowiązki mi pozwolą.

— No tak, jasne, ale myślałem... chciałem...

— To naprawdę niesamowita okazja! Nie mogę jej przepuścić, Dan. Naprawdę nie mogę.

— Chciałem się z tobą ożenić. — Słowa te wyrwały mu się z ust, zanim zdążył je powstrzymać.

Cordelia wytrzeszczyła oczy.

— Ożenić? Ze mną?

— Tak — odparł.

Cordelia dotknęła szmaragdowych kolczyków.

— Dan, ja...

— W porządku — skwapliwie zapewnił ją Dan. — Jeżeli nie chcesz, jeżeli posunąłem się za daleko...

— To nie to. — Wyjęła kolczyk z ucha. — Ja się tego po prostu nie spodziewałam.

— Dlaczego?

— Przedtem nic takiego nie mówiłeś.

— Ale teraz mówię.

— Myślałam, że...

— Że co?

— Że myśl o ustatkowaniu się jest dla ciebie problemem.

— Ale nie z tobą — zapewnił ją z przekonaniem.

— Kochasz mnie? — zapytała. Dan spojrzał na nią ze zdumieniem.

— A jak myślisz? Dlaczego cię proszę, żebyś za mnie wyszła? Oczywiście, że cię Kocham. Jak można cię nie kochać?

— Nie mówisz mi tego zbyt często — stwierdziła.

— Kocham cię — zapewnił ją żarliwie. — Naprawdę cię Kocham.

— A ja Kocham cię — powiedziała Cordelia. — Ale Kocham też swoją pracę. I chcę pojechać do Stanów.

Popatrzyli na siebie bez słowa, a potem weszła Ash, by pozbierać ze stołu talerze.

Rozdział 6

Krem karmelowy

Rzadka śmietanka, gęsta śmietana, laska wanilii, cukier puder, żółtka.

Ubić wszystkie składniki na krem, wstawić na noc do lodówki. Posypać cukrem pudrem.

Wsunąć pod rozgrzany grill, aż cukier się skarmelizuje. Schłodzić przed podaniem.

Ash już od progu wyczuła panujące w pokoju napięcie. Powiodła wzrokiem od Dana do Cordelii i z powrotem. Jasne było, iż między tą dwójką atmosfera naładowana jest elektrycznością. Ale nie tego rodzaju jak pomiędzy ludźmi, którzy właśnie postanowili się pobrać. Na Boga, pomyślała, piękna Cordelia nie odrzuciła chyba tak dobrej partii jak Dan? Gdy zobaczyła Cordelię, z miejsca pomyślała, że ona i Dan prezentują się razem wręcz idealnie — oboje wysocy i atrakcyjni, i oczywiście dobrze sytuowani. Czyżby jednak nie byli dla siebie stworzeni?

Zebrała talerze ze stołu.

— Podać teraz deser? — zapytała. Miała wrażenie, że jej słowa wpadają do pokoju jak cegły.

— Jeszcze nie — sucho odparł Dan.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę na deser — odezwała się Cordelia. — W zeszłym roku zrzuciłam dziewięć kilo dzięki straszliwemu reżimowi na sali gimnastycznej. Staram się unikać słodczy.

— W porządku — powiedziała Ash, a potem spojrzała na Dana. — Zadzwoń, jak będziecie czegoś chcieli. — Wyszła z pokoju, by jak najszybciej schronić się w zaciszu kuchni. Wyglądało na to, że raczej nie będzie musiała zapiekać crème brûlées. Odniosła wrażenie, że bez względu na to, co działo się w jadalni, deser nigdy nie będzie tego częścią.

Dan i Cordelia popatrzyli na siebie.

— Dan, nie będę wiecznie pracować w Nowym Jorku. Przecież wrócę.

— Ale poznasz w Nowym Jorku kogoś innego, prawda? Albo dojdiesz do wniosku, że biznes jest ważniejszy niż wszystko inne. Byłem na Wall Street, Cordelio. Czulem ten dreszczyk podniecenia.

— Pracowałam tam wcześniej i wróciłam — zauważyła nie bez racji Cordelia. — Na mnie to nie działa. Ale muszę jechać, chyba sam rozumiesz, prawda?

— To wyjdź za mnie przed wyjazdem — rzucił impulsywnie. Odwróciła się, trzymając w palcach kolczyk.

— To byłoby szaleństwo.

— Dlaczego? Dlaczego byłoby to szaleństwem?

— Bo... och, Dan, kocham cię. Naprawdę. Ale potrzebuję trochę przestrzeni, to wszystko. A zresztą — dorzuciła z uśmiechem — nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dość czasu na to, by się pobrać! Wyjeżdżam za kilka tygodni.

— No tak, racja — przyznał Dan z kwaśną miną. Cordelia spojrzała na niego z wyrzutem.

— Musisz zrozumieć, jakie to dla mnie ważne, Dan. W końcu to tylko sześć miesięcy mniej więcej. A potem wrócę.

— Sześć miesięcy to bardzo długo.

— Ach, daj spokój. — Cordelia wsunęła z powrotem kolczyk w ucho i zapieła go. — Sześć miesięcy to pestka. I ty o tym wiesz. A gdybyś mnie naprawdę kochał...

— Ale ja cię naprawdę kocham — powiedział.

— No to zrozumiesz, czemu muszę jechać.

Dan westchnął. Rozumiał, oczywiście, że rozumiał. Gdyby to jemu trafiła się taka okazyja, nikt by go nie powstrzymał.

Szkoda jednak, że nie powiedziała mu tego tydzień wcześniej. Nie zrobiłby dziś wieczorem z siebie takiego kompletnego durnia. Musiała już wtedy o tym wiedzieć, a jednak nic nie powiedziała. Podejrzewał, że chciała się upewnić, czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik w sprawie jej wspaniałej pracy w Stanach. A on myślał, że jest szczęśliwa w Irlandii, że jest szczęśliwa z nim i że jest szczęśliwa z powodu istniejącego stanu rzeczy.

— Dan, chciałabym, żebyśmy byli razem — powiedziała z naciskiem. — Dobrze nam się razem pracuje. Lubimy te same rzeczy, chcemy tego samego... Widzę przed nami wspólną przyszłość. Naprawdę. Możesz mi wierzyć.

— Przyszłość? Jaką? Ja w Dublinie, a ty w Nowym Jorku?

— Potrzebuję trochę czasu dla dobra mojej kariery — powiedziała. — To wszystko, o co proszę.

Dan popatrzył na nią.

— Moglibyśmy się zaręczyć przed twoim wyjazdem. Nie tak to sobie zaplanowałem, ale jeżeli mnie kochasz i zamierzasz tu wrócić — to czemu nie?

— Oczywiście, że wrócę! I naprawdę cię kocham, Dan.

— No to jak będzie? — zapytał.

— Rzeczywiście chcesz, żebyśmy się teraz zaręczyli? Chociaż wyjeżdżam?

— Przecież chciałem się z tobą ożenić! — krzyknął. — Miałem nawet od razu kupić ci pierścionek. Nie widziałem potrzeby, żeby to wszystko dłużej przeciągać.

Cordelia roześmiała się.

— Mówisz, jakbyś był strasznie zdeterminowany.

— Bo jestem zdeterminowany — powiedział. — Jesteś dla mnie wymarzoną dziewczyną, Cordelio. Jedyną, z jaką kiedykolwiek brałem pod uwagę małżeństwo.

— Powinno mi to chyba pochwlebiać.

— Przepraszam. — Dan spieszył się. — Zabrzmiało to tak...

— Nie ma sprawy — przerwała mu. — Nie chodzi o to, że nie chcę wyjść za ciebie, czy choćby się zaręczyć, ale staram się być realistką. Jak będziesz się czuł, kiedy mnie tu nie będzie, kiedy zostaniesz sam? Będziesz szczęśliwy?

— Szczęśliwy? Nie — odparł Dan. — Jak mógłbym być szczęśliwy bez ciebie? Ale jeżeli się zaręczymy, będę przynajmniej miał nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

— Bo skończy się dobrze — zapewniła go Cordelia. — Oczywiście, że tak.

— Więc zróbmy to — powiedział. — Zaręczmy się, Cordelio. Przeciągnęła między palcami pukiel kasztanowych loków. — Czemu nie? — Nagle uśmiechnęła się do niego. — Tak,

Dan, czemu nie? To nie tak, że nie chcę wyjść za ciebie. Chodzi o to, że ja muszę tam pojechać, sam rozumiesz.

— Rozumiem — powiedział Dan. — Naprawdę. Wychyliła się nad stołem i ujęła go za rękę.

— Tak. Tak właśnie zrobimy.

— OK. — Dan splótł z nią palce. — OK. Pójdziemy kupić ci pierścionek i w ten sposób będziemy już zaręczeni, a wiosną wrócisz i wtedy weźmiemy ślub.

— W porządku — powiedziała Cordelia. — To brzmi całkiem nieźle.

— OK — powtórzył Dan. — Brzmi całkiem nieźle. OK.

Ash siedziała w kuchni i czekała na sygnał domofonu. Nie słyszała podniesionych głosów ani gniewnych okrzyków, a to już coś. Nadal jednak miała wątpliwości, czy kolacja przebiega zgodnie z planem Dana.

Dan patrzył, jak Cordelia wolno sączy wino. Nie miał jednak wrażenia, jakby przed chwilą się zaręczyli. Nie czuł się wcale jak ktoś, kto ma wkrótce poślubić siedzącą naprzeciw niego dziewczynę. Czuł raczej, że wszystko to zostanie mu wydarte, zanim zdąży się zorientować.

Cordelia opróżniła kieliszek i spojrzała na zegarek.

— Wiem, że wyda ci się to z mojej strony bardzo nie fair, ale muszę już iść.

— Co?!

— Muszę się zobaczyć z naszym europejskim prezesem przed jego jutrzejszym powrotem do Stanów — powiedziała. — A jedyną porą, o jakiej może mnie przyjąć, jest szósta rano. Dlatego muszę wrócić do domu i trochę się przespać.

— Możesz przecież zostać u mnie — powiedział.

— Normalnie tak bym zrobiła. — Cordelia uśmiechnęła się. — Wiesz, że tak, Dan. Ale to znaczyłoby, że musiałabym wstać przed świtem, żeby pojechać do domu i jeszcze się przebrać. Nie mogę przecież iść na spotkanie z panem Kelleyem w tym stroju.

Dan zlustrował wzrokiem jej seksowną zieloną sukienkę.

— Raczej nie.

— Zdecydowanie nie — powiedziała Cordelia.

— A może wróciłabyś tu po spotkaniu? — zaproponował. — Moglibyśmy pójść razem na śniadanie albo coś w tym rodzaju.

Cordelia pokiwała głową.

— Tak, to dobry pomysł. — Wstała.

— Już idziesz? — zapytał.

— Jestem kompletnie wykończona — oświadczyła. — Dwa razy się kochaliśmy... potem to jedzenie... i jeszcze zaręczyny. — Uśmiechnęła się. — Muszę się wyspać.

Dan westchnął.

— Nie całkiem tak to sobie zaplanowałem, Cordelio.

— Hej! — Znowu się uśmiechnęła. — Człowiek strzela...? Jak to się mówi?

— Po prostu myślałem, że w naszą zaręczynową noc... no, sama wiesz!

— To nie jest nasza zaręczynowa noc — powiedziała. — W przyszłym tygodniu kupimy pierścionek i to będą nasze oficjalne zaręczyny. A to jest tylko... przedwstępna dyskusja o zaręczynach.

Dan roześmiał się.

— Mówisz, jakbyś już rozmawiała z tymi kowbojami z Wall Street.

— Wiem. — Cordelia spuściła głowę. — Przepraszam. — Zerknęła na niego zza długich czarnych rzęs.

— Nie ma sprawy. — Dan wstał i podszedł do niej, a ona pozwoliła się objąć. — Kocham cię — powiedział.

— Ja też cię kocham — odparła Cordelia i pocałowała go przeciągle w usta.

Ash usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Z kuchni nie można było zobaczyć, co się dzieje przed domem, więc nie była pewna, czy Cordelia wyszła, trudno jednak było wyobrazić sobie inny rezultat napięcia, jakie wyczuła w jadalni. Było jej żal Dana. Zadał sobie tyle trudu dla Cordelii. Chciał, żeby wszystko odbyło się jak należy, a najwyraźniej tak się nie stało. Zaczęła się zastanawiać, w którym momencie coś poszło nie tak. Co sprawiło, że Cordelia wyszła, zostawiając go samego.

Spojrzała na domofon na ścianie. Czekala, by Dan dał jej znać, że już nie musi zaprzętać sobie głowy deserem i kawą. Ale domofon milczał. Zagryzła wargi. Może Dan dostał szału w jadalni i zupełnie o niej zapomniał? W takim przypadku powinna pójść na górę i... Podrapała się w nos. Byłby to kompletny brak wycucia przychodzić do człowieka pogrążonego w rozpacz i prosić o czek! Oczywiście, on może wcale nie być pogrążony w rozpacz. Może nagle mu ulżyło, że Cordelia go odtrąciła, gdyż zdał sobie sprawę, że wykpił się tanim kosztem. Jednak Ash nie sądziła, by tak było.

Nalała sobie filiżankę kawy. Da mu trochę czasu, żeby wziął się w garść i przypomniał sobie, że na niego czeka. Ale jeżeli nie zadzwoni w ciągu dwudziestu minut, będzie zmuszona pójść do niego na górę. Ma lepsze rzeczy do roboty, niż czekać tu przez całą noc. A potem nagle zadała sobie pytanie, co, konkretnie, lepszego miała teraz do roboty? Położyć się, sama, do łóżka? Może z Bajgłem w nogach? Powinna znów zacząć się powoli rozglądać za kimś nowym. Kimś, z kim mogłaby się przez chwilę zabawić. Z drugiej strony, pomyślała z niechęcią, ktoś nowy to ciężka praca. Nie zawsze uważała to za ciężką pracę. Dawniej lubiła świadomość, że każdy mężczyzna, z którym się spotykała, był inny. Ale teraz... Westchnęła. Większość z nich chyba wcale aż tak bardzo się od siebie nie różni.

Oplukała filiżankę i wstawiła ją do zmywarki. Pora iść na górę, zdecydowała. Cokolwiek się tam wydarzyło, zostało raz na zawsze zakończone, a ona nie ma ochoty siedzieć przez całą noc w kuchni Dana Morlanda.

W jadalni go nie było. Pozbierała ze stołu resztki posiłku, zabrała też swój biały obrus i starannie złożyła, mimo iż zamierzała wyprać go jeszcze tej samej nocy. Wyniosła wszystko do kuchni, wstawiła talerze do zmywarki, a swoje rzeczy włożyła do jednego z kartonowych pudeł, które przywiozła. Dwa desery schowała z powrotem do lodówki, na wypadek gdyby Dan miał na nie później ochotę. Potem złożyła kartkę z zamówieniem i znów poszła na górę.

Dan był w salonie. Stał przy oknie zapatrzony w ciemność. Chrząknęła głośno, a wtedy on się odwrócił.

— Ash! — Zdumiał się na jej widok. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Sprzątnęłam wszystko. Desery zostawiłam w lodówce. Na wypadek gdybyś miał ochotę.

— Dzięki — powiedział. — Przepraszam. Zapomniałem o tobie.

— Tak też myślałam — przyznała, a potem rozejrzała się wokoło. — Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi frontowych...

— Tak. — Dan pokiwał głową. — Cordelia musiała wyjść wcześniej. Ma jutro rano spotkanie.

— Aha. — Ash pokiwała głową. — A czy wszystko poszło... czy było OK?

— Absolutnie fantastycznie — zapewnił ją. — Świetne jedzenie, Ash. Po prostu genialne. Wspaniale.

— A ty i Cordelia?

— Zareczyliśmy się — powiedział.

— To cudownie! — Ash uśmiechem pokryła zdumienie. — Cudownie.

— Tak.

— Więc... jesteś pewny, że wszystko poszło jak trzeba?

— Lepiej nie można — powiedział radosnym tonem.

— Skoro tak, dam ci to już teraz. — Wręczyła mu fakturę. Dan spojrzał na nią.

— Doskonała cena. — Wyjął książeczkę czekową z szuflady biurka. — Jesteś świetną kucharką.

— Dziękuję.

— A z tą jadalnią to była fantastyczna robota.

— Dziękuję — powtórzyła.

— Ona wyjeżdża teraz do Stanów. — Dan podpisał czek i wręczył go Ash.

— Ach tak?

— Dostała awans — wyjaśnił. — Uważa, że to wspaniała okazja i nie chce wyjść za mnie, bo woli być w USA i walczyć do ostatka z tymi wspaniałymi chłopakami.

— Zdawało mi się, że mówiłeś...

— Jesteśmy zaręczeni. — Dan nie mógł się powstrzymać przed opowiedzeniem Ash, co zaszło. — Więc tak, rzuciłem pytanie! Mniej więcej. I dzisiejszej nocy odbyliśmy wstępne rozmowy na temat zaręczyn. Tak naprawdę zaręczymy się w przyszłym tygodniu, kiedy kupimy pierścionek.

— O to ci chyba chodziło, prawda? — Pomysł wstępnych rozmów poprzedzających zaręczyny wydał się Ash intrygujący. Całkiem rozsądna myśl, choć pewnie mało kto by się z tym zgodził. Nie była wcale pewna, czy wstępne rozmowy zaręczynowe to było właśnie to, co Dan miał na myśli, kiedy prosił ją, by przygotowała dzisiejszą kolację.

— Inaczej to sobie wyobrażałem — przyznał się Dan. — Myślałem, że będzie romantycznie.

— Wyglądało bardzo romantycznie — powiedziała.

— Ale atmosfera była raczej biznesowa — stwierdził. — Ona mówi, że mnie kocha, tymczasem czułem się, jakby chodziło o jakąś umowę handlową.

— Jak długo zostanie w Stanach? — zapytała Ash.

— Sześć miesięcy. To znaczy ona mówi, że sześć miesięcy, ale mam straszliwe przecucia, że może trochę dłużej.

— Założę się, że nie będzie się mogła doczekać powrotu! — Ash popatrzyła na niego ze współczuciem. — Na pewno będzie tam bardzo zajęta. A ty jesteś z nią zaręczony. Więc czym się tak martwisz?

— Martwię się, że kiedy już tam przyjedzie, zechce tam zostać — odparł. — Albo że pozna jakiegoś bultibilionera z Wall Street i uzna, że to znacznie lepsza partia niż jakiś skromny irlandzki makler.

— Nie taki znów skromny. — Ash rozejrzała się po pokoju. — Masz piękny dom.

Dan uśmiechnął się.

— Dzięki. Ale nie mógłbym konkurować z kimś, kto ma prywatny samolot i willę w Malibu.

— A jest ktoś taki z prywatnym samolotem i willą w Malibu?

— Jeszcze nie — odparł ponuro.

— Nie wiem, czym się tak przejmujesz — powiedziała, choć doskonale wiedziała. Dan był jednak jej klientem i musiała dołożyć starań, by zabrzmiało to jak najłagodniej. — Ona mówi, że wyjdzie za ciebie, ale przedtem wyjeżdża do Ameryki na sześć miesięcy. Przecież to nic wielkiego.

— Ona też tak twierdzi. Ale jak ty byś się poczuła, gdybyś się zaręczyła, a facet zniknąłby ci na całe sześć miesięcy? — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— To mało prawdopodobne — powiedziała.

— Jesteś zaręczona? — zapytał. — A może jesteś mężatką? Przepraszam, ale nie wiem.

— Ani jedno, ani drugie — odparła.

— A chciałabyś być? Roześmiała się.

— Nie w tej chwili. Czy to oświadczyzny? Masz zwyczaj oświadczać się dwóm kobietom tego samego wieczora?

Dan także się roześmiał, choć niepewnie.

— Nie tym razem.

— Ona wróci — zapewniła go Ash konfidencjonalnym tonem. — Może tylko potrzebuje czasu, żeby wykluczyć Stany ze swojego programu.

Dan milczał przez chwilę, a potem nalał sobie brandy z karafki na bufecie.

— Strzelisz sobie jednego? Ash potrząsnęła głową.

— Nie wydaje mi się...

— Napij się ze mną — powiedział. — Zasłużyłaś sobie na to. Wykonałaś wspaniałą robotę i... i... — Jednym haustem przełknął brandy. — Chciałbym, żebyś się ze mną napiła.

— Dan, bardzo chętnie bym się z tobą napiła. Ale nie teraz.

— Czemu nie?

— Bo nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

— Napijmy się, żeby coś oblać — tłumaczył. — Moje zaręczyny z Cordelią.

Ash spojrzała na niego zmieszana.

— Oblać? — powtórzyła z powątpiewaniem.

— Nawet jeśli mnie chwilę potem opuszcza. — Dan kwaśno się uśmiechnął. — Ale ona musi, bo chce zostać kobietą sukcesu. Za to właśnie ją kocham. I muszę to oblać.

— Naprawdę?

— Absolutnie. — Machnął w jej stronę karafką. — Dotrzymaj mi towarzystwa.

— Wolałabym whisky, jeżeli masz. — Ash nie lubiła brandy.

— Jedna whisky, już się robi!

— Dziękuję — mruknęła.

Patrzyła, jak Dan nalewa gęsty, karmelowy napój do szklanki ze rżniętego szkła.

— Dosyć! — wykrzyknęła, kiedy nalał aż po brzegi. — Tam jest chyba z sześć miarek?

— Spokojnie — rzucił. — Trzeba to uczcić.

— Moje gratulacje — powiedziała. Uniosła szklanekę i delikatnie stuknęła się z Danem.

Brandy trysnęło ze szklaneczki Dana i wylało się na podłogę.

— Ups! — powiedział, a potem się do niej uśmiechnął. — Całe szczęście, że to nie dywan! Cordelia byłaby wściekła, gdybym zrobił plamę na dywanie.

Ash zaczęła się zastanawiać, ile wypił po wyjściu Cordelii. Siedziała w kuchni i czekała na niego przez co najmniej pół godziny. Nagle dotarło do niej, że Dan może być znacznie bardziej pijany, niż myślała.

— Masz coś przeciwko temu, że wezwę taksówkę? — zapytała. — Jestem pewna, że to jeszcze trochę potrwa, zanim tu przyjedzie.

— Nie ma problemu — oświadczył. — Ja zadzwonię.

Grzała sobie ręce przy kominku, kiedy usłyszała, jak pyta dystrybutorkę z korporacji, czy da się zamówić taksówkę prędzej niż za pół godziny.

— Tej nocy jest duży ruch — powiedział, kiedy odłożył słuchawkę. — Będzie najwcześniej za pół godziny.

— W porządku — zapewniła go. — Mogę jeszcze coś porobić w kuchni.

— Nie — powiedział. — Usiądź i dokończ drinka.

Ash prawie nie tknęła swojej whisky. Spojrzała na Dana, a potem usiadła w jednym z foteli. Dan usiadł naprzeciw niej i zamknął oczy. Popatrzyła na niego z niepokojem. Prawdę mówiąc, nie chciała, by zasnął przed jej wyjściem. Pewnie nic by się takiego nie stało — mogłaby po prostu wstać i wyjść, kiedy przyjedzie taksówka, ale z jakiegoś powodu wydało jej się to niestosowne. Zdarzały jej się takie wieczory, kiedy gospodarz domu upijał się na całego, ale zazwyczaj znaczyło to, że dawał jej ekstra napiwek i ścisnął ją za ramię albo szczypał w pupę, kiedy wychodziła. Nigdy natomiast nie znalazła się w takiej sytuacji, by klient po prostu zasnął.

Dan znów otworzył oczy.

— O czym myślisz? — zapytał.

— Słucham?

— Prowadziłaś kiedyś wstępne rozmowy na temat zaręczyn?

Ash potrząsnęła głową.

— A byłaś kiedyś zakochana? Ash znów potrząsnęła głową.

— Małżeństwo moich rodziców było kompletnie do dupy — powiedział. — Dzięki temu zrozumiałem, że najważniejsze w życiu człowieka są jego związki z innymi ludźmi. — Upił łyk brandy. — Och, praca na pewno też jest ważna. To oczywiste. Ale najważniejsi są ludzie. Dawniej tak nie myślałem. Ale teraz tak uważam.

Jest zalany w trupa, pomyślała, patrząc na niego.

— A twoi rodzice? — rzucił. — Jakie było ich małżeństwo?

— Moi rodzice nie byli małżeństwem — powiedziała.

— Co? — Dan wyprostował się w fotelu i wbił w nią wzrok. Wzruszyła ramionami.

— Nic szczególnego. Nie byli małżeństwem.

— Dlaczego nie wzięli ślubu? — zapytał. — Czy któreś z nich brało już wcześniej ślub?

— To nie twoja sprawa. — Ash wcale nie chciała, żeby zabrzmiało to tak ostro.

Dan zmieszał się.

— Przepraszam — powiedział i po raz pierwszy jego słowa zabrzmiały zrozumiale. — Zachowałem się bardzo, bardzo niegrzecznie. Ale nie chciałem tego. Przepraszam.

— Nic się nie stało. — Ash pociągnęła się za warkocz. — Nie pobrali się, bo ona nie była pewna, kto jest moim ojcem.

— Co? — Dan wytrzeszczył oczy, a ona znów opadła na fotel, szarpiąc koniec warkocza. Co ją opętało, by zdradzać Danowi informację, którą normalnie zachowywała wyłącznie dla siebie? A teraz on próbował nie okazywać zdumienia, co mu się, niestety, nie najlepiej udawało.

— Moja matka żyła w komunie — powiedziała wymijająco. — To były późne lata sześćdziesiąte i początek siedemdziesiątych. Sam wiesz. Wolna miłość i tym podobne sprawy.

— Żartujesz.

— Czemu miałabym żartować?

— Nie wyglądasz na owoc wolnej miłości. Ash nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Czego się spodziewałeś? Że jak będę wyglądać? Kwiaty we włosach i tak dalej?

Dziny dzwony?

— Nie wiem. — Dan znów sięgnął po karafkę. — Nigdy tak nie myślałem. Wydaje mi się, że kiedy uprawia się wolną miłość, raczej nie myśli się o dzieciach, prawda?

— Prawda — przyznała Ash. — Dzieci były ostatnią rzeczą, jaka im była w głowie.

— Opowiedz mi o tym. — Dan, choć ewidentnie pijany, wyraźnie się ożywił. — Jak to było?

— Nie pamiętam — odrzekła. — Tak naprawdę nie mieszkałam w komunie. Komuna rozpadła się jeszcze przed moim urodzeniem. A matka jeździła potem po całym kraju.

— No, no. — Dan spojrzał na nią z podziwem. — Więc naprawdę żyłaś inaczej niż większość ludzi.

— Nie — odparła. — Wcale nie.

— Posłuchaj, ludzie zazwyczaj nie żyją w komunach i wiedzą na ogół, kto jest ich ojcem. Czy ona sypiała z wieloma facetami? Czy o to chodzi?

— Mnóstwo ludzi nie wie, kto jest ich ojcem. Także w dzisiejszych czasach — powiedziała. — I sypiają też z wieloma partnerami. Tak myślę. Ale wtedy było inaczej. W komunie miał panować egalitaryzm i tak dalej. Nie wypadało utrzymywać stosunków z jedną osobą. Więc tego nie robili. A wszystkie dzieci wychowywano tak, jakby każdy był ich ojcem.

— Nie wierzę.

— Ale to prawda — zapewniła go Ash. — Jakiś czas temu był nawet o tym dokument w telewizji. To znaczy ogólnie o komunach, a nie o komunie Julii, chociaż wszystko się zgadzało. — Zrobili wywiad z pięćdziesięcioparoletnią kobietą, która opowiadała o tym, jak uprawiała seks z czterema facetami tej samej nocy, zupełnie jakby mówiła o proznej kolacji. Ash nie mogła uwierzyć, że ta przeciętna, siwowłosa kobieta to ta naga dziewczyna z trwałą afro, na fotografiach, które pokazywała.

— Julia jest twoją matką? — Dan wdarł się w jej wspomnienia.

— Była — poprawiła go.

— A co się z nią stało?

Nikom dotąd nie opowiadała o Julii. Nikt spośród jej dublińskich przyjaciół nie wiedział nic ani o jej matce, ani o jej dzieciństwie. Teraz też uważała, że opowiadanie o swoim życiu osobistym komuś, kto był jej klientem, a kogo firmy z kolei ona sama była klientką, nie jest dobrym pomysłem. Ale była pijana, czuła się swobodnie i wydawało jej się, że powinna mu o tym powiedzieć. Po raz pierwszy w życiu naprawdę zapragnęła opowiedzieć komuś o Julii.

— Julia była rąbnięta — stwierdziła sucho. — Po rozpadzie komuny jeździła po kraju, a potem doszła do wniosku, że powinna znaleźć mi ojca, więc zaczęła się spotykać z mnóstwem facetów. Ale oczywiście to była głupota. Ich to w ogóle nie interesowało, chociaż ona myślała

inaczej. W końcu przeniosła się do Anglii. Nie mam pojęcia dlaczego. Może jej się wydawało, że w Anglii znajdzie facetów z wyższej półki.

— I co dalej? — spytał Dan zaintrygowany.

— Była najgorzej zorganizowaną osobą w historii wszechświata — powiedziała Ash. — Sama wyprawiałam się do szkoły, bo ona o tym zapomniała. To było tak, jakbym mieszkała ze starszą siostrą raczej niż z matką. Kompletnie postrzeloną starszą siostrą.

— Ale ją kochałaś — stwierdził Dan.

— Była moją matką. — Ash sączyła kolejną whisky. — Była moją matką i oczywiście ją kochałam.

— Więc co się stało? — znów zapytał Dan.

— Zawsze wszystko robiła na wariata — odparła Ash. — Nigdy w życiu nie postępowała rutynowo, bo uważała to za szkodliwe dla ducha. Zakupy robiłyśmy w różne dni tygodnia, żeby nie popaść w rutynę.

— Szczerze mówiąc, musiała być całkiem zabawna — stwierdził.

— Może. — Ash wzruszyła ramionami. — Ale w końcu ją to zabiło.

— Jak to zabiło?

— Jej przyjaciel po nią przyjechał. — Ash bezskutecznie próbowała wyeliminować gorycz ze swego głosu. — Jeden z tych facetów, o których myślała, że nas przyjmą. Boże, jaka ona była głupia. Miałam wtedy jedenaście lat. Czy oświadczyłbyś się Cordelii, gdyby miała jedenastoletnią córkę?

— Rozumiem, o co ci chodzi. — Dan znów opróżnił swoją szklaneczkę.

— W każdym razie Tyke miał świra na punkcie motocykli. Wpadł do nas i zapytał, czy chciałaby się przejechać, a ona odpowiedziała, że tak. Mówiłam jej, że miała mnie zawieźć na lekcję baletu — wszystkie jedenastolatki chodziły wtedy na lekcje baletu — ale ona powiedziała, że nie powinnam się tak kurczowo trzymać rozkładu zajęć. I że powinnam się nauczyć robić wszystko wtedy, kiedy mam na to ochotę. I że niedługo wróci.

— I co? — Dan spojrzał na nią pytająco.

— Na końcu drogi wjechali w tył ciężarówki — sucho odparła Ash. — Zginęli na miejscu. Oboje.

— Tak mi przykro — powiedział. — Naprawdę bardzo mi przykro. Nie powinienem był cię o to pytać.

— To już nie ma znaczenia. — Ash wzruszyła ramionami. — To stało się dawno temu i już się z tym pogodziłam, rzecz jasna.

— Ale było naprawdę okropne.

— To jej wina — powiedziała Ash. — Głupi styl życia, głupia kobieta.

— Była twoją matką.

— To, że była moją matką, nie znaczy, że była przez to choć trochę mniej głupia.

— Co robiłaś potem? — dopytywał się Dan.

— Och, wróciłam do Irlandii i zamieszkałam z wujostwem i ich dziećmi — odparła Ash.
— Było mi dobrze.

— Mimo wszystko...

— Nie jest to rodzaj wychowania, jaki bym polecała — powiedziała. — Ale prawie nie pamiętam swojego życia w Stanach. I, koniec końców, trochę mi ulżyło, kiedy Julia umarła. Bo to ja musiałam się nią zajmować.

— Nie mówisz chyba serio, że ci ulżyło, prawda? Ash westchnęła.

— Kiedy byłam z Julią, musiałam przez cały czas być dorosła. A kiedy zamieszkałam z Molly, zachęcano mnie, żebym była dzieckiem.

— A teraz mieszkasz sama.

— I jest mi naprawdę dobrze. Dan opróżnił szklaneczkę.

— Dzięki, że mi to opowiedziałaś.

— Na ogół tego nie robię.

— Chyba mam szczęście, że mam Cordelię, nawet jeżeli na trochę wyjeżdża.

Ash pokiwała głową.

— I chyba nie powinienem mieć jej za złe tego, że tak bardzo przejmuje się swoją pracą

— Wiele kobiet przejmuje się swoją pracą. Ja też — powiedziała Ash.

— Muszę być w głębi duszy bardzo staroświecki. — Dan westchnął. — I samolubny. Ona jest pierwszą dziewczyną, z którą chciałem się ożenić, i uczepliłem się tego, nie myśląc o jej uczuciach.

— Myślałeś, oczywiście, że cię kocha — stwierdziła Ash. — I miałeś rację. Bo ona cię kocha.

Dan pokiwał głową.

— Chyba mi się wydawało, że kiedy poproszę ją o rękę, będzie to dla niej najważniejsze. Bo dla mnie oświadczyzny były najważniejszą sprawą w moim życiu.

— Na pewno tak — pocieszyła go Ash. — I jestem pewna, że będziecie szczęśliwi.

— Tak myślisz?

— Absolutnie.

— Bo ja nie — westchnął.

— Zdecydowanie — powiedziała Ash. Wstała i zgarnęła swoje rzeczy. — Przepraszam, że cię zanudzałam opowieściami o swoim życiu.

— To było interesujące — powiedział.

— Tylko jeżeli się to słyszy po raz pierwszy. Ale jeśli trzeba z tym żyć, nie jest to szczególnie ciekawe.

— Dzięki jeszcze raz za dzisiejszy wieczór — powiedział.

— Zawsze możesz na mnie liczyć! Nie zapomnij kupić pierścionka.

Dan roześmiał się.

— Nie zapomnę.

Patrzył za nią, jak schodzi po schodach i wsiada do taksówki. Począł, aż taksówka ruszy spod domu, a potem wrócił do domu i wypił zostawioną przez nią resztkę whisky.

Rozdział 7

Ostra amerykańska zapiekanka

Dymka, czerwona papryka, pieczarki, tuńczyk, krewetki, bulion, pomidory, sok z cytryny, zielone chilli, sos tabasco, kolendra.

Obsmażyć warzywa, dodać pozostałe składniki i zagotować. Zalać mieszaniną mąki, ziół, margaryny i jogurtu. Piec w temperaturze 220°C na złoty brąz.

Ash nie wybierała się nigdzie w następny weekend. Wciąż karała się za to, że zraniła Brendana, zrywając z nim w taki sposób, jak to zrobiła. Jodie nalegała jednak, żeby przyszła do niej do restauracji i spróbowała ich kuchni. Powiedziała jej, że przyjęli właśnie nowego szefa, który jest świetny. „Może podłapiesz jakieś świeże pomysły”, mówiła Jodie, a ona próbowała nie okazywać irytacji. Jeżeli już o niej mowa, potrafiła przedstawić własne pomysły, a to, że Jodie najwyraźniej uważała, iż mogłaby się czegoś nauczyć od innego mistrza kuchni, dotknęło ją do żywego. Z drugiej strony, od rozstania z Brendanem nigdzie nie wychodziła i bez względu na to, jak bardzo lubiła wylegiwać się na sofie, z kubeczkim swoich ulubionych lodów i

Bajgłem przy nogach, czuła, że powinna podjąć jakiś wysiłek. Teraz jest mój czas, powiedziała sobie, grzebiąc w szafie i wyjmując najwygodniejsze dżinsy. Jestem wolną kobietą przed trzydziestką. Powinnam co wieczór gdzieś wychodzić, żeby się zabawić. Nawet jeżeli w danej chwili nie mam na to specjalnej ochoty. A dzisiejszy wieczór może okazać się tym, który na zawsze odmieni moje życie!

Nałożyła na twarz podkład Maybelline. Bajgiel siedział na starannie pościelonym futonie, a jego zielone oczy spoglądały z powagą na jej odbicie w lustrze, jakby pochwalały jej wygląd. Raz po raz ziewał przy tym szeroko.

— Przestań, Bajgiel! — Ash upięła włosy w luźny węzeł. — Patrzysz na mnie, jakbyś był moim opiekunem albo kimś, kto uważa, że jest już za późno, żeby być na nogach! Nic dziwnego, że spędzam tyle czasu na tej sofie. Ja tylko wychodzę na chwilę z Jodie. I wcale nie wrócę późno.

Nałożyła luźne dżinsy i podkoszulek z długimi rękawami w odcieniu ciemnego różu, który podkreślał różowość policzków oraz brąz jej oczu. A potem włożyła najcieplejszą kurtkę i ulubione pionierki.

Jak zwykle przed wyjściem dokonała paranoicznego przeglądu mieszkania. Centralne ogrzewanie. Krany. Kontakty. Płyty kuchenne. I, na końcu, alarm.

Szła szybkim krokiem, gdyż było zimno i już czuła, że zaczyna jej marznąć czubek nosa. Ash nienawidziła chłódów, bo ilekroć zmarzła, potrzebowała później całych wieków, by znów się rozgrzać. Energiczny marsz, powiedziała sobie, wymachując rękami w rytm swoich kroków, i omal się nie zderzyła z mężczyzną maszerującym energicznie w przeciwnym kierunku. Warknął na nią, a ona skrzywiła się, nie przerywając swojego dwudziestominutowego spaceru do restauracji. A kiedy wreszcie pchnęła drzwi i owionęła ją fala ciepłego powietrza przesyconego aromatem czosnku, odetchnęła z ulgą.

Jodie zaprosiła na ten wieczór z pół tuzina ludzi. Lista jej gości była, jak zwykle, dość eklektyczna. Ash знаła już Seamusa i Margaret, którzy od czasu do czasu u niej pracowali, studiując jednocześnie w college'u. Nie znała za to Gene'a, który był asystentem kierownika produkcji w TV3, ani Stefanie, fizjoterapeutki, która wprowadziła się do mieszkania Jodie przed kilkoma tygodniami, ani Alistaira, który ostatnio zarobił fortunę, sprzedając większość swoich udziałów w założonej przez siebie firmie technologicznej i który znał się z Jodie od dzieciństwa.

Ash zawsze zastanawiała się, jak, na Boga, Jodie udało się zebrać tak urozmaicone grono przyjaciół. Usiadła pomiędzy Alistairem i Gene'em i pomyślała ze smutkiem, że jej nigdy nie udałoby się zwołać grupy, która nie składałaby się głównie z jej klientów. Mogłaby za to zorganizować zebranie swoich byłych chłopaków, choć nie wiedziała, gdzie większość z nich teraz się podziewa. Mówi się, że Dublin to małe miasto i bez względu na to, gdzie się jest, zawsze można wpaść na kogoś znajomego, ale jej nigdy się to nie przytrafiało. Z drugiej strony, mężczyźni, z którymi się spotykała, rzadko zaprzyjaźniali się z jej bliskimi znajomymi.

— I co o tym myślisz? — Jodie dosiadła się do nich, bo jej występ miał się zacząć dopiero za pół godziny. — Ta zupa z pieczonych śliwek i pomidorów jest fantastyczna.

— Brzmi nieźle. — Ash przebiegła w myślach możliwe składniki. — Ale ten pasztet z sardynek musi być obrzydliwy.

— Mówisz tak, bo nie lubisz sardynek — zaproponowała Jodie. — Ale klienci to uwielbiają.

Ash zmarszczyła nos.

— Dla mnie nie. Dziękuję. Ale spróbuję zupy, i może kajuńskiej zapiekanki.

Jodie uśmiechnęła się do niej.

— To bardzo ostre danie.

— To dobrze — odparła Ash.

— Lubisz ostre potrawy? — Alistair odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, a ona skinęła głową. — Ja też — powiedział. — Tutaj, jak dla mnie, jedzenie nigdy nie jest dość przyprawione. Mieszkałem przez kilka lat w Tajlandii i przyzwyczailem się do naprawdę ostrych przypraw.

— Mnie tajska kuchnia zawsze wydawała się bardziej aromatyczna niż ostra — stwierdziła Ash.

Alistair wzruszył ramionami.

— To chyba zależy od tego, ile chilli się dorzuci.

W restauracji panował tłok. Ash lubiła ten szum, brzęk szkła, widok uwijających się kelnerów i kelnerek. Nie była to droga restauracja, podobnie jak inne lokale w Temple Bar, gdyż obsługiwały one głównie turystów oraz ludzi, którzy chcieli ruchu, a nie przyciszonych rozmów. Ash znacznie bardziej odpowiadała taka atmosfera.

— Gotujesz — odezwał się Alistair, i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Tak — odparła. — Dania ostre, dobrze przyprawione, a także aromatyczne.

Alistair roześmiał się. Zamówili wino i Margaret zaczęła snuć opowieść o kolacji, na której gospodarz domu zasnął przy stole. Seamus przebił ją historyjką o tym, jak szef kuchni z kelnerką bzykali się w spiżarni. Jodie zerkała co jakiś czas na zegarek i ssała pastylki na gardło.

W końcu wstała, żeby zaśpiewać. Za każdym razem, kiedy Ash słuchała jej śpiewu, nie mogła się nadziwić, że tak mocny głos wychodzi z takiej drobnej osóbki. Pomyślała, że tego wieczora Jodie wygląda jak mały skrzat — w ciemnoczerwonych aksamitach i z jaskrawozieloną wsuwką przytrzymującą jej kruczoczarne włosy.

— Chcesz jeszcze trochę? — Alistair znów dolał jej wina. Ash nawet nie zauważyła, że wypila prawie cały kieliszek, a ciągle jeszcze nie podano zupy!

Ale gdy zupa wreszcie pojawiła się na stole, Ash musiała przyznać, że jest wyśmienita, podobnie jak dobrze przyprawione kajuńskie danie. Nie chciała zamawiać deseru, ale reszta towarzystwa rozpływała się z zachwytem nad lodami miodowo-migdałowymi oraz plackiem cytrynowo-malwowym.

Alistair znów napełnił jej kieliszek. Ash zdawała sobie sprawę, że jest już trochę pijana, ale było jej wszystko jedno. Była dziwnie wyluzowana — od wieków nie czuła się taka wyluzowana, miło było również jeść dania, których sama nie przygotowała. Dobrze się przy tym bawiła w towarzystwie Alistaira; był błyskotliwy i zabawny i nie sprawiał wrażenia człowieka, który może kupić całą restaurację, nie mówiąc już o posiłku.

— Więc co zrobiłeś z pieniędzmi, które dostałeś za swoje akcje? — zapytała go w końcu. — Pamiętam, że czytałam o tej transakcji w gazetach.

— Interesujesz się biznesem? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— Szczerze mówiąc, nie. Jednak sprzedaż Archangela przyciągnęła powszechną uwagę. Podobnie jak ty!

— Wiem. Ale dla mnie okazało się to bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem — stwierdził z żalem. — Na szczęście od tamtej pory wydarzyło się tyle ciekawych rzeczy, że wszyscy zapomnieli o mnie i o moich pieniądzach.

— Więc na co je wydałeś? — powtórzyła.

— Niedużo wydałem, jak na razie — powiedział. — Trochę zainwestowałem w akcje. Spłaciłem kredyt. Kupiłem samochód.

— Jaki?

Alistair uśmiechnął się.

— Audi TT. Wprawdzie nie najbardziej szpanerski, na jaki było mnie stać, ale go lubię.

Ash roześmiała się.

— Mój kuzyn marzy o takim wozie. Mówi, że to magnes na dziewczyny.

— Mężczyźni mogą sobie uważać, że to magnes na dziewczyny, ale pytanie brzmi, czy kobiety tak uważają.

— Myślę, że tak — odparła z powagą. — Choć kilka tygodni temu byłam na imprezie, gdzie żona powiedziała mężowi, że kupno takiego auta nie ma sensu, bo zakupy nie zmieszczą jej się do bagażnika.

— Dobrze, że to nie moja żona — stwierdził ze śmiechem. — Z drugiej strony, ona chyba ma rację. Bagażnik nie jest taki znów olbrzymi.

— Ten model jest też kompletnie niepraktyczny — dorzuciła Ash. — Nie ma z tyłu foteli.

— Bardzo niepraktyczny, jeżeli magnes zadziałał i jedziesz z dziewczyną — przyznał.

— Gdzie mieszkasz? — spytała.

— Islandbridge — odparł. — To niezbyt daleko.

— Przyjechałeś samochodem? Potrząsnął głową.

— Czułem, że wyłopię kilka butelek wina, więc pomyślałem sobie, że lepiej nie. Sama wiesz, że jak się jedzie sportowym wozem, ma się dwa razy większą szansę, że cię zatrzymają. I nawet gdybym wypił tylko jeden kieliszek, kazaliby mi dmuchać w balonik.

— Szkoda — stwierdziła Ash. — Pozwoliłabym ci odwieźć się do domu.

— Może innym razem? — powiedział.

— Może. — Tej nocy dobrze się z nim bawiła, ale nie była wcale pewna, czy ma ochotę na następny raz.

Jodie podeszła do stolika z szerokim uśmiechem.

— No i jak?

— Byłaś fantastyczna — zapewniła ją Ash. — Świetna, jak zawsze.

— Dzięki — powiedziała Jodie.

— Absolutnie cudowna — dorzuciła Stefanie. — Żałuję, że nie umiem śpiewać, ale nie potrafię zapamiętać żadnej melodii.

— Ja też nie. — Ash naląła Jodie kieliszek wina. — Zdrówko!

— Zdrówko!

Wtedy właśnie Ash zobaczyła Cordelię Carroll w towarzystwie dwóch panów. Z początku rozpoznała tylko twarz, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto to, a potem dotarło do

niej, że patrzy na dziewczynę, z którą Dan Morland chce się ożenić. Oczywiście, o ile wyszli poza etap wstępnych rozmów zaręczynowych. Biedny Dan, pomyślała. Chciał, żeby wszystko odbyło się idealnie. Patrzyła na roześmianą, dowcipkującą Cordelię i zastanawiała się, kiedy miała jechać do Stanów. A potem zobaczyła, jak Cordelia sięga po butelkę wina i światło odbija się od pierścionka na serdecznym palcu jej lewej ręki. Był to pierścionek z dużym, ciemnym kamieniem, otoczonym diamentami, iskrzącymi się i migoczącymi w świetle lamp.

Najwyraźniej wyszli poza fazę wstępnych rozmów, pomyślała i ucieszyła się, ze względu na Dana, choć nadal miała wątpliwości, czy postąpił słusznie. On, oczywiście, tak uważał. Podobnie jak Cordelia, bez względu na to, co mówiła o swojej karierze zawodowej. Może w życiu przychodzi taki czas, kiedy powinno się porządnie popracować nad związkiem, żeby zmienić go w coś trwałego, bez względu na wszystko. Potrafiła zrozumieć, dlaczego Dan chciał tego z Cordelią, która była absolutnie zachwycająca. Ona sama marzyłaby o takich szarozielonych oczach i o gęstych, kasztanowych lokach, gdyż nie lubiła swojego koloru włosów. Była święcie przekonana, że blond to najbanalniejszy kolor na świecie, nie mówiąc już o tym, że ludzie gotowi byli przykleić ci etykietkę głupiej jak but tylko dlatego, że nie jesteś brunetką. Poklepała się po głowie.

— Chętnie wyjąłbym tę spinkę — wyszeptał Alistair.

— Słucham? — Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Chciałbym wyjąć tę spinkę i rozpuścić ci włosy — powiedział. — Jestem pewny, że wyglądałyby ślicznie.

— Wyglądałyby jak włosy — ucięła. A potem uśmiechnęła się. — Przepraszam. Nie chciałam być opryskliwa.

— Nie ma sprawy. — Alistair napełnił jej kieliszek, a jego ręka otarła się o jej rękę. Może to on, pomyślała nagle. Może to ten, nad którym warto popracować. Jest atrakcyjny, wydaje się miły, i jest nadziany! Czego można chcieć więcej? Westchnęła. Czy Julia też tak myślała? Kiedy poznawała Dene'a albo Willa, albo Grega, albo Tyke'a? Czy ona też myślała, że są atrakcyjni, mili i nadziani?

— Co robisz na Boże Narodzenie, Ash? — Jodie nagle przerwała jej rozmyślania.

— Idę, jak zwykle, do Molly — odrzekła. — Ona uwielbia święta i lubi mieć nas wszystkich przy sobie. A ty?

— Wybieramy się na imprezę charytatywną do Forty Foot — powiedziała Jodie. — Najpierw będzie pływanie, a potem restauracja zaprasza na zupę i kanapki. Jeżeli chcesz, możesz się do nas przyłączyć.

— Podoba mi się pomysł z zupą i kanapkami. — Ash uśmiechnęła się. — Ale nie nurkowanie w morzu w pierwszy dzień świąt. Nie wiem, jak wy to wytrzymujecie.

— Postawisz na mnie? — zapytała Jodie. — Funta za każdą minutę w wodzie?

— Jasne, nie ma sprawy. Wolę już dać ci te pieniądze, niż zamarznąć na śmierć.

Po godzinie i jeszcze kilku kieliszkach wyszli wreszcie z restauracji i rozpierzchli się po ulicy. Seamus i Margaret podtrzymywali się nawzajem, chichocząc jak dzieci, i próbowali zatrzymać taksówkę. Stefanie prawie spała na ramieniu Gene'a. Alistair wydawał się całkiem trzeźwy, ale miał szkliste spojrzenie. Ash kręciło się w głowie i tylko Jodie, która bardzo mało wypila, wydawała się OK.

— Chodź, Steff. — Pociągnęła koleżankę za rękę. — Czas do domu. — Stefanie cicho jęknęła, ale posłusznie poszła za Jodie. — Zobaczymy się w poniedziałek, Ash. U Butlera, tak?

Ash ziewnęła i skinęła głową. Gene, pozbawiony Stefanie, nagle jakby kompletnie wytrzeźwiał i pożegnał się ze wszystkimi.

— Chcesz obejrzeć samochód? — Alistair odwrócił się do Ash.

— Co?

— Audi TT. Chcesz go obejrzeć?

— O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że zostawiłeś wóz w domu — powiedziała.

— Bo zostawiłem — przyznał. — Czy to znaczy, że nie możesz przyjść i rzucić na niego okiem?

— A po co, skoro i tak nie możesz teraz prowadzić?

— Pomyślałem sobie, że może chciałabyś w nim posiedzieć — odparł. — Miło się w nim siedzi.

— Dzięki — powiedziała — ale chyba nie.

— To może wpadłabyś do mnie na kawę? — zaproponował. Potrząsnęła głową.

— A do klubu nocnego? — zapytał.

— Naprawdę dziękuję, Alistair.

— Czy jestem aż taki okropny? Westchnęła.

— Oczywiście, że nie. Ale chcę już wracać do domu.

— Jaka szkoda — stwierdził z żalem. — Chciałem zrobić coś szaleńczo impulsywnego.

— Ja nie kieruję się impulsem — oświadczyła Ash. — Każdy ci to powie.

— Ale dlaczego?

— Lubię zaplanować swoje impulsywne momenty. — Zadrżała uderzona nagłym podmuchem zimnego powietrza i szczelniej owinęła się kurtką. — Muszę już iść.

— Odprowadzić cię? — zapytał.

— Nie — zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała. — Nie — powtórzyła, tym razem łagodniej. — Lubię chodzić sama. — Oj, Ash, pomyślała nagle, jeżeli próbujesz być miłsza dla mężczyzn, jeżeli próbujesz poznać bliżej tego akurat, bo może to właśnie Ten, bo jest atrakcyjny i miły, i nadziany, źle się do tego zabierasz.

— To musi być spory kawałek — nie ustępował Alistair. — Poza tym tak późno w nocy...

— Co z tego, że tak późno w nocy? Na ulicach jest ruch. Poradzę sobie. Dzięki, Alistair, ale chcę być sama. — Może i miała ochotę poznać go lepiej, a może nie. Ale nie tej nocy.

— Mogę do ciebie zadzwonić? — zapytał.

— Jasne.

— Wobec tego daj mi swój numer.

— Ach, rzeczywiście. — Ash wyjęła z torebki wizytówkę i podała ją Alistairowi.

— Aisling O'Halloran, Celtycka Kuchnia Marzeń — przeczytał. — Czy to prawda?

— Ale co?

— Że to kuchnia marzeń.

— Niektórzy tak uważają.

— Może cię kiedyś poproszę, żebyś coś dla mnie ugotowała — powiedział.

— Mam najwyższe stawki.

— Stać mnie na to, żeby ci zapłacić — stwierdził, a potem pomachał na przejeżdżającą taksówkę, która zatrzymała się o kilka metrów dalej. — Będę w kontakcie — dodał, wsiadając

— Tak. Dobrze. — Ash popatrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem, a potem zawróciła na wschód, w stronę swojego domu, swojego futonu i swojego kota.

Rozdział 8

Lekarstwa na kaca

Krople nasercowe z lubczyka. Schłodzony Perrier. Fruktoza. Rosół z kurczaka. Klin.

Dan wyciągnął rękę i wcisnął guzik budzika. Jeszcze tylko pięć minut, pomyślał, naciągając kołdrę na ramiona. Jeszcze pięć minut, a potem z radością wstanę i pójde do pracy.

Minęło jednak znacznie więcej niż pięć minut, zanim znów otworzył oczy. Tym razem obudził się od razu i usiadł zaszokowany, bo niejasno pamiętał, że już wcześniej wyłączał budzik. W głowie mu dudniło, a jego język zdawał się przyrośnięty do podniebienia. Jęknął i ostrożnie odwrócił się, żeby popatrzeć na zegarek.

— Cholera! — zaklął głośno. — To nie do wiary!

Zazwyczaj wstawał przed siódmą, tak by najpóźniej o ósmej zasiąść przy swoim biurku. Dość często pojawiał się w biurze nawet przed wpół do ósmej. Ale nie tego ranka. Było już wpół do ósmej, a myśl, że miałby wstać z łóżka, wydała mu się przerażająca. Energicznie potarł rękami twarz, ale skutek był taki, że poczuł się jeszcze gorzej.

Nie powinienem był wychodzić ubiegłej nocy z Peterem i Doniem, powiedział sobie. Obaj pracowali w domu i dla nich nie miało to najmniejszego znaczenia, że przesiedzieli w nocnym klubie do trzeciej nad ranem. Jest to natomiast dość istotne dla kogoś, kto powinien usiąść za biurkiem niespełna pięć godzin później. A Dan wiedział, że jest niezdolny do życia, jeżeli nie prześpi co najmniej sześciu godzin.

Stracił kołdrę z łóżka i zataczając się, dotarł do łazienki. Ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony, a pod oczyma miał czarne worki. W łazience otworzył szafkę i wyjął kilka tabletek Solpadeiny. I nagle uświadomił sobie, że nie może już więcej robić takich numerów. Nie da się chodzić do klubów w tygodniu — zwłaszcza na początku tygodnia — a nazajutrz wstać z łóżka i czuć się normalnie. Czuję się jak ostatni łachmyta, pomyślał. I wyglądam jak łachmyta. Z przerażeniem przypomniał sobie też, że ma spotkanie z Rossem Fearonem o godzinie dziewiątej! Rany boskie! Połknął tabletki na sucho. Czytał kiedyś powieść o Jamesie Bondzie, w której 007 zażył środek przeciwbólowy na sucho, i doszedł do wniosku, że to bardzo w stylu macho. Liczył też na to, że ich okropny smak sprawi, że nie zechce się już upijać jak idiota. Tak się jednak, niestety, nie stało. Poza tym, powiedział sobie, stojąc pod prysznicem, śmieszne jest zażywanie tabletek na sucho, kiedy już jest się odwodnionym. Mimo to ta-

bletki działały. Na ogół. Bo tym razem czuł, że bólu głowy nie da się odpędzić kilkoma pastylkami.

Co oni sobie właściwie myśleli? A raczej co on sobie wyobrażał, bo ta cholerna noc to był jego pomysł. Cordelia poleciała do Stanów w sobotę. Resztę dnia spędził w samotności, użalając się nad sobą. Niedziela była jeszcze gorsza. Wprawdzie próbował sobie wytłumaczyć, że nie zawsze spotykali się z Cordelią w niedzielę, więc czemu miałby czuć się tego dnia szczególnie samotny? Ale niczego to nie zmieniło. Nienawidził myśli, że jest w Stanach i robi różne rzeczy, i to bez niego. W końcu zadzwonił do swoich dwóch najlepszych przyjaciół i zaproponował, żeby pójść razem na piwo. Kilka drinków powinno go uspokoić i sprawić, że przestanie czuć się jak mięczak, bo tęskni za swoją pieprzoną dziewczyną. Swoją pieprzoną narzeczoną, oczywiście! Pierścionek z brylantami i szafirem, jaki sobie wybrała, kosztował majątek.

Donie i Peter uznali, że nocna popijawa to świetny pomysł, i stawili się u McDaida gotowi do akcji. Dan nie mógł sobie przypomnieć, ile wypił w pubie, zanim zostali nieomal wyrzuceni siłą, bo pub już się zamykał. A potem poszli do klubu nocnego.

Musiał przyznać, że terapia poskutkowała. Udało mu się do tego stopnia oderwać od rzeczywistości, że kompletnie zapomniał i o Cordelii, i o dzisiejszym porannym spotkaniu, i o wszystkim z wyjątkiem uczucia najwyższej przyjemności płynącej z faktu, że ubzdryngolił się jak ostatnia dupa.

Wycisnął na szczoteczkę do zębów trochę pasty Aquafresh. Miętowy zapach przyprawił go o mdłości. Niezdecydowany postąpił przez chwilę przy umywalce, a potem zgiął się w pół nad toaletą, gdzie zwymiotował wszystko, co wypił tej nocy, i dodatkowo doner kebab kupiony w drodze do domu.

Ty skończony idioto, pomyślał, kładąc głowę na chłodnej ceramice rezerwuaru. Co ty sobie właściwie wyobrażałeś?

Kiedy poczuł, że nie będzie już więcej wymiotował, opłukał szczoteczkę i wyczyścił zęby bez pasty. Potem wrócił do sypialni i szybko się ubrał. Wybrał garnitur od Armaniego, zakładając, że jeśli będzie dobrze ubrany, Ross może nie zauważy jego upiornej bledkości i oczu nabiegłych krwią. Zgarnął wełniany płaszcz z poręczy, na którą cisnął go poprzedniego wieczoru i pobiegł do samochodu.

Był spóźniony. A w mieście panował straszliwy ruch. Wcisnął przycisk komórki i zadzwonił do biura.

— Strasznie przepraszam, Ross — krzywiąc się, powiedział do dyrektora naczelnego. — Będę tak szybko, jak tylko to możliwe. Utknąłem w najokropniejszym korku.

— Czemu nie przyjechałeś wcześniej? — zapytał surowo Ross. — Przecież wiesz, że mam następne spotkanie o dziesiątej.

— Przepraszam — powtórzył Dan. — Ten cholerny budzik nie zadzwonił — dodał i skrzywił się na to ewidentne kłamstwo.

— Och, już dobrze. Ale jak tylko przyjedziesz, chcę cię widzieć w moim gabinecie.

— Jasne. Absolutnie. — Dan uświadomił sobie, że się poci. Nie z nerwów, z powodu rozmowy z Rossem — Ross może sobie być dyrektorem naczelnym, ale poza tym są dobrymi przyjaciółmi. Kropelki potu (jak sądził, czysty alkohol) były reakcją na minioną noc. I jeszcze to nagle wspomnienie dziewczyny z ubiegłej nocy. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Może mu nie powiedziała, jak się nazywa, ale zdawało mu się, że raczej tak. Była wysoką blondynką, dumną posiadaczką powiększonej chirurgicznie klatki piersiowej i przypominała mu lalkę Barbie, jaką kiedyś bawiła się jego siostra bliźniaczka, Bronwyn. Myślał o niej jak o Barbie, bez względu na to, jak było jej na imię. Miała na sobie krótką sukienkę z czarnej lycry, ściśle przylegającą do wszystkich krągłości jej niewiarygodnego ciała, i — z tego, co mu mówiła — nic poza tym, oprócz oblamowanych futrem czarnych botków, sięgających kostki. Pamiętał, jak z nią tańczył — nie, tańczył to kompletnie niewłaściwe słowo. Muzyka grała, nocny klub drżał w posadach, a on poruszał się obok niej w jakimś chaotycznym rytmie, ale nawet przy maksymalnym wysiłku wyobraźni nie można było nazwać tego tańcem. A potem ona zarzuciła mu ręce na szyję, przytłaczając go zapachem swoich perfum. Nie potrafił ich rozpoznać, ale ich zapach był słodki aż do przesytu. Pocałowała go mocno i przeciągle, a wtedy on ją objął, bo nie wiedział, co robić, i — szczerze mówiąc — podobało mu się to, że wysoka blondynka, z ciałem, jakie normalnie ogląda się tylko na ekranach kin, zapragnęła pocałować właśnie jego, Daniela Morlanda, którego narzeczona dała dyla do Ameryki, żeby się zmierzyć z tamtejszymi chłopakami na schwał.

Barbie w końcu oderwała się od niego i mruknęła mu coś do ucha. A on nareszcie otrzeźwiał, choć nie miał zielonego pojęcia, co powiedziała. Mimo zachęcających spojrzeń Donniego i Petera wyplątał się z objęć Barbie i poszedł do domu. Sam.

Na myśl o tym, że wrócił do domu sam, odetchnął z ulgą. Nie pamiętał, co stało się z tą dziewczyną i jak się z nią rozstał; był tylko szczęśliwy, że tak się stało i że nie zrobił nic, czego by później gorzko żałował.

Potarł czoło, skrzył nad kanał i włączył się w kolejne wijące się pasmo ruchu.

Boże, pomyślał, co by było, gdyby Cordelia się o tym dowiedziała? Nie mógł sobie co prawda wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się dowiedzieć, że był w zwarcu z blond seksbom-
bą (nawet jeśli jej odrosty domagały się lekkiego retuszu), nie sądził jednak, by go zrozumiała. Kiedy dziewczyny czują się samotne i zranione, spotykają się z innymi dziewczynami, żeby o tym porozmawiać. Dan wiedział to, bo tak właśnie robiła Bronwyn. Ale kiedy on czuł się zra-
niony, spotykał się z innymi chłopakami, upijał się i próbował szczęścia z każdą dziewczyną,
jaka mu się nawinęła pod rękę. Co było dość okropne, jeśli o tym pomyśleć w ostrym świetle
dnia. Potrząsnął głową. Ból objął mu się o czaszkę. Cóż, teraz ponosił za to karę.

Na Pearse Street był, jak zwykle, ogromny ruch. Uwięziony pomiędzy przyczepą cięża-
rówki a wozem dostawczym wdychał spaliny i żałował, że nie mieszka bliżej biura. Prawdę
mówiąc, nie mieszkał aż tak daleko i gdyby zadał sobie trochę trudu i zrobił to, co czasami so-
bie obiecywał, jak na przykład kupno roweru, jazda do pracy zajmowałaby mu o połowę mniej
czasu. Ale ja jestem mięczak, mruknął, wrzucając bieg swojego Saaba. Rozlazły, trzydziesto-
trzyletni, skacowany mięczak.

W końcu przejechał przez most i skrzył wzdłuż rzeki Liffey. Spojrzał za siebie ku połu-
dniowej stronie miasta i niespodziewanie pomyślał o Ash O'Halloran, kucharce z niebywałą
przeszłością, która po jego zaręczynowej kolacji okazała się taka miła i wyrozumiała i która
pewnie spała teraz w swoim mieszkaniu, położonym tak cholernie blisko centrum finansowego,
a przecież nawet tam nie pracowała!

Tak naprawdę Ash nie spała już od szóstej rano. Obudziła się nagle z sercem głucho ło-
mującym w piersi, przekonana, że ktoś jest w mieszkaniu. Długo leżała bez ruchu, zastygła z
przerażenia, a potem usłyszała skrobanie i dotarło do niej, że to Bajgiel jest za drzwiami i pró-
buje dostać się do środka sypialni.

Wstała z łóżka i owinęła się frotowym szlafrokiem.

— Ty potworze, przez ciebie mało nie umarłam ze strachu.

Bajgiel nie zwrócił na nią uwagi, tylko wskoczył z wdziękiem na futon i przetoczył się na
grzbiet.

— Nie myśl sobie, że cię podrapię pod brodą — poinformowała go, jednak przysiadła
obok i pogłaskała go po głowie, a on zaczął mruzczyć jak szalony. Ash kichnęła. — Zaczynam
mieć na ciebie alergię — powiedziała.

Naciągnęła kołdrę i znowu się położyła. Mruczenie uspokajało ją, a zarazem napełniało poczuciem winy, że wpuściła Bajgla do sypialni. Sama ustanowiła zasadę, że nie wolno mu tam przebywać, kiedy ona śpi, była to jednak zasada, którą regularnie łamała, a potem miała to sobie za złe. Molly nie była zwolenniczką trzymania zwierząt w domu i Ash nadal nie potrafiła tak do końca uwierzyć, że w swoim mieszkaniu może robić, co jej się żywnie podoba.

— Mam dziś lunch na dziesięć osób — zwróciła się do Bajgla. — Na szczęście z nadgarstkiem Jodie jest już lepiej. — Raz jeszcze przebiegła w myślach menu. To dobre menu, jak na tę porę roku, pomyślała. Zupa z pieczonych pomidorów (przepis, z którego korzystała na długo przedtem, zanim wpadła do restauracji Jodie i spróbowała pomidora ze śliwką!), wieprzowina po hiszpańsku z oliwkami, serwowana z ratatują, a na deser brzoskwinie na ciepło. Lunch odbywał się w jednym z banków, który nie zaliczał się do jej regularnych klientów, dlatego szczególnie ucieszyła ją okazja, że będzie mogła coś dla nich przygotować. Następnego dnia miała lunch u Chathama. Ale nie dla partnerów, tylko dla klienta, który (jak wywnioskowała z plotek) zamierzał wprowadzić swoją firmę na giełdę. Na myśl o Chathamie, a zwłaszcza o Danie Morlandzie, ziewnęła. Rozmawiała z nim raz czy dwa od tej kolacji z Cordelią i był dla niej niezwykle ciepły i przyjazny. Musiał też być zażenowany, zważywszy na to, jak się potem upił i jak zakończyła się ta zaręczynowa kolacja. Cordelia pewnie postąpiła słusznie, jadąc do Stanów, pomyślała, ale mimo wszystko było jej trochę żal Dana, że go tak zostawiła.

Resztę tygodnia także miała zajęta. Tego wieczoru wychodziła z Alistairem i był to jej jedyny wolny wieczór w tym tygodniu, bo miała zamówienie na kolację w czwartek wieczorem oraz lunch i kolację w piątek. Potem musiała wymyślić menu na sobotnie przyjęcie. Część dań już przygotowała i zamroziła, ale zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Listopad i grudzień zawsze oznaczały gorączkową pracę, w miarę jak rozkręcał się sezon na przyjęcia.

Bajgiel stoczył się z niej i zaczął łagodnie pochrapywać. Ash przysłuchiwała się temu z uśmiechem. Lepszy już kot niż jakiś facet, którego musiałabym przewracać na bok, żeby przestał chrapać. Lepszy niż Alistair Brannigan? Uśmiechnęła się do siebie. Odkąd poznali się w restauracji u Jodie, dzwonił do niej dwa razy, żeby ją gdzieś zaprosić. Niestety, wieczory, które zaproponował, miała akurat zajęte, a on na odmianę był zajęty w te dni, które ona zasugerowała. Powiedział, że trudno, że z pewnością uda im się spotkać któregoś dnia, i nie odzywał się przez kilka tygodni. Aż wreszcie w piątek wieczorem przysłał jej e-maila z zaproszeniem na premierę filmu, który, jak to określił, może być kolejną przechadzką po ścieżkach trudnego irlandzkiego dzieciństwa. Film został określony jako coś pomiędzy *Prochami Anieli* i *The Com-*

mitments, i miał jakoby być bardzo zabawny. Tak czy inaczej, pomyślała Ash, wygląda na to, że ludzie lubią słuchać o trudnym irlandzkim dzieciństwie. A może po prostu o trudnym dzieciństwie, kropka. Może człowiek chce wierzyć, że inni mieli jeszcze gorzej.

Zgodziła się pójść na tę premierę, bo jeszcze nigdy nie była na żadnej premierze, a także dlatego, że e-mail od Alistaira był zabawny, a ona nagle nabrała ochoty na jakieś wyjście. Uczucie, że już nigdy nie zechce wyjść z żadnym mężczyzną (przeżywała to zawsze, kiedy z kimś zerwała) ustąpiło, a ona była w nastroju, żeby się trochę rozerwać. Dlatego zadzwoniła do Alistaira, a on jej powiedział, że po kinie pójdą na kolację do restauracji „Tea Rooms” w Clarence*, więc będzie miała mnóstwo okazji, żeby pospiegować konkurencję.

* Clarence Hotel — istniejący od roku 1852, a do roku 1992 należący do członków zespołu U2.

— Dlaczego wszystkim się wydaje, że spędzam życie, szpiegując konkurencję? — zapytała Alistaira. — Ja z nikim nie konkuruję. Nie potrzebuję też kulinarnych pomysłów z Clarence'a! (Choć w głębi duszy musiała przyznać, że robili fantastyczne risotto z pieczarkami).

Alistair roześmiał się na to i powiedział jej, że nie będzie musiała jeść, jeżeli nie będzie miała ochoty. Kolacja miała być sponsorowana przez jedną z firm, które doradzały mu w trakcie sprzedaży jego spółki, więc to nie on będzie płacił i nie obrazi się, jeżeli ona niczego nie tknie.

Ash pomyślała, że może być nawet niezła zabawa. Odsunęła Bajgla na bok i wstała z łóżka. To dobry pomysł, by wyjść i trochę się zabawić, nim dopadną ją stresy listopada i grudnia.

Wzięła prysznic, ubrała się, a potem zalogowała się w swoim komputerze i przejrzała e-maile. Dostała dwa od klientów, potwierdzających liczbę gości na kolacji w przyszłym tygodniu, oraz jeden od Alistaira.

„Cześć, cześć!” — przeczytała. „Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o naszej randce. Podjadę pod Twój dom — taksówką, nie audi, niestety — o siódmej. Cieszę się, że Cię znów zobaczę. Znacznie bardziej niż na siedzenie w kinie i oglądanie skutków wpływu trudnego irlandzkiego dzieciństwa na psychikę jednostki. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy darować sobie filmu i zjeść zamiast tego kolacji. Co Ty na to? Alistair”.

Uśmiechnęła się.

„Nie sędzę, żeby ucieczka z kina spodobala się Twoim firmowym gościom (a tak przy okazji, kto to jest?). Poza tym tak późno nie uda się zamówić stolika na kolację. A tak w ogóle, to cieszę się z góry na tę popijawę z elegancką socjetą”.

Wysłała mu wiadomość. Tak, zdecydowanie cieszyła się na dzisiejszy wieczór. Alistair wydawał się bardzo miłym człowiekiem. Przeczesała palcami włosy. Może dobrze jest nawiązać romans z kimś naprawdę miłym. Może Alistair okaże się właśnie tym, przy którym zdoła wytrwać. Zagryzła wargi, bo nigdy nie była nawet bliska tego, by chcieć przy kimś wytrwać. Bez względu na to, jacy byli mili. Zrywanie z chłopakami przychodziło jej łatwiej niż którejkolwiek ze znajomych dziewczyn. Mogłaby spokojnie pisywać artykuły, jak powiedzieć facetowi „żegnaj”. — *Sto pięćdziesiąt sposobów na rozstanie z kochankiem*, autorstwa Ash O'Halloran. Czasami zastanawiała się, czy nadejdzie kiedyś taki dzień, w którym nie będzie potrafiła powiedzieć „żegnaj”.

Usłyszała miauczenie Bajgla. Wyłączyła komputer i poszła do kuchni. Bajgiel siedział na parapecie i denerwował się, bo chciał wyjść na dwór. Otworzyła okno i patrzyła, jak jednym płynnym ruchem wskakuje na dach i znika za gzymsem.

Posmarowała masłem kromkę niskokalorycznego pieczywa i zjadła ją, czekając, aż zaparzy się kawa. Lubiła tę godzinę poranka, kiedy było jeszcze spokojnie, a ona mogła z radością wyglądać nadchodzącego dnia.

Szybko wypila kawę, a potem, przed wyjściem, zrobiła zwyczajowy przegląd mieszkania. Mimo to, kiedy była już na parterze, nie mogła sobie przypomnieć, czy wyłączyła komputer. Przystanęła niezdecydowana przed bramą. Nawet jeżeli komputer będzie włączony przez cały dzień, nic się nie stanie

— komputery zostały zaprojektowane tak, by mogły być przez cały dzień włączone. Niemniej jednak myślała o tym z niechęcią. Possała przez moment wargę, a potem wjechała windą na górę.

Oczywiście wyłączyła komputer przed wyjściem. Stało się to jej drugą naturą. Mimo to poczuła się lepiej, że się upewniła.

— Wyglądasz jak ostatni łachmyta — powiedział Ross, gdy Dan dotarł wreszcie do biura. — Gdzie byłeś ostatniej nocy?

— Zabalowałem z kumplami — wyjaśnił Dan. — A potem zrobiło się późno.

— Jak późno?

— Wystarczająco późno.

— Nie mogłeś ich jakoś spławić? Dan westchnął.

— Jak widać nie. Przepraszam, Ross.

— Och, przecież nic się nie stało. Chciałem tylko przejrzeć z tobą konto pani Mullen. Ma się ze mną zobaczyć dziś po południu, a zauważyłem, że posiada kilka akcji, których ceny lecą na łeb na szyję.

— Wiem. — Dan potrząsnął głową. — Ale ona się uparła, żeby kupić akcje tych firm farmaceutycznych, chociaż jej mówiłem, że ich lekarstwa raczej nie mają atestu FDA*. Myślę, że dostała od kogoś tak zwany cynk.

* Food and Drug Administration — amerykańska komisja rządowa do spraw żywności i leków.

Ross pokiwał głową.

— Kiedy ludzie zaczną wreszcie stawiać na uczciwy wzrost wartości akcji, zamiast liczyć na natychmiastowe zyski?

— Wszyscy pragną natychmiastowych zysków — stwierdził Dan. — Tego nigdy nie zmienisz.

— Wiem. — Ross przewrócił stronę segregatora. — A co powiesz na to?

— Evvervescent?

— Tak.

— Poprosiła mnie, żeby znaleźć jej jakąś małą firmę w tym sektorze, bo chciałaby zainwestować. Ona szuka akcji, których ceny mogą spektakularnie wzrosnąć. Wybrałem jej tę firmę, gdyż oferuje dobry produkt. Niestety, akcje spadły, bo rozeszła się wiadomość, że ktoś wypuścił na rynek szybszą i ulepszoną wersję ich najlepiej sprzedającego się programu komputerowego. Ale rozmawiałem z jednym z chłopaków w Nowym Jorku i wygląda na to, że to nieprawda. Dlatego spodziewam się, że te akcje znów pójdą w górę — i może nawet uda jej się zrobić na tym jakieś pieniądze, zanim ceny sięgną dna.

Ross roześmiał się.

— Ciągłe się tego obawiasz?

— Może. — Dan wzruszył ramionami. — Sam trzymam trochę wariackich akcji, więc nie lubię myśli, że rynek mógłby się zawalić. Ale sam wiesz, jak to jest — kiedy się człowiek czegoś najmniej spodziewa... — Potarł skronie. To musiało zawsze trochę potrwać, zanim Solpadeina zacznie działać. Wciąż miał uczucie, że głowę ma ściśniętą w imadle.

— Naprawdę wyglądasz koszmarnie — stwierdził Ross. — Może jednak powinieneś wrócić do domu.

— Włożyłem tyle wysiłku w to, żeby tu przyjechać — zaprotestował. — A po filiżance kawy dojdę do siebie.

— Mam nadzieję, że do wieczora rzeczywiście dojdiesz do siebie.

Dan otworzył szeroko oczy.

— Niby czemu?

— Impreza firmowa? Premiera?

— Jaka prem... o, do diabła, ten cholerny film.

— Tak — powiedział Ross. — I nie wolno ci o nim myśleć jako o cholernym filmie. To świetna okazja, by podjąć naszych najlepszych klientów.

Dan jęknął.

— Nienawidzę naszych najlepszych klientów.

— Lepiej im tego nie mów — powiedział Ross. — Masz się nimi zająć i pokazać im, że ci na nich zależy.

— W tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby nie zasnąć. — Dan nie mógł uwierzyć, że zapomniał o premierze. Było to jedno z większych wydarzeń rozrywkowych w tym roku. Będzie musiał siedzieć przez cały ten cholerny film i być miły dla ludzi, pomyślał zgnębiony, a tymczasem marzę tylko o jednym, żeby się walnąć do łóżka.

— Weź sobie butelkę Powerade'a albo Red Bulla — zasugerował Ross. — To cię postawi na nogi. O wiele skuteczniej niż kawa. I weź trochę tej cholerne Solpadeiny albo czegoś w tym rodzaju.

— Dobra myśl. — Dan wstał. — Później pogadamy.

Ross miał rację co do napojów, nawet jeśli trochę się spóźnił z propozycją, by zażyć jakiś środek, pomyślał Dan, wracając do swojego biurka. Zdecydowanie potrzebował czegoś, co by go nawodniło i dodało mu energii. Bo w tej chwili był słaby jak mucha.

— Hej, Debbie! — Skinął na jedną z asystentek z administracji.

Podeszła do niego i przysiadła na skraju biurka.

— Wyglądasz jak ostatni łachmyta — powiedziała mu.

— I tak się też czuję.

— A dziś wieczorem jest premiera.

— Wiem. Wiem. Roześmiała się.

— Weź coś na to.

— Połknąłem wcześniej kilka tabletek Solpadeiny — powiedział. — Nic mi nie będzie. Ale straszliwie mnie suszy. Bądź dobrą kumpelką i skocz po coś dla mnie. Kup coś, co doda mi wigoru.

— To nie moja praca — powiedziała, ale oczy jej się śmiały.

— Och, proszę cię.

— Dla ciebie wszystko, Danie Morland — powiedziała. — Ale tylko dlatego, że cię lubię.

— Dzięki — odparł i osunął się na biurko.

Rozdział 9

Jagnię w sosie kaparowym

Kotlety jagnięce, sól, pieprz, sok z cytryny, mąka, posiekana pietruszka, posiekane kapary, młode ziemniaki.

Dusić mięso z ziemniakami na patelni z wodą i solą. Kiedy będą ugotowane, zdjąć z ognia i trzymać w ciepłe. Zmieszać mąkę z zimną wodą, dodać do gotującego się płynu. Doprowadzić do wrzenia i zmniejszyć płomień. Dodać kapary, sok z cytryny i pietruszkę. Polać mięso sosem. Podawać z ziemniakami.

Ash wróciła do domu znacznie później, niż zakładała. Lunch bardzo się przeciągnął, po części dlatego, że goście zasiedli do stołu z niemal godzinnym opóźnieniem, a po części dlatego, że strasznie się ze wszystkim grzebali. Żeby ich ponaglić, kazała Jodie jak najszybciej posprzątać talerze ze stołu, ale skutek okazał się mierny. Z drugiej strony, nie chciała ich za bardzo poganiać, gdyż byli to nowi klienci i zależało jej na tym, by zrobić na nich dobre wrażenie.

I zrobiła, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Kobieta, która zatrudniła ją w imieniu banku, wręczając czek, podziękowała jej wylewnie i obiecała więcej zamówień na przyszłość. Kłopot polegał na tym, że lunch odbywał się w biurach na drugim końcu miasta, a właśnie zaczął padać deszcz i za żadne skarby świata nie można było znaleźć wolnej taksówki. Koniec końców dojechała autobusem do centrum, a potem na przemian to biegnąc, to idąc wzdłuż nabrzeża, dotarła wreszcie do domu, klnąc pod nosem przez całą drogę.

Nogi miała przemoczone i zrobił jej się pęcherz na małym palcu, ale przynajmniej jest już w domu, myślała, pędząc po schodach na górę. Prawie natychmiast Bajgiel pojawił się w oknie, więc go wpuściła.

— Przyniosłam ci trochę kaczki — powiedziała, kiedy zaczął się ocierać głową o jej łydki. — Mam nadzieję, że będzie ci smakowała; jest lekko uwędzona.

Nałożyła trochę mięsa do miseczki i zostawiła kota, który jednocześnie jadł i mruczał, a sama poszła na górę, żeby wziąć prysznic i się przebrać. W gotowaniu najgorsze jest to, pomyślała, zdejmując przez głowę bawełniany podkoszulek, że ubrania zawsze cuchną jedzeniem. Wrzuciła bluzkę do kosza z brudną bielizną i weszła pod prysznic.

Biorąc pod uwagę jej dość skromną garderobę, decyzja, w co ubrać się na ten wieczór, nie była trudna. Jeszcze przed wyjściem do pracy wybrała jedwabną sukienkę w kolorze fuksji z dodatkami w odcieniu cukierkowego różu. Tego lata, kiedy ją kupiła, nosiła ją do bladoróżowych sandałków na półszpilce. Jednak tego wieczoru temperatura na dworze oscylowała koło zera, dlatego postanowiła nałożyć swoje jedyne botki — z ciemnoszarego zamszu.

Usiadła przed lustrem i wysuszyła włosy suszarką, żałując, że nie ma czasu, by pomalować paznokcie. Bała się, że nawet z tak zwanym szybko schnącym lakierem skończyłoby się na tym, że by go rozmazała. A dzisiejszego wieczoru absolutnie nie wypadało mieć rozmazanego lakieru na paznokciach. Zaczesała włosy do tyłu i umocowała je srebrnymi i różowymi klipsami w kształcie motylków, a potem otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła naszyjnik i kolczyki ze sztucznych brylantów. Któregoś dnia, powiedziała sobie, zapinając naszyjnik, któregoś dnia kupię sobie prawdziwy.

Nagle naszła ją myśl, że Alistair Brannigan jest pewnie na tyle bogaty, że mógłby jej kupić prawdziwą biżuterię, gdyby tylko zechciała. Musiała przyznać, że to dość kusząca wizja.

Ash żyła w ciągłym strachu, że mogłaby zostać bez pieniędzy. W jej życiu z Julią stan posiadania nie odgrywał większej roli, ale czasami bywało i tak, że musiały walczyć o przetrwanie. Ash nienawidziła walki o przetrwanie. To dlatego odkładała więcej, niż wydawała, i dlatego zawsze miała pieniądze zaoszczędzone na czarną godzinę, której nadejścia wciąż się obawiała. Miło byłoby, pomyślała, wpinając w uszy kolczyki, mieć nieprzyswoicie bogatego chłopaka. Takiego, który chcąc sprawić jej niespodziankę, obsypywałby ją biżuterią. Może wtedy zmieniłaby nieco swój stosunek do życia.

Zaczęła zamykać szkatułkę i nagle zamarła. Perły Julii spoczywały na błękitnym aksamicie wyściełającym pudełko. Zagryzła wargi. Julia kochała te perły; dostała je od chłopaka, z

którym chodziła przed Tykiem. Była szaleńczo zakochana w Gregu, a kiedy ją zostawił, wyrzuciła perły przez okno w łazience, krzycząc, że przynoszą nieszczęście. Julia głęboko wierzyła, że przedmioty mogą przynosić szczęście albo pecha. Jeżeli spotkało ją coś złego, kiedy miała na sobie dane buty albo sukienkę, nigdy więcej ich nie nakładała, dorzucając je do stosu rzeczy pechowych. Czasami stos pechowych ubrań Julii był większy od stosu tych przynoszących szczęście. Przedtem miała także szczęśliwą oraz pechową biżuterię, ale nigdy nie miała prawdziwych pereł. Zapragnęła ich, powiedziała do Ash, gdy spadając, wirowały w powietrzu, choć nie powinna była, bo nie przyniosły jej nic prócz samych nieszczęść.

Tej nocy, gdy Julia siedziała na kanapie i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w telewizor, Ash wyszła do ogródka i pozbierała perły. Co innego wyrzucić fałszywe perły, ale Greg upierał się, że te były prawdziwe, więc pomyślała sobie, że prawdziwe perły mogą jej się któregoś dnia przydać.

Później, po tym jak Julia zginęła w wypadku, Ash pomyślała, że matka mogła mieć, mimo wszystko, rację. Zatrzymała jednak perły, choć bała się je nosić. Na wypadek gdyby to była prawda. Gdyby rzeczywiście przynosiły pecha. Spojrzała na zegarek. Już prawie pora. Wyjęła z szafy szary wełniany płaszcz, wzięła torebkę i poszła zobaczyć, co robi Bajgiel. Spał zwinięty w kłębek na sofie, zakrywając łapkami oczy.

— Bądź grzeczny — powiedziała do niego, sprawdzając urządzenia.

W holu na dole czekała dziesięć minut, zanim wreszcie przyjechał Alistair.

— Dlaczego czekałaś w bramie? — zapytał, kiedy otworzyła drzwi taksówki. — Zaszedłbym po ciebie. Przepraszam, że się spóźniłem, ale to tylko pięć minut.

— Wiem. — Ona sama była gotowa o pięć minut za wcześniej, koniec końców. — Nie czekałam długo. Pomyślałam sobie, że będzie prościej, jeżeli nie będziesz musiał wstępować na górę.

— Zapowiada się fajny wieczór. — Alistair przysunął się bliżej. — Przyjdą też obie gwiazdy filmowe, a to fantastycznie.

— Mogę wiedzieć, co to za impreza? — zapytała.

— Ach, coś tam charytatywnego dla dzieci. — Alistair zmieszał się. — Nie wiem. Nie pytałem. Ale myślę, że wezmę później udział w aukcji.

— Będzie jakaś aukcja?

— Tak — Alistair pokiwał głową. — Pamiątki filmowe. Na przykład slipy Brada Pitta czy coś w tym stylu.

— Żartujesz! — Ash nie była pewna, czy przypadkiem nie próbuje jej nabrać.

— Nie znam szczegółów. Pewnie kilka podpisanych programów. Tak czy inaczej, wszystko w dobrej sprawie. A jeżeli wylicytuję najwyższą cenę, będę miał dobrą prasę, a to świetnie wpłynie na wizerunek mojej firmy.

Ash spojrzała na niego spod oka.

— Myślałam, że sprzedałeś swoją firmę.

— Tylko pakiet kontrolny. Nadal jestem dyrektorem naczelnym. Płacą mi gigantyczną pensję, żeby się utrzymać na rynkach.

— Naprawdę? — zapytała.

— Oczywiście — zapewnił ją. — I nadal bardzo mnie interesuje, co się z nią dzieje.

Taksówka zatrzymała się przed kinem, gdzie już zebrał się tłum, żeby się pogapić na znane osobistości.

— Kazali nam tu być całe wieki przed tymi wszystkimi sławami — powiedział jej Alistair. — Obawiam się, że przyjdzie nam tu siedzieć i godzinami wcinać popcorn, zanim faktycznie zacznie się film.

Ash zachichotała.

— Na koniec będziemy wyglądać jak rozdęte grubasy, a oni wydadzą się jeszcze chudsi niż zwykle.

— Całkiem możliwe — przyznał Alistair.

Ash rozejrzała się po kinie i zmarszczyła brwi. Zobaczyła dyrektora naczelnego Chathama zajmującego miejsce po przeciwnej stronie przejścia, obok swojej osobistej asystentki, Kate. Odwróciła się do Alistaira.

— Kto jest dziś sponsorem?

— Moi maklerzy — powiedział.

— Chatham?

— Tak, Chatham — odparł ze zdumieniem.

— Zdaje mi się, że widziałam dyrektora naczelnego — powiedziała.

— Znasz Rossa Fearona? Skinęła głową.

— Mam rachunek u Chathama. Poza tym są moimi klientami.

— Ty masz rachunek? — Alistair znowu się zdziwił.

— I po co to mówisz?! — rzuciła ostro. — Zupełnie jakbym była za tępą, żeby mieć swój rachunek w firmie maklerskiej. W dzisiejszych czasach dużo ludzi posiada akcje, nie tylko tacy milionerzy jak ty.

— Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało — tłumaczył się Alistair. — Po prostu zdziwił mnie ten zbieg okoliczności.

— Mój rachunek jest niczym w porównaniu z twoim — powiedziała. — Gdyby było inaczej, dostałabym imienne zaproszenie na tę premierę. Mam po prostu kilka akcji. To jedyne ryzyko, na jakie sobie pozwalam.

— Interesujące ryzyko — dorzucił Alistair.

— Raczej nie. — Ash wzruszyła ramionami. — Nie mam aż tak dużo, żeby robiło to większą różnicę. Ale tak czy inaczej, to całkiem ciekawe. Przynajmniej wiem, o czym ludzie rozmawiają, kiedy obsługują przyjęcia dla różnych firm.

— Pewnie przy okazji udaje ci się podłapać różnego rodzaju pożyteczne wskazówki. Powinni byli na tę okazję zamówić catering u ciebie.

— Nie sędzę — stwierdziła z uśmiechem. — Nie przyjmuję zamówień dla tak wielkich grup. — Znowu rozejrzała się po sali i zobaczyła kilku innych pracowników od Chathama. Wśród nich Dana Morlanda, który naprawdę powinien dobrze wyglądać w smokingu, tymczasem wyglądał wręcz okropnie! Miał przeraźliwie bladą twarz i podpuchnięte oczy. Usycha z tęsknoty za Cordelią? Na pewno nie. Zresztą, pewnie i tak codziennie rozmawia z nią przez telefon.

Film był niezły, choć wcale nie tak zabawny, jak trąbiły o tym media. Było jednak dużo zdjęć zapierającej dech w piersiach scenerii hrabstwa Donegal, z niesamowitą muzyką Enyi w tle. Patrząc na przesuwające się napisy końcowe, Ash zastanawiała się, jaki byłby film przedstawiający jej dzieciństwo od jedenastego roku życia, spędzone w domu O'Rourke'ów. Mogliby odtworzyć scenę, gdy Michelle próbowała spuścić z wodą w klozecie jej maleńkiego misia, którego wszędzie ze sobą nosiła, i zalała przy tym cały dom. Ash pamiętała, jak Molly dostała szału i wrzeszczała na Michelle, póki ta nie wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Wtedy Molly objęła ją i powiedziała, że nie warto płakać z tak głupiego powodu, a Ash stała obok i tuliła przemoczonego misia, który był jakby troszkę sfatygowany po tych chrzcinach w muszli.

Zasepiła się. Czasami dzieciństwo wydawało jej się tak odległe, jakby wszystko, co się wtedy wydarzyło, przytrafiło się komuś innemu. Czasami trudno jej było uwierzyć, że została poczęta w zwariowanej hippisowskiej komunie i nie ma zielonego pojęcia, o tożsamości swo-

jego ojca. Pytała, oczywiście, Julię, ale Julia zawsze udzielała wykrętnych odpowiedzi, a Ash przestało w końcu na tym zależeć. Wiedziała, że niektórzy ludzie gotowi byli na wszystko, byle dowiedzieć się czegoś o swoich rodzicach, ale ona nie chciała już niczego wiedzieć. Jaki sens dowiadywać się, że jej ojciec był takim samym nieudacznikiem jak Julia? Albo że w końcu ożenił się z miłą dziewczyną z Kalifornii, o białych zębach i szerokim uśmiechu, i że mają teraz gromadkę własnych, jasnowłosych i opalonych dzieciaków?

Szczerze mówiąc, jej dzieciństwo nie było w sumie aż takie złe. Szkoda tylko, że tak niewiele zapamiętała ze Stanów, a znaczną część czasu spędzonego w Anglii pochłonęła jej troska o Julię — nie czuła się jednak ani nieszczęśliwa, ani niekochana. Nawet kiedy przeprowadziła się do Rourke'ów i zaczęły się wieczne kłótnie z Michelle, mogła być pewna, że Molly ją kocha.

— Ash? Dobrze się czujesz?

Odwróciła się do Alistaira, który przyglądał jej się z uwagą.

— Przepraszam — powiedziała, wślizgując się w palto. — Rozmarzyłam się. Nic mi nie jest.

Jadalnia w Clarence Hotel wyglądała bajecznie. Ash spodobały się świeżo wykrochmalone, śnieżnobiałe obrusy, nowoczesne sztuczce i proste kompozycje kwiatowe. Było to wnętrze bardzo w jej guście.

— Ash! — Kate Coleman spojrzała na nią ze zdumieniem. — Skąd się tu wzięłaś?

— Załapałam się na sępa — poważnie odpowiedziała Ash. Kate spojrzała na nią zdezorientowana.

— Jestem z kimś — Ash wskazała głową na Alistaira.

— Z Alistairem Branniganem! — Tym razem Kate spojrzała na nią z zazdrością. — Chodzisz z Alistairem Branniganem! Wiesz chyba, że on jest wart miliony.

— Wiem — uśmiechnęła się Ash.

— No, no, ale z ciebie cicha woda! — stwierdziła Kate. — Nie wiedziałam. Pewnie zrezygnujesz teraz z pracy i razem będziecie się pławić w luksusach.

— Aż tak dobrze go nie znam — powiedziała Ash.

— Jest fantastyczny. — Kate westchnęła. — Przychodził często do biura, kiedy sprzedawał swoją firmę. Wszystkie miałyśmy świra na jego punkcie.

— Wygląda na miłego faceta — stwierdziła Ash.

— Miłego! — Kate spojrzała na nią zdegustowana. — Jak możesz tak mówić! On jest genialny. Jest o wiele bardziej seksowny niż ci hollywoodzcy pożeracze serc w tym filmie.

— O rany, Kate, nie wiedziałam, że tak cię wzięło! Zawsze myślałam, że jesteś już zajęta.

— No to co? Popatrzeć nie wolno? — Kate roześmiała się. — Tak czy owak, idź już, bo on macha na ciebie. I, Ash, proszę, nie miej żalu, że cię nie zaprosiliśmy. Dziś jest tu tylko wyselekcjonowana grupa naszych największych klientów.

Ash uśmiechnęła się.

— Rozumiem. Nie przejmuj się. Powiedz tylko Rossowi, żeby się miał na baczności, bo nie zna dnia ani godziny, kiedy z zemsty dorzucę mu do talerza ekstraporcję chilli.

Zostawiła Kate i dołączyła do Alistaira, który siedział przy stole z jakimś nieznanym jej mężczyzną.

— Curtis Walsh — przedstawił się nieznanemu, kiedy usiadła obok Alistaira. — Jestem jednym z analityków.

— A, Curtis. — Pokiwała głową. — Czytałam niektóre twoje analizy.

— Naprawdę?

— Mam u was rachunek — wyjaśniła. Alistair uśmiechnął się do niej, a potem zwrócił się do nowo przybyłych gości — znanego przedsiębiorcy budowlanego i jego żony. Curtis wstał, żeby się z nimi przywitać, ale kiedy znów spojrzał na Ash, został odepchnięty przez Maeve Heaney, która rzuciła się na Ash i zaczęła ją ściskać.

— Miło cię znów zobaczyć, Ash — powiedziała.

— I ciebie też, Maeve — odparła Ash. — Jak leci?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Nie zapomniałaś o naszej kolacji ósmego grudnia?

— Oczywiście, że nie — zapewniła ją Ash.

— A to jest...? — Maeve zwróciła się do Alistaira.

— Alistair Brannigan — przedstawił się Alistair.

— No tak, rzeczywiście! — Maeve rozpromieniła się. — Byłam udziałowcem w waszej firmie. Zarobiłam kupę pieniędzy, kiedy została sprzedana.

— Miło mi to słyszeć — odparł Alistair.

— Mam nadzieję, że ty też, Ash — powiedziała Maeve. Ash uśmiechnęła się enigmatycznie.

— No więc? — zapytał Alistair.

— Co?

— Miałaś akcje mojej firmy?

— Niestety, nie — odparła. — A zresztą, moje dwieście funtów nie zrobiłoby większej różnicy.

— Miałabyś spory zysk nawet z dwustu funtów — powiedział. Wzruszyła ramionami.

— No cóż, może następnym razem będę miała więcej szczęścia.

— Cześć, cześć! — Dan Morland podszedł do stołu i spojrzał ze zdumieniem na Ash. — Co ty tu robisz?

— No wiesz, Dan! — syknął Curtis. — Ona jest naszą klientką!

Ash stłumiła chichot.

— Jest też kucharką! — rzucił Dan.

— Ale nie dziś wieczorem — powiedziała mu. — Dzisiaj jestem gościem.

— Jest ze mną — odezwał się Alistair.

— Alistair. Cieszę się, że cię widzę. — Dan wyciągnął rękę i spojrzał na nich ze zdumieniem. — Nie wiedziałem, że ty i Ash... Och, Ash, przepraszam.

— My też nie wiedzieliśmy — odezwała się Maeve Heaney. — Niezły strzał, Ash.

— Niezły strzał, Alistair — dorzucił John Heaney.

— Nikt tu nikogo nie ustrzelił — wyjaśniła pospiesznie Ash. — Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Jaka szkoda — mruknął Alistair, kiedy wszyscy znów usiedli.

Ash ukradkiem przyglądała się Danowi Morlandowi. Miał szarą cerę i oczy nabiegłe krwią. Ten człowiek wygląda jak kompletny wrak, pomyślała. To chyba niemożliwe, żeby przyczyną tego była Cordelia? Może faktycznie za nią tęsknił, ale sądząc po tym, jak teraz wygląda, można by pomyśleć, że go porzuciła na dobre, a nie wyjechała, i to zaledwie na kilka miesięcy.

Kelner pojawił się z zakąskami i Ash zobaczyła, że na widok wykwintnej kompozycji z krewetek, którą przed nim postawiono, Dan jeszcze bardziej pobladł. Zaczęła się obawiać, że gotów zemdleć. Było jej go szczerze żal. To byłoby okropne, po prostu okropne, gdyby zasłabł w miejscu publicznym. Było to coś, czego się zawsze najbardziej obawiała. Ilekroć sama wpadała w panikę w miejscu publicznym, umierała ze strachu, że mogłaby zemdleć przy ludziach. Wyobrażała sobie, jak tłoczą się wokół niej, zastanawiając się kim jest i co jej się stało, i roz-

paczliwie próbowała wziąć się, w garść. Teraz patrzyła na Dana, który z najwyższym trudem utrzymywał otwarte oczy.

— Jak tam sytuacja na rynkach, Dan? — zagaiła. — Słyszałam różne rzeczy w wiadomościach tuż przed wyjściem.

Dan otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią ponad stołem.

— Przez chwilę było ciężko — powiedział. — Ale już jest OK.

— A co słyhać w Stanach? — Zanurzyła chlebek szafranowy w przyprawionej oliwie z oliwek.

— Dow dobrze stoi.

Zobaczyła, jak z trudem przełyka, i zaczęła się zastanawiać, czy aby nie jest chory. Może lepiej nic do niego nie mówić, żeby jakoś przetrzymał ten czas, zanim będzie mógł pójść do domu. Jeżeli nie czuje się dobrze, to z pewnością nie ma ochoty na rozmowy. Uśmiechnęła się zdawkowo i znów zwróciła się do Alistaira.

Dan nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuł się tak okropnie. Zażył wprawdzie w ciągu dnia jeszcze kilka tabletek Solpadeiny, tym razem popijając je całymi litrami wody, ale ból głowy ani trochę nie ustąpił. Właściwie, to jeszcze mu się pogorszyło, a siedzenie w tym cholernym kinie przez prawie trzy godziny wcale mu nie pomogło. Zdrzemnął się nawet raz czy dwa w trakcie filmu, ale za każdym razem, ledwie zasnął, budził go głośny hałas albo krzyk na ekranie. To było żałosne. Nigdy więcej, pomyślał. Nigdy więcej nie pójdę z bandą facetów i nie urnę się jak świnia. Naprawdę nie warto.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Ash O'Halloran znowu mu się przygląda, a jej piwne oczy wydają się olbrzymie w jej twarzy o kremowej cerze. Rzuciła mu zdawkowy uśmiech, po czym szybko odwróciła wzrok i zaczęła coś mówić do Johna Heaneya.

Nie spodziewał się, że ją tu zobaczy. Był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że jest dziewczyną Alistaira Brannigana. Nie myślał o niej jako o czyjejs dziewczynie, co było pewnie z jego strony głupotą. Ale ona była kucharką i nawet wtedy, kiedy rozmawiał z nią o jej akcjach, nadal myślał o niej jako o kucharce. O kucharzu nie myśli się jako o kimś, kto ma własne życie. Poza tym była tą właśnie kucharką, która siedziała i wysłuchiwała jego tyrad tej nocy, kiedy wydał kolację dla Cordelii.

Nie mógł uwierzyć, że zawracał głowę tej biednej dziewczynie swoimi skargami i żalami z powodu wyjazdu Cordelii do Stanów. Mój Boże, była przecież u niego służbowo, w pewnym konkretnym celu; nie jest jego bliską przyjaciółką czy kimś w tym rodzaju. A on opowiadał jej

o swoich rodzicach, czego nigdy nie robił. Na szczęście nie ciągnęła go zbyt za język. Bogu dzięki!

Kiedy nazajutrz wytrzeźwiał, myślał o tym, żeby do niej zadzwonić i przeprosić, ale pewnie by tylko pogorszył sytuację. Jedyne, co pozwalało mu zachować twarz w tej sytuacji, to świadomość, że ona też opowiedziała mu parę całkiem niekuchennych rzeczy o sobie, czego pewnie także później żałowała.

Od tamtej pory rzadko z nią rozmawiał, a jeśli już, to próbował być tak miły, jak tylko potrafił, żeby pokryć zażenowanie i dać jej zarazem do zrozumienia, że stosunki między nimi są czysto służbowe i że jego pijackie wynurzenia w noc wstępnych rozmów zaręczynowych stanowiły wyjątek raczej niż regułę. Chociaż, pomyślał z żalem, gotowa wziąć mnie za ostatniego dupka, jeżeli się zorientuje, że dziś wieczorem znowu jestem na kacu. Powinien także okazać skruchę za te śmiechu warte komentarze na temat jej zawodu. Szczyt chamstwa, mruknął sam do siebie, kiedy je sobie przypomniał.

Starał się skupić na rozmowie toczącej się przy stole, ale nie brał w niej udziału. Musiał przyznać, że Curtis odwał kawał dobrej roboty, bawiąc towarzystwo anegdotkami o prezentacjach firmy, które się nie udały, czym pobudzał wszystkich do śmiechu. Dan sam próbował śmiać się z jednej z historyjek kolegi, ale czuł, że jego śmiech jest wymuszony. Jednak Ash śmiała się, z głową lekko przechyloną na bok, ukazując przy tym białe zęby i dołeczek w brodzie.

Jest ładna, pomyślał. Przedtem tego nie zauważył. Widywał ją dotąd tylko w białym podkoszulku i czarnych spodniach — jej kucharskim uniformie. Zawsze też miała włosy odgarnięte z twarzy, a nie spiętrzone w tę delikatną konstrukcję na czubku głowy, przez co wyglądała zupełnie inaczej niż tamta raczej surowa osoba, do której zdążył się przyzwyczaić. Była to jednak bardzo dziewczęca uroda, tak niepodobna do bujnej urody Cordelii. Zaczął się zastanawiać, ile Ash może mieć lat.

Tym razem to Ash przyłapała Dana na tym, że jej się przygląda. Choć, pomyślała, kiedy odwrócił wzrok, może tak naprawdę na nic nie patrzył. Prawdę mówiąc, wyglądał, jakby był w transie.

Jedzenie było wyśmienite — wołowina sama rozpadała się pod dotykiem noża.

— I co o tym sądzisz? — zapytał Alistair, kiedy podano kawę. — Pasuje do twoich standardów?

— Prawie. — Spojrzała na zegarek. — Ale nie będę w stanie po tym zasnąć. Minęła północ i jest już o wiele za późno na takie ciężko strawne dania.

— To już tak późno? Skinęła głową.

— Przynajmniej nie będziesz musiała wcześniej wstawać — rzucił.

— Mam jutro lunch — powiedziała mu. — Muszę wstać i kupić potrzebne produkty.

— Nie kupujesz chyba wszystkiego rano tego samego dnia, kiedy gotujesz?

— To zależy — powiedziała. — Ale jarzyny prawie zawsze. Alistair wzdrygnął się.

— Zasiąść przy biurku o szóstej to jedno, a chodzić po śmierdzącym targu to zupełnie co innego.

— Chodzenie po targu jest znacznie bardziej naturalne — powiedziała Ash.

W tym momencie Alistair trącił ją, bo Ross Fearon podniósł się i podziękował wszystkim za przybycie. Powiedział, że wystawia kilka pamiątek z filmu na aukcję i, ponieważ chodzi o szczytny cel, liczy na szczególną hojność gości.

— Na co masz ochotę? — zapytał Alistair. Ash potrząsnęła głową.

— Na nic.

— No, wybierz coś — namawiał. — Może skórzaną kurtkę noszoną przez naszego bohatera? Złoty naszyjnik bohaterki filmu? Oryginał scenariusza? Kilka fotosów?

Wzruszyła ramionami.

— Nie jestem kinomanką i jest mi wszystko jedno, kto był właścicielem tych wszystkich rzeczy. Przepraszam.

— Naszyjnik może być całkiem ładny — zastanawiał się głośno Alistair. — A jeżeli film dostanie później Oscara czy coś w tym rodzaju, może zyskać na wartości.

— Ten film nigdy nie dostanie Oscara — powiedziała. — A naszyjnik jest pewnie fałszywy.

Mimo to Alistair zdecydował się na niego postawić. Dan, któremu na moment udzielił się ogólny zapał, podbił nieco cenę. To samo zrobił po nim Alistair. A potem znów Dan. Pozostali goście z rozbawieniem śledzili walkę dwóch mężczyzn, kiedy Alistair znów podbił cenę. A po nim znowu Dan.

Ash patrzyła to na jednego, to na drugiego, powtarzając sobie w duchu, że to aukcja charytatywna. Że ofiarowują w ten sposób pieniądze na cel dobroczynny. Mimo to widok był dość niezwykły, kiedy tak przebijali się nawzajem, walcząc o naszyjnik, którego wartość była pewnie niższa niż cena wyjściowa.

Obaj po raz kolejny przelicytowali się nawzajem. W końcu Alistair podniósł cenę do pięciu tysięcy funtów i salę obiegł pomruk podziwu. Dan uśmiechnął się do niego, a jego twarz stała się nagle znacznie mniej szara. Z całą pewnością nie było go stać na to, by wydać tak idiotyczną sumę pieniędzy na prosty naszyjnik.

— Sprzedany! — oznajmił Ross Fearon. — Panu Alistairowi Branniganowi.

Alistair poszedł odebrać naszyjnik, a Ash spojrzała na Dana.

— Po co, na Boga, licytowałeś tak wysoko? — zapytała. — Wiem, że to na szczytny cel, ale...

— Och, Brannigan jest nadziany — rzucił Dan. — Stać go. Czemu miałby się wykpić takim kosztem?

Alistair wrócił po chwili do stołu i wręczył Ash wylicytowany naszyjnik.

— Zwariowałeś? — zapytała. — Po tym, ile zapłaciłeś za niego z winy Dana! Powinneś raczej złożyć go w banku.

— Kupiłem go dla ciebie — powiedział. — Nie wyglądałby dobrze w banku.

Obejrzała go z bliska. Był to gruby łańcuszek na szyję o masywnych złotych ogniwach. Nawet jeżeli złoto było prawdziwe, i tak nie był wart tego, co Alistair za niego zapłacił — bez względu na to, jaka gwiazda filmowa go wcześniej nosiła.

— Naprawdę, nie mogę — powiedziała. — Wydałeś na niego fortunę. Musi być ktoś inny, kto...

— Och, na miłość boską, Ash, weź go — odezwał się Dan. — Gdybym to ja go kupił, też bym ci go dał.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Alistair uśmiechnął się.

— Naprawdę? — zapytał.

— Jasne — rzucił bez zastanowienia Dan. — W moim banku też nie wyglądałby zbyt dobrze.

Ash popatrzyła na Dana, a potem na Alistaira. — Dziękuję wam obu — powiedziała. — Ale...

— Och, Ash, weź go! — Maeve Heaney uśmiechnęła się do niej. — Chciałabym być taka młoda i ładna, żeby biło się o mnie dwóch mężczyzn.

— Oni wcale się o mnie nie biją! — wykrzyknęła Ash.

— Ani trochę. — Dan wstał od stołu. — Próbowałem tylko zmusić pana Brannigana, żeby wydał część swoich pieniędzy!

Gdy aukcja dobiegła końca, ludzie zaczęli wychodzić z restauracji.

— Chcesz już iść? — zapytał Alistair, a ona skinęła głową.

— My chyba też powinniśmy już iść — odezwał się John Heaney. — Rano mam spotkanie.

Wszyscy wstali od stołu i uścisnęli sobie ręce. Alistair odprowadził Johna i Maeve do wyjścia, a Dan wrócił po chwili ze szklanką wody.

— Idziesz już? — zapytała Ash.

Skinął głową i potarł skronie. Ból głowy, który popadł w stan chwilowego uśpienia podczas aukcji, powrócił ze wzmożoną siłą.

— Dobrze się czujesz? — zapytała. — Byłeś przez chwilę taki jakiś strasznie pobudzony. Nie mówiąc już o tym, że wyglądałeś dość okropnie.

— Zabalowałem wczoraj do późna — powiedział. — Sam jestem sobie winny.

— Rozumiem. — Więc może jednak tęsknił za Cordelią, pomyślała, ale to go nie powstrzymało przed nocnym wyjściem, żeby się zabawić. Co jest takiego w tych facetach, że tak łatwo potrafią zapomnieć o swoich dziewczynach?

— Nie wiedziałem, że jesteś dziewczyną Alistaira.

— Prawie go nie znam — rzuciła, wzruszając ramionami.

— Ale wyglądało to inaczej.

— Słucham?

— On chciał za wszelką cenę zdobyć dla ciebie ten naszyjnik. I miałaś rację. Słono za niego przepłacił. Dziany dupek!

— Przyjaźnimy się — powiedziała Ash. — I jeżeli chodzi o ten naszyjnik, obaj zachowaliście się niemądrze. A poza tym ty dałbyś go Cordelii, a nie mnie.

— Jasne. — Dan blade się uśmiechnął. — Ale on o tym nie wiedział.

— To było dobre dla aukcji — powiedziała Ash — ale jednocześnie głupie.

— Musisz już chyba wiedzieć, że faceci są na ogół straszliwie głupi. Robimy głupstwa przez całe życie.

— Ależ Dan, tylko czasami! Dan westchnął.

— Tego wieczoru czułem się jak wyjątkowy głupiec. Ale Brannigan na pewno nie jest głupi. On szaleje za tobą, prawda?

— Nie!

Dana zdumiała gwałtowność, z jaką zaprzeczyła.

— Na to mi wygląda — powiedział. Ash wytrzeszczyła oczy.

— Może tak, a może nie. Nie wiem, czy jesteś najlepszym znawcą stosunków międzyludzkich. — Nie powinnam była tego mówić, pomyślała, gdy cień przemknął przez jego twarz.

— Wiem. Przepraszam. — Dan pomasaował sobie kark. — Niepotrzebnie wtrącam swoje trzy grosze. Chyba nie myślę zbyt trzeźwo. Wcześniej też byłem dla ciebie niegrzeczny, prawda?

— Kiedy się zastanawiałeś, co tu właściwie robię? To sposób, w jaki to powiedziałeś, był niegrzeczny. Ale wybaczyłam ci, bo wyglądałeś tak okropnie.

— Dzięki — powiedział cierpkim tonem.

— Idź teraz do domu i prześpij się — poradziła mu Ash. — Te nocne wyjścia wyraźnie ci nie służą.

Dan uśmiechnął się kwaśno.

— Nie było aż tylu nocnych wyjść. Wczorajsza noc była wyjątkiem.

— Czyżby?

Pokiwał głową, a potem się wzdrygnął.

— Wyszedłem z paroma kumplami. Cordelia w ten weekend poleciała do Stanów. To było głupie posunięcie z mojej strony.

— Może nie. — Tym razem w jej spojrzeniu było więcej współczucia. — Ale muszę ci powiedzieć, Dan, że wyglądasz strasznie!

— Okropnie się czuję — przyznał. — Ale dzisiaj nie mogłem się wykręcić, bo Ross dostałby szału. Już i tak był na mnie wściekły, bo rano się spóźniłem.

— Ash? — Alistair Brannigan znowu wyrósł u jej boku. — Myślałem, że jesteś już gotowa do wyjścia.

— Bo jestem. — Uśmiechnęła się do Dana. — Dbaj o siebie.

— Będę — powiedział, a ona nie do końca mu uwierzyła.

Alistair odwiózł ją, chociaż się upierała, że może pojechać sama.

— Nie podoba mi się ten pomysł — stwierdził, wsiadając za nią do taksówki. — Przyjechałem po ciebie, więc i odwiozę cię do domu.

Kiedy taksówka zajechała przed dom, wychyliła się i cmoknęła go w policzek.

— Dzięki za wspaniały wieczór — powiedziała. — Świetnie się bawiłam.

— Ja też.

— Dziękuję też za naszyjnik. — Przed wyjściem z restauracji zapięła go na szyi.

— Wygląda na tobie cudownie — stwierdził.

— Przyznam szczerze, że trochę boję się go nosić — powiedziała. — To chyba najdroższy złoty łańcuszek na świecie.

Alistair roześmiał się.

— Stać mnie na to.

— Ale to nie znaczy, że musisz od razu wyrzucać pieniądze. I naprawdę nie powinieneś być mi go dawać, Alistair. Jeżeli chcesz go z powrotem...

— Chciałem go kupić dla ciebie, Ash. Tak samo jak Dan Morland.

— On by go nigdy nie kupił — stwierdziła. — On tylko chciał cię zmusić, żebyś wydał więcej pieniędzy.

— Na tym, jak mi się wydaje, polega jego praca. — Alistair uśmiechnął się.

— Pójdę już. Muszę się trochę przespać — powiedziała. — W przeciwnym razie nie będę jutro w stanie nic zrobić.

Powiedziała to, spodziewając się, że Alistair zapyta, czy może wstąpić na jednego drinka. Nie wiedziała też, co na to odpowie, bo zrobiło się rzeczywiście późno, a ona była bardzo zmęczona i nie miała zwyczaju sprowadzać do siebie mężczyzn. Ale on wydał tyle pieniędzy na ten naszyjnik, że poczuła się w obowiązku go zaprosić. Jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, Alistair ziewnął.

— Ja sam muszę już jechać do domu — powiedział. — Jutro też zacznę wcześniej, a jestem bardzo zmęczony. Ale następnym razem może wstąpię na jednego.

— Następnym razem — powtórzyła z ulgą, wysiadając z taksówki.

Rozdział 10

Naleśniki z kwaśną śmietaną

Jajka, cukier puder, mąka, soda oczyszczona, kardamon, kwaśna śmietana, masło.

Ubić jajka z cukrem, przesiać suche składniki, dodać połowę mąki, śmietaną, resztę mąki. Roztopić masło. Delikatnie wymieszać. Przed smażeniem odstawić na 10 minut. Podawać z syropem klonowym.

Cordelia przetarła oczy, obolałe od dwunastogodzinnego wpatrywania się w komputer podczas pracy nad strategią, która miała uratować firmę jednego z ich klientów przed wrogim przejęciem. Po całym dniu spędzonym na przeglądaniu bilansu firmy oraz wykazów zysków i strat nie mogła pozbyć się uczucia, że firma zasługuje na to, by zostać przejęta, i to w sposób jak najbardziej wrogi. Z tego, co zdążyła się zorientować, dyrekcja była kompletnie nieudolna! Ale jej nie płacili za decydowanie, że ludzie prowadzący spółkę są do niczego — płacono jej za to, by wymyśliła jakiś sposób, jak pomóc im utrzymać nad nią kontrolę.

Ziewnęła akurat w momencie, gdy DeVere Bassett przechodził obok jej biurka.

— Zmęczona? — zapytał. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Po prostu wyłączyłam się na chwilę.

— Jestem wykończony. — DeVere pomasaował sobie kark. — Na tym etapie czuję, że większość dyrektorów UpperCuta nie zasługuje na swoje posady.

Cordelia mruknęła coś wymijająco. DeVere piastował w banku to samo stanowisko co ona — był asystentem wiceprezesa — ale nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś sprawdza twoją lojalność. Albo próbuje cię podejść w taki czy inny sposób. Nie można ufać żadnemu z kolegów, nawet komuś takiemu jak DeVere, z tym jego szerokim uśmiechem i życzliwym spojrzeniem!

— Więc nad jaką działką pracujesz? — zapytał.

— Nad sprzedażą niektórych pomniejszych spółek podległych — powiedziała. — Myślę, że to powinno poskutkować.

DeVere pokiwał głową.

— A ja szukam sposobów na obcięcie kosztów. Ale oni mają taki przerost zatrudnienia, że to nierealne. Ludzie dublują swoje stanowiska.

— Zgadzam się z tobą — powiedziała Cordelia. — Za każdym razem, kiedy chcieli zrobić coś nowego, zatrudniali tuzin nowych pracowników, nawet jeżeli nie było to wcale potrzebne.

— Na tym właśnie polega problem z niektórymi z tych firm — powiedział jej DeVere. — Stawiają znak równości między rangą a rozmiarem. Im większa firma, tym lepiej. Nie zdają sobie sprawy, że najlepsze, najbardziej zyskowe spółki to te, które nie zatrudniają zbędnych pracowników.

— Kiedy skończymy, nie będzie już ani jednego — obiecała mu Cordelia, a on się roześmiał. Mimo to Cordelii zrobiło się na moment żal tych wszystkich ludzi, którzy stracą pracę tylko dlatego, że dyrektorzy nie potrafią wykonywać należycie swoich obowiązków.

Patrzyła za DeVere'em, jak idzie przez salę. Chociaż byli równi rangą, to on miał większy autorytet. Teoretycznie nie, miał jednak silniejszą osobowość. Kiedy DeVere mówił, ludzie go słuchali. Potrafił wzbudzić zaufanie i sprawiał, że mu wierzyli. Cordelia wiedziała, że musi stać się podobna do DeVere'a. Musi być bardziej pewna siebie i otwarta.

Westchnęła. W Irlandii uchodziła za osobę niezwykle otwartą. Ale w Stanach było inaczej. Tam, w kraju, ludzie oczekiwali pewnej dozy pokory lub przynajmniej odrobiny fałszywej skromności. Tutaj natomiast wszyscy spodziewali się po niej, że będzie szła za ciosem. Cordelia, oczywiście, miała najszczerzy zamiar pójść za ciosem. Miała sześć miesięcy, żeby się sprawdzić; sześć miesięcy, by z asystentki wiceprezesa awansować na stanowisko wiceprezesa, tak jak sobie założyła. Chociaż nie wiedziała jeszcze, jak to zrobić. A kiedy już zostanie wiceprezesem, przeniesie DeVere'a do innego działu, bo czuje, że zawsze będzie jej deptał po piętach.

Zaczęła machinalnie bazgrać po marginesach w notatniku. Marz sobie dalej, dziewczyno, powiedziała sama do siebie. Znacznie bardziej prawdopodobna jest wersja, że to DeVere dostanie awans. Ale nigdy nie wiadomo, a ona nie miała zamiaru odpuścić.

Tak miło było myśleć o awansie i sukcesie. Oznaczałoby to znacznie większe pieniądze i znacznie większy prestiż oraz, niestety, znacznie więcej wieczorów w banku, bo tutaj rzeczywiście umieli dawać ludziom w kość. Dwunastogodzinny dzień pracy to normalka, a czasami pracowali znacznie dłużej. Ale, koniec końców, dostawało się premię, a Cordelia bardzo chciała dostać premię.

Poruszyła palcami i światło odbiło się od diamentów jej zaręczynowego pierścionka, które zamigotały i rozbłysły tęczą kolorów. Pomyślała, że Dan nie byłby wcale szczęśliwy,

gdyby dostała premię. Gdyby odniosła sukces, poczułby się zagrożony, tego była pewna. A przecież nie musiał wcale czuć się zagrożony, bo go kochała. Chciała tylko, żeby zrozumiał, że jej kariera zawodowa jest równie ważna jak jego. I może, dumiała, obracając na palcu pierścionek, jeżeli zostanę za sześć miesięcy wiceprezesem, Dan dostanie tu pracę i będziemy mogli pomieszkać przez kilka lat w Nowym Jorku. Bo Nowy Jork jest znacznie lepszy niż Dublin, mimo iż ludzie lubią porównywać Dublin do najbardziej wyrafinowanych stolic świata. Oczywiście zamierzała tam wrócić, ale najpierw chciała pobyć przez kilka lat na topie. A ta praca miała to zapoczątkować. Była pewna, że jeżeli sprawy ułożą się zgodnie z jej oczekiwaniami i dostanie propozycję pracy w Nowym Jorku, uda jej się namówić Dana na przenosiny do Stanów, tak by mogli być razem. Kocha ją przecież tak bardzo, że zgodzi się na wszystko. A ona musi tylko przedstawić mu to we właściwy sposób.

Wciąż obracała pierścionek na palcu, gdy Melissa Kravich rzuciła jej na biurko kolejną porcję papierów.

— Potrzebne mi dane linii produkcyjnej Fiata Cordoba — powiedziała. — Tak szybko, jak to tylko możliwe, Cordelio. Albo jeszcze szybciej.

Cordelia skinęła głową i przysunęła papiery, a Melissa pewnym krokiem pomaszerowała dalej.

Cordelia zazdrościła Melissie jej stanowiska. Jako wiceprezes miała wysoką pensję, doskonałe perspektywy, bywała na spotkaniach z firmami o krajowej renomie, a nawet latała na zebrania firmowym odrzutowcem. Cordelia dopiero wtedy uzna, że jej się powiodło, kiedy sama zacznie latać firmowym odrzutowcem! Nie rezygnuje się z czegoś takiego tylko po to, by siedzieć w Rathgar i oglądać wiadomości o dziewiątej z Danem Morlandem, choćby był nie wiadomo jak atrakcyjny.

Spojrzała na zegarek. Już siódma. A ona siedziała w biurze od szóstej trzydzieści rano. Nic dziwnego, że jej myśli zaczynały błądzić. Wstała od biurka, podeszła do automatu z kawą i wybrała espresso. Jeżeli to nie pomoże jej się skoncentrować, to już nic nie pomoże.

Chociaż była już północ czasu irlandzkiego, Dan nie mógł zasnąć. W tym dniu na rynkach panował wielki ruch. Ceny akcji gwałtownie spadły na skutek nieoczekiwanego skoku stóp procentowych w Europie. Przez całe popołudnie Dan odbierał telefony od zaniepokojonych klientów, którzy chcieli wiedzieć, co się właściwie dzieje. Dzień był na coś takiego zupełnie nieodpowiedni, bo pozostałych dwóch dilerów nie było — Steve Proctor zachorował, a

Jim Dwyer wyjechał. Co oznaczało, że Dan bez przerwy siedział przy telefonie i teraz strasznie bolała go głowa.

W ostatnich latach Dan zauważył, że ciągle rozmowy telefoniczne powodują u niego bóle uszu — i to nie tylko dlatego, że często musiał wysłuchiwać najstraszliwszych nonsensów od swoich klientów. Oczywiście ci z największymi portfelami byli zazwyczaj najbardziej wyluzowani — oni potrafili przetrzymać wszelkie wahania na rynkach. To ludzie z mniejszymi portfelami potrzebowali ciągłych zapewnień i zajmowali mu znacznie więcej czasu. Czasami Dan mówił im, żeby sprzedali swoje akcje, bo wiedział, że póki tego nie zrobią, ani on, ani oni nie zaznają spokoju. Wiele razy też odradzał im sprzedaż i zazwyczaj było to właściwe posunięcie. Mimo to ostatnio sam był jakby bardziej zaniepokojony. Sytuacja na rynkach była korzystna od tak długiego czasu — nawet uwzględniając wzrost stóp procentowych w przeszłości — że, jego zdaniem, szansa na prawdziwy krach była większa niż kiedykolwiek.

Dlatego miotał się, rozważając wszelkie za i przeciw decyzji o sprzedaży części własnych akcji i wpłacenia gotówki na swoje konto w banku. Dan był dobrze sytuowany, choć nie szczególnie bogaty. Jednak przez ostatni rok udało mu się zarobić niezłą sumkę i naprawdę nie chciałby wszystkiego stracić. Pieniądze przeznaczył na remont łazienki, która rozpaczliwie domagała się ręki fachowca. Cordelia wymruczała parę gniewnych uwag na temat jej stanu, kiedy ostatnim razem została u niego na noc.

W końcu postanowił sprzedać część bardziej ryzykownych akcji, chociaż to właśnie ich ceny spadły najbardziej. Mimo to przyniosły mu niezły zysk i, jak często powtarzał swoim klientom, cała sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy można zyskać. Ale nikt nie lubił sprzedawać po cenie niższej niż najwyższa. Ludzie uważali to za osobisty afront. Czasami przychodziło mu zmuszać ich, by pozbyli się akcji.

Firma Alistaira Brannigana, Archangel, była jedną z tych, które uległy presji sprzedaży, podobnie jak Transys — spółka, która zakupiła większość udziałów. Tego dnia Dan spędził mnóstwo czasu na rozmowach z udziałowcami Archangela. Nagle zaczął mieć nadzieję, że Ash O'Halloran mówiła prawdę, że nie ma akcji Archangela i nie siedzi teraz w domu, licząc olbrzymie straty. Nie przypuszczał, by Ash mogła sobie pozwolić na tracenie pieniędzy.

Zaczął się zastanawiać, od jak dawna mogła znać Alistaira Brannigana. Wyrwał się jak filip z konopi, kiedy ją z nim zobaczył w kinie, na premierze. Czuł też, że był zbyt obcesowy, mimo późniejszych starań, by zatrzeć swoją gafę. A ona, jak pamiętał, zachowała się bardzo miło, jak na osobę, która została dość lekceważąco nazwana przez niego kucharką. Ledwie sło-

wa te padły z jego ust, już tego pożałował. Wiedział też, że gdyby nie kac i potworne zmęczenie, nigdy w życiu by czegoś takiego nie powiedział.

Po powrocie do domu zadzwonił do Cordelii, ona także sprawiała wrażenie zmęczonej i skacowanej, chociaż tam była dopiero dziewiąta wieczorem. Ale nadal siedziała w banku, przy biurku, zapracowana i, jak mówiła, próbowała uchronić jakąś spółkę przed wrogim przejęciem. Powiedział jej, że za nią tęskni, na co odpowiedziała, że ona za nim też i że chciałaby teraz być z nim w Dublinie. A potem ze śmiechem dodała, że może jeszcze nie teraz, bo pierwszego dnia miała niesamowicie dużo pracy i jest absolutnie skonana. A on też się roześmiał i powiedział jej, że cieszy go to, że jest absolutnie skonana, bo to znaczy, że nie miała czasu uganiać się za innymi mężczyznami. Wtedy ona odparła, że jedyny mężczyzna w jej życiu na dzień dzisiejszy właśnie idzie do niej z wydrukiem komputerowym, więc musi kończyć.

Po rozmowie z Cordelią poczuł się lepiej i bardziej pewnie. Był też z niej dumny, co go nawet zaskoczyło. Dan podziwiał ludzi dynamicznych, choć w głębi duszy musiał przyznać, że wolałby, aby Cordelia była trochę mniej dynamiczna. Lubił jednak myśleć o niej jako o kimś, kto w każdych okolicznościach potrafi bronić swego, a wiedział, że ona to potrafi. Z drugiej strony, myśl o bardziej uległej narzeczonej też nie była taka najgorsza!

Znowu wrócił myślami do Alistaira Brannigana i Ash O'Halloran. Dobrze się razem prezentowali — jasne włosy i karnacja Ash kontrastowały z niemal kruczoczarnymi włosami i niebieskimi oczyma Alistaira. Dan nie mógł nic na to poradzić, że zazdrościł Alistairowi jego pirackiej urody oraz sukcesu zapisanego w gwiazdach. Czy Cordelia nadal chciałaby jechać do Stanów i rozwijać swoją karierę, gdyby on, Dan, sprzedał część firmy za prawie dziesięć milionów dolarów?

Zaczął się zastanawiać, czy Ash wie, że Alistair jest tak bogaty. Oczywiście, że wie, powiedział sobie. Gazety rozpisywały się przecież na temat kontraktu Archangela. A jednak wydawała się autentycznie przejęta sumą, za jaką wylicytował na aukcji naszyjnik, a także zażenowana, gdy jej go później ofiarował. Na wspomnienie aukcji uśmiechnął się do siebie. Windował cenę, bo nikt nie chciał stawić czoła Alistairowi, a ktoś przecież musiał ją podbijać. Przez moment chciał nawet przebić ostatnią ofertę Alistaira — facet miał taką zadowoloną minę, kiedy licytował pięć tysięcy funtów. Potem jednak przeraził się, że Alistair może już nie licytować wyżej, a jego nie stać na złoty naszyjnik za cenę dziesięciokrotnie wyższą od prawdziwej wartości, nawet jeżeli nosiła go Gwyneth Paltrow albo Nicole Kidman, albo jakaś inna gwiazda, która zagrała w tym filmie.

Alistair Brannigan sprawdził w Internecie ceny swoich akcji. To nie miało oczywiście większego znaczenia, że rynek się załamał — jego akcje nadal warte były bardzo dużo, dziś jednak trochę mniej niż wczoraj. Zaczął się zastanawiać, czy sytuacja ustabilizuje się w ciągu najbliższego tygodnia. Przy odrobinie szczęścia powinna, pomyślał. Archangel to dobra firma i był z niej dumny. Jak również z tego, że zarobił na niej mnóstwo pieniędzy, nawet jeśli nie miał na razie czasu, by je wydać. Ale to się wkrótce zmieni. W ostatnich tygodniach obejrzał kilka nieruchomości — jedną w Naas, blisko miejsca, w którym się wychował, jedną w Dalkey, które zostało już zaludnione przez gwiazdy rocka i inne sławy, i jedno w Clonskeagh, które było miejscem bardziej nowoczesnym i nudnym, ale też znacznie odpowiedniejszym na biuro. Mógłby też kupić coś na wsi, pomyślał, a dom w Clonskeagh potraktować jako miejską rezydencję. Na myśl o tym wybuchnął głośnym śmiechem. Trzeba będzie też pomyśleć o nowym samochodzie. Swoje audi TT kupił tuż po sprzedaży firmy i choć je lubił, czuł, że powinien mieć coś, co bardziej pasuje do wizerunku człowieka, który zarobił całe góry pieniędzy. Przez moment pożałował, że nie zażądał więcej. Był zdania, że ma szansę dostać wyższą cenę, ale Chatham doradził mu, by przyjąć ofertę Transysa. Może i mieli rację, ale, patrząc wstecz, byli jednak trochę konserwatywni. Przed nim otwierał się teraz całkiem nowy świat, a on chciał czerpać z niego pełnymi garściami.

Przejrzał też swoje e-maile, na wypadek gdyby ktoś przysłał mu jakąś wiadomość o akcjach. Jego skrzynka była pełna wiadomości, ale wyłącznie takich, których nie chciało mu się nawet czytać.

Kliknął na ikonę „nowa wiadomość” i zaczął pisać do Ash O'Halloran. „Jak się masz? Nie oddzwoniłaś wczoraj — zbyt zajęta czy może przestałem Ci się podobać??? Nie chciałabyś wybrać się na obiad podczas weekendu? Wiem, że jesteś zajęta — pamiętam, co mówiłaś, że w listopadzie i grudniu masz najwięcej roboty. Wobec tego podwoję stawkę, jaką dostajesz za piątkowy wieczór, jeżeli ugotujesz coś dla mnie. (A nawet jeżeli nic nie ugotujesz!). Odezwij się. Pozdrawiam, Alistair”.

Ash była tak zmęczona, że nie mogła zasnąć. Dzień minął pod znakiem ważnego lunchu, który zdawał się nie mieć końca. A kiedy wreszcie przyszła do domu, musiała jeszcze przejrzeć kilka menu na wszystkie lunche i kolacje, jakie miała do końca tygodnia. Znowu zaczynała przyjmować za dużo zamówień, doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale nie mogła się powstrzymać. Nie potrafiła powiedzieć „nie”. Poza tym lubiła działać pod presją i wyciskać z siebie siódme poty.

Teraz jednak rozpaczliwie pragnęła snu, bo nazajutrz rano miała spotkanie ze śniadaniem i musiała wstać skoro świt. A choć położyła się wcześniej, wciąż nie mogła zasnąć. Głowa pękała jej od natłoku myśli, mimo iż uporczywie próbowała nie myśleć.

Oczywiście trudno było nie myśleć, zwłaszcza o Molly i Michelle oraz o nadchodzących świętach. Molly dzwoniła już wcześniej. Ash brała właśnie aromatyczną kąpiel z olejkiem lawendowym i nie usłyszała telefonu, więc później odsłuchiwała nagraną wiadomość. Ciotka dzwoniła, żeby się dowiedzieć, czy pokłóciły się z Michelle, bo Michelle pojawiła się na niedzielnym obiedzie po raz pierwszy od czterech tygodni i wyrażała się wyjątkowo zjadliwie o swojej kuzynce. Molly pytała Ash, o co znowu się pokłóciły. Bo Michelle powiedziała tylko, że Ash zachowała się jak typowa Ash, a Molly chciałyby się dowiedzieć, co to konkretnie znaczy. Czy Ash znalazła sobie nowego chłopaka i już zdążyła go rzucić? A może tylko zirytowała Michelle kolejną bezmyślną uwagą na temat jej wagi po urodzeniu Shaya juniora? Michelle, tłumaczyła Molly, nigdy nie wybaczyła Ash, że po urodzeniu Shaya nazwała ją ociężałą. Co, dodała Molly, było wyjątkowym nietaktem w sytuacji, gdy biedna Michelle była niewątpliwie nafaszerowana hormonami.

Ash wysłuchiwała pytań Molly, a także jej odpowiedzi i westchnęła zgnębiona. Czemu ciągle jej się czepiają? Jakie będą te święta, jeżeli wszyscy będą ją przez cały czas dręczyć? Nie-specjalnie cieszyła ją wizja wspólnych świąt, a jednak wiedziała, że musi je spędzić razem z nimi, bo zawsze tak robiła. I nawet jeśli Molly za każdym razem pytała, czy przyjdzie, wiedziała, że ciotka byłaby zaszokowana, gdyby choć raz odmówiła. Wolałyby, żeby w Irlandii ludzie nie robili takiego szumu wokół Bożego Narodzenia. Kilka dni wolnych od pracy, jak to było w Stanach, wydawało jej się czymś znacznie bardziej odpowiednim.

Nagły łomot do drzwi przeraził ją. Wiedziała, że chodzi o drzwi sąsiedniego mieszkania, a mimo to serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Wyteżyła słuch, by usłyszeć prowadzoną półgłosem rozmowę, ale zamiast tego usłyszała, jak buchnął hałas z telewizora, a potem ktoś go pospiesznie przyciszył.

Była teraz bardziej rozbudzona niż przedtem i czuła, że muszą minąć całe wieki, zanim zdoła zasnąć. Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka, otulając się szlafrokiem. Po drewnianych schodach zeszła na dół, do kuchni, nalała wody do czajnika i wsypała do kubka kilka łyżeczek rozpuszczalnej czekolady. Na widok Bajgla podskoczyła — siedział na parapecie za oknem, a jego zielone oczy odbijały światło z kuchni. Otworzyła okno. Kot przeskoczył lekko nad zlewem i przemaszerował obok niej do salonu, gdzie zwinął się w kłębek na oparciu sofy.

Ash otworzyła paczkę biało-różowych bezów i wrzuciła różową do kubka, po czym wzięła parujący kubek i przeszła za kotem do salonu. Postawiła kubek na małym stolyczku i włączyła komputer. Na stronie domowej przeczytała, że ceny na europejskim rynku już się ustabilizowały, ale w Stanach nadal spadają, i mina jej zrzedła. Znaczyło to, że wartość jej akcji zmalała, a ona nienawidziła czegoś takiego.

Przeczytała też kilka ulubionych przepisów, a potem horoskop na nadchodzący dzień. Ash nie wierzyła w astrologię, ale surfując po Internecie, zawsze sprawdzała, co mówią gwiazdy. Nigdy zresztą nie mówiły nic takiego, co chciałyby usłyszeć. Zgodnie z przepowiednią, powinna być jutro zmęczona. Nic dziwnego, pomyślała, gdy spojrzała na zegar u góry ekranu i zobaczyła, że dochodzi pierwsza.

Na koniec sprawdziła swoją pocztę. Nie spodziewała się żadnych listów i była bardzo zdziwiona, kiedy się okazało, że dostała dwie wiadomości. Jeden spam, który od razu wyrzuciła do kosza, oraz wiadomość od Alistaira Brannigana. Czytając ją, zmarszczyła nos.

Miała nadzieję, że chciał być dowcipny, bo jeśli nie, to za kogo on się właściwie uważa, skoro jej proponuje, by ugotowała coś tylko dla niego? A może nie chciał, co było jeszcze gorsze! Nigdy dotąd nie spotykała się z kimś tak nadzianym; jej faceci byli na ogół bardziej niż szczęśliwi, że chce płacić za siebie. Dlatego to takie dziwne uczucie, że z Alistairem może pójść do każdej restauracji i nie mieć wyrzutów sumienia, zamawiając najdroższe danie z karty. Jeżeli pozwoli na to, by ich znajomość się rozwinęła, może już nigdy nie będzie musiała martwić się o pieniądze.

Nagle naszła ją myśl, że taki byłby wybór Julii. Bogaty, ale trochę dziwak, bo wszyscy ci spece od technologii byli trochę rąbnięci. Ktoś taki byłby odpowiedni dla jej matki, więc może i jej będzie odpowiadał.

Dobrze się z nim bawiła na premierze, choć wprowadził ją w zakłopotanie, kiedy kupił jej naszyjnik. Ale potem był miły, a poza tym podobało jej się, że nie nalegał, by zaprosiła go do siebie. Pomyślała, że Alistair jest bardziej dojrzały niż większość mężczyzn, z którymi się w przeszłości spotykała.

Zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie niektórych z nich. David. Lorcan. Conor. Kieran. Brendan. Faceci, którym powiedziała do widzenia. I wbrew temu, co sobie czasami powtarzała, byli prawdopodobnie dla niej stworzeni. Ale ona zawsze ich odtrącała, bo choć nienawidziła się do tego przyznawać nawet przed samą sobą, bała się, że któryś z nich może stać

się jej bliski. Bała się, że zacznie jej na nich zależeć. Bała się też, że im przestanie zależeć na niej. A wtedy któryś z nich zakończy ich znajomość. Nie ona. A to przerażało ją najbardziej.

Nie sposób jednak wiecznie tak żyć, powiedziała sobie. Molly i Michelle mają rację. Miło byłoby mieć kogoś, z kim mogłaby się wszystkim dzielić. Kogoś, do kogo mogłaby się przytulić wieczorami i oprzeć głowę na jego ramieniu. Kogoś, kto pocieszyłby ją, kiedy coś idzie źle, i cieszył się z nią, kiedy wszystko układa się jak należy. Kogoś, kto by się dla niej liczył. Miło byłoby mieć kogoś, kto jest dla ciebie ważny.

Usiadła przed komputerem i zaczęła pisać: „Nie musisz płacić mi podwójnej stawki, moje stawki są takie same dla wszystkich. Ale wolę gdzieś pójść, bo gotowanie to dla mnie żaden wypoczynek. Wolałabym pizzę i piwo. Piątek jest OK”. Raz jeszcze przeczytała wiadomość i przed wysłaniem dodała „Ucałowania, Ash”.

Rozdział 11

Ciasteczka z kremem

Mleko, żółtka, cukier puder, gęsta śmietana, biszkopty, olejek waniliowy.

Podgrzać mleko, ubić żółtka z cukrem, dolać do mleka. Gotować na małym ogniu. Odstawić do ostudzenia. Ubić śmietanę z olejkiem waniliowym. Zamrażać przez dwie godziny. Przełożyć do miski i znowu ubijać. Dodać pokruszone biszkopty. Wstawić na noc do zamrażalnika.

Dan Morland rozejrzał się po biurze, zastanawiając się, gdzie się podziała Debbie. Już poprzedniego dnia jej nie było, choć wtedy nie zwrócił na to większej uwagi. Dziś jednak było to ważne, ponieważ wieczorem Debbie miała towarzyszyć mu na dobroczynnym balu gwiazdkowym. Zaproszenie na ten bal przyjął wiele miesięcy temu, a Cordelia powiedziała, że się z nim wybierze. To właśnie entuzjazm, z jakim przyjęła propozycję wspólnego wyjścia w tak odległej przyszłości, kazał mu wierzyć, że ich związek się zacieśnił. Gdyby było inaczej, zostawiłaby sobie furtkę i powiedziała mu, że nie wie, co będzie robić w grudniu. Ale ona tak się zapaliła, że z miejsca wysłał odpowiedź, podając nazwisko Cordelii jako swojej partnerki. Tymczasem jej wyjazd do Stanów wszystko zmienił. On oczywiście zapomniał o balu i dopiero kiedy na biurowym komputerze pojawiło się przypomnienie, zaklął pod nosem i zaczął żało-

wać, że należy do tego rodzaju facetów, którzy przyjmują zaproszenia kilka miesięcy wcześniej.

Bal był towarzyskim wydarzeniem, organizowanym co roku przez Honor Carmody, żonę znanego przemysłowca. Honor miała własny spory portfel akcji i załatwiała wszystko z Danem, odkąd został maklerem, czyli od dziesięciu lat. Honor uważała Dana za jedną z najlepszych partii i była załamana, kiedy jej powiedział, że od dłuższego czasu związany jest z Cordelią. Jeżeli teraz pojawi się sam, Honor doda dwa do dwóch, wyjdzie jej pięć i zacznie go zapraszać na wszystkie imprezy jako kawalera do wzięcia, bez względu na to, co jej powie. Bardzo trudno było odrzucić zaproszenie Honor, gdyż była dobrą klientką, a co więcej, jedną z najbardziej zdeterminowanych osób, jakie kiedykolwiek poznał. Samotne pójście na bal w ogóle nie wchodziło w grę, dlatego też, kiedy zobaczył przypomnienie, zaprosił Debbie, jedną z pracownic z administracji, która znała Honor. Debbie była zachwycona, co bardzo ucieszyło Dana. Miał też nadzieję, że nie zmieniła zdania w sprawie tego balu.

Kątem oka dostrzegł Kate Coleman. Stała przy fotokopiarce z plikiem dokumentów w ręku.

— Cześć, Kate!

Na dźwięk jego głosu odwróciła się.

— Co? Ja nie kseruję tych cholernych papierów dla ciebie, Danie Morland, tylko dla Rossa i to sprawa priorytetowa.

— Nie proszę cię, żebyś mi cokolwiek skserowała — spłoszył się Dan. — Chciałem tylko zapytać, czy widziałaś dziś Debbie.

— Debbie? — Kate popatrzyła na niego, jakby się urwał z choinki. — Widzę, że chowasz głowę w piasek. Debbie jest w szpitalu.

— Co?!

— Przecież wczoraj wszyscy mówili tylko o tym! Wyrostek. Zabrali ją w środku nocy krzyczącą z bólu.

— Nie słyszałem — powiedział Dan. — Ale wczoraj dużo wychodziłem.

— Bo nie słuchałeś — powiedziała Kate. — Od kilku tygodni jesteś kompletnie nieprzytomny. — Uśmiechnęła się. — Tęsknisz za narzeczoną?

Dan zrobił smutną minę.

— Jak długo Debbie zostanie w szpitalu?

— Nie wiem — odpowiedziała Kate. — Ale co najmniej przez kilka dni. A czemu pytasz? Chcesz ją odwiedzić?

— Miała pójść ze mną do Honor Carmody dziś wieczorem — wyjaśnił.

— Rzeczywiście. Będzie wściekła, że ją to ominie. Kupiła sobie nawet nową suknię!

— Ja też jestem wściekły, że ją to ominie. Nie chcę iść do Honor sam. Wiesz, jaka ona jest. Przyssie się do mnie na cały wieczór. Nie mówiąc już o tym, że znów przypnie mi etykietkę najlepszego kawalera do wzięcia. — Dan z nadzieją w oczach spojrzał na Kate. — Nie miałabyś ochoty pójść zamiast niej? — Nie miał odwagi zadzwonić do Honor i powiedzieć jej, że w ogóle nie przyjdzie.

— Bardzo bym chciała — powiedziała Kate. — Wiesz, że tak — to będzie w „K Club”*, prawda?

* „K Club” — luksusowy hotel i klub, mieszczące się w dziewiętnastowiecznej rezydencji pod Dublinem.

Dan pokiwał głową.

— To świetnie... — zaczął.

— Powiedziałam, że bym chciała — ciągnęła dalej Kate — ale nie mogę, Dan. Dziś wieczorem jestem umówiona z Patem i nie mogę nie przyjść — jest przyjęcie u niego w pracy.

— Nie musisz chyba chodzić na jego biurowe przyjęcia? — zapytał.

— Nie muszę — odparła — ale mu obiecałam. On chce, żebym tam była. Jeżeli nie przyjdę, gotów zerwać zaręczyny.

Kolejne fałszywe zaręczyny! Dan westchnął głęboko.

— Czy w tym biurze jest w ogóle ktoś, kto ma dziś wolny wieczór?

Kate roześmiała się.

— Nie wiem. A może byś tak rozesłał e-maile?

— Dobrze wiesz, co by się wtedy stało. — Dan zmarszczył brwi. — Ktoś, kogo nawet nie znam, odpowiedziałby „tak”.

— Czy to źle? — zapytała. — Powinieneś poznać więcej ludzi w naszej firmie, Dan. Utknąłeś na amen przy biurku. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś poznał kilka innych dziewczyn.

— Może — stwierdził z powątpiewaniem.

— Albo idź sam. — W oczach Kate pojawiły się złośliwe błyski. — I pozwól Honor, żeby cię objęła i powiedziała: „To jest Dan, mój najbardziej rozrywany przyjaciel”.

— Proszę cię, przestań — powiedział. — Pamiętasz, jak się zachowywała na turnieju tenisowym zeszłego lata?

— Że co? — zapytała Kate i zaczęła wyjmować odbite dokumenty z kserokopiarki.

Dla Ash fakt, że dostała zamówienia na dwa lunchy u Chathama w tym samym tygodniu, było czymś niezwykłym. Miała, jak zwykle, poniedziałkowy lunch i teraz, w piątek, lunch na sześć osób u Dana Morlanda. Chociaż Kate zamówiła ją już kilka tygodni wcześniej, Dan sam przyszedł do kuchni w poniedziałek, żeby jej przypomnieć. Nie widziała go od premiery i ucieszyła się, że znowu dobrze wygląda.

— To grupa mężczyzn — powiedział jej. — Nic szczególnego, Ash, po prostu większe porcje, mniej dekoracji, rozumiesz, co mam na myśli?

— Jasne — rzuciła. — Co powiesz na rybę z frytkami?

— Rybę z frytkami? Owszem, chcę coś prostego, ale czy to nie jest jednak zbyt uproszczenie?

— Mogę przygotować smaczną solę albo filety z płaszczy — są w tej chwili bardzo dobre — a do tego przyzwoite domowe frytki. To bardzo popularne danie.

— Brzmi całkiem niezłe — przyznał Dan.

— Bo jest niezłe — zapewniła go. — Będą zachwyceni. To jacyś ważni klienci?

— Każdy klient uważa, że jest najważniejszy na świecie — stwierdził ponuro Dan.

Ash uśmiechnęła się do niego.

— Muszę o tym pamiętać, kiedy następnym razem będę coś u was kupować.

— Myślisz, żeby znowu w coś zainwestować? — zainteresował się.

— Ciągle spłacam malarza i dekoratora — powiedziała. — Poza tym z natury jestem ostrożna; to mój jedyny flirt z ryzykiem.

— Gdzie indziej nie ryzykujesz? — zapytał.

— Raczej nie — odparła z westchnieniem. — Kiedy się odebrało wychowanie... mniej konwencjonalne, twój bunt jest z reguły postawiony na głowie. Większości tych dzieciaków odbija później palma i schodzą na złą drogę. Ja za to jestem całkowitym tego przeciwieństwem.

Dan pokiwał głową.

— Chyba rozumiem, jak do tego doszło.

Ash wstawiła kilka butelek wina do chłodziarki.

— Ładny naszyjnik — rzucił Dan.

Jej ręka mimowolnie uniosła się i dotknęła złotego łańcucha.

— Głupio zrobił, że go kupił — stwierdziła.

— Ale ci w nim ładnie.

— W złocie każdemu ładnie — powiedziała i wstawiła do lodówki kilka oselek masła.

— A co u Cordelii?

— Świetnie — odparł. — Jest zachwycona. Idzie jej dobrze, obecnie pracują nad planem uratowania jakiejś spółki. Zdaje się, że siedzi w biurze od rana do nocy, a to zarazem i dobrze, i źle. Dobrze, bo nie ma czasu wychodzić i kusić najróżniejszych facetów, a źle, bo pracuje ręka w rękę z jakimś gościem imieniem DeVere, który podobno jest interesujący, inteligentny i atrakcyjny.

Ash uśmiechnęła się.

— Ale nie jest tobą. A ona jest przecież zaręczona z tobą.

— Wiem — przyznał Dan. — Chciałbym tylko, żeby już wróciła, to wszystko. — Spojrzał na zegarek. — Lepiej już pójdę — powiedział. — Muszę złożyć kilka zamówień według czasu nowojorskiego. I może najpierw do niej zadzwonię.

— Dobrze. — Ash zamknęła szafkę. — Zobaczymy się w piątek.

A teraz był już piątek i Ash przyprawiała rybę, podczas gdy Jodie nakrywała do stołu.

— Byłam wczoraj na tym filmie — powiedziała Jodie, kiedy skończyła. — Tym, na którego premierze byłaś z moim eksprzyjacielem, Alistairem Branniganem.

— Eksprzyjacielem?

— Nie spodziewałam się, że go poderwiesz, Ash.

— Nie poderwałam go — powiedziała Ash. — Spotkałam się z nim kilka razy, ale to nic poważnego, Jodie.

— Dla ciebie to nigdy nie jest nic poważnego — kąśliwym tonem rzuciła Jodie. — Ale to nie znaczy, że facet, o którym mowa, nie podchodzi do tego bardziej poważnie.

— Alistair jest młody, wolny i zajełście bogaty — powiedziała Ash. — Nie musi traktować tego poważnie.

— On dużo rzeczy traktuje poważnie — powiedziała Jodie. — Jak myślisz, w jaki sposób stworzył swoją firmę?

— To prawda — zgodziła się Ash. — Ale jestem pewna, że ma całe tabuny dziewczyn, które tylko czekają, żeby się na niego rzucić. Ja nie jestem mu potrzebna.

Jodie uniosła brwi.

— A chciałybyś?

— Och, daj spokój, Jodie! Podobał ci się film? — Ash zmieniła temat.

Jodie natychmiast wywnioskowała z jej tonu, że Ash nie chce już rozmawiać o Alistairze, ale postanowiła dać sobie jeszcze jedną szansę.

— Wydał mi się trochę teatralny, ale całkiem niezły, mimo wszystko. Oczywiście byłoby jeszcze fajniej, gdyby seans zakończył się wyżerką Clarence'a! I gdyby jeszcze ktoś fundnął mi złoty naszyjnik. — Spojrzała znacząco na Ash.

— To była impreza charytatywna — powiedziała Ash. — Nic więcej. I chociaż dobrze się bawiłam, nie mogłam potem zasnąć do rana, bo jedliśmy za późno.

Jodie postanowiła już więcej nie naciskać.

— Ja sama nie mogłam później zasnąć do rana, bo Chris przyszedł do mnie i...

— Nigdy więcej tych numerów z oliwką — stanowczo zapowiedziała Ash. — Nie mogę sobie pozwolić na to, żebyś w grudniu wylądowała ze skrzyconym nadgarstkiem.

Jodie roześmiała się, a Ash zaczęła obierać kartofle.

— Zdaje się, że już idą — powiedziała. — Pora zaczynać. Jodie udała się do jadalni i zaczęła rozdawać drinki.

— Żadnych kobiet — powiedziała po powrocie do kuchni. — Sześciu facetów i ani jednej baby! Możesz sobie wyobrazić, jakie będą rozmowy.

— Nie po to tam jesteś, żeby słuchać ich rozmów — surowo napomniała ją Ash.

— Wiem. Ale kiedy się upiją, zaczynają opowiadać najokropniejsze kawały i próbują mnie poklepać po tyłku — narzekała Jodie.

— Kto powiedział, że się upiją? — zapytała Ash. — To, że są tam sami faceci, wcale jeszcze nie znaczy, że muszą się upić.

— Nie muszą? — spytała ponuro Jodie.

— Nie, nie muszą — oświadczyła Ash. — Poza tym to służbowy lunch, Jodie, a nie jakaś popijawa.

— Daj spokój, Ash! — Jodie roześmiała się. — Za dwa tygodnie święta. Chyba nie myślisz serio, że zjedzą, wypiją po kieliszku wina i pójdą sobie, prawda?

— Miałam taką nadzieję — przyznała Ash.

Jodie zachichotała i wróciła, żeby sprawdzić, jak im idzie, a Ash tymczasem przygotowywała jedzenie.

Jodie potrafiła bardziej realistycznie otaksować klientów. Nalewała im wina do kieliszków z monotonną regularnością, z wyjątkiem — jak przyznała — kieliszka Dana Morlanda.

— Coś go gryzie — powiedziała do Ash, kiedy przyniosła puste talerze po zakąskach. — Myślam, jest zupełnie gdzie indziej. Zresztą, to nieważne, bo cała reszta świetnie się bawi.

— Myślę, że skoro jego klienci są zadowoleni, to nie ma znaczenia. — Ash zsunęła filety z płaszczyki na sześć talerzy i poliała odrobiną sosu.

— Ładnie pachnie — stwierdziła Jodie.

— Sama to lubię — przyznała Ash. Patrzyła, jak Jodie wnosi talerze do jadalni, a potem oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Tej nocy położyła się późno, bo lukrowała ciasta świąteczne. Ash wolała gotować niż piec i nie interesowało jej dekorowanie ciast, robiła to jednak na każdą Gwiazdkę, a Molly i Michelle, jak również obie jej szwagierki Irina i Nancy, przywykły do tego, że upiecze i polukruje im ciasta. W tym roku ciasta upiekła już wieki temu, ale lukrowanie zostawiła, jak zwykle, na ostatnią chwilę. Kiedyś zrobiła tort dla Michelle w Wigilię i gdy go tego samego wieczoru przyniosła do Molly, masa jeszcze nie steżała jak należy.

Powinam powiedzieć „nie”, pomyślała. Powinam im powiedzieć, żeby same sobie upiekły ciasta. Albo nawet je kupiły. Ale wiedziała, że nie mogłaby im tego zrobić, bo tradycyjnie to właśnie do niej należało upieczenie świątecznych ciast — i puddingów. Wszyscy zawsze śmiali się i żartowali, że nie opłaca się mieć w rodzinie kucharki, która nie potrafi zrobić kilku ciast i puddingów na Boże Narodzenie. A kiedy przychodziło do świątecznego obiadu, wszyscy z radością zdawali się na nią, bo żadne z nich nie lubiło gotować tak jak ona. Nie uważali, że to dla niej ciężka praca, a ona nie miała im tego za złe. Zresztą i tak czuła, że gdyby robił to ktoś inny, ciągle by się wtrącała. Irytowało ją jednak, że musiała przygotować również puddingi i ciasta.

Nie rozmawiała jeszcze z Michelle od czasu ich ostatniej kłótni. Z doświadczenia wiedziała jednak, że kiedy następnym razem się zobaczą, Michelle będzie się zachowywać, jakby nic się nie stało. Tym bardziej że spotkają się wtedy, kiedy przyjadą, by zabrać od niej rzeczy na Wigilię, przed wyjazdem do Molly. Ona sama, jak zawsze, dojedzie później, pociągami.

Molly wyznawała bardzo sztywne zasady, jeśli chodzi o Boże Narodzenie. Uważała, że to czas, kiedy powinni być razem. Czas, by sobie przypomnieli, że są rodziną, a rodziny trzymają się razem, bez względu na wszystko. Czas, żeby wspominać Boże Narodzenia z przeszłości i uświadomić sobie, jakie to szczęście, że mają siebie nawzajem. Molly była uosobieniem świątecznych marzeń specjalisty od marketingu.

Ash z Julią spędziły swoje ostatnie wspólne święta w Republice Dominikany. Julia nienawidziła zimnej, wilgotnej pogody, jaka panowała w Anglii zimą, nienawidziła także Bożego Narodzenia. Dlatego zarezerwowała dwutygodniowy pobyt na słońcu, chociaż Ash chciała zostać w domu. Ash pamiętała, jak siedziała na plaży w pierwszy dzień świąt, a Julia ze stopami zanurzonymi w miękkim, białym piasku śpiewała jej *American Pie*. Później jadły hamburgera, popijając colą, i oglądały zachód słońca. W tamtych czasach tego nie doceniałam, pomyślała Ash, szykując kolejne danie. Boże Narodzenie na słonecznej wyspie wydaje mi się teraz czymś cholernie fajnym!

— Dojrżeli już do deseru. — Jodie pchnęła drzwi do kuchni. — Wszystko już zjedli!

Ash uśmiechnęła się.

— To dobrze. Nienawidzę, kiedy ludzie zostawiają jedzenie. — Ułożyła kawałki ciasta z ananasem na deserowych talerzykach. — Masz. Niech się zapchają. Może dzięki temu ograniczą konsumpcję alkoholu.

— Wątpię — powiedziała Jodie. — Nigdy nie udało mi się ograniczyć spożycia Chrisa, kiedy dają darmowe drinki.

— Ci ludzie przez cały czas dostają darmowe drinki — zniecierpliwiła się Ash. — Można by pomyśleć, że mają ich już dość.

— Nikt nigdy nie ma dość czegoś, co dają za darmo — oświadczyła Jodie. — Czasami wydaje mi się, że jesteś strasznie naiwna, Ash.

— Idź i rozdaj te desery, a filozofię zachowaj dla siebie. — Ash uśmiechnęła się, kiedy Jodie znowu zniknęła za drzwiami.

Śmiechy dobiegające z jadalni stawały się coraz bardziej hałaśliwe. Pewnie Jodie miała rację, pomyślała niechętnie Ash. Kiedy rozdają coś za darmo, ludzie po prostu się na to rzucają. A to znaczy, że dziś nie skończą wcześniej. No cóż, pomyślała, Chatham może sobie pozwolić na to, by zapłacić jej za nadgodziny.

Pomyliła się jednak. O wpół do trzeciej zorientowała się, że w sąsiedniej sali mężczyźni zaczynają zbierać się do wyjścia. Zaskoczona popatrzyła na Jodie.

— Ja też myślałam, że zostaną dłużej — odparła Jodie, widząc jej spojrzenie. — Może mają jeszcze coś do roboty dziś wieczorem. Może dlatego tak szybko wychodzą.

— Tym lepiej dla nas — powiedziała Ash. — To znaczy, że nie będą się tu kręcić.

W tym momencie usłyszały pukanie do drzwi i na widok wchodzącego Dana Morlanda wymieniły znaczące spojrzenia.

— Cześć, Ash — powiedział. — Dzięki za wspaniały lunch.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Dan powiódł wzrokiem od Ash do Jodie i z powrotem.

— Zastanawiałem się, czy mógłbym zamienić słówko.

— Jasne — odparła Ash.

— Z tobą — dodał. Jodie spojrzała na niego.

— Mam wyjść?

— No więc, ja...

— Nie krępuj się, mam tam jeszcze parę rzeczy do zrobienia — powiedziała Jodie i ruszyła do jadalni, zerkając przez ramię na Ash.

— Coś się stało? — zapytała Ash.

— Nie. Nic. — Dan miał strasznie stropioną minę.

— O co chodzi? — zaniepokoiła się. — Chyba masz jakiś problem, więc mów!

— To żaden problem. — Dan potarł nerwowo brodę.

— No więc?

— Wiem, że to zabrzmii idiotycznie, Ash. Nie znam cię na tyle dobrze, ale ostatnio dość często się spotykaliśmy i miałaś okazję zobaczyć mnie z absolutnie najgorszej...

— Uważasz, że to dobrze? — zapytała.

— Wiemy też o sobie coś niecoś — na przykład, że ja jestem zaręczony, a ty spotykasz się z kimś, kto pewnie mógłby ci kupić małą wyspę albo coś w tym rodzaju, gdyby tylko zechciał.

— Ja nie...

— Proszę, nie zrozum mnie opacznie. Chciałem cię poprosić o przysługę.

— Konkretnie mnie? Dan pokiwał głową.

— I jeżeli powiesz, że nie możesz, absolutnie cię zrozumiem. Myślałem o tym podczas lunchu i nagle przyszło mi do głowy, że może mogłabyś...

— Że mogłabym co?

— No więc sprawa wygląda tak — zaczął szybko mówić. — Przyjąłem zaproszenie na bal, który odbędzie się dziś wieczorem. Oczywiście Cordelia też miała się tam ze mną wybrać — dostaliśmy to zaproszenie sto lat temu. Ale nie może przecież pójść na bal w Irlandii, skoro haruje jak wół w Stanach. Nie chciałem iść sam, z wielu powodów, więc zaprosiłem jedną dziewczynę z biura. Niestety, wylądowała w szpitalu z wyrostkiem, a żadna z tych dwóch, do

których dziś zadzwoniłem, też nie może, bo dowiedziały się w ostatniej chwili. Wiem, że dla ciebie jest to tym bardziej na ostatnią chwilę i jeżeli nie możesz, to nie ma sprawy, ale nie mam już kogo poprosić! Jeżeli to jakiś problem, zrozumiem. Wiem, że ty i Alistair jesteście parą, i nie chcę robić nic, co mogłoby zdenerwować ciebie albo jego, ale mam nadzieję, że on zrozumie, że chodzi tylko o zwykłą przysługę i nic więcej.

— Chcesz, żebym z tobą poszła dziś wieczorem? — zapytała Ash.

— Wyświadczyłabyś mi przysługę — powiedział. — Oczywiście, jeżeli możesz. To wszystko. Żadnych zobowiązań, nic z tych rzeczy. Tylko żeby mi pomóc.

— Na bal?

— No, tak to się nazywa — wymijająco powiedział Dan. — To coś, co jedna z moich klientek organizuje co roku. Myślę, że jakieś pięćdziesiąt osób — żadna wielka impreza.

— Czemu po prostu nie pójdziesz sam? — zapytała. — Co to za powody?

— Głównie to, że wszyscy przychodzą parami — wyjaśnił. — I jeżeli przyjdę sam, ta cholerna baba, która to organizuje, przez cały wieczór będzie próbowała mnie namówić, żebym przychodził na wszystkie cholerne imprezy, w które się zaangażowała. Co jest niby w porządku, ale ona będzie mnie tam zapraszała jako faceta do wzięcia i zacznie mnie swatać z różnymi babami, które w ogóle mnie nie interesują.

— Po co miałyby to robić, jeżeli wie, że jesteś zaręczony z Cordelią? — zapytała Ash.

— Bo to tego rodzaju babsko — wyjaśnił.

— To czemu jej nie powiesz, że nie możesz przyjść? W końcu jeżeli ona wie, że Cordelia jest w Stanach, nie powinna być zdziwiona, jeśli się nie pojawisz.

— Ale ja muszę się pojawić — powiedział Dan. — Nie opuściłem ani jednego jej balu i w tym roku też nie mogę tego zrobić. To ważna klientka i cokolwiek by o niej powiedzieć, przyzwoita osoba. Na tym etapie nie chcę się z nią rozstawać. Chodzi mi tylko o to, że to jeden z tych momentów, w których potrzebuję moralnego wsparcia.

Ash roześmiała się.

— Nie ma się z czego śmiać — stwierdził ponuro. — Naprawdę.

— Więc chcesz, żebym dziś wieczorem się z tobą wybrała jako twoja... co, konkretnie?

— Stara przyjaciółka? — zaproponował. — Myślę, że można o nas tak powiedzieć. Widziałś mnie, jak jestem pijany, na kacu i chamski. W tej sytuacji może być już tylko lepiej!

Ash spojrzała na niego bezradnie.

— Pewnie i tak jesteś już zajęta — dorzucił. — I jeżeli wybierasz się na weekend do Paryża z Branniganem, doskonale cię rozumiem. Wiem, że masz własne życie, a to nie jest randka czy coś w tym rodzaju, tylko... tylko...

Przypominał jej kuzyna Charliego, który miał taką samą minę, kiedy chciał, żeby coś dla niego zrobić.

Ash odgarnęła pasmo włosów, które opadło jej na oczy. Prawdę mówiąc, tego wieczoru akurat była wolna. Alistair wyjechał na weekend do Londynu, więc zaplanowała sobie na ten wieczór „lody i ciasteczka”, z Bajgłem u stóp i kubeczkiem ulubionych lodów pod ręką. Oboje z Bajgłem uwielbiali lody i ciasteczka. Ash kładła obok siebie na sofie wieczko od kubeczka i od czasu do czasu nakładała na nie trochę lodów dla Bajgla, który na koniec starannie wylizywał cały kubek. Prośba Dana oznaczała niespodziewaną zmianę planów, a Ash nie znosiła niespodzianek. Właśnie dlatego sama tak rzadko robiła coś, czego wcześniej nie zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach.

— Kiedy? — zapytała w końcu.

— O ósmej — odpowiedział. Spojrzała na niego niezdecydowana.

— Jeżeli nie możesz, nie ma sprawy — powiedział Dan. — To był tylko pomysł.

— Może i bym mogła — odezwała się niepewnie — jeżeli rzeczywiście jesteś w kropce.

— Rzeczywiście, jestem w kropce — przyznał. — I uznałbym to za wielką przysługę, Ash. Możesz mi wierzyć.

— Na pewno są jeszcze inne osoby, które mógłbyś zaprosić — powiedziała. — Nie mówię, że nie pójdę, jeżeli naprawdę kogoś potrzebujesz, ale ty poprosiłeś tylko trzy osoby, Dan, a ja jestem pewna, że znasz więcej niż trzy osoby!

— Ale nie takie, które można by namówić na ostatnią chwilę — stwierdził ze smutkiem. — I nie takie, które by od razu nie pomyślały, że mam jakieś ukryte zamiary.

— Miło mi słyszeć, że nie myślisz, iż mogłabym cię podejrzewać o jakieś ukryte zamiary. I że, twoim zdaniem, moje życie jest do tego stopnia pozbawione rozrywek, że nie mam co robić w piątek wieczorem. — Nagle uśmiechnęła się, a w jej piwnych oczach pojawiły się łobuzerskie błyski.

— Szczerze mówiąc, nie brałem cię pod uwagę, bo myślałem, że będziesz z Branniganem — przyznał się Dan. — Ale gdybyś mogła się zastanowić...

— To ci niewiele da — stwierdziła Ash.

— Wiem.

— Och, OK. — Wzruszyła ramionami. — Nie mam innych planów, Dan, i jeżeli rzeczywiście kogoś potrzebujesz...

— Jesteś słodka! — Na jego twarzy odmalowała się ulga. — Stokrotne dzięki, Ash. To co, przyjadę po ciebie koło siódmej?

— Zdawało mi się, że mówiłeś o ósmej — zaprotestowała.

— Droga do „K Club” zajmie nam godzinę — wyjaśnił.

— Do „K Club”?! — Ash spojrzała na niego z przerażeniem.

— Coś nie tak? — W głosie Dana zabrzmiało zdumienie. — To świetne miejsce, Ash. Klienci je uwielbiają.

— Tam jest piekielnie drogo — powiedziała. — Nie wiem też, czy mam co na siebie włożyć. Czy tam będzie bardzo elegancko?

Dan wzruszył ramionami.

— Wystarczą stroje koktajlowe. Nie przejmuj się, Ash. Nałóż byle co. Słowo daję.

Ash westchnęła. Miała straszliwe przeczucie, że pakuje się w coś, czego będzie później żałować. „K Club” to bardzo elegancka posiadłość pod Dublinem. Ash nie miała cienia wątpliwości, że jadąc w takie miejsce, nie można włożyć byle czego. Ludzie przyjdą poubierani w najrozmaitsze kosztowne toalety, a ona, w swoich tak zwanych codziennych ciuchach, będzie kompletnie nie na miejscu. Od wieków nie kupiła sobie nowej kiecki.

Dan patrzył na nią, próbując wyczytać coś z jej twarzy.

— Czy to znaczy, że jest OK? — zapytał. — A może zmieniłaś zdanie?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Jest OK. Pójdę z tobą.

— To świetnie. — Uśmiechnął się do niej. — Jaki jest numer twojego mieszkania?

— Cztery A — odpowiedziała. — Zadzwoń, będę gotowa.

— To świetnie — powtórzył. Wyszedł z kuchni głównymi drzwiami dokładnie w chwili, gdy Jodie weszła przez drzwi z jadalni.

— Czego chciał? — zwróciła się do Ash. Ash wzniosła oczy do nieba.

— Żebym poszła z nim dziś wieczorem na bal.

— Ha! Kopciuszek! Chyba żartujesz!

— Nie. — Ash potrząsnęła głową. — Dokładnie o to mu chodziło.

— Co ty powiesz! A co mu odpowiedziałaś? Że jesteś zajęta?

— Prawdę mówiąc, powiedziałam „tak”.

— Nie wierzę! — Jodie otworzyła szeroko oczy. — Zaprosił cię, a ty nie powiedziałaś, że dziś wieczorem siedzisz w domu ze swoim kotem?

— Ktoś mu nawalił — tłumaczyła Ash. — I, koniec końców, powiedziałam „tak”.

— Akurat! Gówna prawda! — prychnęła Jodie. — Podobasz mu się, Ash. — Spojrzała na nią z podziwem. — Trzeba ci przyznać, że masz wzięcie. Najpierw Alistair, teraz Dan, a ty nawet nie zdążyłaś rzucić Alistaira, prawda?

— To nie tak. — Ash zaczęła chować przyprawy. — On naprawdę jest w kropce. A jego firma to moi dobrzy klienci. Więc to także mój interes, żeby był zadowolony. Zresztą to nie randka, Jodie. Nic z tych rzeczy.

Jodie obrzuciła ją sceptycznym spojrzeniem.

— Daj spokój, Ash. Naprawdę w to wierzysz?

— Tak — odparła Ash. — Ja mu tylko pomagam, Jodie.

— A nie przyszło ci do głowy, że ja mogłabym mu pomóc? Przecież to nie randka. Ktoś mu tylko nawalił. A ty tak naprawdę wolisz siedzieć w domu ze swoim kotem.

Ash spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Nie, nie przyszło mi do głowy. Ale może to dobry pomysł, Jodie. Przypuszczam, że dla Dana Morlanda to bez znaczenia, która z nas z nim pójdzie, a jeżeli ty masz ochotę, ja nie mam nic przeciwko temu!

— Nie bądź taką idiotką! — ofuknęła ją Jodie. — On nie chce iść ze mną.

— Ze mną też nie chce iść — powiedziała Ash. — Tak naprawdę chce pójść ze swoją narzeczoną.

— Z kim? Z narzeczoną? — zapiszczała Jodie. — Nie wiedziałam, że ma narzeczoną! Więc umawia się za jej plecami?

— Nie bądź śmieszna — powiedziała z rozpaczą Ash. — Ona nie może z nim pójść, dlatego zwrócił się do mnie.

— A gdzie ta jego narzeczona? — dopytywała się Jodie. — Czemu nie może z nim iść?

Ash wzruszyła ramionami. Nie chciała rozmawiać z Jodie o życiu prywatnym Dana, jednak czuła, że nie ma wyjścia.

— Pracuje w Stanach — powiedziała.

— Więc go zdobędziesz, bo czuje się zagubiony i odtrącony. — Jodie potrząsnęła głową. — Zrób mi przysługę, Ash. Spław łagodnie Alistaira, dobrze? On mi się podoba.

— Na miłość boską! — uniosła się Ash. — Spotkałam się z Alistairem tylko kilka razy. Dobrze się rozumiemy, ale to wszystko. Nie próbował jeszcze wskoczyć ze mną do łóżka, Jodie, więc jeżeli trzeba kogoś delikatnie splawić, to raczej mnie! A Danowi Morlandowi też się nie podobam — przecież on szaleje za Cordelią. A ja jestem dla niego tylko chwilowym zastępstwem, i tyle. Pewnie tak samo, jak dla twojego przyjaciela Alistaira, zanim zdecyduje się uciec z jakąś chudą supermodelką albo kimś, kto bardziej pasuje do stylu życia bogatych i sławnych.

— Nie potrafię powiedzieć, czy naprawdę jesteś aż taka naiwna, czy jesteś po prostu femme fatale — powiedziała Jodie.

— Ani to, ani to! — zniecierpliwiła się Ash. — Wracaj do swojej roboty, a mnie pozwól się w spokoju zastanowić, w co mam się ubrać.

Rozdział 12

Pilaw z owoców morza

Cebula, zielona papryka, ostra czerwona papryczka, pieczarki, masło, brązowy ryż, szafran, bulion, gotowany wędzony łupacz, krewetki, migdały, pomidory.

Przygotować warzywa. Stopić masło, dodać cebulę, potem ryż, obsmażyć, przełożyć do rondla, dodać pieprz, papryczki i pieczarki. Zmieszać szafran z wodą, zalać, dodać bulion. Gotować do miękkości. Kiedy ryż się ugotuje, wymieszać widelcem płatki ryby i kilka krewetek. Wyłożyć ryż na półmisek, udekorować pozostałymi pieczarkami, papryką, papryczkami i krewetkami. Posypać posiekanymi migdałami, przybrać pomidorami.

Musiałam chyba upaść na głowę, myślała Ash, przeglądając zawartość swojej szary porzrzuconą na łóżku. Tylko dlatego, że było mi go żal. Że patrzył na mnie tymi ciemnoniebieskimi oczyma, a ja nie potrafiłam powiedzieć „nie”. Że potraktował mnie jak przyjaciółkę, która może mu pomóc, gdy inni zawiedli. W jakiś sposób mi to pochlebiło. Połechtalo moją próżność! A przecież zwrócił się do mnie, kiedy wszystkie dziewczyny, które poprosił, dały mu kosza! I ja też powinnam była powiedzieć „nie”, bo nie mam zwyczaju mówić „tak” komuś, kto prosi mnie w ostatniej chwili.

Z drugiej strony, nie prosił przecież o randkę, tylko zapytał, czy mogę mu pomóc. Problem w tym, że nie obracam się w takich kręgach, żebym miała pod ręką odpowiednią garde-

robę na wyjście do jednego najbardziej z ekskluzywnych miejsc w tym mieście. Właśnie dlatego to, co miało być przyjacielską przysługą, zaczyna się przeradzać w jakiś cholerny koszmar. Spojrzała z westchnieniem na swoje trzy najlepsze sukienki, a potem zmarszczyła brwi. Różowa, w odcieniu fuksji, którą miała na premierze, od razu odpada. Jest zbyt jasna, zbyt radosna, przy tym wygląda w niej zbyt młodo — a dokładnie tych trzech rzeczy chciała tego wieczoru uniknąć. Marzyła jej się dyskretna, wyrafinowana elegancja. Szara, z miękkiego dżerseju, choć w zasadzie twarzowa, także się nie nadawała. Wobec tego pozostawała tylko prosta, licząca sobie trzy lata czarna sukienka — ani dyskretna, ani specjalnie elegancka, choć na swój sposób dość wyrafinowana. Natomiast, pomyślała ponuro Ash, trudno ją nazwać ostatnim krzykiem mody. Z okrągłym wycięciem, bez rękawów, sięgała tuż nad kolano. Miała jednak do kompletu krótki żakiecik, który dodawał jej szyku, a także pasowała do jedynych butów Ash na naprawdę wysokim obcasie. Była to także najdroższa rzecz w jej szafie, a wieczór w „K Club” zasługiwał, zdaniem Ash, na najdroższą kreację z jej garderoby, bez względu na wiek. Miała nadzieję, że się w nią jeszcze zmieści, gdyż nie nosiła jej od marca.

— Jak widać, mało się udzielam towarzysko — mruknęła, robiąc makijaż i zakręcając włosy. — Może Jodie ma rację, że za dużo przesiaduję w domu z Bajgłem!

Wślizgnęła się w sukienkę i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Suknia dobrze na niej leżała, a to już coś, choć by ją zapiąć, musiała szarpać za suwak mocniej, niżby chciała. Natomiast złota fala włosów stanowiła interesujący kontrast z surową czernią, co — jak pamiętała — było głównym powodem, dla którego kupiła tę sukienkę. Jednak z pewnością nie zbierze pochwał za swoją olśniewającą elegancję. Otworzyła szkatułkę i przyjrzała się perłom Julii. Wiedziała, że pasują do sukni, gdyż ciemny materiał podkreśliłby ich delikatny połysk. Wyjęła je z pudełka i przyłożyła do dekoltu. A potem zadrzała. Tylko nie perły Julii! Perły przynoszące nieszczęście. Zamiast nich wyjęła złoty naszyjnik i zapięła go. Musiała przyznać, że był to niezwykle przydatny element biżuterii. Znacznie bardziej stosowny niż cienki srebrny łańcuszek albo złoty medalionik, które zazwyczaj nosiła.

Absolutnie do przyjęcia, mruknęła, spryskując się Chloe i raz jeszcze przeglądając w lustrze. Jak przystoi starej, dobrej przyjaciółce, wezwanej na pomoc w ostatniej chwili! Spojrzała na zegarek. Za kwadrans siódma. Mimo pośpiechu idealnie zdążyła.

Weszła do kuchni i otworzyła okno. Bajgiel jeszcze nie wrócił, pewnie dlatego, że dzień był zimny i pogodny, a on w zimne i pogodne dni lubił włóczyć się wokół sąsiednich budyn-

ków. Ash niechętnie wychodziła z domu, jeśli go wcześniej nie zobaczyła i nie zapowiedziała mu, żeby na siebie uważał. Teraz też cicho zagwizdała, ale nigdzie nie było ani śladu kota.

— Kici, kici! — mruknęła, choć z góry wiedziała, że to strata czasu. Jeżeli udał się na coś w rodzaju łowów, nie przyjdzie i tak, choćby go nie wiadomo jak wołała. A choć wołałaby, żeby wrócił, to właśnie ta jego samodzielność sprawiła, że tak się do niego przywiązała. Kotom niewiele trzeba — wystarczy je regularnie karmić i dać im kolana, na których mogą się rozsiaść. Nie trzeba ich wyprowadzać na spacer, nie trzeba im mówić, że się je kocha, nie mają bezsensownych wymagań.

Zamknęła okno i znowu sprawdziła, czy wszystko zostało wyłączone. Przesunęła ścieleczkę na chromowanym wieszaku, tak by oba jej końce zwisały równo, a potem papierowym ręcznikiem wytarła płytę kuchenną. Na koniec wróciła do łazienki, umyła ręce i wtarła w nie odrobinę brzoskwiniowego kremu do rąk od Bootsa.

Spodziewała się, że Dan się spóźni, tymczasem jego wóz zajechał pod dom dokładnie w chwili, gdy zeszła do holu. Dan otworzył drzwiczki od swojej strony, ale widząc, że wychodzi z bramy, znów je zamknął. Szybko podeszła do samochodu i wsiadła do środka.

— Ale punktualna! — powitał ją Dan.

— Jak zwykle — odpowiedziała.

Wrzucił bieg i samochód ruszył.

— Dzięki raz jeszcze — powiedział. — Jestem ci autentycznie wdzięczny.

Wzruszyła ramionami.

— Nie ma sprawy.

Objężdżając budynek i włączając się w wieczorny piątkowy ruch, Dan przyglądał się Ash. Jest rzeczywiście całkiem ładna, pomyślał, o ile ktoś lubi ten typ. Nie tak uderzająco ładna jak Cordelia, ale jednak atrakcyjna. Zaczął się zastanawiać, jak wyglądała jej matka, ta Julia, która sprawiała wrażenie kompletnie stukniętej. A także czy Ash przypominała jej swojego nieznanego ojca.

Znowu na nią popatrzył. Był zdumiony, że nie zaczęła z nim rozmawiać. Z doświadczenia wiedział, że kobiety rzadko potrafią milczeć podczas jazdy. Zazwyczaj chcą rozmawiać, chcą się czegoś o tobie dowiedzieć, chcą się podzielić myślami. A może ona nie ma żadnych przemyśleń? Zresztą, o czym mieliby rozmawiać? Może to zaproszenie na wieczór to w sumie zły pomysł, choć podczas lunchu wydawał mu się taki świetny. Może jeden wypity kieliszek Chateaufort du Pape przyćmił mu umysł. Ale nagle, w środku lunchu, przyszła mu go głowy

Ash — dziewczyna, która kompletnie się nim nie interesowała, która wiedziała wszystko o Cordelii i, Bogu dzięki, miała swojego chłopaka, czyli absolutnie nie powinna go podejrzewać o jakieś ukryte zamiary. Oczywiście upierała się, że są z Alistairem tylko przyjaciółmi, ale która dziewczyna zadowoliliby się wyłącznie przyjaźnią Alistaira Brannigana? Już same jego pieniądze mogłyby być potężnym afrodyzjakiem, nawet gdyby nie był tak przystojny i młody. Ma szczęście, skurwiel, pomyślał, przejeżdżając pędem skrzyżowanie na żółtych światłach.

— Alistair nie protestował? — Dan uznał, że powinien zagaić rozmowę.

— Słucham? — Ash patrzyła przez okno, zastanawiając się, czy zdążą na czas, bo mimo późnej pory na ulicach panował straszny ruch.

— Alistair? Nie miał nic przeciwko temu, że wychodzisz ze mną dziś wieczorem? — powtórzył.

— Nie pytałam go — powiedziała Ash. — Zresztą, nie ma podstaw, by protestować.

— Wiem, mówiłaś, że jesteście tylko przyjaciółmi, ale później pomyślałem sobie, że mógłby mieć coś przeciwko temu i że postawiłem cię w niewygodnej sytuacji.

Potrząsnęła głową.

— Bynajmniej. A jedyną niewygodą okazała się konieczność znalezienia sobie czegoś przyzwoitego, co mogłabym na siebie włożyć.

Dan nie widział, co miała na sobie pod obszernym wełnianym płaszczem.

— Wszystkie dziewczyny narzekają, że nie mają co na siebie włożyć — powiedział. — Nawet jeśli ich szafy pękają w szwach od ubrań.

Ash pomyślała o swojej szafie pękającej w szwach od dżinsów oraz o swojej żalostnej kolekcji sukien. Mam tak mało dziewczęcych ciuchów, pomyślała bezradnie. I naprawdę nie wiem dlaczego.

— Zakładam jednak, że pośród tej setki sukienek, które pewnie posiadasz, udało ci się znaleźć coś odpowiedniego — powiedział.

— Może Cordelia ma setki sukienek, ale nie ja — odparła. — Jeżeli chodzi o ciuchy, jestem beznadziejna.

— To niemożliwe. — Dan nagle zmienił pas ruchu, aby wyprzedzić wlokącą się ciężarówkę. — U kobiet to wrodzone. A ty miałaś bardzo ładną sukienkę na premierze.

— Pamiętasz ją?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo. Tamten wieczór zamazał mi się w pamięci. Ale to była ładna sukienka.

— Niestety, nie na dzisiejszy wieczór — westchnęła Ash.

— Sama widzisz! — wykrzyknął triumfalnie, kolejny raz przejeżdżając na żółtych światłach. — Wydaje ci się, że jesteś inna niż wszystkie kobiety na tym świecie, a tymczasem jesteś dokładnie taka sama. Masz świetną suknię w szafie, ale nadal twierdzisz, że nie masz co na siebie włożyć! Ash mimowolnie zachichotała.

— Nie mówmy już o tym — stwierdził z zadowoleniem Dan.

Jechali w zgodnej ciszy, aż nagle, kilka mil przed Straffan, niespodziewanie lis przebiegł im drogę, a jego oczy zaślniły w świetle reflektorów. Dan musiał ostro zahamować, żeby go nie potrącić.

— O Boże! — Ash zakryła twarz rękami, gdy ich samochód wpadł w poślizg na rozsypanym żwirze.

— Nie przejmuj się, nic ci się nie stanie — zapewnił ją Dan. — Nawet gdybym wpadł do rowu, ten wóz ma listwy boczne i Bóg wie jakie jeszcze zabezpieczenia.

— Myślałam raczej o lisie — powiedziała Ash.

— Ach tak.

Dan jechał teraz trochę wolniej, a potem skręcił w bramę prowadzącą do „K Club”. Tutaj garby na drodze powstrzymały go przez jazdą szybszą niż dwadzieścia mil na godzinę.

— W samą porę! — stwierdził z zadowoleniem, wjeżdżając na parking.

Ash popatrzyła na zegarek. Była punkt ósma.

Otworzyła drzwi, wysiadła i zadrżała z zimna. Temperatura znacznie spadła i jej oddech zawisł przed nią jak mała chmurka.

— Chodź! — powiedział Dan. — Wejźmy do środka, zanim zamienimy się w bryły lodu.

Wyszła za nim z parkingu, a potem schodami na górę, do imponującej wiejskiej rezydencji. Nigdy przedtem nie była w „K Club” — nie było to miejsce w jej typie, nie było też odwiedzane przez jej znajomych. Nie grała także w golfa, a jednym z powodów, którym klub zawdzięczał swoją sławę, był wybór na gospodarza zawodów o puchar Rydera*. Mimo wszystko, pomyślała Ash, rozglądając się po foyer, wewnątrz rzeczywiście robiło wrażenie, że swoimi eleganckimi marmurami oraz mięsistymi błękitnymi dywanami.

* Ryder Cup — turniej golfowy rozgrywany od roku 1927 pomiędzy reprezentacjami USA i Wielkiej Brytanii, a od roku 1978 także Europy.

— Dan, mój kochany! Tak miło cię znów zobaczyć! — Doskonale zadbana kobieta po czterdziestce wychynęła z jednego z korytarzy i porwała Dana w swe obfite objęcia. Na widok jego zmieszanej miny Ash uśmiechnęła się do siebie. — A to musi być ta cudowna... Cordelia? — Dama zawiesiła głos, porównując w myślach jasną urodę Ash z opisem Cordelii Carroll.

— Prawdę mówiąc, nie, Honor. To jest Ash.

— Ash? — Honor spojrzała na Dana, a potem na Ash.

— Aisling O'Halloran. — Ash wyciągnęła rękę, którą Honor mocno uścisnęła.

— Ash jest moją starą przyjaciółką — wyjaśnił Dan.

— Taką starą, że nikt o niej nie słyszał? — Honor uniosła brwi. — Myślałam, że wiem o wszystkich twoich przyjaciółkach, Dan.

— Jestem tylko starą przyjaciółką — powiedziała Ash, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— A gdzie Cordelia? — zapytała Honor. — Myślałam, że ją dziś poznam.

— Jest w Stanach — wyjaśnił Dan. — Pracuje.

— Co za pech! — Honor uśmiechnęła się ze współczuciem. — Musiałeś przekopać swój notes z adresami, prawda?

— Niezupełnie — mruknął Dan.

— Wybierał się sam, ale potem przyszło mu do głowy, że może ja też chciałabym pójść — wtrąciła się Ash. Dan spojrzał na nią. Kąciki jej ust lekko drżały, gdy próbowała ukryć uśmiech.

— Rozumiem. — Honor uśmiechnęła się ze zrozumieniem, choć z jej oczu wciąż wyzierała ciekawość. — Cóż, wejdźcie lepiej do środka. Jest tu już mnóstwo ludzi! Jesteśmy w drugiej sali na lewo i mamy tej nocy jadalnię tylko dla siebie.

— To świetnie — powiedział Dan. — Później pogadamy, Honor.

Cmoknęła go w policzek, a potem odwróciła się do nowo przybyłych gości.

— Genialnie sobie poradziłaś — mruknął Dan do Ash. — Można by pomyśleć, że znamy się od kołyski.

— Straszne babsko! — Ash poszła za Danem w głąb korytarza. — Nic dziwnego, że nie chciałeś przyjść tu sam.

— Jest bardzo miła — powiedział. — Tylko dość przytłaczająca.

— To widać.

— Dużo się udziela w różnych organizacjach charytatywnych, jest też członkiem zarządu wielu spółek — dorzucił.

— Pewnie się boją nie mieć jej u siebie — cierpkim tonem rzuciła Ash, kiedy weszli na salę. Tu także panowała niewymuszona elegancja. Na ścianach wisiały obrazy olejne, srebrne kandelabry stały rzędem na imponującym kominku, a pośrodku znajdował się okrągły stół z różanego drewna. Niemal natychmiast kelner zaproponował im szampana, a drugi wziął od nich wierzchnie okrycia. Na widok niektórych kreacji, jakie miały na sobie inne kobiety, Ash poczuła się jakby trochę zbyt skromno ubrana. Jedna dziewczyna wystąpiła w ciemnoniebieskiej sukni z kloszową spódnicą, zajmującą sporo miejsca w rogu sali, a olbrzymie diamenty (Ash była pewna, że są prawdziwe) lśniły wokół jej szyi i w uszach. Ash ucieszyła się w duchu, że nie nałożyła swoich fałszywych brylantów. W tym towarzystwie pasowałyby jak róża do kozucha. Była pewna, że każda z obecnych tu kobiet potrafi z odległości czterdziestu kroków odróżnić podróbkę od autentyku. Sącząc szampana, z zazdrością patrzyła na suknie i biżuterię, a Dan tymczasem witał się z kolejnym znajomym.

— Ash. — Skinął na nią. — To jest Gerry Casey, mój dobry kumpel z pracy. A to Ash O'Halloran.

Ash nie zdawała sobie sprawy, że Dan zna aż tylu ludzi. Sprawiał wrażenie, jakby był w bliskich stosunkach z prawie wszystkimi, zarówno mężczyznami, jak i kobietami. I wszyscy witali się z nią, jakby i ona była ich starą przyjaciółką; jakby sama znajomość z Danem wystarczyła, by automatycznie zaliczyć ją do osób, które także warto poznać. Zaczęła się zastanawiać, czy tak samo byłoby z Alistairem? Jeśli nie liczyć premiery filmowej, nie była z nim na żadnej większej towarzyskiej imprezie. Zazwyczaj decydowali się na miejsca zapewniające przytulną prywatność, chociaż kiedy się ostatnio spotkali, nalegał na coś trochę bardziej na topie, więc zabrał ją do Guilbauda. Jedzenie było fantastyczne, jednak Ash wołała atmosferę Il Vignardo czy Wagamama. Wołała też zamawiać dania, jakie sama rzadko przyrządzała.

Zaczęła się zastanawiać, dokąd Dan zabierał Cordelię, kiedy szli zjeść coś na mieście. Widać było, że powodzi mu się całkiem nieźle, mimo iż był w stanie remontować tylko jedno pomieszczenie w roku. Czy wołał wykrochmalone obrusy i lśniące sztuce od heblowanych stołów i kufla piwa? A Cordelia? Czy w głębi duszy wołała zboże czy winogrona?

— W porządku? — zapytał Dan, gdy zostali na chwilę sami.

— W porządku — odpowiedziała. — Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś tak popularną postacią!

Dan roześmiał się.

— Niekoniecznie. Znam tu po prostu dość dużo ludzi.

— Czy oni wszyscy są tak cholernie bogaci? — zapytała. — Bo brylanty na niektórych paniach to istne kurze jaja! Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdybym gwizdnęła jeden z tych naszyjników, byłabym urządzona do końca życia.

— Może siedziałabyś do końca życia — stwierdził Dan. — A to zupełnie co innego.

Ash roześmiała się.

— To rzucające się w oczy bogactwo zapiera mi dech. Czasami miewam okazję oglądać coś takiego, kiedy obsługuję jakąś imprezę, ale to przecież nie to samo.

— Naprawdę? Skinęła głową.

— Odnoszę wrażenie, że ci ludzie żyją w ten sposób przez cały czas, a nie tylko przy jakiejś okazji, jak moi klienci. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, jak by to było być tak cholernie nadzianą jak oni.

— Myślisz, że są szczęśliwi? — zapytał z powagą Dan. Spojrzała na niego.

— Pytasz poważnie?

— W pewnym sensie. Pracuję w branży, gdzie pieniądź jest wszystkim, ale widzę, że tak nie jest.

— Łatwo tak mówić, kiedy się ma pieniądze — sucho stwierdziła Ash.

— Może. Ale jeżeli ktoś jest nieszczęśliwy, nawet fury pieniędzy tego nie zmienia.

— Ale mogą pomóc.

— Oczywiście teraz, kiedy spiknęłaś się z Branniganem, można by o tym podyskutować. On ma kupę kasy.

— Nie spiknęłam się z nim — uniosła się Ash. — Już ci mówiłam, że jesteśmy przyjaciółmi.

— To ja zaprosiłem cię na ten bal, bo jesteśmy przyjaciółmi, Ash. Ale Alistair chce być dla ciebie kimś więcej.

Roześmiała się.

— Masz bujną wyobraźnię.

— To nie wyobraźnia — powiedział. — Może on po prostu zbyt ślamazarnie zabiera się do rzeczy.

Rzeczywiście, Alistair nie próbował jej ponaglać, a ona była bardziej niż szczęśliwa, że nie musi się spieszyć.

— A jaki termin wyznaczył sobie na to spiknięcie? Pytam, bo wydajesz się wiedzieć tak dużo na ten temat.

— Ha, ale mnie zażyłaś! — Dan uśmiechnął się. — Wiesz, że mężczyźni to płoche istoty. — Wychylił kieliszek akurat w chwili, gdy kelner pojawił się z nowym szampanem. Kiedy im dolewał, podeszli do nich Michael i Stella Wattsonie, kolejna para, z którą Dan był zaprzyjaźniony.

— A gdzie Cordelia? — zapytała Stella, kiedy zostali przedstawieni Ash. — Tylko mi nie mów, że ją rzuciłeś, Dan. Jesteś jakimś seryjnym kochankiem, nie mam racji?

Ash była zdumiona, że Stella wspomina przy niej o Cordelii, skoro mogła zostać wzięta za jego ostatnią sympatię. Z drugiej strony, bawiła ją świadomość, że Dan w przeszłości miał aż tyle dziewczyn. Najpewniej dlatego tak bardzo przeżywał wyjazd Cordelii. Pewnie nie potrafił jej sobie wyobrazić bez ciągnących w ślad za nią tabunów różnych facetów. A zresztą, pomyślała, dobrze mu robi, jak się trochę pomartwi. Nie czekając na jego odpowiedź, przeprosiła i udała się do toalety, gdzie obejrzała się w lustrze od stóp do głów.

Wiedziała, że wygląda nieźle, sprawdziła to już w domu, a jednak rozpaczliwie pragnęła roztaczać wokół siebie tę samą aurę, co pozostałe kobiety. Aurę osoby zamożnej. Jej żałośnie chudy portfel akcji (załóżek na przyszłość, zabezpieczenie, jak o nim zawsze myślała) nie wystarczyłby żadnej z tych osób na przeżycie nawet tygodnia! Znów pomyślała o Alistairze Braniganie i zaczęła się zastanawiać, co robi tej nocy w Londynie. A także, co każe mu pracować w weekendy, skoro już i tak zarobił taką furę kasy.

Dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia, pchnęła drzwi. Ash odskoczyła i pomyślała, że jak na takie luksusy, damska toaleta jest jednak trochę za ciasna.

— Och, przepraszam! — Dziewczyna uśmiechnęła się do Ash.

— Nie ma za co — powiedziała Ash.

Dziewczyna przerzuciła przez ramię długie czarne włosy i obrzuciła ją pytającym wzrokiem.

— Przyszłaś z Danem Morlandem, prawda?

— Czy Dan jest jakąś sławną osobistością? — zapytała Ash. — Odnoszę wrażenie, jakby wszyscy go tu znali.

— Jeżeli już, to raczej niesławną! — zaśmiała się dziewczyna.

— Dlaczego niesławną?

— Od sześciu lat Honor rok w rok jest gospodynią tego balu. A Dan co roku przychodzi z kimś innym. — Znów uśmiechnęła się do Ash. — W zeszłym roku zaprosił mnie.

— Ach tak.

— Jestem Thea. — Dziewczyna powiedziała to tak, jakby jej imię powinno Ash coś mówić.

— Ash — przedstawiła się.

— Od jak dawna z nim chodzisz? — Thea wyjęła z torebki puderniczkę i przypudrowała sobie twarz.

— Znam go od dawna. — Ash nie chciała mówić nic, co mogłoby postawić Dana w niewygodnej sytuacji.

— Wszystkie znałyśmy go od dawna — powiedziała Thea z kwaśną miną. — Ale nie na wiele nam się to zdało.

— Długo z nim chodziłaś?

— Przez trzy miesiące. — Thea westchnęła. — Powiem ci, że szalałam za nim, ale on uważał, że jestem za młoda i za głupia. A to czysty idiotyzm, gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie. Mam dwadzieścia dwa lata! Ale Dan powiedział mi, że nie widzi siebie przy moim boku i że lepiej będzie się rozstać.

— Postąpił jak człowiek bez serca — przyznała Ash, chociaż doskonale go rozumiała.

— Prawdę mówiąc, to była moja wina — radośnie wyznała jej Thea. — Poprosiłam go, żeby się ze mną ożenił.

— Ach tak?

Thea pokiwała głową.

— To taki świetny gość, a ja się przed nim spotykałam z okropnym fiutem. Ale z Danem mi nie wyszło i później przez całe wieki nie mogłam się pozbierać. A potem usłyszałam, że się poważnie zaangażował. Ona ma na imię Cordelia. — W błękitnych oczach Thei błysnęła ciekawość. — Słyszałam, że miał ją dziś przyprowadzić. I że się zaręczyli.

— Ona jest w Stanach — wyjaśniła Ash. — I dobrze słyszałaś, bo się zaręczyli. Ja jestem tylko jego starą przyjaciółką, którą przywłókł tu dla towarzystwa.

Thea uważnie jej się przyjrzała.

— Nigdy o tobie nie słyszałam.

— Może ci wszystkiego nie mówił. — Ash zaczynała już mieć dosyć tej dziewczyny o idealnej cerze i w idealnej kreacji. Widać było, że aż się pali, by wyciągnąć z niej informacje o sprawach, o których wcale nie musiała wiedzieć. Zatrzasnęła torebkę. — Zobaczmy się później — rzuciła. Otworzyła drzwi i wymknęła się na korytarz.

Ludzie przemieszczali się w stronę elegancko udekorowanej jadalni. Ash poszukała wzrokiem Dana, ale nigdzie go nie było. Jeżeli prawdą jest to, co powiedziała jej Thea, pewnie gawędzi teraz z jedną ze swoich eksprzyjaciółek. Pomyślała zjadliwie, że powinien zaprosić jedną z nich zamiast niej. Mogłaby sobie teraz spokojnie siedzieć w domu z Bajgłem i kubeczkiem lodów.

Na jednym ze stołów zobaczyła nazwisko swoje i Dana i podeszła bliżej. Dziewczyna w rozłożystej niebieskiej sukni stanęła obok niej.

— Derbhla Hislop. — Uśmiechnęła się do Ash.

— Ash O'Halloran — odpowiedziała Ash.

Derbhla rozejrzała się wokoło.

— Zdaje mi się, że zgubiłam swoją parę.

— Ja też — powiedziała Ash.

— Chciałabym wiedzieć, dokąd oni poszli. — Derbhla uniosła brwi. — Tutaj nie ma nawet dużego baru, nawet szpilki nie można zgubić, ale oni jakimś cudem potrafią zniknąć. Może mój facet poszedł do pokoju.

— Do pokoju? Zostajecie tu na noc?

— Och, jak najbardziej — powiedziała Derbhla. — Nie byłabym w stanie prowadzić z powrotem do miasta, a Maurice'owi tak czy inaczej bym nie pozwoliła. Kiedy sobie strzeli kilka drinków, jest do niczego. O, patrz, idzie! — Pomachała do wysokiego mężczyzny, który wszedł właśnie do jadalni. — Tutaj, kochanie!

Ash skrzywiła się. Chciała, by Dan przy niej był, bo czuła się kompletnie nie na miejscu. Catering dla biznesmenów i bogaczy to jedno, ale integrowanie się z nimi to zupełnie co innego.

Dan pojawił się w końcu i Derbhla wygłosiła tę samą litanie co przed nią Thea. Zaczęła wypytywać Dana, jak to jest, że zawsze przyprawia inną dziewczynę na bal urządzany przez Honor i gdzie się podziewa ta prześliczna Cordelia, o której tyle słyszała.

— Chociaż — dorzuciła znacząco — nie byłoby to wcale takie dziwne, gdyby Dan rzucił Cordelię dla Ash, która także jest szalenie, szalenie miła.

Ash miała ochotę jej przyłożyć, ale tego nie zrobiła. Spojrzała tylko na Dana, który po raz kolejny wyjaśnił, zaciskając zęby, że Ash to po prostu jego stara przyjaciółka. Ash zaczynała mieć już dość dyskredytowania jej jako starej przyjaciółki Dana. Nie miała nic przeciwko byciu jego awaryjną towarzyszką na tę noc, ale irytowało ją to, że traktuje się ją jak kogoś, ko-

go wyciągnął z lamusa na tę okazję. Zaczęła nawet rozważać pomysł, by rzucić mu się na szyję i pocałować go namiętnie w usta. To by ich wszystkich zaszokowało. Zwłaszcza Dana! Na myśl o tym uśmiechnęła się ukradkiem. Często miewała takie myśli — że robi coś straszliwie szokującego i impulsywnego — wiedziała jednak, że nigdy się na coś takiego nie odważy. Dlatego bawiło ją wyobrażanie sobie takich scen.

Usiadła obok Dana, ale nie chciało jej się uczestniczyć w rozmowie, która przepływała falami wokół stołu. Zresztą i tak nie znała większości osób, o których była mowa, więc nie obchodziło jej, że Emilie i Patrick dostali wreszcie rozwód ani że Dominic wybudował wspaniały dom koło Bantry, a Leonard właśnie kupił drugą willę w Hiszpanii. Gromadziła jednak w pamięci te rozmowy, by je później zrelacjonować Molly i Shayowi podczas świąt, żeby mogli się razem pośmiać ze słabostek ludzi, których nazwiska pojawiają się w kolorowych magazynach.

Potem jedna z nich, rudowłosa piękność imieniem Lisa, powiedziała, że słyszała, jakoby Alistair Brannigan miał nową flamię, jak głosi plotka, absolutnie boską.

— Podobno jest prześliczna — mówiła Lisa. — Naturalna blondynka, jak słyszałam. Ale z niego szybki Bill, że już sobie kogoś takiego poderwał!

Ash milczała, lecz serce biło jej coraz szybciej.

— O ile wiem, pewna firma technologiczna jest już prawie gotowa, by zaistnieć na rynku — wtrącił się nagle Dan. — To może być prawie tak dobra okazja jak Archangel.

— Mam nadzieję — powiedziała Lisa. — Zarobiłam na nim ładnych kilka groszy. Jednak Alistairem jestem trochę rozczarowana. Znałam go w college'u, był wtedy takim sensownym facetem. Nigdy bym nie pomyślała, że tak szybko da się omotać jakiejś blond idiotce.

— Jestem pewny, że on nie da się nikomu omotać. — Dan spojrzał na Ash, która smarowała masłem ciepłą bułeczkę.

— Dan, nie bądź tak bezdennie naiwny! — zachichotała Lisa. — Wiesz, jakie są te baby. Wyłazą spod ziemi jak robactwo, gdy tylko jakiś facet zrobi trochę kasy. A potem zgarniają tyle błyskotek, ile się da, i przerzucają się na kogoś innego! Jestem pewna, że on sam nie obchodzi jej ani trochę, tylko jego saldo w banku. Bóg mi świadkiem, widziałeś przecież takie rzeczy. Pamiętasz siebie i Jennifer Lennon?

— Pamiętam — głucho odparł Dan. — Ale to było zupełnie co innego.

— Niby dlaczego? — zapytała Lisa.

— Ja też jestem znajomą Alistaira Brannigana — wtrąciła się Ash do rozmowy. — I uważam, że to nie ten typ, który da się wystrychnąć na dudka jakiegokolwiek kobiecie — naturalnej blondynce czy jakiejś innej.

Wszyscy spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

— Dobrze go znasz? — zapytała jedna z dziewcząt, która, jak się wydaje, miała na imię Lillian.

— Wystarczająco dobrze — odparła Ash.

— Może mogłabyś nas sobie przedstawić. — Dziewczyna odrzuciła do tyłu falę jasnych włosów. — Lisa ciągle mówi, że mnie przedstawi, ale jakoś tego nie robi. Oczywiście Seb jest jak najbardziej w porządku — oparła głowę na ramieniu swojego chłopaka — ale jest wart zaledwie kilkaset tysięcy. To niemożliwe, żeby był w stanie zapewnić mi status, do jakiego rozpaczliwie chcę się przyzwyczaić. I chociaż nie jestem naturalną blondynką, na pewno przypadnę twojemu znajomemu do gustu.

— Jestem przekonana, że będzie zachwycony, mogąc cię poznać — nieszczerze zapewniła ją Ash.

— Opowiedz nam o tej drugiej firmie, Dan — odezwał się jeden z mężczyzn. — Naprawdę uważasz, że szykuje się kolejna okazja?

Rozmowa zesłała z Alistaira Brannigana na tematy bardziej ogólne. Ash skupiła się na jedzeniu, które było wyśmienite, oraz winie, które okazało się wręcz fantastyczne. Nadal też kolekcjonowała perełki plotek dla Molly — że żona dyrektora telewizji miała jakoby romans z korespondentem politycznym RTE; że żona znanego gwiazdora muzyki pop opuściła go, by zamieszkać ze swoją przyjaciółką lesbijką; że kroi się ponury skandal w związku z defraudacją, jakiej dopuścił się pewien dygnitarz z kręgów kościelnych.

Kiedy sama obsługiwała proszone kolacje, dość często zdarzało jej się słyszeć równie sensacyjne historie, a Molly uwielbiała ich słuchać, choć większość z nich pewnie była wyssana z palca. Ash nigdy zresztą nie powtarzała ich nikomu prócz Molly albo Michelle — o ile akurat ze sobą rozmawiały.

Kolacja zdawała się ciągnąć bez końca. Potem Honor Carmody wygłosiła mowę, że jest to jej ulubiona pora roku, że należy rozejrzeć się za ludźmi, którzy mają mniej szczęścia niż tu obecni, a na koniec poprosiła wszystkich o hojne datki, które pomogą ulżyć cierpieniom tych, których nie stać na tak wystawne wieczory jak dzisiejszy. Ash z konsternacją zauważyła, że wszyscy zaczęli wrzucać stufuntowe banknoty do wielkich porcelanowych waz ustawionych

pośrodku stołów — najwidoczniej taka była cena losu na loterii, w której można było wygrać pobyt z noclegiem w „K Club” w dowolnie wybranym terminie.

Ash wiedziała, że nocleg w tak luksusowym otoczeniu musi z całą pewnością kosztować więcej niż sto funtów, nie spodziewała się jednak, że będzie musiała ofiarować aż tak dużo tego wieczoru, i miała przy sobie niecałe sto funtów.

Otworzyła torebkę i zajrzała niezdecydowanie w jej czeluść.

— Zapłacę za ciebie — odezwał się Dan. Popatrzyła na niego i zagryzła wargi.

— Zwrócę ci — powiedziała. — Nie mam przy sobie aż tyle. Wzięłam kartę kredytową i trochę gotówki, ale...

— Proszę — przerwał jej Dan. — To ja cię zaprosiłem i nie chcę wyciągać z ciebie pieniędzy.

— Ale to dla dobra sprawy. Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, tylko nie mam tyle kasy.

— Wolałbym, żebyś się zgodziła.

— Ale ja ci zwrócę — powtórzyła z determinacją i pomyślała, że byłaby to ironia losu, gdyby to ona wygrała, choć to raczej niemożliwe. Nigdy dotąd nie wygrała niczego na loterii. Jeżeli wygram, pomyślała, może mogłabym przywieźć tu Alistaira, bo to miejsce z rodzaju tych, w których czułby się jak u siebie w domu!

Szczęście, jak zwykle, jej nie dopisało. Szczęśliwy los wyciągnęła dziewczyna siedząca przy stole Honor, wśród rozbawionych okrzyków: „Ale przekręt!”

— Nie szkodzi — stwierdził Dan, kiedy wszyscy podnieśli się, żeby można było przestawić stoły i zacząć tańce. — Przecież możesz tu w każdej chwili przyjechać.

Może on nie tarza się w gotówce jak Alistair, pomyślała Ash, ale zdecydowanie żyje w innym świecie, jeżeli mu się wydaje, że może sobie tu przyjechać na nocleg, kiedy tylko znajdzie mu się ochota!

Podczas gdy Dan gawędził z innymi gośćmi, Ash wyszła z jadalni do holu, gdzie ogień płonął jasno na kominku, a miękkie siedziska zdawały się jakby stworzone dla wygody. Usiadła naprzeciw kominka i wzięła numer „Harpersa”, chociaż nie chciało jej się go przeglądać. Przy ogniu było tak cicho i spokojnie, że z trudem powstrzymała chęć, by podkulić kolana i zamknąć na chwilę oczy. Bajglowi by się tu podobało, pomyślała i wyobraziła go sobie, jak siedzi skulony obok niej i razem jedzą lody i ciasteczka.

— Tu jesteś! — Po jakichś dziesięciu minutach Dan odnalazł ją, nadal zapatrzoną w płomienie. — Nie wracasz do środka?

— Chciałam tylko trochę posiedzieć w ciszy i spokoju — wyjaśniła. — Wracam za minutkę.

Dan usiadł obok niej.

— Czy dziewczyny sprawiły ci przykrość swoimi uwagami na temat Alistaira?

Ash potrząsnęła głową.

— Ani trochę. Zresztą skąd mogły wiedzieć, że go znam? Z drugiej strony, to niezbyt taktowne towarzystwo, prawda?

— Chyba tak.

Popatrzyła na niego rozbawionym wzrokiem.

— Z iloma z nich wcześniej chodziłeś?

— Słucham?

— Poznałem w toalecie dziewczynę, która mówiła, że przywiozłeś ją na tę imprezę w zeszłym roku. I wszyscy wydają się zdruzgotani na myśl o tobie i Cordelii. Sądziłam, że dokładnie przejrzałeś twój czerwony notesik, zanim mnie poprosiłeś. Odniosłam wrażenie, że nie było nikogo, kogo mógłbyś zaprosić, ale z tego, co widzę, są ich całe setki!

— Niezupełnie — powiedział Dan.

— Z iloma z nich chodziłeś? — powtórzyła.

— Z paroma — przyznał — ale mówisz to tak, jakbym je wszystkie zaliczył w pięć minut. A to trwało bardzo długo.

— One wszystkie mają siano w głowie — stwierdziła.

— Wiem.

— Ale nie Cordelia?

— Dlatego tak mi się podoba. — Dan poruszył się w fotelu. — Nie znam się na kobietach, Ash. Ale z Cordelią jest inaczej.

— Co to znaczy, że nie znasz się na kobietach? — zapytała. — Przecież one wszystkie na ciebie lecą.

— Te tutaj polecą na wszystko — rzucił lekceważąco. — Poza tym Bóg jeden raczy wiedzieć, czemu na mnie lecą, skoro pod względem kasy daleko mi do Alistaira Brannigana.

— Ale i tak jesteś dobrze sytuowany — powiedziała Ash. — Masz piękny dom i ładny samochód...

— Owszem, jestem OK — przyznał Dan. — Rzecz w tym, że zawsze znajdzie się ktoś bogatszy. Myślisz sobie, och, gdybym tylko miał dziesięć tysięcy dolarów w banku, ale byłoby fajnie. A potem, kiedy masz dziesięć, chcesz mieć dwadzieścia. A kiedy masz sto tysięcy, chcesz mieć dwieście. Zaczynasz się spotykać z ludźmi, którzy mają całe stajnie samochodów i prywatne odrzutowce, i nagle zaczyna ci się wydawać, że jesteś biedakiem.

— To śmieszne — powiedziała Ash.

— W porównaniu z Alistairem Branniganem jestem bardzo biedny.

— W porównaniu z Alistairem Branniganem wszyscy są biedni. — Ash uśmiechnęła się. — To musi być fantastyczne mieć tyle pieniędzy, ale też pewnie trochę przerażające.

— Więc zrezygnowałabyś z nich?

— Chyba żartujesz! — roześmiała się i znów zapatrzyła się w płomienie.

— Zastanawiasz się, jak mogłabyś je wydać? — zapytał Dan. Uśmiechnęła się do niego.

— Ciekawe byłoby spróbować.

— A chciałabyś?

— Sama nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Lubię go, ale naprawdę w tym momencie łączy nas tylko przyjaźń. I nie wiem też, czy... — Nie dokończyła zdania.

— A istnieje w ogóle coś takiego? — zapytał Dan.

— Ale co?

— Przyjaźń. Między mężczyzną i kobietą? Nie sędzę.

— Pewnie masz rację — przyznała Ash. — Mam kilku przyjaciół, którzy są tylko i wyłącznie przyjaciółmi. Ale nie są to moi bliscy przyjaciele.

— Dokładnie — powiedział Dan.

— My, na przykład, jesteśmy parą starych przyjaciół — przypomniała mu. — Tego wieczoru byłam tyle razy przedstawiana jako twoja stara przyjaciółka, że mam wrażenie, jakbym znała cię od urodzenia.

Dan się roześmiał.

— Przepraszam. Nic dziwnego, że poczułaś się jak stary kapeć.

— No właśnie — powiedziała z goryczą. — Te twoje eksprzyjaciółki potraktowały mnie podejrzliwie, bo żadna z nich nigdy o mnie nie słyszała. Czemu chodziłeś aż z tyloma dziewczynami?

— Dla wprawy — odpowiedział.

— Dan!

— Nigdy nie byłem dobry, jeżeli chodzi o podrywanie dziewczyn — przyznał. — Szczerze mówiąc, wiele z nich mnie onieśmiela, zwłaszcza dziewczyny takie jak Lisa, złożone z samych włosów, zębów i złotej biżuterii. Tak naprawdę jestem dość niepoważny. Poznaje jakąś dziewczynę, która wydaje mi się fantastyczna, zapraszam ją na randkę, a potem dostaję szoku, kiedy mówi „tak”.

Ash spojrzała na niego z uśmiechem.

— Więc umawiasz się z nimi, zakładając z góry, że odpowiedzą „nie”?

— Sam nie wiem — odpowiedział. — Zazwyczaj zapraszałem je na imprezy dla par. Takie jak ta. Ale nie ciebie — dorzucił pośpiesznie. — Ja nie... chyba rozumiesz... ja nie próbuję... dlatego, że nie ma Cordelii czy coś w tym rodzaju. To chyba oczywiste.

— Najzupełniej oczywiste — przytaknęła. — Poza tym musiałeś chyba zapomnieć, że przyjaźnimy się, właściwie odkąd zaczęliśmy stawiać pierwsze kroki, bo nie mówiłbyś mi takich rzeczy.

Dan uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, zapomniałem. Prawdą jest, że spotykałem się dotąd z wieloma dziewczynami, ale absolutnie nie byłem w stanie dotrzymać im kroku. Tylko z Cordelią czułem się naprawdę dobrze. Może dlatego, że jest z tej samej branży i mamy wspólne tematy?

Ash pokiwała głową.

— No cóż, one wszystkie są dekoratorkami wnętrz albo pracują w PR czy w mediach, i tym podobnych miejscach, pełnych splendoru i blasku, ale to nie jest prawdziwe życie.

— Myślisz, że to, co się odbywa u Chathama, to jest prawdziwe życie? — zapytała Ash. — Albo to, co robi Alistair?

— Znacznie bardziej prawdziwe niż zamartwianie się, co Prada szykuje na tę wiosnę — stwierdził z przekonaniem.

— Może i masz rację — powiedziała. — Ale i tak znacznie mniej prawdziwe niż gotowanie!

— A ty i Alistair? — zapytał Dan. — Król techno z kucharką techno. Mówiłem ci, że ślinił się na twój widok na tej premierze. I zapłaciłby każdą cenę za ten naszyjnik. Strasznie się zawziął, żeby go zdobyć dla ciebie.

— To było tylko głupie zagranie w stylu macho. Poza tym to ty się rzeczywiście śliniłeś, tylko w twoim wypadku było to alkoholowe upośledzenie mowy.

— Mam nadzieję, że ci się z nim ułoży, jeżeli to jest to, czego chcesz — powiedział Dan.

— Nie mam pojęcia, czego chcę. — Popatrzyła na niego. — Ja też nie za bardzo radzę sobie w związkach.

— Dlaczego?

Spojrzała na płomienie tańczące na kominku i zamyśliła się na chwilę. Nie miała ochoty na żarty, nie chciała również obnażać swojej duszy przed kimś, kogo tak naprawdę ledwie знаła, chociaż przypięto jej etykietkę jego starej przyjaciółki. Z drugiej strony, tak dobrze jej się z nim rozmawiało i wciąż przyłapywała się na tym, że mówi mu różne rzeczy, potem sama się sobie dziwi.

— Panicznie boję się mężczyzn — odezwała się w końcu. — Panicznie boję się, że się zakocham i będę później cierpieć.

— Wszyscy cierpimy — stwierdził Dan. — I jakoś trzeba sobie z tym radzić.

— Wiem — przyznała. — Ale ja nie chcę cierpieć.

— To wkalkulowane ryzyko, kiedy się z kimś spotykasz.

— Nie, jeżeli to ty jesteś tą zrywającą stroną — powiedziała.

— W takich przypadkach rzeczywiście nie — zgodził się Dan. — Ale kiedy to ktoś cię porzuci, czujesz się zraniona, nawet jeżeli aż tak bardzo nie szalałaś na jego punkcie.

Ash szarpnęła za swój złoty naszyjnik. — Nikt mnie nigdy nie rzucił. Dan otworzył szeroko oczy.

— Nigdy? Potrząsnęła głową.

— To ja ich rzucam, a nie oni mnie. Świat jest pełen dwudziestoparoletnich dziewczyn, które pielęgnują swoje złamane serca, bo zostały porzucone. Nie chcę być jedną z nich.

— Ale...

— Ilekroć coś zaczyna wyglądać poważnie, zrywam — przyznała otwarcie. — Nic nie mogę na to poradzić.

— Nawet jeżeli on ci się podoba?

— Zwłaszcza jeżeli on mi się podoba. — Zagryzła wargi. — Jestem gorsza dla tych, którzy mi się podobają.

— Rany! — Dan gwizdnął przez zęby. — Powinienem się cieszyć, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, a nie starymi kochankami. Zostać przez ciebie porzuconym to chyba mało zabawne.

— Dla mnie to też nie jest zabawne. — Głos jej się załamał.

— Przepraszam, nie miałem zamiaru z tego żartować.

— Wiem, przepraszam. Ja... moja ciotka i kuzynka ciągle mi powtarzają, że powinnam zdecydować się na jednego mężczyznę. Ale... ale ja nie jestem jeszcze na to gotowa. — Zwróciła na niego swoje piwne oczy, a on zdumiał się, że są takie ciemne w jej owalnej twarzy obramowanej złotymi włosami. — Zazdroszczę tobie i Cordelii. Naprawdę.

— A ja myślałem, że się ze mnie śmiałaś — powiedział Dan.

— Że ja się z ciebie śmiałam?

— Tamtej nocy. Myślałem, że śmiałaś się ze mnie po powrocie do domu, że oświadczyłem się dziewczynie, która kilka tygodni później wyjeżdża do jakiejś nowej, ważnej pracy. Pomyślałem, że musisz mnie uważać za głupca.

— Nie — powiedziała. — Tak nie było.

— Znajdziesz sobie kogoś, z kim będziesz chciała założyć rodzinę — zapewnił ją Dan. — I nie będziesz chciała go porzucić.

— To on mnie rzuci. — Głos jej zadrżał. — I nie wiem, czy potrafię sobie z tym poradzić.

— Oczywiście, że tak — powiedział Dan. — Każdy kiedyś został zraniony, Ash. I wszyscy jakoś sobie z tym poradzili.

Zegar na kominku wybił pełną godzinę. Ash podniosła oczy ze zdumieniem.

— Wróćmy lepiej na salę — powiedziała. — Bo jeszcze zaczną o nas pytać i pomyślą, że jesteś skończoną świnią, a w końcu dotrze to do Cordelii!

— Nie byłoby to takie złe — stwierdził Dan. — Obudzić w niej zazdrość! Ale masz rację, za długo byliśmy z dala od zgiełku. Pora się włączyć.

Zgiełku raczej nie było. Mała orkiestra grała walca i kilka par wyszło na parkiet.

— Umiesz tańczyć? — zapytał Dan.

— Tak — odpowiedziała.

— To jesteś lepsza ode mnie. — Westchnął. — Moja mama mówi, że mam dwie lewe nogi, ale możemy spróbować.

Dan okazał się bardzo dobrym tancerzem. Ash czuła się pewnie, gdy wirował z nią wokół sali przy dźwiękach *Opowieści lasku wiedeńskiego*. Później usiedli przy stole i Ash napiła się jeszcze szampana, a Dan przerzucił się na wodę mineralną. Tańczyła z Nigelem, jednym z mężczyzn siedzących przy tym samym stole, podczas gdy Dan poprosił do tańca Derbhłę, potem Lillian, a wreszcie został zagarnięty przez Lisę, która tańczyła jakby trochę za blisko i, ku rozbawieniu Ash, szeptała mu coś do ucha znacznie częściej, niż było to konieczne.

Na koniec Dan wrócił do stołu i znów zatańczył z Ash. Mniej więcej o trzeciej nad ranem popatrzył na zegarek i zapytał, czy nie ma już dość.

— Jestem wykończona — przyznała szczerze.

— Wobec tego pora się zbierać — powiedział. — To się może ciągnąć bez końca, kiedy orkiestra przestanie grać. W zeszłym roku o szóstej rano ludzie leżeli jeszcze po kątach.

— Nie mogę sobie na to pozwolić — powiedziała Ash. — Jutro gotuję.

— Rano? — przeraził się Dan. Potrząsnęła głową.

— Dzięki Bogu, nie. Ale muszę przygotować różne rzeczy na wieczorne przyjęcie. Wprawdzie mam tylko dostarczyć wszystko, a potem mogę wracać do domu, ale zostało mi jeszcze strasznie dużo do zrobienia.

— Przepraszam, że tak długo cię tu przytrzymałem — powiedział. — Nie myślałem, że masz coś do roboty w sobotę.

— Dobrze się bawiłam — powiedziała, kiedy udali się na poszukiwanie swoich płaszczy. — Chociaż na to nie liczyłam. Powiem ci prawdę, Dan, miło było wyjść gdzieś z facetem, i to tak... tak platonicznie. Jakbyśmy rzeczywiście byli parą starych przyjaciół!

— Nikt mi nigdy nie mówił, że jestem platoniczny — rzekł Dan.

— Platoniczna znajomość z facetem to dobry pomysł — stwierdziła. — Co za ulga wiedzieć, że nie będzie się na ciebie rzucał, bo woli się rzucać na kogoś innego!

Dan roześmiał się.

— Nie bój się, nie będę się na ciebie rzucał.

Pożegnali się z Honor, która ucałowała Dana serdecznie w oba policzki i powiedziała, żeby w przyszłym roku przyszedł z Cordelią. „Chociaż”, dorzuciła, całując Ash nieco mniej wylewnie, „Ash okazała się godną zastępczynią. I chyba trochę za ładną, jak na starą przyjaciółkę?” Dan powiedział Honor, żeby lepiej nie knuła intryg, obiecał zaprosić ją na ślub, po czym wyprowadził Ash na dół po schodach, na parking.

Na dworze było mroźno i Dan musiał zeskrobać z szyb cienką warstwę lodu, zanim wsiadł do auta. Ash siedziała z przodu i patrzyła na niego, zbyt zmęczona, by mu pomóc, i straszliwie senna. Do tego stopnia, że kiedy Dan otworzył drzwi od strony kierowcy, zobaczył, że opiera się bezwładnie o jego fotel, z zamkniętymi oczyma i opadającymi na ramiona włosami.

— Ash? — wyszeptał.

Nachylił się nad nią i zapiął jej pas.

— Ja wcale nie śpię — wymruczała. — Nie bój się, nie zasnę na tobie.

Rzeczywiście chciało jej się spać. Powstrzymywała się jednak, powtarzając w myślach przepisy, póki Dan nie zajechał pod jej dom, a wtedy ziewnęła tak szeroko, że o mały włos nie zwichnęła sobie szczęki.

— Dobranoc, Ash — powiedział.

— Dobranoc, Dan. — Wysiadła z samochodu. — Dobrze się bawiłam. To dość zabawne być twoją starą przyjaciółką.

— Dzięki, że przyszedłaś — powiedział. — Zobaczymy się w poniedziałek podczas lunchu.

— W poniedziałek będzie smażony dorsz. — Zatrzęsnęła drzwi wozu, otworzyła bramę, a potem mało nie skreśliła sobie kostki, potykając się o Bajgla, który pojawił się jak za sprawą czarów, ledwie przekroczyła próg mieszkania.

Rozdział 13

Ciasto owocowe

Mieszanka owocowa, wiśnie w cukrze, migdały, kandyzowana skórka owocowa, mąka, mieszane przyprawy, gałka muszkatołowa, brązowy cukier, jajka, margaryna lub masło.

Wsypać wszystkie składniki do miski i dobrze wymieszać drewnianą łyżką. Piec przez 3,5-4,5 godziny.

Emmet i Michelle wstąpili do Ash, żeby zabrać jej bagaże oraz zapasy świątecznych ciast i puddingów przed wyjazdem do Molly na Wigilię. Jak można się było spodziewać, Michelle zachowywała się, jakby zupełnie zapomniała, że po ostatniej wizycie rozstały się w gniewie. Ash za to poczuła przyływ wściekłości, kiedy Michelle zadzwoniła, cała w skowronkach, żeby jej powiedzieć, że wpadną po jej rzeczy jak zwykle w porze lunchu. I strasznie im przykro, że nie mają dla niej miejsca w samochodzie, więc będzie musiała pojechać pociągiem, ale może w przyszłym roku kupią sobie większy wóz. To samo mówiłaś rok temu, pomyślała Ash ze złością.

Emmet wziął walizkę Ash, a Michelle wścibskim spojrzeniem omiotła mieszkanie.

— Czemu wszystko przemalowałaś? — zapytała. — Przedtem było tu ślicznie. Mama mówiła, że wszystko zmieniałaś, a ja nie mogłam w to uwierzyć.

— Było za ciemno — powiedziała Ash. — Tak mi się bardziej podoba.

— Rzeczywiście, jest jaśniej — przyznała Michelle — ale ja wolę ciemniejsze kolory. Masz stąd za to bardzo ładny widok, Ash, chociaż ja nie mogłabym wytrzymać bez zasłon na oknach.

— Można się do tego przyzwyczać — powiedziała Ash.

— Pewnie tak. — Michelle westchnęła. — Łatwo utrzymać porządek, kiedy się nie ma dzieci. One w pięć minut potrafią przewrócić wszystko do góry nogami.

Już prawie to zrobiły, pomyślała Ash. Miała ochotę wrzasnąć na Lucy, która wzięła do ręki delikatną porcelanową figurkę i o mały włos jej nie upuściła. Jednocześnie Brian, zachwycony ozdobami na miniaturowej choince, chciał je złapać i znalazł się na tyle blisko, że mógł przewrócić drzewko.

— Chcecie teraz zabrać wasze ciasto czy weźmiecie je później, kiedy będziecie wracali do domu? — zapytała Ash.

— Ozdobiłaś je lukrowanym napisem „Szczęśliwego Nowego Roku”, tak jak prosiłam?

— Oczywiście.

— Wstąpię po nie w drodze do domu — powiedziała Michelle. — Nie ma sensu zajmować jeszcze więcej miejsca w samochodzie.

— Racja — przyznała Ash.

— Jest zapchany po dach prezentami — powiedziała Michelle. — Bóg mi świadkiem, że te dzieciaki już i tak mają o wiele za dużo rzeczy. Jak sobie pomyślę, co my dostawaliśmy na Gwiazdkę...

— Chyba każde pokolenie uważa, że następnemu powodzi się sto razy lepiej — stwierdziła Ash.

— Ale my mieliśmy tak mało pieniędzy. — Michelle westchnęła. — I tyle dzieciaków, a tata miał sezonową pracę...

— Budownictwo nie jest tylko sezonową pracą — rzuciła Ash. — Popatrz na Emmeta, jest zajęty na okrągło.

— Teraz jest inaczej — powiedziała Michelle.

— Może — mruknęła Ash.

Emmet otworzył drzwi na klatkę schodową.

— Dobra — powiedział. — Jedziemy. — Pocałował Ash w policzek. — No to do zobaczenia. Zadzwoni, jak już będziesz na miejscu, to wyjedziemy po ciebie na stację. Ash skinęła głową.

— Dzięki, Emmet. Ach, i nie zapomnij o mrożonych puddingach. Są w lodówce turystycznej. Masz, trzymaj.

— Można by pomyśleć, że jedziemy na jakąś trzymiesięczną ekspedycję — powiedział Emmet, patrząc na pudełka — a nie zaledwie na kilka dni do teściowej.

— Zobaczymy się później — rzuciła Michelle. — Dzieci, pożegnajcie się z Ash.

Dzieci zawyły „do widzenia” i wytoczyły się z hałasem na schody, a Ash wydała westchnienie ulgi, że jej dom wyszedł z tego bez szwanku. Co, jak sobie powiedziała, było bardzo nie fair z jej strony, bo to dobre dzieciaki i nigdy niczego nie stłukły umyślnie.

Po ich wyjściu Bajgiel znowu pojawił się w oknie. Sąsiedzi Ash — mieszkająca po drugiej stronie korytarza młoda para po dwudziestce — zaproponowali, że pod jej nieobecność będą go karmić, ale i tak dręczyły ją wyrzuty sumienia, że go zostawia. Wyjęła z lodówki kawałek wędzonego łososia, którego trzymała specjalnie dla niego, i wrzuciła mu do miski. Potem napełniła drugą miseczkę wodą i otworzyła słoik Petit Filou, który postawiła obok.

Jeżeli to nie wystarczy, by dać ci do zrozumienia, że wyjechałam na kilka dni, to już sama nie wiem, co robić, pomyślała.

Do odjazdu pociągu zostało jeszcze kilka godzin, wobec tego wyszorowała zlew i blaty kuchenne. To samo zrobiła w łazience, pozamiatała też w całym mieszkaniu. Sprzątnęła gazety leżące w rogu salonu, a potem uporządkowała kartki świąteczne na kredensie, które Michelle poprzestawiała, oglądając je. Każdą z nich obejrzała bardzo szczegółowo, lecz ku zdumieniu Ash tym razem nie zapytała, kto je przysłał. Oprócz kartek od instytucji pojawiły się w tym roku nowe nazwiska — Janice i James Butlerowie, którzy pobrali się w lecie i wydali śniadanie w swoim ogrodzie, a Ash przygotowała je z przyjemnością, chociaż bardzo rzadko przyjmowała zlecenia na wesela; Peter Hammill — był gościem na weselnym śniadaniu, a potem zamówił u niej obiad na osiemdziesiąte urodziny swojej matki; Alistair Brannigan — Ash była mu wdzięczna, że podpisał się takim bazgrałem, że Michelle nie była w stanie go odcyfrować; a wreszcie Dan Morland, który wyjechał na święta do Meksyku, do Cancun. Szczęściarz z niego, pomyślała, przestawiając jego kartkę na właściwe miejsce. Ominie go męka świąt w gronie kochającej rodziny. W poniedziałek po balu w „K Club” Dan zajrzał do kuchni i powiedział jej, że Cordelia nie wraca do Irlandii na Boże Narodzenie, bo w Stanach święta trwają zbyt krótko,

a ona jest bardzo zajęta, ale będzie w styczniu i już liczy dni do przyjazdu. „Sprawiała wrażenie dosyć zmęczonej”, powiedział, „ale zadowolonej, bo projekt, który opracowywała, był już prawie gotowy”. Pomyślał, że Cordelia może być teraz pod większą presją, niż się spodziewała, i potrzebuje kogoś, komu mogłaby się zwierzyć ze swoich problemów. Tym razem strasznie długo z nim rozmawiała, podczas gdy normalnie ich rozmowy były krótsze i, trzeba przyznać, bardziej przypominały rozmowy biznesowe niż rozmowy ludzi, którzy mają się pobrać.

Ash ucieszyła się, że Danowi zaczyna się dobrze układać, bo rzeczywiście miała wrażenie, jakby w tym momencie był jej starym przyjacielem. I to takim, który doszedł do tego momentu w życiu, do którego może i jej uda się dojść pewnego dnia. Do momentu, kiedy człowiek gotowy jest zawierzyć siebie drugiej osobie i stawić czoło cierpieniom, które ta osoba może mu zadać. Na myśl o tym pokręciła głową. Nic nie jest warte cierpienia zadanego przez innych. Nic.

Na dworcu Connolly Station panował straszliwy ścisk. Ash miała jeszcze mnóstwo czasu do odjazdu pociągu, ale i tak kiedy wsiadła, był już do połowy zapełniony i mogła się uważać za szczęściarę, że udało jej się znaleźć miejsce siedzące. Był to stary pociąg z lokomotywą spalinową, hałaśliwy i niewygodny, z oknami klejącymi się od brudu i wystrzępioną tapicerką. Ash otworzyła kolorowy magazyn i próbowała nie zwracać uwagi na otoczenie, jak również na, to, że kiedy pociąg ruszył ze stacji, więcej ludzi stało, niż siedziało, i wagon wydawał się niebezpiecznie przepelniony.

Ash nie znosiła tłumów. Nienawidziła miejsc, w których musiała się przyciskać do obcego ramienia albo stać twarzą w twarz z kimś, kogo nigdy przedtem nie widziała. Kiedy ostatnio była w Londynie, wsiadła do metra w godzinach szczytu, ale musiała wysiąść na następnej stacji, gdzie niemal biegiem dopadła ruchomych schodów, by wydostać się na Tottenham Court Road, bo jej się wydawało, że zemdleje w tym tłumie kompletnie obcych ludzi.

Nawet teraz na samą myśl o tym zaczęła się pocić, więc przewróciła stronę czasopisma i starała się nie rozglądać na boki. Niestety, już czuła, że serce galopuje jej w piersi i musi łapać haustami oddech, więc zaczęła liczyć, żeby się uspokoić.

Jakie to głupie, pomyślała, kiedy udało jej się zapanować nad oddechem. Przecież wiem, że nic straszego się nie stanie. Nic mi nie jest. Więc dlaczego tak się czuję i nie mogę nic na to poradzić?

Kilka lat po tym, jak wróciła do Irlandii po śmierci Julii, Molly załatwiła jej wizytę u terapeutki, bo martwiła się, że Ash nie lubi zasypiać po ciemku i z najbliższych powodów wpada

w panikę. Ash nie chciała z nikim rozmawiać, ale w końcu uległa namowom Molly. Terapeutka, albo psycholog, albo kimkolwiek była ta cholerna baba, mówiła o poczuciu odpowiedzialności Ash za Julię, o poczuciu bezradności, jakie nastąpiło po jej śmierci, i sugerowała, że ataki paniki są tego skutkiem. Powiedziała też, że być może dążenie Ash, by utrzymać w domu porządek i ład, czym doprowadzała Molly do szału, oznacza próbę przejęcia kontroli nad własnym życiem, czego przedtem tak bardzo jej brakowało. Ash próbowała zgodzić się z nią, że coś w tym może być, że terapeutka może mieć rację, ale nigdy nie dała się przekonać w stu procentach, że nie jest po prostu dziwadłem.

Michelle nazywała ją dziwadłem przy niejednej okazji. Zwłaszcza w dniu, w którym nie chciała się umówić z Michaeliem McCormackiem, najseksowniejszym chłopakiem w okolicy.

— Wszystkie dziewczyny gotowe są zabić, żeby się z nim spotkać — powiedziała jej Michelle.

— To znaczy, że wszystkie dziewczyny mają źle w głowie — odcięła się piętnastoletnia Ash.

— To ty masz źle w głowie — powiedziała Michelle. — Jesteś dziwadłem, Ash. Wszyscy tak mówią. I leczysz się u czubków! Nikt normalny w Irlandii nie leczysz się u czubków! Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że jesteś jakąś gwiazdą filmową z Hollywood czy co?

Może Michelle miała rację? Ash wcisnęła się głębiej w siedzenie, przewróciła kartkę i aż podskoczyła na widok artykułu poświęconego Alistairowi Branniganowi. „Król Sieci!” — krzyczały nagłówki nad korzystną fotografią Alistaira obok jego audi TT. „Nieosiągalny?” — zapytywał kolejny tytuł.

Czytając o tym, jaki Alistair jest wspaniały i zdolny, jak od zera zbudował swoją firmę i jaki jest teraz młody, bogaty i rozrywany, uśmiechała się pod nosem. Był taki rzeczywiście, trzeba to przyznać, ale zabawnie było widzieć to wszystko w druku, jakby dotyczyło to osoby, której w ogóle nie zna. W artykule przedstawiono go jako supermana, gdy tak naprawdę był zwyczajnym facetem. A tak przy okazji, Alistair nie powiedział jej, że jego ulubioną częścią garderoby są jedwabne bokserki! Musi teraz gorzko żałować, że zdradził to dziennikarzom.

Pociąg minął Howth Junction i nabierając prędkości, pomknął w stronę wybrzeża. Gdy minęli osiedla i krajobraz stał się bardziej wiejski, Ash odłożyła magazyn i wyjrzała przez okno. Alistair prosił ją, by spędziła z nim święta. Powiedział, że zabiera paru krewnych i znajomych na tydzień w hiszpańskim paradór — jednej z historycznych budowli przerobionych na luksusowe hotele. Miejsowość leży u podnóża Pirenejów, co gwarantuje śnieg i narty, jeżeli

Ash coś takiego lubi. Brzmiało to cudownie i przez chwilę pragnęła powiedzieć „tak”. Mimo to wytłumaczyła Alistairowi, że zawsze spędza święta u Molly i że Molly poczułaby się strasznie urażona, gdyby nie przyjechała, bo święta w rodzinnym gronie mają dla jej ciotki ogromne znaczenie. Co Alistair pewnie świetnie rozumie, skoro sam zabiera swoją rodzinę. Poza tym, mówiąc szczerze, czułaby się dość niezręcznie, pakując się w jakąś rodzinną uroczystość, nawet jeżeli byliby tam również inni znajomi. A poza tym i tak nie umie jeździć na nartach.

Alistair wzruszył ramionami i powiedział, że to nie ma znaczenia — przyszło mu po prostu do głowy, że mogłaby się dobrze zabawić. Wtedy po raz pierwszy odniosła wrażenie, że go lekko zirytowała. Odpowiedziała, że na pewno dobrze by się bawiła, ale on chyba zdaje sobie sprawę, jaką ludzie mają obsesję na punkcie świąt i w gruncie rzeczy nie warto kruszyć o to kopii. Na to on uśmiechnął się i stwierdził, że jest absolutnie słodka, że większość dziewczyn uznałaby weekend w Pirenejach za coś znacznie bardziej kuszącego niż tydzień z rodziną i że cieszy się, że oni są dla niej tacy ważni. A ona pomyślała, że gdyby rzeczywiście dobrze ją znał, wiedziałby, że boi się tego tygodnia z Michelle i całą rodziną O'Rourke'ów. I przez chwilę była już niemal gotowa zmienić zdanie i zgodzić się na ten wyjazd.

Na dziesięć minut przed przyjazdem pociągu do Droghedy zadzwoniła do Emmeta, a on jej powiedział, że odbierze ją ze stacji. I był tam, niezawodny jak zawsze.

Wsiadła do samochodu i zapięła pas.

— Jak tam sytuacja u Molly? — zapytała.

— Och, sama wiesz. — Odwrócił się do niej z uśmiechem. — Rob i Charlie snują się tylko po domu i żadnego z nich pożytku. Shay ciągle mruczy pod nosem, żeby wyskoczyć do pubu na drinka. Nie widziałem jeszcze Micka. Molly zamknęła się w sypialni i pakuje prezenty. Dzieciaki szaleją, a ja staram się schodzić wszystkim z drogi, podczas gdy Michelle zagląda w każdy kąt i próbuje odgadnąć, co się zmieniło od naszej ostatniej bytności.

Ash zachichotała.

— Aha, jeszcze jedno — dorzucił. — Wszyscy doszli do wniosku, że kiedy jak zwykle będziesz robiła nadzienie i tak dalej do indyka, w tym roku woleliby zwykłą brukselkę.

Ash zmarszczyła brwi.

— A co było w zeszłym roku?

— Zrobiłaś go w jakimś sosie — przypomniał jej Emmet. — Mnie to nawet dość smakowało.

— W sosie migdałowym — przypomniała sobie Ash. — Mnie też smakowało. Nie zno-
szę brukselki!

— Tak samo jak Michelle. — Emmet skręcił w wąską drogę prowadzącą do gospodar-
stwa Rourke'ów. — Ale i tak dostaje ją co roku. Wasza rodzina chorobliwie przestrzega trady-
cji.

Brian i Lucy rzucili się na Ash, zupełnie jakby nie widzieli jej od lat, a nie zaledwie od
kilku godzin. Charlie, najstarszy syn Rourke'ów, pocałował ją w policzek i powiedział, że
strasznie dawno ich nie odwiedzała. Rob, najmłodszy, też ją cmoknął — w tył głowy, będąc już
jedną nogą za drzwiami.

— Zajrzę do kumpli — wyszeptał bezgłośnie. — Zaraz wracam.

Molly z Michelle były w kuchni i wyjmowały ze zmywarki najlepszą zastawę stołową.

— Ash, kochanie, tak się cieszę, że znów cię widzę. — Molly wyprostowała się i uści-
skała ją.

— Ja też się cieszę, Molly. Wesołych świąt — powiedziała Ash ze skruszoną miną, bo
doskonale pamiętała, że obiecała odwiedzić ciotkę i wuja jeszcze przed świętami.

— Pociąg się spóźnił? — zapytała Molly. — Myślałam, że będziesz tu wcześniej.

— Nie, przyjechał na czas. Ale był strasznie zatłoczony. Miałam koszmarną podróż.

— Wejdz i nalej sobie drinka — zaproponowała Molly. — Już prawie skończyliśmy z
Michelle i zaraz się do ciebie przyłączymy.

— Na pewno nie mogę wam w niczym pomóc? — zapytała Ash.

— Rzeczywiście, mogłabyś powycierać sztucce — wtrąciła się Michelle. — W zasadzie
powinny być suche, ale nigdy nie są i potem ciemnieją, jeżeli się ich nie wytrze.

Ash z kwaśnym uśmiechem sięgnęła po ściereczkę. To bardzo dziwne, że Michelle wy-
brała jej coś tak łatwego jak wycieranie sztucców. Była pewna, że kuzynka wołałaby, żeby
opróżniła kubły na śmieci albo coś w tym rodzaju.

— Właśnie opowiadałam mamie, że twoje mieszkanie wygląda zupełnie inaczej po tym,
jak znowu je przemalowałaś.

— Mnie się podoba — stwierdziła Molly.

— To nie do wiary, o ile jest teraz jaśniej. — Ash odłożyła noże do koszyka na sztucce.

— Ale to musi być strasznie męczące przemalowywać mieszkanie za każdym razem,
kiedy się zmienia chłopaka. — Michelle postawiła na stole kilka filiżanek. — Myślę, że to nie-
korzystnie wpływa na twoje saldo bankowe.

— Nie zmieniam koloru za każdym razem, kiedy zmieniam chłopaka — grzecznie zaproponowała Ash.

— Pewnie nie — zgodziła się Michelle, spoglądając na nią znacząco. — W przeciwnym razie malarze w ogóle nie wychodziliby z twojego mieszkania.

— Daj sobie spokój, Michelle — powiedziała Ash.

— Ja tylko...

— Nora Maguire urodziła w zeszłym tygodniu syna — przerwała im Molly. — Po trzech dziewczynkach musi być w siódmym niebie.

— Pewnie tak samo jak ty, kiedy mnie urodziłaś po tej bandzie chłopaków — stwierdziła Michelle.

— Oczywiście. — Molly uśmiechnęła się do niej. — Ale nie zmartwiłabym się, nawet gdybyś była chłopcem. Kiedy przychodzi co do czego, chce się tylko, żeby dziecko było zdrowe.

— To prawda. — Michelle uśmiechnęła się ze zrozumieniem. — Poza tym to taka silna więź między matką a dzieckiem.

— Bardzo — przyznała Molly.

— Nic nie może jej zastąpić — dorzuciła Michelle.

— Może i nie — zgodziła się spokojnie Molly. — Ale najważniejsza jest świadomość, że jest się kochanym. I to z wzajemnością.

Ash wrzuciła kilka łyżek do szuflady, upuszczając przy tym widelec na kamienną posadzkę.

— Przepraszam — powiedziała, schylając się, żeby go podnieść. — Na starość wszystko zaczyna mi lecieć z rąk.

O dziesiątej wieczorem Molly, jej mąż Shay, Michelle z rodziną, Ash, Charlie i Rob siedzieli w salonie przy kominku. Ash była zaskoczona, że Rob wrócił z pubu, i jeszcze bardziej zaskoczona, że Shay i Charlie z nim nie poszli. Molly potrafiła jednak dopilnować, by wszyscy zasiedli pospołu, gdy będzie podawać kielbaski w cieście z piwem lub porto przed wyjściem na pasterkę.

Kiedy byli młodszy, wychodzili całą grupą do kościoła, ale teraz dwaj żonaci synowie Rourke'ów szli razem ze swoimi rodzinami rano, w dzień świąteczny. Tego roku po raz pierwszy od jakiegoś czasu zjedzą wspólnie obiad u Molly, chociaż i tak zawsze wpadali do niej w

pierwszy dzień świąt. Ash często zastanawiała się, co ich żony, Irina i Nancy, sądzą o takim życiu się rodziny Rourke'ów.

— Co powiesz na to? — Michelle, która przeglądała właśnie magazyn Ash, otworzyła go na stronie z artykułem o Alistairze. — Nieprzyzwoicie bogaty, przystojny i zaledwie trzydziestoletni! Co za kombinacja! — Westchnęła. — Pewnie jest gejem.

— Nie, nie jest — mimowolnie wyrwało się Ash.

— Skąd wiesz? — Michelle spojrzała na kuzynkę zaintrygowana. — Chyba nie jest jednym z tysięcy twoich nieprzyzwoicie bogatych klientów? A może jednak?

— Nie mam nieprzyzwoicie bogatych klientów — powiedziała Ash. — Moi klienci to na ogół firmy, a pozostali chcą tylko zrobić dobre wrażenie. Nie, Alistair nie jest moim klientem.

— Naprawdę go znasz, Ash? — zainteresował się Charlie Rourke. — Staralem się o pracę w jego firmie, zanim ją sprzedał, ale jej nie dostałem. Szkoda, bo zarobiłbym trochę pieniędzy na akcjach.

— Owszem, znam go — powiedziała Ash.

— Skąd go znasz? — wtrąciła się Michelle.

— Byłam na kolacji i on też tam był — wyjaśniła Ash.

— Czyli nie znasz go osobiście. — W głosie Michelle zabrzmiała nuta satysfakcji.

Ash spojrzała spod oka na kuzynkę.

— Byłam z nim na premierze *Skalistych wzgórz Donegalu* — powiedziała.

— Co takiego?! — Michelle wybałuszyła oczy.

— Później zjedliśmy kolację w Tea Rooms. Było świetnie. — Ash starała się mówić obojętnym tonem. Naprawdę nie miała zamiaru wspominać o Alistairze. Czuła też, że jeżeli zacznie teraz o nim mówić, sama się prosi o kłopoty, ale Michelle od chwili przyjazdu działała jej na nerwy i zwyczajnie nie mogła się powstrzymać.

— Tylko mi nie mów, że to twój najnowszy chłopak! — Molly spojrzała na nią z podziwem.

— Dostałaś kartkę świąteczną od jakiegoś Alistaira — oskarżycielskim tonem rzuciła Michelle. — Na to przynajmniej wyglądało. To on?

Ash skinęła głową.

— Niech mnie diabli, Ash! — Rob też miał oczy jak spodki. — Wiesz, jaki on jest nadziany? W gazetach piszą, że na sprzedaży swojej firmy zarobił miliony.

— Wiem. To prawda — przyznała spokojnie Ash.

— Co ci kupił na gwiazdkę? — dopytywała się Michelle.

— Nic. Mam nadzieję — powiedziała. — Bo ja nic mu nie kupiłam.

— Przecież, jeżeli z nim chodzisz... Wzruszyła ramionami.

— Wyszłam z nim raz czy dwa, ale... — zaczęła.

— Ale to jeszcze o niczym nie świadczy — dokończyła Michelle.

Ash spłonęła rumieńcem.

— Lubię go. To by było na tyle.

— Ash O'Halloran, jeżeli wypuścisz z rąk tego faceta, jesteś bardziej stuknięta, niż myślałam! — Michelle zamachała jej gazetą przed nosem. — Przyjrzyj mu się, jest fantastyczny. I taki bogaty!

— Bogactwo to nie wszystko — powiedziała Ash.

— To ciekawe usłyszeć coś takiego od ciebie. — Michelle spojrzała na nią drwiąco. — Od dziewczyny, która za kieszonkowe otworzyła sobie rachunek oszczędnościowy na pocztę. Od dziewczyny, która zawsze wiedziała, ile co kosztuje i która odkładała — odkładała! — połowę skromnej sumki, jaką dostawałyśmy co miesiąc. Od dziewczyny, którą stać na spłacanie kredytu za jeden z tych modnych apartamentów na nabrzeżu bez konieczności dobierania sobie współlokatora. Nie mów mi, że twoim zdaniem bogactwo to nie wszystko.

— Jestem przezorna — powiedziała Ash. — Nie bogata.

— Ale chciałabyś być bogata — trafnie zauważyła Michelle. — Znam cię, Ash. Lubiłabyś świadomość, że masz wszystkie pieniądze tego świata, żeby nie musieć pracować. A potem pewnie i tak byś pracowała.

Ash zaczęła się wiercić w fotelu, a reszta rodziny spojrzała na nią z ciekawością.

— Lubisz go? — zapytała łagodnie Molly.

— Oczywiście, że tak — oparła Ash. — Ale nie znam go jeszcze zbyt dobrze i... no cóż, on pewnie ma mnóstwo dziewczyn.

— Ale ty na pewno jesteś z nich wszystkich najładniejsza — odezwał się Charlie. — Uważam, że mogłabyś go usidlić swoją urodą, Ash.

— Charlie!

— Jeżeli już, to raczej gotowaniem — stwierdził Rob. — Taki gość lubi wiedzieć, że ktoś uwija się dla niego w jego kuchni. Ash, jeżeli przyrządzisz mu tę kaczkę w sosie śliwkowym, jaką dawniej robiłaś nam co niedzielę, nie pozwoli ci odejść.

— Na razie nie ma o czym mówić — mruknęła niechętnie Ash. — Spotkaliśmy się kilka razy, nic więcej.

— Przydałby nam się choć jeden multimiliarder w rodzinie — desperowała Michelle. — Jeżeli nie ma innych sposobów, żeby Ash się wreszcie ustatkowała, to może wystarczy wizja sześćo- siedmio- albo ośmiocyfrowego konta.

— Nie bądź głupia, Michelle. — Ash wysączyła szklaneczkę porto.

— Co w tym głupiego? — zapytała kuzynka. — Dowiodłaś wielokrotnie, że nie potrafisz wytrzymać dłużej z żadnym facetem, nawet jeżeli go kochasz. Ale jeżeli pokochasz jego konto, może ci się to uda.

— Co za bzdury! — uniosła się Ash. — Mogę wytrzymać, co tylko zechcę i z kim zechcę.

— Tak, jasne.

— Kiedy ty wreszcie dorosniesz?! — Ash poczuła, że z minuty na minutę rośnie jej irytacja.

— Ciągłe mi to powtarzasz — powiedziała ze złością Michelle. — A ja ci setki razy mówiłam, że to ja jestem dorosła. To ja mam męża, dzieci, dom i samochód.

— No i dobrze — prychnęła Ash. — Ale nie myśl sobie, że to szczyt moich marzeń.

— Dziewczyny! — Charlie powiódł wzrokiem od jednej do drugiej. — Opamiętajcie się! Dziewczyny!

— Zamknij się, Charlie! — rzuciła Michelle.

— Idę na górę. Muszę się przebrać. — Ash wstała. — Zawołajcie mnie, kiedy będziecie wychodzić na pasterkę.

Kościół wyglądał tak samo jak zawsze. Ta sama szopka po prawej stronie ołtarza. Ten sam transparent z napisem Alleluja po lewej. Te same — no oczywiście, że nie te same, ale takie same — girlandy z ostrokrzewu między filarami. A także ojciec Moran, wygłaszający swoje zwyczajowe chaotyczne kazanie z okazji pasterki, i spóźnialscy z pubu za rogiem, stłoczeni u wejścia, próbujący nie zasnąć na stojąco.

Ash lubiła chodzić na pasterkę. Lubiła jej niezmiennosc, dobrze znane hymny, znajome czytania. Julia, oczywiście, nie chodziła na mszę — była agnostyczką i buntowała się przeciwko wierze, jaką wpajano jej od dzieciństwa. Kiedy Molly odkryła, że Ash nawet nie została ochrzczona, mało nie dostała zawału i natychmiast wezwała do domu proboszcza. Ash przyjęła chrzest, chociaż nawet nie była pewna, czy ma na to ochotę. Nie chciała jednak być inna i gdy

jako dziecko mieszkała z Molly, robiła to samo, co wszyscy. Teraz chodziła już tylko na pasterkę, gdyż lubiła tę atmosferę podniosłego spokoju. Jednak nie tej nocy. Uświadomiła to sobie, gdy patrzyła na nieznanomych ludzi, idących środkiem nawy z puszkami na datki. Tej nocy nie czuła spokoju, tylko gniew, że wbrew własnej woli przyznała się rodzinie, iż zna Alistaira Brannigana.

Słuchając ich, można było dojść do wniosku, że już uznali go za właściwego mężczyznę. Znowu, powiedziała sama do siebie. Już wcześniej kilku innych chłopaków zostało uznanych przez Michelle i Molly za materiał na potencjalnego męża i były wściekłe, kiedy ich porzuciła. Jeżeli teraz rzuci Alistaira Brannigana, gotowi wsadzić ją za kratki!

Westchnęła. Może rzeczywiście zasługuje na to, jeżeli rzuci Alistaira Brannigana. Lubiała go. Był kontaktowy. Nie próbował jej popędzać. Więc może rzeczywiście był to Ten Jedyny. I może martwiła się i złościła na Rourke'ów całkiem niepotrzebnie, tylko dlatego, że zawsze tak robiła. Może Michelle miała rację, że pora wreszcie dorosnąć i pora się ustatkować. I jeżeli już musi to zrobić, to czy nie lepiej ustatkować się przy kimś, kto ma pięć milionów funtów w banku niż z kimś, kto ma tylko pięć?

Potrząsnęła głową. Czy Alistair miał jakiegokolwiek powody, by pragnąć stabilizacji? Może chciał się po prostu dobrze zabawić za swoje pieniądze? Trochę pożyć? A to wcale nie znaczy, że musi się z nią wiązać.

Co z kolei może oznaczać, że będzie chciał z nią zerwać. Na myśl o tym zagryzła wargi. Jak dotąd traktowała go z wystarczającym dystansem, dzięki czemu jeszcze bardziej się nią interesował. Westchnęła. Co za idiotyczne zgadywanki. Powinna przecież wiedzieć, co jest słuszne.

— Przecież wiesz, że ona jest stuknięta — powiedziała Michelle do Molly. Był świąteczny poranek i wszyscy zasiedli do śniadania, a dzieci rzucały się na prezenty pod choinką.

— Ash?

— Po co pytać?! — Michelle posłodziła sobie kawę i energicznie zamieszała łyżeczką. — Robię, co mogę, żeby być dla niej jak siostra. Doradzam jej, jak umiem. Wystarczająco często powtarzam, że nie powinna być sama. Że może mnie odwiedzać, kiedy tylko zechce. Próbuję jej też wytłumaczyć, że może związać się z jakimś facetem i wcale nie musi się to skończyć łzami. Ale ona mi nie wierzy.

— Robi, co może — powiedziała Molly.

— Och, mam, chyba sama w to nie wierzysz — jadowitym tonem rzuciła Michelle.

— Ona jest inna — tłumaczyła Molly. — Pamiętaj, że jest córką Julii.

— Ale to nie znaczy, że musi być wariatką — rzuciła Michelle.

— Julia żyła po swojemu — powiedziała Molly. — Ash też lubi żyć po swojemu.

— No i widzisz, dokąd takie życie doprowadziło Julię? — odcięła się Michelle. — Ash powinna się dobrze zastanowić nad tym, co dalej.

— Ash ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat — powiedziała Molly do córki. — Nie musi jeszcze zakładać rodziny.

— Nie uważasz, że bardzo by jej to pomogło? — zapytała Michelle. — Nie sądzisz, że powinna uporać się z tym cholernym problemem, jakim są dla niej związki z mężczyznami? A co z Alistairem Branniganem?! Jeżeli z nim nie potrafi się związać, to z kim jej się to uda?

— Daj jej spokój — powiedziała Molly. — Nie martw się o nią. To, co okazało się dobre dla ciebie, nie musi wcale być dobre dla niej.

— Chcesz powiedzieć, że za szybko wyszłam za mąż i urodziłam dzieci, prawda?

— Oczywiście, że nie — powiedziała Molly. — Przecież tego właśnie chciałaś. Tak samo, jak Ash pragnie niezależności.

— Powinnam była się domyślić, że wezmiesz jej stronę — rozgniewała się Michelle. — Zawsze tak było.

Molly sięgnęła po kolejną grzanekę i powoli posmarowała ją masłem, nie patrząc na Michelle, która rozrywała swoją na drobne kawałki.

— Nigdy nie biorę niczyjej strony — odezwała się w końcu. — Nigdy. Nie robiłam tego i nigdy nie zrobię. Wy dwie jesteście zupełnie inne i patrzycie na życie zupełnie inaczej. Owszem, chciałabym, żeby się urządziła, ale to bez sensu, jeżeli jeszcze do tego nie dojrzała.

— Dla niej zawsze idziesz na ustępstwa. — Michelle próbowała nie być drobiazgową.

— Może dawniej tak było — przyznała Molly. — Jeden Bóg wie, Michelle, jakie ona miała ciężkie życie...

— Tak, ale ona nie może wiecznie do tego wracać!

— Nie uważam, żeby tak robiła.

— Ha! — prychnęła pogardliwie Michelle.

— Dlaczego tak jej nienawidzisz?

— Ja jej nienawidzę?!

— Na to wygląda.

— Nie czuję do niej nienawiści. Jest mi jej tylko żal.

— Spróbuj nic do niej nie czuć przez chwilę — zaproponowała Molly. — Żyj własnym życiem, Michelle. A jej pozwól żyć swoim.

— Nigdy jej nie rozumiałam — powiedziała Michelle. —

Próbowałam, ale bez skutku. — Odsunęła talerz. — Nigdy nie zrozumieć, jak ktoś, kto jest córką największej latawicy w naszej rodzinie, mógł wyrosnąć na taką zimną, drętą piłę.

— Ona tylko próbuje być zimna — powiedziała Molly. — Ale taka nie jest.

— A ja tylko próbuję jej doradzać. — Michelle ziewnęła. — Ale już więcej nie będę.

— Czego więcej nie będziesz? — Ash stanęła w drzwiach. — Dzień dobry, Molly. Dzień dobry, Michelle. Wesołych świąt.

Rozdział 14

Szynka pieczona w piwie

Gotowana szynka, piwo Guinness, cukier, musztarda, imbir, kardamon.

Zdjąć skórę z szynki, wyrzucić, ułożyć szynkę w brytfannie tłustą stroną do góry. Polać mięso Guinnessem i piec w średniej temperaturze przez trzy godziny, polewając od czasu do czasu sosem. Zeskrobać tłuszcz, zmieszać z cukrem, musztardą, imbirem i kardamonem, dodać trochę wody i rozrobić na pastę, posmarować nią szynkę. Piec przez dalsze 15 minut w temperaturze 200°C.

W pierwszy dzień świąt Cordelia obudziła się dopiero przed jedenastą. Poprzedniego wieczoru była w biurze do dziewiętej, choć przy biurku zasiadła już o szóstej rano. Reszta pracowników banku rozproszyła się po całym budynku na różnych oddziałowych przyjęciach, ale ludzie z jej działu nadal tkwili na swoich stanowiskach. Cordelia raz po raz podnosiła oczy nad liczb, nad którymi pracowała, i jej wzrok padał na olbrzymią choinkę w rogu przestronnego otwartego biura. Ogarniało ją wtedy zdumienie, bo nie czuła świątecznej atmosfery. Jak to możliwe, skoro nie zdążyła nawet zrobić zakupów? Całe szczęście, że nie jedzie do domu, pomyślała ponuro. Wszyscy spodziewaliby się pewnie, że przywiezie im jakiś designerski sprzęt, bo w Stanach jest znacznie tańszy.

Nigdy by nie przypuszczała, że przyjdzie jej tak ciężko pracować. Wprawdzie lubiła swoją pracę, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, ale trudno jest rzucać się w wir kolejnego poranka, mając wrażenie, że poprzedniej nocy nie zmrużyło się oka. Może to i do-

brze, pomyślała, bo oznacza, że nie czuje się samotna, nie tęskni za domem i nie odczuwa braku Dana. Jednak w dzień Wigilii musiała przyznać, że brakuje jej Dana bardziej, niż mogła się spodziewać. Zadzwoił do niej oczywiście — z Cancun, gdzie spędzał świąteczny urlop. Ma sukinsyn szczęście!, pomyślała i poczuła się nawet trochę dotknięta, że Dan świetnie się bawi w Meksyku, podczas gdy ona haruje jak wół w Nowym Jorku. Niestety, była zbyt zajęta, by wziąć kilka wolnych dni, więc powiedziała mu, żeby sobie darował przyjazd do Nowego Jorku, by się z nią zobaczyć. A kiedy życzył jej wesołych świąt, omal się nie popłakała, bo dopiero wtedy po raz pierwszy zatęskniła za domem. Tym bardziej, że w tym tygodniu, jakim było to miasto, ludzie życzyli jej wesołych wakacji, a nie wesołych świąt. I rzeczywiście, cholera, mam świetne wakacje, mruknęła ze złością. To po prostu pech, że musi tak ciężko pracować w tym momencie, choć w zasadzie powinna uważać to za szczęście, bo im bardziej była zajęta, tym większa szansa, że zostanie zauważona i doceniona. Niemniej jednak bardzo brakowało jej atmosfery Bożego Narodzenia. Teraz, na przykład, mieli całkiem niepotrzebnie wolny dzień, bo zostało im jeszcze mnóstwo pracy nad planem awaryjnym, a ona chciałaby mieć już to raz na zawsze z głowy.

Naciągnęła kołdrę na uszy. Była zbyt zmęczona, by się podnieść, mimo iż telefon dzwonił już po raz drugi tego ranka. I tak odbierze automatyczna sekretarka, pomyślała. Nikt z biura dziś nie zadzwoni, bez względu na to, jak fatalnie przedstawia się sytuacja. Za dwa dni wróci do pracy i pewnie, sądząc po tym, jak wszystko wygląda, będzie musiała pracować również przez cały weekend. Jeżeli o nią chodzi, aktualnie najlepszym prezentem na świecie byłby niezakłócony sen jeszcze przez kilka godzin, póki nie przyjdzie pora, by się ubrać i iść na obiad do Shayli.

Shayla Kroenig pracowała w tym samym dziale co Cordelia, ale była tylko stażystką. Cordelia nie potrafiła odgadnąć, czy Shayla zaprosiła ją, gdyż uznała ją za kogoś, z kim oplaca się zaprzyjaźnić, czy dlatego, że naprawdę chciała ją ugościć. Trudno powiedzieć, pomyślała Cordelia, bardziej teraz przytomna, niżby sobie tego życzyła. Shayla, podobnie jak DeVere, okazywała jej szczególną życzliwość. Cordelia nie była jednak przekonana, że jest to przyjaźń bezinteresowna. Mimo to miło było móc spędzić z kimś święta i była Shayli wdzięczna za to zaproszenie.

Otworzyła oczy. Teraz już na dobre się obudziła i nie było szans, by mogła jeszcze choć na chwilę zasnąć. W mieszkaniu panował dotkliwy chłód. Drżąc, owinęła się grubym frotowym szlafrokiem, a potem włączyła ogrzewanie. Czerwone światło na automatycznej sekretarce

zamigotało trzy razy, sygnalizując nagraną wiadomość. Trzy, pomyślała. Trzy? Najwyraźniej pierwsza do mnie nie dotarła!

Zgodnie z nagraniem, pierwszą wiadomość zostawiono o siódmej rano. Nic dziwnego, że nie słyszałam, jak dzwoni telefon, mruknęła, wciskając klawisz COFNIJ. Po co, na Boga, ktoś miałby dzwonić dziś do mnie już o siódmej rano?

— Halo, Cordelio! To ja. Twoja mama. Przepraszam, pewnie jeszcze śpisz. Wesółych Świąt. Zadzwoń później.

Niech cię diabli, mamó, mruknęła. Można by pomyśleć, że zdążyłaś się przyzwyczaić do różnicy czasów.

— Cześć, Cordelio, to znowu ja! Nie było cię dziś w nocy czy nie chcesz ze mną rozmawiać? Zadzwoń do mnie, jak wstaniesz. Wesółych świąt!

Była pewna, że trzecia wiadomość także będzie od matki.

— Cordelio, tu tata. Twoja matka jest przekonana, że spotkało cię coś złego. Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła. Wesółych świąt.

Podniosła słuchawkę i wcisnęła zakodowany numer domowy rodziców. Żałowała, że jest jedynaczką i gdziekolwiek była, rodzice zawsze czuli się w obowiązku śledzić każdy jej krok.

— Cześć, mamó. To ja.

— Cordelia! To cała ty, żeby oddzwonić tylko dlatego, że dzwonił twój tata.

— Wcale nie — powiedziała Cordelia. — Spałam. Tu jest dopiero jedenasta rano.

— Jedenasta rano w pierwszy dzień świąt! — powiedziała z wyrzutem Linda Carroll. — Powinnaś już dawno być na nogach!

— Po co? — zapytała Cordelia. — Przecież nikogo tu nie ma.

— A twoja współlokatorka? — zapytała matka.

— Alicia wyjechała z rodzicami na urlop — wyjaśniła Cordelia. — A ja korzystam z okazji, żeby nadrobić brak snu.

— Dlaczego? Balujesz jak szalona?

— Chciałabym! Haruję jak szalona! Chociaż to dobrze, mamó. Idzie mi bardzo dobrze.

— Jakie masz plany na dziś? Co będziesz robić przez całe święta? Myślałam, że spędzasz je z przyjaciółmi.

— Tak też jest — odpowiedziała Cordelia. — Jedna z dziewczyn w biurze zaprosiła mnie do siebie i idę tam trochę później. Nie panikuj, mamó. Mam co robić.

— Nie mogę znieść myśli, że jesteś tam sama, beze mnie. — Lindzie zadrżał głos. — Wiem, że dobrze ci idzie, jednak święta to czas, kiedy naprawdę powinnaś być z rodziną. A przy okazji chciałabym wiedzieć, co na to Dan.

— Dan bardzo mnie wspiera na duchu.

— Możesz sobie mówić, że to nie moja sprawa, ale moim zdaniem to szaleństwo, żeby dziewczyna, która dopiero co się zaręczyła, wyjeżdżała sobie do innego kraju na pół roku. Bóg wie, co może się zdarzyć w ciągu sześciu miesięcy.

— Na przykład co? — zapytała Cordelia.

— Na przykład on może sobie znaleźć kogoś innego — powiedziała Linda.

— On mnie kocha — przypomniała jej Cordelia. — Bardzo nie chciał, żebym wyjeżdżała.

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknęła Linda. — Chciał się z tobą ożenić. Cordelio, to świetny chłopak i jestem pewna, że cię kocha, bo czemu nie, ale nie będzie czekać wiecznie.

— Mamo, on wie, że to gra o bardzo wysoką stawkę — powiedziała z naciskiem Cordelia. — Oboje się na to zgodziliśmy. Więc nie martw się. Poza tym rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Tęskni za mną. Tak mi powiedział.

— Nie podoba mi się myśl, że z tej tęsknoty mógłby wylądować w ramionach innej kobiety — złowieszczym tonem rzuciła Linda.

Cordelia roześmiała się.

— Nie znasz Dana. I mnie też nie znasz. Za kilka miesięcy wrócę, weźmiemy ślub i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

— Zawsze byłaś optymistką — stwierdziła Linda.

— A czy nie miałam racji?

— Chyba tak — przyznała jej matka. — Ale... sama wiesz... bądź ostrożna.

— Będę.

— Chciałabym, żebyś już wróciła do domu.

— Nie ma mowy, bym przepuściła taką okazję — powiedziała Cordelia. — To jest właśnie to, czego zawsze chciałam.

Linda westchnęła.

— Wiem, że to jest to, co zawsze chciałaś robić. Wiem też, że robisz to świetnie. Ale wolałabym, żebyś robiła to tutaj.

Właśnie dlatego jestem w Stanach, powiedziała sobie w myślach Cordelia, słuchając matki. Rozmowy z Lindą zawsze były takie same. Matka, choć dumna z jej sukcesów, wciąż się zastanawiała, czy nie mogłaby osiągnąć tego samego, nie opuszczając Irlandii.

Oczywiście, że nie mogłaby. Bo choć bardzo kochała oboje rodziców, dusiła się w rodzinnym domu. Nie można być chłodną i rzeczową dla ludzi, którzy nadal traktowali ją jak dziesięcioletnią dziewczynkę. Byli nieszczęśliwi, kiedy po raz pierwszy wyjechała do Stanów, i zachwyceni, gdy wróciła do Irlandii, choć oczywiście woleliby, żeby znalazła sobie pracę w Wexford raczej niż w Dublinie. Cordelia nie potrafiła sobie wyobrazić, jaką, ich zdaniem, pracę mogłaby sobie znaleźć ze swoimi doskonałymi kwalifikacjami w dziedzinie finansów w mieście utrzymującym się z turystyki. To inne pokolenie, tłumaczyła sobie. Nie zdają sobie sprawy, jak wielkie znaczenie ma dla niej niezależność. Ani jak ważny jest dla niej sukces.

— A przy okazji, babcia przesyła ucałowania, kochanie, i mamy nadzieję, że wkrótce będziesz w domu.

— Na pewno — obiecała Cordelia. — Jak tylko skończę projekt, nad którym teraz pracuję.

— A jak wam idzie? — Linda nie znała się ani na bankowości, ani na finansach, i nawet nie chciała się na tym znać. Zapytała, bo choć nie miała zielonego pojęcia, o czym mowa, uwielbiała słuchać, jak córka mówi z takim znanstwem.

— Uważam, że opracowaliśmy dobry pakiet — powiedziała Cordelia. — Mam nadzieję, że nie dopuścimy do wrogiego przejęcia.

— Czy chociaż do nich dotrze, że to wyłącznie twoja zasługa? — zapytała Linda.

Cordelia nie chciała rozwiewać jej złudzeń, mówiąc, że jest tylko jedną spośród tłumu próbujących uratować szczególnie niekompetentny zarząd.

— Może nie wyłącznie. — Wybrała kompromis. — Ale mam w tym swój spory udział.

— A niech tam, byłeś była szczęśliwa — powiedziała Linda. — I byłeś o nas nie zapomniała.

— Jak mogłabym o was zapomnieć — sucho zapytała Cordelia. — Przecież dzwonicie do mnie co tydzień. I już trzy razy w czasie świąt!

— Przepraszam — westchnęła Linda. — Ale zaniepokoiłam się, kiedy nie odebrałaś drugiego telefonu.

— W każdym razie już wstałam — powiedziała Cordelia. — I przez cały dzień będę u rodziców Shayli. Ale cieszę się, że zadzwoniliście, słowo daję. Aha! Wesółych Świąt, dla was obojga.

— Poczekaj, dam ci jeszcze tatę.

Złożyła ojcu życzenia świąteczne, znów porozmawiała z matką i wreszcie odłożyła słuchawkę. W mieszkaniu zrobiło się już na szczęście trochę cieplej. Przyszło jej na myśl, by zadzwonić do Dana. Miło byłoby znów z nim pogawędzić. Podniosła słuchawkę i wystukała jego numer. Jednak zamiast Dana odsłuchiwała tylko nagraną dla niej wiadomość.

Cieszę się, że tęsknisz, pomyślała z goryczą, po czym skarciła się w myślach, że to nie fair. Dan jest pewnie na plaży i tam za nią tęskni. A o ile go znała, nie wziął ze sobą na plażę telefonu. Chociaż bardzo Dana kochała, uważała, że czasami brak mu ambicji. De Vere wszędzie zabierał ze sobą komórkę! Ziewnęła. Filiżanka kawy, pomyślała, a potem przygotowuje się i wyjdzie, by spędzić święta z ludźmi, których prawie nie zna.

Cała familia Rourke'ów zasiadła do obiadu o czwartej trzydzieści po południu. Pamiętając o naleganiach rodziny, która chciała, by wszystko odbyło się absolutnie zgodnie z tradycją, Ash nie robiła nic szczególnego z warzywami, ugotowała je tylko na parze. I wszyscy jednoznacznie przyznali, kiedy już uporali się z indykiem, szynką, pieczonymi ziemniakami, brukselką, marchewką, kalafiolem oraz półtuzinem butelek wina, że był to najlepszy posiłek, jaki w życiu jedli.

— Naprawdę, nie musiałaś gotować, Ash. — Molly rozparła się na krześle z uczuciem przesyty.

— Ale ja to lubię. — Ash wzruszyła ramionami. — Czuję się dziwnie, kiedy tego nie robię.

— Chciałabym, żebyś została z nami na dłużej i trochę pogotowała. — Irina, żona Micka, ciężko westchnęła. — Nienawidzę gotowania. Naprawdę nienawidzę.

— Ja lubię gotować. — Michelle dopiła czwarty już kieliszek wina. — Ale nie jest to moją pasją.

— A co jest twoją pasją? — zapytała Irina.

— Moja rodzina — odparła Michelle. — Oni są dla mnie najważniejsi na świecie. — Uśmiechnęła się promiennie do Emmeta, a potem zamglonym wzrokiem objęła dwójkę dzieci zajęta rozmontowywaniem ciężarówki, którą Brian dostał pod choinkę.

— A moja jest utrzymanie dobrej formy. — Rob poklepał się po tłustym brzuchu, na co reszta rodziny wybuchnęła śmiechem. Potem Shay kazał wszystkim rozerwać srebrne i złote papierowe naboje i nalegał, by nałożyli wyjęte z nich śmieszne papierowe czapeczki.

Nancy i Irina śmiały się i żartowały z siebie nawzajem, podczas gdy męska część rodziny Rourke'ów czytała na głos kretyńskie maksymy dołączone do czapeczek. Molly i Shay z pobłażliwym uśmiechem patrzyli, jak Michelle kołysze Shaya juniora, a Emmet pomaga dzieciom złożyć z powrotem rozmontowaną ciężarówkę. Potem Charlie dolał wszystkim wina. Czemu czuję się wśród nich taka obca?, zastanawiała się Ash. Czemu nie potrafię się śmiać z ich kawałów albo uważać, że parodia morsa w wykonaniu Micka jest choć odrobinę śmieszna? Co jest ze mną nie tak, że patrzę na nich wszystkich i czuję, że wolalabym być u siebie w domu? A może już się upiłam? Choć na ogół, kiedy sobie popiję, tylko głupio się zachowuję.

— Wszystko w porządku, Ash? — Molly odwróciła się do niej.

— Absolutnie. — Ash odpowiedziała uśmiechem. — Zastanawiałam się tylko, czy wszyscy dojrżeli już do mrożonego puddingu, który przygotowałam, czy może wolelibyście zostawić go na później.

— Och, dawaj deser — odezwał się Rob. — Nie ma co odkładać!

Ash poszła do kuchni, gdzie zostawiła do odtajania puddingi, zamrożone w osobnych pojemniczkach. Przewróciła każdy z nich nad czarką, zadowolona, że wyglądają jak prawdziwy pudding. Był to jej moment triumfu nad tradycją — Rourke'owie zazwyczaj jedli prawdziwy pudding po głównym daniu, ale w poprzednim roku Shay zaczął się zastanawiać, czy nie mogliby spróbować czegoś innego. Na tym etapie, jak twierdził, był zawsze zbyt przejeżdżony, by docenić zalety puddingu. Na co Molly — to dla niej typowe — odpowiedziała, że nie można nie podać puddingu. Pudding to ważny element świątecznego dnia. Wtedy Ash zaproponowała mrożony pudding i wszyscy jednogłośnie uznali, że to może być całkiem dobre. No tak, pomyślała, wnosząc deser do jadalni, oto najlepszy dowód...

— Och, Ash, jesteś taka wściekle zdolna, że aż chce mi się płakać! — Irina spróbowała puddingu i rozpromieniła się. Czekolada i rum z owocami i kandyzowaną skórą pomarańczową. — Jest lepszy niż prawdziwy pudding.

— Jak ty to robisz? — zapytała Nancy. — Jak to robisz, że za każdym razem udaje ci się wymyślić coś tak pysznego?

— Po prostu lubię to robić — odparła Ash. — Gotowanie to twórcze zajęcie.

— Nie uważałabyś tak, gdybyś musiała gotować dla całej czeredy głodomorów, która przy każdej okazji chce tylko wpakować w siebie, ile wlezie — powiedziała Michelle. — Gotowanie w moim domu to nie twórczość, tylko konieczność.

— Mimo wszystko można to lubić — powiedziała Ash.

— Jasne, kiedy to twoja praca, za którą ci płacą — lekceważąco rzuciła Michelle.

— Ale dzisiaj to nie była moja praca — zauważyła Ash.

— Była, była. — Michelle odłożyła łyżeczkę obok czarki. — Musisz to robić, bo nie chcesz, żeby zrobił to ktoś inny. Lubisz to uczucie, że jest coś, w czym jesteś najlepsza.

Przy stole zapadła krępująca cisza. Ash w milczeniu dojadła resztki swojego puddingu.

— W każde święta mamy to samo. — Słowa Michelle, choć niesprawiedliwe, podszyte były goryczą. — Cholera, co roku przychodzisz i przejmujesz w swoje władanie kuchnię, a my wszyscy musimy mówić, jakie twoje jedzenie jest pyszne. Dobrze, Ash, jest fantastyczne, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale powtarzanie ci tego co roku zaczyna być już trochę męczące.

— Nie musisz mi niczego mówić — uniosła się Ash. — Nie musisz nawet jeść tego cholernego żarcia, jeżeli nie masz ochoty. Myślałam, że to mój wkład, ale nie zdawałam sobie sprawy, że tego nie chcecie. Bardzo mi przykro. Na przyszły rok nie będę sobie zaprzętać tym głowy. Nie upiekę też ciast świątecznych.

Molly próbowała załagodzić sytuację:

— Ash, Michelle nie chciała...

— Oczywiście, że chciała — przerwała jej Ash, czując, że wzbiera w niej furia. — Dokładnie tak samo, jak zawsze. Wciąż mi wytyka, że miałam cholerne szczęście, że wzięliście mnie do siebie i mogłam u was zamieszkać. Zawsze też mówi, że jestem beznadziejną neurotyczką, bo nie chciałam wyjść za pierwszego faceta, który mnie o to poprosił. Michelle i ja przerabiamy to na okrągło i to się nie zmieni, póki do niej nie dotrze, że nigdy mnie nie lubiła, że zawsze mną gardziła i że ma w związku ze mną poważne problemy. Nie rozwiąże tego żadne udawanie, że chodzi jej wyłącznie o moje dobro.

Tym razem zapadła przy stole przerażająca cisza. Bracia Rourke'owie zajęli się wyskrobywaniem już i tak pustych miseczek. Emmet wodził wzrokiem od Ash do Michelle. Molly drżały wargi. Nancy i Irina wymieniły zakłopotane spojrzenia.

Shay Rourke podniósł się od stołu.

— Idę zrobić kawę — powiedział. — Każdy, kto będzie się zachowywał jak dorosły, może się napić.

— Już wcześniej zaparzyłam kawę. — W głosie Ash zabrzmiała buntownicza nuta. — To specjalna mieszanka świąteczna, którą lubią wszyscy moi klienci. — Odsunęła krzesło. — Ale ja nie będę piła, dziękuję, Shay. Nie zamierzam zostawać ani chwili dłużej tam, gdzie mnie nie chcą.

— Siadaj, Ash, i nie bądź głupia — odezwał się Shay. — Michelle, natychmiast ją przeproś.

— Za co? — obruszyła się Michelle. — Ja tylko powiedziałam, jak jest naprawdę. Jej się nawet nie chce ruszyć, żeby się tu zjawić kiedy indziej niż w święta. A potem wparowuje tu, przejmuje berło, a my mamy być jej za to wdzięczni. Robi to tylko dla nas, bo gdyby nie my, byłaby teraz u siebie.

— Prawdę mówiąc nie. — Ash nie usiadła, tylko stała, z ręką na oparciu krzesła. — Tego roku Alistair Brannigan zaprosił mnie, żebym spędziła z nim Boże Narodzenie w Pirenejach, ale mu odmówiłam, bo wiem, jak ważne są rodzinne święta dla Molly i dla was wszystkich. Dlatego przyjechałam tutaj.

— Ha! — Michelle poczerwieniała. — Ale wolałabyś pojechać z nim! Czyli jest dokładnie tak, jak myślałam. Tolerujesz nas i przyjeżdżasz tu tylko po to, żeby się popisywać. A to całe udawanie, że pieniądze nic dla ciebie nie znaczą — wiedziałam, że jak tylko zjawi się ktoś, kto ma parę groszy w kieszeni, wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

— Michelle! — Głos Molly zabrzmiał ostro. — To było niepotrzebne.

— Bo to prawda, tak? — histerycznie krzyknęła Michelle.

— Dajcie sobie spokój, dziewczyny. — Mick był wyraźnie znudzony. — Wszyscyśmy się objedli i może trochę za dużo wypiliśmy. A potem każdy mówi nie to, co myśli.

— Ona tak myśli, słowo w słowo — upierała się Ash. — I powiedziałyby dokładnie to samo, nawet gdyby nie wyżłopała całej butelki Côtes du Rhone.

— Dobrana z was parka — odezwał się Charlie. — Zawsze tak było i zawsze będzie.

— Ja nie chodzę i nie obrażam wszystkich wokół przy byle okazji — prychnęła Ash. — Nie wchodzę do jej domu i nie komentuję jego wystroju. Nie krytykuję jej kuchni ani męża, ani dzieci czy ubrań, ale ona ciągle to robi. A ja już tym rzygam!

— Nie rozumiem, dlaczego wy dwie nie potraficie się dogadać — powiedziała Molly. — Nie rozumiem też, czemu zachowujecie się jak dzieci!

— Bo ona uwięzła w jakiejś chorej bajce z czasów dzieciństwa — rzuciła ze złością Ash.
— W której ona jest królową, jedyną dziewczynką wśród chłopców, a ja jestem jakimś intruzem.

Nikt się nie odezwał, a potem Michelle wybuchnęła płaczem.

— A to jej kolejna sztuczka — prychnęła Ash. — Fontanny.

— Ash! — rzucił ostro Shay. — Przestań!

— OK — powiedziała Ash. — Wy wiecie i ja wiem, że nie mogę już dziś wrócić do domu. Ale postaram się nie wchodzić wam w drogę i wyjadę jutro, jak tylko będzie to możliwe. A wtedy Michelle znowu może być tą królową z bajki, jak zawsze chciała.

— Ash, robisz się bardziej dziecinna niż Michelle — stwierdziła Molly.

— Cieszę się, że wreszcie do ciebie dotarło, jaka ona jest dziecinna — powiedziała Ash.

— Na miłość boską! — Irina rzuciła serwetkę na stół. — Chyba do żadnej z was nie dociera, jakie macie szczęście. Macie dużą rodzinę, jesteście kochane i potrzebne i są ludzie, którym naprawdę na was zależy. Powinnyście obie wreszcie dorosnąć.

Ash bez słowa wyszła z salonu i udała się na górę. Pokój gościnny, który zajęła, należał dawniej do Micka i Roba. Kiedy była dziewczynką, jego ściany pokryte były zdjęciami piłkarzy oraz motocykli. Teraz był ładnie urządzony w stonowanych różach i błękitach.

Usiadła na łóżku i zaczęła liczyć. Serce galopowało jej w piersi i trzęsły jej się ręce.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście, liczyła. Powinam już dawno do tego przywyknąć. Nie powinnam wciąż łapać się na haczyk Michelle. Ale nic nie mogę na to poradzić. Dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa. W trakcie liczenia powinna myśleć o jakimś spokojnym miejscu, ale nie mogła wyrzucić z pamięci sceny, która rozegrała się na dole. Twarz Michelle była czerwona ze złości. Molly była blada. A Emmet z rosnącą rozpaczą patrzył to na Ash, to na Michelle.

Nigdy do nich nie pasowałam, pomyślała. Nie jestem taka, jaką by mnie chcieli widzieć. Molly na pewno myślała, że będę przyjaciółką Michelle, ale ona nigdy nie chciała się ze mną zaprzyjaźnić. Michelle nie chciała też, by Molly o tym wiedziała. Czterdzieści, czterdzieści jeden, czterdzieści dwa. Czuła już mrowienie w palcach i zaczynało jej się kręcić w głowie.

Może trzeba było odszukać ojca. Nawet jeżeli jest mi wszystko jedno, jaki jest i kto to taki. Może jest starzejącym się hippisem, który nadal paraduje w dżinsach i farbowanym podkoszulku. Albo jakimś zadbanym biznesmenem w dużej firmie, który starannie zatarł swoją

przeszłość. Może jednak powinno mnie obchodzić, kto to. Może wtedy i ja zaczęłabym go trochę obchodzić.

Sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt. Ale jest mi wszystko jedno. A on nawet nie wie o moim istnieniu. I tak jest lepiej. Osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden.

Drżenie zaczęło powoli ustępować. Czowała, jak jej serce zwalnia tempo.

Kiedy była młodsza, miewała wiele dni takich jak ten. Czasami zdarzało jej się nawet zemdleć. Molly zabierała ją wtedy do miejscowego doktora, który mówił jej, że fizycznie jest w świetnej formie. To właśnie wtedy zaprowadzili ją do kogoś, przed kim mogłaby się wygadać. Potrząsnęła głową. Minęły te czasy, kiedy chciała się wygadać. Przestała się też z ludźmi kłócić.

Pomyślała, że gdy następnym razem jakiś multimilioner zaproponuje jej Boże Narodzenie w Pirenejach, pojedzie bez wahania.

Rozdział 15

Tajskie curry z kurczaka

Piersi z kurczaka, mleczko kokosowe, czerwona pasta curry, sos sojowy, cukier puder, kielki bambusa, oberżyny, limonka, listki bazylii, utarty orzech kokosowy.

Zagotować w rondelku mleczko kokosowe z pastą curry. Dodać do sosu kawałki kurczaka, ponownie doprowadzić do wrzenia i zmniejszyć ogień. Wymieszać sos sojowy i cukier. Pokrajać kielki bambusa i oberżynę. Dorzucić do rondla. Zagotować, potem dusić na małym ogniu. Dodać resztę mleczka kokosowego, sok z limonki i posiekane listki bazylii. Przełożyć na półmisek, posypać listkami bazylii i utartym kokosem.

Ash z przyjemnością wróciła do Dublina. Siedziała teraz przy komputerze i przeglądała terminarz zamówień. Styczeń bywał zazwyczaj mniej pracowitym miesiącem, a ten nie był wyjątkiem. To właśnie te spokojniejsze miesiące były powodem, dla którego przyjmowała wszystkie zamówienia, jak leci. Co tak naprawdę znaczyło, że większość miesięcy nie była wcale lekka. Przeglądała właśnie listę menu oraz win, kiedy zadzwonił telefon. Niechętnym wzrokiem spojrzała na aparat. Od świąt Molly dzwoniła chyba z pół tuzina razy i za każdym razem mówiła jej, że Michelle jest bardzo przygnębiona z powodu kłótni i że chce z nią porozmawiać, ale się boi, że Ash potraktuje ją zimno i lekceważąco, a tego by nie zniosła. Molly

mówiła też — byłoby z jej strony nie fair, gdyby nie wspomniała — że Ash także nie była zbyt miła dla Michelle. Prawdę mówiąc, Ash była cholernie niemiła dla Michelle, więc także powinna przeprosić. Michelle zdaje sobie jednak sprawę, że to ona zaczęła, więc to ona chce pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ash za każdym razem odpowiadała ciotce, że Michelle może zadzwonić, kiedy tylko zechce, i że rozmowa z Michelle to dla niej żaden problem. Nie pozwoli sobie jednak wmówić, że Michelle nie powiedziała jej paru okropnych rzeczy i że wcale tak nie myślała.

Pozostała część świąt to był istny koszmar. Choć podczas pobytu Ash u Molly między kuzynkami nie padło już ani jedno słowo, atmosfera się popsuła i Ash, zamiast zostać aż do Nowego Roku, jak to zawsze robiła, wróciła do domu po dwóch dniach. Molly ubłagała ją, by nie wracała wcześniej, i nalegała, by Ash i Michelle usiadły i porozmawiały, ale żadna z nich nie miała już ochoty. Po powrocie do domu Ash z furją rzuciła się w wir niepotrzebnych porządków, po których wszelkie odkurzone powierzchnie lśniły jak lustra. Poprzestawiała wszystko w szafkach kuchennych (już i tak, jakby jej powiedziała Michelle, chorobliwie czystych), grupując wszystkie puszki i słoiki według wielkości lub zawartości. Zdjęła ozdoby choinkowe i starannie je zapakowała, wyrzuciła też wszystkie kartki świąteczne. I wreszcie, ku wielkiemu niezadowoleniu Bajgla, wyprała poduszkę z jego koszyka, która przestała wreszcie być kłębowiskiem kocich kłaków. Kupiła mu też nową miseczkę, do której musiał się dopiero przyzwyczać. Gdy skończyła, wrócił jej dobry humor. Nie przestała się jednak denerwować za każdym razem, kiedy dzwonił telefon.

Odebrała z westchnieniem. Wciąż ćwiczyła w myślach, co powie Michelle, jeśli ta zadzwoni, nie była jednak pewna, czy zdoła zachować spokój, kiedy i jeśli usłyszy kuzynkę na drugim końcu linii.

— Halo! — odezwał się Alistair.

Ash ze zdumieniem stwierdziła, że miło jest usłyszeć jego głos.

— Cześć! — powiedziała ciepło. — Jak się udały narty?

— Genialnie — odpowiedział. — Śnieg był idealny, a pogoda też była fantastyczna. No i miejsce, w którym się zatrzymaliśmy, było absolutnie rewelacyjne.

Ash roześmiała się.

— Wygląda na to, że świetnie się bawiliście.

— To prawda. Szkoda, że nie mogłaś pojechać.

— Ja też żałuję — przyznała ze smutkiem. — Święta u Molly były, jak zwykle, koszmarne. Niestety, ciągle zapominam, jak było rok wcześniej.

— Czemu to taki koszmar? — zapytał Alistair.

— Ach, znowu się pokłóciłyśmy — wyjaśniła. — Nie za bardzo zgadzamy się z kuzynką. Ona zawsze ma w zanadrzu jakieś kąśliwe uwagi. Ale w tym roku autentycznie mnie wkurzyła, więc wróciłam wcześniej.

— Resztę świąt spędziłaś samotnie? — zapytał.

— Nigdy nie czuję się samotna — odparła. — Szczerze mówiąc, nawet lubię być sama. Ale byłam na nią tak wściekła. Ona ciągle się mnie czepia i doskonale o tym wie. Ja też o tym wiem. A ona wie, że ja wiem...

Alistair roześmiał się.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Może zjesz ze mną kolację dziś wieczorem, żeby o tym zapomnieć?

— Dokąd się wybierzemy? — zapytała.

— To znaczy, że przyjdiesz? — W jego głosie zabrzmiało zdumienie. — Tego samego dnia, w którym cię zapraszam?

— Przyjdę — powiedziała. — Byłam naprawdę bardzo zajęta w listopadzie i grudniu, ale styczeń to miesiąc, w którym z reguły się obijam.

— Stary poczciwy styczeń — zaśmiał się Alistair. — Mam przyjechać po ciebie koło ósmej?

Ash zawahała się.

— Jakiś problem? — zapytał.

— Nie — powiedziała. — Chodzi o to... możemy się gdzieś spotkać. Nie ma sensu, żebyś tu po mnie specjalnie wracał, jeżeli będziesz na mieście.

Alistair westchnął. Ash nigdy nie chciała, by przyjechał po nią do domu. Wydawało mu się to dość dziwne, ale starał się tym nie przejmować.

— Och, OK, skoro tak sobie życzysz. Masz jakieś preferencje?

— Coś ostrego, z przyprawami — odparła. — Mam już tak dość mięsa z dwoma rodzajami jarzyn, że robi mi się niedobrze na sam widok.

— Diep le Shaker? — zaproponował. — Ale jeżeli tam pojedziemy, wstąpię po ciebie. To kawał drogi.

— Nie bądź śmieszny, tylko piętnaście minut spacerkiem — powiedziała, choć wiedziała, że znacznie więcej. — No to, widzimy się tam o ósmej.

— Świetnie — powiedział Alistair.

— Fajnie — rzuciła.

Serce mocno jej biło, kiedy odkładała słuchawkę. Bardzo chciała znowu zobaczyć się z Alistairem. Lubiała go — nie tylko dlatego, że w kieszeniach pobrzękiwało mu pięć milionów bilonem. A Michelle może sobie myśleć, co chce.

Bajgiel wskoczył na stół, strącając przy tym stos kartek, które rozsypały się po całym pokoju.

— Ty cholerna niezdaro! — syknęła ze złością, a on spojrzał na nią wzrokiem skrzywdzonego niewiniątka. — Wiecznie to samo! — Pozbierała papiery i przejrzała je. Na pierwszej kartce był wydruk bilansu portfela jej akcji na koniec roku. Chatham przesłał go mailem, pod jej nieobecność. Po powrocie nie chciało jej się sprawdzać sytuacji na rynku — usłyszała tylko w wiadomościach, że ceny zwyżkują, choć niezbyt spektakularnie. Jutro zadzwonię do Steve'a Proctora i zapytam, jak się sprawy mają, pomyślała. A może lepiej zadzwonić do Dana.

Zaczęła się zastanawiać, jak spędził święta i czy się dobrze bawił w Meksyku. Szczęściarz z niego, pomyślała. Meksyk musi być cudowny o tej porze roku. Ciekawe też, czy Cordelia przyjechała już ze Stanów. Może na widok przystojnego, opalonego Dana zacznie żałować, że w ogóle wyjeżdżała! Ash nie widziała jeszcze Dana, ale była prawie pewna, że jest wspaniale opalony. Był też jej zdaniem bardzo przystojny, nawet z tymi włosami lekko przprószonymi siwizną. To zabawne, że na myśl o związku Cordelii z Danem budzą się w niej takie zaborcze instynkty. Jakby miała w tym jakiś prywatny interes, by wszystko przebiegło bez zakłóceń, tylko dlatego, że była przy tym, kiedy postanowili się pobrać. Pierwszy w tym roku lunch u Chathama przypadał w poniedziałek. Może Dan znajdzie trochę czasu, by później z nią pogadać i opowiedzieć, jak mu się układa z Cordelią. Na ten lunch zaplanowała makaron — byle co, byle dalej od indyka i szynki.

Ash dotarła do modnej tajskiej restauracji dokładnie o ósmej i zastanawiała się nawet, czy nie obejść kwartału ulic, tak by się trochę spóźnić. Gdyby przyszła na czas, wyglądałoby to na przesadną gorliwość. Alistair Brannigan mógłby opacznie to zrozumieć, gdyby zobaczył ją już siedzącą przy stoliku. Powinnam mieszkać w Niemczech, pomyślała z ironią, tam ludzie rozumieją, co to znaczy punktualność.

Tymczasem gdy otworzyła drzwi restauracji, zobaczyła, że Alistair już tam jest i sący dzin z tonikiem. Na jej widok uśmiechnął się i wstał, by się przywitać.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Ash — powiedział, całując ją w oba policzki. — Ślicznie dziś wyglądasz.

— Dziękuję. — Po długich delibaracjach, w dniu powrotu do Dublina nabyła na wyprzedaży w Brown Thomas szarosrebrzyste spodnie z żakietem i ciemnoróżową górą do kompletu. Kostium był drogi, nawet na przecenie (spróbowała zrobić zakupy w najspokojniejszym czasie), ale warto było, tym bardziej że grudzień przyniósł jej spore zyski. Poza tym kupiła sobie, również na wyprzedaży, czerwoną koktajlową suknię, na wypadek gdyby kiedyś jeszcze miała okazję spędzić wieczór w „K Club” albo w jakimś równie wytwornym miejscu. Tamtej nocy z Danem Morlandem czuła się jakby trochę na straconej pozycji. Co innego samemu nie wydawać z zasady zbyt dużo na stroje, a co innego znaleźć się w towarzystwie ludzi, którzy lubią wydawać na to pieniądze.

— Czy państwo czegoś się napiją? — Kelner podszedł do ich stolika.

Ash zamówiła wodę mineralną.

— Nie chcesz nic innego? — zapytał Alistair.

— Później napiję się wina — powiedziała. — Na razie wystarczy mi woda mineralna.

Rozejrzała się po restauracji, całej w odcieniach żółci i czerwieni, urządzonej tak, by maksymalnie wykorzystać dostępną przestrzeń. Była zapełniona w połowie — zdaniem Ash, całkiem nieźle, jak na wieczór w środku tygodnia, i to na początku stycznia.

— Głodna? — zapytał Alistair. Sięgnęła po kartę.

— Umieram z głodu — odparła.

Zamówili na początek dim sum* i Ash zdecydowała się na czerwone curry, a Alistair wybrał rybę gotowaną w liściach bananowca.

* Dim sum — małe, słodkie lub pikantne zakąski.

— Jedno, co w tobie lubię — odezwał się Alistair, kiedy wykladała łyżką dim. sum na liść sałaty — to że zjadasz wszystko, co zamówiłaś.

— Oczywiście, że tak — powiedziała ze zdumieniem.

— Zdziwiłabyś się, ile dziewczyn dziubnie jak ptaszek — powiedział. — Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, myślałem, że i ty się do nich zaliczasz.

Uśmiechnęła się.

— Dlaczego?

— Bo na taką wyglądasz.

— Dzięki — powiedziała.

— Ale nie jesteś taka. Jesteś prawdziwym łasuchem — stwierdził z podziwem, patrząc, jak włada kolejną porcją do ust.

— Czy zaprosiłeś mnie tu, bo miałeś nadzieję, że nie zjem zbyt dużo? — zapytała po przełknięciu.

— Nie — odparł. — Zaprosiłem cię, bo cię lubię.

— Dziękuję — powiedziała. — Po tym artykule w gazecie byłam zdziwiona, że w ogóle kogoś zapraszasz.

Alistair jęknął.

— Ten cholerny artykuł. Moje życie zmieniło się w koszmar. Ludzie wierzą w każde słowo. To takie irytujące!

— Chcesz powiedzieć, że żartowałeś, kiedy mówiłeś, że lubisz ciężko pracować i jeszcze ciężiej się bawić? — zapytała niewinnym tonem. — A te bokserki? Jak to jest z tymi bokserkami?

Alistair zakrył ręką oczy i potrząsnął głową.

— Prawdę mówiąc, powiedziałem coś takiego. Tylko że wtedy nie zabrzmiało to tak straszliwie pretensjonalnie. Nie miałem najmniejszego zamiaru komentować swojej bielizny!

Ash roześmiała się.

— Wyszedłeś na kompletnego palanta.

— Wiem — przyznał.

— Ale czy reszta to prawda? — zapytała, pochłaniając kolejny liść sałaty. — Że w zeszłym roku o tej porze byłeś bliski bankructwa i miałeś kłopoty ze zdobyciem dodatkowych środków? Że zrezygnowałeś z całkiem niezłej pracy, by założyć Archangela?

— Tak. — Alistair pokiwał głową. — Dostrzegłem lukę na rynku i spróbowałem się w nią wstrzelić. Problem firm takich jak moja polega na tym, że tam, gdzie w grę wchodzi nowe technologie, wszyscy są bardzo ostrożni i trudno ich za to winić. Nikt nie lubi myśleć, że kupił akcje spółek, które padną, a niestety, większość czeka ten smutny los. W czasach kiedy zaczęto produkować auta, w Stanach było około dwustu fabryk samochodów. Teraz zostały tylko trzy. Na tym przykładzie widać, jakie są perspektywy, prawda?

— Myślę, że tak.

— A jak tam twoje akcje? — zapytał Alistair.

— Chyba OK. Tak naprawdę traktuję je jako dodatek do emerytury. W zasadzie ich nie sprzedaję. Kiedy mam jakąś nadwyżkę, kupuję trochę akcji, ale sprzedaję je tylko, jeśli pieniądze są mi naprawdę potrzebne.

— Na co jeszcze wydajesz pieniądze? Podrapała się w głowę.

— Na mieszkanie, chyba. I na swojego kota — potrafi przejeść cały mój majątek!

— A wakacje? — zapytał. — Stroje? Samochody?

— Uspokój się, nie jestem tobą. — Ash roześmiała się. — Nie jeżdżę tak często na wakacje. Zazwyczaj wyjeżdżam na weekendy — do Cork albo Kerry, i bardzo to lubię. Ale jestem typowym mieszczuchem — lubię miasto i jestem tu szczęśliwa. Co do strojów, zwykle noszę T-shirty i džinsy. A samochód nie jest mi potrzebny.

— Ash, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale może powinnaś sobie odpuścić i troszkę pożycz.

— Nie mam ci tego za złe. — Ash upiła łyk wody. — Ludzie ciągle mi to mówią. Ale ja lubię moje życie takie, jakie jest. Więc dziękuję.

— A twoja rodzina? — zapytał. Wzruszyła ramionami.

— Oni robią swoje, a ja swoje.

Alistair przyglądał jej się przez chwilę z zainteresowaniem, ale nic nie powiedział.

— Tak czy inaczej, to ty jesteś bardziej interesujący — powiedziała. — Wszyscy mi mówią, że liczby podane w gazecie są prawdziwe. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to ten kawałek, w którym nazywają cię jednym z najbardziej pożądanych kawalerów w Irlandii, jest trafny w stu procentach.

— Rzeczywiście, jestem bardzo bogaty — przyznał z namaszczeniem Alistair. — I powiem ci, że to naprawdę fantastyczna sprawa. Wydałem majątek w czasie świąt i nawet nie naruszyłem salda.

Ash roześmiała się.

— To dobrze. Bałam się, że może to być kłamstwo i będę musiała zmywać naczynia, żeby zapłacić za dzisiejszą kolację.

Po kolacji Alistair zaprosił ją do siebie, a ona wyraziła zgodę. Uznała, że nie ma potrzeby trzymać go dłużej na dystans. Podobał jej się. Ona też mu się podobała. I nawet jeżeli nie była w nim jeszcze po uszy zakochana, zależało jej na nim.

Spodziewała się zobaczyć jakiś olbrzymi apartament, tymczasem było to typowe mieszkanie o dwóch sypialniach, tyle że z imponującym widokiem na Phoenix Park. Wyszła na balkon i popatrzyła na rozległe zielone tereny, dzięki którym miało się wrażenie, że jest się na wsi, a nie w mieście.

— Pięknie tu — powiedziała, gdy Alistair dołączył do niej z filiżanką gorącej kawy.

— Mnie też się podoba — przyznał — ale się stąd wyprowadzam. Dziupła w tym miejscu nie wpływa dobrze na mój wizerunek, a ja uważam, że człowiek musi żyć zgodnie ze swoim wizerunkiem. Obejrzałem już parę miejsc. — Spojrzał na nią. — Może zechciałabyś mi pomóc?

— Może. — Ash upiła łyk kawy. — Powiedz mi, co zrobisz, jak skończą ci się pieniądze?

— To niemożliwe — stwierdził. — Jak wiesz, ciągle pracuję. Opracowana przez nas technologia to tylko wierzchołek góry lodowej. Jeżeli myślisz, że Archangel świetnie stoi, to poczekaj jeszcze parę miesięcy. Zostanę biznesmenem roku w Europie, zobaczysz.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście — powiedział. — Wiem dokładnie, czego chcę, i będę to miał.

— Miło jest mieć taką pewność.

— Trzeba ciężko pracować — powiedział. — I kochać dobre rzeczy.

— Opowiedziałam mojej... mojej rodzinie, że się z tobą spotykam. Uważają, że powinnam cię zakuć w kajdany i zatrzymać przy sobie na zawsze.

— Może nie byłoby to takie najgorsze — rzucił lekko Alistair.

— Jeżeli chodzi o mnie, pewnie by było — przyznała się Ash. Znów upiła łyk kawy, a potem zadrżała z zimna.

— Wejdzmy do środka — powiedział. — Media nie byłyby zachwycone, gdyby się dowiedziały, że moja dziewczyna zmarła na zapalenie płuc, bo trzymałem ją godzinami na balkonie.

— Twoja dziewczyna? — Ash uniosła brwi.

— Chyba nią jesteś, prawda?

— Pewnie tak.

— Wiem, że nie robiliśmy jeszcze wielu rzeczy, jakie robią pary — odezwał się, wprowadzając ją do środka.

— Na przykład jakich?

— Takich. — Pocałował ją zachłannie w usta. Miały smak kawy i, w mniejszym stopniu, trawki cytrynowej. Przyciskał ją do siebie, a ona pozwoliła sobie wtulić się w jego objęcia.

— Mam coś dla ciebie. — Alistair puścił ją raptownie.

— Słucham? — spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Mam coś dla ciebie.

— Myślałam, że już wystarczająco mnie obdarowałeś, dziękuję — powiedziała z uśmiechem.

— Coś na gwiazdkę.

— Prezent? — Popatrzyła na niego zmieszana. — Alistair, nie chcę od ciebie gwiazdkowego prezentu, i to nie z jakichś głupich powodów, tylko dlatego, że sama nic ci nie dałam, a poza tym dałeś mi już ten naszyjnik i...

— Och, cicho bądź, Ash — przerwał jej Alistair. — Kupiłem to w Hiszpanii, to naprawdę ładna rzecz. Pomyślałem sobie, że ci się spodoba. — Wstał z sofy i przeszedł przez pokój. Pakiecik owinięty w złoty papier wisiał na gałązce maleńkiej choinki. — Proszę — powiedział.

— Dziękuję. — Ash czuła się bardzo skrepowana, przyjmując prezent. Rozpakowała go i otworzyła puzderko. Perłowe kolczyki spoczywały w gniazdku z mięciutkiej waty. Pomyślała, że będą świetnie pasowały do naszyjnika Julii. Ale jeśli okażą się równie pechowe...

— Są takie piękne — powiedziała.

— Przymierz je.

Nie chciała tego zrobić, choć czuła, że to idiotyzm; że nie ma powodu, by nie nosić kolczyków z perłami. Zacisnęła powieki i spróbowała wymazać z pamięci obraz Julii wyrzucającej naszyjnik przez okno w łazience. Odpięła maleńkie złote kółeczka, które nosiła w uszach, i zamieniła je na perły.

— Zawsze miałem takie marzenie — patrząc na nią, powiedział Alistair — że Kocham się z dziewczyną, która nie ma na sobie nic prócz perł w uszach. I, oczywiście, horrendalnie drogiego złotego naszyjnika, noszonego wcześniej przez Gwyneth Paltrow.

— Naprawdę? — zapytała Ash. Alistair skinął głową.

— Wobec tego chodzi pewnie o mnie — stwierdziła, odkładając złote kółeczka na stolik obok sofy.

Rozdział 16

Truskawkowy śnieżek

Dojrzałe truskawki, białka, cukier, gęsta śmietana, olejek waniliowy.

Rozgnieść truskawki, połączyć z białkami i cukrem, energicznie ubijać, aż masa stanie się sztywna i szklista. Ubić śmietanę, doprawić wanilią. Delikatnie wymieszać z masą truskawkową. Schłodzić albo od razu podawać.

Ash spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. To takie niepodobne do Jodie, żeby się spóźniać. Tymczasem Jodie nie zjawiła się jeszcze u Chathama i Ash zaczynała się już niepokoić. Na lunchu mieli być dziś obecni dwaj nowi partnerzy, umówieni jeszcze w końcu ubiegłego roku, czyli w sumie będzie osiem osób. Ash nie była w stanie obsłużyć ośmiu osób bez kelnerki. Już czuła w żołądku skurcz paniki, lecz nakazała sobie spokój. Jodie spóźnia się, ale przyjdzie. Gdyby coś się zdarzyło i nie mogłaby się stawić, zadzwoniłaby wcześniej.

Nie denerwuj się, rozkazała sobie, biorąc zieloną paprykę i krojąc ją na równe kawałki.

Nagle usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

— W samą porę — rzuciła, nie podnosząc wzroku. — Już zaczynałam się bać, że nie przyjdiesz.

— Ja?

— Auu! — Ash zaczęła ssać koniuszek palca, w który ukłuła się nożem ze zdumienia, gdy usłyszała głos Dana Morlanda. Odwróciła się. — Nie, ciebie się tu nie spodziewałam.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoił się Dan.

Pokiwała głową.

— To tylko drobne draśnięcie.

— Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłem. Chyba nie powinno się zaskakiwać ludzi, którzy mają w ręku nóż kuchenny.

Ash uśmiechnęła się.

— Tak, to nie jest dobry pomysł. Gdybym się naprawdę zdenerwowała, mogłabym się nim posłużyć jak bronią. Oglądałeś *Liberatora*?

— Ze Stevenem Segalem? — Dan pokiwał głową. — Mam nadzieję, że prócz bycia kucharką nie jesteś dodatkowo ekspertem w dziedzinie wschodnich sztuk walki.

— Niestety, nie. — Ash kawałkiem ściereczki owinęła palec, który nie przestawał krwawić. — Ale ten film zdecydowanie powiększył grono kucharzy.

— Nie wiedziałem, że taka z was krwiożercza banda. — Dan uśmiechnął się.

— Oczywiście, że tak, przecież kroimy mięso — odparła. — O co chodzi?

— O nic szczególnego — odparł. — Tak naprawdę chciałem trochę poplotkować.

— Poplotkować! — Ash roześmiała się. — Nie myślałam, że poważni maklerzy plotkują. Jestem pewna, że powinieneś siedzieć teraz przy biurku i zajmować się kupnem i sprzedażą, a nie plotkować ze mną w kuchni.

— Starym przyjaciołom zdarza się poplotkować — zapewnił ją Dan. — A na rynkach nic się dziś nie dzieje. Pomyślałem sobie tylko, że powiem ci, bo wiem, że chciałabyś to wiedzieć, że Cordelia przyjeżdża na urlop w przyszłym tygodniu.

— To dobrze — powiedziała Ash.

— Mówi, że już nie może się doczekać — dorzucił. — Że jest kompletnie wykończona, że akcja ratunkowa się powiodła i cały dział dostanie dzięki temu gigantyczne premie.

— To świetnie. A jak długo tu zostanie?

— Co najmniej tydzień.

— Zatrzyma się u ciebie? — Ash wyjęła z kredensu apteczkę.

— Daj! Ja to zrobię. — Dan otworzył apteczkę i wybrał plaster. — To poważniejsze skaleczenie niż myślałem!

— Nie jest aż tak źle. Tylko bardzo krwawi. — Poczekala, by wyjął opatrunek z papierowej torebki, i wyciągnęła palec, a Dan, krzywiąc się, okleił go plastrem.

— Co z tobą? — zapytała. — Nagle zrobiłeś się taki blady.

— Nie lubię widoku krwi — powiedział. — Robi mi się słabo.

— Na miłość boską! — wykrzyknęła, ale w jej oczach pojawiły się żartobliwe błyski. — Tylko się na mnie nie przewróć, bo możesz spowodować kolejny wypadek.

— Bądź spokojna. — Dan wziął z suszarki szklanę i nalał sobie wody. — Nic mi nie jest. A wracając do tematu, Cordelia zatrzyma się u mnie. W każdym razie przez jakiś czas, bo kilka dni musi spędzić z rodzicami. Jest jedynaczką i rodzice wiążą z nią wielkie nadzieje, co doprowadza ją do szału. Ale mam dla ciebie jeszcze jedną ploteczkę.

— Tak?

Ash znów sięgnęła po nóż, a Dan spojrzał na nią z niepokojem.

— Pamiętasz, że na święta pojechałem do Meksyku?

— Jak mogłabym zapomnieć? — zapytała z wyrzutem. Myślała o słonecznych świętach Dana, tak samo jak myślała o śnieżnych świętach Alistaira, w czasie gdy sama siedziała w lodowatej atmosferze, jaką udało im się stworzyć wraz z Michelle u Molly.

— Poznałem tam naprawdę fajną dziewczynę.

— Rany boskie! — Ash spojrzała na niego zaszokowana. — Czy twoje uwodzicielskie moce nigdy nie śpią? Czy rzeczywiście wszystkie dziewczyny padają ci do stóp?

— Nie — odpowiedział.

— Pamiętam tę noc w „K Club”. Roilo się tam od dziewczyn, z którymi się kiedyś umawiałeś.

— Kiedy się zbiorą w jednym miejscu, wydaje się, że jest ich więcej — powiedział z uśmiechem.

Ash roześmiała się.

— Może i tak.

— W każdym razie ta dziewczyna miała na imię Alicia i mieszkała w tym samym hotelu co ja. Byłaś kiedyś w Cancun, Ash?

— Nie.

— Cudowne miejsce — stwierdził z zachwytem. — Przepiękne plaże, absolutnie lazurowe niebo, ciepłe morze...

— Czuję bluesa. — Ash wzięła z półki odrobinę oregano.

— No więc poznałem Alicię w jednym z barów na plaży. Zachwycająca dziewczyna — chyba z pochodzenia Latinoamerykanka — długie czarne włosy, ciemne oczy... Mówię ci, superlaska.

Ash skrzywiła się.

— Więc zaczęliśmy rozmawiać — ciągnął dalej Dan. — I wiesz co?

— Co? — spytała sucho.

— To współlokatorka Cordelii!

— Niemożliwe. — Ash otworzyła lodówkę.

— Dokładnie tak. — Dan obdarzył ją promiennym uśmiechem. — Kiedy trochę pogadałiśmy, każde z nas się zorientowało, kim jest ta druga osoba.

— Ach tak?

— Powiedziała mi, że Cordelia siedzi umoczona aż po cycki w robocie — to jej słowa, nie moje, Ash, nie patrz na mnie z taką dezaprobatą — i że strasznie biadoli, że powinna była

zostać w Irlandii i od razu wyjść za mnie za mąż, a nie harować w banku osiemnaście godzin na dobę.

— Naprawdę? — Ash wytarła rękę.

— Więc zakładam, że wygląda to całkiem nieźle. Kazałem Alicji opowiedzieć, że mnie poznała i, że tak powiem, zrobić mi dobrą prasę.

Ash roześmiała się.

— No i co, zrobiła?

— Nie wiem. Ale potem Cordelia dzwoniła do mnie dzień w dzień przez cały urlop!

— Pewnie była o ciebie zazdrosna — stwierdziła Ash. —

Ona haruje przy nagrzanym komputerze, a ty hulasz sobie na plaży z jej współlokatorką. Sama byłabym trochę zazdrosna.

— Tak uważasz?

— Jasne. Za każdym razem, kiedy spotykam jakiegoś chłopaka, z którym chodziłam, a on jest z kimś innym, jestem trochę zazdrosna. Nawet jeżeli on mnie już ani trochę nie interesuje. A Cordelia musi być tobą poważnie zainteresowana, Dan, skoro macie się pobrać w tym roku.

— Wiem. Ale z uwagi na to, jak sprawy się potoczyły, muszę się ciągle upewniać.

Ash uśmiechnęła się.

— Bóg wie dlaczego, Dan. Ona wyjdzie za ciebie. Przecież cię kocha. A nawet gdyby cię nie kochała, to i tak wszystkie kobiety na tej planecie wydają się w tobie zakochane!

— Jesteś jak balsam na moją duszę! — stwierdził Dan i pocałował ją w czoło.

— Mam nadzieję, że wam nie przerwałam. — Jodie stanęła w drzwiach kuchni i popatrzyła na Dana i Ash.

— Lepiej już wróć do swojego biurka — powiedział Dan. — Dam ci znać, jak sprawy stoją.

— Świetnie. — Ash czuła, że ma czerwone policzki. Było jej wstyd, że Jodie przyłapała ją w tak dwuznacznej sytuacji z jednym z klientów. — Zobaczymy się później — dorzuciła, kiedy Dan zniknął za drzwiami.

— O co tu chodzi? — Jodie spojrzała na nią pytająco. — Myślałam, że jesteście tylko przyjaciółmi. Że mu po prostu „pomogłaś” w „K Club”. Wydawało mi się, że jest zaręczony.

— Źle to wszystko zrozumiałaś. — Ash powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. — Nic nie zaszło, Jodie. Rozmawialiśmy tylko o przyjeździe jego narzeczonej.

— I on odczuł nagłą potrzebę, żeby cię pocałować? — zapytała z ironią Jodie.

— To nie był ten rodzaj pocałunku — broniła się Ash. — Na miłość boską, przecież sama widziałas. To jeszcze...

— Nic nie znaczy — sucho dokończyła Jodie. — Wiem.

*

Tego wieczoru to Emmet zatelefonował do Ash, a nie Molly. Kiedy zadzwonił, gotowała właśnie zupę i rozbijała składniki w mikserze, więc z początku nie słyszała telefonu. Na dźwięk głosu Emmeta nie okazała entuzjazmu.

— Czym mogę ci służyć? — zapytała sucho.

— Nie mów do mnie, jakbym był jednym z twoich klientów — powiedział. — Przecież jestem twoim szwagrem.

— Niezupełnie — stwierdziła. — Jesteś mężem mojej kuzynki. I nie jestem tak do końca pewna, co to oznacza w sensie prawnym.

— Na miłość boską, Ash, to nie ma znaczenia, kim jestem. — Emmet był wyraźnie zirytowany. — Dzwonię z powodu ciebie i Michelle.

— Czy Michelle nie potrafi już mówić za siebie? — zapytała. — Prawie codziennie odbieram telefony od Molly, która prosi mnie, żebym była dla niej miła. Jeżeli Michelle chce ze mną porozmawiać, może, cholera, sama do mnie zadzwonić.

— Ona jest bardzo przygnębiona, Ash.

— Ach tak. A ja nie?

— Daj spokój, wszyscy wiedzą, że jesteś znacznie mniej uczuciowa niż Michelle. Ona najpierw mówi, a dopiero potem myśli. Przecież wiesz o tym. Wtedy paplała bez zastanowienia, a ty zdawałaś sobie sprawę z tego, co mówisz.

— Czyżby?

— Wystarczająco długo z nią mieszkałaś. — W głosie Emmeta zabrzmiały błagalne nuty. — Ona naprawdę jest przygnębiona. Nie chciała na ciebie naskoczyć.

— Owszem, chciała — powiedziała Ash. — Czepiała się mnie przez prawie dziewiętnaście lat i będzie się czepiać do końca życia. To leży w jej parszywej naturze.

— Ty też na nią naskakujesz, Ash. A ona naprawdę tak nie myśli.

— Więc kiedy ja jestem niemiła, to znaczy, że tak myślę, ale z nią jest inaczej? Jesteś jej mężem, więc wcale się nie dziwię, że tak uważasz. Ale powiem ci coś — ona mnie nienawidzi od chwili, kiedy się do nich wprowadziłam, i tak już będzie zawsze.

— To nieprawda, Ash.

— Na jakiej podstawie tak twierdzisz? Bo Michelle tak mówi?

— Ona cię kocha. Jesteście rodziną.

— Ha!

— Ona wie, że jeśli zadzwoni, będziesz udawała, że wszystko jest OK, ale tak naprawdę jej nie wybaczyłaś.

— Emmet, to ona udaje, że wszystko jest OK. Pokłóciłyśmy się, kiedy byłam u was ostatnio, a mimo to wparowała do mnie w dniu Wigilii, jakby nic się nie stało. I tak jest za każdym razem, kiedy się pokłócimy. Ale to coś w niej nabrzmiewa i nie daje jej spokoju, więc oczywiście przy następnym spotkaniu znowu dochodzi do kłótni. Jestem już zmęczona tymi ciągłymi awanturami, co wcale nie znaczy, że skoro tym razem to ona chce narysować grubą kreskę, ja też muszę od razu tego chcieć.

— Więc dalej chcesz się kłócić?

— Nie. Ale nie chcę też, żebyśmy się pocałowały na przeprosiny dla zachowania pozorów. Bo i ty, i ja dobrze wiemy, że prędzej czy później ona zacznie wszystko od nowa, a ja już mam tego po dziurki w nosie, Emmet. Wiem, że jest twoją żoną i kochasz ją, ale ona doprowadza mnie do szału. Poza tym robi różne złośliwe uwagi, a ja już nie zamierzam udawać, że mnie to nie boli. — Ash z przerażeniem usłyszała, że głos jej drży.

— Wiem — łagodnie powiedział Emmet. — Ale ona nie chce być ani złośliwa, ani okrutna, Ash. Postaraj się być dla niej bardziej wyrozumiała.

— Ach tak? Ja mam być dla niej wyrozumiała i ona ma być dla mnie wyrozumiała. Skończy się na tym, że obie będziemy chodzić wokół siebie na paluszkach. I jaki z tego pożytek?

— Tak to już bywa w rodzinie — powiedział Emmet. — Dorastasz wśród ludzi, dowiadujesz się, co ich wkurza, i okazujesz zrozumienie.

Ash nic nie powiedziała.

— Posłuchaj, może wpadłabyś na weekend? — zaproponował. — Strzelimy sobie kielicha, gotowanie zakazane, a ty i Michelle będziecie mogły wypić na zgodę. Dzieciaki też strasznie chciałyby cię zobaczyć.

— Widziały mnie na Boże Narodzenie — burknęła Ash.

— Nie musisz ich widywać tylko przy specjalnych okazjach — powiedział Emmet. — Poza tym wiesz, że Lucy cię uwielbia.

— Przestań mnie rozmiękczać — zirytowała się Ash.

— Próbuję być mediatorem — powiedział Emmet. — Michelle jest nieszczęśliwa i ty pewnie też, a życie jest zbyt krótkie, Ash.

— Wiem.

— Przepraszam — powiedział. — Może nie powinienem był mówić czegoś takiego do ciebie.

— A może tak. — Ash westchnęła. — Dobrze, przyjadę w sobotę, bo w piątek wieczorem pracuję.

— To świetnie. Michelle się ucieszy.

— Powinna była sama zadzwonić — powiedziała Ash.

— Nie zgodziłabyś się, gdyby to ona do ciebie zadzwoniła — stwierdził Emmet. — Znowu byście się pokłóciły i znów byłabyście wściekła przez pół nocy. A ja mam lepsze rzeczy do roboty, niż spędzać noc u boku kogoś, kto trzęsie się ze złości.

Ash uśmiechnęła się blado.

— Wobec tego zrobię to dla ciebie.

— Świetnie — powiedział Emmet. — I miło będzie znów cię zobaczyć.

— Tak — powiedziała Ash, odkładając słuchawkę.

Przelała pasternakowo-jabłkowe purée z miksera do rondla i ostrożnie podgrzała. Prawie idealne, pomyślała po skosztowaniu. Dodała jeszcze odrobinę pieprzu i znów spróbowała, a potem na głos powiedziała:

— Absolutnie idealne.

*

Przywiozła im butelkę St Emilion oraz noworoczne ciasto, którego Michelle nie odebrała. Idąc ścieżką prowadzącą do ich domu, myślała o swojej ostatniej wizycie i zastanawiała się, czy był choć jeden raz, kiedy się nie pokłóciły. Z westchnieniem pomyślała, że już wcześniej sto razy się przeproszały, ale i tak nie miało to znaczenia, bo prędzej czy później znowu kończyło się kłótnią.

Zadzwoniła do drzwi i, jak zwykle, otworzył jej Emmet, a z nim Lucy, która rzuciła się jej na szyję.

— Hej, Lucy! — Ash uściskała ją. — Jak się miewasz?

— Dobrze, dziękuję. — Lucy rozmawiała z nią zawsze tak, jakby obie były dorosłe. —

A ty?

Ash powściągnęła uśmiech.

— Ja też. Bawisz się gwiazdkowymi prezentami?

— Tak. — Lucy skinęła głową. — Ale szkoła już się zaczęła, więc muszę też odrabiać lekcje.

— Lekcje? — zapytała Ash. — A z jakiego przedmiotu?

— Z wychowania plastycznego.

— Robią naszyjniki z makaronu — wyjaśnił Emmet, kiedy wchodzili do domu. — Odejmując nam jedzenie od ust.

— Przecież ty nie lubisz makaronu — powiedziała surowo Lucy. — Więc robię ci tylko przysługę.

Ash i Emmet wybuchnęli śmiechem.

— Cześć, Ash! — Michelle podniosła się z fotela. Shay junior spał słodko na jej ramieniu. — Miło cię znów zobaczyć.

— Czyżby? — mruknęła Ash.

— Nie zaczynajcie od nowa — błagał Emmet. — Nie potraficie rozmawiać bez aluzji?

— Nie robię żadnych aluzji. — Ash wręczyła mu butelkę wina.

— Ja też nie — westchnęła Michelle.

Kuzynki usiadły, Michelle w swoim fotelu, a Ash na sofie, naprzeciwko niej. Emmet poszedł do kuchni, zabierając ze sobą Lucy i Briana.

— Jak tam Shay? — Ash głową wskazała niemowlę.

— Świetnie — odparła Michelle.

Zapadła cisza, przerywana tylko cichym pochrapywaniem dziecka.

— To idiotyczne — odezwała się w końcu Ash. — Siedzimy naprzeciwko siebie jak para wrogów.

— Czy tym stałyśmy się dla siebie? — zapytała Michelle. Ash potrząsnęła głową.

— Nie chcę, żeby tak było.

— Ja też nie — powiedziała Michelle. — Ale wydaje mi się, że źle na siebie działamy.

— Dlaczego? — zapytała Ash. Michelle wzruszyła ramionami.

— Nie lubisz mnie.

— Bzdura! — prychnęła Ash.

— Myślisz, że jestem głupia, bo wyszłam za Emmeta i urodziłam dzieci.

— Nie, to nieprawda.

— Uważasz, że nie mamy ze sobą nic wspólnego.

— Mamy ze sobą wiele wspólnego — stwierdziła Ash. — I według Molly, praktycznie jesteśmy siostrami, bo jesteśmy jedną rodziną. Więc powinniśmy żyć w zgodzie, prawda?

— Molly żyje w nierzeczywistym świecie — powiedziała Michelle. — Gdzie wszyscy się kochają i nikt się nie kłóci.

— Owszem, jest dość prostoduszna — przyznała Ash.

— Dlatego wzięła cię, kiedy byłaś mała — rzuciła Michelle. — Powiedziała, że nie będzie kłopotu, bo to tylko jeszcze jedna gęba do wykarmienia.

— Urocze. — Ash uśmiechnęła się mimo woli.

— Ale tak nie było, prawda? — zapytała Michelle. — Bo nie byłaś taka jak my. Nie lubiłaś wspinać się na drzewa, grać w piłkę i pomagać Charliemu z jego rowerkiem.

— No więc, ja...

Ale Michelle już była w swoim żywiole.

— To ty byłaś ta ładna. Ta delikatna. Ta egzotyczna, co mieszkała w Ameryce i Anglii i przeżyła tragedię.

Ash wyraźnie słyszała gorycz w głosie Michelle.

— Nie polecałabym nikomu tragedii — powiedziała, zdecydowana zachować spokój.

— Oczywiście, że nie. — Michelle patrzyła jej prosto w oczy. — Ale wykorzystywałaś ją, żeby dostać to, czego chciałaś.

— To nieprawda, Michelle!

— Za każdym razem, kiedy coś szło nie po twojej myśli, patrzyłaś na mamę tymi twoimi piwnymi oczyma i odrzucałaś jasne włosy, a ona nie potrafiła ci niczego odmówić.

Ash zaczęła się kręcić na sofie.

— Nigdy nie chciałam...

— A ja — ja mówiłam wprost, czego chcę, i jeżeli tego nie dostawałam, zaczynałam się z nią kłócić — i tym bardziej tego nie dostawałam!

— Wiem, ale...

— A tymczasem ona szła i kupowała ci nową sukienkę albo coś innego, bo ty, oczywiście, lubiłaś pastelowe róże i błękity, i skarpetki z koronkami, podczas gdy ja wołałam dzinsy.

Ash westchnęła.

— Ja też lubię dzinsy. Teraz chodzę prawie wyłącznie w dzinsach. To Molly wybierała mi inne rzeczy. A ja uważałam, że nie mogę odmówić.

— I jeszcze całe to halo z gotowaniem — ciągnęła dalej Michelle, jakby nie słyszała Ash. — „Och, ciociu Molly, pozwól mi spróbować. Daj, ja upiekę ciasteczka. Zgódź się, żebym ugotowała niedzielny lunch”.

— Michelle, ja naprawdę lubię gotować.

— Ale nie powinnaś była w wieku czternastu lat — syknęła Michelle. — Powinnaś była spotykać się z chłopakami, popijać cydr i palić papierosy za szopą. A nie gotować na siedem osób. Albo sprzątać w naszym pokoju. Boże, w naszej sypialni było zawsze tak cholernie czysto! A ja chciałam mieć normalny pokój nastolatki, który wyglądałby, jakby w niego trafił zbłąkany meteor albo coś w tym rodzaju, ale nie, miałyśmy pokój, w którym bałam się upuścić cokolwiek na podłogę, zamiast odłożyć to do specjalnie oznakowanej szuflady!

— Nie mogę znieść bałaganu — powiedziała Ash. — A ty nie piłaś cydru za szopą.

Michelle westchnęła.

— Piłam. Ale tylko raz, bo później się pochorowałam.

— Ja też piłam — przyznała się Ash. Michelle otworzyła szeroko oczy.

— Oczywiście nie za szopą — powiedziała Ash. — Kupiłam puszkę Tauntona do szynki, którą gotowałam, ale ją wypiłam. W łazience.

— No wiesz!

Ash wzruszyła ramionami.

— Szczerze mówiąc, nawet mi smakowało. Ale kręciło mi się potem w głowie, chociaż nie wymiotowałam.

— Nie wiedziałam.

— Nie widziałam powodu, żeby rozwiewać twoje wyobrażenia o mnie jako o chorobliwej czyścioszce, która lubi gotować.

Michelle uśmiechnęła się blado.

— Dokładnie tak cię zawsze widziałam.

— Wiem — przyznała Ash.

— Ale jednego nie rozumiem — powiedziała Michelle. — Jak to możliwe, że żyjąc tak, jak żyłaś z Julią, wyrosłaś na taką pedantkę?

— Jak mogło być inaczej? — zapytała Ash. — Życie upłynęło nam na ciągłych wędrówkach z miejsca na miejsce. Na pakowaniu i rozpakowywaniu, i ciągłym poznawaniu nowych ludzi. A ja chciałam tylko mieć jakiś czysty, schludny kąt, gdzie nikt mi nie wejdzie i nie narobi bałaganu.

Michelle milczała przez chwilę.

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób — powiedziała w końcu.

— Bo niby dlaczego.

Michelle poprawiła sobie w ramionach małego Shaya.

— Nie musisz już być taka — powiedziała. — Jeżeli już wiesz, czemu robisz to, co robisz, możesz się zmienić.

— Czemu miałabym się zmieniać? — Ash spojrzała na nią ze zdumieniem. — Lubię swoje życie. Lubię swoje mieszkanie. Lubię swoją pracę. Nie chcę niczego zmieniać.

— Ale chyba nie lubisz trzymać ludzi na dystans, Ash?

— Tego nie lubię.

— Lubisz. Dlatego nigdy się nie angażujesz.

— Właśnie, że tak! — uniosła się Ash. — I, o ile pamiętasz, jeśli już się angażuję, jak na przykład w czasie świąt, tylko was wkurzam.

Michelle uśmiechnęła się kwaśno.

— To co innego.

— Nie, nieprawda.

— Przepraszam cię za święta — powiedziała Michelle. — Jest mi naprawdę przykro.

— Święta były tylko eskalacją tego, co dzieje się na co dzień — powiedziała Ash.

— Za to też przepraszam.

Ash spojrzała ze zdumieniem na Michelle. Jej kuzynce nigdy dotąd nie zdarzyło się przeprosić w dwóch kolejno po sobie następujących zdaniach.

— Myślę, że czasami ci zazdroszczę — ciągnęła dalej Michelle. — Twojego mieszkania, chłopaków i życia, jakie prowadzisz...

— Moje życie jest całkiem zwyczajne — powiedziała Ash. — Mieszkanie jest ładne, ale ma swoją cenę — dlatego haruję jak wół! Na szczęście lubię to, tak mi się przynajmniej wydaje, ale nie mogę przestać pracować. Bo jeżeli nie pracuję, to mi nie płacą, a jeżeli mi nie płacą, nie mogę spłacać kredytu. Moje życie to nie bajka, Michelle. Natomiast jeśli chodzi o mężczyzn — nie wydaje ci się, że jesteś szczęśliwsza z Emmetem, niż gdyby ciągnął się za tobą sznur chłopaków? Nawet gdyby za mną uganił się na okrągło, a przecież tak nie jest!

— Kocham Emmeta — powiedziała Michelle z lekkim zażenowaniem. — Zawsze go kochałam i zawsze będę go kochać. Ale czasami wydaje mi się, że popełniłam błąd, wychodząc za mąż tak wcześnie. Mam uczucie, jakby całe moje życie zostało ustawione już w momencie,

kiedy skończyłam szkołę. Emmet zawsze był częścią tego planu, tak samo jak posiadanie domu i rodziny, dlatego niczego nie żałuję. Ale czasami myślę sobie, że trzeba było trochę poczekać. — Uśmiechnęła się kwaśno do Ash. — Chętnie pomieszkałabym przez kilka lat sama we własnym mieszkaniu.

— Ja dla odmiany, zastanawiam się czasami, jakby to było być mężatką i mieć dzieci — powiedziała Ash. — Myślę, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma!

— Chyba nie myślisz tak naprawdę? — zapytała Michelle. Ash westchnęła.

— Chodzi o to, że rodzina, i tak dalej, to sprawa dojrzałości — powiedziała kuzynce. — A ja nie jestem wcale pewna, czy kiedykolwiek będę na tyle dorosła, żeby się na to zdecydować.

Michelle roześmiała się.

— Ależ jesteś już na tyle dorosła, Ash.

Drzwi otworzyły się i Emmet zajrzał do pokoju.

— Ja tylko sprawdzam — wyjaśnił. — Czyście się jeszcze nie pozabijali.

— Na razie nie — powiedziała ze spokojem Michelle. — Daj nam jeszcze trochę czasu.

W oczach Emmeta błysnął niepokój.

— Wszystko w porządku — pocieszyła go Ash. — Naprawdę.

— Może chcecie się czegoś napić? — zapytał. — Piwo czy wino, Ash?

Ash spojrzała na kuzynkę.

— Nie, dzięki — powiedziała Michelle. — W tej chwili nie powinnam pić, jak można się łatwo domyślić. Czasami tracę poczucie proporcji, zwłaszcza, że muszę się zajmować Shayem, i tak dalej. — Odwróciła się do drzwi. — Ale z przyjemnością napiłabym się herbaty, Emmet.

— Dla mnie piwo — rzuciła Ash.

— Miałam strasznego kaca w pierwszy dzień świąt — przyznała się Michelle. — Od tamtej pory nie tknęłam alkoholu.

— Ja też nie czułam się najlepiej — westchnęła Ash.

— Poczekaj, aż będziesz miała wrzeszczącego dzieciaka, kiedy pęka ci głowa — powiedziała jej Michelle. — Wtedy zrozumiesz, co to znaczy poświęcać się dla rodziny!

— Ale ty to kochasz — stwierdziła Ash. — Kochasz swoją rodzinę i tak dalej.

Michelle pokiwała głową.

— Owszem. Dlatego zazdroścę ci tylko czasami.

— Nie powinnaś mi zazdrościć — powiedziała Ash. — Nie ma czego.

— A co z tym multimilionerem? — zapytała Michelle. — To naprawdę rzecz godna pozazdrosczenia!

Ash zaczęła się bawić złotym naszyjnikiem.

— On jest w porządku — powiedziała z rezerwą.

— Ash, przecież on ma miliony! To znacznie lepiej niż tylko w porządku!

— Pieniądze to nie wszystko — rzuciła Ash.

— Ale mogą pomóc.

— Wiem. — Ash westchnęła. — Lubię go, Michelle. Zaprosił mnie też na święta — choć przy okazji zabrał ze sobą całą paczkę, więc może nie był to tak do końca scenariusz typu kolacja przy świecach we dwoje, jak by ci się mogło wydawać. Mimo wszystko nie jestem pewna, czy potrafiłabym spędzić z nim resztę życia.

— Czemu nie? — zapytała Michelle.

— Nie wiem. Dobrze się z nim bawię. Jest przystojny...

— Jest cholernie przystojny — przerwała jej Michelle — przynajmniej sądząc po tych fotkach w gazecie.

— Niech ci będzie, bardzo przystojny — poprawiła się Ash. — Chodzi o to, że... och, sama nie wiem, Michelle. Może nie jestem kobietą typu „jeden mężczyzna, jeden związek”.

— Ale mogłabyś być — powiedziała Michelle — gdybyś sobie od czasu do czasu pozwoliła na to, żeby się bardziej zaangażować.

Drzwi znowu się otworzyły i pojawił się Emmet. Niósł tacę z herbatą i biszkoptami, a dla Ash puszkę Millera.

— Piwo i biszkopcy — parsknęła Ash. — To dopiero kombinacja!

— Przyniosę ci chrupki — zaproponował. Ash roześmiała się.

— Nie, nie trzeba. Nie jestem głodna, a jak już się do nich przypnę, nie będę mogła przestać.

— Nie jesteś przecież gruba, Ash — zaprotestowała Michelle. — Od czasu do czasu powinnaś zjeść kilka nafaszerowanych cholesterolem chrupek.

— Jadam dużo rzeczy o sporej zawartości tłuszczu — powiedziała Ash. — Gorącą czekoladę z ekstrakawałkami czekolady albo, na przykład, bezy. Staram się jednak zachować umiar. Tylko w przypadku chrupek to niemożliwe.

— Wiesz, co ci powiem? — Michelle podała Emmetowi niemowlę. — Ty zjesz chrupki, a ja nie będę się ciebie czepiać przez co najmniej trzy miesiące.

Ash zachichotała.

— Nie bądź głupia.

— Mówię poważnie — oświadczyła Michelle z bardzo poważną miną. — Zrób to, Ash. Zrób wreszcie coś spontanicznego. Zjedz, na przykład, całą paczkę chrupek, a przysięgam, że nie nazwę cię zatrzymaną w fazie analnej albo niedorozwiniętą, albo czymś w tym rodzaju.

— Mówisz serio?

— Oczywiście.

— Ale to głupie.

— Zrób to dla mnie — powtórzyła Michelle.

— Dobrze — powiedziała w końcu Ash. — Ale nie zjem całej paczki. Nie mogłabym potem spać, gdybym tyle zjadła. Ale trochę zjem.

— Trzy czwarte — nalegała Michelle.

— Obie jesteście niespełna rozumu — stwierdził Emmet, przyniósł jednak paczkę cebulowych chrupek.

— Spotkasz się z nim jeszcze? — zapytała Michelle, nalewając sobie herbaty do kubka.

— Z Alistairem? — Ash szarpnęła zamknięcie od puszki. Michelle skinęła głową.

— Jeżeli do mnie zadzwoni. — Ash z uśmiechem wyjęła z torebki garść chrupek. — Mówimy o tym tak, jakbym to ja sprawowała kontrolę nad tym, jak rozwinie się ten związek. Ale tak naprawdę to on do mnie dzwoni.

— Co cię powstrzymuje przed zadzwonieniem do niego? Nic — stwierdziła Michelle.

— Wiem. — Ash mówiła z pełnymi ustami. — Po prostu nie chcę.

— Bo wyglądałoby na to, że czegoś od niego chcesz?

— To nie prawda!

— No to dlaczego?

— Bo wyglądałoby na to, że czegoś od niego chcę — przyznała Ash z wymowną miną.

Michelle roześmiała się.

— Nie wiem, Michelle. — Ash upiła łyk piwa, żeby chrupki spłynęły do żołądka. — Może to się dalej rozwinie, a może nie.

— Musisz nad tym popracować — powiedziała jej Michelle. — Nie czekaj, aż samo się rozwinie. Bądź aktywna. Zaproponuj miejsca, do których chciałabyś pójść. Okaż mu, że ci na nim zależy.

— Przecież ty nie robiłaś nic takiego z Emmetem — zaprotestowała Ash. — To się w jakiś sposób samo rozwinęło między wami, prawda?

— Oszalałaś? — Michelle spojrzała na nią, jakby rzeczywiście postradała zmysły. — Jeżeli chodzi o Emmeta Somersa, od początku miałam starannie opracowaną kampanię.

— Naprawdę?

— Naprawdę — powiedziała Michelle. — Właśnie dlatego nie narzekam, że wyłudowałam z Emmetem.

— W tych sprawach radzisz sobie znacznie lepiej niż ja — stwierdziła Ash.

— Niezupełnie — powiedziała Michelle. — Ale lubię to i tym się zdecydowanie od ciebie różnię. Ty postrzegasz facetów jako swego rodzaju zagrożenie, Ash, a powinni być dla ciebie wyzwaniem.

— O Boże, tylko nie wyzwaniem.

— A twoim obecnym wyzwaniem jest doprowadzenie multimilionera do oświadczyn — powiedziała Michelle.

— A jeżeli nie chcę, żeby mi się oświadczył?

— Ash, każda dziewczyna chce, żeby jej się oświadczył facet z taką kasą. Poza tym nie musisz przecież przyjąć jego oświadczyn! Chociaż — dodała Michelle — byłabym straszliwie rozczarowana, gdybyś mu odmówiła.

— To nie tylko kwestia pieniędzy — broniła się Ash. — To decyzja na całe życie.

— Wiem — powiedziała Michelle. — Ale jeśli prześledzić twoje dokonania, Ash, ja naprawdę uważam, że tobie potrzebny jest facet z większą gotówką. O ile pamiętam, zawsze się bałaś, że może ci zabraknąć pieniędzy. Boisz się, że któregoś dnia ktoś może ci odebrać to, czego się dorobiłaś. Nigdy nie zaznasz spokoju z facetem, który będzie miał nawet całkiem przyzwoitą pensję. Ty potrzebujesz multimilionera!

Ash roześmiała się.

— Jesteś szalona, wiesz o tym? Michelle pokiwała głową.

— A ty zawsze byłaś rąbnięta.

Tym razem obie się roześmiały i Ash poczęstowała Michelle chrupkami.

Rozdział 17

Krem czekoladowy

Masło, cukier, mleko w proszku, czekolada.

Roztopić masło, zdjęć z palnika, wymieszać cukier i mleko w proszku. Podgrzewając powoli, doprowadzić do wrzenia. Zmniejszyć płomień i gotować przez 20-30 minut. Dodać roztopioną czekoladę i dobrze wymieszać. Przebrać do przygotowanej puszki i zostawić do wystygnięcia.

Cordelia zaczęła się rozglądać za Danem, ledwie wkroczyła do hali przylotów na lotnisku w Dublinie. Miała nadzieję, że on także jej szuka; terminal był, jak zwykle, zatłoczony, ale nie dostrzegła ani jednej znajomej twarzy. Znużona pchała walizkę ku miejscu spotkania, zła, że nie wyskoczył natychmiast z tej ludzkiej ciżby, aby ją objąć i powitać. Bo tak to sobie właśnie wyobrażała podczas długiej i męczącej podróży z Nowego Jorku na pokładzie straszliwie przepełnionego samolotu. Siedziała ściśnięta między parą potężnych biznesmenów, którzy — podobnie jak ona — nie lecieli w klasie biznesowej. Kiedy latała w interesach, jako przedstawiciel banku, firma dopłacała różnicę w cenie, natomiast ona sama uważała, że nie jest na tyle bogata, by płacić dodatkowe kilka tysięcy funtów za szerszy fotel, ekstranapoje i nocny pakiet. A jednak, myślała, wypatrując w tłumie twarzy Dana, dodatkowa przestrzeń umożliwiłaby jej odpoczynek w czasie podróży. W głównej kabinie nie udało jej się nawet zdrzemnąć, mimo iż była kompletnie wykończona. Obejrzała film, nawet dość relaksujący, i pomyślała o Danie. Opowiadał jej o premierze tego filmu i o tym, że miał kaca, bo poszedł i urznął się z tęsknoty.

Teraz jednak nie czuł się chyba aż tak samotny, pomyślała, tupiąc niecierpliwie nogą. Gdyby rzeczywiście tak strasznie tęsknił, czekałby już na nią. Spojrzała na zegarek. Przylot nastąpił zgodnie z rozkładem, więc Dan nie powinien nawalać. Chyba że liczył na to, iż przylot będzie opóźniony. Jak w przypadku większości lotów i wbrew temu, co próbują nam wmawiać linie lotnicze. Znów omiotła wzrokiem tłum, ale nadal nie było ani śladu Dana. Dam mu dziesięć minut, zadecydowała, a potem biorę taksówkę do rodziców i może sobie po mnie przyjeżdżać. Tylko niech zawczasu przygotuje porządne przeprosiny!

— Cordelia!

Odwróciła się i zobaczyła go na skraju tłumy. Stał i machał do niej ręką.

— Cordelia!

Pomachała mu na powitanie, a potem ruszyła z walizkami w jego stronę, omal nie ścinając z nóg brodatego turysty, który przeglądał plan Dublina.

— Strasznie przepraszam — powiedział Dan, kiedy się do niego dowlokła. — Na autostradzie był wypadek i korek ciągnął się aż do Santry. Myślałem już, że nigdy tu nie dotrę.

— Nie ma sprawy. — Pomyślała, że jest w stanie wybaczyć karambol. — Czy ktoś został ranny?

— Nie wiem. — Dan wziął jej walizki i ruszył w stronę wyjścia. — Kiedy przejeżdżałem, robili porządek. Jeden z samochodów był dość spłaszczony.

— Myślałam, że o mnie zapomniałeś — powiedziała.

— Zgłupiałeś? — Dan przystanął przed parkomatem. — Jak, na Boga, mógłbym o tobie zapomnieć? Przecież od trzech miesięcy o nikim innym nie myślę!

Uśmiechnęła się, a gdy ją pocałował, przytuliła się mocno, zdumiona, że tak miło znów znaleźć się w jego objęciach.

— Stęskniłam się za tobą — wymruczała.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że tak. — Podniosła głowę, by na niego popatrzeć. — Cieszę się, że znów tu jestem.

— To dobrze. — Dan przycisnął ją do siebie i znów ją pocałował.

Potem wsunął bilet do automatu i uiścił opłatę.

— Wóz jest kilka poziomów wyżej — powiedział Cordelii. — Podejrzewam, że o ile nie jest się tu o szóstą rano, człowiek zawsze ląduje całe kilometry od lotniska.

— Nie szkodzi. — Cordelia ziewnęła.

— Zmęczona?

— Nie spałam — wyjaśniła.

— Możesz się przespać po powrocie do domu — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— Myślałam, że masz coś innego w planie.

— No, mam — przyznał. — Ale tak długo byłem bez ciebie, że kilka godzin nie robi mi większej różnicy. Poza tym nie chciałbym, żebyś zasnęła w polowie.

— To wykluczone! — Cordelia roześmiała się. — Przeżyłam ten cholerny lot tylko dzięki temu, że myślałam o tobie.

— Miło mi — powiedział. — Ja też myślałem o tobie, jak lecisz tym cholernym samolotem.

Przeszli przez parking i w końcu dotarli do saaba. Dan włożył walizki do bagażnika, a potem odwrócił się do Cordelii.

— Myślałem o tobie przez cały czas. — Jego ręka wślizgnęła się pod jej jasnobrązowy płaszcz.

— Dan!

— Nie wiem, czy potrafię czekać, aż przyjedziemy do domu.

— Nie wiem, czy chcę, żebyś tak długo czekał — powiedziała Cordelia, wsiadając do samochodu.

Alistair Brannigan siedział w swoim biurze w Blackrock i ponad zatoką spoglądał na dwa kominy elektrowni w Poolbeg.

Wystrzelały w niebo, znikając w nisko zawieszonych, szarych chmurach, jak dwie czerwono-białe igły, przebijające się przez warstwę watoliny. Alistair lubił je, choć w rzeczywistości psuły linię nieba. Jednak były tam od zawsze, a ich widok działał na niego kojąco i w jakimś sensie inspirująco. Sięgają wyżej niż wszystko wokół, pomyślał, odchylając się w swoim skórzanym fotelu. Dokładnie tak, jak i on zamierzał.

Rozmyślał o nowym projekcie, opracowywanym przez jego firmę. Jeżeli technologia okaże się właściwa, będzie to oznaczało szybsze i, co ważniejsze, bardziej bezpieczne transakcje internetowe. Alistair zdawał sobie sprawę, że przekazywanie danych finansowych przez Internet nadal budziło niepokój pewnej grupy ludzi. Do diabła, pomyślał, niektórzy boją się podawania danych przez telefon. ChainMail, bo tak brzmiała robocza nazwa jego nowego produktu, zapowiadał się jako wielki sukces. Wywinduje to cenę akcji Archangela jeszcze wyżej, a jego uczyni jeszcze bogatszym. Może, pomyślał, zamiast kupować samochód, powinienem raczej pomyśleć o odrzutowcu dla firmy. Wprawdzie Transys, spółka, która kupiła pakiet kontrolny Archangela, miała firmowy odrzutowiec, miło byłoby jednak mieć własny. Oszczędziłby sobie tym samym tych nieznośnych przestojów na lotniskach. Tegoroczne święta były istnym koszmarem z uwagi na opóźnione loty z Dublina i Barcelony. Nie mówiąc już o konieczności dzielenia samolotu z tłumem obcych ludzi, z których każdy może się okazać psycholem. Albo być zarażony jakąś śmiertelną chorobą. Opanuj się, mruknął, nachylając się znowu nad biurkiem. Po pierwsze, nie jesteś jeszcze w tej lidze, która ma prywatne odrzutowce. Poza tym kim ty, do cholery, jesteś, żeby się przejmować tym, że musisz lecieć przepełnionym samolotem?

Osiemnaście miesięcy temu z trudem było cię stać na najtańszy lot Ryanair, żeby się spotkać z ludźmi z Transysa! Uśmiechnął się do siebie. Od tamtej pory przebył długą drogę i był z tego dumny. Dumą napawało go tempo, w jakim sprawy przybrały obrót korzystny dla Archangela. Był dumny z siebie, że udało mu się utrzymać na fali, i to w branży, w której — czego był świadom — wiele spółek któregoś dnia musi upaść. Ale nie Archangel. I nie on. Bo on nastawił się na sukces.

Telefon zabrzączał i Natascha, jego osobista asystentka, Rosjanka, powiedziała mu, że ktoś do niego dzwoni.

— Przyjmij wiadomość, dobrze? — poprosił. — Rozmyślam i nie chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał.

Znowu odchylił się w fotelu. Bez względu na to, co się stanie, zdążył już dobrze się urządzić. Nawet gdyby zdarzyło się to, co wydaje się właściwie nie do pomyślenia i zarówno Transys, jak i Archangel poniosłyby porażkę, to i tak ma pięć milionów funtów w żywej gotówce, a także swoje akcje oraz opcje. Tak więc najgorszy scenariusz... nie, dla Alistaira Branigana nie było najgorszego scenariusza. ChainMail będzie zaś kolejnym oszałamiającym sukcesem, co oznacza, że za rok o tej porze jego majątek będzie wart dwa razy tyle. A może już za miesiąc o tej porze, pomyślał. Trzeba jeszcze tylko puścić w obieg kilka historyjek o nowej niesamowitej technologii, a rynki z miejsca się na nią rzuca!

A może powinienem odejść, pomyślał leniwie. Wziąć pieniądze i zaszyć się na jakiejś bezludnej wyspie na kilka miesięcy. Ochłonąć. Ale Alistair wiedział, że nie jest z gatunku tych, co potrzebują ochłonąć. Zeszłego roku pojechał na tydzień na Ibizę z czterema kumplami i połowę pobytu spędził nad swoim laptopem, podczas gdy reszta chodziła na tańce. Kiedy w końcu udało im się wyciągnąć go do Manumission, mało nie umarł z nudów wśród tych hałasów, świateł i wirującego wokół seksu. Trzeba przyznać, że trochę go to zaniepokoiło, ale tylko do momentu, w którym przypomniał sobie, że pracuje nad czymś, co zmieni jego życie w sposób znacznie bardziej spektakularny niż krótki numerek na słońcu. A sprzedaż Archangela to coś znacznie, znacznie lepszego niż seks.

Lepiej jednak głośno tego nie mówić, powiedział sobie, bo ludzie zaczną fantazjować na twój temat. Jak również plotkować, że kiedy się ostatnio kochałeś, robiłeś to ze śliczną Ash O'Halloran, która, zgodnie z jego podejrzeniami, okazała się naturalną blondynką. Była też prawie świetna w łóżku, choć odniósł nieodparte wrażenie, że myśłami, przynajmniej częściowo, była zupełnie gdzie indziej. Oczywiście jęczała w odpowiednich momentach i w sto-

sownych momentach wzdychała, zrobiła mu też jedną czy dwie zdumiewające rzeczy dokładnie w tych miejscach, co trzeba, nadal jednak miał wrażenie, że nie udało mu się przełamać jej rezerwy i że pod koniec udawała. Przedtem nigdy nie miał wrażenia, że któraś z jego dziewczyn udaje.

Pomyślał, że Ash jest dla niego wyzwaniem. Chciał, by go pokochała, żeby była z nim przez cały czas, chciał też wiedzieć, że nie robi tego dla jego pieniędzy. Westchnął. Pieniądze to wspinała rzecz, nie potrafiłby się już bez nich obyć, ale przez nie wszystko się zmieniło. Teraz, gdy dziewczyny na niego patrzyły, wiedział, że myślą o akcjach, jeszcze zanim zdążyły się odezwać.

Ash sprawiała wrażenie, jakby nie zależało jej na pieniądzach, ale nie można było tego powiedzieć na pewno. Była najbardziej intrygującą z osób, jakie dotąd spotkał. Potrafiła być zimna jak lód, a innym razem zabawna i roześmiana, póki w jej głowie nie kliknął tajemniczy wyłącznik, opuszczający jakieś niewidzialne żaluzje. A czasami patrzyła na niego jakby z głębi duszy. Może to sprawka tych piwnych oczu, pomyślał. Tych olbrzymich, piwnych oczu w twarzy o tak jasnej karnacji, otoczonej masą złocistych włosów. Wyprostował się i spróbował nie myśleć o Ash, bo już czuł, że dzieje się z nim coś, czego sobie absolutnie nie życzył o trzeciej po południu — i do tego w środku tygodnia. Przynajmniej wtedy, kiedy powinien myśleć o ChainMailu.

Ash w łańcuchach, pomyślał, gdyż nie udało mu się do końca wyrzucić jej z pamięci. W sukni z łańcuchów. I w niczym więcej. Jęknął cicho. Ash taka jak wtedy, w jego mieszkaniu. Olśniewająco naga, z wyjątkiem pereł w uszach i złotego naszyjnika.

Wspomnienie aukcji oraz Dana Morlanda podbijającego cenę sprawiło, że się uśmiechnął. Był taki moment, kiedy myślał o tym, by się wycofać i postawić Morlanda wobec konieczności zapłacenia wyśrubowanej ceny za całkiem zwyczajny naszyjnik. Chciał jednak wykonać jakiś ukłon w stronę Ash, bo była to ich pierwsza randka, a wiedział, że jego ostatnia cena, którą przygwoździł Morlanda, to był gest iście wielkopański. Zaśmiał się cicho. Udało się i Ash znowu się z nim spotkała. Następnym zadaniem, pomyślał, będzie doprowadzenie do tego, żeby to ona do niego zadzwoniła!

Telefon znowu zabrzączał i Alistair wrócił niechętnie z obłoków na ziemię.

— Herr Hoffman do ciebie — zakomunikowała Natascha swoją niemal pozbawioną obcego akcentu angielszczyzną. — Życzy sobie porozmawiać o nowym projekcie. Mówi, że to niezwykle ważne.

— Powiedz Herr Hoffmanowi, że właśnie pracuję nad nowym projektem — powiedział Alistair. — I że zadzwonię do niego później, po południu. I jeszcze jedno, Natascho, kiedy mówię, że jestem zajęty i nie chcę, żeby mi przeszkadzano, dotyczy to również Herr Hoffmana.

— Tak jest, panie Brannigan — powiedziała lodowatym tonem. — Przepraszam.

— Och, nic się nie stało. — Alistair nie zamierzał denerwować swojej ślicznej asystentki. — I nie mów do mnie „panie Brannigan”. Wiesz, że to mnie przeraża.

— W porządku, Alistair — powiedziała wyraźnie cieplejszym tonem. — A tak przy okazji, ten pierwszy telefon był od Ash O'Halloran. Chciała wiedzieć, czy jesteś wolny dziś wieczorem i czy wybrałbyś się gdzieś na drinka.

Ash stała przy oknie i patrzyła na budynki biurowe w dokach, za rzeką, które na zawsze odmieniły widok nabrzeża. Zauważyła, że niebo było teraz jaśniejsze niż kilka tygodni temu o czwartej po południu, mimo chmur, które utworzyły się nad zatoką, i ożywiła się na myśl o dłuższych dniach, krótszych nocach i ładniejszej pogodzie. Najbardziej cieszyła ją perspektywa krótszych nocy. Nigdy nie zdołała do końca przemóc w sobie lęku przed ciemnością i choć czasami rozmyślnie przesiadywała w nieoświetlonym pokoju, wołała mieć pewność, że wyłącznik światła jest w zasięgu ręki. Ten lęk był po części powodem, dla którego nie miała zasłon czy rolet na swoich oknach na całą ścianę. W jej mieszkaniu nigdy nie było kompletnych ciemności — nawet jeśli wszystkie światła zostały zgaszone.

Bajgiel przeszedł przez pokój i zaczął się ocierać o jej nogi.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił — rzuciła z roztargnieniem. — Za każdym razem, kiedy to robisz, zostawiasz na mnie co najmniej pół kilo futra.

Bajgiel miauknął.

— Czyżbyś był głodny? — zapytała. — Przecież dałam ci na obiad siekaną wątróbkę. To niemożliwe, żeby kot karmiony wątróbką był głodny.

Bajgiel nie zgodził się z nią. Znowu zamiauczał, a potem pomaszerował w stronę kuchni. Poszła za nim. Jego miseczka była pusta, a on siedział przed lodówką i patrzył na nią wyczekująco.

— Czego chcesz? — zapytała. Bajgiel znowu miauknął.

Otworzyła drzwiczki, wyjęła mleko i naląła mu odrobinę do miseczki. Bajgiel powąchał mleko, a potem znów wrócił do lodówki.

— Co to ma znaczyć! — wykrzyknęła. — Czego jeszcze chcesz? — Popatrzyła na półki i nagle ją olśniło. Otworzyła zamrażalnik i wyjęła pudełko lodów. — Zazwyczaj nie zaczynasz

przede mną — powiedziała. Nabrała odrobinę słodkiej masy i nałożyła mu do miseczki. Bajgiel znowu zamiauczał, a potem zaczął zlizywać krem. — Wariat! — prychnęła. — Bajgiel, przecież to krem czekoladowy. Pierwsze słyszę, żeby koty lubiły krem czekoladowy!

Zamknęła pojemnik i schowała go z powrotem do zamrażalnika. Gdyby Michelle mnie teraz widziała, pomyślała, uznałaby mnie za jeszcze większą dziwaczkę niż dotąd.

Nie uważała wcale, że ona i Michelle po ostatniej wizycie stały się nagle bliskimi przyjaciółkami. Była realistką na tyle, by zdawać sobie sprawę, że nie sposób pozbyć się osiemnastoletnich uprzedzeń w jeden wieczór. Przeżyły jednak coś w rodzaju katharsis i wychodziła od Michelle z uczuciem, że od wieków nie było jej tak dobrze. Jak również z przeświadczeniem, że kuzynka może jednak mieć rację w kwestii jej stosunku do mężczyzn. Zwłaszcza jeśli chodzi o Alistaira Brannigana.

Ash doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że boi się biedy. Była już kiedyś biedna i bardzo jej się to nie podobało. Czyli to całkiem logiczne, że jeśli miałyby naprawdę związać się z jakimś mężczyzną, musiałby to być człowiek z pewnym zapleczem. Należy jednak zauważyć, pomyślała, gdy tamtego wieczoru wracała do domu pociągiem, że nawet ona nie śmiała marzyć o kimś z kilkoma milionami w gotówce, popartej sporym portfelem akcji. Z drugiej strony, czemu nie miałyby sięgnąć do gwiazd? Jednak następnego dnia myślała już trochę inaczej — że to śmieszne, gdyby była miła dla Alistaira tylko dlatego, że jest taki bogaty. Żadne pieniądze tego świata nie miałyby znaczenia, gdyby go nie kochała. A ona go przecież lubi. I on także ją lubi. Więc może z czasem zdołają się pokochać.

Nie powiedziała Michelle, że przespała się z Alistairem. Nie chciała, by kuzynka pomyślała sobie, że to coś poważnego. A poza tym Alistair powiedział, że zadzwoni, i rzeczywiście następnego dnia zadzwonił, ale nie było jej w domu, więc zostawił wiadomość na sekretarce. Wtedy nie chciała oddzwaniać, a on już więcej się nie odezwał. W przypiływie upokorzenia pomyślała, że pewnie chodziło mu tylko o seks, i kiedy udało mu się zaciągnąć ją do łóżka, przestał się nią interesować. Jednak gdy następnego dnia sprawdzała pocztę internetową przed pójściem do łóżka, znalazła e-maila od Alistaira.

„Hej, Ash”, brzmiała wiadomość: „Nie myśl sobie, że Cię olewam! Jestem obecnie we Frankfurcie i prowadzę rozmowy ze spółką matką o nowej technologii. Nagły wyjazd. Ale sto razy bardziej wolałbym rozmawiać z Tobą o wartości pereł. Tęsknię za Tobą — wyślę Ci znów wiadomość. Ucałowania, Alistair”.

Przysłał jej potem jeszcze jedną wiadomość, bardzo krótką, że jest strasznie zajęty, ale już niedługo wraca. Odpisz, prosił. Zamiast wysłać e-maila, postanowiła zadzwonić, bo chciała usłyszeć jego głos. Ale on był zajęty, jak powiedziała jego zachrypnięta asystentka, i nie może odbierać telefonów. Ash nie wiedziała, czy zostawić jakąś wiadomość czy nie. W pierwszej chwili pomyślała, że nie szkodzi, zadzwoni później. Jednak potem doszła do wniosku, że Michelle na pewno nazwałaby ją tchórzem, więc koniec końców zostawiła mu wiadomość.

Dlaczego to takie skomplikowane? zastanawiała się, patrząc, jak Bajgiel wylizuje resztki kremu czekoladowego ze swojej miski. Czemu nic na tym świecie nie może być proste?

Cordelia otworzyła oczy i dopiero po minucie czy dwóch zorientowała się, gdzie jest. Odwróciła głowę, ale łóżko obok niej było puste. Ziewnęła i przeciągnęła się pod kołdrą. Nie wiedziała, jak długo spała, ale czuła się już o wiele lepiej. Po przyjeździe do domu Dana padła na łóżko, a Dan natychmiast położył się obok i objął ją. Pocałował ją w ramię — a ona zasnęła! Biedny Dan, pomyślała, wyskakując z pościeli. Gotów pomyśleć, że już jej nie zależy. Ale była przecież tak śmiertelnie zmęczona, a on z pewnością uznał to za komplement, że potrafiła się przy nim tak odprężyć, by od razu zasnąć. Rozejrzała się po pokoju, po czym z wieszaka po drugiej stronie drzwi skradła szlafrok w czarno-białe paski. Zawiązała go ciasno w talii, a potem udała się na poszukiwanie Dana.

Dan siedział przy ladzie w kącie śniadaniowym, tuż obok swojej ultranowoczesnej kuchni. Czytał „Financial Timesa” i popijał kawę, lecz gdy stanęła w drzwiach, złożył gazetę i uśmiechnął się.

— Śpiąca Królewna obudziła się! Moja piękna!

— Czuję się raczej jak bestia. Przepraszam, że zasnęłam.

— I tak byłem zdumiony, że potrafiłaś tak długo wytrzymać. Po powrocie ze Stanów zawsze padam jak ścięty.

— Naprawdę?

— No jasne. Co chciałabyś teraz robić? — Popatrzył na zegarek. Była już szósta wieczorem.

— Wziąć prysznic — powiedziała. — Odświeżyć się. A potem coś zjeść, bo umieram z głodu.

— Chcesz wyjść czy mam zamówić coś do domu? — zapytał.

— Och, wyjdźmy gdzieś! — Uśmiechnęła się. — Wiem, że nie było mnie tu zaledwie kilka miesięcy, ale mam wrażenie, że minęły całe wieki, i chcę znów poczuć w żyłach atmosferę Dublina.

— Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś tak to ujął — stwierdził Dan. — Pomyślałbym raczej, że to w Nowym Jorku czuje się ten wielkomiejski gwar.

— Rzeczywiście tak jest — przytaknęła Cordelia. — Ale póki nie wyjdę, nie poczuję, że jestem w domu.

— W porządku — powiedział. — Przyniosę ci ręczniki i możesz wziąć prysznic.

— Dzięki. — Poszła za nim na górę. Była zadowolona, że nie próbował jej pocałować ani się z nią kochać. Czowała, że jeszcze się na tyle nie rozbudziła, by ten pomysł mógł się jej podobać.

— Halo, Ash?

— Alistair? — Ash poruszyła się na sofie. Bajgiel zeskoczył jej z kolan, spojrzął na nią z wyrzutem, bo mu przeszkodziła, a potem odwrócił się tyłem i zaczął się myć.

— Jak leci?

— Dobrze — odpowiedziała. — A u ciebie? Jak było w Niemczech?

— Nudno — stwierdził. — Jeśli zostało się wykupionym przez takiego giganta jak Transys, cały kłopot w tym, że trzeba pogadać z kupą ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia, o czym mowa. Chcą tylko dyskutować o arkuszach kalkulacyjnych i perspektywach wzrostu, podczas gdy ja chcę im powiedzieć, że nowa technologia będzie genialna.

— Myślałam, że będą chcieli coś takiego usłyszeć.

— Bo chcą, ale nie podoba im się słowo „będzie”. Chcieliby usłyszeć, że już jest genialna.

Ash roześmiała się.

— To zupełnie jak z gotowaniem. Ludzie nie chcą słyszeć, że ich danie będzie gotowe za godzinę — oni chcą zjeść już teraz.

— To akurat potrafię zrozumieć — powiedział z przekonaniem Alistair. — Kiedy jestem głodny, nie lubię czekać, tylko chciałbym natychmiast coś zjeść.

— Filister! — Ash roześmiała się.

— Wracając do rzeczy, cieszę się, że zadzwoniłaś — powiedział Alistair. — Było mi przykro, że musiałem nagle wyjechać. Wiem, że kobiety raczej tego nie lubią...

— Nic się nie stało — powiedziała. — Nie mam do ciebie pretensji.

— Większość kobiet ma. — Alistair westchnął. — Rzecz w tym, że kiedy pracuję, zapominam o bożym świecie.

— Jestem zdruzgotana, że o mnie zapomniałeś — rzuciła. — Ale cieszę się, że w pracy wszystko w porządku.

— W tej sytuacji mogę zrobić tylko jedno — oświadczył. — Zaprosić cię na kolację.

— Przecież to ja pierwsza cię zaprosiłam — zaprotestowała.

— Ty zaproponowałaś drinka.

— Drinka albo kolację, wszystko jedno.

— Może poszlibyśmy do restauracji Jodie? — zapytał. — Lubię to miejsce.

— Może być — odparła. — O której się tam spotkamy?

— Przyjadę po ciebie.

— Nie, to kompletna głupota — stwierdziła. — Musiałbyś nadłożyć sporo drogi, żeby po mnie przyjechać. Spotkamy się na miejscu. — Spojrzała na zegarek. — Powiedzmy, o siódmej trzydzieści.

— Dlaczego traktujesz mnie jak dziecko? — zapytał z wyrzutem. — Jestem szanowanym biznesmenem w tym mieście, tymczasem sposób, w jaki mi wytknęłaś, że jestem głupi, przypomniał mi moją nauczycielkę z podstawówki.

— Przepraszam. — Ash zachichotała.

— Bo jest za co. Dobrze, spotkajmy się tam o wpół.

— Świetnie — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 18

Sorbet cytrynowy

Cukier, skórka i sok z cytryny, białko, woda.

Podgrzewać wodę z cukrem, aż cukier się rozpuści. Dodać skórkę cytrynową, gotować przez 10 minut. Ostudzić. Dodać sok z cytryny, wymieszać i przelać do pojemnika. Zamrażać około trzech godzin. Wyłożyć na salaterkę, delikatnie ubić. Ubić białko i dodać do masy. Wstawić na noc do zamrażalnika.

Kiedy Alistair przyjechał do restauracji, Ash siedziała już przy stoliku pod oknem, sącząc białe wino, i patrzyła na rześcicie oświetloną rzekę. Zauważyła, że ledwie wszedł, zrobił się ruch — kelnerka, cała w uśmiechach, wzięła od niego czarną skórzaną kurtkę i dowcipkując, zaprowadziła go do stolika.

— Cześć! — rzucił, siadając. — Przepraszam, że się spóźniłem, ale nie mogłem złapać taksówki.

— Nie ma sprawy — powiedziała Ash, choć była już prawie za dziesięć ósma.

— Na pewno? — Spojrzał na nią rozbawionym wzrokiem. — Jodie mówiła mi, że jesteś maniaczką punktualności. Dlatego, kiedy się z tobą spotykam, staram się być na czas.

— Co jeszcze Jodie mówiła ci na mój temat? — Ash odwinęła serwetkę, wzięła bułeczkę i przełamała ją na pół. — Dobrze ją znasz?

— Dosyć dobrze. — Alistair najpierw odpowiedział na drugie pytanie. — Nasze rodziny mieszkały blisko siebie w Naas, gdzie oboje dorastaliśmy. Kolegowałem się ze starszym bratem Jodie, Kevinem, więc widywałem ją dosyć często. Poszedłem z nią nawet na bal maturalny. A potem jeszcze na kilka randek. Ale jesteśmy dla siebie bardziej jak brat i siostra. Nie zaiskrzyło i tyle.

Ash pokiwała głową.

— Nadal często ją widuję — ciągnął dalej Alistair. — Dobrze się rozumiemy, a poza tym miło jest pogadać z kimś, kto cię znał, kiedy byłeś pięcioletnim smarkaczem o podrapanych kolanach. Zwłaszcza teraz, bo od czasu Archangela ludzie traktują mnie jak jakąś ważną osobistość.

— Więc jesteście tylko przyjaciółmi — powiedziała Ash.

— Jak najbardziej.

— Całkiem niedawno rozmawiałam z kimś na ten temat. — Ash pomyślała o Danie Morlandzie. — Zastanawialiśmy się, czy mężczyzna i kobieta mogą się naprawdę przyjaźnić.

— Znane mi są te dyskusje. — Alistair wziął dwa kawałki pieczywa. — Ale naprawdę nie znam odpowiedzi. A na wypadek gdyby cię to niepokoiło, nie ma nic między mną a Jodie.

— Wcale mnie to nie niepokoi — powiedziała Ash. — Nigdy nie myślałam, że coś jest między wami.

— Nie bywasz czasami zazdrosna? — zapytał. — Nie chciałabyś wiedzieć o moich dawnych dziewczynach i tak dalej?

— A po co? — zapytała. — Ja nie zamierzam ci opowiadać o moich byłych chłopakach.

— Chyba słusznie. — Alistair westchnął, po czym wziął laminowane karty, które zostawiła im kelnerka. — Miałem nadzieję, że będę musiał opowiedzieć ci o Suzannagh, dziewczynie o wydatnych ustach i olbrzymich piersiach, ale chyba trzeba będzie z tym poczekać.

— Chyba tak. — Ash z uśmiechem otworzyła kartę.

Kiedy Dan i Cordelia przyjechali na miejsce, restauracja była prawie pełna. Wścieknę się, jeżeli nie znajdziemy stolika, pomyślał Dan, rozglądając się po wielkiej, oświetlonej świecami sali. Chciał zarezerwować stolik u Guilbauda albo w Peacock Alley lub w jakimś równie eleganckim i drogim miejscu, żeby uczcić ich pierwszy wspólny wieczór po powrocie Cordelii. Jednak Cordelia chciała przyjść właśnie tutaj, bo — jak powiedziała — lubiła to miejsce. Ostatnim razem, kiedy przysła z paroma klientami, było tu hałaśliwie i wesoło, a lokal tętnił życiem. Powiedziała Danowi, że jedno, czego absolutnie nie znosi, kiedy przychodzi jej podejmować klientów firmy, to tego, że musi zazwyczaj zabierać ludzi do nudnych, ale drogich miejsc, gdzie trzeba wielbić kuchnię na klęczkach. Shaun i Doug, faceci, których zabrała do restauracji Temple Bar, zażyczyli sobie, by było tanio i wesoło, i bawili się równie dobrze jak ona. Więc, powiedziała Danowi, nie zamierza wybierać elegancji, jeśli może postawić na dobrą zabawę. Powiedział, że w porządku, że zrobi rezerwację, i czy pamięta może numer telefonu? Oczywiście nie pamiętała, ale uparła się, by pójść tam mimo wszystko. Przeżyli koszmar, próbując znaleźć miejsce do zaparkowania, a teraz wyglądało na to, że nie uda im się znaleźć wolnego stolika. Dan rozejrzał się wokoło i wolno wydmuchał powietrze. Nic takiego się nie stanie, powiedział sobie. W pobliżu Temple Bar są setki restauracji. Z głodu nie umrą.

Kelnerka spojrzała na nich z politowaniem, gdy powiedzieli, że nie mają rezerwacji. Przejrzała listę, a potem uśmiechnęła się szeroko.

— Mają państwo szczęście. Ale stolik będzie wolny tylko przez godzinę — zwróciła się do Dana.

— W porządku — oświadczyła Cordelia, zanim Dan zdążył otworzyć usta.

— Doskonale. — Kelnerka zaczęła się przepychać między zajętymi stolikami w głąb restauracji. — Na dwie osoby — dorzuciła.

— Dziękuję — powiedział Dan.

Stoliki stały blisko siebie. Irytowało to Dana, który wolał większe przestrzenie, choć musiał przyznać, że to miejsce miało swoją specyficzną atmosferę, a także dymny, czosnkowy aromat, od którego ślina napływała mu do ust.

Spojrzał na sąsiedni stolik i otworzył oczy szeroko ze zdumienia. Ash O'Halloran i Alistair Brannigan siedzieli vis-à-vis, tak zajęci sobą, jakby zapomnieli o bożym świecie. Ona śmiała się z tego, co on mówił, a jej piwne oczy tryskały radością, kiedy przeczesywała palcami włosy. Brannigan zaś patrzył na nią wzrokiem, który Dan dobrze znał i który oznaczał, że ma nadzieję niedługo znaleźć się z nią w łóżku. W taki sam sposób patrzył na nią podczas premiery, choć Ash twierdziła, że są tylko przyjaciółmi.

— Dan? — Cordelia dotknęła jego ramienia. — Nie patrz tak!

— Co? Przepraszam. — Odwrócił się od Ash i Alistaira i spojrzał na Cordelię. — Zgapiłem się.

— Widzę. Na kogo?

— Nie poznajesz ich? — zapytał.

— Nie. Czy to ktoś sławny?

— On owszem — powiedział. — To dziwne, że go nie poznałaś, bo wiem, że posiadałaś drobną część jego zasobów.

— Tak? — Cordelia spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Archangel — rzucił. — Pamiętam, jak kupowałaś akcje Archangela.

— Ach, tak — westchnęła. — Poczciwy stary Archangel. Zarobiłam na tej firmie kupę pieniędzy.

— To Alistair Brannigan, dawny właściciel, a obecnie dyrektor naczelny — wyjaśnił Dan.

— A kim jest ta laska, z którą przyszedł?

— Jej też nie poznajesz? — zapytał.

— Nie. I nie mów mi, że jest dyrektorem naczelnym spółki, która ich wykupiła, bo puszcze pawia. Świadomość, że ludzie w tym samym wieku co ja zbijają fortunę na technologii, jest wystarczająco przykra — nie muszą być jeszcze przy tym tacy ładni.

Dan roześmiał się.

— Ona jest kucharzem — powiedział.

— Kucharzem?

— Pamiętasz naszą zaręczynową kolację? Albo to, co okazało się wstępną rozmową na ten temat?

— Oczywiście! — Cordelia spojrzała na Ash, a potem na Dana. — To ona dla nas gotowała. Teraz sobie przypominam. — Uniosła brwi. — Muszę przyznać, że w cywilu wygląda znacznie lepiej.

Dan uśmiechnął się.

— Powtórzę jej to.

— Zastanawiam się, co jest siłą napędową tego układu.

— O co ci chodzi?

— Czy ona jest z nim dlatego, że jest bogaty i sławny? A może to on trzyma się jej, bo jest na czym oprzeć oko, a poza tym ona smaży świetne befsztyki.

— Cordelio!

— To zasadne pytanie — powiedziała. — Związek polega na dawaniu i braniu. Zawsze to powtarzam.

— A w naszym związku kto daje, a kto bierze? — zapytał Dan.

— Och, bilans jest zrównoważony. — Wychyliła się nad stolikiem i pocałowała go w nos. — Absolutnie zrównoważony.

Ash zauważyła Cordelię, kiedy ta nachyliła się nad stolikiem. Gwałtowny ruch zwrócił jej uwagę, więc spojrzała na sąsiedni stolik, by sprawdzić, co się dzieje.

Z miejsca rozpoznała Cordelię i serce zamarło jej w piersi, bo w pierwszej chwili nie dostrzegła Dana i poraziła ją myśl, że Cordelia wróciła do Dublina, ale przyszła tu z kimś innym. Zaczęła się już nawet zastanawiać, jak to może się odbić na ich zaręczynach. Jednak kiedy Cordelia cofnęła się, Ash zobaczyła Dana, a on także dostrzegł, że mu się przygląda. Skinął głową, kiedy ją rozpoznał, i pomachał ręką.

— Kto to? — zapytał Alistair, patrząc w ślad za jej spojrzeniem.

— Dan Morland — odpowiedziała. — I jego narzeczona.

— Dan? Ten od Chathama?

Ash skinęła głową.

— Nie wiedziałem, że jest zajęty. — Alistair zjadł ostatnią czosnkową pieczarkę. — Odniosłem wrażenie, że jest wolny i szczęśliwy.

— No cóż, pozory mylą.

— Ona jest całkiem niebrzydka, prawda? — stwierdził. — Szczerze mówiąc, jest uderzająco ładna.

— Moim zdaniem, jest śliczna. — Ash bezskutecznie próbowała wyeliminować z głosu nutę zazdrości.

Alistair roześmiał się.

— Co siedzi w tych babach? — zapytał. — Weźmy choćby ciebie. Jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną. Masz włosy w naturalnym kolorze, o jakim marzyłyby połowa twoich tak zwanych siostrzyc, a chciałabyś wyglądać jak ktoś inny.

Ash skrzywiła się.

— Kiedy jest się blondynką, ludzie mają cię za idiotkę — powiedziała. — Poza tym zawsze chciałam mieć masę loków zamiast tych cienkich, prostych piórek.

— Nigdy nie jesteście zadowolone, oto wasz problem — stwierdził Alistair. — Widziałś kiedyś faceta, który by się czymś takim przejmował? Chyba raczej nie.

— To dlatego, że każdy z was uważa się za ósmy cud świata — powiedziała. — Choć pewnie w głębi duszy przejmujecie się dokładnie tak samo jak my.

— Ja jestem absolutnie zadowolony ze swojego wyglądu. — Alistair poklepał się po piersi, a Ash nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— Bo rzeczywiście wyglądasz dość dobrze — powiedziała. — Muszę ci to przyznać, choć niechętnie.

Alistair uśmiechnął się.

— Dzięki Bogu! Bo już zaczynałem się trochę niepokoić, ale nie mogłem tego po sobie pokazać.

Z czego oni tak się śmieją?, zastanawiał się Dan. On i Cordelia nie śmiali się i nie żartowali tak, jak Ash z Alistairem. Jego związek z Cordelią wydawał się jakby bardziej... bardziej dojrzały, choć wcale nie był pewny, czy mu się to podoba. Zabrzmiało to tak, jakby chodziło o jakichś nudziarzy w średnim wieku, a on absolutnie nie chciał być nudziarzem w średnim wie-

ku. Tym bardziej że Cordelia jest młoda i nie jest ani trochę nudna. Byłaby pewnie wściekła, gdyby wiedziała, że zastanawia się nad dojrzałością ich związku!

— Nie uważasz, że on jest bardzo atrakcyjny? — zapytała Cordelia.

— Co?

— Alistair. Jest taki przystojny.

— Przystojniejszy niż ja?

— Powiedziałabym, młodszy niż ty.

— O rany, bardzo ci dziękuję. Cordelia zachichotała.

— Zamilcz, moje zranione serce! On jest od ciebie młodszy, prawda?

— Ale niewiele — zaprotestował Dan. — Jakieś trzy, cztery lata.

— Naprawdę? — zdumiała się Cordelia. — Może to kwestia tego, jak się ubiera.

— A jak się ubiera?

— Bardzo nowocześnie. I bardzo stylowo.

— A ja nie? Znowu zachichotała.

— Dan, twój styl jest stylem maklera. A on jest w stylu techno.

— Nie wiesz, czemu mi się to nie podoba? — zapytał.

— Nie bądź głupi — powiedziała Cordelia. — Mnie się podoba styl maklera.

— Naprawdę?

— Oczywiście — stwierdziła i w tym samym momencie pojawiła się kelnerka. — Przecież pracuję w tej samej branży.

Boże, ależ ona rewelacyjnie wygląda, myślała z zazdrością Ash, obserwując ukradkiem Cordelię. Była pewna, że Alistair nie zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc o jej świetnej prezencji. Dla Alistaira kobiety o świetnej prezencji były po prostu ładne, a osoba taka jak Cordelia, z jej wyrazistymi rysami i przenikliwym spojrzeniem, nie była ładna na sposób klasyczny. Jednak jej rysy znamionowały silny charakter i determinację, o jakich Ash od zawsze marzyła. Podobnie jak o kaskadach gęstych, kasztanowych loków.

— Obudź się! — Alistair pstryknął jej palcami przed nosem, gdy znów usiadł przy stoliku po powrocie z męskiej toalety.

— Przepraszam — powiedziała. — Byłam o całe mile stąd.

— Myślałaś o czymś? Potrząsnęła głową.

— O niczym szczególnym. Czy Jodie śpiewa dziś wieczorem?

— Nie wiem — odparł. — Ona ma wspaniały głos, nie uważasz?

— Fantastyczny — przyznała. — To skandal, że nie podpisano z nią dotąd żadnej umowy.

— To chyba bardziej kwestia szczęścia niż czegokolwiek innego — stwierdził Alistair. — To okropne, ale to prawda. Wystarczy pomyśleć o tych wszystkich beztalenciach robiących niezły szmal, którym słoń nadepnął na ucho, ale znaleźli się we właściwym czasie na właściwym miejscu.

— Wiem — powiedziała Ash. — Skoro już o tym mowa, w życiu wiele rzeczy zależy od szczęścia, w taki czy inny sposób. Człowiek wierzy, że ma nad wszystkim kontrolę, a tak naprawdę jest inaczej.

Alistair pokiwał głową.

— Sprzedaż Archangela to był szczęśliwy traf. A przynajmniej sprzedaż wtedy, kiedy to zrobiłem, i jeszcze w taki sposób. Moje zainteresowanie technologią to także był szczęśliwy traf. Teraz wszystkim się wydaje, że wypada się tym zajmować, nawet jeśli woleliby robić coś innego. Dawniej można się było śmiało przyznać, że nie umie się nastawić wideo, a teraz to wstyd.

— Ja potrafię nastawić wideo — powiedziała Ash. — Ale któregoś dnia zlikwidowałam w swoim komputerze jeden z plików zawierających listę menu i naprawdę nie mam pojęcia, jak to się stało.

— Pewnie nadal gdzieś tam jest — powiedział Alistair. — Chcesz, to ci go poszukam.

— Może kiedyś. — Ash wzięła saszetkę brązowego cukru i oderwała u góry cieniutki pasek. Alistair patrzył, jak wsypuje do kawy połowę zawartości, a potem opiera saszetkę o wąski szklany wazon.

— Nie chcesz, żebym cię odwiedzał w domu, prawda? — zapytał.

Zamieszała kawę.

— Jeszcze nie.

— Ale ty już u mnie byłaś.

Ich oczy się spotkały, gdy oboje przypomnieli sobie przyjemność, jaką się nawzajem obdarzyli, kiedy go odwiedziła. Dla mnie było to mniej przyjemne, pomyślała Ash, odkładając łyżeczkę na brzeg spodka. Mniej przyjemne, bo tak naprawdę nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby się z nim przespać, choć mi się wydawało, że już nadeszła odpowiednia pora.

— Udawałaś? — zapytał.

Spojrzała na niego zaszokowana.

— Byłaś świetna — powiedział. — I było mi dobrze, ale nie miałem pewności, jeśli chodzi o ciebie.

Co za miły człowiek, pomyślała. Ze wszystkich facetów, z którymi chodziła, jego lubiła najbardziej. Był uprzejmy i rozsądny i miał w sobie coś takiego, że poczuła, iż zaczyna jej na nim zależeć.

— Oczywiście, że nie udawałam — obruszyła się. — Po co miałabym to robić?

— Kto to wie?

— Było cudownie — powiedziała. — Naprawdę.

— A dziś? — zapytał.

— Co dziś?

— Chciałabyś spędzić u mnie dzisiejszą noc? Skoro wyraźnie nie chcesz, żebym to ja przyszedł do ciebie. — Spojrzał na nią z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Nie to, że nie chcę... — Głos jej zamarł. — Po prostu rzadko zapraszam ludzi do domu. To miejsce prywatne. Chyba sam rozumiesz.

— Jasne — rzucił lekko Alistair. — Wobec tego zabieram cię do siebie.

Pomyślała o Bajglu zwiniętym w kłębek na sofie. Miał dosyć jedzenia w miseczce. Nic mu nie będzie.

— Fantastycznie — powiedziała.

Dan nabazgrał swoje nazwisko na kwicie karty kredytowej i dodał większy napiwek, niż zamierzał. Jedzenie okazało się całkiem dobre, a jeśli chodzi o atmosferę, Cordelia miała rację, czyli w sumie było warto. Z jednym zastrzeżeniem — że ich godzina dobiegała końca i musieli zwolnić stół. A on sobie poprzysiągł, że obetnie napiwek właśnie z tego powodu.

Przeszli obok Ash i Alistaira, którzy popijali brandy. Dan uśmiechnął się do Ash, a ona odpowiedziała uśmiechem. Alistair podniósł się i panowie uścisnęli sobie ręce.

— Miło cię widzieć, Dan — powiedział Alistair. — Miałem zamiar do ciebie zadzwonić. Słyszałem, że jest taka firma — nazywa się Rodotronics — która ma lada moment wejść na giełdę. Wiesz coś o tym?

Dan zmarszczył brwi.

— Nie słyszałem o niej — przyznał. — Ale tyle ich powstaje w dzisiejszych czasach...

— To amerykańska firma — przerwała mu Cordelia. — Dobrze prosperująca i dobrze zarządzana. Ale nie wejdzie na giełdę wcześniej niż w lecie.

Alistair odwrócił się do niej.

— Cordelia Carroll — przedstawiła się, wyciągając rękę. — Pracuję dla Harrisona, w USA.

— Czyli to z tobą powinienem porozmawiać — stwierdził Alistair. — Co wiesz o Rodotronics?

— Prawdę mówiąc, bardzo niewiele — przyznała się Cordelia. — Ale wiem, że nie złożą oferty przed sierpniem. Co w praktyce oznacza wrzesień, bo w sierpniu nic się nie dzieje.

— To prawda — potwierdził Alistair. — Pytam, bo oni mnie interesują.

— Dam znać, jak tylko będę coś wiedziała — obiecała Cordelia. — Ale jeżeli Harrison się w to zaangażuje, nie będę mogła rozmawiać na ten temat.

— Nie ma sprawy. — Alistair sięgnął do kieszeni marynarki. — Oto moja wizytówka. Można do mnie dzwonić o każdej porze.

— Dobrze, na pewno zadzwonię. — Cordelia posłała mu szeroki uśmiech.

— A co u ciebie, Dan? — zapytała Ash.

— W porządku — odpowiedział. — Bez zmian.

— Gotujesz w swojej kuchni? Dan potrząsnął głową.

— Ona się marnuje — stwierdziła Ash.

— To wszystko jest takie przerażające. — Cordelia odwróciła się od Alistaira i spojrzała na Ash. — Ta stal, te wszystkie szafki.

Ash roześmiała się.

— Te puste szafki. Albo te drugie, pełne słoiczków z przyprawami z datą ważności do ubiegłego roku.

— Naprawdę? — Cordelia spojrzała na Dana.

— Pewnie tak — przyznał.

— Widziałaś kuchnię Dana? — Alistair ze zdumioną miną patrzył to na Dana, to na Ash.

— Gotowałam dla niego — wyjaśniła.

— U niego w domu?

— Raczej dla mnie — wtrąciła się Cordelia. — Tego wieczora, kiedy zaręczyliśmy się z Danem.

— Ash mówiła mi, że się zaręczyliście! — Alistair chwycił Dana za rękę i mocno nią potrząsnął. — Chociaż — dorzucił, całując Cordelię w policzek — trochę szkoda, że taka śliczna dziewczyna łąduje z takim zatwardziałym grzesznikiem.

— Och, pasujemy do siebie — powiedziała Cordelia.

— Może i tak. — Alistair westchnął. — A jednak szkoda.

— A ty i...

— Ash — podpowiedziała Ash.

— Ach, rzeczywiście. Jest jakaś szansa na cokolwiek?

— Cordelio! — Dan rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Och, uspokój się, Dan. Lubię wszystko wiedzieć o ludziach. No więc? — zapytała. — Jest jakaś szansa, żebyście zacieśnili więzy? Multimilioner z kucharką?

Ash spąsowiała. Nie podobał jej się sposób, w jaki Cordelia wymówiła słowo „kucharka” — jakby to była jakaś obelga. I jakby miała o tym jakiegokolwiek pojęcie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że te wszystkie urządzenia z nierdzewnej stali będą bardzo długo stały nieużywane, jeśli Cordelia tam zamieszka.

— Nie — powiedziała sucho.

— Jeszcze tak dobrze się nie znamy — dorzucił Alistair. — Ale nigdy nic nie wiadomo, Cordelio. Kiedy trafi cię strzała Amora, i tak dalej...

— Ach, ja nawet nie mówiłam o miłości! — Cordelia wybuchnęła śmiechem. — Mówiłam o stosowności tego związku. Na tym polega moja praca. Na kojarzeniu firm, które do siebie pasują. Synergia — znacie to straszne słowo?

Alistair roześmiał się.

— Czy twoja intuicja zawodowa mówi ci, że będziemy z Ash dobraną parą?

— Tak myślę. — Przyjrzała mu się uważnie. — Choć równie dobrze mógłbyś spiknąć się ze mną.

— Cordelio! — Tym razem w głosie Dana brzmiało już wyraźne rozdrażnienie, ale Cordelia tylko obdarzyła go uśmiechem.

— Mówię o tym w kategoriach biznesu, Dan — powiedziała.

— Pierwsza opcja, multimilioner z kucharką. Ale opcja druga — multimilioner z pracownicą banku o światowym zasięgu — jeśli już mowa o interesach, to znacznie lepsza okazja.

— Może i żartujesz — powiedział — ale moim zdaniem to nie jest ani trochę śmieszne.

— Stary maruda! — Cordelia ścisnęła go za ramię.

— Jestem pewna, że z każdym stworzyłabyś świetną parę — zwróciła się do niej Ash. — Jesteś stworzona do życia we dwoje.

Cordelia przyjrzała jej się przez zmrużone powieki.

— Pewnie tak — powiedziała. — Ale ty? — Zmarszczyła brwi. — Czemu mi się wydaje, że jesteś raczej typem samotnicy?

— Pewnie dlatego, że tak jest — przyznała Ash.

— Sami widzicie! — rozpromieniła się Cordelia.

— Lepiej już chodźmy — odezwał się Dan. — Jesteś zmęczona po podróży. Cordelia dopiero co przyleciała ze Stanów — wyjaśnił.

— Nie musisz mnie tłumaczyć — obruszyła się Cordelia. — Nic mi nie jest.

— Wypiłaś butelkę wina i zdaje się, że już cię dopadło — powiedział.

— Nie jestem ani pijana, ani zmęczona — upierała się Cordelia.

— Tak czy inaczej, musimy już iść. — Dan otoczył ją ramieniem. — Miło cię było znów zobaczyć, Alistair. Ciebie także, Ash.

— Do zobaczenia w przyszłym tygodniu — rzuciła Ash. — Na lunchu dla partnerów.

Dan pokiwał głową.

— Do zobaczenia.

— Nie jestem ani pijana, ani zmęczona — powtórzyła Cordelia, kiedy wyszli na dwór i Dan prowadził ją do samochodu.

— To nie było z twojej strony zbyt taktowne, żeby wypytywać Ash i Alistaira, czy zamierzają się zaręczyć — powiedział.

— Niby dlaczego?

— Nie zadaje się tego rodzaju pytań — oświadczył.

— Och, rozchmurz się! — Cordelia ziewnęła. — On jest miły, prawda? Ale ona... jest jakby trochę dziwna, nie uważasz?

— Dziwna? — Dan spojrzał na nią. — Co to znaczy dziwna?

— Jakby patrzyła gdzieś poza ciebie. Jakby tak naprawdę w ogóle cię nie słuchała. Jakby — ups!

— Uważaj! — krzyknął Dan, chwytając ją za ramię. — Mało nie zleciałaś z chodnika, Cordelio. Wszystko przez to wino. Widać, że już cię wzięło.

— Może i tak — przyznała. — Przepraszam. Zły jesteś, że rozmawiałam z nimi w restauracji?

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknął.

— Ale nie podoba ci się to, że mnie się nie podoba ta kucharka.

— Wszystko mi jedno, czy ona ci się podoba czy nie — powiedział.

Cordelia zerknęła na niego z ukosa.

— Czy to możliwe, żeby i tobie wpadła w oko? — zapytała. — Ta ładniutka buźka jak z obrazka? To bezradne spojrzenie?

— Ona wcale nie jest bezradna — zaprotestował.

— Skąd wiesz?

— Widziałem ją w kuchni, z tasakiem w ręku — odparł. — Nie sprawiła na mnie wrażenia bezradnej.

— Może i nie — bez przekonania powiedziała Cordelia.

Ash leżała w łóżku Alistaira z otwartymi oczyma. Alistair spał, oddychając wolno i miarowo. Tej nocy kochali się dziko i namiętnie, zupełnie inaczej niż za pierwszym razem, kiedy nie spieszył się i był cierpliwy; kiedy drażnił ją i torturował w sposób, który nawet sprawiał jej przyjemność. Dziś jednak był szybszy i bardziej brutalny, a potem popatrzył na nią wyczekująco i zapytał, czy woli tak, jak teraz, czy może tak, jak przedtem. A ona nie wiedziała, co powiedzieć, bo tym razem nie zadała sobie trudu, by udawać. Pomyślała, że źle zrobiła, udając za pierwszym razem.

Westchnęła głęboko i zaczęła się zastanawiać, po czym to poznać, że się kogoś naprawdę kocha? Ludziom i kolorowym czasopismom łatwo mówić, że to się po prostu wie, i pocieszać, że w wieku dwudziestu albo dwudziestu jeden lat doświadczy się tego uczucia. Ale gdy ma się lat dwadzieścia dziewięć i poznało się już całą gamę najrozmaitszych uczuć, raczej trudno osądzić, które z nich było właśnie tym. Zależało jej na Alistairze. Nic nie mogła na to poradzić. I naprawdę chciała go pokochać. Niestety, nie wiedziała, co to za uczucie, kiedy człowiek jest zakochany. Poza tym jeżeli ona go pokocha, ale on jej nie, będzie cierpiała, prawda? A ona boi się cierpieć; boi się, że nie zdoła się po tym pozbierać.

Ale jeżeli go nie kocham, powiedziała sama do siebie, wpatrując się w sufit, jeżeli tylko mi na nim zależy, czy to nie lepszy układ? W ten sposób nikt nikogo nie zrani.

Czasopisma niewiele mówiły o tym, jak to jest, kiedy nie jest się zakochanym. Co innego, gdy w grę wchodziła miłość bez wzajemności. Udzielały porad, jak sprawić, by ktoś cię pokochał, lub jak zmienić się w boginię seksu, której nikt się nie oprze. Niestety, żadne z nich nie mówiło, jak to zrobić, by w wieku dwudziestu dziewięciu lat pozbyć się wreszcie strachu.

Rozdział 19

Antipasti

Tuńczyk w oleju, włoskie salami, szynka, anchois, środki karczocha, zielone i czarne oliwki, czerwone papryczki, pomidory, papryka.

Wiosna nadeszła w kwietniu. Któregoś ranka Ash obudziła się i stwierdziła, że miejski wiatr wieje z południa, powietrze jest cieplejsze, a chmury na niebie bardziej przypominają miękkie białe puszeki niż szare, ponure bryły. Zapach bijący od rzeki był intensywniejszy, a także bardziej ostry, ale z tym potrafiła się pogodzić. Lubiła miasto w ciepłe dni, nawet gdy powietrze przesycone było spalinami autobusów.

Jednak na to jest jeszcze za wcześnie, pomyślała, kiedy otworzyła okno w kuchni i Bajgiel wskoczył do środka. Ale może zapowiada się kolejne upalne lato. Dwa pod rząd! To niesłychane.

Bajgiel jadł i mrucał — jeden rozedrgany kłębek srebrzystoszarej sierści. Ash przyglądała mu się przez chwilę, a potem poszła do salonu i włączyła komputer.

Dziś miała wolny dzień, chociaż była środa. Ash lubiła mieć od czasu do czasu wolne dni w środku tygodnia. Choć jeśli zdarzało się to zbyt często, zaczynała wpadać w panikę i zastanawiać się, czy nie znaczy to, że straciła kontakty i czy ktoś ją jeszcze kiedykolwiek zatrudni. Zazwyczaj, kiedy to się zdarzało, przyjmowała o wiele za dużo zamówień na następne tygodnie i potem nie mogła się doczekać, kiedy znów trafi jej się wolny dzień. Dziś akurat nie gotowała, miała jednak parę rzeczy do zrobienia, bo wieczorem wybierała się do Dana Morlanda, by omówić jego przyjęcie weselne. Dan bardzo nalegał, żeby przyszła, choć już wcześniej mówiła mu, że nie wydaje jej się, by potrafiła mu pomóc. Powtarzała mu wciąż, że nieliczne wesela, które obsługiwała w przeszłości, były bardzo kameralne, z niewielką liczbą gości. A ona nawet mogąc liczyć na wsparcie znajomych kucharzy, nie dysponuje takim zapleczem, by mogła poradzić sobie z imprezami większego kalibru, za którymi zresztą nigdy nie przepadała. Wolalała mniejsze, bardziej prywatne okazje. Prośba Dana zdumiała ją, gdyż była pewna, że Cordelia będzie wolała huczną imprezę w jakimś ekskluzywnym hotelu, z olbrzymią listą gości. Dan powiedział jednak, że nie, że Cordelię nie interesują tradycyjne huczne weseliska i że chce czegoś skromniejszego, za to bardziej podniosłego.

Przeglądając menu, pomyślała, że to pary po trzydziestce chciały na ogół, by uroczystość była skromna, za to bardziej podniosła. Z tego, co wiedziała, dwudziestoparolatkom chodziło tylko o to, by w tym dniu była dobra zabawa. Nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do jedzenia, byle tylko było go mnóstwo i byle nie zabrakło alkoholu. Ale gdy narzeczeni mieli już ponad dwadzieścia dziewięć lat, wszystko się zmieniało. Było więcej zakąsek, było czytanie wybranych fragmentów poezji, były maksymy wydrukowane na kartach potraw. Ash zaczęła się zastanawiać, jaką maksymę wybierze Cordelia. Najstosowniejsza pewnie byłaby „Odtąd szczęśliwi aż po grób”. Mimo trudnych początków, mimo faktu, że Cordelia spędziła większość czasu od chwili zaręczyn po drugiej stronie Atlantyku, sprawy, jak widać, przybrały najkorzystniejszy dla niej obrót.

A dla mnie?, pomyślała, odchylając się w fotelu. Jaka maksyma byłaby najbardziej stosowna dla mnie i Alistaira?

Ostatnio stali się już chyba oficjalnie parą, bo co tydzień gdzieś wychodzili, zostali też jako para zaproszeni na Turniej Tenisowy Seniorów, który odbył się w Dublinie w ubiegłym miesiącu. Chatham rozesłał zaproszenia i posadzono ją obok Rossa Fearona, co było wyraźnym dowodem na to, jak zmienił się jej status w tej firmie. Zauważyła też, że ludzie okazywali jej więcej szacunku, kiedy była z Alistairem, co ją irytowało i bawiło zarazem. Kate Coleman wręcz płaszczyła się przed nimi, zwracając się do nich w taki sposób, w jaki nigdy przedtem nie zwracała się do samej Ash. Dan Morland nie pojawił się jednak na kortach. Poleciał do Nowego Jorku, by spędzić długi weekend z Cordelią.

Dzień turnieju okazał się bardzo udany. Najpierw, zgodnie z powszechnym oczekiwaniem, John McEnroe wpadł w szał ku uciesze tłumów oraz irytacji jego przeciwnika. A później wybrali się — w mniej więcej dwadzieścia osób — do Señor Sassis, żeby coś zjeść. Alistair zabawiał wszystkich strasznymi historyjkami o urządzeniach, które zawiodły i które nigdy nie będą funkcjonować, oraz o firmach, które starają się utrzymać to w tajemnicy.

Dobrze się bawiła w jego towarzystwie. Czasami po wspólnym wyjściu wracali do niego do domu (Alistair sprzedał swoje mieszkanie i kupił wolno stojący, sześciopokojowy dom w Clonskeagh za sumę zapierającą dech w piersi, po tym, jak wyraziła swoją aprobatę), a czasami rozchodzili się, każde w swoją stronę. Zawsze jednak wysyłał jej e-maila następnego ranka, aby jej powiedzieć, że spędził miły wieczór, i wtedy czuła, że mu na niej zależy.

Jej także na nim zależało. Przejmowała się, kiedy się niepokoił o swoje interesy, bo doskonale rozumiała jego rozterki. Była szczęśliwa, kiedy szło mu dobrze, bo to również potrafiła

zrozumieć. Zdążyła się też przyzwyczać do wspólnych wieczornych wyjść w niemal każdy piątek. Nie czuła, że się dusi, jak z Brendanem, nie przeżywała wszystkiego tak intensywnie jak z Kieranem, nie nudziła się też tak, jak z całą resztą. Nadal jednak nie zaprosiła go do siebie, a on przestał już się o to dopraszać. Pewnie myśli, że ukrywam jakiś mroczny sekret i boję się, że mógłby go odkryć. Nie mówiąc już o tym, pomyślała, gdy Bajgiel wskoczył jej na kolana i podrapał pazurkami uda, że może w tym być sporo racji.

Wydrukowała kilka zestawów menu i przejrzała listę kontaktów, żeby sprawdzić, kto będzie uchwytny później, latem, gdyby zdecydowała się zająć organizacją przyjęcia i potrzebowała pomocy. Potem odłożyła listę, bo i tak wszystko będzie zależało od tego, ile osób Dan i Cordelia zechcą zaprosić na swoje skromne, acz podniosłe wesele. Póki nie pozna ich planów, nie ma sensu się tym przejmować.

Wstała, a Bajgiel zeskoczył jej z kolan, spoglądając na nią z wyrzutem.

— Przepraszam — powiedziała. — Ale muszę wyjść. — Kot wskoczył na oparcie sofy i zaczął obmywać sobie pyszczek. — A ty pilnuj domu — dodała, kiedy się upewniła, że wyłączyła komputer i wszystkie wtyczki też są wyjęte z kontaktów.

Coraz częściej rytuał ten wydawał jej się jeszcze głupszy niż dawniej. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nic strasznego się nie stanie, jeżeli przez przypadek zostawi jakąś wtyczkę w kontakcie albo cieknący kran, albo — o zgrozo! — zmięte ręczniki na podłodze w łazience. Zawsze jednak dręczyła ją myśl, że jeśli wszystkiego nie dopilnuje i coś się stanie, będzie to tylko i wyłącznie jej wina. Dlatego lepiej było ulec tym podszeptom i mieć poczucie bezpieczeństwa, niż ich nie posłuchać i potem przez cały czas się zamartwiać.

Wyjęła z szafy jasnokremową kamizelkę i nałożyła ją na podkoszulek z długimi rękawami. Dziś nie zamierzała się niczym przejmować. Chciała tylko pochodzić w mieście, po sklepach z artykułami kuchennymi, żeby to i owo dokupić. Były to jedyne sklepy, które naprawdę lubiła odwiedzać, lubiła też wydawać w nich pieniądze — co większość ludzi uważała za wyjątkowo żalosne.

Idąc wzdłuż nabrzeża, rozmyślała o swojej pozycji zawodowej. W ubiegłym tygodniu Jodie pokazała jej ogłoszenie, że poszukują szefa kuchni do pracy na statku wycieczkowym.

— Nie uważasz, że to byłoby fantastyczne? — Jodie aż zaświeciły się oczy. — Spędzać czas na Morzu Śródziemnym albo na Karaibach, robiąc coś, co naprawdę lubisz?

Ash pokręciła jednak głową. Nie mogła sobie wyobrazić nic straszniejszego niż przebywanie w zadymionej kuchni, w gorącym klimacie i karmienie hordy wygłodniałych turystów.

Poza tym, jak słyszała, życie na tych statkach wycieczkowych wcale nie było takie wspaniałe dla członków załogi. Wszystkie przyzwoite kajuty przeznaczano przecież dla gości. Nie mogłabym spać na jakiejś nędznej piętrowej koi, pomyślała, nawet gdyby to był rejs wokół Indii Zachodnich.

Minęła Trinity College i poszła dalej, wzdłuż Grafion Street. Jakiś uliczny artysta rysował kredą pejzaże na chodniku, zongler wyrzucał w górę srebrne, lśniące pałki, a młody mężczyzna w dzinsach i podkoszulku proponował przechodniom postawienie tarota za jedyne pięć funtów.

Pięć funtów za poznanie przyszłości. Ash już prawie dała się skusić, ale w końcu poszła dalej. Nie chciała znać swojej przyszłości — już sama myśl napawała ją przerażeniem. Jeżeli czeka ją coś złego, absolutnie nie chciała już teraz o tym wiedzieć. Kupiła nową obieraczkę oraz kilka kółek na serwetki z nierdzewnej stali, a także tuzin zapachowych świeczek. Nie potrafiła zrozumieć, jak to się dzieje, że może z radością buszować po tego rodzaju sklepach, natomiast w butikach z ubraniami dostaje konwulsji. Mimo to zacisnęła zęby i kupiła w Vero Moda kilka letnich bluzek oraz wiązaną spódnicę w kontrastowym kolorze, kiedy wracała Grafion Street. Potem wstąpiła do Bewleya na filiżankę kawy z pianką i lepkiego pączka.

Odkąd zerwała z Brendanem, rzadko jadła śniadania u Bewleya. Podczas tych kilku nielicznych wizyt miała jedynie wyrzuty sumienia z jego powodu i czuła się kompletnie do niczego. Patrzyła na siedzące wokół pary i zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła się przemóc na tyle, by stać się taka, jak oni. Pamiętała też swój atak lęku po zerwaniu i znów była bliska paniki. Teraz, na szczęście, czuła się trochę lepiej. Prawdę mówiąc, pomyślała, minęło już sporo czasu, odkąd miała ostatni prawdziwy atak paniki. Taki, podczas którego była pewna, że serce wyskoczy jej z piersi, tak szybko bije — albo, na odmianną, zemdleje, bo robi jej się ciemno przed oczyma. Może wreszcie zaczyna się zamieniać w normalną kobietę? Taką, która ma stałego chłopaka, który kocha ją i którego ona też kocha. Może...?

Dopiła kawę, zjadła pączka i wróciła spacerkiem do domu, gdzie usiadła przy oknie i zaczęła przeglądać książkę kucharską kupioną w jednej z księgarni. Tak naprawdę nie potrzebowała jeszcze jednej książki kucharskiej, ale ta akurat traktowała o gotowaniu warzyw, a ponieważ coraz więcej klientów rezygnowało z mięsa, uznała, że przyda jej się kilka nowych pomysłów.

O szóstej weszła pod prysznic, żeby się szybko opłukać, a potem przebrała się w nowy śliwkowy top i wiązaną w pasie spódnicę. Nałożyła na twarz nieco brązującego pudru, pociąg-

nęła usta barwną kredką, chwyciła notes oraz zestawy menu i wyszła przed dom, by złapać taksówkę. Danowi zapowiedziała, że będzie u niego między szóstą trzydzieści a siódmą. Sprawdziła już, że poza godzinami szczytu można dojechać samochodem spod jej domu do Rathgar w niespełna dziesięć minut. Niestety, coraz trudniej było określić, kiedy w mieście są godziny szczytu.

Przyjechała dokładnie za kwadrans siódma, co jej najzupełniej odpowiadało. Zapłaciła kierowcy, przerzuciła przez ramię jasnobrązową torbę i ruszyła chodniczkiem prowadzącym pod same drzwi.

— Cześć, Ash. — Uśmiechnięty Dan otworzył jej, z butelką piwa w ręce. — Właśnie siedziałem w oranżerii, próbując złapać resztki słońca.

— Nie zauważyłam oranżerii, kiedy byłam tu ostatnio — powiedziała.

— Jest za salonem, na tyłach — wyjaśnił. — Trzeba ją jeszcze odremontować, jak wiele rzeczy w tym domu, ale wspaniale łapie ostatnie promienie słońca. Chcesz drinka?

— Czemu nie? — powiedziała, wchodząc za nim do środka.

— Tymi drzwiami. — Dan wskazał jej drogę. — Ja wezmę tylko jeszcze jedno piwo. Może być piwo, prawda? A może wolisz coś innego?

Potrząsnęła głową.

— Może być piwo.

Oranżeria była mała i nie trzymano w niej zbyt wielu kwiatów. Ash podejrzewała, że Dan nie lubi zajmować się kwiatami — zresztą kiedy miałyby to robić, skoro pracuje w mieście? Usiadła na jednym ze starych wiklinowych foteli i popatrzyła na ogród. Był długi, wąski i dość zapuszczony. W nim także nie rosło zbyt wiele kwiatów. Pomyślała o ogrodzie Alistaira w Clonskeagh. Do jego urządzenia zatrudnił architekta krajobrazu, który w jedną noc przekształcił go w modelowy ogród.

— Trzeba go trochę uporządkować. — Dan skinął głową w stronę ogrodu, po czym wręczył jej butelkę. — No to zdrowie!

— Zdrowie! — Pociągnęła łyk piwa. — Mnie on się podoba. Nie wymaga przesadnej troski.

— Dzięki. Ale wiem, że trzeba jeszcze włożyć w niego bardzo dużo pracy.

— Nie tak znów dużo. — Ash wzruszyła ramionami. — Jak to się mówi, ma wielki potencjał.

— To dobrze. — Dan uśmiechnął się. — To samo mówili o domu. Potencjał zawsze oznacza kolosalne pożyczki, żeby dało się w tym czymś od biedy zamieszkać.

Ash zachichotała.

— Teraz twój dom już całkiem nieźle nadaje się do zamieszkania. Jest cudowny. Cordelia ma szczęście, że wychodzi za ciebie i będzie mogła się tu wprowadzić.

— Dzięki po raz drugi — powiedział. — Ciągle jej to powtarzam, ale ona mi nie wierzy.

— Ależ na pewno ci wierzy.

— Więc co o tym myślisz? — zapytał.

— O czym? — Zdumiona rozejrzała się wokoło.

— Żeby tutaj wydać przyjęcie weselne.

— Ach, rozumiem. — Ash znowu się rozejrzała.

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zrobić to w ogrodzie, a gdyby komuś było zimno, mógłby wejść do środka. Rozumiesz?

— W Irlandii, jeżeli chce się urządzić imprezę na wolnym powietrzu, trzeba się liczyć z tym, że chłody to najbardziej prawdopodobny scenariusz — stwierdziła Ash. — A jeżeli gościom jest zimno, są autentycznie nieszczęśliwi i cała reszta się nie liczy.

— Masz rację. — Dan pokiwał głową. — Pamiętam, jak któregoś roku mieliśmy imprezę plenerową w Powerscourt. Poprzedniego dnia było ślicznie, ale tego dnia zrobiło się zimno i pochmurno. Byłem po prostu wściekły.

— Na ile osób? — zapytała Ash.

— W tym cała rzecz — powiedział. — Nie chcemy przesadzać. Powiedzmy, jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt. Zresztą, i tak nie sądzę, żeby dało się tu więcej zmieścić.

Ash potarła czoło.

— W tej sytuacji absolutnie nie mogę ci pomóc, Dan. To dla mnie o wiele za dużo. Nie prowadzę dużej firmy cateringowej, tylko sama gotuję. A wesela wymagają mnóstwa dodatkowej pracy, typu kwiaty, dekoracje miejsc przy stole i tak dalej — a ja nie jestem w tym najlepsza.

— Bzdura! — powiedział. — Zrobiłaś cuda z moją jadalnią tej nocy, kiedy oświadczyłem się Cordelii. O ile „oświadczyłem się” to właściwe słowo, biorąc pod uwagę dalszy rozwój wypadków.

Ash uśmiechnęła się.

— Ułożyło się jak najlepiej. A pokój wyglądał dobrze, bo wiedziałam, co robię. Poza tym kolacja była tylko na dwie osoby. Ale siedemdziesiąt to już całkiem inna sprawa.

— Chodzi o to... — Dan zmarszczył brwi. — Chciałbym, żebyś się tym zajęła. Wydawało mi się, że się zaprzyjaźniliśmy, a ja lubię robić interesy z przyjaciółmi.

— Proponujesz mi jakiś koszmar — wyznała mu szczerze. —

Marna byłaby ze mnie przyjaciółka, gdybym ci powiedziała, że mogę się tego podjąć. A ja naprawdę nie mogę.

— O ile pamiętam, mówiłaś, że masz ludzi, którzy pomagają ci przy większych imprezach.

— Bo mam — powiedziała. — Ale wszystko zależy od tego, co to za imprezy. Czasami przygotowujemy poczęstunek po promocjach — rozumiesz, ludzie dostają chochelkę chilli albo Stroganoffa i garstkę ryżu — ale to, co mi proponujesz, przekracza moje możliwości, Dan. Nie chcę potem odpowiadać za to, że nawaliłam w najważniejszym dniu twojego życia. — Upiła łyk piwa. — Szczerze mówiąc, podejrzewałam, że będzie to dla mnie za trudne, ale nie chciałam mówić „nie”, zanim z tobą nie porozmawiam.

— Rozumiem. Zresztą, mówiłaś to już wcześniej. — Dan westchnął. — Chyba próbowałem sobie wszystko ułatwić.

— Czy Cordelia nie ma jakichś szczególnych życzeń? — zapytała Ash.

— Zostawiła wszystko na mojej głowie — powiedział. — I nie mów mi, że to cholernie nietypowe, bo zdaję sobie z tego sprawę. Zawsze myślałem, że nawet w dobie kompletnego odwrócenia ról, tak w życiu zawodowym, jak rodzinnym, kobiety kompletnie tracą rozum, kiedy nadchodzi ten wielki dzień. Nie wiedziałem, że poślubię kobietę, która po prostu wparuje w ostatniej minucie, żeby powiedzieć „tak”.

Ash roześmiała się.

— Moim zdaniem to fantastyczne! Żadnych kłopotów, żadnego zawracania sobie głowy — trzeba tylko przyjść i wyglądać jak najpiękniej.

Dan westchnął.

— O ile w ogóle przyjdzie.

— Oczywiście, że przyjdzie! — wykrzyknęła.

— Wiem — powiedział. — Ale czasami strasznie się tym denerwuję.

— Pewnie pojechała do Stanów, żeby się wymigać od tej roboty — stwierdziła Ash.

— Może i tak. — Dan uśmiechnął się do niej.

— Na pewno tak — powiedziała. — To sprytna osoba.

— Taka sprytna, że zdołała mnie sterroryzować.

— Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł cię sterroryzować.

— Nie znasz mnie zbyt dobrze — stwierdził ponuro. — Mnóstwo ludzi mnie terroryzuje.

— Mnie też — przyznała się Ash.

— Oboje mamy dominujących partnerów. — Dan wysączył do dna swoją butelkę. —

Wypijesz ze mną jeszcze jedno?

— Chętnie.

— Wejdz do domu — powiedział. — Na dworze robi się zimno.

Weszli do salonu i Ash usiadła na miękkiej sofie.

— Nie uważasz, że to dziwne? — Dan wręczył jej kolejne piwo.

— Ale co?

— Ja i Cordelia, i te nasze zaręczyny na odległość.

— Raczej nie — powiedziała. — To dosyć nietypowe, ale ona pewnie doznała szoku, kiedy ją poprosiłeś o rękę. Najwyraźniej nie myślała o tym, zwłaszcza jeśli brała pod uwagę wyjazd do Stanów. Ale myślę, że wszystko obróciło się na waszą korzyść. Ona dostanie te swoje sześć miesięcy, a potem wróci i wyjdzie za ciebie — wszystko zgodnie z planem!

— Jak już mogłaś się zorientować, będzie tam dłużej niż sześć miesięcy — stwierdził ponuro Dan. — Wszystko przez ten projekt, nad którym pracowała. Dopiero teraz zaczęła szkolenie, które miało się zacząć przed Bożym Narodzeniem. Czyli do domu wróci tuż przed tym nieszczęsnym ślubem. Najwcześniej w lipcu, a może nawet dopiero w sierpniu.

— Czy to cię niepokoi? — zapytała Ash. Dan wzruszył ramionami.

— Przedtem tak, ale teraz już nie. Pogodziłem się z tą myślą.

— No cóż, dostanie to, o co jej chodzi, i w rezultacie będzie szczęśliwsza — stwierdziła Ash. — Pół roku to taki krótki okres w ogólnym rozrachunku.

— Wiem — powiedział Dan. — Dopiero teraz to zrozumiałem. — Uśmiechnął się. — Czy ty zdecydowałabyś się któregoś dnia, między gotowaniem kolejnych lunchów, tak po prostu przebiec główną nawą kościoła?

— Nie wiem, czy w ogóle wyjdę za mąż — powiedziała Ash.

— Nawet za Króla Technologii? — zdumiał się Dan. — Słyszałem, że ty i on w kręgach towarzyskich uchodzą już za stałą parę.

— Rozumiem, że widziałeś nasze zdjęcie w „Irish Timesie”? — stwierdziła, marszcząc nos.

Dan roześmiał się.

— Wyglądaliście bardzo ładnie.

— Oni chcieli mieć tylko jego zdjęcia — powiedziała. — A ja naprawdę nie chciałam iść na otwarcie jakiejś winiarni. To nie moja działka. Ale Alistair znał właściciela i obiecał mu, że przyjdzie.

— Pewnie już niedługo urządzi ci jakiś lokal.

— Nie — powiedziała.

— Nie chciałabyś mieć własnej restauracji? Czy nie tego pragną wszyscy kucharze?

Ash potrząsnęła głową.

— Ale nie ja.

— A czego ty chcesz? — zapytał.

— Nie mam pojęcia.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. Ash bawiła się końcem warkocza, a Dan sączył piwo. Wreszcie dotarło do niego, że Ash nie zamierza przerwać milczenia. Widocznie to dziewczyna z rodzaju tych, co to potrafią siedzieć i nic nie mówić tak długo, jak trzeba.

— Czy będziesz miała mi za złe, jeżeli zadam ci pytanie natury osobistej? — odezwał się w końcu.

— Nie.

— Czy myślisz czasami o swoim ojcu? Ash spojrzała na niego ze zdumieniem.

— To rzeczywiście bardzo osobiste pytanie.

— Wiem — przyznał Dan. — Dlatego nie musisz odpowiadać. Przed twoim przyjściem myślałem o rodzinie. To chyba normalne, jeśli wkrótce mam wziąć ślub. I pomyślałem też o tobie.

— W ogóle o nim nie myślę — powiedziała Ash. — Dla mnie on jest tylko biologicznym incydentem z przeszłości.

— Myślałem, że każdy chce wiedzieć, kim jest jego ojciec.

— To zależy. — Ash wzruszyła ramionami. — Ja na przykład nie chcę. — Nieoczekiwanie roześmiała się. — Mam dosyć kłopotów z rodziną ze strony Julii i bez odkrywania nowych twarzy!

Dan także się roześmiał i nagle prysło napięcie, jakie wcześniej między nimi narosło.

— Myślę, że jeżeli od dzieciństwa mieszkałaś z ciotką, wujem i kuzynami, to oni stali się twoją rodziną.

Ash pokiwała głową.

— Chociaż, mówiąc szczerze, nigdy nie zdołałam tak naprawdę zbliżyć się do Rourke'ów. Myślałam, że mi się uda, ale oni są pod wieloma względami zupełnie inni niż ja.

— Ilu ich jest?

— Czwórka dzieciaków. Dla mnie to były istne tabuny.

— Trudno wejść w coś takiego, kiedy jest się jedynaczką.

— Jedynaczką Julii — poprawiła go Ash. — Bo Bóg jeden wie, kogo jeszcze spłodził mój biologiczny ojciec.

— A co oni wszyscy sądzą o Królu Technologii?

— Chcą, żebym jak najszybciej zaciągnęła go do ołtarza. — Ash uśmiechnęła się.

— Ale ty nie chcesz?

— Nie najlepiej radzę sobie w związkach. — Upiła łyk piwa i znów pociągnęła się za warkocz. — To musi zawsze trochę potrwać. Strasznie się przy tym denerwuję. Nie lubię się za szybko angażować.

— Świetnie cię rozumiem — powiedział. — Bo czuję dokładnie to samo.

— To dlatego w „K Club” aż się roiło od twoich byłych dziewczyn?

— Coś w tym rodzaju — przyznał. — A czy w Dublinie też roi się od twoich byłych chłopaków?

— Roi się to może zbyt mocne słowo. Ale kręci się ich tam trochę.

— Myślisz, że mogłabyś zostać z Alistairem? — zapytał.

— Może.

— A jeżeli zaproponuje, że kupi ci restaurację, powiesz wtedy „tak”?

— Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem? — zapytała. — O co chodzi z tą restauracją? Nie rozmawiałam z nim o żadnych restauracjach.

— Tak sobie tylko pomyślałem, że mogłoby ci się to spodobać. Że chciałabyś zyskać szersze uznanie.

Ash potrząsnęła głową.

— Może zamiast tego napiszę książkę kucharską albo coś w tym rodzaju.

— Świetny pomysł!

— Obawiam się, że nie — powiedziała. — Nie potrafiłabym być na tyle precyzyjna, żeby napisać książkę kucharską. Podając przepisy, trzeba przecież dokładnie odmierzyć wszystkie składniki, a ja nigdy tego nie robię. Rzucam tylko okiem i robię korekty, dodając własne pomysły.

Dan odchylił się w fotelu i założył ręce za głowę.

— Nie tak sobie ciebie wyobrażałem.

— O co ci chodzi?

— O to dorzucanie różnych składników w trakcie gotowania. Myślałem, że jesteś precyzyjna. Zorganizowana. Pedantyczna.

Ash uśmiechnęła się.

— Na ogół taka właśnie jestem.

— A widzisz! — stwierdził z uśmiechem. — Założę się, że co rano starannie rozwieszasz ręczniki na suszarce. Założę się też, że nie trzymasz kłębków wyczesanych włosów w twojej szafce w łazience, a na półkach nie stoją buteleczki zaschniętego syropu na kaszel, którego termin ważności minął rok temu.

Ash poruszyła się niepewnie w fotelu, a Dan popatrzył na nią z rozbawieniem.

— Wyglądasz tak schludnie — stwierdził. — Chyba trafiłem w dziesiątkę.

— No więc...

— Twoja forma buntu — przypomniał jej.

Ash zaczęła obskubywać etykietkę ze swojej butelki piwa.

— Wiem.

— Kiedy moi rodzice się rozstali, całymi dniami sprzątałem dom — powiedział.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Któregoś dnia matka wykrzyczała ojcu, że nie potrafi żyć w takim domu jak on, w takim stanie jak on i w taki sposób jak on. — Dan wzruszył ramionami. — A potem opuściła go, zabierając nas ze sobą.

— Nas?

— Mnie i Bronwyn. Moją siostrę bliźniaczkę. Mieliśmy wtedy po dziewięć lat.

— Ach tak.

— Oczywiście bałagan w domu wcale nie był powodem, dla którego go opuściła. Ale ja bałem się, że jeżeli w domu będzie brudno, nas też może zostawić. — Usta mu drgnęły. — Wtedy wydawało się to całkiem logiczne.

— To było jak najbardziej logiczne — potwierdziła. Wysączyła butelkę Millera, a wtedy Dan podniósł się z fotela.

— Strzemiennego? — zapytał.

Spojrzała na zegarek. Było już po ósmej. Ale skoro nie ma nic do roboty, może jeszcze trochę posiedzieć. Skinęła głową.

— Czym zajmował się twój ojciec? — zapytała, kiedy Dan wrócił z piwem. — Może lubił majsterkować, czy coś w tym rodzaju, i dlatego robił w domu bałagan? Dan westchnął.

— Nie. Nie był majsterkowiczem. Musiałaś słyszeć o moim ojcu.

— Naprawdę? — zapytała.

— Nazywa się Joss Morland — rzucił znudzonym tonem.

— Joss Morland? Ten pisarz? — zdumiała się Ash. — Autor tych detektywistycznych powieści? O tej Włoszce?

Dan pokiwał głową.

— O Vannie Savino.

— Nakręcili serial telewizyjny na podstawie tych książek! — wykrzyknęła. — Zimą oglądałam go w każdą niedzielę.

Dan znowu pokiwał głową.

— To człowiek megasukcesu — stwierdziła z podziwem.

— Wiem — przyznał. — Ale jako ojciec i mąż był kompletnie do dupy. Pewnie dlatego tak cholernie przejmuję się tym ślubem.

Ash zagryzła wargi.

— Oczywiście, nie robił tego świadomie — ciągnął dalej Dan. — Ale żył w swoim świecie. Miał obsesję na punkcie tej przeklętej Savino. Dla niego ona była bardziej realna niż ja albo Bronwyn czy moja matka. Wszystko zależało od tego, jak w danym dniu czuła się Vanna i jak jej się wiodło. Wszyscy żyliśmy w cieniu Vanny.

— Nie myślałam, że jesteście spokrewnieni.

— Czemu miałabyś tak myśleć?

— Lubię książki o Vannie Savino — stwierdziła Ash. — Są mądre.

— Oczywiście, że tak — przyznał Dan. — Są świetne. Ja też je lubię. Ale wtedy my nic z tego nie mieliśmy.

— A teraz? — zapytała Ash.

— Teraz częściej widuję się z ojcem. I lepiej go rozumiem. Nawet matka czasami go rozumie.

— A czym ona się zajmuje?

— Pracuje w agencji nieruchomości — powiedział. — I na ogół jest szczęśliwa.

Ash uśmiechnęła się.

— To dobrze.

— Ale tata nie był dla niej dobry. Uważał, że wszystko mu wolno, bo jest „artystą”. Weźmy choćby inne kobiety! — Prychnął pogardliwie. — Był przekonany, że nie obowiązują go żadne normy, bo napisał kilka świetnych książek. W końcu mama musiała go zostawić. Od tamtej pory było kilku mężczyzn w jej życiu, ale wciąż odnoszę wrażenie, jakby łączyła ją z tatą jakaś niewidzialna nić. On nadal potrafi ją wkurzyć.

— Czy aż tak często go widuje?

— Kilka razy do roku. Prawdę mówiąc — Dan spojrzął z zastanowieniem na Ash — coś mi przyszło do głowy. Skoro nie możesz przygotować wesela, może mogłabyś zrobić coś innego. O tak, uważam, że to świetny pomysł.

— Co? — zaniepokoiła się Ash.

— Mogłabyś przygotować kolację na cześć ostatniej kropki?

— Kolację na cześć ostatniej kropki?

— Kiedy tata kończy jakąś książkę, zbieramy się całą rodziną, żeby to uczcić. Zrobiliśmy to po jego trzeciej książce i był to moment przełomowy. Więc odtąd stało się to tradycją gwarantującą sukces. Naszą jedną jedyną rodzinną tradycją! Do trzeciego tomu Vanna Savino sprzedawała się w niezłe, ale *Antipasti* to już był bestseller.

— Ale wtedy nie mieszkaliście już chyba razem? — zapytała Ash. — Przecież po trzech książkach...

Dan pokiwał głową.

— Tak, ale po tej trzeciej mama i tata przechodzili bardzo wysublimowany okres separacji. Rozmawiali ze sobą i to wszystko było takie straszliwie kulturalne. Od tamtej pory nie zawsze było aż tak kulturalnie, ale tata uważa, że musi trzymać się tej tradycji. Jest pod tym względem bardzo przesądny. A mama też ją podtrzymuje, bo wie, że to go uszczęśliwia. Poza tym on nadal płaci jej alimenty. Ona to nazywa „pokutne pieniądze”.

— Twój tato powinien był poznać moją mamę — powiedziała Ash. — Julia też była przesądna. Miała całe stosy rzeczy, które przynosiły szczęście, i mnóstwo takich, które przynosiły pecha.

— A czy ty masz coś takiego, co przynosi ci szczęście?

— Nie — powiedziała. — Z całą pewnością nie zamierzała opowiadać mu o swoich codziennych wariackich rytuałach, poprzedzających każde wyjście. Poza tym nie robiła tego na szczęście, tylko żeby uniknąć nieszczęścia. A to przecież olbrzymia różnica.

— W każdym razie tata lubi te spotkania. To jedyne okazje, kiedy zbiera się cała rodzina.

— No dobrze, ja... a kiedy by to miało być? — zapytała.

— Już niedługo — odparł. — Rozmawiałem z nim kilka tygodni temu i powiedział, że pewnie pod koniec maja. — Nagle mina mu zrzedła. — A to znaczy, że Cordelii raczej nie będzie, bo nie widzę takiej szansy, żeby mogła wziąć sobie wolne. Ale i tak już wkrótce pojedę ją odwiedzić. Może uda mi się ją namówić. — Znowu się uśmiechnął. — Zgodzisz się, prawda?

Ash zasepiła się.

— Myślę, że...

— Będzie świetna zabawa! — Dan wręcz tryskał entuzjazmem. — Zawsze była o tym mowa, żeby zrobić to w jego willi, zamiast chodzić do restauracji, i tym razem wreszcie będzie to możliwe.

— W willi? — Ash spojrzała na niego zaintrygowana. — To gdzie on mieszka? Chyba nie w Hiszpanii? Nie ściągałbyś mnie przecież do Hiszpanii tylko po to, żebym przygotowała kolację, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie. — Dan potrząsnął głową. — Tata nie cierpi Hiszpanii. Do swojej willi jeździ tylko dla atmosfery, a w Hiszpanii atmosfera nie byłaby odpowiednia. To chyba oczywiste.

— Więc gdzie to jest, konkretnie? — zapytała Ash.

— Ach, przepraszam. Byłem pewny, że zdążyłaś się domyślić. — Dan uśmiechnął się. — Na Sycylii. Vanna Savino jest Sycylijką. Ojciec uważał, że będzie dzięki temu bardziej interesująca.

Rozdział 20

Czosnkowe pieczarki w cieście francuskim

Oliwa z oliwek, posiekana cebula, ząbki czosnku, drobne pieczarki, pieprz, ser żółty miękki, roztopione masło, mrożone ciasto francuskie.

Dusić cebulę i czosnek na oleju, dodać pieczarki i pieprz. Odparować nadmiar soku, dodać ser i mieszać, aż się roztopi. Zostawić do wystygnięcia. Wyłożyć gotowe nadzienie na róg ciasta i złożyć w trójkąt. Posmarować roztopionym masłem. Upiec na złotobrząowy kolor.

W porze lunchu Cordelia wybrała się do Ekspresowego Salonu Paznokci. Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Stanów, zauważyła ze zdumieniem, że mnóstwo kobiet ma perfekcyjny manikiur. Nie widziało się ani zbyt krótkich paznokci, ani połamanych, ani z łuszczącym się lakierem. Dopiero później zorientowała się, że większość z nich miała po prostu sztuczne paznokcie. Wtedy pomyślała, że to dobre rozwiązanie dla kogoś takiego jak ona, bo kiedy była zdenerwowana albo myślała nad jakimś problemem w biurze, miała zwyczaj skubać paznokcie. Musiała je potem opiłowywać niemal do skóry, a przecież nie można wyglądać olśniewająco, a zarazem profesjonalnie, mając poobgryzane paznokcie. Tak więc w jej przypadku najwygodniej było wpaść do Salonu Paznokci, gdzie w razie potrzeby zaopatrzą ją w idealny komplet.

Tego wieczoru musiała mieć perfekcyjny manikiur, gdyż po uwieńczonej sukcesem operacji ratowania firmy UpperCut bank wydał serię koktajli. Cordelia po raz pierwszy została zaproszona na trzydzieste trzecie piętro i wiązała z tym wielkie nadzieje. A ponieważ miała tam być większość personelu wyższej rangi, zależało jej na tym, by zrobić na nich dobre wrażenie. Co oczywiście w pełni tłumaczy konieczność zrobienia sobie pełnego manikiuru, pomyślała, popychając szklane drzwi. Jak również wydanie niemal miesięcznej pensji na najnowszy kostium od Calvina Kleina.

— Och, przepraszam! — Omal nie zderzyła się z kobietą, która wychodziła z salonu, a gdy do niej dotarło, że to jej szefowa, Melissa, cofnęła się ze zdumieniem.

— Hej, Cordelia! — Melissa obdarzyła ją szerokim uśmiechem. — Szykujesz się na dzisiejszy wieczór?

— Tak — odparła Cordelia.

Melissa wymownie popatrzyła na zegarek.

— Wiesz chyba, że mamy zebranie o drugiej piętnaście?

— Oczywiście — zapewniła ją Cordelia. — Będę na pewno.

— To dobrze. — Melissa pomachała jej palcami o szkarłatnych koniuszkach, po czym zniknęła w głębi ulicy.

Cordelia spojrzała na zegarek. Była dopiero dwunasta trzydzieści. Miała jeszcze mnóstwo czasu na zrobienie sobie paznokci. Melissa zaznaczała po prostu swoje terytorium, dając jej do zrozumienia, kto tu jest szefem. Jest w tym dobra, pomyślała z żalem Cordelia. Jej starsza koleżanka, która odniosła spory sukces, onieśmiałą ją wbrew jej woli, budząc w niej podziw zmieszany z lękiem.

Usiadła przy jednym z małych stoliczków i wyciągnęła rękę, a wietnamska manikiurzystka wzięła z leżącego obok stosu szmerglowy pilnik i zaczęła opiłowywać jej paznokcie. Cordelia z miejsca poczuła, jak jej umysł przestawia się ze strefy roboczej na strefę wypoczynku. Trudno myśleć o fuzji czy nabytkach, gdy ktoś tak troskliwie zajmuje się twoimi dłońmi.

Pomyślała, że musi się postarać o ładny komplet superdługich paznokci na ślub. Dan był absolutnie zachwycony pomysłem, by ich ślub odbył się pod koniec lata, z przyjęciem weselnym w jego ogrodzie. Jej także spodobała się ta propozycja — choć z miejsca zasugerowała, żeby dokupić trochę kwiatów i ożywić ogród. A także skosić trawę. I przystrzyc żywopłot.

Tego ranka przysłał jej e-mailem skorygowaną listę gości, zwiększając nieco ich liczbę. Początkowo mowa była o pięćdziesięciu osobach, ale nagle starzy przyjaciele i rodzina zaczęli wyrastać jak spod ziemi i ciężko było utrzymać dolny limit. A przecież trudno będzie zapewnić tak finezyjną, elegancką oprawę, jaką sobie wymarzyła, jeżeli wokół będą się szwendać całe tabuny ludzi. W tym momencie na liście widniało już siedemdziesiąt osiem nazwisk — jak na jej gust, o wiele za dużo.

Na szczęście, ulubiona kucharka Dana nie podjęła się cateringu. Dla Cordelii była to wielka ulga. Myśl, że Ash będzie brała w tym udział, nie budziła w niej entuzjazmu. Ta dziewczyna może i jest profesjonalną kucharką, ale to jeszcze nie znaczy, że zdoła przygotować spektakularny posiłek na siedemdziesiąt osiem osób. Dobrze, że chociaż ma na tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć „nie”, myślała Cordelia, patrząc, jak manikiurzystka nakłada odrobinę akrylowej masy jako podkład pod nowe paznokcie. To absolutnie niemożliwe, żeby jedna osoba potrafiła poradzić sobie z weselem na niemal osiemdziesiąt osób. Sama to mówiła Danowi, ale on jej nie słuchał.

Najwyraźniej miał jakąś słabość do tej jasnowłosej, ciemnookiej kucharki. Ale dlaczego, tego Cordelia nie potrafiła odgadnąć. Jej zdaniem, Ash nie należała do osób, które Dan mógłby uznać za atrakcyjne. Na myśl o tym, że Ash mogłaby mu się spodobać, poruszyła gwałtownie ręką, a manikiurzystka cmokając z irytacją, zaczęła naprawiać szkody spowodowane nagłym szarpnięciem.

— Przepraszam — mruknęła Cordelia.

— Proszę nie ruszać ręką — surowo zapowiedziała manikiurzystka.

— Jasne.

Ash O'Halloran nie mogła mu się podobać. Tego Cordelia była absolutnie pewna. Zapytała go przecież o to dzień po tym, jak spotkali Ash i Alistaira w restauracji.

— Lubią ją — powiedział jej wtedy Dan. — Jest taka opanowana i sprawna, ale miała ciężkie dzieciństwo i myślę, że tak naprawdę ma miękkie serce.

— To ty jesteś mięczak — zarzuciła mu. — Też mi coś! Żeby się przejmować dzieciństwem jakiejś kucharki!

— To nie tak — powiedział, po czym ją pocałował.

— A poza tym — dorzuciła z uśmiechem — ona chodzi z multimilionerem.

— To prawda — przyznał, po czym westchnął, jakby miał Ash za złe to chodzenie z multimilionerem. Powiedziała mu to, a on roześmiał się i odparł, że nie; że jest tylko zawiedziony, że sam nim nie jest. A wtedy ona powiedziała, żeby się nie martwił i że to ona będzie multimilionerem w ich rodzinie.

Co jest możliwe, powiedziała sobie w duchu. Trzeba tylko ciężko pracować i uważać, żeby nie przepuścić żadnej okazji. A wtedy nie ma powodu, by nie wspięła się po drabinie służbowej i nie strąciła Melissy Kravich albo jakiejś innej z jej grędy. Oczywiście strącenie Melissy z jej grędy nie będzie takie łatwe — z tego zdawała sobie sprawę. Jej starsza koleżanka miała oparcie w dobrze rozbudowanej siatce przyjaciół i kolegów. Cordelia podejrzewała, że tak naprawdę nikt nie lubi Melissy, chociaż cieszyła się ona opinią osoby fair. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób koleżance udało się zyskać taką opinię, skoro sama doświadczyła na własnej skórze, że Melissa potrafi czasami postępować wybitnie niekoleżeńsko. Choćby wtedy, gdy zaproszenia na mecz Knicks przeciwko Boston Celtics w Madison Square Garden trafiły na biurko Cordelii, a Melissa je wypatrzyła i zagarnęła dla siebie.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu? — zapytała. — Al jest zagorzałym kibicem Knicksów.

Cordelia rzeczywiście nie miała nic przeciwko temu, ale nie o to chodziło. Melissa i Al wybrali się na ten mecz z paroma klientami, których ona sama chciała poznać. Dlatego uznała, że to bardzo nie fair, chociaż jedyny klub koszykarski, o jakim słyszała, to Harlem Globetrotters, i to tylko dzięki kreskówce w telewizji.

Światło z lampy nad jej głową odbiło się od zaręczynowego pierścionka na lewej ręce, przykuwając uwagę manikiurzystki.

— Śliczny pierścionek — powiedziała.

— Dziękuję.

— Kiedy ślub?

— Pod koniec lata.

— Będzie strasznie gorąco. — Dziewczyna oderwała wzrok od paznokci Cordelii.

— Wezmę ślub u siebie — powiedziała Cordelia. — W Irlandii. Tam nie ma takich upałów.

— Mam rodzinę w Irlandii — rzuciła manikiurzystka. — Pojechali tam po wyjeździe z Wietnamu. Mieszkają w Clare. Wie pani, gdzie to jest?

Cordelia pokiwała głową.

— To ładne miejsce — przyznała.

— Tak mówią. — Dziewczyna koniuszkiem cieniutkiego pędzelka postukała w sztuczne paznokcie Cordelii, chcąc sprawdzić, czy dostatecznie stwardniały. — Pani narzeczony to Amerykanin czy Irlandczyk?

— Irlandczyk — odparła Cordelia.

— Pracuje tu?

Cordelia potrząsnęła głową.

— Nie, tam, w kraju.

— Tęskni pani za nim?

— Nie mam na to czasu. — Cordelia uśmiechnęła się. — Jestem strasznie zapracowana.

— Ja bym za nim tęskniła — powiedziała manikiurzystka. — Nie chciałabym się tak rozstawać ze swoim chłopakiem.

— Ale my się kochamy — oświadczyła Cordelia. — I to nie ma znaczenia, jaka odległość nas dzieli.

Manikiurzystka popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

— Naprawdę — zapewniła ją Cordelia.

— Jaki kolor? — Dziewczyna wskazała rząd buteleczek.

Cordelia przyjrzała się lakierom i pomyślała, że nie szkarłatny, skoro Melissa zdecydowała się na szkarłat. I nie różowy, bo odcień wydał jej się zbyt blady. Był dosyć ładny zielony, który, jej zdaniem, wyglądałby niezwykle drapieźnie, nie miała jednak pewności, czy wypada prezentować się zbyt drapieźnie podczas pierwszej wizyty w górnych rewirach banku. Dlatego, koniec końców, wybrała czerwony, ale mniej jaskrawy niż Melissy, mimo iż wolałaby szkarłat.

— Idzie pani gdzieś dziś wieczorem? — Manikiurzystka energicznie potrząsnęła butelką.

— Impreza służbowa — odparła Cordelia.

— Pani pracuje u Harrisona, tak? Cordelia skinęła głową.

— Mam udziały u Harrisona. — Manikiurzystka uśmiechnęła się. — To dobry bank.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Och, absolutnie. Pracuje w nim dużo miłych ludzi. Będzie tam pani dobrze.

— Mam nadzieję — powiedziała Cordelia.

— Na pewno. — Podczas gdy dziewczyna z wprawą malowała jej paznokcie czerwonym lakierem, Cordelia zastanawiała się, czy opowiada wszystkim tę samą historyjkę. Wokół Wall Street ulokowały się setki banków. Jeżeli manikiurzystka miała udziały w każdym z nich, musiała być osobą bardzo zamożną!

Siedziała i czekała, aż lakier wyschnie, chociaż trudno jej było usiedzieć spokojnie, kiedy praca została już zakończona. Cordelia wiedziała, że jest niecierpliwa, lecz doświadczenie mówiło jej, że w interesach nie można być cierpliwym. Trzeba zawrzeć umowę, a potem jak najszybciej wykonać swoje zadanie. Właśnie dlatego była taka zadowolona, że zdołali uratować UpperCuta. Wprawdzie poszła parokrotnie na skróty, by wykonać swoje zadanie, i bardzo się później denerwowała, że coś może się nie udać, ale koniec końców wyszło idealnie. Natchnęło ją to nową wiarą w siebie, jak również w to, że zrobi karierę u Harrisona, i oznaczało, że ma prawo być dobrej myśli, szykując się na wieczorne spotkanie z tymi superkowbojami na trzydziestym trzecim piętrze.

Wjeżdżała windą z nadzieją, że uda jej się poznać ważnych ludzi z banku, a nie tłum szaraków średniego szczebla. Czasami na takiej imprezie trudno było dopchać się do właściwych osób — a nie ma nic gorszego, niż utknąć w grupie nieudaczników, gdy w tym samym czasie ktoś inny gawędzi z tymi, którzy naprawdę się liczą.

— Denerwujesz się? — De Vere skierował na nią rozbawione, piwne oczy.

— Nie.

— A powinnaś — odezwała się Shayla Kroenig. — Będzie tam dziś nasz szacowny prezes, a nie jest to człowiek łatwy.

— Z każdym potrafię sobie poradzić — oświadczyła Cordelia. — Ale on raczej nie będzie z nami rozmawiał, prawda?

— Ze mną będzie — powiedział DeVere. — Moja ciotka przyjmowała na ten świat jego córkę.

Cordelia uniosła brwi.

— Czy on o tym wie?

— Jeszcze nie. — DeVere uśmiechnął się. — Ale się dowie. To takie typowe, pomyślała z goryczą Cordelia. DeVere zawsze wydawał się mieć nad nią jakąś przewagę.

Winda, postępując cicho, przemieszczała się w górę budynku. Cordelia patrzyła na zapalające się i gasnące numery kolejnych pięter. Jej dział, fuzje i nabytki, znajdował się na dwunastym piętrze.

— Podobają mi się twoje paznokcie — rzuciła Shayla. — To dobrze wygląda. Żałuję, że nie miałam czasu, żeby tam wyskoczyć.

— Dzięki. — Cordelia wyciągnęła lewą rękę. Pierścionek z brylantem i szafirem zalśnił w świetle lampek.

— A widziałaś paznokcie Melissy? — zapytał DeVere. — Toż to istne szpony!

— Akurat wychodziła z Salonu Paznokci, kiedy ja tam przyszłam — powiedziała Cordelia. — Ostrzegala mnie, żebym się nie spóźniła na nasze zebranie o drugiej piętnaście.

DeVere roześmiał się.

— Melissa nie daruje sobie okazji, żeby cię zdenerwować.

— Ona nie jest w stanie mnie zdenerwować — powiedziała Cordelia, gdy winda zatrzymała się na trzydziestym trzecim piętrze i wszyscy wysiedli.

Trzydzieste trzecie piętro różniło się od pozostałych biur banku, wygodnych, lecz przede wszystkim funkcjonalnych. Foyer przy windzie było kwadratowe, całe w jasnym drewnie, z grubym, bladozielonym dywanem w złociste wzory. Lampy, poustawiane za skórzanymi fotelami, rzucały kręgi przyćmionego światła. Sporą część pomieszczenia zajmował niski szklany stół, na którym leżały różne bankowe czasopisma, a prócz nich dodatkowo dwie książki oprawione w skórę — historia banku oraz biografia jego założyciela, Arthura J. Harrisona. Ochroniarz w granatowym mundurze wskazał im drogę do sali konferencyjnej. Kiedy szli krótkim

korytarzem, nawet De Vere zamilkł nagle, przytłoczony panującym wokół przepychem. Chce być częścią tego wszystkiego, pomyślała Cordelia. Ja też chcę mieć gabinet na trzydziestym trzecim piętrze.

Przed salą konferencyjną stał kelner, który otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

Ludzi było znacznie więcej, niż Cordelia się spodziewała. Sala była w trzech czwartych wypełniona, co utrudniało przejście na drugą stronę i zajęcie miejsca przy oknach, by móc patrzeć na miasto, które nigdy nie śpi. Cordelia wzięła kieliszek czerwonego wina od jednej z kelnerek krążących z zastawionymi tacami.

— Cordelio! — Melissa Kravich pomachała do niej. — Cordelio, to jest Earl Winter, jeden z naszych wiceprezesów.

— Cześć, Earl. — Cordelia uściśliła mu rękę.

— Earl zajmuje się działem prywatnych klientów — powiedziała Melissa i natychmiast pomachała do kogoś innego, zostawiając Cordelię z Earlem.

A to pinda!, pomyślała Cordelia. Dział prywatnych klientów ani trochę jej nie interesował. A Earl też nie był dla niej kimś na tyle ważnym, by warto było tracić czas na dłuższe rozmowy. Właśnie dlatego Melissa tak perfidnie zwała jej go na głowę.

Zmarnowała z Earlem prawie dziesięć minut, po czym wymruczała jakieś przeprosiny i zostawiła go samego. Pomyślała, że dziesięć minut zupełnie wystarczy, by nie zostawić po sobie wrażenia osoby szczególnie nieuprzejmej, na wypadek gdyby Earl kiedykolwiek wspiął się wyżej w bankowej hierarchii.

Wzięła kolejny kieliszek od przechodzącej obok kelnerki i umyślnie posterowała tak, by znów znaleźć się w zasięgu wzroku Melissy, która rozmawiała teraz z wysokim, dobrze ubranym (jak oni wszyscy zresztą) mężczyzną, tak na oko mniej więcej czterdziestoletnim. Miał ciemne włosy przyprószone siwizną i okulary w szerokiej oprawce — modnej jakiś rok temu, ale teraz już trochę passe.

— Cześć, to znowu ja, Melisso — powiedziała przyłączając się do nich. Nagrodą był błysk irytacji w oczach szefowej.

— Cordelia — Mike Fuller. — Melissa dokonała prezentacji. — Jeden z naszych VIP-ów z zarządu.

Tej samej rangi co Earl, pomyślała Cordelia, ściskając mu rękę, ale od razu poczuła, że to ktoś ważniejszy i o znacznie większych wpływach.

— Mike jest bardzo wpływową osobistością w zarządzie. Nie mam racji, Mike? — Melissa wypowiedziała na głos myśli Cordelii, uśmiechając się przy tym do Mike'a. Cordelia ze zdumieniem stwierdziła, że jej uśmiech był prawie zalotny. A przecież nigdy nie podejrzewałyby Melissy o zalotność.

Mike odpowiedział szerokim uśmiechem.

— Ty też nią zostaniesz któregoś dnia, Mel, jestem tego pewny.

— Och, dziękuję. — Melissa znów uśmiechnęła się do niego. Więc ona tak to robi?, pomyślała Cordelia. Wygłasza kazania, ciska się i wydaje rozkazy na dwunastym piętrze, by później na trzydziestym trzecim zmienić się w zmysłową uwodzicielkę? Sama dopuszczała wprawdzie myśl o czymś takim jak dyskretny flirt, ale jest przecież różnica między uśmiechaniem się do ludzi a bezwstydnym pożeraniem ich oczyma, a to właśnie robiła w tej chwili Melissa!

— Och, patrz, przyszedł Henry! — Melissa uszczypnęła Mike'a w policzek. — Muszę z nim przez chwilę pogadać. — Zaczęła się przepychać przez tłum, zostawiając Mike'a z Cordelią.

— Ona jest jak tornado — stwierdził Mike. — Naprawdę. I oczywiście Henry jest jeszcze ważniejszy niż ja.

Cordelia uśmiechnęła się do niego w niemym porozumieniu.

— Więc czym się zajmujesz, Cordelio?

— Pracuję u Melissy. Jestem analityczką.

— I należałaś do grupy UpperCuta?

Cordelia skinęła głową.

— Świetna robota — powiedział Mike.

— Dzięki.

— Naprawdę. Bardzo trudno było im doradzać. Ja sam pracowałem w zespole prawników.

— Ach tak. — Cordelia znowu pokiwała głową. Gorączkowo próbowała wymyślić coś ciekawego, co mogłaby mu powiedzieć na temat banku albo sprawy UpperCuta. Ale jakoś nic nie przychodziło jej do głowy, a nie chciała wydać mu się trywialna czy głupia, więc dalej sączyła wino w milczeniu.

Mike uśmiechnął się do niej.

— Czy ja cię onieśmielałam?

— Nie — zaprzeczyła pospiesznie. — A powinieneś?

— Nie, ale często tak bywa — stwierdził Mike. — To dlatego, że u Harrisona zajmuję dość wysokie stanowisko, mimo mojego — jak to mówią — młodzieńczego wyglądu.

— Sama mam nadzieję zająć kiedyś dość wysokie stanowisko — rzuciła Cordelia, która nagle poczuła się pewniej. W nagrodę otrzymała uśmiech Mike'a. To dobrze, pomyślała. Zrobiłam na nim właściwe wrażenie.

Jednak później dołączyło do nich parę osób, których nie знаła. Próbowwała zapamiętać ich nazwiska i ocenić, czy mogą jej się ewentualnie przydać w przyszłości, ale wszyscy stanowili jedną zlewającą się plamę ciemnych garniturów, jasnych koszul i podobnych fryzur. W końcu doszła do wniosku, że nie odgrywają większej roli — bo wprawdzie stoją wyżej od niej, ale nie wystarczająco wysoko, a poza tym oni także próbowali zrobić dobre wrażenie na Mike'u Fullerze.

— Ach, tu jesteś! — DeVere wyrósł u jej boku dokładnie w chwili, gdy Mike skończył rozmowę z grupą mężczyzn. Swoim nagłym pojawieniem się zirytował Cordelię. Chciała mieć trochę więcej czasu, by pobyć sam na sam z Mike'em. A teraz DeVere, jak zwykle, zmonopolizuje rozmowę, opowiadając o sobie rozmaite historie, przedstawiające go, jako pracownika, w doskonałym świetle i w rezultacie kompletnie ją przyćmi.

Ostatnio Cordelia poduczyla się manewrowania historyjkami na swoją korzyść, wiedziała jednak, że nigdy nie przebije DeVere'a. Mogę zostać tu i wściekać się, pomyślała, albo mogę wmieszać się w tłum i próbować znaleźć kogoś jeszcze ważniejszego od Mike'a. Wmieszaj się, pomyślała. Nigdy nie wiadomo, kogo jeszcze możesz poznać.

— Właśnie miałam iść, żeby się trochę odświeżyć — zwróciła się do DeVere'a. — To jest Mike. Jest ważną osobą, tak przynajmniej twierdzi. Możesz wypróbować na nim swoją strategię agresywnej sprzedaży.

Z satysfakcją odnotowała błysk irytacji w oczach DeVere'a, a także rozbawienie w oczach Mike'a. Przeszła wolno przez salę, od czasu do czasu przystając, by podłapać niuanse prowadzonych rozmów, i zastanawiając się, czy jest gdzieś grupa ludzi, którym warto przerwać.

— Cordelio! — przywołała ją Melissa, która stała teraz sama.

— Tak? — zapytała, podchodząc.

— Możesz mi wyświadczyć przysługę? Muszę koniecznie porozmawiać przez chwilę z Billem Dreyfussem, który właśnie kończy rozmowę z kimś innym. Mogłabyś zadzwonić do mnie do domu i dowiedzieć się, co się dzieje?

— Słucham? — Cordelia spojrzała na nią zdezorientowana.

— Moja niania przysłała mi SMS-a. — Melisa pokazała jej komórkę.

„Pulpet OK, ale miał wypadek” — przeczytała Cordelia. Zdumiona podniosła oczy na Melisę.

— Pulpet to mój synek — wyjaśniła Melissa.

— Twój synek? — Cordelia słyszała, że Amerykanie nadają czasami dzieciom najdziwniejsze imiona, ale obdarzanie kogoś nazwą potrawy to już trochę przesada.

— Ma na imię Ervin — powiedziała Melissa — ale nazywamy go Pulpet, bo jest dosyć pulchny.

— Aha.

— Pewnie jak zwykle udaje, ale czy mogłabyś się dowiedzieć, o co chodzi?

— Mam zadzwonić do twojego domu?

— Zadzwon na komórkę niańki — powiedziała Melissa. — O, tu jest, pod N. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Cordelia poczuła gwałtowny przypływ irytacji. Czemu ta cholerna Melissa sama sobie nie sprawdzi, co się u niej dzieje, a jej nie pozwoli porozmawiać z Billem? Ale Melissa wcisnęła jej do ręki komórkę i już zmierzała w stronę korpulentnej figury prezesa, a jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, kiedy wyciągała do niego rękę.

— Krowa! — mruknęła Cordelia, wychodząc z telefonem z sali konferencyjnej, gdzie wszystko zagłuszał gwar rozmów.

— Pani Kravich? — Głos niańki brzmiał młodo.

— Nie — odparła. — Pracuję z Melissą. Prosiła mnie, żebym zadzwoniła.

— Wysłałam jej SMS-a — powiedziała niańka.

— Wiem. — Czy ta dziewczyna jest tępa czy co? — pomyślała. Z jakiej innej przyczyny miałabym do niej dzwonić?

— Pulpet zleciał ze schodów — powiedziała niańka.

— O Boże! Co z nim?

— Jest w szpitalu. Zatrzymali go na obserwacją, bo stracił przytomność. Ale teraz jest już OK, jest przytomny i chyba nic mu się nie stało.

— Powiem pani Kravich — powiedziała Cordelia. — Na pewno przyjedzie, jak tylko będzie mogła.

— Rano wypiszą go do domu — powiedziała niańka.

— Jest pani teraz w szpitalu? — zapytała Cordelia.

— Oczywiście, to moja praca. Jestem u państwa Kravichów na stałe.

Dziewczyna sprawiała wrażenie kompletnie roztrzęsionej. I pewnie była, pomyślała Cordelia. Najwyraźniej Pulpet zleciał ze schodów w czasie, kiedy miała się nim zajmować. A wobec cyrku, jakim były amerykańskie sądy, umierała pewnie ze strachu, że straci pracę i zostanie oskarżona przez rozwścieczonych pracodawców.

— Powtórzę pani Kravich — powiedziała do niańki. — A co z panem Kravichem?

Niańka parsknęła śmiechem.

— Jest w Puerto Rico.

— Wobec tego powiem pani Kravich. — Wyłączyła komórkę i udała się na poszukiwanie Melissy.

Jej szefowa nadal rozmawiała z Billem Dreyffusem, tłumacząc mu coś z ożywieniem. Podeszła do nich.

— Mogę zamienić z tobą słówko, Melisso? Melissa odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem.

— Czy to coś rzeczywiście ważnego?

— Co?

— To słówko? Czy to nie może poczekać kilka minut? — W jej pytaniu pobrzmiwała cała gama podtekstów.

— Chyba może — odparła niepewnie Cordelia.

— To zaczekaj chwilę — powiedziała Melissa. — Bo właśnie rozmawiam z Billem. — Spojrzała na prezesa. — Bill Dreyfuss, Cordelia Carroll, która u mnie pracuje. Niestety, ma lekką skłonność do panikowania

— Ja nie panikuję — ostro rzuciła Cordelia.

— Zaraz do ciebie przyjdę. — Głos Melissy zabrzmiał stanowczo. — Za moment.

— Dobrze. — Cordelia odeszła od nich i przystanąła w rogu sali. Wokół niej i w dole migotały światła miasta. To jedno z najbardziej tętniących życiem miejsc na świecie, pomyślała. Tętniących życiem, podniecających i... interesownych. Nagle dotarło do niej, jak cholernie wszyscy są tu interesowni. Melissa Kravich przed chwilą uznała, że ważniejsza jest rozmowa z

Billem Dreyfussem niż wiadomość o zdrowiu synka. Cordelia wyobraziła sobie małego Pulpeta w szpitalu, z niańką, płaczącego i wołającego mamę, która zajada w najlepsze przystawki i popija szampana.

A może nie, pomyślała z goryczą. Może małemu Pulpetowi jest lepiej z nianią, którą i tak pewnie zna lepiej niż swoją matkę. Może jest mu absolutnie wszystko jedno, czy Melissa jest z nim czy nie.

Oparła się o okno i zaczęła rozmyślać o tym, jak by się czuła, gdyby stała tu i wiedziała, że gdzieś tam jej dziecko jest w szpitalu i potrzebuje matki. Całe szczęście, że w jej osobistych planach dzieci zajmują obecnie bardzo odległe miejsce. Teraz może sobie być twarda, kiedy tylko zechce, ale nie była wcale pewna, czy potrafiłaby gawędzić z jakimś prezesem, w czasie gdy jej dziecko znalazło się w szpitalu. Czy Dan opuściłby przyjęcie u Chathama, żeby być z chorym synkiem? Oczywiście, że tak. Wiedziała, że Dan ma miękkie serce, choć stara się uchodzić za twardziela. Czasami mówił nawet, że uważa biznes za zbyt bezlitosny i niehumaniczny.

On potrzebuje ludzi, pomyślała. Nie dorastał, tak jak ona, w kochającej się rodzinie. Jej rodzice byli oczywiście nadopiekuńczy w stosunku do swojej jedynaczki i oczywiście od czasu do czasu doprowadzali ją do szału. Wiedziała jednak, że jest najważniejszą osobą w ich życiu. Z Danem było inaczej. Powiedział jej, że jego rodzice rozstali się, kiedy był dzieckiem, i chociaż teraz żyją w dobrych stosunkach, przez długi czas tak nie było. Więcej o tym nie rozmawiali, czuła jednak, że tęsknił za stabilną rodziną. Właśnie dlatego będzie dobrym mężem, pomyślała. Dan nie zaryzykowałby rozpadu rodziny. A poza tym naprawdę popierał jej zawodowe ambicje.

— I co? — Melissa wyrosła obok niej, przywołując ją do rzeczywistości.

— Twój syn spadł ze schodów i został zabrany do szpitala — odpowiedziała. — Zatrzymają go tam na noc, żeby mieć pewność, ale wydaje się, że nic mu się nie stało.

— A Simone? — zapytała Melissa.

— Jaka Simone?

— Tak zwana niańka. Co ma na swoje usprawiedliwienie?

— Niewiele. Nie pytałam. Sprawdziłam tylko, czy z Pulpetem wszystko w porządku.

— Chyba sama zadzwonię. — Melissa wydawała się bardziej zirytowana niż zmartwiona. — Mogę zadzwonić do firmy kurierskiej. Niech mu wyślą trochę baloników albo coś w tym rodzaju.

— Nie chcesz go zobaczyć? — Cordelia spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Oczywiście — powiedziała Melissa. — Ale jest już dziewiąta i on pewnie śpi, więc to nie ma znaczenia, czy wpadnę teraz czy kiedy indziej.

Cordelia patrzyła na nią kompletnie osłupiała.

— Posłuchaj, Cordelio — tłumaczyła jej cierpliwie Melissa. — Może nie zdajesz sobie sprawy, jaki to ważny wieczór. To dla mnie jedyna okazja, by zadzierzgnąć więzi na gruncie towarzyskim. A Pulpetowi wszystko jedno, czy wyjdę już teraz, czy wpadnę do niego w drodze do domu.

— Wiem — mruknęła Cordelia.

— Ale nie podoba ci się to.

— To nie o to chodzi. — Cordelia spojrzała na nią zmieszana. — Ja po prostu... myślałam, że będziesz chciała wyjść jak najprędzej.

— Oczywiście, że chcę wyjść — powiedziała Melissa. — Ale nie przed końcem imprezy. Która, tak czy inaczej, potrwa jeszcze najwyżej jakieś pół godziny. — Poklepała Cordelię po ramieniu. — Szklany pułap nadal istnieje — powiedziała. — Być może udało nam się sprawić, że pękł w kilku miejscach, a jedna czy dwie osoby zdołały się przez te szczeliny przecisnąć, ale on naprawia się sam i jeśli chcemy pozbyć się go na dobre, musimy kołatać bez wytchnienia. Jeżeli wyjdę przed innymi, zostanie to źle odebrane.

— Może i tak.

— Na pewno tak — powiedziała Melissa. — I ty też musisz zdawać sobie z tego sprawę, jeżeli chcesz tu zostać.

Cordelia patrzyła za nią, jak przecina salę i obejmuje Ethana Blake'a, kolejnego przedstawiciela wyższej kadry kierowniczej. Ona zna ich wszystkich, pomyślała, ona nimi wszystkimi manipuluje! Zasługuje na to, by odnieść sukces. To nie fair, że nie może pójść teraz do chorego synka — tak przynajmniej uważa. Ale z drugiej strony to przerażające, że potrafi się zdystansować do swoich lęków.

Podziwiała Melissę. Bała się Melissy. Szanowała Melissę. Uśmiechnęła się do Mike'a, który spoglądał w jej stronę, i zaczęła się zastanawiać, czy któregoś dnia sama nie stanie się taka jak Melissa. A także, czy to wszystko jest tego warte.

Rozdział 21

Zapiekanka ziemniaczana

Duże wodniste ziemniaki, czosnek, masło, gęsta śmietana, utarty ser gruyere, utarty ser parmezan, starta gałka muszkatołowa, sól i pieprz.

Obrać i pokroić ziemniaki na cienkie plasterki. Oplukać. Przepolować ząbek czosnku i przeciętą powierzchnią natrzeć płytki półmisek. Posmarować półmisek masłem. Układać warstwami ziemniaki, śmietanę, ser gruyere, ser parmezan, gałkę muszkatołową i przyprawy. Zakończyć warstwą gruyera i parmezanu. Nakryć folią i zapiekać przez 1,5 godziny (zdjąć folię na ostatnie 20 minut).

Ash wiedziała, że śpi, i wiedziała też, że śni. Obudziła się wcześniej, około piątej, bo usłyszała, że Alistair wstaje z łóżka. Powiedział jej, że często wstaje o tej porze, bo kiedy budzi się wczesnym rankiem, przychodzą mu do głowy różne pomysły i jeżeli nie wstanie, żeby się nad nimi zastanowić, znowu zaśnie i o nich zapomni. Usłyszała, jak naciąga dres, a potem klnie pod nosem, bo uderzył się dużym palcem od nogi o łóżko. Później usłyszała, jak schodzi po schodach, cichutko — żeby jej nie przeszkadzać. Nie poruszyła się w łóżku; nie dała mu poznać, że nie śpi. Leżała przez chwilę na wznak, a potem poczuła, że dryfuje w strefę pomiędzy snem a jawą; że wie, gdzie jest, lecz w jej mózgu powstają obrazy, nad którymi nie potrafi zapanować.

Obrazy przedstawiające Julię. Jak na źle odtwarzanym filmie wideo, widziała swoją matkę przy furtce w ogrodzie, ubraną w czarny podkoszulek, spłowiałe niebieskie dzinsy i czarną skórzaną kurtkę. Śmiała się i machała do córki, a wiatr zwiewał jej na twarz ciemne kręcone włosy. Ash miała na sobie bladoróżowy trykot i włosy zaczesane do tyłu w schludny koński ogon, związany różową wstążką. Błagała Julię, żeby nie odchodziła, choć wiedziała, że i tak odejdzie. Czowała ciepło dnia, mleczną biel nieba z poranną mgiełką, wilgoć powietrza przesyconego zapachem kwitnących krzewów otaczających ogród.

A potem usłyszała warkot motocykla, gdy Tyke go uruchamiał, poczuła zapach oleju i benzyny, i chociaż nic nie widziała, wiedziała już, że wszystko pójdzie źle, i że bez względu na to, co zrobi, nie zdoła niczemu zapobiec.

Obudziła się nagle, w pełni przytomna. Serce biło jej jak oszalałe i była cała zlana potem. Powinnam była ją w jakiś sposób zatrzymać, pomyślała strwożona, otwierając szeroko oczy.

Mogłam ją przecież powstrzymać, gdybym się bardziej postarała. Mogłam urządzić awanturę albo udawać, że jestem chora, albo byle co... mogłam ją zatrzymać... Ale nie zrobiłam tego, bo wiedziałam, że jej twarz się wydłuży, oczy zajdą łzami i będzie musiała tłumaczyć Tyke'owi, którego kochała, że jej córka, ta cholerna egoistka, o którą tak dba, nie chce jej na nic pozwolić. Usiadła na łóżku i poczuła, jak puls rozsadza jej nadgarstki. To może być ten właśnie raz, pomyślała, cała roztrzęsiona. Ten jedyny raz, kiedy naprawdę dopadł ją atak serca, i umrze tutaj, w łóżku Alistaira, lecz zupełnie sama.

Jeden, pomyślała, zmuszając się do liczenia. Dwa. To nie była moja wina. Wszyscy mówią, że to nie moja wina, i mają rację. Byłam tylko dzieckiem! Trzy. Cztery. Pięć. Ale byłam dzieckiem znacznie bardziej wrażliwym niż moja matka. Czułam, że z Tykiem będą kłopoty. Wiedziałam, że to się nie może udać na dłuższą metę. I nie ochroniłam jej. Sześć. Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć. Powinnam była ją chronić. To ja byłam ta bardziej wrażliwa. To ja miałam się nią opiekować.

Objęła rękami kolana i oparła na nich głowę, a z oczu trysnęły jej gorące łzy. Przypomniała sobie sąsiadkę, Jeannie, która wybiegła z domu, jak tylko usłyszała pisk hamulców i odgłos zderzenia, i która niemal natychmiast zabrała ją do siebie, kazała jej wejść do domu i zostać w środku. A wszyscy na drodze od razu się domyślili, że to Julia miała jakiś wypadek, bo większość z nich uważała, że Julia od dawna sama się o coś takiego prosiła.

Ja też to wiedziałam, pomyślała Ash, ściskając rękami kolana. Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia stanie się coś strasznego, bo Julia otaczała się aurą nieszczęścia, tak jak inni otulają się nowym płaszczem.

Usłyszała skrzypienie schodów. To Alistair wchodził na górę. Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Powinna wstać, bo miała tego dnia zamówiony lunch i nie czas teraz na atak serca. Oczywiście, nie ma żadnego ataku, bo jej serce już zaczynało bić wolniej i przestała dygotać. Alistair nigdy się nie dowie, że było z nią tak krucho. Otarła oczy rogiem prześcieradła.

— Nie śpisz? — zapytał Alistair, wchodząc do pokoju. Spojrzała na niego.

— Właśnie się zbudziłam.

— Pomyślałem, że trzeba cię obudzić — powiedział. — Mówiłaś, że masz dziś lunch.

Pokiwała głową.

— Dzięki.

— Dobrze się czujesz? — Alistair przyjrzał jej się uważnie. — Wyglądasz okropnie.

— Wiem. — Ziewnęła. — Miałam zły sen. Ale już wszystko w porządku.

— Na pewno? — zapytał.

— O tak.

Usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem. A potem delikatnie popchnął ją z powrotem na łóżko.

— Mam dobre lekarstwo na koszmary — powiedział.

— Naprawdę?

— Oczywiście. — Przeciągnął palcem po jej twarzy, szyi i między piersiami. — To stu-procentowy pewniak.

Uśmiechnęła się do niego.

— To z pewnością wspaniale lekarstwo. Ale nie tego ranka, Alistair.

— Mam czas — powiedział. — I ty też masz czas. Panikujesz, że powinnaś już gdzieś tam być, ale dobrze wiesz, że jest jeszcze mnóstwo czasu.

— Wiem. — Zadrżała, gdy musnął ustami czubek jej sutka.

— A widzisz! — powiedział, ściągając z niej prześcieradło. — Już lepiej.

— Może. — Leżała na plecach z zamkniętymi oczami.

— Kocham twoje ciało — ciągnął dalej, zdejmując spodnie od dresu. — Kocham sposób, w jaki twoje piersi mieszczą mi się w rękach. W jaki twój brzuch wznosi się i opada. Kocham złoty trójkącik między twoimi udami, i twoje nogi, i twoje kostki, i twoje palce od nóg.

— Dziękuję. — Znowu otworzyła oczy.

Alistair leżał na niej i całował ją w czoło. W czubek nosa. W ramię. A potem ucałował kolejno każdą pierś.

— Alistair... nie tego ranka. Ale on jakby jej nie słyszał.

— Proszę — powiedziała głośniejszym głosem. Podniósł na nią oczy.

— O co chodzi?

— Nie dziś rano — powtórzyła. — Ja... ja teraz nie mogę.

— Nie bądź głupia. — Znowu nachylił się nad jej piersią.

— Mówię serio! — Głos jej zabrzmiał ostrzej, na poły gniewnie. Usiadła.

— Rany boskie, co się z tobą dzieje? — zapytał.

— Miałam zły sen — powiedziała. — Jestem przygnębiona. Nie mam ochoty.

— Ash, sen mara, Bóg wiara — stwierdził. — Poza tym już się obudziłaś. Więc zapomnij o nim i pomyśl raczej o tym, co dzieje się w tej chwili.

— Myślę o tym.

— No, chodź. — Alistair delikatnie pogłaskał ją po brzuchu, bo wiedział, że to lubi.

— Przepraszam. — Poderwała się. — Nie mogę się odprężyć. Nie dziś. Naprawdę nie mogę.

— Ash!

— Naprawdę. — Wygramoliła się z pościeli. — Nie mogę i już, Alistair. — Stała po przeciwnej stronie łóżka. Oczy miała pociemniałe z niepokoju i potargane włosy. — Nie dotykaj mnie! — powiedziała.

— Nie będę cię dotykał. — Alistair był wyraźnie zły. — Za kogo ty mnie właściwie uważasz? Jaki według ciebie jestem?

— Nie wiem, Alistair — powiedziała szybko. Popatrzył na nią, a ona zobaczyła, że zaciśnięta zęby.

— Bardzo ci dziękuję, Ash. Poznaliśmy się jeszcze przed Bożym Narodzeniem, chodzimy ze sobą od paru miesięcy, a teraz się dowiaduję, że nic o mnie nie wiesz. To cudownie.

— Przepraszam. — Włożyła szybko podkoszulek. — Nie chciałam cię zdenerwować.

— Ach tak? Czyli wszystko w porządku, prawda? — W jego głosie zabrzmiała tłumiona furia. — Właściwie oskarżasz mnie o próbę gwałtu, ale nie chciałaś mnie zdenerwować!

Ash była przerażona. Nie przypuszczała, że poczuje się tak dotknięty.

— Przepraszam — powtórzyła. — Tak mi przykro, Alistair. Zapomniałam się na chwilę. To był taki straszny sen, a ja... Przecież wiesz, że za nic na świecie nie chciałabym cię urazić. Przepraszam.

— Za późno na przeprosiny, Ash — powiedział z gniewem. — Dobrze wiesz, że byłem wyjątkowo cierpliwy. Nie popędzałem cię, nie naciskałem ani nic z tych rzeczy. Większość facetów na moim miejscu już dawno by cię rzuciła. Dziewczyne, która nawet nie chce wpuścić swojego chłopaka do mieszkania! Ale mówiłaś, że masz pewne „opory”, a ja to uszanowałem. Co więcej, poczułbym się jak jakiś potwór, gdybym próbował wywierać na ciebie presję. Więc nie próbowałem. Ale tego już za wiele. Zdecydowanie za wiele.

— Ale...

— Dobrze wiesz, że mógłbym mieć każdą kobietę, jaką tylko zechcę. Każdą. A odkąd zaczęliśmy ze sobą chodzić, też trafiło mi się kilka okazji. Ale z żadnej nie skorzystałem. Bo zależało mi na tobie. Nawet z tymi twoimi idiotycznymi obsesjami.

— Nie mam żadnych idiotycznych obsesji — uniosła się Ash.

— Właśnie, że masz! — wykrzyknął. — Kto zawsze musi mieć tylko jedną kostkę lodu w swoim drinku? Kto nie tknie herbaty, jeżeli najpierw nalano do filiżanki mleka? A ta kretyńska potrzeba, żeby wziąć świeży ręcznik za każdym razem, kiedy bierzesz prysznic? Jezu, Ash, ile razy u mnie nocujesz, kosz na brudną bieliznę pęka w szwach od ręczników, którymi się raz wytarłaś!

— Lubię mieć jedną kostkę lodu — powiedziała.

— A herbata? A te ręczniki?

— Powiedziałam ci o tym, żebyś mnie lepiej zrozumiał — broniła się Ash. — Nikomu innemu o tym nie mówiłam. Chyba to coś dla ciebie znaczy?

— Nie mam już na to siły — powiedział Alistair. — Chcę normalnego związku z kimś, kto lubi się zabawić, kto się upija i w wolnym czasie nie zajmuje się wyłączaniem urządzeń domowych z kontaktu. Z osobą, która nie jest kompletną dziwaczką.

Zadrzała. Nie znosiła, gdy nazywano ją dziwaczką.

— Już ci mówiłam, że jest mi przykro — powiedziała. Lubiła Alistaira. Nawet bardzo. Nie chciała się z nim kłócić.

— To nie wystarczy, Ash — powiedział z naciskiem. — Miałaś szansę, ale ją schrzaniłaś. Ta twoja kombinacja wrażliwości z pewnością siebie przez jakiś czas nawet działa, ale potem zaczyna być męcząca. A ja jestem już tym wszystkim cholernie zmęczony.

Patrzyła na niego, a piwne oczy wydawały się olbrzymie w jej bladej twarzy. I nagle dotarło do niej, że to jest właśnie to. Alistair zamierza z nią zerwać. Stało się w końcu to, przed czym próbowała się uchronić przez całe życie. Ziścił się jej największy koszmar. A ona nie mogła nic zrobić, by temu zapobiec.

Poczuła, że ma sucho w ustach, i pomyślała, że zaraz się pochoruje.

— Przesadzasz — wychrypiała. — Naprawdę przesadzasz.

— Nie, nie przesadzam — powiedział z zaciętą miną. — Nie jestem jakimś rekwizytem, Ash. Jestem człowiekiem i mam swoje uczucia. Ale jeżeli chodzi o ciebie, ich pokłady już się wyczerpały.

— Miałam koszmar — powtórzyła. — Przeraziłam się. To wszystko.

— Ash, kiedy ci na kimś zależy, a ten ktoś przychodzi do ciebie, żeby cię pocieszyć po koszmarze, prawidłowa reakcja nie wygląda tak, że odskakujesz od niego i zabraniasz mu się do siebie zbliżyć — powiedział. — Musisz dorosnąć. A ja muszę pójść dalej własną drogą.

Jeżeli pozwolę mu na to, by ze mną zerwał, będę cierpiała, myślała gorączkowo Ash. Jak ja sobie z tym później poradzę? Będę płakać po nocach. I nie będę w stanie pracować jak należy. On nie może ze mną zerwać. Nie może i już!

— Alistair... Alistair westchnął.

— To już koniec. Naprawdę. Więc najlepsze, co możesz teraz zrobić, to ubrać się i wyjść.

Obciągnęła w dół podkoszulek.

— Nie — powiedziała. — Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz ze mną zerwać.

— Właśnie to zrobiłem — oznajmił Alistair.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Ash stała przy łóżku jak skamieniała. On nie może mówić tego serio, powiedziała sama do siebie. Nie może. Kocha mnie. Przecież sam mi to powiedział.

Sięgnęła po dzinsy i ubrała się. Może Alistair jeszcze zmieni zdanie. Jeżeli tak, mogą znów gdzieś wyjść, a następnym razem to ona będzie mogła powiedzieć „do widzenia”. I robi to tak, jak zawsze to robiła — chłodno i spokojnie. Nie w gniewie. Bez krzyków. Umie przecież robić to tak, by dać mężczyźnie do zrozumienia, że jest jej przykro, że musiała z nim zerwać. Może też będzie już wtedy wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Skończyła się ubierać i zeszła na dół. Alistair siedział w kuchni, przy stole, na którym stał otwarty laptop.

— Ja naprawdę bardzo cię lubię — odezwała się. Spojrzał na nią.

— Mam ci być za to wdzięczny?

— Ja się z tobą nie umawiałam — powiedziała. — To ty mnie pierwszy zaprosiłeś.

— I co z tego?

— Czyli to ty mnie chciałeś, a nie ja ciebie.

— Ash, jesteś potwornie głupia. Nie chodzi o to, kto chce, a kto nie chce. Ani o to, kto kogo zaprasza. Chodzi o przyjaźń. O to, żeby się wszystkim dzielić.

— Przecież moglibyśmy robić to wszystko — powiedziała. Alistair pokręcił głową.

— Też tak myślałem. Ale teraz już wiem, że nie. Musiałabyś się zmienić, Ash, a boję się, że to nigdy nie nastąpi.

Dlaczego wszyscy uważają, że powinna się zmienić? Co w niej jest nie tak?

— Nie kochasz mnie? — zapytała.

— Nie. — Spojrzał na nią z żalem. — Choć tak myślałem. Ale cię nie kocham. Wybacz, Ash.

Wzięła torbę i przewiesiła ją sobie przez ramię.

— Do widzenia, Ash — powiedział Alistair. Ale ona nie była w stanie nic więcej powiedzieć.

Ash stała w kuchni u Barnesa i Little'a i nagle dotarło do niej, że nie kupiła połowy składników, które będą jej potrzebne do przyrządzenia lunchu. Miała je wszystkie starannie wypisane na każdym przepisie i kupowała je za każdym razem w tej samej kolejności, odkreślając te, które już kupiła. Dziś jednak tak nie zrobiła. Chodziła po sklepach jak zaczadzona, a serce waliło jej tak głośno, że musieli to słyszeć pozostali klienci. Bała się też panicznie, że zemdleje. Myślała o ludziach od Barnesa i Little'a czekających na obiecany lunch. Jak by się wszyscy poczuli, gdyby się nie pojawiła.

Alistair miał rację, pomyślała, grzebiąc w plastikowej torbie i zastanawiając się, czemu, na Boga, kupiła tuzin mango i ani trochę gruyère'a do ziemniaczanej zapiekanki. Chyba na głowę upadła. Michelle także miała rację. Była dziwaczką jako dziecko i pozostała dziwaczką. Jedynego mężczyznę, jaki jej się naprawdę podobał, potraktowała jak zbiegłego kryminalistę. Nic dziwnego, że się zdenerwował. I nic dziwnego, że z nią zerwał.

Mimo to jakoś trzymam się na nogach, powiedziała sobie, korygując w myślach menu na ten lunch. I wcale nie zemdlałam. Nie upadłam. Nie miałam ataku serca. Zrobiła za to z siebie kompletną idiotkę, czego dotąd nie miała w zwyczaju. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę płaszczyła się przed Alistairem. Nie upadła, to fakt, ale mimo wszystko była godna politowania.

Alistair siedział przy komputerze i z gniewem uderzał w klawisze. Zmarnował sześć miesięcy życia na Ash O'Halloran. Na kogoś, kto nie traktował go z takim szacunkiem, na jaki zasługiwał. Na kogoś, komu udało się zbliżyć do niego na tyle, że zdołał go zranić. Pozwolił jej na to, bo nie traktowała go jak faceta, który może wejść do sklepu i kupić, co tylko zechce, nie pytając o cenę. Nie tak, jak te dziewczyny poznawane na promocjach, które uśmiechały się, kładły mu ręce na ramiona, ocierały się o niego i śmiały z jego żartów. Przeglądając pocztę elektroniczną, pomyślał, że tak to jest z dziewczynami, które nie uważają za zaszczyt spotkań z mężczyzną, który właśnie, oprócz swojego audi TT, zamówił sobie najnowszy model mercedesa limuzyny. Następna dziewczyna, z którą się umówi, na pewno go nie odepchnie, kiedy

będzie miała koszmary. Następna dziewczyna, z którą się umówi, z całą pewnością nie będzie niczego udawać podczas ich pierwszej nocy.

*

Bajgiel zwymiotował na podłogę w salonie. Za każdym razem, kiedy miał w brzuchu kulkę z futra albo zjadł jakieś obrzydlistwo poza domem (Ash nigdy tak naprawdę nie chciała wiedzieć, co to za obrzydlistwo), chorował na żołądek. Zwymiotował na schludną kupkę obok jej komputera, a potem zrobił jeszcze małą kałużę przy drzwiach do kuchni.

Ash nałożyła żółte gumowe rękawice i marszcząc nos, zaczęła po nim sprzątać. Podłoga z naturalnego drewna miała tę wielką zaletę, że dała się łatwo wytrzeć, ilekroć zdarzyło mu się zwymiotować.

— Co ci jest? — zwróciła się do kota. Bajgiel przytruchtał do miski i spojrzał na nią wyczekująco. Nałożyła mu do miseczki niewielką porcję kocięj karmy, a on rzucił się na jedzenie, pomrukując ze szczęścia. Miała nadzieję, że znowu się nie pochoruje. Alistair nie polubiłby Bajgla, pomyślała. A Bajgiel nie polubiłby Alistaira. Była tego pewna.

Oparła się o blat i nagle poczuła się strasznie samotna. A przecież nigdy dotąd nie czuła się samotna. Co najwyżej chora lub przerażona, a od czasu do czasu musiała sięgnąć po papierową torbę, ale nigdy nie czuła się samotna. Mam dwadzieścia dziewięć lat, pomyślała. Powinam była już się z tym uporać. Dlaczego nie potrafię dać się ponieść fali jak Jodie? Czemu nie mogę mieć tej pewności co Michelle?

Otworzyła okno. Bajgiel wskoczył na parapet, a ona nagle zaczęła żałować, że nie potrafi żyć w stylu Bridget Jones — niepoważnie, chaotycznie i bez planu. Że nie jest bardziej podobna do tych dziewcząt, które nic innego nie robią, tylko próbują złapać i utrzymać mężczyznę swoich marzeń, i których głównym zajęciem jest przeglądanie kolorowych czasopism i pytlowanie na temat pryszczycy, diety oraz trwałych podkładów pod makijaż. A robią to w towarzystwie najlepszych przyjaciółek, z którymi dzielą mieszkanie zapuszczone jak chlew. Powinna wieść takie życie, by musiała przerzucić stos niewypranych podkoszulków, chcąc znaleźć coś, w co mogłaby się ubrać w piątkowy wieczór. Życie, w którym wracałaby do domu pijana w sztok, po przebalowanej nocy, i waliłaby się w stroju wizytowym na łóżko. Życie, w którym miałyby mnóstwo wyjściowych kreacji! W którym nienawidziłaby swojej pracy i swojego szefa i spędzałaby cały czas w biurze, surfując po Internecie i wyszukując strony astrologiczne, z których by się dowiadywała, że jest czuła, kochająca i miła i idealnie pasuje do mężczyzny

spod znaku Byka. Życie, w którym zawsze wszystko dobrze się kończy. Bo czy nie tak żyją kobiety w dzisiejszych czasach? I czy nie tego naprawdę chcą mężczyźni?

A ja tymczasem jestem jakąś psychiatryczną dzikuską, pomyślała, która mieszka z kotem, co noc zmywa starannie swój skąpy makijaż i ma straszliwy problem, bo jedyny naprawdę miły facet, jakiego spotkała, może skłonić ją do zrobienia czegoś, czego tak naprawdę nigdy w życiu nie zamierzała robić!

Poza tym nie ma zielonego pojęcia, jak to wszystko rozegrać, żeby doprowadzić swoje sprawy do szczęśliwego końca.

Rozdział 22

Zupa minestrone

Świeża fasola cannellini, cebula, oliwa z oliwek, szynka parmeńska, pokrajane w kostkę marchewki, groszek, pomidory, kapusta, liść laurowy, listki bazylii, małe opakowanie makaronu, sól, pieprz, bulion.

Zeszklić cebulę i czosnek na oliwie z oliwek. Dodać szynkę parmeńską, warzywa i zioła (z wyjątkiem bazylii). Zalać odcedzonym wywarem, doprowadzić do wrzenia, gotować przez godzinę. Dodać bazylię, gotować przez kolejne 10 minut. Doprawić do smaku.

Kiedy zadzwonił telefon, Jodie była w łazience i wykonywała właśnie własną wersję *I Will Always Love You*. Pospieszyła do maleńkiego saloniku i zaczęła zrzucać z sofy poduszki, próbując zlokalizować komórkę. Miała zwyczaj zostawiać ją w miejscu, w którym skończyła rozmawiać. Drapiąc się w nos, próbowała sobie przypomnieć, gdzie była, kiedy odebrała ją ostatnim razem, a potem podeszła do stojącego w rogu pokoju kosza z praniem i zaczęła przetrząsać kolekcję bielizny.

— Mam! — Wyciągnęła telefon i wcisnęła guzik. — Cześć, to ja.

— Cześć, Jodie.

— Alistair! Jak się masz — nie odzywałeś się przez całe wieki.

— Wiem. Przepraszam.

— Ha! — prychnęła, ale się uśmiechnęła. — Jesteś ostatnio za bardzo zajęty moją szefową, żeby o mnie pamiętać.

— Nie — powiedział. — Jestem zajęty opracowywaniem nowego systemu, który przyćmi wszystkie inne i wyniesie mnie na wyżyny. Trafię do ligi, przy której Bill Gates będzie wyglądał jak ostatni nędzarz.

— Jedno trzeba ci przyznać. — Jodie zauważyła drut wystający z jej ulubionego białego stanika i zmarszczyła brwi. — Nisko to ty nie mierzysz.

— Znasz mnie. Zawsze sięgałem zbyt wysoko — powiedział.

— Dotąd ci się udawało. — Wetknęła komórkę między ramię a ucho i podniosła stanik. Cholera, jak to się stało, pomyślała. Jeżeli to dlatego, że Chris uparł się którejs nocy, żeby go ze mnie zerwać, zabiję tego osła!

— Szczerze mówiąc, chciałem porozmawiać z tobą o twojej szefowej — powiedział Alistair.

— Ha!

— Ha?

— Czuję, że nie zadzwoniłeś do mnie po to, żeby pogadać o przepisach obowiązujących w sieci i tym podobnych — stwierdziła Jodie. — Pewnie chodzi o seks.

— Nie o seks — powiedział. — Słowo daję, Jodie!

— No to o co? — Pociągnęła za drut i westchnęła, gdy wyslizgnął się z materiału. Jedy-ny naprawdę świetny stanik zniszczony, pomyślała z goryczą. Zamorduję tego Chrisa! A potem przypomniała sobie, jak było, i uśmiechnęła się. A może i nie zamorduję.

— Chciałem cię ostrzec — powiedział.

— Ostrzec? Mnie?

— Zerwaliśmy ze sobą.

— Och, Alistair! — wykrzyknęła i rozsiadła się wygodnie, szykując się na dłuższą pogawędkę. — Jak to się stało, na Boga? Co ona ci powiedziała? Że jej na tobie naprawdę zależy, ale nie jest jeszcze gotowa na trwały związek? To jej ulubiona śpiewka. A może powiedziała, że to na nic, bo nie macie ze sobą zbyt wiele wspólnego?

— To nie ona ze mną zerwała — wyjaśnił Alistair. — To ja z nią zerwałem.

— Alistair! — Głos Jodie wzniósł się do krzyku. — Z Ash się nie zrywa.

— Tak uważasz? — zapytał. — Cóż ona znowu ma w sobie takiego, do kurwy nędzy, że jeszcze nikt z nią nie zerwał?

— Właściwie nic — przyznała. — To ona nie pozwala nikomu ze sobą zerwać. Zawsze pierwsza robi ten ruch.

— Ale nie tym razem. Tym razem to ja poczułem, że w zasadzie mam jej już dość.

— W zasadzie?

— Nie — poprawił się. — Absolutnie. Mam jej dość, Jodie. O Jezus, jaka ona była trudna. Sprawiała wrażenie, jakby przez cały czas bardziej nas obserwowała, niż brała w tym wszystkim udział.

— Co?

— No wiesz, jakby sobie to wszystko zaplanowała. Śmiała się i uśmiechała, i kochała się ze mną, ale ciągle miałem wrażenie, że nie uczestniczy w tym nawet na pół gwizdka.

— Wydaje mi się, że jesteś wobec niej trochę niesprawiedliwy — powiedziała Jodie.

— Ja tak nie uważam. — Alistair westchnął.

— Więc co się stało? — zapytała Jodie.

— Och, dostała dziś rano ataku hysterii, kiedy próbowałem się z nią kochać.

Jodie zachichotała.

— Tak samo jak ja, kiedy próbowałeś ze mną.

— Miałaś wtedy zaledwie osiemnaście lat — przypomniał jej. — I było całkiem zabawnie.

— Dziękuję — rzuciła sucho.

— Ach, daj spokój. — Alistair jęknął. — Jesteś moją przyjaciółką, Jodie. Proszę, przestań się dąsać. To było tak dawno temu.

— Dobrze — powiedziała. — Ale tylko dlatego, że od dawna jestem z kimś związana. ,

— Szczęściara z ciebie — stwierdził z goryczą.

— Może dla Ash to nie był odpowiedni dzień w miesiącu albo coś w tym rodzaju — powiedziała. — To znaczy wiem, że jesteś obdarzony zabójczym samczym wdziękiem i tak dalej, ale może ona po prostu nie miała ochoty.

— Brak ochoty to jedno — powiedział. — Ale wyskakiwanie z łóżka i wrzaski, żebym jej nie dotykał, to już całkiem inna sprawa.

— Chyba żartujesz!

— Ani trochę. — Alistair pomasaował sobie kark. — Powiedziała, że miała koszmary i dlatego jest taka spięta, ale to był tylko wykręt, Jodie. Ona mnie wcale nie kocha. Ona nie kocha nikogo prócz samej siebie.

— Och, Alistair, nie jest aż taka zła.

— Nie było cię tam — powiedział Alistair.

— Chyba to byłoby chore, gdybym była — stwierdziła Jodie.

— Tak naprawdę ona nigdy mnie nie kochała — powiedział. — Wiem na pewno, że kilka razy udawała w łóżku.

— Alistair!

— Tylko ona udawała — dorzucił pośpiesznie.

— Skąd wiesz?

— Udaje wtedy, kiedy najgłośniej jęczy i wzdycha. Jodie roześmiała się.

— Jesteś tego pewny?

— Pewny nie — przyznał — ale prawie pewny.

— Tak mi przykro. — Jodie westchnęła. — Miałam taką nadzieję, że wam się uda.

— Ja też tak myślałem. Ale z perspektywy czasu może to i lepiej. Mam swoje życie, Jodie. I jestem bardzo zajęty. A ona je tylko komplikowała. Teraz będę mógł spokojnie popychać swoje interesy i nie będę się musiał nią przejmować.

— Mimo to szkoda — stwierdziła Jodie.

— Owszem. — Alistair zaśmiał się. — Łatwo przyszło, łatwo poszło.

— Może chcesz wpaść? — zaproponowała.

— Dzięki, ale nie — powiedział. — Jestem w takim nastroju, że mógłbym znów się na ciebie rzucać, Jodie. Chcę tej nocy posiedzieć w domu i skupić się przez kilka dni na pracy. A potem może pojedę do Paryża albo gdzie indziej. Żeby się zabawić z paroma farbowanymi blondynkami.

Jodie roześmiała się.

— Czyli nie złamała ci serca?

— Nie — odparł. — Ale nie był to zbyt miły dzień.

— Rozumiem. — Jodie westchnęła. — Dziękuję, że mi powiedziałeś.

— Och, pomyślałem sobie, że tak będzie lepiej. Chciałem cię też ostrzec, że następnym razem, kiedy się będziecie widziały, może dość nieuważnie obchodzić się z nożem.

— Masz na myśli samobójstwo? — zapiszczała Jodie.

— Nie, ty kretynko. Tylko to, że może być rozkojarzona!

— Znajdziesz sobie kogoś innego — pocieszyła go Jodie. — Kogoś znacznie lepszego niż Ash.

— Pewnie tak — zgodził się. — Ewentualnie. Ale jedno, co było w niej dobre, to że miała w nosie pieniądze, firmę i tę całą resztę. Traktowała mnie jak normalnego człowieka.

— Bo jesteś normalnym człowiekiem — powiedziała Jodie. — To ona jest idiotką. Poza tym nie powiedziałabym, że jej nie zależy na pieniądzach. Kiedy przychodzi do zgarniania zysków, staje się bardzo uważna. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że siedzi teraz w domu i przeklina się w duchu za to, że pozwoliła, by miliony Brannigana przeszły jej koło nosa.

— Ty to potrafisz mówić same miłe rzeczy — zauważył Alistair.

— Robię, co mogę — zapewniła go Jodie.

Ash stała w kuchni i zaglądała do garnków na płycie. Było ich cztery i w każdym już coś się gotowało. Kuchnię wypełniał aromat pomidorów, ziół i grzybów. Zupełnie gotowała, ilekroć była przygnębiona, a dziś była bardzo przygnębiona. Nie potrafiła powiedzieć, jak bardzo, ale nigdy dotąd nie była aż tak załamana, by ugotować aż cztery spore garnki. Podniosła pokrywkę na garnku z minestrone i zaczęła się zastanawiać, czy ma wystarczającą liczbę pojemników, by ją później zamrozić. To wyjątkowy idiotyzm, powiedziała sobie, żeby gotować zupełnie, kiedy na dworze jest ciepło. Ash nigdy nie podawała zupy latem. Gdyby była przy zdrowych zmysłach, przygotowałaby chłodnik. Ale ona nie potrafiła dziś myśleć logicznie. To takie dziwne uczucie nie móc myśleć logicznie. Zazwyczaj mogła. Ale tej nocy było inaczej. Tej nocy była dziewczyną, z którą zerwał jej chłopak.

Dan leżał na sofie z nogami przewieszonymi przez oparcie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Wzdrygnął się i głośno jęknął. Miał dziś taki ciężki dzień. Siedział do późna w biurze i jeszcze nie zdążył ochłonąć. Nie spodziewał się też nikogo i nie chciało mu się podnosić z tak wygodnej pozycji. Odczekał chwilę z nadzieją, że ktokolwiek to był, zniechęci się i w końcu sobie pójdzie.

Dzwonek zadzwonił jednak po raz drugi, tym razem bardziej natarczywie. Dan westchnął ciężko, wygramolił się z sofy, wyszedł boso do holu i otworzył drzwi.

— Cordelia! — Popatrzył na nią zaskoczony, świadom przykrego ucisku w dołku. Co ona tu robi, taka poważna i zmęczona? Otworzył drzwi trochę szerzej i zobaczył małą walizkę.

— Wróciłaś na dobre? — zapytał.

— Nie bądź głupi. — Uśmiechnęła się, a jego z miejsca przestało ścisnąć w dołku. — Mike potrzebował kogoś, kto pojechałby na kilka dni do dublińskiego biura, więc się zgłosiłam na ochotnika.

— Nic mi nie mówiłaś!

— Dowiedziałam się dopiero wczoraj i pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę.

— I udało ci się. — Dan mocno ją uściskał. — To najmiłsza niespodzianka od wielu miesięcy.

— Wniosek z tego, że musisz wieść dość ponure życie. — Objęła go i zaczęła całować w szyję.

— Bardzo ponure — zapewnił ją Dan. — Tak ponure, że nawet byś nie uwierzyła.

Wciąż obejmując Cordelię, sięgnął drugą ręką po walizkę i wniósł ją do holu.

— Tęskniłeś za mną?

— A jak myślisz?

Prowadząc ją do salonu, pomyślał, że jeśli o nią chodzi, liczy się wszystko. Jej wygląd, prezencja i perfumy, których używała. Jej stanowczość w odniesieniu do wszystkiego, i to, że dzięki niej też poczuł się stanowczy. A także sposób, w jaki delikatnie wodziła rękami po jego ciele, wywołując eksplozję pożądania.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem — powiedział.

Nie chciało im się nawet wchodzić na górę. Cordelia poprowadziła go do salonu i przystanęła przed kominkiem.

— Stęskniłeś się za tym? — zapytała, zdejmując przez głowę bawełnianą bluzkę.

Dan skinął głową.

— A za tym? — Rozpięła biustonosz.

— Za wszystkim — przerwał jej i gwałtownie przyciągnął ją do siebie. A potem pomyślał, że nigdy w życiu nie kochał się z nikim tak, jak z Cordelią Carroll. Nie znał kobiety bardziej wymagającej, a zarazem obdarzonej większą inwencją, której sprawiałoby to równie wielką przyjemność jak jemu samemu, przez co robiło mu się jeszcze przyjemniej.

Później tej nocy, kiedy leżeli razem w łóżku, a głowa Cordelii spoczywała na jego ramieniu, Dan zaczął się zastanawiać, jak mógł kiedykolwiek wątpić w jej uczucia. Bo czasami tak było. Nachodziły go wtedy wątpliwości, czy aby Harrison, Mike Fuller, Melissa Kravich i DeVere Bassett nie znaczą dla niej więcej niż on.

— Nie bądź głupi — odparła leniwie, kiedy ją o to zapytał. — Oni dużo dla mnie znaczą, Dan. Ale nie są dla mnie wszystkim. — Uśmiechnęła się. — Fuzje i nabytki nie podniecają mnie tak jak ty. Czasami to podobne uczucie, ale to jednak nie to samo!

— Czy będziesz umiała zostawić to wszystko, żeby wrócić do mnie, do Irlandii?

— Oczywiście — odparła.

— A co z kolacją na cześć ostatniej kropki? — Dan odwrócił się i spojrzał na nią. — Myślisz, że uda ci się przyjechać na Sycylię, żeby wziąć w niej udział?

Cordelia westchnęła.

— Szczerze mówiąc, chyba nie, Dan, chociaż wiesz, że bardzo bym chciała. Ale jestem zajęta i...

— Rozumiem. — Delikatnie ją pocałował. — Ale byłbym szczęśliwy, gdybyś mogła być z nami.

— Żeby znosić szpile tej twojej cholernej siostrzyczki — zjadliwym tonem dopowiedziała Cordelia.

— Ona wcale tak nie myśli — powiedział.

— Owszem, myśli — upierała się Cordelia. — Ona mnie nie lubi, Dan.

— Ona... — urwał. Nie był w stanie dokończyć zdania, bo czuł, że między Bronwyn a Cordelią nie zaiskrzyło, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Z drugiej strony, jego siostra bliźniaczka na ogół nie lubiła jego dziewczyn.

Cordelia zachichotała.

— To nie ma znaczenia. Nie będę przecież z nią mieszkać.

— Poprosiłem Ash O'Halloran, żeby przygotowała dla nas tę kolację — powiedział.

— Co takiego? — Cordelia aż usiadła na łóżku.

— Poprosiłem Ash — powtórzył. — Było mi przykro, że nie przygotuje wesela, więc pomyślałem sobie, że...

— Na miłość boską, Dan! — Oczy Cordelii zapłonęły gniewem. — Przecież to tylko zwykła kucharka. I tak nie poradziłaby sobie z weselem, więc nie musisz czuć się winny. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak bardzo chcesz, żeby przygotowała tę kolację. A poza tym, w jaki sposób ona zamierza się tam dostać?

— Przyleci samolotem — odparł.

— A kto za to zapłaci?

— No... ja.

— Dan!

— O co chodzi? — zapytał.

— Powiedz mi, kurwa, co cię łączy z tą babą? — zaatakowała go Cordelia. — Dlaczego tak bardzo chcesz, żeby wam zrobiła tę kolację? Co ci się w niej tak podoba?

— Nic. — Dan spojrział na nią ze zdumieniem. — Lubię ją, oczywiście, ale nic między nami nie ma, Cordelio, jeżeli to masz na myśli.

— To cholernie podejrzana sprawa. To właśnie mam na myśli. — Cordelia przeczesła palcami swoje gęste włosy i wbiła w niego gniewny wzrok. — Ona jest kucharką do wynajęcia, a ty traktujesz ją jak przyjaciółkę.

— Bo uważam ją za przyjaciółkę.

— Chciałabym mieć takiego przyjaciela, który zabrałby mnie na wakacje na Sycylię — prychnęła ze złością.

— To nie są wakacje — zapewnił ją Dan. — Ona przyleci tam tylko po to, żeby nam ugotować.

— Nadal nie rozumiem, czemu nie możesz wziąć w tym celu kogoś innego.

— Jesteś zazdrosna? — Spojrział na nią ze zdumieniem. — Naprawdę nie ma o co, Cordelio. Ash i ja jesteśmy... chyba to właściwe słowo: platoniczni.

— Platoniczni! — zaśmiała się Cordelia. — Nie ma czegoś takiego.

— Jest — upierał się Dan. — Słowo daję. Lubię ją, ale to wszystko.

— Nie rozumiem dlaczego — powiedziała Cordelia. — Ona jest taka bezbarwna. Przyznam szczerze, nie rozumiem, jak w ogóle możesz się z nią dogadywać.

— Bardzo łatwo się z nią dogadać — powiedział. — Jest też naprawdę dobra w tym, co robi.

— Kucharka! — W głosie Cordelii zabrzmiała najwyższa pogarda. — To nie jest aż taka błyskotliwa kariera, prawda?

— Och, nie wiem — łagodnym tonem powiedział Dan. — A Delia Smith i Darina Allen?* Całkiem nieźle się urządziły, choć obie zaczynały jako kucharki.

* Delia Smith — angielska prezenterka popularnych programów kulinarnych w TV i autorka kilku bestsellerowych książek kucharskich; Darina Allen — założycielka słynnej szkoły kucharskiej w Irlandii, autorka książek kucharskich, gwiazda kulinarnych programów TV.

— Bo poszerzyły pole działania — powiedziała. — Spójrzmy prawdzie w oczy, Dan. Ta Smith nie schodzi z ekranu telewizora, a Darina Allen to cały jednoosobowy przemysł, żeby tylko wspomnieć jej wykłady, lody i Bóg wie co jeszcze. Czy twoja ukochana Ash idzie tą samą drogą?

— Raczej nie — odparł.

— Czyli brak wyobraźni — stwierdziła Cordelia. — Może to miła osoba — jestem pewna, że ona jest miła — ale nigdy do niczego nie dojdzie.

— Nie sędzę, żeby chciała. — Dan przypomniał sobie, jak odrzuciła pomysł prowadzenia restauracji albo napisania książki kucharskiej. — Ale może światu nie jest to wcale potrzebne, żeby wszyscy miotali się jak w ukropie i próbowali budować zwycięskie imperia.

— Jest potrzebne. — Cordelia znów położyła się obok niego. — Ale zgodzę się na tę kucharkę, jeżeli mi obiecasz, że nie tkniesz jej nawet palcem.

— Cordelio! — W głosie Dana zabrzmiało przerażenie. — Oczywiście, że jej nie tknę. Jeżeli chodzi o te rzeczy, ona nie wydaje mi się ani trochę atrakcyjna.

— To dobrze — mruknęła i wtoczyła się na niego. — Bo gdybyś to zrobił, byłabym tobą bardzo, ale to bardzo rozczarowana.

Rozdział 23

Dorsz na sposób śródziemnomorski

Filety z dorsza, masło, czosnek, cebula, pomidory i przecier pomidorowy, cukinie, majeranek, sól i pieprz.

Dusić czosnek i cebulę na oleju, dodać pomidory i cukinie. Ułożyć pokrajane w kostki filety z dorsza w naczyniu do zapiekanek, zalać sosem, piec w ciepłym piekarniku.

Jodie biegła po schodach na górę, mijając po drodze grupkę palaczy, którym zabroniono folgować swojemu nałogowi wewnątrz budynku. Była już dosyć spóźniona, co oznaczało zły początek dnia. Ash będzie się irytować, a ona dzisiaj tego nie zniesie. Oczywiście miała szczerzy zamiar przyjść wcześniej. Na tyle wcześniej, by poruszyć temat Ash i Alistaira oraz całej afery z zerwaniem. Niestety, jej precyzyjnie ułożone plany spelzły na niczym z powodu ciosu, jaki spotkał ją minionej nocy. Pociągnęła nosem i pchnęła odporne szklane drzwi. Początkowo myślała o tym, żeby zadzwonić i wymówić się chorobą, ale nie potrafiła tak zrobić, bo wiedziała, że zawiodłaby Ash. Mimo to naprawdę nie czuła się na siłach, by robić cokolwiek w tym dniu.

Wzięła od recepcjonistki identyfikator i przypięła sobie do zakietu. Ręce tak jej drżały, że musiała kilka razy próbować, nim zdołała zrobić to jak należy. Przeklęty Chris, pomyślała, czekając na przyjazd windy. Kawał skurwiela. Niech go piekło pochłonie.

Przełknęła ślinę. Z Chrisem chodziła już prawie od roku i była przekonana, że układa im się całkiem nieźle. Z nikim dotąd tak długo nie chodziła i z jej punktu widzenia, równie dobrze mogliby być starym dobrym małżeństwem. Kochała go. Tak przynajmniej myślała. A on tak często się z nią kochał! Ale ostatniej nocy wszystko wzięło w łeb. Zaczęło się od tego, że postanowiła wpaść do Alistaira, żeby zobaczyć, jak się trzyma po tym wszystkim. Nie dała się nabrać na jego żarciki na temat zerwania z Ash. Wiedziała też, że odkąd sprzedał Transysowi Archangela i zarobił masę pieniędzy, nie miał już tak wielu przyjaciół jak przedtem. A ci, których miał teraz, traktowali go inaczej. Ona jednak знаła go od dzieciństwa i nigdy nie zmieniła stosunku do niego. Dlatego zadzwoniła do Chrisa i powiedziała mu, że idzie zobaczyć się z Alistairem, po czym wyszła z domu.

Alistair nie był jednak w nastroju do rozmowy. Pracował, jak to tylko on potrafił, nad jakąś częścią projektu, i był nim całkowicie pochłonięty. „Zatraciłem się w pracy”, oznajmił z uśmiechem, a Jodie pokiwała głową i powiedziała mu, że się cieszy, że jest już OK. A potem pomyślała, że mogłaby zadzwonić od Alistaira do Chrisa i umówić się z nim w mieście na drinka, zdecydowała jednak, że wróci prosto do domu i weźmie gorącą kąpiel.

Ale kiedy przyszła do domu, Chris już tam był. Ze Stefanie. Jej współlokatorką fizjoterapeutką. Która robiła mu na dywanie w salonie takie rzeczy, jakich zdecydowanie próżno szukać w podręcznikach fizjoterapii.

Jodie patrzyła na nich, zbyt wstrząśnięta, by wierzyć własnym oczom. Coś takiego zdarza się w kinie, myślała gorączkowo. A także w książkach. Nie przypuszczała jednak, że może się to zdarzyć w rzeczywistości. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że można wrócić do domu i zastać osobę, którą się kocha (to znaczy, o której się myślało, że się ją kocha!), pieprzącą się na podłodze w salonie z twoją najlepszą przyjaciółką.

Z początku nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, a potem wpadła w szal — zaczęła ciskać w nich różnymi przedmiotami i przeklinać, używając języka, o jakim dotąd nie miała pojęcia. Kazała im wypierdalać z jej mieszkania i nawet nie dała Chrisowi czasu na założenie skórzanej kurtki, którą zostawił w kuchni. „A co z moimi rzeczami?” — zawodziła Stefanie, na co Jodie wrzasnęła, że odeśle je na jego adres.

A tak naprawdę nie miała zamiaru nigdzie odsyłać rzeczy Stefanie. Może je spali — tak jak wszystko, co należało do Chrisa. Czemu to zrobił? Dlaczego mu zaufała, uwierzyła w niego i troszczyła się o niego, a on przez cały czas miał chętkę na bardziej seksowną Stefanie? „Co

się dzieje z tymi mężczyznami?" — mruknęła, gdy winda zatrzymała się i drzwi otworzyły się z cichym westchnieniem. „Dlaczego wszyscy to takie skończone gnojki?"

Może jednak Ash miała rację, pomyślała, biorąc głęboki oddech przed wejściem do kuchni. Rzucaj ich, zanim oni cię porzucą. Nie angażuj się. Nie daj się zranić. Ona sama zdążyła już zapomnieć, co to za uczucie, kiedy ktoś cię zrani. Było jej żal Alistaira, kiedy jej opowiedział o Ash, bo wiedziała, że ją lubił, ale może powinna raczej współczuć Ash. W końcu Ash nie była przyzwyczajona, dostawać kosza, nawet jeżeli na to zasługiwała. Więc choć sama czuła się naprawdę okropnie, Ash czuła się pewnie tysiąc razy gorzej. Ale... — Jodie głośno przełknęła ślinę — ale Ash nie wróciła do domu i nie zastała Alistaira pieprzącego się z kimś innym. Dlatego ona, Jodie, miała prawo czuć się najgorzej ze wszystkich.

Pchnęła drzwi. Ash krajała w plastry cukinię. Jej ruchy były sprawne i oszczędne. Prędkość, z jaką potrafiła krajać i siekać, nieodmiennie napawała Jodie zdumieniem. Przypominała automat, gdy brała całą jarzynę i zanim biedna jarzyna zdążyła zaprotestować, siekała ją na równe kawałeczki wielkości kęsa.

— Przepraszam, że się spóźniłam — powiedziała Jodie, wieszając żakiet na drzwiach. Czowała, że głos jej się łamie.

— Nakryj lepiej do stołu. — Ash nawet na nią nie spojrzała.

— Dobrze.

— Dziś będzie ich tylko pięciu.

— A kogo brakuje? — Jodie zdołała już zapanować nad głosem.

— Nie wiem. — Ash odwróciła się do niej. — Ruszaj się, bo już niedługo tu będą.

— Jasne. — Jodie otworzyła szufladę ze sztućcami. — Co będzie na początek?

— Zupa minestrone — powiedziała Ash. — Wiem, że jest trochę ciepło, jak na zupę, ale...

— Mnie nic do tego — przerwała jej Jodie. — Ja jej nie będę jadła.

— Więc też uważasz, że jest trochę za ciepło na zupę? — Ash spojrzała na nią z niepokojem.

— Nie — odparła Jodie. Popatrzyła na Ash i pomyślała, że ta dziewczyna wygląda dokładnie tak samo, jak zawsze. Twarz ma jasną, nie ma oczu nabiegłych krwią i nie wygląda wcale, jakby jej świat się zawalił. Jak to możliwe? Widocznie ani trochę nie zależało jej na Alistairze. W przeciwnym razie miałyby na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać choć odrobinę gorzej.

Ash przyjrzała się Jodie.

— Źle się czujesz? — zapytała.

— Nic mi nie jest — burknęła Jodie. Chciała opowiedzieć Ash o Chrisie, chciała jej też powiedzieć, że wie o Alistairze, ale nagle poczuła, że nie jest w stanie rozmawiać ani o jednym, ani o drugim.

— Skoro jesteś tego pewna. — Ash wzruszyła ramionami. — Na główne danie jest dorsz — dodała, widząc, że Jodie wciąż grzebie w szufladzie ze sztuczkami — a na deser tarta cytrynowa i banany w cieście.

— Świetnie — mruknęła Jodie, po czym poszła do jadalni, żeby nakryć do stołu. Trochę jej ulżyło, że Ash, inaczej niż zwykle, nie ciosała jej kołków na głowie z powodu spóźnienia. Może w ten sposób objawia się jej cierpienie, pomyślała. Może wszystko się w niej burzy, choć nie wygląda na wzburzoną.

Łza spłynęła Jodie po policzku i rozbiła się o lśniący, wypolerowany blat. Wytarła ją lnianą serwetką. Gdyby tylko Chris nie zdradził jej z tą przymilną dzidirą, Stefanie, pomyślała, układając sztuczki przy każdym nakryciu. Tą Stefanie, która wprowadziła się do niej i wciąż powtarzała, jak cudownie się u niej mieszka. Która kupiła kilka nowych grafik na ściany i hodowała rośliny doniczkowe na okiennym gzymsie. Która zawsze wydawała się taka słodka, taka bezradna i zwyczajnie miła! Taka miła, że Jodie uwierzyła im, kiedy Chris jej powiedział, że jej współlokatorka, fizjoterapeutka, leczy jego bolące ramię! Jak mogłam być aż tak naiwna?, zapytała samą siebie, przestawiając szklanki na wodę. Jak straszliwie musiała być naiwna, jaka głupia i jaka tępa, żeby się nie zorientować, że to, co Stefanie od jakiegoś czasu masowała, nie było bynajmniej jego ramieniem! Zaczęła się zastanawiać, czy istnieje jakiś przepis, że fizjoterapeutom nie wolno wchodzić w bliższe związki z pacjentem. I czy mogłaby spowodować skreślenie Stefanie z listy fizjoterapeutów za to, co robiła z Chrisem. Ta myśl podniosła ją trochę na duchu i nawet zdołała uśmiechnąć się przez łzy. A potem przypomniała sobie, jak ciaskała w nich doniczkami, i nawet sprawiło jej to pewną satysfakcję. Kiedy wróciła do kuchni, Ash krajała paprykę.

— Wszystko gotowe? — zapytała.

Jodie skinęła głową. Patrzyła na Ash i zastanawiała się, czy płakała, kiedy Alistair powiedział jej, że to już koniec. Czy ją to w ogóle obeszło? Teraz, gdy zdrada Chrisa kłuła ją w serce przy każdym jego uderzeniu, była w stanie zrozumieć, dlaczego Ash traktowała mężczyzn w taki sposób.

Ash spojrzała na Jodie, zmarszczyła brwi, ale się nie odezwała. Po chwili obie usłyszały świst nadjeżdżającej windy, a zaraz potem głosy partnerów wchodzących do jadalni. Ash wyjęła z piekarnika bułeczki i położyła je na drucianym stelażu.

— Idź i nalej im drinka — powiedziała do Jodie.

— Wiem, co mam robić — ostro rzuciła Jodie. — Jak wiesz, nie robię tego po raz pierwszy.

Ash powiodła za nią zdumionym wzrokiem, a potem wstawiła dorsza do rozgrzanego piekarnika. Tego dnia nie miała ochoty rozmawiać z Jodie o jej niegrzecznym zachowaniu. Szczerze mówiąc, tego dnia w ogóle nie miała na nic ochoty.

Była wyczerpana i niewyspana, bo na przemian to drzemała, to budziła się przez całą noc, co w sumie okazało się bardziej męczące, niż gdyby w ogóle nie zmrużyła oka. O czwartej nad ranem wstała, popatrzyła na garnki zimnej zupy i znów zaczęła się zastanawiać, co z nimi zrobić. Postąpiła przez chwilę w kuchni na bosaka, potem opróżniła wszystkie szafki i dokładnie je wyszorowała, a na koniec poustawiała puszki i torebeczki na półkach w odpowiedniej kolejności. Wyglądało to dokładnie tak samo, jak przedtem. Pomyślała, że nie da się już zrobić większego porządku w jej szafkach.

Jodie i Ash nie miały czasu na rozmowy podczas lunchu. Ash zajęła się gotowaniem, a Jodie wpadała i wypadała z kuchni, próbując skupić się na tym, co robi. Ale tak naprawdę chciała być w domu, w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod brodę i po końskiej dawce dziennego programu telewizyjnego, wymyślać sposoby zemsty na Stefanie i Chrisie. Zaczęła się zastanawiać, czy nie dałoby się nałożyć Stefanie rozgrzewającej maści do słoiczka z kremem nawilżającym, zanim wywali jej klamoty. Jednak z żalem stwierdziła, że zapach mentolu i kamfory sprawiłby, że wszystko by się wydało. Ale musi być przecież coś, myślała, co można by zrobić, żeby ta oszustka, ta złodziejka, ta kłamliwa pinda dostała za swoje.

— O cholera, przepraszam! — Odwróciła się, nie patrząc, i wytrąciła Ash z rąk szklane naczynie ze świeżo zaparzoną kawą. Dzbanek roztrzaskał się przy zderzeniu z wykafelkowaną posadzką, a fala gorącej kawy zalała wszystko wokół. Jodie spojrzała z przerażeniem na Ash, w oczekiwaniu na tyradę, która musiała teraz nastąpić — na wykład o patrzeniu, gdzie się idzie, o zasadach profesjonalizmu, a wreszcie na kąśliwe uwagi o stłuczkach, odliczanych z zarobków. Widać było, że Ash już się wewnętrznie nakręca, bo jej piwne oczy patrzy zimno, a usta ma mocno zaciśnięte. Jodie odniosła straszliwe wrażenie, że się rozplacze, bez względu na to, co

Ash jej powie. A bardzo nie chciała przy niej płakać, bo Ash nie należy do osób, w których widok łez budziłby współczucie.

— Wszystko w porządku? — zapytała w końcu Ash.

— Tak.

— Nastaw następny dzbanek, a ja w tym czasie posprzątam — powiedziała.

Jodie stała bez ruchu, mrugając. Czekwała na atak, który miał nastąpić.

— Wszystko w porządku? — Ross Fearon wsunął głowę przez drzwi. — Słyszałem jakiś przeraźliwy huk. Nic wam się nie stało?

— Nie, Ross, wszystko w porządku. — Ash uśmiechnęła się do niego. — To tylko drobny wypadek z kawą. Zaraz zaparzę nową.

— Tym się nie przejmuj — powiedział Ross. — Myślę, że dobrze nam to zrobi, jeżeli przez jeden dzień powstrzymamy się od kawy.

— Ale...

— Naprawdę, Ash. A zresztą, na dole jest już duży ruch. Giędy odnotowały gwałtowne spadki cen, więc powinniśmy już być tam, a nie tu.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Dobrze. — Ash skinęła głową. — Mógłbyś poprosić Steve'a Proctora, żeby mi wysłał e-maila, jeżeli uzna, że powinnam sprzedać trochę akcji.

Ross uśmiechnął się do niej.

— Sama wiesz, jak to jest — powiedział. — Zawsze doradzamy ludziom, żeby trzymali akcje przez dłuższy czas, a nie sprzedawali ich w chwili krótkotrwałej zapaści.

— Prawdę mówiąc, zabrzmiało to tak, jakbym rzeczywiście powinna coś sprzedać, zanim stracę ostatnią koszulę.

Ross wzruszył ramionami.

— To już zależy od ciebie.

Zamknął drzwi. Jodie i Ash usłyszały, jak partnerzy wychodzą z jadalni.

— Przepraszam — powiedziała Jodie, sięgając po mopa. — To nie powinno było się zdarzyć.

— Wiem, że nie powinno było się zdarzyć — powiedziała Ash. — I ty też wiesz. Więc nie ma sensu mówienie ci tego po raz kolejny.

Jodie patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

— No, Ash, czemu po prostu na mnie nie nakrzyczysz, żeby to zamknąć raz na zawsze?

— To nie była twoja wina. — Ash pochyliła się, żeby pozbierać większe kawałki szkła.

— Ja też nie uważałam.

— Ale zazwyczaj to nie ma znaczenia — mruknęła Jodie. Ash popatrzyła na nią.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Jodie przełknęła ślinę. Żałowała, że w ogóle się odezwała. Teraz będzie musiała porozmawiać z Ash, a bała się, że nie potrafi, nie robiąc przy tym z siebie idiotki.

— Nic — powiedziała w końcu. — Tylko tyle, że jeżeli w kuchni coś pójdzie nie tak, to mnie na ogół obarczysz winą.

— To nieprawda. — Ash była przerażona.

— Prawda. — Głos Jodie zabrzmiał mocniej. — Jeżeli coś się nie udaje, winisz mnie, a nie siebie.

— Naprawdę tak uważasz? — Ash zaczęła machinalnie skubać warkocz.

Jodie pokiwała głową.

— Jeżeli rzeczywiście tak było, przepraszam — powiedziała Ash.

— Och, nie! — wykrzyknęła Jodie. — Nie rób tego!

— Ale czego? — Ash spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Nie bądź dziś dla mnie miła! Nie mogę tego znieść, żeby ktoś był dziś dla mnie miły. Bądź sobą, bądź nadal tą szurniętą pedantką. Wyświadczysz mi w ten sposób wielką przysługę!

— Jodie! — Ash położyła jej ręce na ramionach. — Co się z tobą dzieje, na Boga?

— To Chris, ten cholerny gnój. To wszystko przez niego. — Jodie nie była w stanie dłużej powstrzymać łez. — Pieprzy się z tą głupią kurwą, moją współlokatorką. Widziałam, jak to robili. Ja go kochałam, Ash. Naprawdę go kochałam. A on rzucił mnie dla tej krowy z wielkimi cycami i kurzym mózdzkiem.

— Och, Jodie.

— I nie mów mi, że w morzu są jeszcze inne ryby — urywanym głosem mówiła Jodie. — Wiem, że są, ale ja kochałam Chrisa. Naprawdę.

— Wiem. — Ash przyciągnęła ją do siebie tak, że głowa Jodie spoczęła na jej ramieniu.

— Rozumiem cię, Jodie.

— Jak możesz mnie rozumieć? — zduszonym głosem spytała Jodie. — Rozstaliście się z Alistairem, a ty zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało.

Jak to możliwe, że Jodie już o tym wie, zastanawiała się Ash. Co jest takiego w tych ludziach, że muszą wszystkim wokół opowiadać o zerwaniach, randkach i chłopakach? Nagle dotarło do niej, że to Alistair musiał jej powiedzieć. Na myśl o tym, co jeszcze Alistair mógł powiedzieć Jodie, przebiegł ją dreszcz.

— Rozmawiałaś z Alistairem? — zapytała.

— Tylko przez chwilę — powiedziała Jodie. — W pewnym sensie to ja was ze sobą poznałam. Więc nic dziwnego, że powinnam wiedzieć, że ze sobą zerwaliście. — Podniosła oczy na Ash. — Chociaż dla ciebie to chyba pewna nowość.

— Ale co?

— Że to on z tobą zerwał, a nie odwrotnie. Ash milczała.

— Co w związku z tym czujesz?

— A co można czuć? Widocznie Alistair uznał, że nadszedł czas, by się pożegnać.

— Och, Ash, tylko mi nie mów, że nie jesteś przygnębiona! Że możesz dalej żyć, jakby nic się nie stało.

— Oczywiście, że jestem trochę przygnębiona — przyznała ze spokojem Ash. — Ale co według ciebie powinnam była zrobić, Jodie?

— Krzyczeć. Płakać. Urządzić awanturę. Powiedzieć mu, że jest gnojem i draniem i że nigdy go nie lubiłaś.

Ash uśmiechnęła się blado.

— Tego nie mogłam powiedzieć, bo go lubiłam.

— Lubiałaś! A co z miłością? — zapytała Jodie.

— Jak to, co z miłością?

— On cię kochał — powiedziała Jodie. — Naprawdę. Ash potrząsnęła głową.

— On chciał mnie kochać. Ale tak naprawdę mnie nie kochał. Myślał, że jestem kimś innym. Nie byłam dla niego odpowiednią osobą.

— A czy on był dla ciebie odpowiednim człowiekiem?

— Nie wiem — odparła Ash.

Jodie nic na to nie powiedziała, tylko kawałkiem papierowego ręcznika otarła oczy.

— Masz ochotę na drinka? — zapytała Ash. — Może kieliszek wina albo coś innego?

— Zostało trochę białego wina — powiedziała niepewnie Jodie. — Ale zdawało mi się, że nie popierasz wypijania resztek.

— Ale tym razem uważam, że to w porządku. — Ash poszła do jadalni i przyniosła butelkę Sauvignon Blanc. Wyjęła z kredensu dwa kieliszki i napełniła je.

— Dzięki — powiedziała Jodie, biorąc jeden z nich. — Przepraszam.

— Za co?

— Za to, że zrobiłam z siebie idiotkę.

— To nieprawda. — Ash wzruszyła ramionami i napiła się wina.

— Och, daj spokój! — Głos Jodie brzmiał teraz mocniej. — Żeby płakać w kuchni! Wypłakiwać się na twoim ramieniu. I to dlaczego? Tylko dlatego, że ten skurwiel, mój chłopak, znalazł sobie inną. Ty za to nie uroniłaś nawet jednej łzy. Ty nigdy nie zrobiłaś z siebie idiotki, Ash. Nigdy!

Ash milczała.

— Ty po prostu przechodzisz nad tym do porządku dziennego i robisz serowy suflet albo coś w tym rodzaju — ciągnęła dalej Jodie.

Ash uśmiechnęła się.

— Zupę — powiedziała.

— Zupę? — Jodie spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Zrobiłam jej strasznie dużo. Dlatego mieliśmy dziś minestrone.

— Ach tak — powiedziała Jodie. — To tylko dowodzi, że mam rację. Ja dostaję ataku płaczu i wmawiam sobie, że moje życie się skończyło. Ja stłukłam trzy doniczki z roślinami, kilka talerzy i ramkę do zdjęć. A ty zostałam porzucona i robisz coś konstruktywnego — na przykład gotujesz zupę. Jesteś taka opanowana. To przerażające!

— Opanowana? — Ash uniosła brwi. — Nie sędzę.

— Oczywiście, że tak — powiedziała Jodie. — Przyszłaś tutaj i zachowujesz się dokładnie tak samo, jak każdego innego dnia. Bez względu na to, co się dzieje, zawsze jesteś spokojna i nad wszystkim panujesz. Jesteś inna niż cała reszta.

— Cała reszta?

— Dziewczyny takie jak ja. Zagubione, niepewne siebie, z niskim poczuciem własnej wartości. — Jodie roześmiała się z goryczą. — Cała reszta to typowa kolekcja neurotycznych dwudziestoparolatek, które nie doszły jeszcze do tego, czego chciałyby od życia. A ty jesteś taka chłodna i opanowana, że nas kompletnie onieśmielasz.

— Wierzysz w to? — Ash spojrzała na nią ze zdumieniem.

— To prawda — powiedziała Jodie.

Ash upiła łyk wina. Nie mogła uwierzyć, że ktoś mógł uważać ją za osobę sprawną albo niewzruszoną lub panującą nad własnym życiem. Owszem, próbowała być taka w kuchni, ale jak można, patrząc na nią, nie domyślić się, że w niczym nie przypomina opisu Jodie. Przecież to ona wraca do domu i wtyka głowę do papierowej torby, bo ma duszności lub atak paniki. To ona nigdy nie wpuszcza mężczyzn do swojego mieszkania. To ona jest tą dziewczyną z czterema olbrzymimi garami zupy na piecu. I to ona jest tą dziewczyną, która zawróciła do domu tego ranka, bo była przekonana, że zostawiła włączoną ciepłą wodę! To nawet lepiej, że tak zwana reszta z nich nie była do niej ani trochę podobna.

— Jodie, nie jestem wcale taka, jak wam się wydaje — powiedziała. — Naprawdę. Ja...
— Urwała, bo nie była pewna, co chce powiedzieć.

— Ty nie należysz do osób, które ciskają w kogoś kwiatami w doniczkach — powiedziała Jodie. — Zwłaszcza tymi naprawdę ładnymi. Ty nie przepłakałabyś całej nocy. Nie wrzuciłabyś do ognia zdjęć twojego chłopaka, żeby potem zmienić zdanie i próbując je ocalić, poparzyć sobie palce.

Ash westchnęła.

— Chyba nie.

— Ty masz wszystko, Ash. I jeżeli tylko zechcesz, będziesz miała i Alistaira!

— Och, Jodie, nie sądzę...

— Założę się, że wróciłby, gdybyś tylko kiwnęła palcem.

— Skoro tak, to po co ze mną zrywał? — zapytała Ash.

— Bo traktowałeś go z taką rezerwą — powiedziała jej Jodie. — Jeżeli ci naprawdę na kimś zależy, powinnaś mu to okazać, Ash.

Ash wzruszyła ramionami.

— A może ty rzeczywiście masz to wszystko rozpracowane — ciągnęła dalej Jodie. — Może trzeba ich trzymać w stanie ciągłego niezaspokojenia i niepewności. Alistair był wściekły, że nigdy nie wpuściłaś go do mieszkania, ale nadal chciał z tobą chodzić. A Chris właściwie u mnie zamieszkał, ale rzucił mnie dla jakiejś krowy fizjoterapeutki. Oczywiście — dorzuciła ze smutkiem. — Może właśnie dlatego spędzał u mnie tyle czasu. Bo chciał być z nią. — Ukryła twarz w dłoniach. — Zabiję go — wymamrotała. — Ale najpierw skończę ze sobą.

— Jodie! — Ash była zaszokowana. — Chyba nie mówisz tego poważnie?

Jodie podniosła na nią oczy.

— Chyba nie. — Pociągnęła nosem. — Chodzi tylko o to...

Powiedz mi, dlaczego nigdy mi się nie udaje, Ash? Nawet kiedy jestem pewna, że wszystko idzie jak trzeba?

— Myślę, że to nie tylko twój problem. — Ash głęboko westchnęła. — Myślę, że każdemu przynajmniej raz w życiu coś nie wyszło.

— Ale nie tobie — powiedziała Jodie. — Nie tobie, Ash. Tobie wszystko się układa dokładnie tak, jak sobie zaplanowałaś, prawda?

— Nie zawsze. — Ash dopiła resztę wina. — A czasami nawet odnoszę wrażenie, że nigdy.

Rozdział 24

Pizza Neapolitana

Ciasto na pizzę, pomidory, cukier, przyprawy, ser mozzarella, anchois, oregano.

Dusić w garnku na oleju pomidory, cukier i przyprawy około 10 minut. Rozwałkować ciasto na pizzę. Rozsmarować równą warstwą masę pomidorową, ułożyć na wierzchu plastry mozzarelli i anchois. Pokropić olejem, posypać oregano i przyprawami. Piec w gorącym piekarniku tak długo, aż ser się roztopi, a ciasto wyrośnie.

Samolot Alitalii odleciał z dublińskiego lotniska tuż po jedenastej. Ash rozsiadła się wygodnie w fotelu przy oknie i odetchnęła z ulgą, że opuszcza kraj, choćby tylko na kilka dni. Początkowo miała liczne skrupuły w związku z tą kolacją dla rodziny Dana, ale teraz wydała jej się ona istnym darem niebios. Bo na miejscu, u siebie, była kompletnie załamana.

Jej myśli wciąż krążyły wokół Alistaira, lecz gdy próbowała określić uczucia, jakie względem niego żywiła, stwierdziła, że nie może już ufać samej sobie. Czasami wydawało jej się, że jej serce skuwa lodowy pierścień, który skutecznie blokuje wszelkie emocje. Mimo to bała się zbyt natarczywie zagłębiać w głąb własnej duszy, bo na myśl o tym, co mogłaby tam ujrzeć, ogarniało ją przerażenie. A potem w rubryce plotkarskiej jednej z gazet zobaczyła zdjęcie Alistaira z inną dziewczyną na letniej imprezie z grillem, która odbyła się tydzień po tym, jak ze sobą zerwali. Trzeba przyznać, że ją to zabolalo. W przyływie zazdrości zmięła gazetę i cisnęła ją w kąt.

Michelle także zobaczyła to zdjęcie i zadzwoniła do niej, żeby zapytać, co to za dziewczyna i co się dzieje.

— Nie masz większych zmartwień? — warknęła Ash.

— Tylko mi nie mów, że znów spieprzyłaś sprawę! — Głos Michelle był pełen napięcia.

— Nie mów mi, że splawiłaś faceta najlepszego ze wszystkich na świecie.

— Tego ci nie powiem — mruknęła Ash.

— Och, Ash, tak mi przykro. Chodzi o to, że na tym zdjęciu ona go wręcz oblepia. Nie wygląda to dobrze.

— Już ze sobą nie chodzimy — przyznała się Ash. — Ale to on zerwał, a nie ja.

Po drugiej stronie linii zapadła martwa cisza. Widocznie Michelle usiłowała przetrwać tę wiadomość.

— To on zerwał? — powtórzyła w końcu.

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Bo jestem dziwaczką — wyjaśniła Ash. — Oto dlaczego.

— Chyba ci czegoś takiego nie powiedział? Ash roześmiała się nerwowo.

— Sama często mi to mówiłaś.

— Może chcesz, żeby do ciebie przyjechać? — zapytała Michelle.

— Nie teraz — odparła. — Pakuję się i wyjeżdżam na Sycylię. Dostałam tam pracę.

— Emigrujesz? — pisnęła Michelle. — Nie uważasz, że to dość drastyczny krok?

— Nie, nie emigruję. — Ash omal nie wybuchnęła śmiechem. — Mam tam tylko jedną imprezę, to wszystko.

— Na Sycylii?

— Tak.

— Dla kogo?

— Dla jednego z moich klientów maklerów. Michelle znowu zamilkła.

— Jadę na kilka dni — wyjaśniła Ash.

— Jedno trzeba ci przyznać — powiedziała Michelle. — Większość dziewczyn byłaby załamana. A ty sobie wyjeżdżasz, żeby obsługiwać jakąś imprezę na Sycylii. — Westchnęła. — Nic dziwnego, że ludzie mają cię za niezłe dziwadło.

— Dzięki — mruknęła Ash.

— Zadzwoń do mnie, jak wrócisz — powiedziała Michelle. — Myślę, że powinnaś z kimś o tym porozmawiać.

Ash nie chciała jednak rozmawiać o tym z Michelle. Nie chciała jej współczucia, nie chciała wysłuchiwać biadolenia kuzynki, że pozwoliła, by taki kąsek wymknął jej się z rąk. Nie chciała rozmawiać o tym, co teraz czuje. Dlaczego ludziom tak na tym zależy, żeby z kimś porozmawiać? — pomyślała. Jodie na przykład nie mogła przestać gadać na temat swojego zerwania z Chrisem i liczyła na jej wzajemność. Ale ona nie wiedziała, czym mogłaby jej się zrewanżować, a nieustanne uniki już ją zmęczyły.

Samolot przebił się przez cienką warstwę chmur i mgły spowijających lotnisko i wzniósł się wysoko, wprost w błękitne niebo. Gdy Dublin zniknął w dole, Ash poczuła, że się odprężyła — fizycznie i psychicznie.

Buon giorno, mruknęła półgłosem i uśmiechnęła się do siebie. We Włoszech była tylko raz, na szkolnej wycieczce do Rzymu, ale już wtedy urzekły ją to miasto i ludzie, a także światło i ciepło. Była pewna, że Sycylia będzie zupełnie inna niż Rzym. Wyobrażała ją sobie jako spaloną skałę na końcu włoskiego buta, lecz mimo wszystko włoską, i cieszyła się, że tam jedzie. Rozejrzała się po kabinie i współpasażerach. Lot nie był bezpośredni — miała przesiadkę w Mediolanie. Dlatego na pokładzie było paru mediolańskich biznesmenów, piekielnie eleganckich, w markowych garniturach, emanujących jakimś czarem znamionującym zupełnie inny styl życia. Może poznam jakiegoś Sycylijczyka, pomyślała nagle. Może się okaże on tym właśnie mężczyzną, na którego czekałam przez całe życie. Na myśl o tym omal nie parsknęła śmiechem. Poznać Sycylijczyka i stracić dla niego głowę to szaleństwo, to zbyt impulsywne i w ciągu trzech dni raczej niemożliwe. Zresztą, i tak by czegoś takiego nie zrobiła. Nagle naszła ją myśl, że miło byłoby wrócić do kraju z kimś innym, po tym jak została porzucona przez Alistaira Brannigana.

Twoja duma została zraniona, powiedziała sobie, przerzucając strony lotniczego czasopisma. I to jedyne, co cię naprawdę zabolalo! Wbrew temu, co sądzi Michelle. I wbrew temu, co sama chciałabyś myśleć. Rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że to tylko jej duma poniosła uszczerbek.

Michelle zadzwoniła jeszcze raz przed jej wyjazdem.

— Wyluzuj się, kiedy tam będziesz — powiedziała. — Nawet jeżeli popełnisz jakieś głupstwo, tutaj nikt się o tym nie dowie, a na pewno dobrze ci to zrobi.

— Jedyne głupstwo, jakie mogę popełnić, to rozgotować makaron albo coś w tym rodzaju — oświadczyła ze spokojem Ash.

— Myślałam, że to cię czegoś nauczy — sucho stwierdziła Michelle. — Ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

Ash otworzyła torbę i wyjęła *Ferrari Vendetta*, pierwszą z serii książek Jossa Morlanda o Vannie Savino. Akcja powieści rozgrywała się na Sycylii, ale również w Toskanii, i Ash zastanawiała się, czy Joss tam także ma willę, żeby chłonać nastrój. Jego książki rzeczywiście znakomicie oddawały atmosferę — Ash niemal widziała winnice na wzgórzach, domy o czerwonych dachówkach oraz — już nie tak urocze — trupy ścielące się gęsto na kartkach. Ale dobrze się go czytało i ani się obejrzała, jak dolecieli do Mediolanu. Tam musiała poczekać parę godzin na przesiadkę do Katanii, więc kupiła sobie kilka książek kucharskich, żeby je przestudiować w samolocie.

Już wcześniej pytała Dana, czy życzą sobie potrawy typowo włoskie. Ona sama lubiła włoską kuchnię, tak mu powiedziała, ale gdyby uznał, że Joss ma już dość makaronu z sosem pomidorowym, z przyjemnością przyrządzi im coś innego.

— Decyzję pozostawiam tobie — powiedział jej Dan. — Kiedy Joss pracuje, je tylko owoce, paluszki i szynkę, więc będzie otwarty na każdą propozycję. Bronwyn woli jarzyny niż mięso. A ja zjem wszystko, co ugotujesz.

Samolot z Mediolanu do Katanii odleciał zgodnie z rozkładem. Ash oparła głowę o okno i zaczęła w myślach przeglądać rozmaite menu. Nim wylądowali na lotnisku w Katanii, zdążyła już znacznie ograniczyć listę. Ale ostateczny wybór będzie oczywiście zależał od tego, co świeżego i dobrego mają w tamtejszych sklepach.

Gdy wyszła z lotniska, owionęło ją gorące powietrze zmieszane z zapachem paliwa. Zdjęła lniany spłowiały zakiet i wepchnęła go do torby podróżnej. Nie spodziewała się, że od razu poczuje się tak, jakby wskoczyła do gorącej kąpieli.

Spojrzała na adres, który dostała od Dana. Villa Rosa znajdowała się w Taorminie, niewielkim mieście na północ od Katanii. Miała nadzieję, że Dan już tam jest. Bo choć rzadko miała pietra, jakby to ujęła Jodie, myśl, że miałyby zjawić się w domu jego ojca, nie znając nikogo, napełniała ją przerażeniem.

Przywołała taksówkę, wsiadła i z ulgą stwierdziła, że jest w niej klimatyzacja, bo bawełniane top już się do niej kleił. A to dopiero maj! Strach pomyśleć, jak będzie tu w sierpniu!

Ash od dawna nie była nigdzie, gdzie jest gorąco, ani w maju, ani w sierpniu. Tak się jakoś złożyło, że nigdy nie miała czasu, choć pewnie były to zwyczajne wykręty. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wzięła urlop choćby na dwa tygodnie, a jeżeli już wyjeź-

działa gdzieś na wakacje, to tylko w Irlandii. Po części dlatego, że nienawidziła zostawiać Bajgla samego zbyt długo, tym bardziej że straszliwie się dąsał za każdym razem, kiedy opuszczała go na dłużej niż kilka dni. Najdłuższy okres, przez jaki jej nie było, to osiem nocy. Znalazła mu wtedy miejsce w przechowalni dla kotów, a kiedy potem przywiozła go do domu, na dowód niezadowolenia poszarpał pazurami cały bok sofy.

Tym razem sąsiedzi znowu wzięli na siebie ciężar dokarmiania go, a w ramach rekompensaty zażyczyli sobie butelki oliwy z oliwek extra vergine oraz grudki skamieniałej lawy z Etny. Ash była pewna, że uda jej się zdobyć oliwę, ale znacznie mniej pewna, jeśli chodzi o przywiezienie skały wulkanicznej.

To był bardzo długi dzień, pomyślała, gdy jechali autostradą w stronę Taorminy. Długi, lecz jaki interesujący. Miło też było oddalić się od wszystkiego i wszystkich tam, w Irlandii. Gdy zaczęli podjeżdżać pod górę, taksówkarz wrzucił niższy bieg. Ash nawet nie zauważyła, kiedy zjechali z autostrady. Droga była teraz wąska i wiła się po zboczach wzgórz. Kiedy ujrziała światła wybrzeża hen, w dole, aż jej zaparło dech. A gdy zakręty, przypominające kształtem wsuwkę do włosów, stały się jeszcze bardziej ostre, chwyciła kurczowo za klamkę.

Wzięli ostatni zakręt i wtedy zobaczyła pędzący wprost na nich turystyczny autobus. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie wrzasnąć na taksówkarza. Nie potrafiła powiedzieć, jakim cudem udało im się minąć na wąskiej drodze, ale się udało. Kierowca zjechał na bok tak, że niemal wbili się w zbocze. Ash głośno przełknęła ślinę. Teraz już rozumiała, dlaczego Joss Morland spędzał tu tyle czasu — nikt nie mógł się do niego dostać, chyba że się naprawdę uparł!

W końcu kierowca zatrzymał się przed czarną, kutą bramą, przy samej drodze. W ciemnościach nie było widać ani willi, ani innych domów. Ash dostrzegła tylko zarys cyprysów i pinii porastających zbocze, na tle usianego gwiazdami nieba.

— Villa Rosa — powiedział taksówkarz.

— Jest pan pewny?

— Oczywiście. — Znów popatrzył na mapę, którą mu pokazała, a na której Dan zaznaczył położenie willi, i pokiwał głową. — Villa Rosa.

Przez okno taksówki zerknęła na żelazną bramę. Może on ma rację, pomyślała. Coś przecież musi być za tą bramą. Bała się jednak, że kierowca zostawi ją w ciemnościach na tym odludziu, choć pewnie w świetle dziennym jest tu całkiem malowniczo.

Kierowca wysiadł z taksówki i wyjął z bagażnika jej torbę. Najwyraźniej uznał, że wykonał już swoje zadanie i nie zamierzał sprawdzać, czy przywiózł ją na właściwe miejsce. A ponieważ droga powrotna do Katanii zajmie mu jakieś trzydzieści, czterdzieści minut, wołał pewnie zawrócić do domu, niż czekać na jakąś głupią turystkę, która nie chciała uwierzyć, że jest dokładnie tam, gdzie być powinna.

Odliczyła kilka banknotów ze zwitka lirów w portfelu i wręczyła mu je. Taksówkarz pokiwiał głową, wrócił do samochodu, po czym ruszył z kopyta, zostawiając ją na chodniku z torbą u stóp. Nawet tutaj, blisko wybrzeża, choć znacznie wyżej, powietrze było nasycone wilgocią. Ash otarła kropelki potu nad górną wargą, wzięła torbę i podeszła do kutej bramy.

Brama była zamknięta. Zastukała w nią kilka razy, a potem zobaczyła domofon wbudowany w ścianę z żółtej cegły. Nacisnęła brzęczyk.

— Słucham? — Damski głos na drugim końcu mówił po angielsku. Ash odetchnęła z ulgą. Przynajmniej jest nadzieja, że trafiła pod właściwy adres.

— Nazywam się Ash O'Halloran — powiedziała niepewnym tonem. — Mam przygotować na jutro kolację.

— Ach tak, czekamy na ciebie. Proszę wejść.

— Ale brama jest zamknięta.

— Zaraz otworzę — powiedziała dziewczyna.

Rozległ się szum, potem cichy szczęk. Brama otworzyła się i Ash weszła do ogrodu. Teraz mogła już zobaczyć to, czego nie widziała wcześniej: dach willi położonej na zboczu wzgórza. Ruszyła żwirowaną ścieżką, a potem zeszła po stromych schodkach na poziom domu.

Gdy zeszła z ostatniego stopnia, drzwi frontowe otworzyły się.

— Cześć! — Kobieta, której głos słyszała w domofonie, stała w progu. Ash od razu domyśliła się, że to siostra bliźniaczka Dana.

— Witamy w Villa Rosa — powiedziała Bronwyn. — Cieszę się, że nas znalazłaś.

— Szczerze mówiąc, nie byłam tego wcale taka pewna. — Ash uśmiechnęła się blado. — Taksówkarz wysadził mnie na poboczu, ale nie widziałam domu.

Bronwyn roześmiała się.

— Dużo domów w okolicy jest położonych na stoku, tak jak ten — powiedziała. — Nie widać ich z drogi, co jest zresztą bardzo wygodne. — Wprowadziła Ash do wyłożonego kafelkami holu. — Mogę wziąć od ciebie torbę?

— Nie, dziękuję, nie jest ciężka.

— Wypijesz z nami drinka na tarasie czy wolisz się najpierw odświeżyć? — zapytała Bronwyn.

— Jeżeli można, poszłabym prosto do pokoju — powiedziała Ash.

— Dobrze. — Bronwyn skinęła głową i poprowadziła ją wąskim korytarzem. — Ale przyłącz się do nas później.

Ash nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru przyłączać się do Morlandów na drinka. Przyjechała tutaj do pracy, a nie po to, żeby z nimi siedzieć i popijać Cinzano albo Pedrotti, czy grappę.

Bronwyn pchnęła drzwi jednego z pokoi i zaprosiła ją gestem do środka.

— Za pokojem jest łazienka. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

— Dobrze. Dziękuję — powiedziała Ash.

— Uważamy, że Danowi nieźle odbiło, żeby zatrudnić kogoś, kto przygotuje kolację — zwierzyła jej się Bronwyn. — Z drugiej strony, nie jest to wcale taki zły pomysł, bo jeżeli chodzi o gotowanie, wszyscy jesteśmy kompletnie beznadziejni. Ja na przykład potrafię zepsuć nawet makaron, który, bądźmy szczerzy, nie należy do dań zbyt skomplikowanych. A to taki świetny dom, żeby przyjmować gości. Zawsze chcieliśmy urządzić tu jakąś specjalną imprezę.

— Sama uważam, że Dan jest trochę stuknięty — przyznała Ash. — Mogliście przecież zatrudnić kogoś na miejscu, byłoby o wiele taniej.

— Dan od czasu do czasu lubi szarpnąć się na jakiś wielki gest — powiedziała jej Bronwyn. — Po części robi to ze względu na tatę.

— Ach tak?

— Chce mu dać do zrozumienia, że sam sobie poradził — wyjaśniła Bronwyn. — Że sprowadzić cię tu z Dublina to dla niego żaden problem.

— Naprawdę? Bronwyn pokiwała głową.

— Ciągle próbuje udowodnić tacie, że wyszliśmy na ludzi, choć opuścił nas dla fikcyjnej kobiety, która przyniosła mu fortunę.

Ash nie była wcale pewna, czy chce poznać przykre szczegóły porzucenia rodziny przez Jossa Morlanda. Poza tym słyszała od Dana, że to żona Jossa od niego odeszła.

— Dan już tu jest? — zapytała.

— Pojechał do miasta — powiedziała Bronwyn. — Ale niedługo wróci. To niepojęte, że trzyma się jeszcze na nogach, bo od wczoraj jest w podróży. Był w Londynie, służbowo, a potem poleciał do Nowego Jorku, żeby się zobaczyć z Cordelią. Spędził tam ostatnie dwa dni.

— Czy Cordelia też z nim przyleciała? — zapytała Ash. Bronwyn potrząsnęła głową.

— Nie, führer został w Nowym Jorku.

— Führer?

— Poznałaś ją już, prawda? — zapytała Bronwyn. — Najbardziej apodyktyczna kobieta na świecie.

— Mnie nie wydała się aż taka zła — zaprotestowała Ash. Bronwyn prychnęła pogardliwie.

— Ona jest idealna dla Dana — stwierdziła. — To typ kobiety, która potrzebuje kogoś, kto by jej wszystko organizował, i ona to robi. Ale doprowadza mnie do szału tym swoim nieustannym gadaniem, jaka jest genialna, jaką ma ważną pracę i jak to jest być kobietą w świecie zarezerwowanym dla mężczyzn.

— Myślę, że ona naprawdę ciężko pracuje — wymijająco rzuciła Ash.

— A my nie? — Bronwyn wyszła z pokoju. — Ale my nie mówimy o tym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zobaczymy się później, Ash.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Ash rozejrzała się po pokoju. Był mały, lecz wysoki, dzięki czemu wydawał się znacznie większy. Drzwi do znajdującej się obok łazienki były uchylone. Pchnęła je i zapaliła światło. Łazienka była prześliczna — cała w białych kafelkach, ze szklanymi drzwiami do kabiny prysznicowej, przez co, jak w przypadku pokoju, stosunkowo małe pomieszczenie wydawało się znacznie większe.

Wróciła do sypialni i podeszła do okna zasłoniętego ciężkimi draperiami w czerwono-zielone pasy. Rozsunęła je i zobaczyła, że okno to w rzeczywistości szklane drzwi, otwierające się do wewnątrz. Na zewnątrz znajdował się balkon, tak wąski, że z trudem można było na nim stanąć. Ale nie trzeba było nawet wychodzić na balkon, by móc podziwiać nocną panoramę, zapierającą dech w piersi. Zbocze poniżej willi zdawało się opadać donikąd — odnosiła wrażenie, że tkwi zawieszona w powietrzu. W dole widziała linię wybrzeża i wąską wstążeczkę żółtych światełek sunących wokół zatoki. Czarne niebo usiane było gwiazdami, poniżej księżyc odbijał się w spokojnej toni, a w oddali migotały blade światła włoskiego łądu.

Pomyślała, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. A przecież na razie oglądała je tylko nocą! Teraz rozumiała już, dlaczego Joss Morland przyjeżdżał tu dla atmosfery — ciepłe nocne powietrze było nią wręcz naładowane. Składały się na nią wąty szum samochodów, cykanie świerszczy oraz dźwięk głosów i śmiechów, napływających od strony wzgórza.

Mogłabym tu zamieszkać, pomyślała. Mogłabym tu mieszkać i do końca życia przygotowywać pizzę i gotować makaron, i byłabym szczęśliwa.

To dziwne, ale wbrew przypuszczeniom, nie czuła się wcale skrepowana. Zazwyczaj nie lubiła przebywać w obcych miejscach, z dala od wszystkiego, co było jej dobrze znane. Ale tutaj było tak przepięknie, że wręcz nie sposób było poczuć się źle. Nie mogła się już doczekać, żeby rozejrzeć się tu za dnia, i zazdrościła Jossowi, że ma to wszystko na co dzień.

Wróciła do pokoju i rozpakowała swoje rzeczy. Ubrania powiesiła w szafie, a przybory toaletowe ustawiła równiutko na szklanej półce w łazience. Nuciała przy tym półgłosem, śmiejąc się w duchu z tego, że wybrała piosenkę *O sole mio*.

Jeszcze chwila, a zacznę rozdawać lody w waflach, pomyślała, zrzucając adidas i kładąc się na łóżku.

Rozdział 25

Risotto z owoców morza

Oliwa z oliwek, masło, cebula, czosnek, czerwona i zielona papryka, ryż, wywar z ryby, białe wytrawne wino, listek laurowy, sól i pieprz, gotowane krewetki, gotowane małże, ser parmezan.

Smażyć cebulę, czosnek i paprykę na rozgrzonym maśle i oleju. Dodać ryż i starannie wymieszać. Dodać trochę wywaru i wina, listek laurowy i przyprawy. Dusić na małym ogniu, aż ryż wchłonie płyn. Dolewać stopniowo wywar i dusić aż do wchłonięcia. Wyjąć listek laurowy, dodać krewetki i małże. Przełożyć na półmisek i podawać z parmezanem.

Długa szyfonowa firanka zafalowała, pchnięta łagodną poranną bryzą i ten lekki ruch obudził Ash. Otworzyła oczy, leżała jeszcze przez chwilę w łóżku, a potem usiadła i rozejrzała się wokoło. Powietrze nadal było ciepłe. Z oddali słychać było rozmowy i brzęk glinianych talerzy. Odrzuciła prześcieradło i podeszła do otwartych drzwi na balkon.

Niebo miało odcień najgłębszego błękitu, a poranne słońce połyskiwało na morskiej toni. U jej stóp rozpościerał się ogród Villa Rosa — istna feeria barwnych kwiatów i krzewów. Stro-
me kamienne schodki prowadziły w dół zbocza, gdzie kończyły się przy tarasie i basenie. Przechyliła się przez balustradę, żeby więcej zobaczyć. Pod nią, po prawej stronie, był jeszcze jeden, szerszy taras, na którym w cieniu olbrzymiego parasola stał stół nakryty do śniadania.

Przy stole siedział mężczyzna i czytał gazetę. Włosy miał srebrzystosiwie, ogorzałą cerę, a ubrany był w koszulkę i szorty. Ash domyśliła się, że to Joss Morland.

Poprzedniej nocy nie poznała reszty Morlandów. Bronwyn zapukała do jej drzwi jakieś pół godziny po tym, jak się rozpakowała, i zapytała, czy ma ochotę zejść do nich na dół. Ash czuła się jednak skrepowana, bo wciąż uważała, że przyjechała tu do pracy, a nie po to, by się ze wszystkimi zaprzyjaźniać. Poza tym nie chciała na razie spotkać Dana. Bała się, że zapyta ją o Alistaira, a nie chciała rozmawiać o Alistairze przy ludziach, których nawet nie zna. A zresztą, i tak nie byłaby w stanie o nim mówić. Wyparła go ze swoich myśli, jakby nigdy nie istniał. Dlatego powiedziała Bronwyn, że jest bardzo zmęczona i że chce po prostu posiedzieć w pokoju, przeczytać książkę i trochę odpocząć. Bronwyn wzruszyła na to ramionami, powiedziała jej, że może zejść na dół do kuchni i zjeść coś, jeżeli ma ochotę, po czym zniknęła. Ash była w sumie bardziej zmęczona niż głodna. Wypiła butelkę Pellegrino, która stała na nocnej szafce, usiadła przy otwartym oknie i czytała, dopóki oczy same nie zaczęły jej się zamykać. Wtedy położyła się do łóżka.

Teraz jednak czuła, że umiera z głodu. Zobaczyła, jak elegancka, jasnowłosa kobieta w zwiewnej zielonej sukni podchodzi do stołu z dzbankiem kawy i koszyczkiem rogalików. To pewnie ekszona Jossa, pomyślała. Niemal czuła aromat świeżo zaparzonej kawy oraz maślany smak croissantów. W brzuchu głośno jej zaburczało. Pospieszyła do łazienki, wzięła najkrótszy prysznic w życiu, nałożyła biały podkoszulek i dżinsy, i ruszyła na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

Kuchnia znajdowała się na tyłach domu, a z jej okien roztaczał się widok na wzgórza. Pomieszczenie tonęło w cieniu, ale rozjaśniała je biała marmurowa posadzka i białe ściany, które ktoś przyozdobił wzorem z kiści winogron.

Dan stał pośrodku kuchni obok olbrzymiego drewnianego stołu, ze szklanką soku pomarańczowego w ręku.

— Ash! — Odstawił szklankę i ucałował ją, europejskim zwyczajem, w oba policzki. — Strasznie się cieszę, że cię widzę.

— A ja się cieszę, że tu jestem — powiedziała.

— Gdzie byłaś ostatniej nocy? — zapytał. — Spodziewałem się, że do nas dołączysz na drinka — siedzieliśmy na tarasie do późna.

— Byłam zmęczona — tłumaczyła się Ash.

— Zmęczona! — prychnął. — Poczekaj, aż spędzisz kilka dni w Londynie, a potem kilka w Nowym Jorku. Wtedy porozmawiamy o zmęczeniu.

— Jak było w Nowym Jorku? I jak tam Cordelia?

— Świetnie — odparł. — Biedaczka, ma tyle pracy, a kłopot polega na tym, że bierze na siebie coraz więcej. Tak bardzo chce się wykazać.

— Na pewno jej się uda. — Ash marzyła, by ukroić sobie kromkę ciabatty, ale nie chciała sprawiać wrażenia osoby żarłocznej.

— Wiem, że tak — powiedział. — Przechodzi teraz szkolenie i trafiła jej się okazja, by popracować przez jakiś czas z jednym z prawników, Mike'em Fullerem, który jest jakimś ważnym dyrektorem w banku. Ona uważa, że mu się trochę podoba, więc kazałem jej sprawdzić, czy on na pewno wie, że ona jest już zajęta!

— I co? Sprawdziła? — Znowu zaburczało jej w brzuchu, ale nie na tyle głośno, by Dan mógł to usłyszeć.

— Jak najbardziej. Mówi, że błyska mu przed nosem swoim zaręczynowym pierścieniem przy każdym spotkaniu.

Ash uśmiechnęła się.

— Pewnie śmiertelnie go to przeraża — powiedziała. — Diament to nie jest najbardziej dyskretny kamień na świecie.

— Chcesz powiedzieć, że nie mam gustu? — zapytał Dan.

— O Boże, nigdy w życiu. — Ash splonęła rumieńcem. — Chciałam tylko...

— Wiem, co chciałaś. — Uśmiechnął się do niej. — Przestań brać wszystko do siebie.

— Wcale tego nie robię — powiedziała.

Dan uśmiechnął się i ukroił sobie kromkę chleba.

— A ty nie jesz? — zapytał. — Zjesz dziś z nami śniadanie czy będziesz siedziała zamknięta w swoim pokoju?

— Dan, nie jestem przyjacielem rodziny — powiedziała. — Jestem tu po to, by wykonać pewną pracę. Owszem, zjem śniadanie, ale nie chcę, żebyś mnie wszystkim przedstawiał, jakbym była na wakacjach.

— Jak sobie życzysz — powiedział. — Tak czy inaczej, nikt nie będzie zwracał na ciebie większej uwagi. To nie jest przyjęte w mojej rodzinie.

Ash pomyślała o rodzinie Rourke'ów, w której każdy chciał wiedzieć wszystko o wszystkich, i zadała sobie pytanie, co jest lepsze.

— Proszę. — Dan wręczył jej talerz z dwiema kromkami chleba. — Na stoliku na dworze są owoce, więc jeżeli chcesz coś jeszcze, włącznie z kawą, musisz wyjść do ogrodu.

— Och, w porządku — zgodziła się niechętnie i wyszła za nim na taras, na którym już wcześniej widziała jego rodziców.

Ale teraz nie było tam nikogo, choć dzbanek z kawą był jeszcze ciepły.

— Tato pewnie poszedł przejrzeć jeszcze raz swój rękopis — lekceważącym tonem rzucił Dan. — Trzeba mu go niemal siłą wrywać z rąk, bo inaczej próbowałby zmienić wszystko jeszcze w dniu druku, gdyby był choć cień takiej szansy. — Spojrzał na zegarek. — A mama pewnie wybyła gdzieś na cały dzień, bo nie jest w stanie wysiedzieć z tatą tyle czasu. Zdaje mi się, że wspomniała coś o Syrakuzach. — Spojrzał na Ash. — Gdybyś zgodziła się zostać tu dzień czy dwa dłużej, sama mogłabyś pojechać do Syrakuz. Warto się tam wybrać, jeżeli interesuje cię historia architektury. To miejsce zawsze było atakowane albo oblegane, albo coś w tym rodzaju. Pełno tam archeologicznych pozostałości, jeżeli ktoś to lubi.

— Może innym razem — powiedziała. — Dzisiaj chcę się wybrać do miasta i zajrzeć do sklepów spożywczych.

— Przy okazji zajrzyj też do sklepów z ubraniami — powiedział.

Ash uśmiechnęła się.

— Sklepy z ubraniami nie za bardzo mnie interesują — oświadczyła. — To strata czasu i pieniędzy. Poza tym jest w nich za duży tłok. A ja nie znoszę tłumów.

— Nie znałem dotąd kobiety, która nie lubiłaby sklepów z ubraniami — stwierdził Dan. — Tutejsze sklepy są małe i nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek był w nich tłok. Kiedy Bronwyn tu przyjeżdża, za każdym razem wydaje w nich fortunę.

Ash spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Przecież to małe miasteczko, prawda? Więc raczej trudno wydać tu fortunę.

— Ale sklepy są drogie — powiedział.

Wzruszyła ramionami. Raczej wątpiła, by udało jej się znaleźć coś wartego zakupu w Taorminie. Chyba że jest tam sklep z butami. Lubiła włoskie wyroby ze skóry. Nie miała jednak czasu na zwiedzanie sklepów ani z ubraniami, ani z butami. Tego dnia czekało ją mnóstwo roboty.

Przesunęła się na ogrodowym krześle, tak by móc patrzeć na morze, i zaczęła żałować, że nie włożyła szortów. Powietrze nadal było wilgotne i upał już zaczynał jej doskwierać.

— Pięknie tu, prawda? — zapytał Dan.

— Cudownie — odpowiedziała.

— Kiedy byliśmy młodszy, często tu bywaliśmy. — Dan wziął z miski z owocami banana i zaczął obierać go ze skórki. — A potem weszliśmy w fazę, kiedy nie układało nam się tak dobrze z ojcem, i całe wieki nie przyjeżdżaliśmy. Ale teraz wszystko jest w porządku.

— To dobrze — powiedziała, po czym jednym haustem wychyliła całą filiżankę kawy. — Muszę się zbierać — dodała.

— Nie chcesz, żeby cię podrzucić do miasta? — zapytał. — Stąd to jakieś piętnaście minut spacerkiem. Pod górkę.

Ash potrząsnęła głową.

— Lubię chodzić piechotą — powiedziała. — Poza tym wcale mi się nie spieszy.

— Mało brakowało, a dałbym się nabrać — mruknął, kiedy wstała od stołu i szybko weszła do domu.

W świetle dziennym Ash przekonała się, że to, co jej mówiła Bronwyn poprzedniej nocy, to absolutna prawda. Większość willi na zboczu wybudowano na różnych wysokościach, tak że ich dachy znajdowały się na poziomie ulicy albo jeszcze niżej. Wszystkie zwrócone były frontem w stronę morza i, podobnie jak Villa Rosa, zostały pomalowane na pastelowe odcienie. Villa Rosa była w kolorze najbledszego różu i miała jaskrawozielone okiennice. Była podłużna, jak kolorowe pudełko, wystające ku górze z morza zieleni. Był to najładniejszy dom, jaki Ash widziała w swoim życiu.

Szła krętą drogą, trzymając się pobocza, by być jak najdalej od niezliczonych vesp, pędzących w górę i w dół z karkołomną prędkością. Była pewna, że widziała dziewczynę na skuterze, która przemknęła obok niej, rozmawiając przez swoją komórkę, co chyba powinno być zabronione. A może nie, pomyślała z kwaśną miną. W końcu Sycylia to także Włochy.

Po jakimś czasie dotarła do starożytnych bram miasta. Wzdłuż głównej ulicy ciągnęły się trzypiętrowe budynki o wysokich oknach i kutych balkonach, ciasno zastawionych donicami pełnymi różnobarwnych kwiatów. Miasteczko tętniło życiem, a mimo to odniosła wrażenie, jakby cofnęła się w czasie.

Ale zaraz jej uwagę przykuła lodziarnia. Wciąż czuła głód, bo krępowała się rozsiadać w Villa Rosa, by zjeść większe śniadanie. Dlatego teraz kupiła sobie śmietankowo-waniliowy rożek posypany czekoladą. Liżąc lody, szła wolno ulicą, obok obrośniętego bluszczem sklepiku, przed którym wyłożono antyczne srebra, a także obok sklepu z pamiątkami, gdzie — jak sobie uświadomiła — będzie mogła kupić kilka szczególnie lepkich bryłek lawy dla sąsiadów.

Poszła dalej wzdłuż Corso Umberto i nagle przystanąła zaskoczona. Nareszcie zrozumiała, co Dan miał na myśli, kiedy mówił, że sklepy w Taorminie są drogie. Były to butikie znanych kreatorów mody. Przed sobą miała sklep Prady, a sąsiedni sprzedawał towary od Gucciego i Armaniego. Więc tak wygląda małe miasteczko na małej wysepce, pomyślała i patrząc na niezwykle wysmakowane wystawy, przypomniała sobie, co powiedział kiedyś jej nauczyciel włoskiego w szkole — że Włosi nie biorą kredytów na domy, bo wolą zaciągać pożyczki, żeby się dobrze ubrać.

Nie jestem tu po to, żeby gapić się na torebki od Prady, powiedziała sobie, gdy przełknęła resztkę lodów i oblizała ze smakiem palce. Jestem tu po to, żeby kupić oliwki i ryż, mięso i jarzyny, i co tam jeszcze będzie potrzebne na dzisiejszy wieczór. O wino nie musiała się martwić, bo Joss Morland miał dobrze zaopatrzoną piwniczkę, którą odkryła, gdy po śniadaniu wróciła do domu. Po przeprowadzeniu inspekcji stojaków z winem spędziła trochę czasu w kuchni, sprawdzając, czy jest tam wszystko, co będzie jej potrzebne. Joss może sobie jeść wyłącznie *prosciutto**, o ile Dan miał rację, ale wyposażenie jego kuchni, jak na jej potrzeby, było bardziej niż wystarczające.

Poświęciła także trochę czasu na oględziny jadalni, skąd można było wyjść na taras, na którym jadła śniadanie. Nie była pewna, czy Morlandowie będą woleli jeść w domu czy *al fresco*** , ale w obu wypadkach było dość przestrzeni, by ich wszystkich pomieścić. Powiedziała sobie, że to absolutnie doskonała sceneria na absolutnie doskonały posiłek. A dzisiejsza kolacja będzie jednym wielkim triumfem jej kulinarnych umiejętności.

* *Prosciutto* (wł.) — gatunek szynki.

** *Al fresco* (wł.) — na świeżym powietrzu.

Idąc, rozważała w myślach alternatywne menu. Było tyle różnych możliwości, że każda, którą wybrała, wydawała się jeszcze lepsza niż poprzednia. Przed następnym sklepem mimowolnie przystanąła, chociaż sprzedawano w nim ubrania, a nie żywność. Ale jedyna sukienka na wystawie była tak prześliczna, że nie mogła tak po prostu przejść obok. Ciemnograna-towa, z cieniutką siateczką na jedwabiu, miała okrągły dekolt pod szyją, a z tyłu głębokie wy-cięcie. Na siateczce naszyto abstrakcyjne wzory z maleńkich srebrnych paciorków.

Tego rodzaju suknię powinna była nałożyć, kiedy szła z Danem do „K Club”, udając jego starą przyjaciółkę. Tego rodzaju sukni potrzebowałyby, gdyby miała na tyle rozumu, by nie od-straszać Alistaira Brannigana. W tego rodzaju sukni każdy czułby się pewnie przy każdej oka-

zji. Po raz pierwszy w życiu Ash patrzyła na jakąś część garderoby, której nie można nosić na co dzień, a mimo to straszliwie chciała ją mieć.

Ale ona musi być nieprzyzwoicie droga, pomyślała. Jak zdążyła się już przekonać, na tej ulicy sprzedawano wyłącznie rzeczy drogich projektantów. Nie było nic, co miałyby metkę z ceną jak w C&A albo u Marksa i Spencera. Ale ona jest taka śliczna, pomyślała z westchnieniem, wpatrując się w suknię. I taka elegancka. A poza tym naprawdę chciała mieć coś takiego.

Potrząsnęła głową i przeszła obok sklepu. A potem zawróciła. I tak pewnie nie będą mieli mojego rozmiaru, pomyślała, po czym pchnęła drzwi. Poza tym możliwe, że to jedna z tych sukienek, które prezentują się świetnie na wystawie, upięte na manekinie, ale na żywej osobie z krągłościami psującymi linię wyglądają okropnie!

— Bellissima! — wykrzyknęła sprzedawczyni, gdy Ash wyłoniła się z przymierzalni i stanęła przed lustrem. — Bellissima!

Ash spojrzała na swoje odbicie. Cienki jedwab przylegał do jej ciała, a srebrzyste paciorki połyskiwały w świetle punktowych reflektorków. W tej sukni jestem zupełnie inną osobą, pomyślała, obracając się wolno wokół własnej osi. Była teraz wykwinną Ash, Ash, która nigdzie nie czułaby się nie na miejscu. No cóż, powiedziała sobie, wracając do rzeczywistości, absolutnie nie na miejscu wyglądałaby w niej w kuchni!

— Ile? — zwróciła się do sprzedawczyni.

— Pięćset pięćdziesiąt — odparła kobieta. — Euro.

Oburzająca cena za sukienkę, pomyślała Ash. Nawet za sukienkę tak piękną jak ta. Co gorsza, pomyślała, nie będę jej mogła nałożyć więcej niż kilka razy. Kupno jej byłoby czystym szaleństwem.

— Jest piękna. — Raz jeszcze obróciła się przed lustrem.

Sprzedawczyni nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się zachęcająco. Jeszcze nigdy nie wydałam aż tyle na jedną rzecz, pomyślała Ash. Nigdy. Ja tak nie postępuję. Odejdę teraz i jeszcze się zastanowię.

Wróciła do przebieralni, wyslizgnęła się z sukni, włożyła z powrotem podkoszulek i dzinsy, ściągnęła włosy w koński ogon i zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że przed momentem wyglądała tak wspaniale, a teraz wygląda tak zwyczajnie.

— Wezmę ją. — Słowa te wyrwały jej się z ust, zanim zdała sobie sprawę, że coś mówi. Sprzedawczyni zapewniła ją, że to świetny wybór, i bardzo rozsądny. Ash podpisała się na kwitku karty kredytowej i zaczęła się zastanawiać, co się z nią dzieje. Jeszcze nigdy jej się nie

zdarzyło, by poszła do sklepu po oliwki, paprykę i oberżyny, a zamiast tego kupiła suknię za prawie czterysta funtów! Wzięła prostą białą torbę, ostemplowaną złotoczarным logo sklepu, i wyszła na ulicę. Miała wrażenie, że w ostatnich dniach jej życie kompletnie stanęło na głowie.

Nie tak dawno temu chodziłam z Alistairem Branniganem, pomyślała, mogłam zerwać z nim, kiedy chciałam, największym wydarzeniem był obiad na sześć osób w Monkstown, a moja najdroższa suknia kosztowała siedemdziesiąt pięć funtów i miała prawie cztery lata. A teraz znów jestem sama, to on ze mną zerwał, gotuję na Sycylii i dokonałam pierwszego w moim życiu zakupu pod wpływem impulsu.

Słyszała o impulsywnych zakupach, czytała o nich, ale nigdy czegoś takiego nie robiła i nie zdawała sobie sprawy, jakie to cudowne uczucie. Zawsze sądziła, że to domena głupich kobiet, które mają więcej pieniędzy niż rozumu. Albo głupiutkich dziewczyn bez pieniędzy, które robią sobie straszliwe debety na kartach kredytowych. Nawet jedzenia nie kupowała pod wpływem impulsu. Zawsze miała wszystko starannie zaplanowane. A jednak sama zrobiła dziś coś takiego — i sprawiło jej to wielką przyjemność. Niemal potrafiłaby zrozumieć, co miała na myśli Michelle, kiedy mówiła, że dobrze jest mieć chandrę. A ona, nawet jeśli nie miała chandry, to z całą pewnością nie była w dobrej formie. Według Michelle, większość kobiet kupuje sobie ciuchy, kiedy są w dołku. Ponoć to pomaga. Po raz pierwszy w życiu postąpiła jak większość kobiet — i rzeczywiście pomogło!

Ścisnęła mocniej torbę i kontynuowała swój spacer wąskimi uliczkami miasteczka. Zatrzymała się przy sklepie z makaronami, żeby obejrzeć kilka gatunków o fantazyjnych kształtach, a potem zajrzała do pobliskiego warzywniaka. Spostrzeżenie, że makaron był tu tańszy niż na drugim końcu ulicy, sprawiło, że poczuła się odrobinę bardziej normalna.

Powietrze robiło się coraz bardziej wilgotne i podkoszulek Ash był już całkiem przemoczony. Znalazła zacienioną kamienną ławkę naprzeciwko starego kościoła, usiadła i zamknęła oczy. Śmiechy dzieci, ścigających się wokół placu, mieszały się z muzyką dobiegającą z jednej z kawiarni na świeżym powietrzu. Odgłosy te podziały na nią bardzo kojąco i odprężająco, i pewnie ukołysałyby ją do snu, gdyby ławka nie była taka twarda.

Na myśl o tym, co powiedziałyby Michelle, gdyby się dowiedziała o sukni, Ash uśmiechnęła się do siebie. Jeśli chodzi o robienie zakupów, Michelle uważała ją za absolutnie beznadziejny przypadek. Kiedy po raz pierwszy wybrały się razem do Droghedy, Ash wlokła się z tyłu za Michelle, nie okazując najmniejszego zainteresowania strojami, chociaż zaoszczędziła więcej kieszonkowego i stać ją było na prawie wszystko u Penneya. Ale ona patrzyła

obojętnie na wystawy i powiedziała Michelle, że to wszystko tandeta. Michelle nigdy więcej jej nie poprosiła, żeby poszła z nią do sklepu. Powiedziała jej za to, że jest nienormalna, bo wszyscy uwielbiają robić zakupy.

Teraz jednak musiałaby przyznać, że jestem normalna, pomyślała Ash. Że jestem taka sama jak wszyscy na tym świecie. Szczerze mówiąc, pewnie by pomyślała, że mi odbiło, skoro tyle wydałam na jedną kieckę.

Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Trzeba się ruszyć, pomyślała. Wybrała już sklepy, w których zamierzała kupić wszystkie ingrediencje, i wołała nie czekać aż do lunchu, bo większość z nich może być wtedy zamknięta. Kupiła czosnek i rozmaryn, pieprz, oliwki i kapary do dania z kurczaka, na które się, koniec końców, zdecydowała. Kupiła także pomidory, zieloną paprykę, oberżyny i rozmaite sałatki. Po namyśle postanowiła zrezygnować z makaronu. Na początek zaplanowała podać risotto z owoców morza, a na deser swoją wersję tiramisu, które zawsze miało wielkie powodzenie u jej klientów. Kupiła także trochę świeżych owoców od przydrożnego sprzedawcy, którego zdezelowana niebieska furgonetka załadowana była bananami, morelami, jabłkami, pomarańczami, brzoskwiniami oraz — ku zdumieniu Ash — orzechami kokosowymi. Gdy dokonała już wyboru owoców, sprzedawca dorzucił jej orzecha w prezencie.

Torby okazały się strasznie ciężkie. Włokąc się w dół wzgórza, ku willi, zastanawiała się po drodze, czy pogoda się załame. Powietrze było teraz gorące i tak wilgotne, że miała wrażenie, jakby je piła, a nie wdychała.

— Mój Boże, ale się napracowałam. — Bronwyn weszła do kuchni w chwili, gdy Ash rozpakowywała torby. — Ile osób zamierzasz nakarmić?

— Pięć — odparła Ash. — Tak mi powiedział Dan. Ciebie, twojego chłopaka, twoją matkę, Dana i Jossa.

— Rzeczywiście — przytaknęła Bronwyn. — Ale widzę tu straszne ilości jedzenia.

— Zawsze tak wygląda, póki ludzie nie zaczną jeść. — Ash naląła wody do zlewu i wrzuciła jarzyny.

— O której zamierzasz podać kolację? — zapytała Bronwyn.

— Ósma trzydzieści? — zaproponowała.

— Moim zdaniem, może być. — Bronwyn pokiwała głową. — Wobec tego masz jeszcze czas, żeby posiedzieć chwilę nad basenem.

Ash pokręciła głową.

— Mam mnóstwo roboty. Chcę jeszcze raz obejrzeć jadalnię i taras i sprawdzić parę rzeczy w kuchni. Obawiam się, że nie mam już czasu, żeby się objąć.

— Mówisz, jakbyś została wynajęta do pomocy — narzekała Bronwyn. — A ja myślałam, że jesteś przyjaciółką Dana. Z drugiej strony, nie jestem wcale taka pewna, co Cordelia sądzi o przyjaciółkach Dana poniżej czterdziestki.

— Jestem bardziej jego znajomą niż przyjaciółką — powiedziała Ash. — A Cordelia doskonale wie, że jestem kimś zupełnie nieważnym. — „To tylko kucharka”, tak wyraziła się o niej Cordelia.

— Tak czy inaczej, przyłącz się do nas — zaproponowała Bronwyn. — Nawet nie poznałaś mamy i taty.

— Mam mnóstwo roboty — powtórzyła Ash. — Naprawdę. Bronwyn westchnęła.

— Nie mów później, że cię nie zapraszałam — powiedziała.

— Nie będę. — Ash uśmiechnęła się i znów wzięła się do szorowania jarzyn.

Rozdział 26

Warzywa po sycylijsku

Bób, karczochy, groszek, oliwa z oliwek extra vergine, młoda cebula cienko pokrajana, biały ocet winny, świeża pietruszka grubo pokrajana, sól i pieprz.

Smażyć cebulę i karczochy na oliwie, na małym ogniu, aż zmiękną. Dodać pozostałe składniki. Gotować powoli, póki ocet nie wywietrzeje.

Ash bała się, że zemdleje z gorąca. W willi nie było klimatyzacji i mimo wentylatora w kuchni panował żar jak w piecu hutniczym. Zajrzała po raz kolejny do risorta, a potem wyszła na dwór, żeby powiedzieć Morlandom, że kolacja jest już gotowa.

Matka Dana, Freda, stała na tarasie po przeciwnej stronie niż Joss. Paliła papierosa, a cienka, szarobłękitna smużka dymu wznosiła się spiralnie ku górze. Joss stał oparty o balustradę i patrzył na morze.

Bronwyn oraz jej chłopak, Tony — brunet o budowie rugbyisty — stali przy schodkach, prowadzących w dół, do basenu, w pobliżu miejsca, w którym Ash ustawiła stół. Wszyscy jednomyślnie zdecydowali, że wolą jeść na dworze, czemu trudno się dziwić, skoro było tak gorąco. Późnym popołudniem, kiedy nikogo nie było, Ash w ramach przerwy odważyła się zejść

do basenu, by odetchnąć od upału. Chcąc się tam dostać, musiała przedzierać się przez paprocie i kwiaty zarośniętego ogrodu, obok rzygacza sterczącego z bocznej ściany. Pół lwia, pół ludzka twarz o szeroko rozdziawionej paszczy — rzygacz był tak naprawdę częścią rynny. Ash spróbowała sobie wyobrazić, jak musi wyglądać w czasie deszczu, gdy woda tryska mu z ust, i doszła do wniosku, że chciałaby to zobaczyć.

Basen był niewielki, lecz sensownie usytuowany, tak by łapać jak najwięcej słońca. Ash leniwie zanurzyła w wodzie palce od nóg i pomyślała z żalem, że przyjemnie byłoby popływać. Ale może jutro... A potem wstała, wróciła do domu i zabrała się do roboty.

Kiedy skończyła, wyszła na taras i rozejrzała się za Danem, ale nigdzie go nie było. Bronwyn zobaczyła ją i pomachała do niej.

— Kolacja gotowa — powiedziała Ash. — Gdzie Dan?

— W salonie — odparła Bronwyn. — Rozmawia przez telefon z Cordelią.

— Długo to potrwa? Bronwyn wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak. Odbiło mu na punkcie tej baby.

— Czemu jej tak nie lubisz? — wtrącił się Tony.

— Nie to, że jej nie lubię, ale ona mnie irytuje — odparła Bronwyn. — Na mój gust, jest zbyt apodyktyczna.

— Ja ją lubię — powiedział Tony. — Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą.

— Może. — Bronwyn nie dała się przekonać. — Chodzi o to, że ona jest taka... taka dominująca.

Ash chrząknęła.

— Moglibyście powiedzieć Danowi, żeby krzyknął do mnie, jak skończy — powiedziała. — Wtedy podam kolację.

— O czym oni mogą rozmawiać, do jasnej cholery? — zastanawiała się ze złością Ash, po raz kolejny zmniejszając płomień pod miedzianym rondlem. O planach weselnych? O kłopotach w pracy? A może to bardzo intymna rozmowa telefoniczna?

Nakryła rondel pokrywką. Znowu gotowała dla Dana Morlanda i znów kazał jej czekać. Ostatnim razem dlatego, że kochał się w salonie, gdy ona w tym czasie uwijała się w kuchni. To oczywiste, że się wtedy kochali, bo Cordelia miała w oczach wyraz błęgiego zadowolenia podczas kolacji. Aż do momentu, w którym poprosił ją, żeby za niego wyszła.

Wstępne rozmowy przed zaręczynami! Może i brzmiało to rozsądnie, ale tak naprawdę kto, na Boga, prowadzi przed zaręczynami jakieś wstępne rozmowy? Pomyślała, że sama pew-

nie nigdy nie zajdzie aż tak daleko. Ucieknie od tego nieszczęśnika, zanim będzie miał szansę odchrząknąć.

— O, cześć! — Podniosła oczy, w chwili gdy Dan wchodził do kuchni. — Jesteś już wreszcie gotowy do jedzenia?

— Oczywiście. — Dan spojrzał na nią zaintrygowany. — Są jakieś problemy?

— Nie — odparła. — O ile pamiętam, mówiłeś, że wpół do dziewiątej jest w porządku.

— Tak mówiłem — potwierdził.

— A jest już za kwadrans dziewiąta — powiedziała.

— Piętnaście minut to chyba nie jest przestępstwo? — zapytał, kryjąc uśmiech.

— Nie.

— Ale twoim zdaniem jest, prawda? — zapytał, bo uchwycił źle skrywaną nutę dezaprobaty w jej głosie.

— Nie bądź głupi.

— Jesteś na mnie wściekła, bo wszystko się opóźniło o piętnaście minut. — Głos zadrzał mu od tłumionego śmiechu. — Och, Ash, przepraszam. Nie wiedziałem, że to takie ważne.

— To nieważne — powiedziała sucho. — Ja... chodzi o to, że mam wszystko dokładnie obliczone w czasie.

— Ale chyba musisz być elastyczna — zauważył. — Nic się chyba nie zepsuje z powodu tych piętnastu minut, prawda?

Ash potrząsnęła głową.

— Nie chodzi o jedzenie, tylko o mnie. Zresztą, nie ma sprawy.

— Rozmawiałem z Cordelią — tłumaczył się Dan. — Przepraszam. — Obrzucił Ash badawczym spojrzeniem. — Tamtej nocy, kiedy zrobiłaś dla nas kolację — naszą zaręczynową kolację — też kazałem ci czekać, prawda?

— Tak — odparła.

— Byłaś wtedy zła?

— Och, Dan, to nie ma znaczenia. Dan znowu się roześmiał.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy — powtórzył. — To oczywiście forma buntu, prawda? To dlatego w sposób wręcz maniackalny przestrzegasz punktualności?

Maniackalny? Dlaczego wszyscy nazywają ją maniaczką? Albo dziwadłem? Czemu im na to pozwala? Przecież tak naprawdę wcale taka nie jest. Jest po prostu... inna.

— Idź i siadaj do stołu — powiedziała. — I pozwól, bym mogła cię oczarować swoją kuchnią.

— Za tatę! — Dan odkorkował butelkę Dom Perignon i napełnił szampanem kieliszki. — I za Vannę Savino. Stuknęli się i usiedli.

— To moja najlepsza, jak dotąd — stwierdził Joss. — Łączy w sobie pasję, ogniste temperamenty i mordercze zamiary.

— Jak wszystkie twoje książki — odezwała się Bronwyn. — Dlatego nigdy nie wiem, która jest która.

— Wyrodna córka! — Joss spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem.

— To prawda — przyznała. — Wolę romanse niż krwawe morderstwa.

— Nie przejmuj się, Joss — wtrąciła się Freda. — Polubiłam Vannę od dnia, w którym nie musiałam już z nią mieszkać.

— Dzięki. — Joss dopił swojego szampana.

— Ja też ją lubię — powiedział Dan. — A Cordelia ją kocha. Przeczytała je wszystkie.

— Szkoda, że nie chciało jej się tu przyjechać, żeby to powiedzieć — odezwała się Bronwyn.

— Daj sobie spokój, dobrze? — rzucił Dan. — Wiem, że jej nie lubisz, ale nie musisz ciągle się czepiać. Przecież wiesz, że byłaby tu, gdyby to było możliwe.

— Przepraszam — powiedziała Bronwyn bez cienia skruchy.

— Jak jej się powodzi? — Freda zwróciła się do Dana.

— Świetnie — odparł. — Ciężko pracuje. Robi kurs. Przed powrotem do kraju chce zdobyć jak najwięcej doświadczenia.

— Doświadczenia? W jakim celu? — zapytała Bronwyn. — Irlandia wyda jej się po Wall Street nudna jak flaki z olejem. Te doświadczenia bardziej przydadzą jej się tam, w Stanach.

— Doświadczenie to doświadczenie — powiedział Dan. — Nieważne, gdzie się je zdobywa i gdzie może się przydać.

— Ale co ona zamierza robić po powrocie?

— Pracować u Harrisona. Mają swoje biuro w Dublinie. Nie ma powodu, żeby tam nie pracowała.

— Czy to będzie takie łatwe? — zapytał Joss.

— Oczywiście — odparł Dan. — Jest mnóstwo miejsc pracy w Dublinie.

Ash wyszła na taras i ustawiła przed nimi talerze.

— Wydaje mi się, że Cordelia to bardzo miła dziewczyna — odezwała się Freda, kiedy Ash nakładała im na talerze dymiące risotto. — Mógłbyś trafić znacznie gorzej niż na żonę, która ma życiową pasję.

— Wiem — powiedział Dan.

— Cordelia jest silna, ambitna i wie, czego chce. Nie chciałabym cię widzieć z jakąś szarą myszką, która nie wie, o co jej chodzi. — Freda wzięła butelkę i nalała sobie do kieliszka resztkę szampana.

— Mamo, i ty, i ja wiemy, że Cordelia doskonale wie, czego chce.

— Ja przez długi czas nie wiedziałam. — Freda spojrzała na Jossa. — Straciłam mnóstwo czasu, pielęgnując w sobie zapiekłą nienawiść, chociaż wiedziałam, że stać mnie na coś lepszego.

— Och, Freda, zmień płytę — jęknął Joss. — Za każdym razem to samo!

— Chcę tylko, żeby wiedzieli, jakie to ważne, by być wiernym samemu sobie — powiedziała Freda. — Nawet Bronnie i Tony, choć to taka wspaniała para.

— Mamo, proszę! — Bronwyn splonęła rumieńcem.

Ash obeszła stół, by obsłużyć Jossa, ale oczy miała utkwione w Bronwyn.

— Pilnuj, żebyś nie straciła pracy — mówiła dalej Freda. — Nie bądź nigdy zależna. Oni mogą cię zostawić, wiesz? Albo, co gorsza, mogą cię zastąpić! — Mrużąc oczy, spojrzała na Jossa.

— Ona nie będzie mogła rzucić pracy — powiedział Tony. — Jeśli chodzi o pieniądze, nie jestem w tej samej lidze co Joss.

— Joss też nie był w tej lidze, kiedy z nim byłam — rzuciła Freda. — Nie miał na tyle przyzwoitości, by cokolwiek zarobić, póki nie odeszłam!

— Nie miałem spokoju, żeby cokolwiek napisać, póki nie odeszłaś!

Ash wróciła biegiem do kuchni, zastanawiając się, czy Joss i Freda będą się kłócić. Proszę, nie, błagała, mieszając cytrynę, przecier pomidorowy i wino, żeby polać kurczaka. Proszę, nie psujcie klótnią mojej kolacji.

To ich kolacja, przypomniała sobie, dodając pomidory do dania z kurczaka. Jeżeli chcą rzucać w siebie talerzami, to ich święte prawo. Ale mam nadzieję, że nie chcą. Tak bardzo się napracowałam i chciałabym, żeby wszyscy dobrze się bawili.

Główne danie miało być gotowe za jakieś dwadzieścia minut. Ash otworzyła boczne drzwi i usiadła na kamiennym schodku. Z oddali dolatywały do niej strzępy rozmowy, nie na tyle jednak wyraźne, by mogła wiele zrozumieć.

Może gdybym została z Alistairem, skończylibyśmy jak Freda i Joss. Za bardzo się różnimy, choć próbowałam się przystosować i być dla niego odpowiednią dziewczyną. I choć on próbował być dla mnie tym właściwym facetem. Zagryzła wargi. Może powinnam się zmienić? Ludzie się zmieniają. Zaczynają się wspinać w Himalajach albo wyruszają w samotny rejs dookoła świata. Robią rzeczy, których nikt by się po nich nie spodziewał. Może mam to we krwi, że jestem wędrowcem, a nie człowiekiem osiadłym. Może za bardzo się starałam zmienić swoją naturę.

Zmarszczyła brwi. Trudno jej było wyobrazić sobie siebie wspinającą się w Himalajach albo żeglującą samotnie dookoła świata. Bez trudu za to mogła sobie wyobrazić Julię w takiej roli. Pomyślała, że jej matka uznałaby to za wyzwanie. I pewnie by to lubiła.

Nagle dotarło do niej, że nie poczuła gniewu, jaki towarzyszył jej, ilekroć myślała o Julii. O dziwo, myśl o Julii wspinającej się na Mount Everest po raz pierwszy wywołała na jej twarzy uśmiech.

— Ja cię pierdolę!

Słowa te zadźwięczały tak wyraźnie, jakby Freda Morland wykrzyczała je tuż obok. Ash momentalnie poderwała się i wróciła do kuchni, skąd wychyliła się przez okno, żeby lepiej słyszeć.

— Pierdolę cię, razem z twoimi babami i książkami!

Ash stała jak wryta przy oknie. Wprawdzie głos należał do Fredy, ale słowa wydawały się kompletnie nie pasować do tej eleganckiej damy, jaką wcześniej poznała.

— Robisz to naumyślnie, prawda, ty jebany skurwielu! — Słowom tym towarzyszył brzęk tłuczonego szkła. Ash oczyma duszy zobaczyła, jak jeden z pięknych kryształowych pucharów szybuje w powietrzu i ląduje na tarasie.

— Nie bądź głupia! — Głos Jossa Morlanda był niski i rozkazujący.

— Nie nazywaj mnie głupią, ty... ty... ty pedofilu!

Ash nie wiedziała, co robić. Była to wyraźna kłótnia, podczas której puściły wszelkie hamulce. Niestety, dobrze znała ten rodzaj awantur. Podobne rzeczy przeżywała z Julią, ilekroć jej matka kłóciła się z którymś ze swoich chłopaków. Za czasów ich wspólnego życia przedmioty fruwały w powietrzu dość często — począwszy od filiżanek i spodków po drewniane

ozdoby i naszyjniki z prawdziwych pereł. Teraz czekała na kolejny brzęk tłuczonego szkła i w nagrodę usłyszała huk i szczęk, choć tym razem zabrzmiało to tak, jakby talerz wylądował na kamiennej posadzce.

Zaczęła w zamyśleniu ssać kciuk. Minęło już dwadzieścia minut, odkąd podała przekąski. Główne danie było już dawno gotowe, podobnie jak wyszukana kompozycja z jarzyn. Powinna wobec tego pójść tam i uprzątnąć ze stołu zakąski. Ale nie w czasie kłótni, bo nie zamierza wtrącać się w tę awanturę.

Dała sobie jeszcze pięć minut, a potem ostentacyjnie pomaszzerowała na taras. Przez ten czas niczego już nie słyszała i kiedy zeszła na dół, Morlandowie siedzieli w grobowej ciszy. Ash po raz kolejny doznała uczucia *déjà vu*. Nie tylko ten opóźniony start był taki sam, jak w przypadku kolacji dla Dana i Cordelii. Tym razem poczuła dokładnie to samo, co wtedy, gdy weszła do pokoju po tym, jak Dan oświadczył się Cordelii, a ona mu powiedziała, że wyjeżdża do Stanów. Mimo upału atmosfera była wręcz lodowata.

Na stole brakowało talerza i kieliszka Fredy. Ash rozejrzała się wokoło i zobaczyła rozbity kieliszek na drugim końcu tarasu. Freda musiała rzucić nim w Jossa, ale nie trafiła. Natomiast stłuczony talerz leżał na ziemi, u jej stóp. Ash nie omieszkała odnotować z zadowoleniem, że Freda zjadła wcześniej całe swoje risotto.

Obeszła stół i pozbierała puste talerze.

— Czy mam teraz podać główne danie? — zapytała.

— Ja nic nie chcę — odezwała się Freda. — Nie jestem już głodna.

— Na miłość boską, mamo! — Dan był wyraźnie zły. — Zjedz coś.

— Nie mów tak do mnie — odwarknęła. — Nie chcę nic jeść.

— W porządku, pani Morland. — Ash zamarł głos, gdy sobie uświadomiła, co powiedziała.

— Nie pani Morland! — syknęła Freda. — Pani Forrest. Dan musiał ci powiedzieć, że się rozwiedliśmy. Chociaż trwało to cholernie długo.

— Oczywiście — powiedziała Ash.

— Więc przestań używać tego nazwiska. Nie lubię, kiedy ludzie mnie pytają, czy go znam!

— Oczywiście — powtórzyła Ash, wściekła na siebie. Weszła do domu i wróciła z płytkimi talerzami.

— Pewnie myślisz, że to stosowna okazja? — Freda mówiła teraz do Jossa, który siedział na drugim końcu stołu. — Kolacja, która miała być naszym wspólnym świętem? A tobie się wydaje, że wszystko w porządku, tak? Masz czelność informować mnie, swoją pierwszą i jedyne żonę, a także nasze dzieci, że się pieprzysz z jakąś osiemnastką?

— Nic takiego nie powiedziałem.

— Ale nie możesz powiedzieć, że się z nią nie pieprzysz, prawda?! — cisnęła mu w twarz.

Ash odeszła od stołu i zniknęła w jadalni, gdzie nadal mogła słyszeć każde słowo.

— Jeżeli z nią jesteś, to znaczy, że ją posuwasz, nie mam racji? — mówiła dalej Freda. — Twierdzisz, że przyjeżdżasz tu do pracy, ale jedyne, co rzeczywiście robisz, to rozglądasz się za młódkami do wzięcia, żeby na nich przetestować prawdziwość swoich scen erotycznych!

— Mamo! — powiedział z naciskiem Dan. — Przecież to już nie twoja sprawa. Dobrze o tym wiesz.

— Ale po co on się tym chwali?! — wykrzyknęła Freda. — Arogancki jebaka.

— Bo jest mężczyzną — odezwała się Bronwyn.

— Zaraz, chwileczkę, Bronnie — zaprotestował Tony.

— On jest mężczyzną i gówno go to wszystko obchodzi — ciągnęła dalej Bronwyn. — Nie miałam z niego jako z ojca żadnego pożytku.

— Mimo to nigdy nie odesłałaś pieniędzy, które ci wysyłałem — powiedział Joss.

— Zasłużyłam sobie na nie — odcięła się Bronwyn. — Za to, że musiałam cię znosić.

— Gówno prawda! — uniósł się Joss. — Dan miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby odejść z domu i zarabiać na siebie.

— Ja też na siebie zarabiam! — krzyknęła Bronwyn. — Jak myślisz, po co starałam się o taką dobrą pracę?

— Żebyś mogła w każdej chwili oddać mi pieniądze. Ale tego nie zrobiłaś.

— Już ci mówiłam, że mi się należą — powiedziała Bronwyn.

— Wiedzieliście, że on miał romans, zanim od niego odeszłam? — głośno zapytała Freda. — Oczywiście, że wiedzieliście, chociaż próbowałam to przed wami ukryć. Ale to było niemożliwe.

— Mamo, proszę! — W głosie Dana brzmiała rozpacz.

— Powiedziałam, że go zostawiłam z powodu ksiązek, i oczywiście w pewnym sensie tak było, ale tak naprawdę odeszłam przez tego kurwiszona, z którym się w tamtym czasie spotykał.

— Freda! — ostro powiedział Joss. — Dosyć tego.

— Ale to prawda — upierała się Freda. — Stworzyłeś tę dziwkę Savino na jej wzór i podobieństwo, prawda? Oliwkowa cera, ciemne oczy, ciemne włosy, bujny biust! Ha! Jakbyś nie wiedział wszystkiego o jej bujnym biuście po tym, jak trzymałeś na nim swoje łapska!

Przy stole zapadła głucha cisza. Ash bała się nawet odetchnąć.

— Mamo, jesteś zmęczona — odezwał się Dan.

— Nie jestem zmęczona — oświadczyła Freda. — Powiem wam, że on próbuje zmienić historię. Mówi różne rzeczy, że rozstaliśmy się z powodu presji, jaką była jego praca. Ale on wie, że to kompletna bzdura. Powodem było to, że się spotykał z tą kurwą. Oczywiście nie trwało to długo, bo żadnej z nich nie udało się złapać go na dłużej. I z tą też nie potrwa długo, prawda? Tak czy inaczej, nie dłużej niż do jej dziewiętnastych urodzin! — Urwała zdyszana i przeszła Jossa wyzywającym wzrokiem.

— Zapewniłem wam godziwe życie — powiedział Joss.

— Och, proszę cię! — Freda wzniosła oczy do nieba. — Zapewniłeś mi gówniane życie. Owszem, przyznaję, że później za to płaciłeś, ale to była jedna wielka beznadzieja. Unieszczęśliwiłeś mnie, że już nie wspomnę o tych późniejszych latach, kiedy nie mogliśmy dostać rozwodu, a ty robiłeś z tego powodu piekło.

— Mamo, to nieprawda — odezwał się Dan. — Dobrze wiesz, że tata troszczył się o nas.

— Nie o taką troskę mi chodziło. — Fredzie nagle twarz się skurczyła. — Chciałam, żeby mnie kochał. — Wychyliła się do przodu, położyła głowę na stole i wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

O mój Boże, pomyślała Ash. Co powinnam teraz zrobić?

Z tarasu dobiegły ją odgłosy szamotaniny. Szybko dała nura za kotarę, a potem zobaczyła, jak Dan prowadzi Fredę przez jadalnię. Kiedy zniknęli, wyszła ze swojej kryjówki i z wahaniem przystanąła przy otwartych drzwiach na taras.

— Świetna robota, tato. — Głos Bronwyn był nabrzmiały furiją. — Co cię, na Boga, opętało, żeby jej opowiadać o swojej ostatniej smarkatej kochance? I to akurat dzisiaj?

— Ona powinna o tym wiedzieć — powiedział Joss.

— Nie! Wcale tak nie uważam.

Ash usłyszała szuranie odsuwanej krzesła i znowu skryła się za kotarą. Bronwyn prze-maszerowała przez jadalnię, a kilka sekund po niej pojawił się Tony.

Czyli na dworze został już tylko Joss, pomyślała. Czekala, aż on też opuści taras, ale się nie doczekała. A potem napłynął do niej słodki zapach tytoniu fajkowego. Wyglądało na to, że nikt nie będzie jadł jej kurczaka po włosku w sycylijskich jarzynach. Ani jej autorskiego tiramisu.

Wzięła półmisek i zniosła go z powrotem do kuchni.

Pół godziny później Dan otworzył drzwi do kuchni. Ash jadła właśnie resztki risotta z owoców morza. Szybko przełknęła i wszystko poszło w dół nie tędy, co trzeba. Rozkaszała się i oczy zaszczyły jej łzami.

— Proszę. — Dan nalał do szklanki wody z dzbanka.

— Dzięki — odparła, kiedy kaszel ustąpił.

— Muszę cię jeszcze raz przeprosić — powiedział.

— Nie.

— Ależ tak — nalegał. — Tego nie było w planach. Tata zachowuje się czasami jak ostatni palant.

— Czy ona była pijana?

— Nie — odparł. — Tylko wściekła, że wybrał dzisiejszy wieczór, żeby nam powiedzieć, że ma nową dziewczynę.

— Przecież mi mówiłeś, że twoja matka znalazła sobie przyjaciela — przypomniała mu Ash.

— Tak, ale dziewczyna Jossa ma osiemnaście lat — powiedział.

— Tak, słyszałam — przyznała.

— Matka dostała szału. — Dan westchnął. — Wszyscy myślą, że to Joss ma kapryśne usposobienie, tymczasem to mama jest niezrównowazona. Dlatego nie mogła z nim żyć. Kiedy ona chciała się kłócić, on zamykał się w sobie. Ignorował ją i wycofywał się do swojego gabinetu, a jej mówił, że pisze. W połowie przypadków był to tylko pretekst, żeby zejść jej z oczu.

— Ale czemu to dla niej ciągle takie ważne? — zapytała Ash.

— Nie wiem. — Dan oparł się o ścianę. — Nie wiem też, co usłyszałaś, Ash, ale kiedy ona go zostawiła, prawdziwym powodem była dziewczyna, a nie jego książki. Wszyscy udawaliśmy, że chodziło o książki, bo matka tego chciała, a oni mimo wszystko byli w jakiś sposób ze sobą związani. Matka, nawet po swoim odejściu, nie przestała kochać taty. Może po prostu

nie można przestać kogoś kochać? Ona wiedziała, że musi wyplątać się z tego związku i zrobiła to, ale Joss nadal jest dla niej tym mężczyzną, którego poślubiła. — Potarł czoło. — Może człowiek wciąż od nowa próbuje zastąpić tę samą osobę, chociaż wie, że one wszystkie są nieodpowiednie. Ona nigdy się z tym nie pogodziła, że zastąpił ją dziewczyną o tyle młodszą, nawet jeśli nie trwało to długo. A teraz ojciec znowu robi coś takiego — co za idiota!

— Dan, ja nie muszę o tym wiedzieć — powiedziała Ash. — Strasznie mi przykro, że się nie udało.

— Och, to się zdarza. — Dan nagle się uśmiechnął. — Trzy lata temu też mieliśmy awanturę przy kolacji na cześć ostatniej kropki, ale już nie pamiętam, o co poszło. Matka rzucała w niego nożem — na szczęście nie umie celować, a poza tym to był nóż do masła. Co tam, machnijmy na to ręką. Ona o tym zapomni, a tata też szybko o wszystkim zapomina, bo przez większość czasu chodzi z głową w chmurach. I o tej biednej, nieszczęsnej osiemnastce także zapomni. I ona o nim też, miejmy nadzieję.

— Miejmy nadzieję — powtórzyła Ash.

— Zadałaś sobie tyle trudu — powiedział — a my nawet nie spróbowaliśmy głównego dania!

— To może poczekać — pocieszyła go Ash. — Możecie to sobie odgrzać jutro.

— Ale to nie to samo, prawda?

— Czasami warto poczekać, bo to poprawia smak — powiedziała.

Rozdział 27

Kurczak po włosku

Kurczak, pomidory, przecier pomidorowy, czosnek, bazylia, oregano, białe wytrawne wino, cytryna, oliwki, sól i pieprz, oliwa z oliwek.

Zrobić marynatę z czosnku, bazylii, oregano, soku z cytryny, soli, pieprzu i oliwy. Pokroić kurczaka na kawałki, natrzeć marynatą i schłodzić. Obsmażyć kurczaka. Zmieszać sok z cytryny z przecierem pomidorowym i winem, wylać na kurczaka, dać pomidory. Wrzucić zioła i dusić na małym ogniu. Kilka minut przed podaniem dodać przepołowione oliwki i dusić jeszcze przez chwilę.

Gdy kilka godzin później Dan zapukał do jej drzwi, Ash siedziała w swoim pokoju. Lekki wietrzyk wpadał przez otwarte okna. Otworzyła i powiedziała:

— Cześć!

— Mogę wejść? — zapytał.

Otworzyła szerzej drzwi. Dan wszedł i usiadł w fotelu przy oknie.

— Mama wyprowadziła się do hotelu na końcu drogi. Oczywiście tata za to płaci. A tata pojechał do miasta, pewnie po to, żeby się zobaczyć ze swoją najnowszą kochanką. Bronwyn i Tony też gdzieś poszli. A ja przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że zjadłem trochę przyrządzonego przez ciebie kurczaka i był naprawdę przepyszny. A jeśli chodzi o jarzyny — dorzucił z uśmiechem — prawdziwe niebo w gębie!

Ash uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że ci smakowało.

— Żałuję, że nie potrafiliśmy zachowywać się przyzwoicie na tyle długo, żeby wszyscy mogli spróbować twojego kurczaka.

— To nie ma znaczenia — powiedziała.

— Chciałem, żeby wszystko się udało. — Dan westchnął. — Myślałem, że będzie idealnie — dorzucił i posmutniał. — Moje osiągnięcia, jeśli chodzi o organizację kolacji, nie są zbyt imponujące, prawda?

— Raczej nie — przyznała. — Ale któregoś dnia ugotuję coś dla ciebie i może uda ci się dotrzeć do deseru.

— Założę się, że w moim przypadku ma to jakieś głębsze podłoże psychiczne — stwierdził ponuro. — Organizuję te kolacje z poczucia wspólnoty rodzinnej, które jest kompletnie chybione, a wszystko dlatego, że nasza rodzina się rozpadła.

— Pewnie tak — przyznała Ash. — Moja psycholog ciągle mówiła o moim rozbitym dzieciństwie. Albo raczej próbowała nakłonić mnie, żebym o nim mówiła. Sam wiesz: „Dlaczego uważasz, że jesteś kompletnie stuknięta, Aisling?”

— Zobaczysz, że jeszcze nas pokażą w telewizji — powiedział Dan. — Jako dzieci neurotycznych rodziców.

— Dobrze, że nie powiedziałaś „neurotyczne dzieci neurotycznych rodziców” — stwierdziła Ash. — Zwłaszcza po moim wykładzie o punktualności.

Dan roześmiał się.

— To też musi mieć jakieś głębsze podłoże.

— Tego jestem pewna. — Ash westchnęła.

— Szkoda, że nie bawiłaś się tu zbyt dobrze.

— Nic podobnego! — Spojrzała na niego ze zdumieniem. — To był wspaniały dzień, nawet jeżeli nikt nie tknął moich potraw! Pochodziłam po mieście i po sklepach, i nawet kupiłam sobie sukienkę, chociaż nigdy nie kupuję sukienek. Naprawdę świetnie się bawiłam.

— Miałaś bardzo mało czasu, żeby się bawić — zaprotestował.

— Kiedy mnie bawi gotowanie — powiedziała z uśmiechem. — Wiem, że musi ci się to wydać szaleństwem, ale uwielbiam gotować. A gotowanie włoskich dań na Sycylii to fantastyczna sprawa.

— Ale to jednak twoja praca — stwierdził. — Za którą, oczywiście, należy ci się zapłata. — Wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

— Nie bądź głupi! — oburzyła się Ash. — Wystarczy, że mnie tu sprowadziłeś.

— To śmieszne — powiedział. — Ja oczekiwałbym wynagrodzenia za swoje porady maklerskie bez względu na to, czy mój klient zarobił jakieś pieniądze czy nie. Dlatego należy ci się zapłata za gotowanie, bez względu na to, ile kto zjadł. Twój czas to pieniądz.

— Dan, jeżeli wypiszesz czek, podrę go.

— Wobec tego dam ci lepiej gotówkę. — Dan uśmiechnął się do niej.

— Ją też podrę. Poza tym nadal jestem ci winna pieniądze. Od tamtej nocy w „K Club”. Kiedy kupiłeś mi los na loterii.

— Na miłość boską, Ash.

— Mówię serio — powiedziała z uśmiechem. — Nawet jeżeli nic nie wygrałam.

— Skoro tak, spróbuję cię namówić, żebyś została tu jeszcze przez kilka dni, ale pewnie też nie będziesz chciała.

— Wzięłam sobie wolny poniedziałek — powiedziała Ash. — Ale mam imprezę we wtorek. Cały jutrzejszy dzień jestem wolna, ale prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy nie zamienić biletu i nie polecieć jutro wieczorem. Nie wydaje mi się...

— Proszę, nie próbuj niczego zamieniać — namawiał ją Dan. — Zostań do poniedziałku.

— Będę wam przeszkadzać — powiedziała. — Nic podobnego — zapewnił ją Dan.

— Posłuchaj, Dan, twoja rodzina przechodzi tu coś w rodzaju traumy. Niepotrzebni wam jacyś obcy ludzie.

— Nie jesteś obca — powiedział. — A poza tym z chwilą, gdy mama przeprowadziła się do hotelu, zniknął katalizator naszych kłótni. I nie miej takiej zaszokowanej miny — dorzucił. — Przecież będziemy ją codziennie widywać.

— Ona nie wygląda na kobietę z rodzaju tych, co tak łatwo się rozklejają — powiedziała Ash.

— Wiem. Ale nigdy tak naprawdę nie wybaczyła tacie, że po tym, jak go rzuciła, odniósł sukces. Ma też rację co do Vanny Savino — ojciec miał romans z włoską studentką, kiedy pisał pierwszą książkę. Szczerze mówiąc, nie należał do najwierniejszych mężów.

Ash popatrzyła na niego ze współczuciem.

— Tak czy inaczej — stwierdził radośnie — Joss to Joss, a ja to ja. Dobrze wiem, jak to wygląda, kiedy wszystko zaczyna się walić.

— Tak samo jak ja — przyznała z goryczą Ash. — Nawet jeśli Julia nie posunęła się aż tak daleko, żeby mieć męża.

Dan roześmiał się.

— Spędzisz z nami cały jutrzejszy dzień, dobrze? Pokiwała głową.

— Bardzo bym chciała. Marzę o tym, żeby popływać w waszym basenie.

Kiedy się obudziła następnego ranka, dom był pogrążony w ciszy. Umyła się szybko i ubrała, porwała z kuchni kilka croissantów i wymknęła się z domu, zanim ktokolwiek zdążył się pojawić na horyzoncie.

Ash żyła dotąd w przeświadczeniu, że przywykła do rodzinnych dramatów. Tymczasem okazało się, że wygląda to zupełnie inaczej, gdy w grę wchodzi obca rodzina. Na podstawie tego, co Dan jej wcześniej opowiadał, wyobraziła sobie Fredę jako oddaną matkę, walczącą o

dobro dzieci. Tymczasem Freda bardzo różniła się od tej potulnej kobiety, jaką sobie wymyśliła. Okazała się także zupełnie inna, niżby to sugerował jej wygląd. Ash nadal nie mogła pojąć, jak tak elegancka dama w jednej chwili mogła się zmienić w furiatkę, która krzyczy i rzuca talerzami.

A jednak, cokolwiek by mówić, ta dziewczyna ma zaledwie osiemnaście lat. Idąc stromą drogą w stronę miasteczka, Ash uśmiechała się do siebie. Joss przekroczył już sześćdziesiątkę. Trzeba mu to przyznać, że był atrakcyjny, ale czym, na Boga, kierowała się taka osiemnastolatka, decydując się na romans z facetem po sześćdziesiątce? Czyżby chodziło jej o pieniądze? Pewnie w sumie sprowadza się to do pieniędzy, pomyślała, uskakując z drogi przed pędzącą z dużą prędkością niebieską vespą, prowadzoną przez dziewczynę w dżinsach i górze od bikini. Gazety codziennie pełne są historyjek o podstarzałych facetach oraz ich zdobycznych żonach bądź przyjaciółkach. Czy to możliwe, że i Alistair uważał ją za swoje trofeum? Po namyśle doszła do wniosku, że chyba jednak nie. Jest przecież za stara, żeby można było się nią chwalić jak jakimś trofeum! Gotowa była się założyć, że jego następna dziewczyna będzie od niej młodsza. Ta dziewczyna na zdjęciu w gazecie wyglądała na młodszą.

Odgarnęła z czoła kosmyk mokrych włosów. Tego dnia powietrze było bardziej niż kiedykolwiek przesycone wilgocią i skóra Ash lśniła od potu. Kupiła sobie loda (to prawda, że lody są tu smaczniejsze niż gdzie indziej), a potem poszła ulicą prowadzącą pod górę do greckiego amfiteatru, gdzie zapłaciła przy kasie, żeby móc zwiedzić ruiny.

Widok był naprawdę imponujący. Stała na najwyższej kondygnacji teatru i przez wyrwy w zniszczonych murach patrzyła na leżące w dole miasto. Białe i różowe wille i domy tłoczyły się u stóp gór, a błękitne morze połyskiwało srebrzyście przez poranną mgiełkę.

Obeszła amfiteatr dokoła i odkryła, że jeśli spojrzeć w kierunku morza, można dostrzec pomiędzy drzewami dach Villa Rosa, kryty dachówką w kolorze ochry. Dom wyglądał tak spokojnie i zacisznie, że nikt by nawet nie podejrzewał, iż jest sceną wstrząsającego dramatu.

Po zwiedzeniu amfiteatru poszła wąską ulicą w dół, zatrzymując się po drodze przy sklepikach z pamiątkami, żeby nabyć kilka ceramicznych talerzy z widokami Mediny, symbolem tej wyspy, a także parę bryłek lawy i oliwę z oliwek dla sąsiadów. Kupiła też ceramiczny kafelek z napisem *Attenti al Gatto*, czyli „Uwaga, zły kot!”, choć nie miała wcale pewności, czy pstry kafelek będzie dobrze wyglądał w jej mieszkaniu, urządzonego w jasnych żółciach i bieli. Kupiła go jednak, bo dobrze wiedziała, że kiedy wróci, Bajgiel będzie na nią zły — czyli będzie musiała trochę uważać!

Nagle poczuła głód. Na ulice wyległy teraz całe rodziny, odbywające poranną przechadzkę mimo ciemnych chmur, które zaczęły napływać zza wzgórz. Nadal jednak było bardzo ciepło. Ash znalazła wolne miejsce w kafejce na chodniku i zamówiła cappuccino oraz słodkie placki, dziwiąc się samej sobie, że bierze coś do jedzenia. Przecież poranne croissanty były przepyszne i nie tak dawno temu jadła lody, więc czemu już zgłodniała?

Cappuccino było gorące i aromatyczne. Ostrożnie rozerwała torebeczkę z cukrem, wysypała go na białą piankę i zaczęła wolno mieszać łyżeczką, wdychając przy tym kawowy aromat.

— Ash!

Nie zauważyła Dana, który wszedł na rynek od drugiej strony. W czarnym podkoszulku i jasnoniebieskich dżinsach, z ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, wyglądał zupełnie jak Sycylijczyk.

— Cześć, Dan! — Pomachała mu leniwie.

— Jak się masz? — Przysunął sobie wiklinowe krzesło i usiadł przy jej stoliku. — *Bier-ra, per favore* — zwrócił się do kelnera, który natychmiast przybiegł, żeby go obsłużyć.

— Spragniony? — zapytała Ash.

— Muszę się napić piwa — odparł, wyciągając przed siebie nogi. — Przez dwie godziny próbowałem mediacji między mamą a tatą. Co się dzieje z tymi rodzicami? Człowiek sobie wyobraża, że jedno z nich — albo oboje — powinno już do tej pory trochę zmądrzeć, ale kiedy ich słucham, mam wrażenie, jakbym słyszał ich rozmawiających ze sobą dwadzieścia lat temu.

— Dlaczego twoja mama nadal spotyka się z twoim tatą, skoro wie o jego kobietach i tak ją to denerwuje? — zapytała Ash.

Dan wzruszył ramionami, wziął swoje piwo od kelnera i pociągnął spory łyk.

— Autodestrukcja? — stwierdził. — Odnoszę nieodparte wrażenie, że bez względu na to, co mama próbuje nam wmówić, lubi ten powiew nieobliczalności, jaki zawsze wnosi ze sobą tata. Lubi także świadomość, że jest jedyną kobietą, z którą wziął ślub.

Ash roześmiała się.

— Jeżeli chodzi o mnie, wolę przewidywalność. Ale doskonale rozumiem, że twój tato może się podobać. Jak na swój wiek, jest w świetnej formie.

— Wiem — westchnął ze smutkiem Dan. — Gdybym był choć w połowie tak dobry...

— Nie widzę powodu, żeby nie miało tak być — powiedziała. — Jesteś bardziej podobny do niego niż do swojej mamy.

— Miło mi — powiedział. — Chyba...

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc, jak faluje tłum na rynku.

— Szukałem cię, bo chciałem cię zapytać, czy miałabyś dziś ochotę trochę pozwiedzać — odezwał się Dan po jakimś czasie. — I czy zjadłabyś ze mną wieczorem kolację. Obiecuję ci, że nie będziesz musiała gotować. Chciałbym ci w jakiś sposób podziękować, skoro twierdzisz, że podarłabyś mój czek.

Ash po namyśle pokręciła głową.

— To miło z twojej strony, ale zjem później pizzę albo coś w tym rodzaju. Nie musisz też pokazywać mi wyspy, Dan.

— Ale to piękna wyspa — zaprotestował. — Warto coś więcej zobaczyć.

— Tym się nie kłopotz. Naprawdę.

— To żaden kłopot — powiedział. — Ja to lubię.

— Ja... wobec tego w porządku — powiedziała szybko, z obawy, że mogłaby zmienić zdanie, a przecież szkoda byłoby stracić taką okazję. — Czemu nie?

Dan przywołał kelnera, zapłacił za swoje piwo oraz kawę i placki Ash, po czym wyprowadził ją za miasto, gdzie zaparkował fiata.

— To wóz taty — powiedział, otwierając drzwi. — On nigdy nie prowadzi.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Niech to będzie niespodzianka — odparł.

Nie powiedziała mu, że nie lubi niespodzianek. Rozsiadła się wygodnie i pozwoliła mu zawieźć się tam, gdzie tylko miał ochotę, czyli — jak się okazało — coraz wyżej i wyżej wzgórzami, ku stromym stokom Etny. W końcu po pokonaniu serii ostrych zakrętów wjechali do małej wioski, przysypanej sadzą.

— Etna ostatnio nie wybuchała — wyjaśnił Dan. — Ale przez cały czas wyrzuca popiół i sadzę.

— To wygląda niesamowicie — stwierdziła Ash.

Nagle samochód podskoczył i stanął w poprzek drogi. Chwyciła Dana kurczowo za rękę i krzyknęła, a on walczył z kierownicą, próbując zatrzymać wóz.

— Co to było? — zapytała. Serce waliło jej jak szalone.

— Opona — powiedział. — To nie do wiary. — Wysiadł i obejrzał przednie koło. — Nie wiem, jak to się stało — zawołał do Ash — ale już po niej.

— Masz zapasową? — spytała.

— Oczywiście, że tak.

Wysiadła z samochodu, żeby Dan mógł podnieść go lewarkiem. Tu, w górach, było wprawdzie chłodniej, ale powietrze miało smak popiołu i spalenizny. Co opętało tych ludzi, pomyślała, żeby zamieszkać w takim miejscu, kiedy bliżej wybrzeża jest tak pięknie?

— To potrwa chwilę. — Dan mocował się ze śrubami na kole.

— Czy nie należało ich poluzować, kiedy wóz stał na ziemi? — zapytała.

— Tak właśnie zrobiłem — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Ale widocznie za mało.

Usiadła na kamieniu, czekając, aż Dan zmieni koło, i udawała, że nie słyszy jego stłumionych przekleństw. Kiedy wreszcie skończył, zaproponowała, by zrezygnować z dalszej wyprawy na Etnę i wrócić do Villa Rosa, żeby mógł się umyć.

— Wiesz co, ja naprawdę chciałbym choć raz zabrać cię gdzieś, ale żeby nasza wyprawa nie skończyła jakimś nieszczęściem — powiedział. A potem zawrócił i pojechali w przeciwnym kierunku.

— Wygląda na to, że przynoszę pecha — stwierdziła. — Przepraszam.

— Nie szkodzi — odparł. — Wybierz się ze mną dziś wieczorem na kolację, a pechowi pozwól odpocząć.

Ash protestowała przeciwko planom wspólnej kolacji, gdyż sądziła, że tak wypada, a nie dlatego, że nie chciała się wybrać. Kiedy Dan powiedział jej, że zarezerwował stolik w najbardziej eleganckiej restauracji w sąsiedztwie, uznała to za żart. Ale on wcale nie żartował, a ona ucieszyła się w duchu, że będzie miała okazję nałożyć nową sukienkę, choć żałowała, że nie ma odpowiednich bucików, które by do niej pasowały. Przywiozła wprawdzie parę lekkich sandałków bez pięt, ale były już bardzo znoszone, a tak piękna nowa sukienka zasługiwała na coś lepszego. Będą jednak musiały wystarczyć, bo prócz nich zabrała tylko adidas. A choć wiele kobiet potrafiłoby zrobić wielkie wrażenie, wkładając tenisówki do wieczorowej sukni, ona z pewnością nie była jedną z nich.

W uszy wpięła srebrne kolczyki, ale nie włożyła nic na szyję. Sukienka miała na tyle mały dekolt, że nie było to konieczne, a jedyny łańcuszek, jaki miała, czyli złoty naszyjnik kupiony przez Alistaira po premierze filmu, i tak do niej nie pasował.

Na myśl o Alistairze serce ścisnęło jej się w piersi. Gorące łzy napłynęły do oczu i pociekły po policzkach. Nagle sobie uświadomiła, że kiedy wróci do Irlandii, już go nie będzie. Nie będzie nagrań na automatycznej sekretarce ani e-maili w komputerze, nie będzie telefonów z zapytaniem, co robi. Czuła, że będzie jej tego wszystkiego brakowało. Podobnie jak świad-

mości, że jednak kogoś ma. Nagle poczuła się taka opuszczona i samotna. Nigdy by nie przypuszczała, że w ogóle jest zdolna do takich uczuć. Miała rację, że nie chciała się angażować. Kiedy się jest zaangażowanym, a potem się zrywa, ból jest bardzo dotkliwy. Czowała, jak teraz nią targa i przenika na wskroś.

Położyła się na łóżku i ukryła twarz w poduszce. Byłam straszliwą idiotką, powiedziała sobie. Nawet nie próbowałam sprawić, żeby mnie pokochał. Więc jak mogę mieć do niego pretensje, że mnie zostawił? Co będzie, jeżeli już nigdy nikogo nie spotkam? Ta myśl wręcz ją poraziła. Usiadła i zarzuciła na ramiona białą kapę. Co będzie, jeżeli nikt inny mnie nie zechce? Była to wizja mrożąca krew w żyłach. Założyła sobie przecież, że któregoś dnia zjawi się ktoś, gdzieś tam, kto spełni jej wygórowane wymagania, ale teraz zdała sobie sprawę, że to bardzo wątpliwe. Jeżeli nie potrafiła wytrzymać z Alistairem Branniganem, to kto jej zostaje? Gdyby tylko nie była taką — by użyć cudzych słów — dziwaczką. Gdyby nie myślała o Julii zamiast o swoim chłopaku. Bo tak naprawdę, pomyślała, zalewając się łzami, które spływały jej po policzkach i wsiąkały w prześcieradło, ile kobiet przy zdrowych zmysłach myśli o matce, leżąc w łóżku ze swoim chłopakiem?

Mimo to za każdym razem, kiedy zaczynała się z kimś spotykać, myślała o Julii. A kiedy zaczynało się to przeradzać w coś poważniejszego, także myślała o Julii. I za każdym razem, kiedy całowała ich i mówiła do widzenia, też myślała o Julii. Myślała także o chłopakach Julii i zastanawiała się, która z nich obu, ona czy Julia, miała rację.

Żadna z nich — uświadomiła to sobie z bólem. Była dokładnie tak samo beznadziejna, jak Julia, jeśli chodzi o mężczyzn.

I pewnie za każdym razem, kiedy z nimi zrywała, żeby chronić siebie, sprawiała im dotkliwy ból. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogliby z tego powodu cierpieć. Wyobrażała sobie, że każdy z nich szybko zdołał się z tym uporać. Ale dlaczego właściwie tak myślałam?, pytała samą siebie. Dlaczego? Czemu oni mieliby być inni niż ja?

Przez te ciągłe starania, by uchronić się przed cierpieniem, tylko unieszczęśliwiała innych. A koniec końców i tak nie zdołała się obronić. Przypomniała sobie tę noc w „K Club” z Danem, kiedy jej powiedział, że cierpienie jest nieodłączną częścią miłości. Nie chciała, by tak było, ale to prawda! Jak w ogóle mogła myśleć inaczej?

Znów położyła się na łóżku z zamkniętymi oczami. Ale ze mnie debilka, pomyślała. Nic dziwnego, że ludzie nie za bardzo mnie lubią.

Z tego, że zasnęła, zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy obudził ją jakiś raptowny odgłos. Spojrzała na zegarek przy łóżku i z przerażeniem stwierdziła, że za piętnaście minut powinna się spotkać z Danem. Mieli przecież pójść na kolację do supereleganckiej restauracji. A tak naprawdę nigdy w życiu nie miała mniejszej ochoty na kolację w restauracji.

Może wystarczy, jeżeli mu powiem, że nie czuję się zbyt dobrze, pomyślała. Wstała z łóżka i obejrzała się w lustrze. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, a policzki całe w plamach i smugach od łez. Nie wyglądała jak osoba, z którą chciałoby się pójść na kolację. A Dan pewnie, tak czy inaczej, wcale nie miał na to ochoty. Jednak zaproponował jej to i nawet zarezerwował stolik. Dlatego powiedzenie mu kwadrans przed wyjściem, że nie ma ochoty nigdzie iść, zakrawałoby z jej strony na egoizm raczej niż na wielkoduszność.

Pójdę z nim na kolację, powiedziała sobie. Przecież mu to obiecałam. I będę się starała być dla niego miła. Choć raz przestanę myśleć o tym, jak ja się czuję, spróbuję za to zainteresować się tym, jak czuje się ktoś inny.

Ochlapała twarz zimną wodą, a do oczu wpuściła kilka kropli Optrexu. Wciąż były zaczerwienione, ale nie przypominały już tak bardzo świateł stopu, jak przedtem. Przetrzęsła torebką w poszukiwaniu podkładu — zazwyczaj nie zaprzętała sobie tym głowy, ale teraz musiała poprawić swój wygląd — a potem rozsmarowała go koniuszkami palców. Gdy pociągnęła szminką usta, wyglądała już całkiem znośnie.

Wślizgnęła się w granatową suknię i włożyła sandaalki bez pięt.

— Teraz rzeczywiście wyglądam całkiem nieźle — powiedziała do siebie, patrząc na swoje odbicie w lustrze ukazującym całą sylwetkę. — W przeszłości ani trochę nie dbałam o stroje. Tyle straciłam, nie robiąc zakupów, bo nie uważałam tego za zabawę, lecz za przykry obowiązek. Może jeśli potrafię się w przyszłości zmienić, uda mi się nawet polubić zakupy? W końcu kupno tej sukni sprawiło mi autentyczną przyjemność!

Wzięła torebkę i przeszła krótkim korytarzem do salonu, gdzie siedziała Bronwyn i czytała numer „Hello!”

— Mój Boże — wykrzyknęła na widok Ash. — Wyglądasz... zupełnie inaczej!

— Dzięki — sucho rzuciła Ash, mając wciąż przed oczyma swoją opuchniętą twarz.

— Ale w dobrym sensie — powiedziała Bronwyn. — Co za przepiękna suknia! Gdzieś ty ją kupiła?!

— Tutaj — odparła Ash. — Wczoraj.

— Wyglądasz w niej fantastycznie. — Bronwyn otaksowała ją wzrokiem. — Wyglądasz świetnie, ale... Dobrze się czujesz?

— Czemu pytasz? — zaniepokoiła się Ash.

— Tak bez powodu. — Bronwyn zauważyła, że oczy Ash mają czerwone obwódki. — Nie zwracaj na mnie uwagi. Jaki nosisz rozmiar?

— Dwunastkę — powiedziała Ash. Zawahała się, a potem mówiła dalej: — Ale jestem dość szeroka w biodrach, czego nie znoszę. Muszę się wbijać w bardziej dopasowane rzeczy.

— Nie wyglądasz, jakbyś miała szerokie biodra — stwierdziła Bronwyn.

— Ale je mam — upierała się Ash. — Mam też krótkie paznokcie. — To chyba jest w porządku, pomyślała. Można porozmawiać z kimś o sukienkach i paznokciach, nie robiąc z siebie idiotki. — Staram się ich nie obgryzać i na ogół mi się to udaje, ale nie potrafią ich zapuścić. A tak bym chciała mieć długie, eleganckie paznokcie.

— Noś sztuczne — poradziła jej Bronwyn.

— Za dużo kłopotu — powiedziała Ash. — Ze względu na gotowanie, i tak dalej, muszę je dość krótko obcinać. Ale chciałabym mieć długie paznokcie, to wszystko.

— To wczorajsze risotto było przepyszne — powiedziała Bronwyn. — Tak samo jak kurczak. Dziś spałaszowaliśmy wszystko co do okruszynki. A deser! Genialny! — Uśmiechnęła się. — Przeraziliśmy cię tą kłótnią?

Ash potrząsnęła głową.

— Biedna mama — westchnęła Bronwyn. — Na ogół jest fantastyczna, ale czasami się zapomina. Tata ma na nią najgorszy wpływ na świecie. Kiedy nie ma go w pobliżu, jest absolutnie sensowną osobą.

— Po co w ogóle robicie te imprezy z okazji każdej książki — zapytała Ash — skoro wasza mama zawsze się tak denerwuje?

— Nie zawsze — odparła Bronwyn. — Poza tym ona lubi utrzymywać kontakt z tym sukinsynem, bo chce, żeby jej coś zapisał w testamencie.

— Och, Bronwyn, to nie może być tylko sprawa czystego wyrachowania.

Bronwyn wzruszyła ramionami.

— Może tak, a może nie.

— Cześć, dziewczyny. Jesteś gotowa, Ash? O rany! — Dan wkroczył do pokoju i zamarł, wpatrzony w Ash. — Wyglądasz cudownie — powiedział po chwili.

— Właśnie jej to mówiłam — odezwała się Bronwyn. — Ale ona twierdzi, że ma za szerokie biodra.

— Stąd, gdzie stoję, tego nie widać — powiedział.

— Ale jestem za gruba w biodrach — upierała się Ash.

— Ach wy, kobiety! — Zdegustowany Dan spojrzał na Ash i siostrę. — Zawsze coś jest nie tak. Cordelii, na przykład, nie podoba się jej nos.

— Nic dziwnego — mruknęła Bronwyn, a Dan przeszył ją morderczym spojrzeniem.

— Idziemy? — zwrócił się do Ash.

Skinęła głową i powiedziała Bronwyn do widzenia.

— To tylko pięć minut spacerkiem — tłumaczył Dan — więc pomyślałem sobie, że lepiej iść pieszo, niż brać samochód.

— W porządku — powiedziała, kiedy wyszli na dwór, gdzie powietrze było gęste i ciepłe jak zupa. W drodze do restauracji nie rozmawiali ze sobą. Ash żałowała, że nie zaproponowała, żeby jednak wziąć samochód, bo jej sandaalki nie nadawały się do niczego innego poza prezentowaniem ich na nogach. A już chodzenie w nich z całą pewnością nie mieściło się w założeniach projektanta. Na szczęście, okazało się, że Dan mówił prawdę, i w niespełna pięć minut dotarli do restauracji, która, jak wszystko inne, położona była poniżej głównej drogi.

— Zobaczysz, że ci się spodoba — powiedział Dan. — Jestem pewny, że tak. Przychodzą tu wszyscy, którzy są kimś w Taorminie.

— A twój tata? — zapytała.

— Och, tata! — prychnął zdegustowany. — Tata siedzi w domu ze swoimi książkami i szynką i nie ma głowy do innych spraw.

— Poza osiemnastoletnimi panienkami — powiedziała Ash, kiedy przekraczali bramę.

Rozdział 28

Befszyki z pomidorami, mozzarellą i bazylią

Mięso na befszyki, sól i pieprz, czosnek, pomidory, ser mozzarella, świeża bazylia.

Zmiażdżyć czosnek i przysmażyć. Dodać mięso i piec, aż będzie miękkie. Położyć plasterki pomidora na każdym befszyku i przyprawić. Na to położyć listki bazylii i plaster sera mozzarella. Piec pod gorącym grillem, aż pomidor będzie ciepły, a ser się roztopi.

Była to naprawdę piękna restauracja. Podobnie jak Villa Rosa, miała taras wzdłuż całej długości, ale ten wychodził na okrągłą platformę, na której, jak mówił Dan, urządzano czasami tańce.

— Czuję się, jakbym była na planie *La Dolce Vita* czy coś w tym rodzaju. — Ash z zaciekawieniem rozejrzała się dokoła. — Wszyscy wyglądają fantastycznie.

— Ty też — powiedział Dan.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się do niego. Kelner zaprowadził ich do stolika na nastrojowo oświetlonym tarasie. — Och, Dan, tu jest naprawdę przepięknie. Co prawda w zupełności wystarczyłaby mi pizza, ale tu jest cudownie.

— Wiedziałem, że ci się spodoba — powiedział. — A jedzenie jest tu doskonale.

Spojrzała na niego wyczekująco.

— O co chodzi? — zapytał.

— Czekam, aż mi powiesz, że znajdę tu mnóstwo nowych pomysłów — rzuciła.

— Dlaczego?

— Bo wszyscy zawsze tak robią. — Roześmiała się. — A mnie to naprawdę wkurza.

— Cieszę się wobec tego, że przełamałem ten obyczaj — powiedział.

— Ja też.

Kelner wręczył im karty dań i Dan zamówił butelkę szampana. Ash spojrzała na niego ze zdumieniem.

— A to dlaczego?

Dan wzruszył ramionami.

— Lubię szampana. Zawsze lubiłem. Pomyślałem sobie, że będzie fajnie.

— Szampan straszliwie uderza mi do głowy — przyznała się Ash. — Staram się nie upijać, bo po pijanemu robię różne głupstwa.

— Naprawdę? — Dan spojrział na nią ponad swoją kartą. — Chciałbym zobaczyć, jak robisz te głupstwa.

— Na pewno byś nie chciał.

— Chciałbym. — Uśmiechnął się. — Na mój gust, jesteś zbyt racjonalna.

— Nie, wcale nie! Pod wieloma względami jestem strasznie głupia. — Twarz jej przygasła na moment, ale zaraz rozjaśniła się uśmiechem. — A te wszystkie razy, kiedy wdzierałeś się do mojej kuchni i widziałeś, jak myję podłogę, ścieram rozlany olej albo zacinam się nożem w palec? To nie są zachowania kobiety racjonalnej.

— To prawda — przyznał po namyśle — ale wydajesz się taka opanowana, kiedy masz kryzys.

— Tak naprawdę nie widziałeś mnie podczas kryzysu. — Ash wyobraziła sobie siebie z głową w papierowej torbie albo, jak przed chwilą, wypłakującą sobie oczy w sypialni.

Menu było najwyższej klasy. Serwowano co najmniej cztery rodzaje dań z grzybów, pół tuzina makaronów o przepysznie brzmiących nazwach, dania z wołowiny i ryb, a wszystkie przyrządzone według przepisów kuchni regionalnej. Ash poczuła, że ślinka napływa jej do ust. Zdawało jej się, że minęły całe wieki, odkąd jadła placki, a potem już przez cały dzień nie myślała o jedzeniu. Zaczęła się zastanawiać, czy złamane serce zaostrza głód? Dotąd wszyscy mówili jej, że jeśli zostaje się porzuconym, człowiek w ogóle nie jest w stanie nic przełknąć. Skoro jednak jej stosunek do mężczyzn był tak kompletnie odmienny, może jej reakcja na złamane serce także będzie odwrotna. I zamiast się głodzić, zacznie się obżerać.

— Wezmę grzyby — oświadczyła. — A potem spaghetti z owocami morza.

— A ja ravioli — powiedział Dan. — I wołowinę. Jakie chcesz wino? Czerwone czy białe?

— Wszystko jedno.

— Dobre ciężkie Barolo — zaproponował. — W sam raz po szampanie.

— Będę miała jutro za dużego kaca, żeby wracać do domu — powiedziała.

— Tutaj nigdy nie mam kaca — rzekł Dan. — To chyba zasługa powietrza. Chociaż — dodał — może nie w tej chwili. Czuję, że jest większa wilgoć niż wcześniej.

Gdy kelner pojawił się, niosąc Dom Perignon, Ash skinęła przyzwalająco głową. Kelner z wprawą otworzył butelkę, tak że korek wyskoczył z dyskretnym sykiem, a potem napełnił im kieliszki.

— Dzięki za wszystko — powiedział Dan, unosząc kieliszek.

— Na ma za co — stwierdziła ze smutkiem. — A miała to być taka dobra kolacja!

— Och, zrobiłaś też dla mnie wiele innych rzeczy — powiedział. — Kolację zareczynowałam, poszłaś ze mną na bal, załatwiłaś catering na wesele. To dziwne, że rok temu rzadko zamienialiśmy więcej niż parę słów, a teraz stałaś się moją przyjaciółką w potrzebie.

— Przynajmniej udało nam się udowodnić, że to możliwe.

— Ale co? — zapytał.

— Mężczyźni i kobiety. Że jednak mogą się przyjaźnić.

— Za przyjaźń! — powiedział, unosząc kieliszek.

Upiła łyk szampana i stwierdziła, że jest cudownie schłodzony i musujący. Wręcz idealny, by go popijać na tarasie. I by sącząc go, poczuć, że życie nie jest wcale takie okropne. Odchyliła się w wygodnym krześle i spojrzała ponad balustradą na morze.

— Pięknie tu, prawda? — odezwał się Dan.

— Cudownie.

— Teraz rozumiem, czemu tata ciągle przesiaduje na Sycylii. Ash pokiwała głową.

— Ja też.

— Może przeniosę się tu, kiedy przejdę na emeryturę — stwierdził Dan. — Kiedy się wypalę na giełdzie.

— Myślisz, że się wypalisz? — zapytała. Dan wzruszył ramionami.

— Może.

— Wtedy Cordelia zajmie twoje miejsce. — Ash spojrzała na niego zza ciemnych rzęs.

— Pewnie tak — przyznał. — To dziwne, że ona jest taka zdeterminowana, a ja tymczasem... — uśmiechnął się — ale to tylko do twojej wiadomości, Ash, a nie moich partnerów u Chathama. Mnie już to aż tak bardzo nie obchodzi.

— Myślałam, że to obchodzi każdego, kto pracuje u Chathama — powiedziała. — Byłam pewna, że to jest to, na czym ci najbardziej zależy.

— Och, to prawda, że mi zależy — przyznał. — Ale nie jest to jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Kiedyś tak było, oczywiście, ale teraz nie mogę się oprzeć refleksji, że są w życiu ważniejsze sprawy niż praca.

— Na przykład co?

— Może wydam ci się mięczakiem, ale powiem, że na przykład to, żeby być szczęśliwym — odparł. — Od jakiegoś roku mam wrażenie, że trzeba czerpać z życia, ile się da. A zarzwanie się w tym celu to nie jest najlepszy sposób.

— Więc myślisz o tym, żeby przejść na emeryturę i osiąść na szczycie jakiejś góry? — zapytała.

— Na dodatek z Cordelią? — Dan roześmiał się. — Nie sądzę! Ale z przyjemnością pozwalam jej na to, by to ona przez chwilę była tą ambitną stroną.

— A co byś robił, gdybyś przestał pracować u Chathama? — Ash absolutnie nie potrafiła sobie wyobrazić Dana, który obija się i nic nie robi. Bez względu na to, co mówił.

— Jest pewien problem — powiedział. — Nie mam kwalifikacji, żeby robić cokolwiek innego. Chciałbym mieć jakiś konkretny talent, jak ty.

— Gotować każdy potrafi — rzuciła lekceważąco.

— Dobrze wiesz, że to bzdura — powiedział. — Przeżyłem do tej pory jedynie dzięki lunchom służbowym! Gdyby nie one, moja dieta składałaby się głównie z dań na wynos.

Ash roześmiała się.

— To prawda — zapewnił ją. — Zresztą to samo powiedziała mi Cordelia. Martwi się, bo przytyła kilka kilogramów i cały wolny czas spędza teraz na siłowni, próbując je zrzucić. Ale prawdę mówiąc, mnie się wydaje, że od wyjazdu schudła.

— Ona nie musi walczyć z nadwagą — stwierdziła Ash.

— Wiem — powiedział. — Ciągle jej mówię, że taka, jaka jest, jest idealna, ale ona się uparła, że musi codziennie chodzić na siłownię. Pewnie dlatego, że wszyscy tak robią.

— To musi być okropne — stwierdziła Ash. — Za nic w świecie nie chciałabym pracować w miejscu, gdzie zajęcia z kulturystyki są obowiązkowe.

Dan roześmiał się.

— Bałbym się uprawiać kulturystykę.

— Ja też — przyznała się Ash. — Nie mam poczucia rytmu, a zajęcia z aerobiku, na które chodziłam w najlepszych czasach, to był istny koszmar. Za każdym razem, kiedy grupa robiła wymach w prawo, ja rzucałam się w lewo. A gdybym jeszcze musiała to robić z ciężarkami, stanowiłabym śmiertelne zagrożenie.

— Mnie zawsze marnie szło na takich zajęciach — powiedział Dan. — A poza tym nie znoszę tego ciągłego pohukiwania i pokrzykiwania instruktorów. To mi straszliwie działa na nerwy.

— Zręczymy jak para emerytów — stwierdziła ze śmiechem Ash, gdy pojawił się kelner i postawił przed nimi przystawki.

— Po tym trzeba będzie trochę się pogimnastykować. — Dan cmoknął z uznaniem. — Wygląda fantastycznie.

Ash pokiwała głową. Jej grzyby były przepyszne i przyrządzone wręcz po mistrzowsku. Lubiła leśne grzyby, które aż odurzały aromatem, tak różne od mdłych, plastikowych pieczarek, sprzedawanych w supermarketach.

— Cordelia oczywiście narzeka, że w Stanach tak łatwo przytyć — powiedział Dan. — Mówi, że nigdzie nie można dostać małych porcji.

— Małe i Stany to dwie zupełnie różne rzeczy — powiedziała Ash. — Zwłaszcza w dziale spożywczym.

— Pamiętasz to jeszcze? — zapytał Dan. Potrząsnęła głową.

— Raczej nie. Pamiętam za to, że w jednym z miejsc, gdzie mieszkaliśmy, była taka knajpa, w której można było zjeść, ile się chce, w bufecie za stałą cenę. Nie pamiętam już, co to takiego było, ale Julia często mnie tam zabierała i obżerałyśmy się jak świnie.

— Czy głodowałaś, kiedy byłaś mała? — zapytał.

— Nie — odparła. — Ja przynajmniej nie. Ale może Julia. — Przesunęła palcem po krawędzi kieliszka. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. — Dopiero teraz, kiedy zaczęła o tym myśleć, przypomniała sobie, jak Julia czasami mówiła, że nie ma na nic ochoty, ale jej kazała jeść. Czy to możliwe, że matka ją okłamywała?

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się blado. — To tylko wspomnienia.

Kelner pojawił się z głównym daniem i nalał im wina do kieliszków, choć nie wypili jeszcze szampana. Wybacz mi, Julio, pomyślała Ash. Wybacz, że byłam taką samolubną, okropną i nieczułą córką. Robiłaś, co mogłaś, a ja nigdy nie byłam zadowolona. Ciągle cię tylko krytykowałam, chociaż wcale nie miałam racji.

Dan przyglądał jej się, jak machinalnie przesuwając makaron na talerzu. Nigdy dotąd nie widział, żeby była taka poważna.

— Na pewno nic ci nie jest? — zapytał znowu. — Vittorio byłby załamany, gdybyś odeśląca pełny talerz.

— Nic mi nie jest — powiedziała. — Naprawdę.

— A co u Alistaira? — Dan doszedł do wniosku, że powinien przejść na jakiś temat niezwiązany z jej przeszłością. Niestety, wyraz jej twarzy uświadomił mu, że popełnił straszliwy błąd.

Ash odłożyła nóż i widelec.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Alistair i ja... no więc, w zasadzie zerwaliśmy ze sobą.

— Ash! Chyba żartujesz. Trzeba było wcześniej powiedzieć. Wzruszyła ramionami.

— Ale po co?

— Myślałem, że świetnie do siebie pasujecie.

— Ja chyba do nikogo nie pasuję — powiedziała ze smutkiem. — Tyle tylko, że dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę.

— Ale dlaczego?

— Posłuchaj, Dan, ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Dan obrzucił ją wnikliwym spojrzeniem.

— Ty zerwałaś czy on?

— A co za różnica? Dan potrząsnął głową.

— Chyba rzeczywiście żadna.

Kelner pozbierał talerze i był bardzo zawiedziony, widząc ilości jedzenia zostawione przez Ash. Ona sama także była zdziwiona i pomyślała, że być może scenariusz, w którym nie jest się w stanie nic jeść po tym, jak zostało się porzuconym przez chłopaka, jest jednak prawdziwy.

— Mimo wszystko musi ci być trochę smutno z tego powodu — powiedział Dan.

— Jakoś to przeżyję — stwierdziła. — I on też.

— Tak mi przykro — powiedział.

— Całkiem niepotrzebnie. — Ash przełknęła grudkę w gardle. — Może byśmy dopili tego szampana?

Kelner napełnił kieliszki, zanim Dan zdążył to zrobić, a potem siedzieli w milczeniu, patrząc na bladą wstęgę świateł na włoskim wybrzeżu.

— Dostałem jeszcze raz zaproszenie od Honor Carmody — odezwał się w końcu Dan.

— Naprawdę? — Zwróciła na niego oczy. — A na co?

— Na garden party — powiedział. — W jej ogrodach. Ma piękną posiadłość w Enniskerry.

— Czy Cordelia zdąży wrócić na czas? — zapytała.

— Nie jestem pewny — mruknął. — Ale nawet jeżeli nie, nie musisz się martwić, Ash. Tym razem nie przyjąłem zaproszenia, więc nikt nie będzie cię do niczego zmuszał na ostatnią chwilę.

— Nic złego się wtedy nie stało — powiedziała. — To było bardzo zabawne, naprawdę.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Ciekawie było poznać te twoje dawne znajome. — Uśmiechnęła się, a Dan zrobił wymowną minę.

— Ile miałeś dziewczyn?

Dan odchylił się na krześle i zaczął się głośno zastanawiać.

— Dziesięć, dwadzieścia... nie wiem. Czy pojedyncze numerki też się liczą?

— Ja nie pytam, z iloma spałeś! — wykrzyknęła. — Chciałam wiedzieć, z iloma dziewczynami chodziłeś?

— Nie wiem, ile ich było. Dziesięć, dwadzieścia — powtórzył.

— OK. A z iloma spałeś? — zapytała.

— Myślałem, że nie chcesz tego wiedzieć! Uśmiechnęła się.

— Tak się tylko zastanawiałam.

— Nie było ich aż tak dużo — przyznał.

— Mniej niż dwadzieścia?

— Dobry Boże, mniej.

— Mniej niż dziesięć?

— Czy to poniżające, jeśli się przyznam, że mniej niż dziesięć? — zapytał.

— Może.

— Pewnie z dziesięć — powiedział. — A ty?

— Ja chodziłam z wieloma facetami — powiedziała. — Ale nie spałam ze zbyt wieloma.

— To chyba dobrze, prawda? — zapytał.

— Bóg raczy wiedzieć. — Ash westchnęła.

— Ale przynajmniej zależało ci na facetach, z którymi spałeś. Ash nic nie powiedziała.

— Nie zależało ci? — zapytał.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie — odparł. — Przepraszam, to nie moja sprawa.

— Nie mówmy już o tym — rzuciła.

— Dobrze — zgodził się Dan. — Możesz mi powiedzieć, żebym się zamknął, jeżeli chcesz. Wiem też, że nie masz ochoty o tym rozmawiać, ale dlaczego ty i Alistair nie potraficie się dogadać?

— Bo jestem idiotką. Dan roześmiał się.

— Naprawdę! — Ash także się uśmiechnęła. — Spójrzmy prawdzie w oczy, Dan. Był to najbardziej odpowiedni facet, jakiego w życiu spotkałam, a skończyło się tak, że ja poszłam w odstawkę, a on nie może się opędzić od dziewczyn.

— Wcale nie poszłaś w odstawkę — zaprotestował. — Założę się, że setki facetów wychodzą ze skóry, żeby się z tobą umówić.

Ash głośno się roześmiała.

— Wątpię, ale dzięki.

— Znajdziesz sobie kogoś — próbował ją pocieszyć.

— To nie jest kwestia znalezienia sobie kogoś — powiedziała. — Rzecz w tym, że... och, Dan, byłam dla niego naprawdę okropna.

— Ja też byłem w przeszłości okropny dla kobiet — stwierdził Dan. — Człowiek nie zawsze zachowuje się tak, jak powinien.

— Co to znaczy, że byłeś okropny? — zapytała. Dan wzruszył ramionami.

— Raz umówiłem się z jedną dziewczyną, bo się założyłem. Była bardzo miła, a potraktowałem ją strasznie. Nie odpowiadałem na jej telefony i tak dalej. Z wieloma kobietami spotkałem się tylko raz i później nawet nie chciało mi się zadzwonić. Oczywiście wmawiałem sobie, że to dlatego, że nie znam się na dziewczynach, ale prawda była taka, że ani trochę mi na nich nie zależało.

Ash zamrugała.

— Jakbym słyszała siebie.

— Nie jestem wcale taki jak ty — powiedział. — Wielokrotnie zostałem porzucony! Szalałem za pewną dziewczyną o imieniu Veronica. Chodziłem za nią miesiącami. Kupowałem jej kwiaty, czekoladki, biżuterię. Robiłem wszystko, co powinno powalać dziewczyny na kolana. A ona zostawiła mnie dla kogoś, kto miał większe konto.

Ash uśmiechnęła się.

— Ona trochę przypomina ciebie, prawda? — zapytał.

— Troszeczkę — przyznała. — To dlatego Michelle, moja kuzynka, uważała Alistaira za świetną partię. — Powiodła palcem po nóżce od kieliszka. — Kiedy obie chodziłyśmy do

szkoły, dokuczała mi, bo otworzyłam sobie rachunek oszczędnościowy na pocztę i wpłacałam swoje kieszonkowe.

— Przecież to nic złego — powiedział z naciskiem Dan.

— Oszczędzałam więcej, niż wydawałam — powiedziała Ash. — Byłam taką nudziarą.

— A teraz?

Upiła spory łyk wina.

— Teraz nie jestem o wiele lepsza.

— Co ty wygadujesz!

— Naprawdę. Nie jestem osobą, z którą można się dobrze zabawić, Dan. Już wcześniej o tym myślałam. Nie należę do dziewczyn, które upijają się co noc, które nie wiedzą, gdzie zostawiły swoje rzeczy, które mają wyłącznie rajstopy z oczkami i które przez cały czas próbują złapać faceta.

— Wiem — powiedział Dan. — Już mi to mówiłaś. — Jesteś schludna i uporządkowana.

— To niby dobrze — stwierdziła. — Ale kto tak naprawdę chce się umawiać z taką osobą?

— Och, mnóstwo ludzi — powiedział.

— Raczej nie — mruknęła. — Owszem, chcą się z tobą przez chwilę spotykać, ale w duchu czują ulgę, kiedy jest już po wszystkim. Mężczyźni nie chcą schludności i porządku. Chcą się kochać, zabawić.

— Można być i takim, i takim — upierał się Dan. Ash potrząsnęła głową.

— Ale nie ja.

Kelner wrócił z kartą deserów, ale Ash stwierdziła, że nawet dla celów poznawczych nie jest w stanie zjeść nic więcej. Zamówili kawę i rozsiedli się wygodniej na krzesłach.

— Może powinienem był pogadać z Cordelią, żeby tutaj wziąć ślub. — Dan postanowił zmienić na chwilę temat. — Nie uważasz, że byłoby cudownie?

Ash pokiwała głową.

— I romantycznie — dorzucił.

— A ty jesteś romantykiem, prawda? — zapytała kpiącym tonem. — Pamiętam twój wieczór zaręczynowy. Wtedy też miało być romantycznie.

— Co w tym złego? — zapytał.

— Absolutnie nic. — Ash potrząsnęła głową.

— Wobec tego... — Spojrzał na nią wyzywająco i znów nappełnił jej kieliszek.

— Czuję, że się upiłam — stwierdziła.

— To dobrze — ucieszył się. — Bo ja też.

Miło jest się upić, pomyślała Ash, robiąc do niego miny. Miło jest być o całe mile od wszystkiego i wszystkich i nie musieć o niczym myśleć. Na moment zaniepokoiła się, czy aby pamiętała, by przed wyjazdem wyjąć z kontaktu wtyczkę od telewizora.

Przy wejściu zapanował nagły ruch, gdy kelner prowadził przybyłą właśnie parę do stolika na drugim końcu tarasu. Ash oceniła, że mężczyzna był w mniej więcej tym samym wieku co Joss Morland, a dziewczyna musiała niedawno przekroczyć dwudziestkę. Córka czy kochanka?, zastanawiała się, popijając Barolo. Aż nagle dziewczyna zachichotała, przechyliła się nad stolikiem i ostentacyjnie pocałowała mężczyznę w policzek, rozwiewając w jednoznaczny sposób jej wątpliwości.

— Czy oni nie zdają sobie sprawy, jak to idiotycznie wygląda? — zapytał Dan, który także zauważył tę parę.

— Jeżeli się sobie podobają, jakie to ma znaczenie?

— Daj spokój, Ash. — Dan spojrzał na nią poirytowany. — Taki stary przyk z taką młodą dziewczyną. Zupełnie jak mój tata ze swoją ostatnią flama. Co tym facetom chodzi po głowie?

— Nie wiem — stwierdziła z uśmiechem. — Ty mi to powiedz. To ty w wieku lat sześćdziesięciu pięciu będziesz się uganiał za podlotkami.

— Nie będę — powiedział. — Będę szczęśliwym mężem. — Nagle wstał. — Idę do toalety. Zaraz wracam.

Ash rozsiadła się wygodniej i czekała. On musi naprawdę przeżywać tę aferę z ojcem, pomyślała, ale nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Dziewczyna przy drugim stoliku wrzucała teraz starszemu panu oliwki do ust. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat, pomyślała, gdy się jej bliżej przyjrzała. Ma gładką, czystą cerę, choć oczy ukrywa za słonecznymi okularami od Armaniego. Może jest sławna albo coś w tym rodzaju, skoro nawet w nocy czuje potrzebę noszenia ciemnych okularów? Może Dan i ja mylimy się; może to ona jest w tym związku osobą dominującą? Czują jednak, że wcale się nie mylą.

— Nad czym tak dumasz? — Dan znów usiadł przy stoliku.

— Próbowałam rozwikłać zagadkę tamtej pary — odparła. — Przez chwilę myślałam, że to jakaś luksusowa kurewka, a on to jej łatwy łup, ale chyba raczej nie.

— Gdyby ci zależało na łatwym łupie, szukałabyś faceta po sześćdziesiątce? — zapytał Dan.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, sama będę po sześćdziesiątce, nim się w końcu usatuję przy jednym facecie — stwierdziła z goryczą.

— W to nie wierzę — powiedział Dan.

— Chcesz wiedzieć, czemu rozstałam się z Alistairem? — Wysączyła do dna swój kieliszek. — Z tych samych przyczyn, co z każdym innym. Bo się boję, Dan. Boję się dopuścić ich do siebie i robić coś, czego wcześniej nie zaplanowałam w najdrobniejszych szczegółach. Boję się spontanicznych zachowań, boję się kochać i bawić.

— Ale dlaczego? — zapytał.

— Bo... — Sięgnęła po butelkę i napełniła swój kieliszek. — Bo Julia to wszystko robiła i zginęła.

— Ash! — Dan spojrział na nią z przerażeniem. — Przecież to nienormalne.

— Wiem. — Uśmiechnęła się znacząco. — Wiem, że jestem nienormalna. Jestem do dupy. Wiem, że powinnam płynąć z prądem, ale nie potrafię. — Upiła kolejny łyk wina. — Znasz Jodie? Tę kelnerkę, która u mnie pracuje?

Dan skinął głową.

— Kiedy zerwała ze swoim chłopakiem, rzucała w niego kwiatami w doniczkach. A potem opowiedziała mi o wszystkim. Wybrała się też do miasta i wydała majątek na fryzjera i ciuchy. Przypuszczam również, że od tamtej pory spędza każdy wieczór ze swoimi kumpelkami. Rozmawiają o tej historii, a potem oglądają na wideo filmy z Julią Roberts, Meg Ryan i Sandrą Bullock w roli silnych kobiet. A kiedy już mają dość, idą się urząnąć. A co ja zrobiłam, kiedy Alistair mnie rzucił?

Zupe, kurwa mać — to jest to, co zrobiłam. Okazałam się bardzo rozsądna i nagotowałam cztery gary zupy. Dan popatrzył na nią bez słowa.

— Wiem, że powinnam się wyluzować. Wszyscy mi to mówią — ciągnęła dalej Ash. — Ale rzecz nie w tym, że tego nie rozumiem, tylko że nie potrafię.

— Bo Julia zginęła?

— Może trochę tak. Sama nie wiem.

— Ale ty to nie Julia — powiedział.

— Wiem. — Ash zagryzła wargi. — Całe życie poświęciłam na to, żeby nie być jak Julia. A teraz zaczynam się zastanawiać, czy w pewnych sprawach nie miała, mimo wszystko, racji.

— Kochasz Alistaira? — zapytał.

Ash zawahała się.

— Tego też nie wiem — przyznała. — Pewnie nie, bo gdybym go kochała, powiedziała-
bym ci o tym. — Westchnęła. — Chciał się ze mną kochać któregoś ranka, a ja go odepchnę-
łam. Więc wściekł się na mnie i nie mogę mieć o to do niego pretensji. To jest prawdziwa
przyczyna, przez którą wszystko się rozpadło, Dan.

— Przykro mi — powiedział.

— Mnie też — przyznała z westchnieniem.

— Wiem, czego ci trzeba — stwierdził, nalewając jej wina. — Urznij się tej nocy i zrób
jakieś impulsywne głupstwo, jak to dziewczyna, a wtedy zobaczysz, że świat się jeszcze nie
kończy i będziesz mogła spokojnie wrócić i pogodzić się z Alistairem.

— On się ze mną nie pogodzi — powiedziała. — Był na mnie wściekły.

— Tak czy inaczej, zrób coś głupiego i spontanicznego — powtórzył.

— Na przykład co?

— Chodź popływać o północy — zaproponował. Ash roześmiała się.

— Czy można mówić o spontaniczności, jeżeli sobie to wcześniej zaplanuję?

— Chyba nie — powiedział ucieszony, że udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy.

— Może i masz rację — stwierdziła. — Ale tak trudno się zmienić.

— Wiem — powiedział.

Odchyliła się na krześle i zamknęła oczy. Zrobiła już jedno głupstwo, wypijając takie
ilości wina. Kręciło jej się w głowie i czuła, że kiedy wstanie od stolika, będzie jej trudno
utrzymać się na nogach.

— Czy mam już poprosić o rachunek? — zapytał.

— Tak, proszę — powiedziała.

Znowu zamknęła oczy. Usłyszała, jak Dan prosi o rachunek, i wyczuła, że kelner pod-
chodzi do stolika. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu wraz z krzesłem.

— Chodź, Ash. — Dan stanął obok niej i wsunął jej rękę pod pachę. — Myślę, że trzeba
już wracać.

Jest taki miły, pomyślała. Naprawdę miły. Cordelia nie zdaje sobie sprawy, jakie ma
szczęście. Pojechała sobie do Stanów i zostawiła tak przemiłego faceta. Faceta, na którego
każda dziewczyna miałaby chętkę.

— Ostrożnie — odezwał się Dan, kiedy wstała i lekko się zachwiała. — Zdaje się, że
wino uderzyło ci do głowy.

— Przecież mówiłeś, że mam się urżnąć.

— Ale nie wiedziałem, że to już się stało.

— Chodźmy popatrzeć na morze — zaproponowała. — Chcę popatrzeć na morze.

Stanęli przy kamiennej balustradzie i Ash zapatrzyła się w atramentową czerń. Julia uwielbiała pływać w morzu — pływała jak ryba, pewnie nurkując w fale. Ash także kochała morze. Pływanie to jedyne, co je ze sobą łączyło.

Poleciała do przodu i Dan chwycił ją mocniej za ramię. A potem się potknęła. Sandałek zsunął jej się z nogi i wpadł między słupki balustrady.

— O cholera! — jęknęła z przerażeniem. — Mój but! — A potem wybuchnęła bezradnym chichotem.

Dan spojrzał w dół.

— Nie widzę go — powiedział. — Ale jest pewnie tuż pod nami.

— Nic się nie stało. — Ash nie mogła się powstrzymać od śmiechu. — To i tak były tanie buty. Nie pasowały do mojej kosztownej sukni. Którą, oczywiście, kupiłam pod wpływem impulsu. Więc może mimo wszystko zaczynam się zmieniać. — Czknęła głośno i spojrzała na niego ze zdumieniem. — Ups. Przepraszam!

Dan także nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Chodźmy — powiedział. — Lepiej zabiorę cię do domu, zanim zgubisz drugi.

— Z jednego żaden pożytek — stwierdziła. Pochyliła się i zdjęła drugi sandał. — Może będzie najlepiej, jak też się go pozbędę.

— Ash, nie rób tego! — Dan złapał ją za rękę.

— Czemu nie? — Uśmiechnęła się. — Przecież to tylko zwykły sandał, rozmiar pięć, od Marksa i Spencera. Zasluguje na to, żeby skończyć w morzu! — Szerokim łukiem rzuciła go ku ciemnej toni.

Szmer rozmów w restauracji nagle się urwał. Ash uświadomiła sobie, że wszyscy na nią patrzą.

— Wiem, że doradzałem ci jakieś impulsywne głupstwo — powiedział Dan — ale nie przypuszczałem, że potraktujesz to tak dosłownie.

Jestem taka pijana, pomyślała, kiedy wyprowadzał ją z restauracji pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń pozostałych gości. Bardziej pijana niż kiedykolwiek. I gwizdzą na to. Bo już wiem, że potrafię się zmienić i być inna. Mogę być impulsywną głuptaską. Jeżeli tylko zechcę.

Droga prowadząca do Villa Rosa usiana była drobnymi kamykami i żółkłymi sosnowymi igłami. Ash stąpała ostrożnie na bosaka, podtrzymywana przez Dana. W którymś momencie nadepnęła na większy kamień i cicho zakląła, a wtedy Dan zaproponował, że ją poniesie.

— Nie — powiedziała. — Jestem już dużą dziewczynką. Sama sobie poradzę.

— Ash, jeżeli będziemy szli w tym tempie, powrót do willi zajmie nam godzinę. A doniosę cię tam w dziesięć minut.

— Nie bądź tak straszliwie głupi. — Ash miała coraz większe trudności z łączeniem słów. — Jestem absolutnie zdolna... och! — Znow się potknęła, a Dan zatrzęsł się ze śmiechu.

— Nie śmiej się! — Zerknęła na niego z ukosa. — Nie waż się ze mnie wyśmiewać!

— Wcale się z ciebie nie śmieję — skłamał. — Naprawdę.

— Możesz wziąć mnie na barana — powiedziała.

— Dobrze.

Objęła go za szyję i wdrapała mu się na plecy. No i proszę, pomyślała, wyglupiam się na Sycylii i nikt prócz mnie o tym nie wie. Michelle miała jednak rację. Kiedy się gdzieś wyjedzie, można być zupełnie innym człowiekiem. Gdyby Jodie mogła mnie teraz zobaczyć, nie uwierzyłaby własnym oczom.

Villa Rosa tonęła w ciemnościach. Ash zsunęła się z pleców Dana, a on otworzył drzwi i weszli do domu.

— Świetnie się dziś wieczorem bawiłam — powiedziała, stojąc boso w holu.

— Ja też — rzucił Dan.

— I byłam trochę spontaniczna, prawda?

— Nawet bardzo — przyznał. — Zmieniłaś się w spontaniczną, impulsywną, szaloną Sycylijkę!

Uśmiechnęła się, a potem nagle go pocałowała. A przecież nie miała najmniejszego zamiaru go całować! Chciała go tylko uściskać. Ale gdy wychyliła się do przodu, z twarzą uniesioną ku górze, jej usta nagle znalazły się na jego ustach, poczuła miękkość jego warg i niespodziewany nacisk jego dłoni na swoich obnażonych plecach. Objęła go mocniej i on też ją objął, i sama już nie wiedziała, jakim cudem zdołała się od niego oderwać.

— O Boże! — powiedziała drżącym głosem. — To było... przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru. — Podkasła suknię i potykając się, zaczęła się wspinać po schodach na górę, byle dalej od Dana.

Uciekła do swojego pokoju i niemal zatrzasnęła za sobą drzwi. Serce nadal galopowało jej w piersi, lecz nie w sposób przerażający, jak wówczas, gdy z jakiegoś powodu wpadała w panikę i potrzebowała papierowej torby, tylko zupełnie inaczej, dziwnie podniecająco.

To tylko pocałunek, powiedziała sobie. Niespodziewany pocałunek. Taki, który przytrafił im się całkiem mimowolnie. A jednak, nigdy przedtem, całując kogoś, nie miała wrażenia, że wargi jej płoną. Nigdy nie chciała, by pocałunek ten trwał wiecznie. Nigdy jej się nie wydawało, że to najcudowniejsza rzecz pod słońcem.

Ale też nigdy nie byłaś zalana w trupa, kiedy się z kimś całowałaś, powiedziała sobie, rzucając się na łóżko. Na przyszłość musisz wziąć to pod uwagę.

Dan stał przy oknie w swoim pokoju, kiedy zadzwonił telefon.

— Cześć, Dan! — Głos Cordelii brzmiał tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.

— Cześć!

— Wiesz co?

— Co?

— Dostałam podwyżkę.

— Za co?

— A jak myślisz, za co? — zapytała urażona. — Bo jestem dobra w tym, co robię, co zostało zauważone.

— Za kilka miesięcy wracasz do kraju, żeby wyjść za mąż — powiedział. — Czy to też zostało zauważone?

— Nie bądź głupi — prychnęła.

— A może to ty o tym zapomniałaś?

— Nie jesteś tej nocy zbyt miły, Dan. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

— Przepraszam — powiedział. — Jestem zmęczony. Wczoraj miałem traumatyczny dzień, a dziś...

— A jak tam twoi starzy? — Cordelia uważała, że kłótnia pomiędzy Fredą i Jossem była potwornie śmieszna.

— Znacznie lepiej — powiedział.

— Czyli wszystko dobrze, i tak dalej?

— Mniej więcej.

— A jak się ma szefowa kuchni?

— Słucham? — Dan wyciągnął przed siebie lewe ramię i zobaczył, że ręka mu się trzęsie. To nie do wiary, że Cordelia nie domyśliła się, nie wyczuła, iż dopiero co całował się z Ash O'Halloran i że nie był to, jak poprzednio, przyjacielski całus w policzek.

— Czy już pogodziła się z tym, że sprowadziłeś ją w celu przyrządzenia posiłku, którym, koniec końców, wszyscy w siebie rzucali?

— Nikt nie rzucał jedzeniem — powiedział.

— Ale nikt go też nie zjadł — odcięła się Cordelia.

— Ash jest w porządku.

— Mimo wszystko cieszę się, że nie będzie przygotowywać naszego wesela — stwierdziła Cordelia. — Rozmawiałeś może z Gillian?

— Jaką Gillian?

— Tą dziewczyną, która ma się zająć cateringiem. Z tej firmy, której namiary dała ci ta twoja kucharka.

— Ach nie. Ostatnio nie.

— Chciałabym rzucić okiem na jej propozycje menu.

— Zadzwonię do niej po powrocie — powiedział Dan i zaczął się zastanawiać, czy Ash rzeczywiście zachowała się w porządku. Wiedział, że nie zamierzała go pocałować. Była pijana. I on też był pijany. Boże, pomyślał, co się ze mną dzieje, kiedy jestem pijany... Kiedy Cordelia wyjechała do Stanów, pierwsze, co zrobił, to urznął się i poszedł do jakiegoś nocnego klubu, gdzie poznał pneumatyczną Barbie. A teraz znów się upił i dał się pocałować Ash O'Halloran. I wciąż czuł jej smak na ustach.

— Co mówiłaś? — Nie dosłyszał ostatniego zdania Cordelii. Był zbyt zajęty próbami wyparcia Ash ze swoich myśli.

— Mówiłam, że jadę w czwartek do Chicago — powtórzyła lekko poirytowana. — To dobrze, bo Chicago jest strasznie ważne.

— Czy jest coś u Harrisona, co nie jest ważne? — zapytał z ironią.

— Nie bądź taki — powiedziała. — Tęsknisz za mną? — zapytała łagodniejszym tonem.

— Oczywiście, że tak.

— No to pomyśl o mnie — powiedziała cicho.

O Jezus, pomyślał, tylko nie dziś. Wiedział, że ona to uwielbia, on zresztą też, ale nie tej nocy.

— Wyobraź sobie, że zdejmuję bluzkę, Dan. Właśnie to robię.

Dan milczał.

— Zsuwa mi się z ramion. I z pleców. Nadal milczał.

— Jesteś tam jeszcze? — zapytała.

— Tak — odparł ochryplym głosem. — Jeszcze tu jestem.

— Już leży na podłodze, Dan. Dziś mam na sobie biały stanik.

— Tak?

— Oczywiście. Z koronkowymi kwiatuśkami. I właśnie go rozpinam.

Och, nie, Cordelio, pomyślał. Proszę, tylko nie to. Teraz nie mogę.

— On też leży już na podłodze, obok bluzki. Jesteś tam, Dan?

— Oczywiście.

— Mam na sobie długą spódnicę. Lnianą. Z białego, szeleszczącego lnu. Ale ją też zdejmuję. Słyszysz, jak zsuwa się na podłogę?

— Ja... tak.

— A teraz jestem już tylko w stringach.

Dan zamknął oczy i spróbował to sobie wyobrazić.

— Są białe. Tej nocy jestem bardzo dziewicza, Dan. Dla ciebie.

— Och, Cordelio...

— Chcą, żebyś mnie sobie wyobraził taką, jak za pierwszym razem. — Głos jej brzmiał teraz gardłowo.

— Już to robię — powiedział.

— Bo ja myślę o tobie. — Westchnęła cicho. — Myślę o tobie i myślę też, że na całym świecie nie ma drugiego takiego jak ty.

To prawda, pomyślał ze wzburzeniem. Nie ma drugiego takiego jak ja. Rozmawiam z narzeczoną, a myślę o innej dziewczynie. Nie dlatego, że ją kocham czy coś w tym rodzaju, tylko dlatego, że mnie pocałowała. I było to takie podniecające.

— Myślę też o tym, jak jesteśmy razem, Dan. I gdzie powinieneś teraz być.

Dan rozpaczliwie próbował wczuć się w nastrój, ale nie potrafił.

— A ja myślę o tym, jak bardzo cię pragnę.

Zamilkł, a kiedy Cordelia cicho jęknęła, sam też omal nie jęknął. Ale tylko dlatego, że przed oczyma miał wciąż Ash O'Halloran. Widział, jak stoi boso w holu, z włosami wymykającymi się z niebieskich spinek, którymi je upięła, a jej pełne różowe usta zwrócone są ku niemu. I myślał już tylko o jednym — jakie były miękkie pod dotykiem jego własnych ust.

Ash nie mogła zasnąć. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego szampan i wino nie podziały tym razem. Zazwyczaj bez trudu usypiała po winie. Ale nie tej nocy. Przewracała się w łóżku z boku na bok, aż prześcieradła zrobiły się mokre od potu. W końcu, gdy dochodziło wpół do trzeciej, wstała i włożyła podkoszulek. Wystawiła głowę przez okno i poczuła, że na dworze panuje jeszcze większa duchota. Muszę popływać, pomyślała. Muszę ochłonąć i odzyskać spokój. Potrzebuję ruchu, żeby rozładować energię, która we mnie buzuje. Włożyła adidasy i chwyciła ręcznik. A potem otworzyła drzwi sypialni i wyszła po cichu na dwór.

Schody prowadzące do basenu tonęły w mroku. Nagle przelekkła się, że jest sama w ciemnościach. Zacisnęła zęby i zaczęła się przedzierać przez gęstą zieleń, obok rzygacza, w stronę basenu, widocznego w przyćmionym świetle.

Wreszcie dotarła na miejsce, zostawiając za sobą mroczne schody, i już się nie bała, choć widziała, że niebo zasnuwane jest chmurami i po raz pierwszy od jej przyjazdu nie świeci księżyc. Rozwiązała sznurowadła adidasów i zrzuciła podkoszulek.

I omal nie krzyknęła na cały głos. W basenie ktoś był, a ona tego nie zauważyła, bo pływał pod wodą. Jej ręce bezwiednie pomknęły ku piersiom i udom.

— O Jezu, Ash, ale mi napędziłaś stracha. — Dan uchwycił się krawędzi basenu.

— Przepraszam — wyjąkała.

— Chciałaś popływać? Pokiwała głową.

— No to chodź.

Zawahała się na moment, a potem zwinnie dała nurka. Woda w basenie była rozkosznie chłodna. Przepląnęła całą długość i dopiero na końcu wynurzyła się, strząsając krople z twarzy, po czym rozejrzała się za Danem. Był na głębszym końcu basenu. Poruszał nogami w wodzie i patrzył w jej stronę.

Podpłynęła do niego powoli, zastanawiając się, czy się poruszy. Ale on nie ruszył się z miejsca. On się mnie boi, pomyślała. Jest przerażony, bo go pocałowałam. To tak, jakbym zawiodła jego zaufanie czy coś w tym rodzaju. Zanurzyła się pod wodę i wypłynęła w tym samym miejscu. Dan nadal się nie ruszył.

— Przepraszam — powiedziała.

— Za co?

— Za to, co było wcześniej.

— Nie ma za co — powiedział. — Za dużo wypijaś. Tak samo jak ja. Tym się nie przejmuj.

— Myślę, że trochę się zagalopowałam z tą spontanicznością.

Dan uśmiechnął się.

— Nie ma sprawy. Podpłynęła bliżej.

— Oczywiście, to nic nie znaczyło.

— Oczywiście — przytaknął.

— Cudowna woda — powiedziała.

— Tak.

Nie wiedziała, ani jak, ani kiedy objęła go nogami. Nie wiedziała też, jak i kiedy zaczęli się nagle całować. A potem nie była już w stanie myśleć, gdyż poddała się całkowicie i bez reszty niezwyklej rozkoszy tej chwili — uczuciu, jakby stała się częścią Dana, a on jej częścią. I przeświadczeniu, że to dobre i słuszne.

Gdy Dan wreszcie ją puścił, serce waliło jej tak szybko i głośno, że bała się, iż rozsadzi jej pierś.

— Niedokończone sprawy — powiedział.

— Tak.

— Wydawało mi się to właściwe.

— Spontaniczne i impulsywne — dorzuciła. Dan pokiwał głową.

— I niestosowne — powiedziała. — Naprawdę niestosowne. To był wielki błąd. Olbrzymi. Gigantyczny.

Wyszła z basenu i owinęła się białym ręcznikiem.

— To był jednorazowy wyskok — dodała.

— Jasne.

— Nie powinnam była tego robić.

Ledwie ją widział w cieniu bugenwilli rosnących wokół basenu.

— Ash...

— Muszę już wracać — powiedziała. — Jutro z samego rana mam samolot. Muszę się trochę przespać.

Chwyciła adidasy i podkoszulek i zniknęła w ciemnościach, zanim zdążył wyjść z wody.

Rozdział 29

Sos sycylijski

Cebula, papryka, czosnek, pomidory, oberżyna, oliwki, kapary, chilli, bazylia.

Drobno posiekać cebulę, paprykę i czosnek, dusić na małym ogniu. Dodać pokrojone pomidory i oberżyny i dusić w rondlu. Na koniec dodać kapary, bazylię, oliwki i chilli, i pozostawić na wolnym ogniu.

Przytłumiony grzmot wyrwał Ash z nerwowego, niespokojnego snu. Było już prawie wpół do siódmej. Wstała z łóżka i wyjrzała przez okno. Chmury wisiały nisko na niebie, powietrze było cieplejsze niż zwykle, a z oddali nadciągała burza.

Poszła do łazienki i spojrzała w lustro. Włosy miała w nieładzie. Wodoodporny tusz rozmazał jej się pod oczyma, tak że wyglądała jak panda, a twarz miała bladą i zmęczoną. Weszła pod prysznic i wycisnęła sobie na głowę pół butelki Clairol Herbal Essences.

Miała nadzieję, że to tylko sen; że cały poprzedni wieczór to był sen wywołany obfitym posiłkiem, winem i szampanem. Ale to nie był sen. Mokry podkoszulek wciąż leżał na podłodze, tam, gdzie go rzuciła po powrocie z basenu, a na ramieniu miała mały siniak od mocnego uścisku Dana.

Zamknęła oczy, raz jeszcze przebiegła to wszystko w myślach i z przerażeniem poczuła w sobie tę samą wzbierającą namiętność. Jak mogło do tego dojść?, pytała samą siebie. Lubiała go. Ale nie nabiera się nagle dzikiej ochoty na kogoś, kogo się lubi. Zazwyczaj ma się dziką ochotę na kogoś, kogo się ledwie zna. A zanim się go lepiej pozna, zainteresowanie zdąży wygasnąć. Właśnie dlatego nie należy rzucać się od razu na facetów. I dlatego wszystko musi być starannie zaplanowane. Nie jestem osobą impulsywną i spontaniczną, powiedziała sobie, gdy woda lała jej się kaskadami na twarz. A teraz już wiem dlaczego. Ale, pomyślała z goryczą, musi być ze mną coś poważnie nie tak, skoro uważam, że to w porządku kochać się z mężczyzną, który jest zaręczony z inną dziewczyną. Z kimś, kogo znam. Z kimś, kogo... nie powiem, żebym lubiała Cordelię, ale nie mogę też powiedzieć, że jej nie lubię.

Zakręciła kurek i stała w kabinie, ociekając wodą. Wcale nie uważam, że to w porządku kochać się z mężczyzną, który jest zaręczony z inną dziewczyną, powiedziała sobie. Szczerze mówiąc, to całkowicie i zdecydowanie nie w porządku. To absolutnie godne potępienia. Nie powinnam była tego robić.

A on? Czy on uważał, że to w porządku? Że to zabawne? Czy dlatego namawiał ją, żeby się wyluzowała? Czy uważał, że to mądry pomysł, żeby ją upić, potem pozwolić się pocałować, a na koniec jeszcze się z nią kochać? Czy czuł do niej cokolwiek poza tym, że go bawiła? Z drugiej strony, czemu miałby cokolwiek do niej czuć, pytała samą siebie, wycierając się energicznie jednym z ręczników kąpielowych, skoro ja nic do niego nie czuję. Ja chciałam się tylko zemścić. Chciałam się odegrać na Alistairze, chociaż Alistair i tak się o tym nie dowie. Zrobiłam to, żeby poczuć się lepiej. O Jezus, pomyślała, jestem zwykłą kurwą.

Nie chciało jej się suszyć włosów, więc rozczesała je tylko i zaplotła z tyłu w gruby warkocz. Nałożyła czarne džinsy i czarny bawełniany top, a potem spakowała torbę na wyjazd.

Samolot odlatywał o jedenastej. Postanowiła przejść się teraz do Taorminy i wziąć taksówkę, która zawiezie ją na lotnisko. Tam będzie mogła napić się kawy i zjeść ciastko na śniadanie, choć jak na razie, na myśl o kawie i ciastku żołądek podjeżdżał jej do gardła. Nagle uświadomiła sobie, że głowa pęka jej z bólu. Powinna jednak wyjechać już teraz, zanim inni się obudzą, żeby nie musiała z nikim się żegnać. W Dublinie wszystko będzie wyglądało inaczej. W Dublinie zapomni, że coś takiego w ogóle miało miejsce; zapomni o tym spontanicznym seksie i idiotycznych zakupach. I zawsze najpierw pomyśli, zanim coś zrobi, tak jak dotąd.

Lunęło dokładnie w momencie, gdy wyszła na dwór. Krople deszczu były olbrzymie i ciężkie jak ciepłe kule z wody, spadające z rozświetlanego błyskawicami nieba. Ash zaklęła półgłosem. Spróbowała iść pod drzewami, których gałęzie zwieszały się nad drogą, ale i tak szybko przemokła. Krople deszczu ześlizgiwały się z liści i spływały jej po plecach, pogarszając jej samopoczucie. Jakiś samochód zatrzymał się tuż przed nią i kierowca opuścił szybę.

— Wsiadaj, Ash — odezwał się Dan.

Potrząsnęła głową.

— Jest w porządku.

— Kompletnie przemokniesz — powiedział. — Wsiadaj.

— Nie — odpowiedziała.

— Na miłość boską, Ash, nie bądź taką idiotką i wsiadaj do samochodu!

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem obeszła wóz, wsiadła do środka i rzuciła torbę na tylne siedzenie.

— Odwiozę cię na lotnisko — powiedział, zawracając.

— Podrzuc mnie na postój taksówek — zażądała.

— Zawiozę cię na lotnisko.

— Dan, ja naprawdę nie mam ochoty na rozmowę. Zawieź mnie na postój taksówek.

— Czy ja coś mówiłem o jakiejś rozmowie? — Dan wyprzedził krztuszącą się ciężarówkę. — Możemy milczeć przez całą drogę na lotnisko, jeżeli sobie tego życzysz, ale tam właśnie mam zamiar cię zawieźć.

— Dobrze — powiedziała znużonym tonem. Czowała, że ma dreszcze. Bluzka jej kompletnie przemokła, podobnie jak dżinsy i buty.

Dan zjechał szybko ze wzgórza, pokonując z wprawą zakręty. W normalnych warunkach Ash denerwowałaby się z powodu prędkości oraz zakrętów na drodze, ale teraz bolała ją głowa i było jej wszystko jedno.

— Rozumiem, że postanowiłaś przybrać pozę typu „nic nie było ubiegłej nocy” — odezwał się Dan, kiedy w końcu musiał się zatrzymać, żeby autobus kursowy mógł zabrać kilku pasażerów.

— Tak, absolutnie — powiedziała natychmiast Ash.

— Nie uważasz, że był jakiś powód...

— Powód był taki, że byłam pijana, i ty też — stwierdziła. — Byłam też na tyle głupia, że próbowałam zachowywać się jak wszystkie dziewczyny na tym świecie, które robią straszne głupstwa.

— Jesteś tego pewna?

Popatrzyła na niego.

— Dan, jesteś zaręczony z Cordelią. I kochasz Cordelię, mówiłeś mi to tysiące razy. A ja próbowałam odegrać się na Alistairze.

— Co?

— Przez całe życie starałam się uchronić przed zranieniem; próbowałam też sobie wmówić, że nie zależało mi na Alistairze aż tak bardzo, żeby zdołał mnie zranić. A jednak pocałowałam cię i... i... i tak dalej, żeby się na nim zemścić.

— Dzięki — burknął Dan.

— Przykro mi — powiedziała. — Naprawdę. To dlatego nie działałam impulsywnie, Dan. Bo moje impulsy są cholernie głupie.

— Mam nadzieję, że Cordelia nigdy się o tym nie dowie. — Dan spojrzał na nią pytająco.

— Nie, chyba że sam jej powiesz — rzuciła opryskliwie. — Co nie byłoby najmądrzejszym posunięciem.

— To prawda — przyznał.

Znów umilkli. Lało teraz tak bardzo, że coraz trudniej było prowadzić samochód. Ash nagle przypomniała sobie rzygacz w Villa Rosa i zaczęła się zastanawiać, czy deszczówka tryska teraz z jego paszczy.

— Musze, na chwilą się zatrzymać — powiedział Dan. — Niech to się trochę uspokoi. — Zjechał na pobocze, skąd widać było morze — wielkie kłębowisko fal o białych grzywach. — Nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobiłem — powiedział po kilku minutach. — Mówiłem wprawdzie, że czasami źle traktowałem kobiety, ale...

— Nie potraktowałeś mnie źle — powiedziała. — Jeżeli ktoś mógłby mieć o to żal, to tylko Cordelia.

— Ale Cordelia się nie dowie.

— Jak już mówiłam — nie, chyba że sam jej powiesz.

— Dziękuję — powiedział.

— Nie ma za co — rzuciła lekkim tonem.

— Strasznie mi przykro.

— Dan, przestań tracić czas na powtarzanie, jak strasznie ci przykro. Umówiliśmy się, że będziemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, prawda? Wsiadłam do twojego samochodu, bo powiedziałaś, że nie będziemy rozmawiać w drodze na lotnisko. Nie chce mi się przez następne pół godziny analizować, dlaczego okazałam się tak cholernie głupia i bezmyślna, i taka... taka...

— Rozpustna — powiedział Dan. — Nigdy sobie nie wyobrażałem, że potrafisz być taka rozpustna. To było naprawdę coś!

— O Boże, Dan, nawet nie mów takich rzeczy! To było naprawdę głupie!

— Nie powinienem był ci na to pozwolić — stwierdził.

— To nie twoja wina — powiedziała. — Przestań gadać, jakbyś był dziedzicem, który się zadał ze służącą. Nie mogłeś mnie powstrzymać.

Dan roześmiał się.

— Mówisz jak osoba, która nagle urwała się ze smyczy.

— To wcale nie jest śmieszne — burknęła.

— Wiem. Ale pomyślałem sobie, że może powinienem trochę rozładować atmosferę.

— Wyświadcz mi tę przysługę — powiedziała — i daruj sobie.

— Dobrze. Może jednak warto byłoby o tym porozmawiać.

— Nie — uniosła się Ash. — Co nam da rozmowa? Doprowadzi nas do wniosku, że możemy liczyć na coś więcej? Nic podobnego. Nie kocham cię, Dan. I ty też mnie nie kochasz. I nawet gdybyś zerwał z Cordelią i zaczął chodzić ze mną z powodu tego dzikiego przyływu żądy, i tak bym cię w końcu rzuciła. Bo zawsze tak robię.

— Ale nie w przypadku Alistaira — przypomniał jej. — Przecież to on cię zostawił.

— A ja zareagowałam na to tak, że rzuciłam się na pierwszego faceta, który mi się nawinął — powiedziała Ash. — Nawet jeżeli tym facetem byłeś ty. — Nagle wstrząsnął nią dreszcz.

— Powinnaś się przebrać z tych mokrych rzeczy — powiedział.

— Tak zrobię. Jak tylko przyjedziemy na lotnisko.

Ulewa nieco zelżała i Dan znów uruchomił silnik. Jechali w milczeniu. Gdy zatrzymali się przed terminalem, Ash przechyliła się do tyłu, żeby wziąć torbę, a potem wysiadła z wozu i zatrzasnęła za sobą drzwiami.

— Ash! — Dan opuścił szybę.

Odwróciła się i spojrzała na niego. A potem znowu się odwróciła i weszła do budynku.

Deszcze i burze opóźniły wszystkie wyloty z Katanii. Ash zdjęła mokre rzeczy, przepakowała torbę i usiadła w hali odlotów, czekając, aż zapowiedzą jej lot. Kupiła paracetamol i gazetę, ale słowa zmieniały się w kłębowisko liter przed jej oczyma i nie potrafiła się na nich skoncentrować. W którymś momencie zapadła w sen, by się ocknąć po kilku sekundach. Gdy z trzygodzinnym opóźnieniem znalazła się w końcu na pokładzie samolotu, była kompletnie wyczerpana. A gdy samolot wzbił się w niebo, zobaczyła w oddali palce błyskawicy, rozświetlające chmury w spektakularnym widowisku.

Nie zdążyła na samolot z Mediolanu i musiała czekać na inne, późniejsze połączenie. Gdy wreszcie dotarła do Dublina, miała uczucie, jakby spędziła całe życie w podróży.

Kiedy wysiadła z samolotu, odniosła wrażenie, że na wszystkich, którzy z nią lecieli, ktoś czekał. Ciągnąc torbę przez halę przylotów i dalej, do wyjścia, czuła się bardzo samotna. Temperatura w Dublinie była zdecydowanie niższa w porównaniu z Sycylią. Stojąc w kolejce na postoju taksówek, otuliła się szczelnie żakietem.

Jedyne, w czym jej się tego dnia poszczęściło, myślała, moszcząc się na tylnym siedzeniu taksówki, to że trafiła na mało rozmownego kierowcę. Oparła głowę o szybę i zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś uda jej się odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Przedtem wszystko wydawało jej się takie proste. I znowu będzie proste. Musi tylko pamiętać, co jest dla

niej ważne. Jej praca, jej mieszkanie i jej kot. Nagle uświadomiła sobie, że jest jakaś przyczyna, dla której te porąbane trzydziestoparolatki są zawsze pijane i świrują z byle powodu. Wszystko dlatego, że nie potrafią zmierzyć się z życiem. Na szczęście jej się to udało. I nawet jeśli w ostatnich tygodniach życie wymknęło jej się trochę spod kontroli, nawet jeśli ostatniej nocy stanęło na głowie, potrafi nad nim zapanować. Nie należy przecież do osób, które staczają się i sięgają po butelkę. Tego była pewna. Nie należała też do osób, które wpadają w depresję i idą do łóżka z pierwszym lepszym, nieodpowiednim facetem, jaki im się nawinie pod rękę. Raczej nie. To, że raz popełniła błąd, nie znaczy jeszcze, że jej życie będzie odtąd serią pomyłek. Nie jest przecież Julią. Dan wyraźnie jej to powiedział.

Zapłaciła taksówkarzowi i dała mu spory napiwek za milczenie. Podziękował z uśmiechem i zaproponował, że wniesie jej walizkę na górę.

— Nie, dzięki — powiedziała. — Dam sobie radę.

Zawsze sobie radziłam, mruknęła sama do siebie, czekając na windę. Zawsze dawałam sobie radę, bo musiałam, i dlatego jestem, jaka jestem.

Otworzyła drzwi do mieszkania i weszła do środka. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak przed jej wyjazdem — było schludnie i czysto. Podniosło ją to trochę na duchu, zwłaszcza gdy się upewniła, że telewizor został jednak wyłączony z kontaktu. Rozpakowała torbę i wrzuciła mokre ubranie do kosza na brudną bieliznę. Sycylia już zaczynała przybierać w jej myślach nierealny wymiar; trudno było uwierzyć, że jej bluzka przemokła w innym kraju.

Przeszła na drugą stronę korytarza, by wymienić butelkę oliwy z oliwek i bryłkę skały wulkanicznej na Bajgla. Sąsiedzi chcieli posłuchać o wyprawie, więc choć nie miała ochoty o tym mówić, zaserwowała im okrojoną wersję przyjęcia u Morlandów (pomijając ten fragment, kiedy Freda rzucała talerzami), wyprawy na Etnę (nie wspominając o tym, że złapali gumę) i kolacji z Danem (powiedziała tylko, że jedzenie było przepyszne).

— To brzmi fantastycznie — westchnęła Rhoda. — Chciałabym sobie zafundować taki urlop.

— Było świetnie — skłamała Ash. — I co za męka znów być w domu. — Bajgiel zaczął się wiercić na jej rękach, więc powiedziała, że musi już wracać do siebie. — Ale musicie wpaść któregoś dnia na kolację — powiedziała ku swemu zdumieniu, bo nigdy dotąd ich nie zapraszała.

— Cudownie. — Rhoda uśmiechnęła się promiennie. — Z największą przyjemnością.

Co ja robię, na Boga?, pomyślała Ash. Znów postąpiłam bez zastanowienia. Muszę wziąć się w garść.

Kiedy wróciła z kotem do swojego mieszkania, Bajgiel znów wyraził swoje niezadowolenie, że go zostawiła, ostrząc sobie pazury na sofie, ale nawet nie próbowała go powstrzymać. Potem pomaszerował do kuchni, usiadł przy miseczce i głośno miauknął.

Nałożyła mu Whiskasa i patrzyła, jak rzuca się na miskę. Posiłek na uspokojenie, pomyślała. Sama bym sobie taki zafundowała, ale nie jestem ani trochę głodna.

Wróciła do salonu i włączyła komputer. Jedyne e-maile w jej skrzynce internetowej zawierały informacje od firm, w których zamówiła pewne usługi. Od Alistaira nie było nic. Oczywiście nie spodziewała się od niego wiadomości. Nie mogła się jednak pozbyć uczucia, że jej życie musi być śmiertelnie nudne, skoro dostaje listy wyłącznie z klubów książki, informujące ją, że ma kupić kolejną książkę kucharską Delii Smith. A przecież w życiu musi chodzić o coś więcej niż tylko o to, żeby umieć idealnie ugotować jajko.

Na automatycznej sekretarce także nikt nie zostawił wiadomości. Zeszła na dół, żeby zajrzeć do skrzynki na listy. Tam przynajmniej było kilka kopert, ale — jak się okazało — tylko brązowych, co znaczyło, że są to same rachunki.

Czy to jest to?, zadała sobie pytanie. Czy to naprawdę wszystko, czym jestem? Cztery rachunki z zakładów użyteczności publicznej, list z banku z informacją, że mogę wziąć pożyczkę do dziesięciu tysięcy funtów, oraz okólnik od mojego lokalnego polityka, w którym mnie zapewnia, że ciężko pracuje dla mojego dobra.

Przyniosła rachunki na górę i położyła je na tacy na biurku. A potem usiadła i rozejrzała się wokoło. Żółte ściany w kolorze płatków kukurydzianych wydawały się ją przytłaczać.

Pora znów przemalować mieszkanie, pomyślała. Bajgiel wskoczył jej na kolana i zaczął ją deptać po brzuchu.

Rozdział 30

Chleb na zakwasie

Zakwas, letnia woda, cukier, sól, roztopiona margaryna, mąka.

Wymieszać zakwas, wodę, cukier, sól i margarynę. Dodać połowę mąki i ubijać, aż masa będzie gładka. Zostawić na 15 minut. Dosypać mąki i wyrobić miękkie ciasto. Ugniatać, dodając mąki, aż ciasto przestanie się kleić. Przełożyć do dużej miski, nakryć i zostawić, aż wyrośnie i podwoi swoją objętość.

Cordelia zamówiła na lunch szynkę z musztardą na żytnim chlebie. Kanapkę zjadła przy biurku, przeglądając jednocześnie raport w sprawie fabryki zabawek, dla której pracował jej bank. Nie była jednak w stanie skoncentrować się na nim i po trzech stronach odłożyła go na bok, by znów sięgnąć po katalog sukien ślubnych. Ta na stronie czwartej była absolutnie przepiękna, ale tak nieprzyzwoicie droga, że Cordelia zaczęła się zastanawiać, czy nie powinni jej wsadzić za kratki za to, że w ogóle śmie o czymś takim myśleć. Przecież chodzi tylko o jeden dzień. To czysty obłąd, żeby wydawać kilka tysięcy dolarów na suknię, którą nałoży się tylko raz.

Nagle zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Cordelia Carroll. — Ostatnio coraz częściej zdarzało jej się mówić z nosowym, amerykańskim akcentem.

— Cześć, Cordelio! Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś wpaść na chwilę do mojego biura.

Otworzyła szeroko oczy.

— Mike? Teraz?

— Tak, teraz, o ile nie jesteś zajęta. Wiesz, gdzie to jest?

— Oczywiście. — Poczowała, że serce szybciej zabiło jej w piersi. Otarła z ust okruchy chleba, wyrzuciła resztkę kanapki do śmieci i poszła w stronę windy. Była zdenerwowana, ale i mocno zaintrygowana. Mike był jednym z dyrektorów i dzierżył w garści klucz do jej przyszłości. Podtrzymywała z nim niezobowiązującą znajomość, gdy co rano przychodził na siłownię, a ona zawsze się do niego uśmiechała i mówiła mu cześć, kiedy maszerował po bieżni. Od czasu do czasu pytał ją, co słyhać z tym czy innym projektem, i zawsze zdawał się słyhać z

uwagą jej odpowiedzi. Cordelia uważała, że Mike Fuller to osoba pożyteczna i warto utrzymywać z nim przyjazne stosunki.

Ku swemu zdumieniu, zobaczyła w jego biurze również Melissę Kravich. Melissa, jak zawsze bardzo zadbana i wymanikiurowana, wyglądała jak wzięta z reklamy Kobiety Sukcesu.

— Usiądź, Cordelio. — Orzechowe oczy Mike'a spojrzały na nią ciepło i życzliwie. Poczuli, że opuszcza ją trema, choć nadal ogarniał ją lekki dreszczyk niepokoju.

— Rozmawialiśmy z Melissą o planowanych zmianach w dziale zakupów i fuzji — powiedział Mike. — Padło przy tym twoje nazwisko.

— Och. — Cordelia przeniosła wzrok z Mike'a na Melissę i znów się zdenerwowała. Czy to jakaś zmowa? Chyba nie, pomyślała. Nie mogą jej chyba wyrzucić za byle co, prawda? Przecież dopiero co dali jej podwyżkę. Ale na Wall Street nigdy nic nie wiadomo. Na Wall Street wszystko jest możliwe.

— Melissa uważa cię za osobę niezwykle zdolną. Podobnie zresztą jak ja.

A więc nie zamierzają jej wylać! Odetchnęła z ulgą.

— Zwolniło się pewne stanowisko. Rozmawiałem już o tym z Melissą. Zgadza się ze mną, że byłabyś idealna na to miejsce.

— Naprawdę? — Cordelia starała się mówić bez emocji.

— To praca w naszym biurze w Chicago — powiedział Mike. — Które, jak wiesz, jest największe po nowojorskim.

W Chicago zrobiłaś na naszych ludziach wielkie wrażenie. Zostaniesz zastępcą wiceprezesa i będziesz odpowiedzialna za specjalne projekty, z zagwarantowanym awansem na wiceprezesa po sześciu miesiącach.

Wiceprezes! Cordelii zakręciło się w głowie. Wiceprezes! Czyli to prawda, że każdy może nim zostać, ale trzeba sobie wywalczyć tę pozycję. A jej to po prostu zaproponowano — przed DeVere'em Bassettem i innymi osobami z jej działu. Przenosiny do Chicago miały pewne ujemne strony, ale z tym bez trudu sobie poradzi. Poza tym Mike miał rację, to duże biuro; otworzą się tam przed nią spore możliwości, a tylko o to zawsze jej chodziło.

— Chcielibyśmy, żebyś zaczęła już w sierpniu — powiedział Mike.

Sierpień! Na dźwięk tego słowa z hukiem spadła z obłoków na ziemię. W sierpniu wychodzi za mąż. Nie może objąć nowego stanowiska w Chicago, jeżeli bierze ślub w tym samym miesiącu. Zaczęła gorączkowo myśleć, targana sprzecznymi emocjami. Tak bardzo chciała dostać tę pracę — aż do bólu. Znowu spojrzała na Melissę. Szefowa przyglądała jej się uważnie.

— Czy to jakiś problem? — zapytała Cordelię.

Ona wie, że w sierpniu wychodzę za mąż, pomyślała Cordelia. Mówiłam jej o tym. Zmarszczyła brwi. Czy to jakiś test?, pomyślała. Żeby mogła dowieść swojej lojalności wobec Harrisona? Czy powinna teraz odpowiedzieć, że nie zależy jej na ślubie z Danem, że jej kariera zawodowa jest dla niej ważniejsza niż wszystko inne? Wiedziała, że tak właśnie postąpiłaby Melissa. Kobieta, która potrafi popijać koktajle i gawędzić z członkami zarządu, w czasie gdy jej syn został odwieziony do szpitala, nie pozwoliłaby na to, by jakiś tam ślub przeszkodził jej w dalszej karierze.

Cordelia chciała odnieść sukces. Marzyła o sukcesie. Lecz czy za wszelką cenę? Czy jeśli przyjmie tę pracę, nie stanie się pewnego dnia jedną z tych kobiet, które popijają koktajle na służbowej imprezie, a w tym czasie jakaś niańka siedzi z ich synkiem w szpitalu? A może straciła poczucie proporcji?

— To fantastyczna szansa — powiedziała ostrożnie, patrząc na Mike'a. — Bardzo się cieszę, że wzięliście mnie pod uwagę. Ale jest pewna drobna przeszkoda.

— Co to takiego? — Mike spojrzał na nią z uwagą.

— Wychodzę za mąż w sierpniu. We wrześniu miałam objąć nową posadę w Dublinie.

— Wiem o posadzie w Dublinie — powiedział Mike. — Ale trudno te dwa miejsca porównać, Cordelio. Dublin to małe pole działania w porównaniu z Chicago.

— Wiem.

— Chcesz wrócić do kraju, wyjść za mąż i spędzić resztę życia w biurze w Dublinie? — zapytała Melissa.

Cordelia spojrzała na nią. Ona czeka, żebym powiedziała „tak”, pomyślała. Chce, żebym potwierdziła, że należę do tych dziewczyn, które zrezygnują ze wszystkiego, byle tylko wyjść za mąż. Bo tak naprawdę ona chce, żeby mi się nie udało. Nagle uświadomiła sobie, że Melissa to jedna z tych kobiet obdarzonych władzą, które nienawidzą innych kobiet. Która chce, by tylko jej się powiodło. Która lubi być jedyną kobietą w pokoju pełnym mężczyzn.

— Może... — zaczęła z wahaniem, patrząc na Mike'a Fullera — może uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie.

— Na przykład jakie? — zapytał.

— Nie mogę zmienić daty ślubu — powiedziała. — I, prawdę mówiąc, miałbyś o mnie złe mniemanie, gdybym próbowała.

Mike uśmiechnął się do niej.

— Ale jestem pewna — ciągnęła dalej — że możecie wykazać pewną elastyczność, jeśli chodzi o moment, w jakim miałabym zacząć w Chicago. W końcu tydzień w jedną czy drugą stronę w ogólnym rozrachunku nie będzie miał zbyt wielkiego znaczenia.

— Projekt, o którym mowa, to sprawa bardzo pilna.

— Ale nie będę wam potrzebna w Chicago aż do sierpnia, a więc to nie może być aż takie pilne — zauważyła rozsądnie. — Czyli istnieje pewne pole manewru.

— Punkt dla ciebie — stwierdził Mike.

On chce, żebym dostała tę pracę, pomyślała Cordelia. Lubi mnie. Wie, że potrafię to zrobić, i wie też, że Melissa umyślnie stara się piętrzyć przeszkody.

— Może usiedlibyśmy razem i dokładnie ustalili, kiedy mam wrócić z Irlandii? — zaproponowała. — Jestem pewna, że uda nam się wymyślić coś, co wszystkich zadowoli.

— To brzmi rozsądnie — przyznał Mike.

— No, skoro tak uważasz... — powiedziała Melissa.

— Tak się cieszę, że daliście mi tę szansę. — Cordelia obdarzyła ich oboje promiennym uśmiechem i zaczęła się zastanawiać, jaką obrać strategię, by Dan zgodził się na zmianę planów.

Ash pozbierała ze stołu talerze i włożyła je do zmywarki. Tego dnia lunch był tylko na cztery osoby, więc nie potrzebowała kelnerki i wszystko zrobiła sama. Na ogół jej to nie przeszkadzało, ale dziś żałowała, że nie ma przy niej Jodie, bo obudziła się ze straszliwym bólem głowy, któremu tym razem towarzyszył ból gardła. Kilka minut temu zaczęła kichać i już wiedziała, że złapała katar. Nie wierzyła, że można dostać kataru od siedzenia w mokrym ubraniu, ale nie mogła sobie przypomnieć innej okazji, przy której mogła się go nabawić. Po części skłonna była też uwierzyć, że to kara za noc namiętności z Danem. Oczywiście to czysty idiotyzm, mówiła sobie, ale nic nie mogła na to poradzić, że miała takie wrażenie. Zaczęła sobie masować kark i pomyślała, że chciałaby być w domu, skulona na sofie, z Bajgłem przy nogach. Oczywiście z Bajgla mała w tej chwili pociecha — nadal ją ignorował, dając jej do zrozumienia, że nie może zostawiać go, kiedy jej się podoba.

Chciałabym, żeby wszystko było tak jak dawniej, pomyślała, włączając zmywarkę. Żałuję, że w ogóle pojechałam na Sycylię. Wolałabym nigdy nie poznać Dana Morlanda. Albo Alistaira Brannigana. Żałuję, że się zaangażowałam.

Wszystko wyglądało przecież znacznie prościej, kiedy się nie angażowała. Zawsze to wiedziała.

Dan i Bronwyn siedzieli na tarasie Villa Rosa. Dan oparł nogi na żeliwnym stoliku, wystawiając twarz na popołudniowe słońce. Bronwyn malowała sobie paznokcie na wściekły oranż.

— Przyjemniej siedzieć na dworze, kiedy powietrze trochę się oczyściło — powiedziała. — Pewnie się cieszysz, że udało ci się zostać tu jeszcze tydzień.

— Mmm.

— Wcale się nie dziwię, że mama ciskała rzeczami wtedy, przy kolacji. Był taki upał, że nawet ja byłam nie w sosie. A przecież wiesz, że normalnie jestem najbardziej zrównoważoną osobą na świecie.

Dan prychnął tylko pogardliwie.

— Właśnie że tak! — Bronwyn wyciągnęła rękę i z zadowoleniem pokiwała głową. — No, jak myślisz?

— Mnie nie pytaj — powiedział. — Jestem absolutnie beznadziejny, jeżeli chodzi o kanony damskiej mody.

Bronwyn zachichotała.

— Mówisz jak facet w średnim wieku.

— Czasami tak się czuję — przyznał. — Kiedy muszę znosić wysokie mamy i taty. I kiedy próbuję wszystkich uszczęśliwić.

— Nie musisz tego robić — powiedziała Bronwyn. — Poza tym wszyscy są szczęśliwi, naprawdę. Fakt, że ciągle się ze sobą kłócą, nie ma znaczenia.

— Dawniej też tak myślałem. — Dan westchnął. — Ale teraz nie mam już pewności.

— Biedaczek. — Bronwyn nachyliła się i uściskała brata. — Tak bardzo chcesz, żeby ludzie postępowali zgodnie z twoim życzeniem.

— Czy to źle? — zapytał. — Źle, że marzy mi się normalne życie rodzinne?

— A co jest normalne? — Bronwyn zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na niego. — Nic nie jest normalne. Każda rodzina ma swoje wstydlive tajemnice.

— Ale nie my — upierał się. — Rzecz w tym... tak bardzo chciałbym mieć rodziców, którzy wzięli ślub i nadal są ze sobą. Może też ojca, który byłby bardziej typowy niż tato.

— Dużo byś chciał. — Bronwyn uśmiechnęła się do niego. — W życiu tak nie jest, Dan. I pewnie nigdy nie było.

— Wiem — mruknął. — Jestem supergłupcem.

— Nie, wcale nie — powiedziała. — Jesteś superbratem. I bierzesz na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, to wszystko. Pamiętasz, jak mama nas zostawiła? A ty przejąłeś wszystkie domowe obowiązki?

Dan pokiwał głową.

— Wyglądałeś idiotycznie — powiedziała — kiedy ciągnąłeś po całym domu ten olbrzymi odkurzacz. Albo paradowałeś z butelkami płynu do czyszczenia.

— Robiłem to, bo mama nie chciała — bronił się Dan.

— Ale to nie znaczyło, że ty musiałeś. — Bronwyn znowu odkręciła buteleczkę lakieru i zaczęła malować paznokcie drugiej ręki. — Nie musiałeś też zamieniać kolacji na cześć ostatniej kropki w jakąś spektakularną imprezę rodzinną.

— Ale chciałem.

— Wiem. Umówiliśmy się też, że co roku będziemy urządzać wielką balangę. Ale w sumie byłoby lepiej tego nie robić.

— Jeżeli myślisz, że jeszcze kiedyś spróbuję czegoś takiego, to się grubo mylisz!

— To był całkiem miły pomysł. Ale szalony.

— Cokolwiek by mówić, ona świetnie gotuje — rzucił Dan.

— Fantastycznie. — Bronwyn pokiwała głową. — I podoba ci się, prawda?

— Dobry Boże, nie!

— Daj spokój, Dan. Przecież jestem twoją siostrą. Nie możesz mieć tajemnic przed bliźniaczką.

— Nie mam żadnych tajemnic.

— Dan, to bardzo miła i atrakcyjna dziewczyna, która świetnie gotuje. Ona spełnia wszystkie twoje ciche, grzeczne marzenia, o żonce w kuchni i dwójce dzieci w ogródku!

— Tak uważasz? — zapytał. Usta zadrżały mu od tłumionego śmiechu.

— Oczywiście. Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby ci się nie podobała.

— Ale to chyba nie znaczy, że mam zerwać z Cordelią?

Bronwyn wyprostowała się gwałtownie, omal nie strącając ze stolika buteleczki z lakierem.

— Myślisz o tym, żeby zerwać z Cordelią?

— Skądże znowu — uniósł się Dan. — Chciałem tylko powiedzieć, że... że nawet jeżeli Ash mi się trochę podoba, to jeszcze nie znaczy, że nie kocham Cordelii.

— Jesteś pewny, że kochasz Cordelią? Nawet jeżeli Ash ci się podoba?

— Tak — oświadczył kategorycznie. — A to z Ash... to nic takiego.

— Wiesz, że Cordelia nieszczerólnie mi się podoba. Ale, prawdę mówiąc, jest pewnie dla ciebie bardziej odpowiednia niż ta kobieta z twoich marzeń, Dan. Przynajmniej nie sprawi ci zawodu, bo wie, czego chce od życia.

— Ash nie jest kobietą moich marzeń — powiedział. — Poza tym dlaczego miałyby mnie rozczarować, gdyby nią była?

— Bo żadnej kobiety w dzisiejszych czasach nie zadawała gotowanie i zajmowanie się mężem. A to jest to, czego naprawdę pragniesz. Kogoś, kto by się tobą zajął.

— Jeżeli tego naprawdę chcę, to dlaczego zaręczyłem się z Cordelią?

— Bo zawsze leciałeś na długie nogi. — Bronwyn wybuchnęła śmiechem.

— Kolejne marzenie? — zapytał.

— Całkiem możliwe — przyznała. Dan milczał.

— To miła dziewczyna — dorzuciła Bronwyn.

— To pierwsza pozytywna uwaga, jaką zdarzyło ci się powiedzieć o Cordelii — stwierdził.

— Nie miałam na myśli Cordelii. Dan spojrzał na nią z wyrzutem.

— Przyznaję, że Ash to miła dziewczyna, ale nie dla mnie.

— Dlaczego? — zapytała Bronwyn.

— Ma problemy — odparł zwięźle.

— Kto ich nie ma? — Bronwyn znów przyjrzała się swoim paznokciom. — Nie uważasz, że powinnam przemaalować je na karmin?

Ash zgromadziła na kuchennym blacie tyle jarzyn, że sama nie wiedziała, co z nimi począć. Pomidory, modra kapusta, marchewki, groszek, cebula, pory, papryki i kolby kukurydzy zajmowały całą wolną powierzchnię. Bajgiel obejrzał torby i zniknął za otwartym oknem. Ash wyjęła z kredensu największe, najcięższe garnki i postawiła je na płycie.

Jeszcze się nie zdecydowała, co ugotuje. Nie zupełnie, bo wciąż miała zamrażalnik pełen zupy. Natomiast wszystko, co wymagało siekania, obierania i krajania, miało, jej zdaniem, właściwości terapeutyczne — dlatego koniecznie chciała siekać, obierać i krajać. Chciała się podnieść na duchu. Bolało ją gardło, głowa jej pękała, a kolejny napad kichania był już tuż-tuż.

Więc choć nie czuła, by groził jej atak paniki, położyła na stole torbę z szarego papieru — tak na wszelki wypadek.

Rozdział 31

Kotlety z jagnięciny

Kotlety z jagnięciny, czosnek, sól i pieprz, rozmaryn, tymianek.

Rozgnieść czosnek z solą, zmieszać z ziołami i posmarować tym kotlety. Piec pod ciepłym grillem, aż będą gotowe.

Dan miał kłopoty z koncentracją, choć dla rynków był to sądny dzień, a on wciąż musiał tkwić przy telefonie, wykonując tysiące poleceń swoich klientów. Większość z nich wrzeszczała, że chcą sprzedać swoje akcje, ale wszyscy chcieli je sprzedawać po cenach, które przestały już być aktualne. Niektórzy nie wierzyli mu, kiedy im podawał ceny niższe o dwadzieścia, trzydzieści procent niż poprzedniego wieczoru. Wiedział też, że wielu z nich święcie wierzyło, że się ich okrada — co nie było prawdą. Był to po prostu jeden z tych dni, gdy sytuacja na rynkach trafia do czołówek telewizyjnych wiadomości oraz wieczornych komunikatów.

Spojrzał na migające światełka telefonu, podniósł z westchnieniem słuchawkę i wysłuchał skarg kolejnego klienta, który nie zdążył sprzedać w porę swoich akcji. Słuchając go, wydawał z siebie całą gamę stosownych odgłosów, choć zdawał sobie sprawę, że to mała pociecha dla jego klienta. Mimo to w odpowiednich momentach wyrażał współczucie, nie omieszkając przy tym podkreślić, że w sytuacji gdy rynki są tak niestabilne jak dziś, nic już nie da się zrobić. Przytakiwał też, gdy klient zaczynał się wściekać, że gdzieś tam ktoś zbijał na tym olbrzymie pieniądze. A tak prawdę mówiąc, w taki dzień jak dziś nikt nie zarabiał większych pieniędzy. Zerknął na swój ekran i zobaczył, że zarówno Archangel, jak i Transys znowu odnotowały spadek. Jeżeli tak dalej pójdzie, Alistair Brannigan zostanie bardzo zwyczajnym milionerem, i to już niedługo. Może, w gruncie rzeczy, rzucając Ash, wyświadczył jej tym przysługę. Potrząsnął głową, chcąc wyrzucić Ash ze swoich myśli. Od powrotu do Dublina w ogóle o niej nie myślał; było tyle innych spraw, które zaprzętały mu głowę. Na przykład świetna posada Cordelii w Chicago.

— Muszę ją przyjąć, Dan. Naprawdę muszę. — Jej głos niósł się błagalnie przez Atlantyk.

— A co ze mną? — zapytał.

— Dan, dostaniesz tu pracę. Dobrze wiesz, że tak.

— To nie takie proste — powiedział.

— Może znajdziesz coś u Harrisona. Już oni to załatwią. Mówiłam Mike'owi o tobie. Że pracowałeś w dziale usług finansowych w Dublinie. Jest pewny, że znajdą coś, co będzie ci odpowiadać.

Jak mógł powiedzieć „nie”? Zresztą, może będzie mu się lepiej powodzić w Stanach, gdzie wciąż będzie musiał być ambitny i agresywny? Może to lepsze niż osiąść na laurach w Dublinie?

Cordelia umówiła go na spotkanie z Mike'em Fullerem. W następny weekend miał lecieć do Nowego Jorku. Lepiej będzie wziąć tę pracę, pomyślał. Ross już i tak był na niego zły za te kilka dodatkowych wolnych dni po powrocie z Sycylii.

Skończył rozmawiać z klientem i rozsiadł się wygodnie na krześle. Steve i Jim nadal tkwili przy telefonach, ale nagle zapanował chwilowy spokój i Dan z ulgą pomyślał, że nie musi przez moment z nikim rozmawiać. U Harrisona tak nie będzie, powiedział sobie. Tam każda sekunda bez telefonu będzie straconą sekundą. Popatrzył na zegarek. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Już niedługo lunch z partnerami. Dziś będzie pewnie trwał krótko, bo ludzie chcą jak najwięcej czasu spędzić przy biurkach. Ale oczywiście muszą porozmawiać o strategii na nadchodzący tydzień i spróbować ustalić, czy dzisiejszy dzień jest aberracją i czy grozi im krach na rynkach. Dan miał nadzieję, że nie, bo dla interesów byłoby to okropne, lecz na myśl o tym, że posłuchał instynktu i zdążył na czas sprzedać akcje, poczuł mimowolną ulgę. Przypomniał sobie, że sprzedał je, żeby wyremontować łazienkę. Ale jaki sens robić remont, jeżeli ma zamiar spędzić kilka następnych lat w Stanach.

Zaczął w zamyśleniu masować sobie kark. Wynajmie swój dom na ten czas, oczywiście, bo któregoś dnia przecież wróci. Nie ma sensu go sprzedawać, skoro położony jest w tak świetnej części miasta i można mieć niezły dochód z wynajmu. A potem, kiedy Cordelia dojrzeje do tego, by się ustatkować, wróćą do Irlandii. Nie rozmawiał jeszcze o swoich planach z Rossem Fearonem. Wolał poczekać, aż dostanie konkretną odpowiedź od Jankesów. Nigdy nie można być niczego pewnym, póki nie ma się umowy czarno na białym. Poza tym może im się nie spodobać. W tym przypadku naprawdę nie wiedział, co zrobią z Cordelią.

Ross wyszedł ze swojego biura i dał mu znak, że są gotowi, by iść na lunch. Dan skinął dyrektorowi głową i wstał od biurka. Dziś miał zobaczyć Ash po raz pierwszy od pobytu na Sycylii i nie można powiedzieć, by z utęsknieniem czekał na tę chwilę. Skoro udało mu się tak skutecznie wymazać ją ze swoich myśli, perspektywa, że ją znów zobaczy, napawała go przerażeniem. I, co gorsza, myśli, że sobie przypomni, jak dobrze mu z nią było.

Jesteś skończonym gnojem, powiedział sobie, idąc w stronę windy. Czuł, że jeśli kiedykolwiek opowie swoim kumplom o nocy z Ash, zrobi to z triumfalną miną i będzie się przechwalał. Żeby go podziwiali i zazdrościli mu, że ma takie szczęście, że potrafił załatwić sobie na boku taki atrakcyjny kasek, gdy tymczasem cudowna Cordelia czeka w Nowym Jorku. Ale dziś nie czuł się ani szczęściarzem, ani triumfATOREM, nie miał też najmniejszej ochoty na przechwałki.

Bronwyn poruszyła raz jeszcze temat Ash przed jego wyjazdem z Sycylii i zapytała go wprost, czy poszedł z nią do łóżka.

A on nie po raz pierwszy żałował, że jest jego bliźniaczką. Bronwyn wiedziała o nim takie rzeczy, jakich on sam o sobie nie wiedział. Przed nią trudno mu było utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Mógł oczywiście wszystkiemu zaprzeczyć, tłumacząc sobie, że kochać się z Ash w basenie to nie to samo, co pójść z nią do łóżka, ale wiedział, że Bronwyn by mu nie uwierzyła. A jednak nie potrafił powiedzieć jej prawdy. Dotąd nigdy jej nie okłamał, ale teraz nie był w stanie z nią rozmawiać.

Partnerzy Chathama zasiedli do stołu w jadalni i Jodie postawiła przed nimi talerze z wędzonym łososiem. Dan wycisnął trochę soku z cytryny na swoją porcję i poczuł, że nie jest głodny.

— Trzeba pilnie rozesłać komunikat — zagaił Ross Fearon. — Rozmawiałem już o tym z Jamesem O'Driscollem. Ma opracować coś, co będziemy mogli wysłać e-mailem do klientów jeszcze dziś wieczorem. Musimy zdecydować, czy radzimy im sprzedawać, czy mają spokojnie czekać.

Partnerzy wyrazili swoje opinie — tak zróżnicowane, jakby ich grupa nie składała się z samych ekspertów. Dan nic nie mówił, tylko przesunął po talerzu łososia.

— Dan, na początku roku byłeś wielkim pesymistą — powiedział Ross. — Co teraz o tym wszystkim sądzisz?

— Sądzę, że ceny jeszcze bardziej spadną. — Danowi coraz trudniej było skupić myśli. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Dotąd zawsze potrafił oddzielić swoje sprawy osobiste od zawodowych i nie zadręczał się prywatnymi problemami w godzinach pracy. Choć musiał przyznać, że czasami jego kłopoty zawodowe przyprawiały go w domu o zgarę.

— Wobec tego zalecałbyś sprzedaż? — Ross nie znosił, kiedy jego dilerzy radzili ludziom, by sprzedawali swoje akcje.

— Ale tylko niektórych akcji — powiedział Dan. — Uważam, że powinno się kupować teraz akcje wielkich firm, które poniosły wielkie straty.

— To brzmi rozsądnie — Ross wolał tę taktykę. — Przerzucić się z pomniejszych inwestorów na takich, którzy ulegli panice i zaczęli masową wyprzedaż.

— Coś w tym rodzaju. — Dan odłożył na talerz swój nóż i widelec. Nawet nie tknął łososa.

Jodie weszła i zebrała ze stołu talerze, a partnerzy kontynuowali dyskusję o typach akcji, których kupno będą doradzać swoim klientom.

Dan myślał o Ash. Nie sposób było o niej nie myśleć, wiedząc, że jest tak blisko. Trudno mu było uwierzyć, że przebywa w sąsiednim pomieszczeniu i kraje, i sieka, i robi wszystko, co robi się w kuchni, a potem danie pojawia się na stole i nikt nie wie, że on, Dan Morland, kochał się z nią w basenie na Sycylii. Było to tak niewiarygodne, że sam z trudem w to wierzył. Wspomnienia z tej nocy były zresztą dość niewyraźne, bo tak on, jak i Ash wypili wtedy o wiele za dużo. Dlaczego zawsze robię takie głupstwa, kiedy za dużo wypiję?, pytał z wściekłością sam siebie. Ona była jednak fantastyczna. Bez względu na to, co myślał o całej reszcie, była fantastyczna!

Wyprostował się na krześle. Coś jest ze mną rzeczywiście nie tak, pomyślał, skoro myślę o seksie w dniu, w którym moja firma odnotowała największy spadek na rynku akcji od azjatyckiego kryzysu w roku 1997. Nie mogę w to uwierzyć, że zaprzątam sobie głowę czymś takim, kiedy jest tyle innych poważniejszych spraw, o których powinienem teraz myśleć. A na domiar złego myślę o seksie z kimś innym niż z Cordelią.

Wyobraził sobie Cordelię w białym lnianym kostiumie, pod którym miała tylko białe stringi. Trochę pomogło. Ale nie aż tak, jakby sobie tego życzył.

Jodie wróciła do jadalni, niosąc talerze z jagnięcymi kotletami. Kiedy postawiła przed nim talerz, skrzywił się. Jagnię nie należało do jego ulubionych dań, a już na pewno nie jagnięce kotlety. Ash rzadko je serwowała. Zaczął się zastanawiać, czy zrobiła to umyślnie, by go ukarać. A potem uświadomił sobie, że przecież ona nie wie, że on nie lubi mięsa z jagnięcia.

Zjadł małą porcją jarzyn, ale nic więcej. Przysłuchiwał się rozmowom pozostałych partnerów i próbował skupić się na tym, o czym była mowa. I przez cały czas myślał, że po lunchu pójdzie do kuchni, przywita się z Ash i rzuci kilka niewinnych uwag, by dać jej do zrozumienia, że zapomniał już o tym, co między nimi zaszło.

A może lepiej nic nie robić? Zazgrzytał zębami. Przecież zazwyczaj nie cierpię takich męczarni. Nic takiego nie miało miejsca, kiedy przespałem się z Roisin McGrath, a potem jej powiedziałem, że to już koniec. Owszem, czułem się później nie najlepiej, ale nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia, jak teraz. Nie czułem się jak totalny gnój, chociaż nim byłem i choć wiedziałem, że skrzywdziłem Roisin. Był to, zresztą, jedyny przypadek, kiedy się tak zachowałem.

— Nie jesteś głodny? — zapytała półgłosem Jodie, zabierając jego talerz.

— Nie bardzo. — Dan podniósł na nią oczy. — Powiedz Ash, że nie ma to nic wspólnego z jej kuchnią.

— Nie ma dziś Ash — odpowiedziała. — Tylko Lauren. — Zaczęła obchodzić stół, a Dan poczuł się tak, jakby mu przyłożyła pięścią. Gdzie jest Ash? Przecież nie wzięła sobie wolnego dnia? Zachorowała? A może boi się z nim zobaczyć? O Jezu, pomyślał, a może jest w ciąży?

Wcześniej nie brał tego pod uwagę, ale teraz nie mógł już myśleć o niczym innym. To niemożliwe, pomyślał. Nawet gdyby tak było, jeszcze by o tym nie wiedziała, a już na pewno nie poczułaby się źle z tego powodu. Mimo to wizja ta wydała mu się przerażająca. A jeżeli jest w ciąży? Co wtedy? Co, na Boga, powie Cordelia? Czy zdoła to przed nią ukryć?

O czym ja wtedy myślałem, na Boga, pytał sam siebie po raz setny, kiedy i ja uległem temu samemu impulsowi?

Ash siedziała przy komputerze i patrzyła na nagłówki, donoszące o prawdziwych jatkach na giełdzie. Nie przejęła się tym tak bardzo, jakby to zrobiła kilka miesięcy temu. Sprzedała większość swoich udziałów podczas ostatniego wahanicia cen — Steve Proctor próbował jej to wybić z głowy, ale ona pozostała nieugięta — i teraz miała jedynie kilkaset funtów zainwestowanych, a reszta pieniędzy bezpiecznie spoczywała na rachunku depozytowym. Nadal jednak chciała przemaalować mieszkanie, więc będzie musiała wyjąć pieniądze z konta i sprzedać resztę akcji, by móc zamienić ciemną żółć na ścianach na jakiś inny kolor. Może na błękit? Lubiła kolor niebieski. Spojrzała na ceny akcji Archangela i zagryzła wargi. Biedny Alistair, pewnie dostanie zawału. Wartość jego spółki spadła niemal o połowę w ostatnim miesiącu. Wprawdzie jego majątek osobisty był w miarę zabezpieczony, bo miał zarówno gotówkę, jak i akcje. Jednak akcje nie będą w tym momencie zbyt wiele warte.

Kichnęła gwałtownie i sięgnęła do torebki po następną chusteczkę. Z katarem było już trochę lepiej i pewnie mogła przygotować dzisiejszy lunch, ale nie potrafiła się zmusić, żeby tam pójść. Nie umiała powiedzieć, czy dlatego, że źle się czuje, czy dlatego, że nie jest w stanie

spojrzeć w oczy Danowi Morlandowi. O ile, oczywiście, stanęłaby z nim oko w oko, co było raczej mało prawdopodobne. Koniec końców, doszła do wniosku, że to jednak z powodu kataru. Tak czy inaczej, to niezbyt higieniczne kichać w kuchni. Dlatego zadzwoniła do Lauren z pytaniem, czy mogłaby ją znów zastąpić, a Lauren się zgodziła.

A teraz żałowała, że nie poszła. To raczej mało realne, by Dan się dowiedział, że się nie zjawiała, bo partnerzy bardzo rzadko wchodzili do kuchni. Ale na wypadek, gdyby jednak to zrobił, powinna tam być. Bo jeśli jej nie zastanie, gotów sobie pomyśleć, że jej na nim zależy. Że głęboko przeżyła ten incydent na Sycylii. Nazywała to teraz incydentem, bo czuła się lepiej, gdy w ten sposób o tym myślała. Chciała dać Danowi do zrozumienia, że o nim nie myśli, że się nim nie przejmuje, i chciała też, żeby wiedział, że doszła już do siebie po tym szaleńczym, impulsywnym wyskoku. Że jest tą samą Ash, co zawsze. I że wszystko znów wróciło na właściwe miejsce.

Rozdział 32

Herbatniki

Mąka, cukier, margaryna, żółtko jajka, cynamon, sok z cytryny, woda.

Utrzeć margarynę z cukrem. Dodać żółtko i ubić. Dodać mąkę, cynamon i wodę, i wyrobić miękkie ciasto. Rozwałkować i wyciąć krążki. Piec na wysmarowanej tłuszczem blasze w średnio rozgrzanym piekarniku.

Następnego ranka (był to kolejny dzień bez zamówień i w zasadzie powinna już panikować, lecz zabrakło jej energii) Ash wstała późno i bez pośpiechu zjadła śniadanie. W każdym razie wypła spokojnie filiżankę kawy, gdyż nadal nie miała apetytu. A gdy Bajgiel schrupał swoje śniadanie, otworzyła okno w kuchni i wypuściła go na dach.

Potem postanowiła wyjść na spacer, żeby sobie trochę przewietrzyć głowę. Dzień był przyjemny — niezbyt ciepły, ale i nie na tyle chłodny, żeby trzeba było nakładać na siebie coś więcej niż lekki żakiet. Jej najcieńszy żakiet miał mniej więcej pięć lat — uświadomiła to sobie, gdy wyjęła go z szafy. Był zdecydowanie niemodny i niespecjalnie jej się podobał nawet wtedy, kiedy go kupowała. O tak, powinna sobie kupić nowy żakiet. Westchnęła. Nie chciało jej się jechać na zakupy do Dublina. W Taorminie było zupełnie inaczej.

Poszła spacerkiem wzdłuż Liffey, mijając po drodze Temple Bar i Wood Quay, gdzie przeszła na drugą stronę rzeki. Na ogół chodziła tędy tylko rano, gdy szła na targ owocowy, ale dziś wybrała tę właśnie drogę, bo ją lubiła.

Gdy weszła do niedawno odremontowanego Smithfield Village, miejsca, w którym zawsze czuła się jak turystka w swoim rodzinnym mieście, jej wzrok przykuło własne odbicie w szklanych drzwiach. Wzrost średni, włosy blond, zaczesane do tyłu. Ubrana w świeżo wyprane i trochę sztywne Levisy oraz niemodny różowy żakiet. Zaczęła się zastanawiać, czy wygląda jak jedna z tysięcy dwudziestoparoletnich dziewczyn spacerujących po mieście. A może wystarczy na nią spojrzeć, by się domyślić, że jest osobą tak życiowo pokręconą, że musiała trzykrotnie sprawdzać tego ranka, czy zakręciła wszystkie krany w łazience?

Dlaczego uprawiałaś seks z Danem? Pytanie to znów ją zaatakowało, tak jak atakowało ją w najrozmaitszych niespodziewanych momentach, odkąd wróciła do domu. I nigdy nie potrafiła na nie odpowiedzieć; spychała je tylko w głąb podświadomości, w nadziei, że któregoś dnia zdoła jednak o nim zapomnieć. Nie chciała myśleć o seksie z Danem. W ogóle nie chciała myśleć o seksie.

Michelle dzwoniła po jej powrocie, ale ona wymówiła się potwornym katarem i powiedziała, że nie jest w stanie rozmawiać. Michelle zapytała ją, czy dobrze się bawiła, a ona odpowiedziała, że tak, oczywiście, ale czuje się w tym momencie okropnie i czy może oddzwonić, kiedy trochę wydobrzeje. Jednak dotąd nie zadzwoniła i czuła, że już wkrótce kuzynkę zacznie denerwować jej milczenie. To zabawne, pomyślała, ale doskonale ją rozumiem. Ja też chciałabym posłuchać o czyichś pracowitych wakacjach na Sycylii.

Minęła centrum handlowe i stanęła przed windą, którą można było wyjechać na komin Jamesona. Wybudowano go w roku 1895, a po rekultywacji tych terenów dodano szklaną platformę obserwacyjną na szczycie pięćdziesięciotrzymetrowego komina, żeby można było oglądać miasto z góry.

Na platformie było już z pół tuzina ludzi. Ash stanęła przy oknie i powiodła wzrokiem wzdłuż rzeki Liffey, ku Howth i zatoce dublińskiej. Z miejsca, w którym stała, widziała swój apartamentowiec, choć był tylko jednym z wielu innych budynków przy nabrzeżu, których tak wiele wzniesiono w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Są bardzo nowe, pomyślała, jeśli uwzględnić wiek jakiegokolwiek starego miasta.

Czuła się jakoś inaczej. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale tak było. Wydawało jej się, że ta druga Ash, ta niezawodna, lecz panikująca Ash, została zastąpiona przez osobę, która

wygląda i mówi jak ona, ale myśli już zupełnie inaczej. Niestety, nie była wcale pewna, czy to dobrze.

Popatrzyła na drugi komin w tym kompleksie i na datę 1819 wyrytą na ceglach. Zaczęła się zastanawiać, czy ludzie, którzy żyli ponad sto osiemdziesiąt lat temu, także zamartwiali się tym, czy są dla kogoś odpowiedni, czy żyją jak należy, a także czy przejmowali się czymś takim, jak seks z cudzą narzeczoną. Czy niepokoiło ich to, że mają problemy z funkcjonowaniem w związku. Raczej nie, powiedziała sobie, pewnie martwili się tylko o to, jak zarobić na życie. Nikt w roku 1819 nie chodził do psychiatry tylko dlatego, że miał kłopoty ze sobą. Ani dlatego, że miał problemy z funkcjonowaniem w związku. Ani dlatego, że popełnił jakieś niebywale głupstwo w basenie. Oni po prostu z tym żyli. Więc dlaczego ona nie potrafi sobie z tym poradzić? Dlaczego traci tyle czasu na rozmyślania, zamiast dalej robić swoje?

Właśnie wtedy uświadomiła sobie z goryczą, że całkiem niedawno zrobiła coś bez zastanowienia i okazało się to niebywale głupie.

Przyciskając głowę do szyby, raz jeszcze zapewniła samą siebie, że nikt nie może się o tym dowiedzieć i nikt nie powinien zostać uszkodzony. Przecież prędzej czy później i tak o tym zapomni. Tak samo, jak zapomniała o tych wszystkich facetach, z którymi kochała się tylko jeden raz. To wszystko były epizody bez znaczenia.

Obeszła platformę i ponad wieżami kościoła spojrzała ku wzgórzom okalającym Dublin. Co zrobiłaby teraz Julia?, zadała sobie pytanie. Co powiedziałyby, gdyby żyła?

Nic, oczywiście. Julia wzruszyłaby ramionami i kazałaby jej zapomnieć. Kiedy była mała, Julia nigdy tak naprawdę nie próbowała jej radzić. Od czasu do czasu wygłaszała tylko jakiś monolog, mówiła, jak ważne jest, by pozostać sobą i nie ugrzęznąć w drobiazgach życia codziennego.

Teraz już wiem, co chciała mi wtedy przekazać, pomyślała Ash. Wiem, co próbowała zdobyć. Poczucie absolutnej swobody. Uczucie, że żyje się dla jednej chwili. Że wszystko jest absolutnie idealne. Biedna Julia, pomyślała Ash. Nie udało jej się spotkać absolutnego ideału.

Czekała na falę bezzadności i paniki, jaka ją zawsze dopadała, kiedy myślała o Julii, ale się nie doczekała. Oczyma duszy widziała teraz Julię wyraźniej niż kiedykolwiek — ładną kobietę, z gęstwiną loków, wielkimi oczyma i szerokim, promiennym uśmiechem, wciąż szukającą ideału. Julia nie zniosłaby myśli, że żyję tak, jak żyję, pomyślała. Chciałaby, żebym się bawiła, żebym była wśród ludzi, żebym przesiadywała z koleżankami i sypiała z chłopakami. I żebym nie miała z tego powodu poczucia winy.

Niestety, nie mogę nie mieć wyrzutów sumienia z powodu Dana, pomyślała. Mogę za to z całą pewnością skończyć z uzalaniem się nad sobą.

Winda przyjechała, by zwieźć ludzi z powrotem na parter.

— Wsiada pani? — zapytał windziarz.

Ash potrząsnęła głową.

— Zostanę tu jeszcze trochę dłużej — powiedziała.

— Widok jest cudowny — stwierdził windziarz.

— O tak — odpowiedziała.

Był to kolejny gorączkowy dzień u Chathama. Dan odchylił się do tyłu na krześle i patrzył, jak ceny na rynkach USA spadają jeszcze niżej. Niektórzy nieźle się przy tym sparzą, pomyślał. Ludzie, którzy wzięli pożyczki z zabezpieczeniem w postaci portfeli swoich akcji, także ucierpieli. Banki zaczynały się denerwować, że obecna wartość akcji nie zrównoważy udzielonych pożyczek i domagały się spłat. Co oznaczało dalszą sprzedaż akcji, a tym samym jeszcze większy spadek ich wartości. Dwóch najlepszych klientów Dana zlikwidowało tego popołudnia znaczną część swoich portfeli za straszliwie niską cenę.

On sam także sprzedał akcje swojego ojca. Rozmawiali o tym na Sycylii i Joss zapytał, czy nie uważa, że spadek cen, który już nastąpił, będzie się pogłębiał. Kiedy powiedział mu, że to możliwe, Joss poprosił go, by sprzedał wszystko.

— Porozmawiaj też z Fredą — dorzucił. — Wiem, że trzyma trochę papierów, ale nie ma bladego pojęcia, co to jest i ile to warte. I lepiej coś zrób, zanim się okaże, że są nic niewarte, a ona znów zacznie wyciągać ode mnie kasę!

Dan wychylił się do przodu i ponownie wystukał numer ojca.

— Słucham?

Szczerze mówiąc, wolałby, żeby Joss był mniej obcesowy przez telefon.

— To ja — powiedział. — Sprzedałem wszystko. Rozmawiałem z mamą i też sprzedałem wszystko, co miała. Za kilka dni wyślę ci czek.

— Wpłać to na moje konto — powiedział Joss. — Tak czy inaczej, niedługo będę w domu.

— Co to znaczy niedługo? — zapytał Dan.

— Za dwa tygodnie — powiedział Joss. — Chcę spędzić z tobą kilka dni, a potem pojedę do Cork.

— Dobrze — powiedział Dan. — Będziesz sam?

Joss roześmiał się.

— Tak. Carlotta nie przyjedzie.

— Nadal się z nią spotykasz?

— Och, Dan, mówisz jakbyś był moim ojcem! Z Carlottą to po prostu niezła zabawa. Nie wiem, czy się z nią jeszcze zobaczę czy nie.

— Więc po co w ogóle mówiłeś o niej mamie? — zapytał Dan.

— Nie mogłem się powstrzymać. — Joss westchnął. — Ta kobieta zmusza mnie do robienia różnych głupstw. Zawsze tak było.

— Zepsułeś nam kolację. — Dan nie potrafił ukryć irytacji.

— Och, daj spokój, mieliśmy niezły ubaw! — zaprotestował Joss. — Gdyby nie to, byłoby strasznie nudno.

— Ta biedna kucharka...

— Tylko nie zaczynaj z tą biedną kucharką — ostrzegł go Joss. — Sprowadziłeś ją, zabrałeś na kolację, a potem spędziłeś z nią przyjemny kwadrans w basenie. Ona...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — przerwał mu Dan.

— Myślisz, że jestem ślepy? — obruszył się Joss. — Dan niech cię diabli, może i mam sześćdziesiąt pięć lat, ale potrafię się zorientować, kiedy mój syn ma na kogoś chrapkę. A to całe gadanie o tym, jaka to z niej świetna kucharka... Carlotta jest równie dobra!

— Ona jest fantastyczną kucharką — upierał się Dan.

— Czy w basenie też była dobra? — zapytał Joss.

— Skąd wiesz o basenie? — chciał wiedzieć Dan.

— Obudziłem się — odparł Joss. — Może obudzili mnie ci wszyscy ludzie kręcący się po domu. Przypomniałem sobie, że zostawiłem fajkę na tarasie, więc po nią poszedłem. Usłyszałem pluski w basenie. Zobaczyłem ciebie.

— Niech to szlag!

— Więc nie wygłaszaj kazań swojemu staremu — powiedział Joss.

— Jesteś niesamowity.

— Ty też — powiedział Joss. — A co z twoją narzeczoną? Dan westchnął.

— Jak to co z nią?

— Jak, według ciebie, zareaguje, kiedy się dowie o kucharce?

— Nie dowie się — oświadczył Dan. — Bo nikt jej o tym nie powie.

— Czy to znaczy, że ta kucharka była dla ciebie tylko na przystawkę? — zapytał Joss.

— Wpłacę pieniądze na twoje konto — powiedział Dan. — Daj mi znać, kiedy przyjeżdżasz.

Ze Smithfield na Connolly Station szło się dosyć długo. Ash nie wróciła wzdłuż nabrzeża, tylko ruszyła przez Mary's Lane do Mary Street i wzdłuż Henry Street, gdzie w sklepach jak zwykle był straszny tłok. Przystanęła przed wystawą Arnotta i pożądliwie popatrzyła na cytrynowożółty żakiet z wężowej skóry za prawie siedemset funtów. Może i jestem świeżo nawróconą fanką impulsywnych zakupów, pomyślała, ale nie wyrzucę siedmiuset funtów na jakiś żakiet. Zmarszczyła brwi. Akcje, które sprzedawała kilka miesięcy temu, były warte około ośmiuset funtów. Pieniądze wpłaciła na rachunek oszczędnościowy, żeby przeczekać do czasu, kiedy ceny spadną i warto będzie znów wrócić na rynek. Część z nich przeznaczyła na przemalowanie mieszkania. Może jednak, pomyślała, żółty żakiet z wężowej skóry byłby dla niej czymś lepszym niż nudne obligacje bankowe oraz ściany w innym kolorze. Obligacje i ściany zawsze będą pod ręką, ale ktoś inny może kupić żółty żakiet z wężowej skóry. Wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi i weszła do sklepu.

Żakiet leżał na niej naprawdę świetnie. Mimo oczu zaczerwienionych z braku snu, mimo nosa czerwonego od kataru, mimo iż wyszła z domu bez cienia makijażu, wyglądała w nim fantastycznie. Okręciła się kilka razy przed lustrem i obejrzała się pod każdym kątem. Było jej w nim do twarzy. Naprawdę. Skinęła z aprobatą w stronę sprzedawczyni, która zapakowała jej żakiet i włożyła do torby.

A potem, wychodząc ze sklepu, przystanęła i kupiła flakon Eau d'Issey dla siebie, a dla kuzynki Shalimara, bo wiedziała, że Michelle lubi ten zapach.

Potem wsiadła do kolejki jadącej do Killester i zaczęła się zastanawiać, co powie na jej widok Michelle, kiedy bez uprzedzenia, stanie w progu.

*

Michelle popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

— I to wszystko? — Ash uniosła brwi. — „Co ty tu robisz?” A gdzie „Cieszę się, że cię widzę”?

— Ash, nigdy w życiu nie wpadłaś do mnie bez wcześniejszego telefonu — powiedziała Michelle. — Dziwisz się, że jestem w szoku?

— Raczej nie — odparła Ash. — No to jak, mogę wejść?

— Oczywiście. — Michelle oblała się rumieńcem. — Dom jest w okropnym stanie.

— Nie szkodzi. — Ash weszła do środka, lawirując pomiędzy klockami Lego (własność Briana), kolekcją lalek Barbie należących do Lucy, plastikowym rowerkiem, zestawem kijów golfowych dla dzieci oraz stosem prania.

— Ash! Ash! — Lucy podbiegła do niej i zaczęła ją ścisnąć. — Właśnie mamy podwieczerek. Przyjdiesz?

Ash została zaciągnięta do ogrodu na tyłach domu, gdzie przez dwadzieścia minut piła wyimaginowaną herbatę oraz jadła wyimaginowane ciasteczka z Lucy i Brianem, zanim udało jej się wrócić do Michelle, do kuchni.

— Ona będzie taka jak ty — powiedziała Michelle. — Uwielbia udawać, że gotuje.

— Cieszę się, że ten gen objawił się jeszcze u kogoś — stwierdziła Ash. — A już myślałam, że będę jedyna.

— No więc o co chodzi? — zapytała Michelle, zamykając zmywarę. — Co cię tu przywiodło?

— Chciałam cię prosić o radę — powiedziała Ash. Michelle wytrzeszczyła oczy.

— O radę? Mnie? — W jej głosie brzmiało niedowierzanie. — Chcesz się mnie poradzić?

— Tak — odparła Ash.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Michelle. — Nie uderzyłaś się w głowę czy coś w tym rodzaju?

— Nie — powiedziała Ash. — Prawdę mówiąc, byłam na zakupach.

— Byłaś na zakupach! — Tym razem głos Michelle przypominał pisk. — Przecież ty nie chodzisz na zakupy, Ash.

— Ale dziś się wybrałam. Zresztą nie kupiłam nic wielkiego — wyjaśniła pospiesznie. — W każdym razie, jeżeli chodzi o ilość. Zobaczyłam coś, co mi się spodobało, więc to kupiłam. — Wyjęła z torby skórzany żakiet i pokazała go kuzynce.

— Rany boskie! — Michelle wybałuszyła oczy i ostrożnie dotknęła lśniącej skórki. — Zazwyczaj nie nosisz takich rzeczy, prawda? Ale jest przepiękny. Wygląda, jakby kosztował majątek.

— Wiem. — Ash nałożyła żakiet. — Ale dobrze się w nim czuję. Tobie też coś kupiłam. — Sięgnęła do torby i podała Michelle flakonik Shalimara.

— Teraz już wiem, że coś jest poważnie nie tak — stwierdziła Michelle. — Nie masz zwyczaju chodzić i kupować ludziom prezentów. To zupełnie do ciebie niepodobne, Ash. —

Nagle otworzyła usta i znów wbiła wzrok w Ash. — To ten multimilioner, prawda? Znowu się z nim zesłaś! Więc to tak!

— W pewnym sensie. — Ash zsunęła żakiet z ramion i powiesiła go ostrożnie na krześle. — Ale nie zeszałam się z nim, Michelle. Nie rozmawiałam z nim, odkąd się rozstaliśmy.

— Więc skąd te zakupy?

— Ja... ja próbuję być inna.

— Inna? — Michelle spojrzała na nią ze zdumieniem. — Na ile?

— No wiesz, chcę być bardziej... mniej... miłsza.

— Miłsza?

— Przestań powtarzać po mnie — zirytowała się Ash. — Próbuję stać się bardziej wyluzowana i po prostu mniej nudna.

— I wszystko z powodu tego multimilionera?

— Powiedział parę uwag na mój temat — powiedziała Ash. — Nie chciałam, żeby to była prawda, ale tak było.

— Więc masz zamiar być... inna. — Michelle poskrobała się w głowę. — Myślę, że zakupy to dobry początek. Ale nie jestem pewna, czy powinnaś aż tak się zmieniać. Nie można być kimś innym, niż się jest.

— Przecież to ty mi zawsze mówiłaś, że mam się zmienić! — wykrzyknęła Ash. — To ty mi ciągle wmawiasz, że jestem neurotycznym dziwadłem i nie postępuję jak ludzie normalni.

— Rzeczywiście — przyznała Michelle. — Ale spójrzmy prawdzie w oczy, Ash — jesteś, kim jesteś. Nie możesz w jeden dzień zmienić się w maniaczkę zakupów.

— Wydaje mi się, że to już się stało. — Ash uśmiechnęła się. — Kupiłam sobie suknię na Sycylii i mam wrażenie, że odtąd staczam się po równi pochyłej.

— Ach rzeczywiście, Sycylia! — Michelle rozpromieniła się, a Ash sięgnęła po czajnik i zaczęła nalewać wody. — Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Ash pociągnęła się za warkocz. Czy powinna opowiedzieć Michelle wszystko o Sycylii? Przyjechała do niej, żeby z nią porozmawiać, ale wciąż nie była zdecydowana, ile chce jej opowiedzieć. Nagle dotarło do niej, że dotąd ona i Michelle mało ze sobą rozmawiały, tylko wciąż się kłóciły. Albo przeproszały się za to, że się wcześniej kłóciły.

— Strasznie tam gorąco — powiedziała. — I okropna wilgoć. Masz wrażenie, że powietrze klei się do ciebie.

— Ash, nie chodzi mi o raport meteorologiczny. — Michelle postawiła na stole puszkę cynamonowych herbatników. — Jak tam było? Gdzie się zatrzymałaś? Kolacja się udała?

— Mieszkałam u ludzi, dla których gotowałam — powiedziała Ash. — Nigdy byś nie zgadła, kto to, Michelle.

— A kto?

— Joss Morland.

Michelle zmarszczyła brwi.

— Nazwisko wydaje mi się znajome.

— Telewizyjny serial o Vannie Savino? Książki?

— Ach rzeczywiście! — Michelle zaświeciły się oczy. — To ten twój klient, makler?

— Zatrudnił mnie Dan Morland. To on jest tym klientem. Jest synem Jossa. — Poczwała, że serce bije jej coraz szybciej. Będzie musiała powiedzieć Michelle. Aż ją roznosiło, żeby komuś powiedzieć.

— Jacy oni byli, ci Morlandowie? — zapytała Michelle. — Czy on nie jest rozwiedziony?

Ash skinęła głową.

— Ale wszyscy zjeżdżają się na tę kolację. To taka tradycja.

— Proszę, proszę, co za kultura — rzuciła z ironią Michelle.

— Prawdę mówiąc, nie. — Ash zdała jej relację z przebiegu tamtego wieczoru.

— O rany! — Michelle wytrzeszczyła oczy. — Założę się, że mogłabyś sprzedać tę historijkę do rubryki plotkarskiej.

— Nie mogłabym! — Ash była zaszokowana. — Byłoby to... pogwałcenie zaufania.

— Pewnie tak — westchnęła Michelle. — Ale to niesamowita historia. — Wstała i zaparzyła herbatę.

Ash przełamała herbatnika na pół.

— Przespałam się z jego synem.

To nagłe wyznanie wprowadziło Michelle w stan takiego osłupienia, że zalała cały stół i obie musiały go wycierać papierowymi ręcznikami.

— Co zrobiłaś? — zapytała Michelle, kiedy stół był znów suchy, a filiżanki pełne. — Czy aby dobrze usłyszałam?

Ash pokiwała głową.

— Spałaś z nim? Podoba ci się? Chodzisz z nim? — Michelle ciężko westchnęła. — Niezły z ciebie numer, co? Ledwie zerwałaś z multimilionerem, a już lądujesz w łóżku z synem superznanego pisarza.

— Niezupełnie wyłądownałam z nim w łóżku — powiedziała Ash. — Zrobiliśmy to w ich basenie.

— Ash!

— Do tego on jest zaręczony z kimś innym.

— Ash! — Tym razem w głosie Michelle zadźwięczała powaga.

— Wiem, że nie powinnam była tego robić — powiedziała Ash. — Wiem, że to był straszny błąd. Jestem dziwką i krową, i Bóg wie czym jeszcze, to też wiem. Ale nie mogłam się powstrzymać.

— Czy to ma coś wspólnego z tą odmianą? — zapytała Michelle.

— Coś w tym rodzaju. — Ash ukryła twarz w dłoniach. — Och, Michelle, nic już nie wiem.

Michelle popatrzyła na kuzynkę, wstała z krzesła i otoczyła ją ramieniem.

— Niezła z ciebie idiotka — stwierdziła.

— Pewnie tak — bąknęła Ash.

— Opowiedz mi o tym.

Więc opowiedziała Michelle o Danie i Cordelii oraz kolacji z okazji wstępnych rozmów zaręczynowych, a także o pracy Cordelii w Stanach. Opowiedziała też Michelle o tym, jak kupiła sobie sukienkę na Sycylii, jak się upiła i pocałowała Dana. A na koniec o tym, jak wskoczyła za nim do basenu.

— Ty to naprawdę umiesz żyć — stwierdziła z podziwem Michelle. — Ciągle się ciebie czepiam, że nie chcesz się z nikim wiązać i tak dalej, ale chyba jestem po prostu zazdrosna.

— Nie, wcale nie.

— No, może nie. Ale musisz przyznać, Ash, że nie masz nudnego życia.

— Ale powinnam — stwierdziła z goryczą Ash.

— Co to za historia z tym facetem? — dopytywała się Michelle. — Kochasz go czy to był tylko bezmyślny pijacki seks? Czy on cię kocha? Co z jego narzeczoną?

— Oboje jesteśmy zgodni, że to był straszliwy błąd. — Ash pociągnęła nosem, a potem upiła łyk herbaty. — I był, Michelle, wiem, że tak. Ale nagle pomyślałam sobie, że mogłabym z nim żyć. I mogłabym być z nim szczęśliwa. — Potarła nos. — Pewnie tak naprawdę nie mo-

głabym, ale po raz pierwszy w życiu coś takiego przyszło mi na myśl. I powiem ci, że się prze-
raziłam.

— Co chcesz teraz zrobić? — zapytała Michelle. — Chcesz się z nim jeszcze spotkać?

— A co powinnam zrobić? — zapytała Ash. — Wiem, że w niektórych sytuacjach ludzie
proszą o radę. Tak się robi, prawda? Więc ja proszę cię teraz o radę.

— Ludzie proszą o radę, ale tak naprawdę chcą usłyszeć tylko to, co chcą usłyszeć —
powiedziała Michelle. — Nie mogę ci nic poradzić, Ash, skoro mówisz, że nie wiesz, czego
chcesz. Czy jest jakaś szansa, że ten gość, Dan, zerwie ze swoją narzeczoną?

Ash potrząsnęła głową.

— On ją kocha.

— Wobec tego dziwnie to okazuje — prychnęła Michelle.

— On też był pijany — powiedziała Ash.

— Żadne wytłumaczenie.

— Może i tak. — Ash przełamała kolejnego herbatnika na pół. — Zastanawiam się, czy
nie powinnam znowu spróbować z Alistairem.

Michelle popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Chcesz się znowu zejść z tym multimilionerem, który cię rzucił? Dlatego, że przespa-
łaś się z kimś innym?

— Alistair był dla mnie odpowiednim facetem — powiedziała Ash. — Odtrąciłam go,
kiedy nie powinnam była tego robić. Dlatego się rozstaliśmy. Myślę jednak, że mogłabym się z
nim jakoś dogadać.

— I to jest to, czego chcesz? — zapytała Michelle.

— Tak mi się wydaje — stwierdziła po namyśle Ash.

— Kochasz go? — zapytała Michelle.

— Ze wszystkich ludzi na świecie on jest dla mnie najlepszy. — Ash powiedziała to już
z większym przekonaniem. — Byłam głupia, że tego wcześniej nie dostrzegłam. Oczywiście,
że go kocham.

— No cóż, jeżeli chcesz spróbować, czy da się go odzyskać, zrób to.

Ash uśmiechnęła się do Michelle.

— Wiedziałam, że będziesz potrafiła mi powiedzieć, co mam robić. Zawsze byłaś w tym
dobra.

Ash została u Michelle przez cały dzień. Pomogła jej położyć dzieci do łóżka, a potem zasiadła w saloniku z Michelle i Emmetem i oglądali razem telewizję. Emmet zaproponował, że ją odwiezie na stację, ale ona potrząsnęła głową i powiedziała, że woli się przejść. W progu uściskała Michelle, a Michelle powiedziała jej, żeby dbała o siebie i dała znać, jak się sprawy ułożą. Podziękowała też Ash za flakonik Shalimara i powiedziała jej, że ślicznie wygląda w cytrynowym żakiecie z węzowej skórki. I że powinna częściej chodzić na zakupy.

Bajgiel siedział spokojnie na parapecie i patrzył na podwórko na tyłach apartamentowca. Na widok Ash wstał, przeciągnął się i odwrócił, a jej jak zwykle serce zamarło ze strachu w piersi. Wskoczył przez okno, które mu otworzyła, trącił ją kilka razy głową, a potem usiadł przed pustą miseczką i spojrzał wyczekująco. Otworzyła torebkę Whiskasa i wycisnęła jej zawartość do miski.

Potem przeszła do salonu i ze zdumieniem spojrzała na komputer. Na monitorze zobaczyła wzorek z owoców — wybrany przez nią wygaszacz ekranu. Dowód na to, że wyszła z domu, nie wyłączając komputera.

Mimo to nic straszego się nie stało. Wręcz przeciwnie — dzień okazał się bardzo udany.

Rozdział 33

Krem agrestowy

Obrany agrest, cukier, śmietana kremówka.

Rozgnieść agrest na purée, dodać cukru do smaku i schłodzić. Ubić śmietanę i dodać do schłodzonej masy owocowej.

Ash wyjęła z zamrażalnika ostrą zupę pasternakowo-jabłkową, przeznaczoną na poniedziałkowy lunch u Chathama. To dziwne, ale w tym tygodniu myśl o Chathamie już jej nie przerażała. Nie denerwowała się, że zobaczy Dana Morlanda, nie bała się ataku paniki i nawet nie przejmowała się tym, że mógłby wejść do kuchni, żeby powiedzieć... co, na Boga, mógłby jej powiedzieć? Przecież już się nawzajem przeprosili, a nie można w kółko powtarzać, jak bardzo komuś przykro. Poza tym to, że tak często widywała go w ostatnich miesiącach, nie było normą. Zazwyczaj widywała partnerów Chathama kilka razy do roku. Wszystko więc wskazywało na to, że Dan w ogóle nie wejdzie do kuchni. Ale nawet gdyby wszedł, czuła, że sobie poradzi. Rozmowa z Michelle pomogła jej spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy.

Przez cały weekend myślała o Alistairze i zastanawiała się, czy mogłaby znów zacząć z nim chodzić. Cokolwiek by powiedzieć — zmieniała się. I to w kobietę, która powinna spodobać się Alistairowi bardziej niż ta poprzednia. Po raz pierwszy w życiu spróbuje do kogoś wrócić. Nagle w jej życiu zaroilo się od pierwszych razów.

Jodie weszła do kuchni w chwili, gdy Ash nalewała sobie wody do szklanki.

— Cześć! — powiedziała. — Jak się czujesz?

— Dobrze — odparła Ash. — Z katarem już lepiej i... czuję się dobrze.

Jodie przyjrzała jej się uważnie.

— Wyglądasz jakoś inaczej — stwierdziła.

— Niby jak?

— Nie wiem — powiedziała Jodie. — Inaczej i już. — Uśmiechnęła się. — Może to skutek kilkudniowego wylegiwania się na słońcu.

— Chciałabym — westchnęła Ash. — Było ciepło, ale na ogół pochmurno. I mieliśmy burzę.

— Opowiedz mi, jak było — domagała się Jodie. — Jak jest u tych Morlandów? Czy pojawiła się narzeczona Dana?

Ash przedstawiła Jodie bardzo złagodzoną wersję wypadków. Nie miała zamiaru opowiadać jej o awanturze przy kolacji. I oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać jej o paru innych sprawach.

— Nie wiem, czy potrafiłabym iść na kolację z moim byłym mężem — stwierdziła Jodie, kiedy Ash powiedziała, że atmosfera była niezbyt serdeczna. — Koniec to koniec, prawda? Po co te próby, żeby dalej na siłę się przyjaźnić?

— Jeżeli już mowa o przyjaźni, jak wyglądają sprawy między tobą a Chrisem?

— Nieprzyjaźnie — odparła Jodie. — Chociaż wpadłam na lepszy pomysł i nie spaliłam jego rzeczy, tylko spakowałam je do worka na śmieci i wystawiłam za drzwi, a potem zadzwoniłam do niego i powiedziałam mu, gdzie są. Powiedziałam też, że jeżeli nie pojawi się w miarę szybko, niech się nie dziwi, jeśli ktoś mu je gwizdnie. Kiedy potem wyrztałam, worka nie było, więc pewnie go zabrał.

— A co ze Stefanie? — zapytała Ash. Jodie wzruszyła ramionami.

— Z jej rzeczami zrobiłam to samo. Fałszywy kurwison.

— Może przespali się tylko raz — powiedziała Ash. — Może się mylisz, może to nie było nic wielkiego.

— Było — stwierdziła ponuro Jodie. — To absolutnie niemożliwe, żebym nakryła tę parkę na ich pierwszym razie. A nawet gdyby zrobili to tylko raz, chodzi o zasady, prawda? Był moim chłopakiem. Nie powinien był z nią sypiać.

Ash czuła, że nie powinna ciągnąć dalej tej rozmowy, ale nie mogła się powstrzymać.

— Ale jeżeli to był tylko... odosobniony wyskok? — zapytała. — Jeżeli Chris rzeczywiście przespał się z nią tylko jeden raz? Wybaczyłabyś mu? Albo jej?

Jodie popatrzyła na nią ze zdumieniem. Nigdy dotąd nie prowadziła tego rodzaju dyskusji z Ash. Może to, że została porzucona przez Alistaira, stało się początkiem jakichś niezwykle zmian w jej psychice?

— Zdrada to zdrada — zwróciła się z naciskiem do Ash.

— A gdybyś nie wiedziała? — zapytała Ash. — Gdyby on się z nią przespał tylko raz, a ty nigdy byś się o tym nie dowiedziała?

— Wtedy rzeczywiście niewiele mogłabym zrobić — powiedziała Jodie. — Ale jestem pewna, że w końcu bym się domyśliła. Kobieta zawsze się domyśli. — Spojrzała z zaciekawieniem na Ash. — Czemu pytasz?

Ash wzruszyła ramionami.

— Zastanawiałam się po prostu, jak byś się poczuła.

— Czy Alistair cię zdradził? — zapytała Jodie. — Czy to jest prawdziwa przyczyna, dla której się z nim rozstałaś?

— Na pewno ci powiedział, czemu się rozstaliśmy. — Ash otworzyła drzwiczki piekarnika, żeby zajrzeć do kaczki. — Zachowałam się kretyńsko i wszystko spieprzyłam, Jodie.

— Nie mogę sobie tego wyobrazić — powiedziała Jodie. — Kretyńskie zachowanie nie pasuje do twego wizerunku.

— Nie masz pojęcia, jak kretyńsko potrafię się zachowywać. — Ash zamknęła piekarnik.

— Zdaje mi się, że słyszę windę — powiedziała Jodie. — Lepiej już pójdę i zacznę rozstawiać wodę mineralną.

*

Lunch przebiegł bez zakłóceń. Jodie powiedziała Ash, że przyszli wszyscy partnerzy i nadal debatują nad plagami, jakie spadły na rynek w ciągu ostatniego miesiąca.

— Co zrobiłaś ze swoimi akcjami? — zapytała, kiedy skończyła roznosić krem agrestowy i wróciła do kuchni. — Wymknęłaś się cichaczem z giełdy, a teraz szykujesz wielki powrót?

— Sprzedałam wszystko jakiś czas temu — odparła Ash. — To znaczy, kilka sobie zostawiłam, ale je też muszę sprzedać, bo kupiłam trochę nowych ciuchów i potrzebuję pieniędzy. Jodie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Myślałam, że te akcje mają być twoją emeryturą. Nigdy bym nie przypuszczała, że zamienisz je na ciuchy.

— Wpłacę trochę większą składkę na moje konto emerytalne — powiedziała Ash. — Może kiedyś znów zacznę skupywać i sprzedawać akcje, ale do końca tego roku zamierzam tylko wydawać pieniądze, jakie na nich zarobiłam.

— Na co? — zapytała Jodie. Ash wzruszyła ramionami.

— Jeszcze nie wiem. Na wakacje. Na żakiety. Na suknie.

— Czy aby na pewno dobrze się czujesz? — zapytała Jodie. — To do ciebie całkiem niepodobne, Ash.

Ash nastawiła ekspres do kawy.

— Rozmawialiście o mnie z Alistairem?

— Raczej niewiele — ostrożnie odparła Jodie. — Powiedział mi, że bardzo mu na tobie zależało. Ale teraz zamierza się przerwzić na dziewczyny wesole i tanie.

— Wesole i tanie! — Ash parsknęła śmiechem. — To akurat potrafię zrozumieć. Nie byłam najweselszą osobą, z jaką można chodzić. I pewnie też nie tanią — dodała, mając na myśli złoty naszyjnik.

— Alistair to przyzwoity facet — powiedziała Jodie.

— Wiem. — Ash oparła się o blat. — Chciałabym do niego wrócić, Jodie.

— Naprawdę? — Jodie spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Popeliłam błąd — powiedziała Ash. — I zanim mnie źle zrozumiesz, nie chcę wrócić do niego po to, żeby go później rzucić! Pasowaliśmy do siebie. Podobał mi się. Dobrze się z nim bawiłam i lubiliśmy te same rzeczy.

— Mówił, że byłaś trudna — niechętnie przyznała Jodie. — Że miałaś za duże wymagania.

— Myślisz, że zgodziłby się znów ze mną zobaczyć? — zapytała Ash. — Gdybym do niego zadzwoniła, spotkałby się ze mną?

— Nie wiem — odparła Jodie. — Ale szepnę mu słówko w twojej sprawie, jeśli chcesz.

— Dzięki — powiedziała Ash, wstawiając resztę kremu agrestowego do lodówki.

Spodziewała się, że Dan zajrzy do kuchni, jednak nie zrobił tego, ku jej uldze. Gdyby przyszedł, gotowa była powiedzieć mu, że zapomniała już o Sycylii, że wszystko w porządku, że przykro jej, że do tego doszło, ale każde z nich powinno żyć własnym życiem. Na szczęście nie musiała wygłaszać swojej starannie przygotowanej mowy i teraz z uczuciem zadowolenia pakowała się przed pójściem do domu. Oczywiście w pewnym sensie chciałaby mieć okazję, by znów z nim porozmawiać. W celu zamknięcia pewnego etapu. Jej psychiatra bardzo na to nalegała i Ash teraz już wiedziała dlaczego. Przychodzi taki czas, kiedy trzeba zostawić za sobą pewne sprawy i iść do przodu — a ona znalazła się wreszcie w tym punkcie. Oto ona — Ash O'Halloran, lat dwadzieścia dziewięć i jedenaście miesięcy, kobieta wolna, z kotem. I co najważniejsze — dobrze jej z tym. Polubiła też myśl, że któregoś dnia może przestanie być wolna. Na szczęście dzień ten jeszcze tak szybko jej nie grozi.

Gdy przemierzała lśniąca, marmurową posadzkę holu, usłyszała wołanie Pauline, recepcjonistki:

— Ash! Odwróciła się.

— Poproszono mnie, żebym ci to oddała — powiedziała Pauline, wręczając jej papierową torbę, zaklejoną u góry taśmą.

— Co to jest? — zapytała.

— Nie wiem — odparła Pauline. — Daniel Morland, z trzeciego piętra, prosił mnie, żebym ci to dała.

Ta nowa, nonszalancka Ash poczuła, że zaschło jej w ustach, ale atak paniki na pewno jej nie groził.

Wzięła torbę od recepcjonistki i wyszła z budynku. Może są w niej książki Jossa Morlanda?, pomyślała, maszerując szybkim krokiem przez most w stronę swojego apartamentowca. Zapłata w naturze za wykonaną pracę?

W domu nie od razu otworzyła torbę. Najpierw nakarmiła Bajgla, który wyczuł zapach kupionych dla niego wątróbek i niemal rzucił się na nią z radości. Potem zrobiła sobie koktajl truskawkowy i dosypała garść czekoladowych wiórków. Stanęła przy oknie i pijąc koktajl, patrzyła, jak wolno unosi się zwodzony most, żeby jakiś statek mógł popłynąć w górę rzeki.

Na koniec otworzyła papierową torbę.

Pudełko, w którym mogły się znajdować książki Jossa, zawierało w rzeczywistości parę butów. Delikatnych sandałów, które trudno nawet nazwać butami, w kolorze cieniowanego błękitu. Wręcz idealnych do jej ciemnogrnatowej sukni.

Dołączony do nich liścik był krótki:

„Przepraszam za wszystko”, pisał Dan. „Mówiłaś, że nosisz piątkę. Mam nadzieję, że te będą pasować i zastąpią Ci tamte, które straciłaś. To był wspaniały, spontaniczny moment. Życzę szczęścia”. Na końcu skreślił swoje inicjały.

Nie może ich przyjąć; wiedziała, że nie może. Mimo to zmierzyła je. Pasowały jak ulał.

Rozdział 34

Szarlotka

Kruche ciasto, jabłka, cukier, cynamon, goździki.

Obrać jabłka, wypestkować i pokroić. Rozwałkować połowę ciasta i ułożyć na żaroodpornym talerzu. Ułożyć na cieście jabłka, posypać cukrem i cynamonem, dodać kilka goździków. Posmarować brzegi ciasta wodą. Rozwałkować resztę ciasta i nakryć jabłka, zlepować brzegi ciasta, obciąć resztki. Polukrować górę placka, zrobić w środku małą dziurkę i piec w średnio rozgrzanym piekarniku, aż zbrązowieje.

Dan wynajął firmę sprząającą. Mieli mu wysprzątać dom od dachu do piwnic, tak by prezentował się jak najlepiej na wizytę człowieka z agencji nieruchomości, który właśnie zadzwonił, że wpadnie za godzinę, żeby go sobie obejrzyć. I oczywiście, by prezentował się jak najlepiej, kiedy będą urządzać wesele w sierpniu. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że już za kilka tygodni będzie mężem Cordelii i zamieszka w Chicago. Są oczywiście gorsze rzeczy, mówił sobie, niż mieszkanie w Chicago, zwłaszcza że zaproponowano mu taką dobrą pracę w jednej z podległych spółek Harrisona. Cordelia zaś była arcyszczęśliwa z powodu swego awansu, co podziało na nią jak afrodyzjak w trakcie ich długiego weekendu w Nowym Jorku. „Chodzi o poczucie władzy”, powiedziała mu, kiedy go obudziła następnego dnia o szóstej rano, ocierając się o niego i pieszcząc czubkiem sutka jego wargi. „Wiem, że je mam. I ty też je masz. Będziemy wspaniałą parą i to mnie autentycznie kręci”.

Dana też to autentycznie kręciło, ale potem poczuł się okropnie. Chciał opowiedzieć Cordelii o nocy z Ash i wytłumaczyć jej, że dla niego nie miało to znaczenia, wiedział jednak, że byłby to wielki błąd. Pamiętał, jak w młodości czytywał artykuły w czasopiśmie Bronwyn, i wszystkie ostrzegały przed niebezpieczeństwem takich spowiedzi tylko po to, by uspokoić sumienie. To się stało. I już się nie odstanie. Było bez znaczenia. Więc po co psuć sobie resztę

wspólnego życia z powodu jednej szalonej nocy na nasączonej żarem skale pośrodku Morza Śródziemnego? Poza tym, pomyślał, Cordelia by go zabiła, gdyby się dowiedziała.

Więc jej nie powiedział i był pewny, że podjął słuszną decyzję. Cieszył się też, że Ash O'Halloran najwyraźniej również podjęła słuszną decyzję, bo nie powiedziała ani słowa na temat butów, które jej kupił w przyływie głupoty. Dzień przed powrotem do kraju wybrał się do Taorminy, zobaczył je w witrynie jednego z wielu sklepów z butami i pomyślał, że idealnie pasowałyby do jej ślicznej granatowej sukni. I kupił je wiedziony impulsem, pamiętając jej rozmiar, z myślą, że jeśli da jej te buty, w jakiś sposób wszystko jej wynagrodzi.

Potem pomyślał, że w gruncie rzeczy nie był to wcale taki dobry pomysł. Dlatego nie przyniósł ich ze sobą na ten pierwszy lunch „po” — ten, którego koniec końców i tak nie przygotowywała. Ale potem zmienił zdanie. Pomyślał, że byłby to miły gest, a zarazem coś w rodzaju grubej kreski po tym wszystkim, co zaszło. Tak też się stało. Może Ash tam, we Włoszech, była nierozsądna i impulsywna, ale tu, dzięki Bogu, odzyskała rozum.

Ash siedziała na sofie z kolanami podciągniętymi pod brodę i rozsypanymi wokół kartkami z propozycjami menu. Bajgiel rozsiadł się na tej z pieczonym pstrągiem, lizał sobie łapkę i pocierał nią pyszczek. Obgryzając ołówek, Ash myślała o przyjęciu z okazji osiemnastych urodzin, na które zamówiono u niej catering. Maeve Heaney zadzwoniła do niej i powiedziała, że miało to być dla znajomego pewnego znajomego, któremu nawalili umówieni ludzie, i zdaje sobie sprawę, że to strasznie krótki termin, ale czy jest szansa, że Ash byłaby ewentualnie wolna? Przyjęcie miało się odbyć w dniu, na który Dan i Cordelia zaplanowali ślub. Dobrze się składa, pomyślała Ash, przeglądając kartki, że nie ma już nic wspólnego z przyjęciem weselnym Dana. Była też zadowolona, że będzie miała coś do roboty w dniu jego ślubu, więc nie będzie myślała o nim i o Cordelii i nie będzie wszystkiego od nowa przeżywać.

Nie miała już od niego wiadomości po tym, jak Pauline dała jej torbę z butami, które nadal spoczywały w pudełku na dnie szafy. Zwrot oznaczałby konieczność skontaktowania się z Danem, a tego chciała uniknąć. Uznała, że dojrzałe podejście nakazuje nic nie robić w tej sytuacji. I to dojrzałe podejście okazało się właściwe, bo Dan nie wszedł do kuchni, a ona nie pojawiła się w jadalni, nie wpadali też więcej na siebie w biurówcu Chathama.

A jednak — brakowało jej tego. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak często widywała go i z nim rozmawiała, i jak cieszyło ją to, że się przyjaźnią. Nieustannie się też zastanawiała, czy naprawdę chciała wtedy się z nim kochać. Wydawało jej się, że raczej nie, ale była absolutnie gotowa przystać na taką wersję, że jej nieświadomy umysł (żeby nie wspomnieć o nieświadomo-

mym ciele) mógł już znacznie wcześniej chcieć wskoczyć z nim do łóżka, choć wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy.

Cordelia odchyliła się w fotelu. W Chicago będą miała skórzany fotel, pomyślała z radością. Wiceprezesi mieli skórzane fotele. Będę też miała własne biuro, nawet jeśli ścianki będą z pleksiglasu i będzie w nim bardzo mało miejsca. Ale będę szefem. To ja będę podejmować decyzje. To mnie będą się bali. Nie miała nic przeciwko temu, że będą się jej bali. Wiedziała, że większość kobiet zajmujących się biznesem miała z tym kłopot, bo wszystkie chciały być lubiane. Bo nie znosiły uchodzić za szorstkie i twarde, i nienawidziły wprawiać ludzi w zakłopotanie. Cordelia wiedziała jednak, że sobie z tym poradzi. Przecież człowiek nie musi wcale być lubiany. Przekonała się o tym na przykładzie Melissy. Trzeba tylko wzbudzać respekt. Nie przepadała za Melissą. Nadal też z przykrością myślała o tym, jak Melissa zareagowała na wiadomość o wypadku synka tego wieczoru, kiedy odbywał się koktajl na trzydziestym trzecim piętrze. Jednak jej niechęć do Melissy była w ogólnym rozrachunku nieistotna.

DeVere Bassett podszedł do jej biurka.

— Szczęśliwa? — zapytał.

Uśmiechnęła się do niego.

— Nie. Po prostu zadowolona z życia.

— Ciężko pracowałaś — stwierdził. — Zasłużyłaś sobie na awans.

— Wiem. — Cordelia wyprostowała się w fotelu.

— A co twój narzeczony myśli o pracy w Stanach? — zapytał. — Słyszałem, że Mike Fuller musiał zdrowo pociągać za sznurki, żeby mu znaleźć jakąś pracę.

Wzruszyła ramionami.

— Dan jest bardzo dobry w tym, co robi. A oni musieli tylko zadbać o to, żeby mógł przebywać w Stanach legalnie.

— Będziesz zarabiała więcej niż on? — dopytywał się DeVere.

— Mam nadzieję.

— Myślisz, że się z tym pogodzi?

— A ty byś się pogodził? DeVere odetchnął głęboko.

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewny. Wiem, że powinienem, ale nie mam wcale pewności.

— Dan to idealny mężczyzna — oświadczyła Cordelia. — Robi, co mu każę, i jest zadowolony.

— Biedny facet!

— Miałam szczęście, że na niego trafiłam — mówiła dalej. — Wiem, że większość facetów nie byłaby taka wyrozumiała jak on, ale Dan to prawdziwy skarb.

— Żałuję, że nie będę miał czasu, żeby przyjechać na twój ślub — powiedział DeVere. — Chciałem poznać ten wzór wszelkich męskich cnót. Przez niego czuję się jak skończony gbur, bo wczoraj wieczorem powiedziałem swojej dziewczynie, że nie idziemy na babskie kino, tylko na dobry film akcji.

Cordelia roześmiała się.

— Dan też nie poszedłby na babskie kino. Nienawidzi romantycznych komedii i wszystkiego, w czym występują gwiazdy amerykańskich sitcomów.

— I ma rację — powiedział z przekonaniem DeVere.

— Nie jestem pewna — stwierdziła. — Przecież można na okrągło oglądać, jak ktoś w zielonym uniformie ratuje świat, i nie podchodzić do tego cynicznie.

DeVere roześmiał się.

— Ja bym cię zaliczył do tego rodzaju kobiet, które lubią filmy akcji. Sama jesteś dziewczyną akcji, prawda?

— Ale mam też swoje czułe miejsca — powiedziała.

— Nie zauważyłem! Ale dam ci pewną radę, Cordelio. Nie pokazuj swoich czułych miejsc w Chicago.

Popatrzyła na niego spod czarnych rzęs.

— Nie pokazywałam ich tutaj, więc czemu miałabym to robić gdzieś indziej?

Rozdział 35

Kielbaski koktajlowe

Ułożyć na blasze i piec w gorącym piekarniku, aż się zrumienią. Podawać z ostrymi dipami albo bez.

Po rozmowie z Michelle Ash postanowiła zadzwonić do Alistaira, ale nie miała odwagi. Brała telefon, słuchała szumu w słuchawce, a potem ją odkładała, nie wykręcając numeru. Czasami myślała, że byłoby jej łatwiej skontaktować się z nim przez e-mail, więc siadała przed komputerem i układała długie listy, których potem nie wysyłała. Przykro jest spodziewać się odrzucenia, pomyślała, kasując czwartego e-maila. Nawet jeżeli człowiek się uzbroi, nawet jeżeli sobie wmówi, że nie jest to najgorsza rzecz na świecie, i tak trudno się do tego zmusić.

Może jednak Alistair tym razem jej nie odtrąci, myślała, zagryzając wargi. Rozstali się w gniewie, ale wiedziała, że Alistair nie jest zawzięty. Mimo swego statusu rzutkiego biznesmena był dobrym człowiekiem. Człowiekiem, którego nigdy nie powinna była odpychać. Człowiekiem, któremu nigdy by nie przyszło do głowy przespać się z kimś innym, gdyby był zaręczony. Mój Boże, pomyślała, masując skronie koniuszkami palców, czy zdołam kiedykolwiek wymazać to z pamięci? Niestety, niełatwo będzie zapomnieć rozkosz, jaką się z Danem nawzajem obdarzyli. Jakaś część jej duszy nie chciała o tym zapomnieć.

Najgorsze, co może mnie spotkać, to że Alistair każe mi się odpieprzyć, powiedziała sobie, sięgając znowu po telefon. Ale i z tym potrafię żyć. Ludzie nauczyli się przełykać odmowę.

— Biuro pana Brannigana. — Głos Nataschy brzmiał pewnie i wyraźnie.

Ash bezskutecznie próbowała coś powiedzieć. Żałowała, że nie zadzwoniła do Alistaira do domu, ale dawniej zawsze telefonowała do biura.

— Biuro pana Brannigana — powtórzyła Natascha.

— Cześć, Natascha. — Zdawało się, że słowa te padały z cudzych ust. — Jest może Alistair?

— Ash? — zdumiała się Natascha. — Co u ciebie? Nie, nie ma w tej chwili Alistaira.

— Mogłabyś go poprosić, żeby zadzwonił do mnie po powrocie? — zapytała Ash.

— Wyślę mu wiadomość, że dzwoniłaś — powiedziała Natascha. — Ale on wyjechał.

Wziął tygodniowy urlop, potem ma się spotkać z jakimiś ludźmi w Stanach, a potem jedzie do Niemiec. Może po drodze wpadnie na dzień czy dwa, ale jeszcze nie wiem na pewno.

To straszne, pomyślała Ash, i mocniej ścisnęła słuchawkę. Absolutnie trzeba było zadzwonić do domu. Natascha musi wiedzieć, że zerwaliśmy z Alistairem, i pewnie uważa mnie za jakąś żalną, odtrąconą wielbicielek, która próbuje go odzyskać. Nie mogła znieść myśli, że sekretarka Alistaira mogłaby się nad nią użalać, bo została porzucona przez jej szefa.

— Zawsze możesz wysłać mu e-maila — poradziła jej Natascha. — On każdego dnia odbiera pocztę.

— Jasne, dzięki, Natascha. — Odłożyła słuchawkę i stała przy telefonie, a ręce jej się trzęsły.

Pomysł, by wydać przyjęcie z okazji trzydziestych urodzin, zaświtał jej w środku nocy. Dotąd nigdy nie urządzała urodzin, bo przygotowywanie przyjęć dla innych skutecznie wybiło jej z głowy myśl o robieniu czegokolwiek dla siebie. Poza tym nie była przecież imprezową osobą. Jednak organizacja przyjęcia dostarczyła jej bodźca i cieszyła ją, choć nagle zaczęła się denerwować, gdyż była to dla niej zupełna nowość.

— Obawiam się, że nie będzie to głośna impreza — powiedziała Jodie, wręczając jej zaproszenie. — Nie z rodzaju tych, do których przywykłaś... ale byłoby mi bardzo miło, gdybyś przyszła.

— Oczywiście, że przyjdę! — Jodie była kompletnie zaskoczona tym zaproszeniem. — Z wielką chęcią, Ash, naprawdę.

— Ale nie spodziewaj się głośnych śpiewów i ludzi świrujących z przepicia — powiedziała Ash. — Zaprosiłam, oczywiście, wszystkich Rourke'ów, co podniesie średnią wieku. Zaprosiłam też Seamusa i Margaret oraz moich sąsiadów, mieszkających po drugiej stronie korytarza. No i tych klientów, dla których często coś robię. Ale nie będzie to... to nie będzie młodzieżowa impreza.

Jodie uśmiechnęła się.

— Masz trzydzieści lat, Ash, a nie sto trzydzieści. Poza tym co, konkretnie, dzieje się twoim zdaniem na młodzieżowych imprezach?

— Myślę, że narkotyki — powiedziała Ash. — Poza tym ludzie zalewają się w trupa i padają w sypialni, gdzie bzykają się z kimś kompletnie nieodpowiednim.

— Od lat nie byłam na porządnej narkotykowej imprezce — powiedziała Jodie — ale może chodzę na niewłaściwe przyjęcia! Ash, mówię ci, będzie świetna zabawa.

— Mam nadzieję. — Ash wysłała zaproszenia, kiedy była jeszcze pełna entuzjazmu, a teraz zaczynała się bać, że będzie to największa kłapa, w jakiej wszystkim zdarzyło się wziąć udział.

Wciąż się zastanawiała, co powinna zrobić, żeby goście dobrze się bawili.

— Będzie świetnie — pocieszała ją Michelle, do której zadzwoniła w panice, by zapytać, czy o czymś nie zapomniała. — Bóg mi świadkiem, Ash, ale to jakaś paranoja!

— Wiem — przyznała z westchnieniem Ash.

— Nie można zaplanować wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach — powiedziała Michelle. — Nie możesz nakazać ludziom, żeby się dobrze bawili. Możesz za to stworzyć miłą atmosferę, to i im będzie miło.

— Umiem stwarzać intymną atmosferę — powiedziała Ash. — I wyrafinowaną. Ale nie za bardzo wiem, jaka atmosfera powinna panować na takim przyjęciu.

— Obsługiwałaś przecież przyjęcia z okazji dwudziestych pierwszych urodzin, prawda? — zapytała Michelle.

— Tak, ale to co innego. Przede wszystkim jestem starsza o dziewięć lat — zaproponowała Ash.

— Zrezygnuj z pedantycznego porządku, a wszystko będzie dobrze — powiedziała Michelle. — Nie możemy się już z Emmetem doczekać. Mama też. Dzwoniła do mnie wcześniej i zastanawialiśmy się, w co się ubrać.

— W co się ubrać?! — Ash była wstrząśnięta. — Co to znaczy, w co się ubrać? To zwykłe przyjęcie, Michelle. Rodzinne spotkanie.

— Wiem. — Michelle roześmiała się. — Mimo to mam zamiar sprawić sobie jakiś nowy ciuch. A to świetny pretekst.

— Ach tak.

— Ty też kup sobie coś nowego — doradziła jej Michelle. — Najlepiej jakąś obcisłą, oszłamiającą kreację.

— Ale...

— Wiem, to ma być rodzinne spotkanie — powiedziała Michelle — ale chciałabym się ubrać elegancko. Bo niby czemu nie?

— Jak elegancko zamierzasz się ubrać? — zapytała Ash, przerażona brakiem stosownej garderoby.

— Widziałam u Debenhama fantastyczny top — powiedziała Michelle. — Czarny i prawie przezroczysty, więc będziesz mogła sobie obejrzeć moje powiększone po dzieciach cycki, podtrzymywane przez biustonosz Wonderbra. Była tam też śliczna spódnica do kompletu.

— Miałam wystąpić w dżinsach — wyjąkała Ash.

— Daj spokój, kuzynko! — prychnęła Michelle. — Jak już balować, to w stroju balowym.

— Jasna cholera — mruknęła Ash. — W co ja się wpakowałam?!

— Ash, jesteś młoda, wolna i w tym momencie samotna. Musisz się wczuć w atmosferę. — Michelle głos nagle złagodniał. — Zrobiłaś już coś w sprawie Alistaira?

— Nie ma go w tej chwili — powiedziała Ash. — Wyjechał na urlop, a potem do Stanów, i chyba jest teraz w Niemczech.

— Rozmawiałaś z nim?

— Z jego sekretarką.

— Ale nie z nim?

— Obiecała mu przekazać, że dzwoniłam. Ale się nie odezwał.

— Jeżeli wyjechał, mógł nie mieć czasu. Może byś go zaprosiła na przyjęcie?

— Raczej nie.

— Ale, Ash, to chyba niezły pomysł. Jeżeli przyjmie twoje zaproszenie, będziesz wiedziała, że nadal się tobą interesuje. A jeżeli nie — przynajmniej będziesz miała wokół siebie całą bandę przyjaciół.

— Może masz rację — powiedziała niepewnie Ash.

— Ja mam zawsze rację — oświadczyła Michelle. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

— Wiem, że tak — przyznała Ash. — Ale czemu to musi tak długo trwać?

— A czy ten syn pisarza kontaktował się z tobą? — rzuciła mimochodem Michelle.

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknęła Ash. — Przecież ci mówiłam, że to był... że to był tylko przypadkowy seks.

— Co za kawał sukinsyna — stwierdziła Michelle. — Powinien był przynajmniej do ciebie zadzwonić.

— W żadnym wypadku. — Ash postanowiła nie wspominać o butach, które jej zostawił.

— To była jedna z tych gigantycznych pomyłek, Michelle. Nie chcę więcej o nim słyszeć.

— Mimo to... — nie ustępowała Michelle.

— Żadne mimo to — powiedziała. — Nie chcę nawet o nim myśleć.

— No to zaproś Alistaira na przyjęcie — rzuciła twardo Michelle. — Jeżeli ci odmówi, możesz o nim zapomnieć i zacząć wszystko od nowa.

— Wiem — przyznała Ash bez przekonania.

— I tak musisz ruszyć do przodu — powiedziała Michelle. — W tę czy w tamtą stronę.

W środę przed urodzinami Ash miała zamówiony catering na lunch w Banco Brava, a potem poszła na zakupy. Wybrała się na Grafton Street i chodziła bez końca po sklepach, zanim wreszcie kupiła niebieską portfelową spódnicę, blad różową górę haftowaną w czerwono-niebieskie kwiatuszki oraz parę blad różowych pantofelków. Zmierzyła też dość drogie, zielone spodnie, w których wyglądała bardzo korzystnie, oraz żółtą bluzkę. Kusiło ją, by kupić i spodnie, i spódnicę, ale posłuchała głosu rozsądku. Stan jej finansów przedstawiał się ostatnio dość kiepsko — zwłaszcza po doliczeniu przyjęcia oraz innych rzeczy, na które ostatnio wydała pieniądze, a nie była przygotowana na życie pod kreską. Ale, powiedziała sobie, jak tylko znów będzie miała parę funtów, pomyśli o jaskrawozielonych spodniach.

Nie wybierała się do fryzjera, ale jej uwagę przykuła jedna z fryzur w witrynie zakładu. Patrzyła na fotografię modelki przez prawie pięć minut, zanim zdecydowała się wejść i powiedzieć stylistce, że chciałaby coś w tym rodzaju.

Wyglądam dość cudacznie, pomyślała po powrocie do domu, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Ani w połowie tak sensownie jak zwykle. Pociągnęła usta ciemnoróżową szminką i posłała sobie całusa. A potem potrząsnęła głową i doszła do wniosku, że kompletnie postradała zmysły.

W sobotę, w dniu przyjęcia, wstała wcześniej i wszystko przygotowała. Jodie mówiła jej, że chyba upadła na głowę, że chce sama gotować, że ona poszłaby po prostu do Tesco albo

Marksa i Spencera i kupiła tacki z gotowym jedzeniem, ale Ash nie mogła się na to zdecydować. Więc, jak w przypadku każdego przyjęcia, które obsługiwała, przygotowała cały wachlarz przegryzek i zakąsek. Tak czy inaczej, mruknęła do siebie, to moja praca i mam być w tym dobra.

I rzeczywiście, wyszło fantastycznie. Gdy o ósmej zasiadła w salonie z dużym kieliszkiem Pinot Grigio, by na moment odetchnąć, jedzenie zostało już zaaranżowane na stole w apetyczne stosy, były też miseczki z przekąskami i orzeszkami, porozstawiane strategicznie po całym mieszkaniu. Trzeba przyznać, że atmosfera była wybitnie przyjęciowa.

Jednak Alistair nie skontaktował się z nią. Westchnęła głęboko i zaczęła się zastanawiać, czy stała się w końcu kimś, kim nigdy nie spodziewała się zostać — osobą, która czeka w rozpaczy na telefon od kogoś, komu już na niej nie zależy. Wstała i włączyła komputer. Zawsze jest jakaś szansa, że odpowiedział na jej e-maila. Czekając, aż uruchomi się Outlook Ekspres, pomyślała, że mógłby zjawić się nieoczekiwanie. Byłoby to nawet bardzo romantyczne...

Spojrzała na ekran i otworzyła szeroko oczy. Była jedna nowa wiadomość — od Alistaira!

„Cześć, Ash” — napisał. „Przepraszam, że wcześniej nie odpowiedziałem, ale byłem naprawdę zajęty. Jak pewnie wiesz, rynki ostatnio okazały się nieprzychylnie dla mojej branży i trudno mi było zorganizować potrzebne finanse, głównie dlatego, że Transys sam został zbankrutowany. Ale od paru tygodni jestem w Stanach i wygląda na to, że udało mi się zorganizować coś dobrego. Mało nie zemdląłem, kiedy dostałem Twoje zaproszenie. Ty — przyjęcie — Twoje mieszkanie??? Gdzie się podziała Lodowa Panienska? Byłem taki zaintrygowany, że chciałem z miejsca wskoczyć w samolot! Niestety, jestem w tej chwili zbyt zajęty. Ale może umówilibyśmy się na drinka po moim powrocie? Nie będzie mnie jeszcze przez kilka tygodni, bo mam kupę roboty tutaj i w Niemczech. Nie wiem, czy możemy znów być razem, Ash, ale warto spróbować. Naprawdę strasznie Cię lubię, bo należysz do tego rodzaju dziewczyn, które potrafią nieźle zająć za skórę. Niestety! Do usłyszenia. Alistair”.

Serce wciąż mocno jej biło z nadmiaru uczuć, kiedy rozległ się dzwonek. Wyłączyła komputer, nerwowo sprawdziła swój wygląd w lustrze, a potem wcisnęła guzik domofonu, by wpuścić Molly i Shaya.

— Nigdy nie przestaniesz nas zaskakiwać. — Molly pocałowała ją w policzek, a potem jej się przyjrzała. — Nastawiłam się na białe ściany i czarny dywan albo ściany w kolorze mango i żółte panele, albo różowe ściany i...

— Już rozumiem — przerwała jej Ash. — Ściany w kolorze mango i żółte panele! Zupełnie jakby chodziło o kolejny odcinek programu *Zmień swoje mieszkanie*

— Ale nie tym razem — powiedziała Molly. — Tym razem raczej *Zmień siebie!*

— Do tej pory za każdym razem, kiedy przychodziłaś do mnie z wizytą, ja miałam odnowione mieszkanie, a ty nową fryzurę. — Ash uśmiechnęła się do niej i przeczesła palcami przycięte niedawno loki. — Tym razem postanowiłam nie zajmować się mieszkaniem, tylko sobą. No i jak? Podoba ci się?

— O tak, tak — kiwając głową, powiedziała Molly. — Wyglądasz zupełnie inaczej, Ash. Jak całkiem inna osoba.

— Wiem. — Ash znów się uśmiechnęła. — Ale lato było gorące i pomyślałam sobie... no wiesz, że przyda mi się odmiana, więc weszłam i kazałam je ściąć.

— Jesteś teraz bardziej podobna do Julii — stwierdziła Molly. — Nie wiem, czy powinnam to mówić.

— Julia miała znacznie dłuższe włosy — powiedziała Ash.

— Wiem. Ale... naprawdę zrobiłaś się do niej bardziej podobna.

— Świetnie wyglądasz, Ash. — Shay uściskał ją. — Tak samo jak twoje mieszkanie.

— Dzięki — odparła. — A gdzie chłopaki?

— Jadą pod eskortą — powiedział Shay. — Powinni tu być lada chwila.

Tymczasem następni pojawili się Michelle i Emmet. Michelle nie mogła oderwać wzroku od jej nowej fryzury.

— A do tego powaliłaś mnie na kolana tą swoją kreacją — powiedziała do Ash. — Wyglądasz na dwudziestkę, a nie na trzydziestkę.

— Naprawdę? — Ash się rozpromieniła.

— Ale to nie musi wcale być komplement! — Mimo to Michelle roześmiała się. — Podobają mi się też te perły. Są takie... grzeczne, w przeciwieństwie do całej reszty.

Dłoń Ash poszybowała w górę i dotknęła naszyjnika.

— Należały do Julii — powiedziała. — Nie sądzę, żeby Julia kiedykolwiek była grzeczna.

— Z tego, co słyszałam, nie — przyznała Michelle.

— Twój strój też mi się podoba — powiedziała Ash. — I świetnie rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o cyckach. Wyglądają fantastycznie.

— Próbuję wzbudzić w Emmecie szaleńczą namiętność i żądzę — powiedziała Michelle. — Po urodzeniu Shaya juniora byłam zbyt wykończona, by wykrzesać z siebie choćby cień entuzjazmu na myśl o namiętności i żądzy. Aż tu nagle znów odkryłam w sobie popęd i chęć, żeby to było warte zachodu. A tak przy okazji, wszystkiego najlepszego. — Wręczyła Ash paczkę, po otwarciu której ukazał się bladofiołkowy sweter od Ediny Ronay.

— Jaki śliczny! — powiedziała Ash.

— Pasuje do twojego nowego wizerunku — stwierdziła Michelle. — Ale nie zrobiłam tego z premedytacją. Wydawało mi się po prostu, że będzie ci w nim do twarzy.

— Dzięki. — Ash przyłożyła go do siebie. — Dzięki, Michelle. — Uściskała kuzynkę.

Molly i Shay kupili jej staroświecką wagę, o której wspominała kiedyś Molly, że jej się bardzo podoba. Potem zjawili się jej kuzyni, z Iriną i Nancy, i nagle okazało się, że rozlewa piwo i wino, a w jej mieszkaniu jest coraz więcej ludzi.

Nigdy dotąd nie było w nim tyle życia i hałasu. Bajgiel rzucił tylko okiem na gęstniejący tłum i wymknął się przez otwarte okno w kuchni. Jodie zjawiała się w towarzystwie wysokiego i niezwykle przystojnego blondyna.

— To jest Harry — zwróciła się do Ash. — Poznałam go tydzień temu. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że go przyprowadziłam.

— Im więcej, tym weselej — powiedziała Ash, wręczając mu piwo.

Przyszli Rhoda i Jim, sąsiedzi z drugiego końca korytarza, oraz Conal i Petra, mieszkający z nią drzwi w drzwi. Zauważyła też, że ludzie chodzą po całym mieszkaniu, odstawiają szklanki i kieliszki na wypolerowane na wysoki połysk blaty i kruszą na brzoźową posadzkę, kompletnie nieświadomi tego, że są w domu chorobliwej pedantki.

I wcale jej to nie przeszkadzało! No, może prawie. Musiała stłumić w sobie uczucie paniki, gdy Rob Rourke przewrócił butelkę Budweisera i złocisty płyn rozlał się na podłogę. Ale Mo Harper, jedna z jej regularnych klientek, chwyciła rolkę kuchennych ręczników i wytarła kałużę, zanim Ash zdążyła się odezwać.

— Strasznie mi się podoba twoje mieszkanie. — Margaret, druga kelnerka Ash, stanęła przed nią z kieliszkiem wina w jednej ręce, a koktajlową kielbaską w drugiej. — Jest takie jasne i wesołe.

— Dzięki — powiedziała Ash.

— Czy to prawda, że nie wpuszczasz do niego mężczyzn?

— Nie — odparła Ash. — To tylko złośliwa plotka, choć nie bez podstaw.

— Genialny pomysł — stwierdziła Margaret. — Oni tylko robią gigantyczny bałagan. W tej chwili mieszka u mnie mój brat i powinnaś obejrzeć łazienkę! Istny koszmar! On się goli i... och, lepiej, żebyś nie wiedziała, Ash.

— Pewnie tak — zgodziła się Ash. — Dzięki, Charlie. — Najstarszy kuzyn robił właśnie rundę po pokoju, dolewając wszystkim wina.

— Hu, hu, Ash! — Jodie zdecydowała się na wódkę z cytryną i strzeliła sobie kilka kieliszków w szybkich odstępach. — Mogę puścić jeden z moich heavymetalowych kompaktów?

Ash nastawiła wcześniej Dire Straits z głośnością, którą członkowie tej grupy uznaliby za nieco poniżej przeciętnej.

— Jasne — rzuciła beztrąsko.

— Jezu, dali ci chyba głupiego Jasia czy coś w tym rodzaju — roześmiała się Jodie. — Żartowałam!

— Och — powiedziała Ash. — Przepraszam.

— Ale nastawię Cher. — Jodie przejrzała kolekcję kompaktów Ash. Wsunęła płytę do odtwarzacza i wtórując Cher, zaczęła pytać Ash, czy wierzy w życie po miłości.

Pewnie tak, pomyślała Ash. Przypomniała sobie e-maila od Alistaira i uśmiechnęła się do Jodie. Z tymi związkami jest trochę jak z huśtawką, ale może czasami lepiej nie wiedzieć, jak się sprawy ułożą. Podeszła do okna i popatrzyła na rzekę.

— Wszystko w porządku? — Michelle dołączyła do niej.

— Tak — odpowiedziała.

— Dobrze się bawisz?

Ash rozejrzała się dokoła. Pokój był pełen ludzi, roześmianych, rozgadanych, a w przypadku Jodie i Rhody — rozśpiewanych. Nagle dotarło do niej, że Rhoda też ma całkiem niezły głos. Nie wiedziała, że jej sąsiadka potrafi śpiewać.

— Tak — odpowiedziała kuzynce na jej pytanie.

— Mówisz, jakbyś nie była tak do końca przekonana — stwierdziła Michelle.

Ash uśmiechnęła się do niej.

— Czy byłoby to z mojej strony straszne i nudne, i potworne, gdybym powiedziała, że chociaż dobrze się bawię, wolałabym jednak proszoną kolację?

— Tak! — wykrzyknęła Michelle, a potem łagodniejszym tonem dodała — Ale nie od razu zbudowano Kraków. To już coś, że pozwoliłaś tej gromadzie obcych ludzi bałaganić na swoim prywatnym terytorium.

— Aż taka zła nie jestem — broniła się Ash.

— Ty... no, może i nie — powiedziała Michelle. — Ale założę się, że zrobisz jutro rundkę z twoim panem Properem, polerując na okrągło każdy mebel, aż będzie lśnił jak lustro.

— Odwal się — życzliwie poradziła jej Ash.

— Dobrze wiesz, że mam rację.

Ash zawahała się, a Michelle wybuchnęła gromkim śmiechem.

— Ash, przyłącz się do nas. — Jodie skrzyknęła grupkę dziewczyn i teraz śpiewały chórem. — Mogłybyśmy stworzyć zespół. „Party Animals”.

— Nie sędzę — stwierdziła Ash.

— Chodź! — namawiała ją Jodie. — Mogłabyś zostać naszą główną wokalistką.

— Jodie, wszyscy uciekliby gdzie pieprz rośnie. Nie umiem śpiewać i nie zaśpiewam.

— Nawet dla mnie? — zapytała Jodie. — Żeby sprawić mi przyjemność?

— Są pewne rzeczy, których nawet ja nie zrobię — powiedziała. — Nie zrobię z siebie kompletnej idiotki, piękne dzięki.

— Ash, na przyjęciu możesz zrobić z siebie idiotkę — tłumaczyła jej Jodie. — To nawet obowiązkowe.

— Ja... och, niech ci będzie.

— Zróbcie przejście! — krzyknęła Jodie i zaintonowała swoją wersję Wannabe, a wszyscy zaczęli wznosić entuzjastyczne okrzyki. Ash tymczasem, z typowym dla siebie brakiem koordynacji, jeśli chodzi o kroki w tańcu, próbowała naśladować przyjaciółkę — co jej się, niestety, nie udało i w końcu klapnęła na podłogę wstrząsana histerycznym śmiechem.

Potem straszliwie ją suszyło. Wstała z łóżka o piątej rano, kiedy wschodzące słońce za oknem barwiło niebo na płomienny oranż. Zeszła na dół i otworzyła lodówkę. Z bezalkoholowych napojów pozostał tylko karton soku żurawinowego, więc naląła sobie trochę do szklanki, która z niepojętych przyczyn także znalazła się w lodówce.

Bajgiel siedział na parapecie za oknem. Wpuściła go, a on wskoczył do kuchni, by sprawdzić zniszczenia na swoim terytorium. Prześlizgnął się pomiędzy stertami pustych puszek i zmiętych papierowych serwetek, po czym usiadł przed swoją miską. Ash otworzyła nową puszkę kociej karmy i nakładając mu ją, próbowała wstrzymać oddech.

— Zaraz się porzygam — mruknęła do kota. — W chwilach takich jak ta, wołałabym, żeby nie dodawali zapachu do kociej karmy.

Bajgiel zignorował ją i rzucił się łapczywie na jedzenie. Wczorajszej nocy nie zjadł kolacji z powodu przyjęcia i chciał jej teraz okazać, że jest bardzo głodny.

— Zamierzałam posprzątać przed położeniem się do łóżka — powiedziała mu Ash. — A to było tylko półtorej godziny temu.

Bajgiel spojrział na nią, a potem znów zaczął jeść.

— Ale nie miałam siły. — Ash rozejrzała się po kuchni. — Nie jest chyba tak źle. Poza tym teraz już wiem, że się zmieniłam nie do poznania — mruknęła — bo w kuchni wygląda jak po katastrofie, a w salonie niewiele lepiej.

Przeszła do salonu, popijając sok żurawinowy, i zauważyła, że odtwarzacz ciągle jest włączony. Podeszła i wcisnęła klawisz. A potem rozejrzała się wokoło. Co za piekielny bałagan, pomyślała. Na szczęście, nie było nic takiego, z czym nie mogłaby sobie poradzić. Przypomniała sobie też uwagę Michelle o panu Properze i z przykrością stwierdziła, że kuzynka chyba miała rację. Ale nie weźmie się do tego od razu. Przede wszystkim, zanim w ogóle zacznie się zastanawiać nad sprzątaniami, musi się trochę nawodnić. Nagle zobaczyła mrugające światełko automatycznej sekretarki. Zacisnęła powieki i znowu jej się przyjrzała, bo absolutnie nie mogła sobie przypomnieć, by słyszała dzwonek telefonu. Chociaż gdyby dzwonił w czasie przyjęcia (zwłaszcza gdy wykonywały wariacje na temat Spice Girls), i tak by go nie usłyszała. Nie zauważyła jednak, by światełko migało, kiedy kładła się do łóżka. Cholera, pomyślała, może to dzwonił Alistair, żeby powiedzieć cześć!

Przetarła oczy, podeszła do automatycznej sekretarki i wcisnęła guzik „play”.

„Cześć, Ash, to ja, Gillian. Chciałam zadzwonić do ciebie w zeszłym tygodniu, ale byłam kompletnie uziemiona z powodu paru spraw, i dopiero teraz mam okazję. Przykro mi, że cię nie zastałam. Zresztą, pewnie to już dla ciebie nic nowego, ale na wypadek gdybyś z nim nie rozmawiała, uważam, że powinnam ci powiedzieć. To wesele, które mi zleciłaś — pana Morlanda — zostało odwołane! Musiałam się z nim jakoś dogadać w sprawie wynagrodzenia i tak dalej, ale okazał się bardziej niż hojny. To bystry facet, nie uważasz, ale wyraźnie boi się wszelkich zobowiązań! Następnym razem, kiedy będziesz miała coś dużego, daj mi znać, a z przyjemnością ci pomogę. Wkrótce się odezwę. Pa”.

Rozdział 36

Ratatouille

Ziemniaki, cebula, Cukinie, papryka, czosnek, pomidory, oliwa z oliwek, sól i pieprz.

Pokroić pomidory, cebule, cukinie i paprykę. Rozgrzać oliwę z oliwek na patelni i dodać jarzyny. Przyprawić. Dusić pod przykryciem około 40 minut. Zdjąć pokrywę i podgrzewać, póki większość płynu nie wyparuje.

W dniu, w którym miał się odbyć jej ślub z Danem Morlandem, Cordelia siedziała w skórzanym fotelu na piętnastym piętrze biurowca Harrisona w Chicago i wpatrywała się w monitor komputera. Matka zadzwoniła do niej tego ranka z zapytaniem, czy u niej wszystko w porządku. Powiedziała Cordelii, że myśli o niej i ma nadzieję, że odniesie w swoim zawodzie wielki sukces. Cordelia domyśliła się, że jej matka uważa, iż będzie musiała odnieść wielki sukces w swoim zawodzie, skoro wyraźnie popsuka sobie szanse na tak korzystny mariaż.

Patrzyła, jak wygaszacz ekranu w jej komputerze wywołuje chaotyczne zawirowania kolorów. Sam czuła się dziś, jakby porwał ją wir, i po raz pierwszy od dłuższego czasu nie była pewna, czy postępuje słusznie.

Kiedy Dan przyjechał do jej nowojorskiego mieszkania kilka tygodni temu, nie zorientowała się, że coś jest nie tak. Paplała o Chicago, o szansie dla nich obojga, proponując mu sok albo koktajl, albo (szczyt horroru w dzisiejszych czasach) gęstą, mocną kawę, niepozbowioną kofeiny. Jednak w którymś momencie zdała sobie sprawę, że Dan jej nie słucha; że myślami jest o całe mile od Harrisona i swojej nowej posady.

— O co chodzi? — zapytała poirytowana, gdy w odpowiedzi na pytanie, czy woli kawę jawańską czy kolumbijską, spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

— Nie, nic — mruknął.

Sposób, w jaki to powiedział, uświadomił jej, że coś jest na rzeczy.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Dan?

— Uważam, że nic z tego nie będzie, a ty? — wybuchnął i urwał z przerażeniem.

— Co takiego?

— Jest coś... ja...

— Co ci jest, do jasnej cholery? — zapytała złowrogim tonem. — Z czego, konkretnie, nic nie będzie?

— Ze mnie, tutaj, w Stanach. Nie chcę tu być, Cordelio. I nigdy nie chciałem. Nie chcę pracować dla Harrisona i nie chcę mieszkać w Chicago.

— Świetnie! — prychnęła. — Genialnie. Wypruwam sobie żyły, żeby ci załatwić fantastyczną robotę, a ty mi teraz mówisz, że nic z tego. Czyś ty na głowę upadł?

— Nie — powiedział i ukrył twarz w dłoniach. — Przepraszam cię, Cordelio, ale nigdy nie chciałem, żebyś sobie wypruwała żyły, żeby mi załatwić pracę, bo nigdy nie chciałem tu pracować. Chciałem, żebyś wróciła do Irlandii.

— No tak, oczywiście — przyznała. — Ale to było, jeszcze zanim trafiła się ta okazja. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym odrzuciła taką szansę.

— Przecież powiedziałaś, że tak zrobisz. Dobrze o tym wiesz.

— Słucham?

— Ostatnim razem, kiedy byłeś w Dublinie. Powiedziałaś, że fuzje i nabytki nie podniecają cię tak jak ja. I że będziesz w stanie rzucić to wszystko. — Westchnął. — Wszyscy mi mówili, że nie będziesz chciała wrócić, a ja ich przekonywałem, że nie mają racji.

— Wróciłabym, gdyby mi nie zaproponowali tej pracy — tłumaczyła Cordelia. — Oczywiście, że tak. Ale to wszystko zmienia. To ważne, Dan. Bardzo ważne.

— Ważniejsze niż my?

— Co ci odbiło? — zaatakowała go ze złością. — To już załatwione, Dan. Klamka zapadła. Zgodziłeś się. Zamieszkamy w Chicago.

Potrząsnął głową.

— Nie chcę tu mieszkać, Cordelio. I nigdy nie chciałem. Myślałem... — Urwał. — Ale się pomyliłem.

— A ja? — zapytała. — Co do mnie też się pomyliłeś?

— A jak myślisz? Przyjrzała mu się uważnie.

— Myślę, że próbujesz ze mną zerwać — powiedziała.

— Ja...

— Jezu! — Cordelia zamarła. — Ty rzeczywiście próbujesz ze mną zerwać!

— Cordelio, zawsze myślałem, że jesteś tą jedyną. Wiesz, że to prawda. Nigdy nie darzyłem nikogo takim uczuciem, jak ciebie.

— Przeszaj mi wciskać kit! — powiedziała ze złością. — Co ty sobie wyobrażasz, Dan?

— Nie przyjechałem tu, żeby z tobą zerwać — powiedział. — Przyjechałem, żeby pewne rzeczy zmienić.

— Bo nie podoba ci się tak, jak jest?

— Bo nie spodziewałem się, że będzie tak, jak jest.

— Masz kogoś, prawda? — Olśnienie było jak fizyczny cios. — Znalazłeś sobie kogoś innego!

— Nie tak, jak myślisz — powiedział.

— Och, daj spokój! — Popatrzyła na niego, a w jej oczach zapłonął gniew. — Nie byłoby tej rozmowy, gdyby chodziło tylko o twoją przeprowadzkę do Stanów, prawda? Gdybyś mnie kochał, byłoby ci wszystko jedno, gdzie będziemy mieszkać.

— Gdybyś mnie kochała, wróciłabyś do Dublina — powiedział.

— Nie próbuj zwać winy na mnie — warknęła. — To nie ja... — Urwała i nagle dostrzegł w jej oczach furję. — To ta pieprzona kuchta, prawda?! — krzyknęła. — Zakochałeś się w tej pieprzonej kuchtarce?!

— Cordelio, to nie tak.

— Ty skurwysynu! Przez cały czas wciskałeś mi, że ją lubisz, że ci jej żal, że to czysto platoniczna znajomość! Przysięgałeś, że jej nie tkniesz! A ty ją przeleciałeś i teraz wolisz ją ode mnie!

— Nie — powiedział Dan.

— Nawet nie próbuj kłamać! — rzuciła z furją. — Daruj sobie.

Stał przed nią i milczał. Miała prawo być zła, miała prawo znieważać go i być urażona. Czuł się okropnie, a jednocześnie zastanawiał się, czy byłaby taka zła, gdyby wiedziała, że Ash O'Halloran dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce go więcej widzieć. O Boże, pomyślał, nie znam się na kobietach. Naprawdę.

— Czemu powiedziałaś, że za mnie wyjdiesz? — zapytał nagle. — Tamtej nocy. Miałaś przecież wyjechać do Stanów, więc po co ci były te komplikacje z zaręczynami? Czemu powiedziałaś „tak”?

— Nie chciałam być sama — odpowiedziała po prostu. Nuta gniewu nagle ulotniła się z jej głosu. — Kiedy mnie prosiłeś, żebym za ciebie wyszła, byłam zaskoczona. Z początku miałam powiedzieć „nie”. A potem pomyślałam, jak nam ze sobą dobrze. Bo dobrze nam ze sobą, Dan. Pasujemy do siebie. Rozumiemy nawzajem swoją pracę. Świetnie nam ze sobą w łóżku.

Spodobał mi się też pomysł, że pojedę do Stanów już zajęta, żeby nikt się do mnie za bardzo nie przystawiał. Dlatego powiedziałam „tak”.

— Co za praktyczne podejście — rzucił sucho.

— Myślałam też, że cię Kocham — powiedziała. — I że ty mnie Kochasz.

— Ja też tak myślałem — odparł. — Ale nagle do mnie dotarło, że nie mogłem Kochać cię aż tak, jak myślałem, jeżeli...

— Jeżeli potrafiłeś wskoczyć do łóżka z tą kuchką przy pierwszej nadarzającej się okazji — dokończyła zjadliwym tonem.

— To nie było tak — tłumaczył się Dan. — To był jednorazowy wyskok.

— A co z jej chłopakiem? — zapytała Cordelia.

— Rozstali się.

— Czy wszyscy dokoła tak robią?

— Cordelio, ja tego nie chciałem — tak po prostu wyszło.

— Oszczędź mi tego — prychnęła. — Męskie pieprzenie.

— Wiem.

— Tutaj stanowilibyśmy świetną parę — argumentowała. — Bylibyśmy ludźmi sukcesu. Z superapartamentem, w superokolicy. Chodzilibyśmy do fajnych miejsc i poznawalibyśmy fajnych ludzi. Mielibyśmy wszystko, czego dusza zapagnie, Dan. Wszystko, na co pracowałeś. Myślałam, że chodzi ci o to samo, co mnie.

— Ale mnie to już nie wystarcza — powiedział. — Kiedyś może by mi wystarczało, Cordelio. I nie myśl sobie, że nie mam ambicji. Bóg jeden wie, ilu ludziom nadepnałem na odcisk, pracując u Chathama. Ale teraz to już nie dla mnie.

— I uważasz, że znajdziesz to, czego naprawdę pragniesz, z tą kucharką?

— Nie — odparł. — Nie mam u niej szans. Ale, koniec końców, nie chodzi o nią i o mnie, Cordelio, tylko o mnie i o ciebie.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez całą minutę. Potem Cordelia zdjęła z palca olbrzymi pierścionek z szafirem i brylantami i oddała go Danowi. Powiedział jej, żeby go sobie zatrzymała, ale potrząsnęła głową i nie zrobiła nic, by go zatrzymać, kiedy chwycił walizkę i wyszedł.

Obraz na ekranie komputera znikł i wygaszacz zaczął wytwarzać nowe barwne wzory. Cordelia przetarła oczy. Mam dwadzieścia cztery lata, powiedziała sobie. Mam całe lata na znalezienie właściwego człowieka. Mężczyzny, który będzie podzielał mój entuzjazm, by pruć

do przodu, i który będzie pragnął sukcesu równie mocno jak ja. Ale teraz mam coś innego. Coś znacznie ważniejszego niż jakikolwiek mężczyzna. Mam swoje biuro i swój skórzany fotel, i wizytówki z nadrukiem „Wiceprezes” — i nikt mi tego nie odbierze.

Uderzyła w jeden z klawiszy i ekran rozjaśnił się, ukazując stronę jej organizera. Kliknęła na numer Mike'a Fullera. Chciała się z nim umówić na spotkanie, by przedyskutować chicagowski projekt. Miała mnóstwo świetnych pomysłów w związku z tym projektem. I jeśli się nie myli, może już w przyszłym roku na jej wizytówkach będzie napisane „Prezes”. Dostanie większe biuro i lepszy fotel. A to było dla niej teraz najważniejsze.

Michelle pomogła Ash zanieść wielkie garnki z drobiowym curry do furgonetki, którą Ash wypożyczyła na ten dzień.

— Czemu nie kupisz sobie własnej? — zapytała, gdy Ash zamknęła drzwi.

— Bo to mi się nie opłaca — odparła Ash. — Na ogół gotuję w czyjejś kuchni, więc muszę tylko przywieźć garnki i potrzebne produkty. Zazwyczaj też pracuję w centrum, więc mogę wszędzie dotrzeć piechotą, a ciężko tam znaleźć miejsce do parkowania. To cholerne przyjęcie jest akurat inne. Mogę podgrzać potrawy na miejscu, ale tak naprawdę nie da się tam gotować. Dlatego prościej było przygotować wszystko w domu.

Kuzynki wsiadły do furgonetki i Ash wsunęła kluczyk do stacyjki. Zerknęła na Michelle, która mocniej dopinała pasy.

— Nie prowadzę zbyt często, ale radzę sobie nieźle — uspokoiła ją. — Obiecuję, że nie będziemy dachować.

Michelle zachichotała.

— Nie chciałam, żeby to tak wyglądało — powiedziała. — No dalej, Ash, ruszamy!

Przyjęcie dla znajomych znajomych Maeve Heaney miało się odbyć w lokalnym ośrodku kultury, co zdumiało Ash, gdyż spodziewała się jakiejś bardziej ekskluzywnej imprezy. Lecz gdy skontaktowano ją z Ianem Maddenem, młody człowiek powiedział jej, że chciał, by odbyło się to w miejscu, gdzie nikomu nie będą przeszkadzać ani rozróby, ani hałasy, ani nawet rzyganie.

— Na pewno chce pan coś do jedzenia? — zapytała rozbawiona Ash, na co Ian roześmiał się i odpowiedział, że tak, ale tylko curry. Wobec tego Ash udała się na inspekcję kuchni. Popatrzyła z rozpaczą na wąty palnik gazowy i zdecydowała, że ugotuje wszystko w domu i tylko podgrzeje po przyjeździe na miejsce. Zaplanowała sobie też, że zjawi się tam na tyle wcześnie, by jedzenie było naprawdę gorące i goście nie wylądowali później z zatruciem pokarmowym.

Przeżyła niemiły szok, gdy zadzwoniła z wyprzedzeniem do Jodie i zapytała, czy będzie wolna w ten piątek, a Jodie jej odpowiedziała, że wyjeżdża z kilkoma koleżankami na weekend. Ani Seamus, ani Margaret także nie byli osiągalni, co wprawilo Ash w stan lekkiej paniki. Siedziała w swoim mieszkaniu i zastanawiała się, jak to jest, że wszyscy mają coś do roboty, tylko ona mogła bez zastanowienia przyjąć to zlecenie. W końcu zapytała Michelle, przekonana, że kuzynka odpowie „nie”. Tymczasem Michelle powiedziała, że z przyjemnością jej pomoże, i na pewno tak myślała.

Ash jechała ostrożnie przez miasto i dalej, w kierunku Lucan, a Michelle paplała radośnie, że Lucy znów, niemal z dnia na dzień, wystrzeliła w górę o kilka centymetrów, że Brian ma niesamowitą koordynację ruchów i Emmet uważa, że ma spore szanse zostać zawodowym piłkarzem, kiedy będzie starszy.

— A teraz powiedz mi — odezwała się po jakimś czasie — jak tam sprawy z tym Alistairem? — Ash opowiedziała jej już o e-mailu, który dostała od niego w dniu przyjęcia.

— Wysłał kolejnego e-maila ze Stanów — odparła Ash. — Chcemy się zejść po jego powrocie do Irlandii. — Spojrzała na Michelle. — On musi najpierw dopilnować jakiegoś interesu.

Podobno jest w to zaangażowany bank, w którym pracuje była narzeczona syna tego pisarza.

Michelle potrzebowała dłuższej chwili, by pojąć sens jej słów.

— Była narzeczona?! — pisnęła. — Ash, mów, co się stało?

— Nie wiem — powiedziała Ash. — Zadzwoniła do mnie Gillian, która miała robić catering, i powiedziała mi, że wesele zostało odwołane.

— Ale dlaczego? — dopytywała się Michelle. — Czy to z twojego powodu?

— Nie wiem dlaczego — zirytowała się Ash. — Nie rozmawiałam z nim. I nie zamierzam z nim rozmawiać.

— Ale...

— Żadne ale — powiedziała z naciskiem, wyprzedzając jadący przed nimi samochód.

Rozległ się głośny brzęk garnków z tyłu furgonetki, więc znów zwolniła.

— Czy ta była narzeczona pracuje teraz z Alistairem? — zapytała Michelle.

— Nie wiem — odparła

— Co będzie, jak mu opowie?

— Jej sprawa. Jeżeli go spotka. Jeżeli ma z tym cokolwiek wspólnego. — Ton Ash brzmiał obojętnie.

— Ash, na pewno jest ci wszystko jedno? — Michelle spojrzała na kuzynkę, ale Ash miała wzrok wbity w jezdnię przed maską. — Jesteś taka spokojna, ale gdybym to ja była...

— Michelle, nic mi nie jest. Nigdy nie przytrafiło ci się coś takiego jak jednorazowy wyskok.

— Prawdę mówiąc nie.

— A mnie tak — powiedziała Ash. — To, co zaszło między mną a Danem Morlandem, to było właśnie to. — Skręciła na wyasfaltowany plac przed budynkiem, w którym miało się odbyć przyjęcie. — A teraz, pani Somers, pora zarobić na swoje utrzymanie i brać się do wyładunku.

— Jak pani każe, szefowo. — Michelle spojrzała na Ash, ale jej kuzynka była zajęta kluczykami do furgonetki i nie zdołała niczego wyczytać z jej twarzy.

Sycylia w sierpniu to było istne piekło. Nawet o północy żar wciąż wisiał w powietrzu. Ale nie było już takiej wilgoci jak przed dwoma miesiącami. Teraz za dnia panował suchy upał, a noce były tak gorące, że nie dało się spać pod niczym więcej prócz prześcieradeł. I nawet pod nimi było za gorąco, pomyślał Dan, odklejając się od łóżka, aby wstać.

Położył się wcześniej, zmęczony po dniu spędzonym na łódce z jednym z przyjaciół Jossa. Mimo to bezskutecznie przewracał się z boku na bok, chociaż był pewny, że tym razem w pół minuty zapadnie w sen.

Miał wrażenie, że odkąd po raz ostatni udało mu się porządnie wyspać, minęły całe wieki. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, by kiedykolwiek kładł się do łóżka i od razu zasypiał, choć był przecież taki czas. Teraz jednak przy każdym obrocie z boku na bok czuł, jak umyka mu sen. Kładł się do łóżka i myślał już tylko o Cordelii i o Ash, i o tym, że postąpił właściwie, choć z niewłaściwych powodów. A może niewłaściwie, choć z właściwych powodów? Niczego już nie był pewny.

Po powrocie ze Stanów myślał o tym, by zadzwonić do Ash, ale nie był w stanie tego zrobić. Czekał, aż ona do niego zadzwoni, w nadziei, że jeśli dotarła do niej wiadomość, że zerwał z Cordelią, w końcu się odezwie. Ale się nie odezwała. A skoro tak, on także nie zamierzał do niej dzwonić. Dała mu przecież jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty się z nim zobaczyć ani z nim rozmawiać, a ich wspólna noc była gigantycznym błędem. Mimo to parokrotnie chwycił za telefon i zaczynał wykręcać jej numer, ale potem odkładał słuchawkę, uznając, że to

nie ma sensu. Już słyszał, jak mówi mu, że piękne dzięki, ale nie ma ochoty być kimś na otarcie łez po Cordelii. A jeżeli sobie myśli, że jej na nim zależy, to sobie pochlebia.

Nałożył podkoszulek i adidasy i otworzył drzwi sypialni. Dom pogrążony był w ciszy. Przeszedł długim korytarzem, w dół po marmurowych schodach i wyszedł na taras. Przeciął wyschnięty ogród i zszedł do basenu.

Woda była letnia. Pływał tam i z powrotem, rozgarniając wodę ramionami i wierzgając nogami, mało mu serce nie pękło z wysiłku. Kiedy skończył, wydzwignął się z wody i stanął przy balustradzie, patrząc na morze. Przypomniawszy sobie, jak Ash wyrzuciła swój but przez balustradę w restauracji, i uśmiechnął się do siebie. Próbowana była szalona i impulsywna. Lubił, kiedy była szalona i impulsywna, ale lubił też jej drugie oblicze, dokuczliwej dziwaczki.

— Ty też nie możesz spać? — zapytał Joss. Dan odwrócił się gwałtownie.

— Nie skradaj się tak! — warknął. — Mało nie umarłem ze strachu.

— Nie skradałem się — zaprotestował Joss. — Tylko mnie nie usłyszałeś.

— Mimo to napędziłeś mi stracha. — Dan czuł, że mówi chłopięcym głosem. Nagle wydało mu się, że znów jest dzieckiem, a Joss zaraz skrzyczy go za to, że siedzi w jego pracowni i robi mu bałagan w papierach.

— Jesteś ostatnio strasznie rozdrażniony — stwierdził Joss. — Z drugiej strony, myślę, że każdy, kto rzucił pracę i swoją dziewczynę, ma prawo być rozdrażniony.

Dan spojrzał na ojca z niechęcią.

— Dzięki.

— Jakie masz teraz plany? — zapytał Joss.

— Nie wiem.

— Wrócisz do starej firmy?

— Może. — Dan oparł się o balustradę. — Ross powiedział, że przyjmie mnie z otwartymi ramionami. I będą o mnie gadać najwyżej dzień czy dwa. Ale jeszcze się nie zdecydowałem.

— Mógłbyś pracować u mnie — zaproponował mu Joss. — Zająłbyś się moimi inwestycjami i pilnował moich interesów.

— Masz przecież agenta — przypomniał mu Dan. Joss zaśmiał się cicho.

— Jego praca polega na tym, żeby mi załatwić możliwie jak najwięcej pieniędzy za wszystko, co napiszę. Ale na co wydam te pieniądze, to już wyłącznie moja sprawa.

Dan uśmiechnął się.

— Dzięki za propozycję, tato. Ale nie jestem pewny, czy się do tego nadaję.

— A do czego się nadajesz? — zapytał Joss.

— Bóg jeden wie — odparł.

— Widziałeś się od tamtej pory z tą kucharką? — Joss spojrzał na niego pytającym wzrokiem, a Dan wydmuchał powoli powietrze i dopiero potem potrząsnął głową.

— Dan, kochasz ją?

— Chyba nie — mruknął.

— Co za brak zdecydowania — sucho rzucił Joss.

— Myślałem, że kocham Cordelię — tłumaczył się Dan. — A potem zrozumiałem, że nie dość mocno. To była przerażająca myśl.

— Może ją kochałeś — powiedział Joss. — A może jesteś taki sam jak ja — ciągle szukasz czegoś lepszego. W takim wypadku, broń Boże, nie żęń się.

Dan spojrzał na ojca.

— Czy to są twoje życiowe mądrości przeznaczone dla syna?

Joss roześmiał się.

— Byłem okropnym mężem — powiedział. — Ale jestem świetnym kochankiem. Nie żałuję ani trochę tego, że byłem okropnym mężem i lubię być świetnym kochankiem. Żałuję tylko jednego — że nie byłem lepszym ojcem.

Dan milczał.

— I proszę, nie przerywaj mi jakimś „byłeś świetnym ojcem” — dorzucił z ironią Joss.

— Wtedy nie byłeś — powiedział Dan. — Ale od tamtej pory trochę się poprawiłeś. I jestem ci wdzięczny za to, że pozwoliłeś mi tu pomieszkać.

— Nie musisz być mi wdzięczny — powiedział Joss. — Ale — i to jest moja życiowa mądrość dla ciebie, Dan, a ty możesz ją przyjąć albo odrzucić — nie jesteś ani trochę do mnie podobny. Na świecie jest miejsce tylko dla jednego Jossa Morlanda.

Tym razem Dan się roześmiał.

— Arogancki palant.

— To ja — przyznał Joss.

— Dzięki — powiedział Dan.

— Nie ma za co. — Joss odwrócił się i ruszył wolnym krokiem w stronę domu.

Rozdział 37

Po prostu deser

Serek kremowy, 4 jajka (oddzielić żółtka od białek), lekko ubita śmietana, olejek waniliowy, cukier puder, świeże jagody.

Ubić lekko śmietanę. Ubić białka. Ubić serek kremowy, aż będzie gładki, wmieszać śmietanę i żółtka. Dodać cukier puder, olejek waniliowy i białka. Przelać do wysokiej formy do ciasta i zamrażać, aż stwardnieje. Przed podaniem wyjąć z formy i udekorować jagodami.

W ostatnią sobotę września Ash obudziła się z kacem. Nie był to poważny kac, od którego pęka głowa, przewraca się w żołądku i zasycha w ustach, tylko uczucie, że poprzedniej nocy za dużo wypila i dałaby się zabić za szklanek zimnej wody.

Wstała i poszła do kuchni. Słońce wpadało przez okno. Bajgiel wygrzewał się, wyciągnięty na wąskim gzymsie. Nalała wody z lodówki do kubka i wypila ją łapczywie, a dopiero potem wpuściła kota i nasypała mu do miseczki trochę suchej karmy.

Bajgiel miauknął na nią i mało nie wpadł do miski. Nie było go w domu od poprzedniego wieczoru, bo nigdy nie zostawał na noc, kiedy miała gości, a wczoraj spełniła wreszcie obietnicę daną sąsiadom, Rhodzie i Jimowi, i zaprosiła ich na kolację. Zaprosiła też drugą parę, Conala i Petrę, i spędzili bardzo miły wieczór, gawędząc, popijając i próbując się lepiej poznać. Ash nasunęła się przykra refleksja, że od lat mieszka w tym samym domu co ci ludzie — i nawet od czasu do czasu prosiła Rhodę i Jima, by mieli oko na Bajgla — ale tak naprawdę nic o nich nie wie. Tak samo zresztą jak o Conalu i Petrze. Powiedziała to późną nocą, kiedy obalili już kilka butelek, ale Conal wyśmiał ją i powiedział, że to nie jej wina, tylko takie jest życie w dzisiejszych czasach. Że to wstyd, że ludzie nie znają już swoich sąsiadów, ale tak czy inaczej, nie każdy ma to szczęście, żeby trafić na sąsiadkę, która gotuje tak jak Ash.

Była naprawdę dobra zabawa, pomyślała Ash, nalewając sobie kolejną szklanek wody. Oczywiście nie chciałyby robić tego w każdy weekend, ale raz na jakiś czas to nawet zabawne. Ciekawe też było poznać ludzi mieszkających w tym samym domu.

Wstawiła pustą szklanek do zmywarki i przeszła do salonu. Posprzątała od razu po wyjściu gości, bo nie była w stanie znieść myśli, że mogłaby zostawić bałagan do rana. Na coś takiego zgodziła się tylko raz, w noc przyjęcia z okazji swoich trzydziestych urodzin. Michelle miała zresztą rację, bo następnego dnia spędziła całe godziny ze ściereczką i pastą, doprowa-

dzając mieszkanie do porządku. Robiła to w zamroczeniu, bo wciąż nie mogła się pozbiierać po szoku, jakim była wiadomość, że Dan Morland i Cordelia Carroll nie pobiorą się, mimo wszystko. Nie mogła też pozbyć się straszliwego poczucia winy, że stało się to z jej powodu. I nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o Danie i Cordelii.

To moja wina, powiedziała sobie kolejny raz, wpuszczając Bajgla na śniadanie, a potem poszła na górę, do sypialni. Cordelia nie musiała o tym wiedzieć, ale jeżeli on jej powiedział, a ona się wściekła... Ash westchnęła. Chciałaby wiedzieć, co zaszło, ale może i lepiej, że nie wie.

Zaczęła się zastanawiać, co robi teraz Dan, bo słyszała już, że nie wrócił do Chathama. Któregoś dnia zadzwoniła i rozmawiała ze Steve'em Proctorem. Zadała mu kilka idiotycznych pytań o ceny akcji, na które, jak to wszyscy maklerzy, odpowiedział tak poważnie, jakby to były pytania inteligentne. Chciała go też zapytać o Dana, ale zabrakło jej odwagi.

— To już nie ma znaczenia — mruknęła, wychodząc spod prysznic, żeby się ubrać. — Zresztą, i tak mam już Alistaira.

Alistair zadzwonił do niej po powrocie ze Stanów, zadowolony, że wypalił mu kontrakt z Rodotronics. Piał też peany na cześć Cordelii Carroll, a Ash zgodziła się z nim, że to wybitnie zdolna dziewczyna.

— Niewątpliwie dlatego dała kosza Danowi Morlandowi — powiedział jej Alistair. — Z tego, co słyszałem, gość sobie na to zasłużył.

— Dlaczego? — Ash zamarła na dźwięk jego imienia. Co Cordelia powiedziała Alistairowi?

— Tego nie wiem na pewno — powiedział. — Oczywiście nie rozmawialiśmy zbyt dużo na ten temat, ale wydaje mi się, że załatwiła mu prace u Harrisona, a on odmówił czy coś w tym rodzaju. Była na niego wściekła. — Roześmiał się. — Zawsze wiedziałem, że to nie dla niego. — Tutaj zmienił temat, a Ash policzyła w myślach do pięćdziesięciu, by odzyskać kontrolę nad oddechem. Była przekonana, że Dan i Cordelia rozstali się z jej powodu, jednak Cordelia najwyraźniej nie powiedziała o tym Alistairowi. Więc może jednak o tym nie wiedziała. Albo wiedziała, myślała nerwowo Ash, ale postanowiła trzymać to w rezerwie, by któregoś dnia zniszczyć jej związek z Alistairem, tak jak ona zniszczyła związek Dana i Cordelii. A może nie miało to nic wspólnego z jej osobą? W końcu powiedziała sobie, że zaczyna się to prze-radzać w jakąś obsesję i spróbowała zepchnąć wszelkie myśli o Danie Morlandzie w głąb podświadomości. Na spotkaniu z Alistairem próbowała być szczęśliwa i niefrasobliwa, i zabawna; powiedziała sobie też, że nie będzie się martwić na zapas.

Jej związek z Alistairem był teraz inny niż przedtem, choć nie potrafiła dokładnie powiedzieć, na czym to polega. Wydawał się szczęśliwy, że znów są razem, a kiedy po drugim spotkaniu przyprowadziła go do siebie, uśmiechnął się i wyraził swoje rozczarowanie, że to w gruncie rzeczy całkiem zwyczajne mieszkanie. Potem kochał się z nią na jej fotonie, a jej nawet nie przyszło do głowy, że po raz pierwszy śpi z mężczyzną w swoim mieszkaniu.

Wydaje mi się, że zaczynam wychodzić na prostą, pomyślała. Narzuciła bladą bawelnianą sukienkę i przesunęła szczotką po włosach. Mam wrażenie, że znów nad wszystkim panuję.

Tego dnia nie miała nic do roboty, a ponieważ dzień był ciepły i słoneczny, pomyślała, że dobrze jej zrobi pobyt na świeżym powietrzu, i postanowiła pojechać kolejką do Howth, a tam przejść się po molo. Lubiła siedzieć na końcu molo w Howth, patrzeć na śmigające po zatoce żaglówki i słuchać szcękę masztów tych łodzi, które już dopłynęły do przystani. Liczyła też na to, że siedzenie na molo pomoże jej w układaniu książki zawierającej jej ulubione przepisy, którą może uda się później sprzedać niektórym klientom. Myślała o tym tego wieczoru, kiedy rozmawiała z Danem o jego przyjęciu weselnym, ale wtedy odrzuciła ten projekt jako niewykonalny, bo przy każdym przepisie musiałaby podać dokładną ilość składników. W ostatnich tygodniach zmieniła jednak zdanie i praca nad książką sprawiała jej coraz większą przyjemność. Obecnie myślała o rozdziale poświęconym rybom i miała nadzieję, że haust morskiego powietrza dostarczy jej natchnienia. Albo ją to zabije, albo wyleczy, pomyślała. Ale jeżeli jej nie zainspiruje, jej samopoczucie jeszcze bardziej się pogorszy.

Howth pełne było ludzi opętanych tą samą myślą. Przynajmniej tą samą myślą, by przespacerować się po molo. Pary oraz rodziny, pragnące załapać się na końcówkę lata, deptały sobie po piętach. Już niedługo spacer po molo stanie się sprawdzianem hartu, kiedy przyjdzie zmagać się z lodowatym wiatrem, wiejącym od zatoki. Ale teraz jeszcze był to błogi wietrzyk.

Ash została w Howth przez cały dzień. Po południu przespacerowała się na wzgórze, usiadła na wierzchołku z widokiem na morze, a potem wsiadła do autobusu, który przywiózł ją z powrotem do centrum. Nogi miała obtarte od wspinania się na wzgórze, czuła też, że trochę się opaliła. Czubek nosa zaczerwienił jej się i piekły ją policzki.

Pchnęła szklane drzwi apartamentowca i wsiadła do windy. Była za bardzo zmęczona, by wchodzić po schodach.

Drzwi otworzyły się. Ash weszła do holu na swoim piętrze, zachnęła się ze zdumienia i o mały włos nie upuściła torby. Dan Morland siedział na podeście pod drzwiami jej mieszkania, oparty plecami o okno, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

— Cześć, Ash! — odezwał się.

— Co ty tu robisz, do cholery?! — Zabrzmiało to bardziej brutalnie, niż planowała.

Dan wstał.

— Sam nie wiem — odparł. — Chciałem się z tobą zobaczyć i... przypuszczam, że już słyszałaś?

Chciała powiedzieć, że nie, że nie rozumie, o czym mowa, ale nie potrafiła.

— Tak — odpowiedziała. — Gillian zostawiła mi wiadomość jakiś czas temu.

— Miła dziewczyna ta Gillian — rzucił.

— Co się stało? — zapytała.

— Doszliśmy do wniosku, że każde z nas chce czegoś innego od życia — wyjaśnił.

— Dlaczego?

— A na koniec uświadomiłem sobie, że ona chce ode mnie więcej, niż mogę jej dać.

— Och, na miłość boską — prychnęła Ash. — Przecież to nonsens.

— Ash, dla niej zrezygnowałem z pracy. I ze swojego domu. Miałem się przenieść do Chicago, bo dostała bardzo ważne stanowisko w chicagowskiej filii Harrisona.

— I wtedy zmieniłeś zdanie.

— Ona uważa, że nie mam ambicji — powiedział.

— To jedyny powód?

— Mniej więcej.

— I nie ma to nic wspólnego z... z tym, co się stało? No wiesz. Ty i ja?

— A jest w ogóle coś takiego jak ty i ja? — zapytał.

— Nie bądź głupi. — Oczy jej zalśniły. — Powiedziałeś jej? Przyznałeś się?

— Nie musiałem — mruknął. — Sama się domyśliła. Jak to kobieta.

Ash westchnęła.

— Tak mi przykro.

— To był katalizator — powiedział Dan. — Gdyby nie poszło o ciebie i o mnie, poszłoby o coś innego.

— Tak uważasz? — Podniosła na niego oczy. — Naprawdę?

— O tak — odparł. — Bo, koniec końców, nie kochałem jej dość mocno. Choć wydawało mi się, że tak. Kochałem jej dynamizm, jej przebojowość, a także to, że nie przyjmuje odmowy. I wszystko było w porządku, póki sobie nie uświadomiłem, że tak wygląda całe jej życie. A ja nie chcę być jej mężem, nie chcę mieszkać w Stanach i nie odpowiada mi taki styl życia.

— Dlaczego? — zapytała Ash. — Większość ludzi marzyłaby o tym, żeby przez kilka lat pomieszkać w Stanach. Założę się, że w końcu wróciłibyście do kraju.

— Może... Ale ja nie chciałem tam jechać. A ona miała rację. Nie mam ambicji.

— Co będziesz teraz robić? — zapytała. — Odszedłeś od Chathama, zerwałeś z narzeczoną...

Dan kwaśno się uśmiechnął.

— I nie mam ambicji. To brzmi, jakbym był jakimś hipisem w dobie New Age.

— Julia byłaby z ciebie dumna — powiedziała Ash.

— Tak sądzisz?

— Pewnie tak. — Ash wzruszyła ramionami. — Julia należała do osób, które robią głupstwa w rodzaju rzucania pracy, zanim postanowią, co dalej.

— Ja nie rzuciłem pracy, nie wiedząc, co dalej — zaprotestował. — Jeśli o mnie chodzi, miałem pojechać do Stanów i stać się takim człowiekiem, jakiego życzyła sobie Cordelia. Ale w noc przed wyjazdem zrozumiałem, że to niemożliwe.

Nie można stać się innym człowiekiem, bo ktoś sobie tego życzy. Nawet jeżeli ci się wydaje, że to możliwe. Człowiek się nie zmienia.

— Och, sama już nie wiem — lekkim tonem rzuciła Ash. — Ja w ciągu ostatnich miesięcy trochę się zmieniłam. Stałam się mniejszą dziwaczką.

Dan zaśmiał się cicho.

— Lubię, jak jesteś dziwaczką.

— Nie, nieprawda — zaprotestowała.

— Oczywiście, że tak — powiedział. — Lubię też, jak jesteś szalona i impulsywna.

Ash nic nie powiedziała.

— Ash...

— Znowu widuję się z Alistairem — powiedziała szybko. — Wróciliśmy do siebie.

— Ach tak.

— To dla mnie właściwy człowiek — ciągnęła dalej. — Dobry, przyzwoity, kochający.

— Oczywiście, że tak — przyznał Dan. — Zrobił też mnóstwo dla swojej firmy.

— Właśnie — przytaknęła.

— Parę miesięcy temu wyglądało na to, że straci wszystkie pieniądze, a okazało się, że może je nawet podwoić dzięki Rodotronics.

— Nie zależy mi na jego pieniądzach — powiedziała. — To nigdy nie miało większego znaczenia.

— Wiem — rzucił. — Przepraszam.

Ash w milczeniu zaczęła skubać końce włosów.

— Więc to rzeczywiście wygląda tak poważnie między tobą a tym Królem Technologii?

— Może.

— I nie rzucisz go, jak całą resztę?

— Nie traktuj mnie protekcyjnie! — powiedziała urażona.

— Przepraszam — powtórzył. — Zastanawiałem się tylko...

— To się nie zastanawiaj — przerwała mu. — Nie ma się nad czym zastanawiać. Przykro mi z powodu ciebie i Cordelii, naprawdę, ale to nie znaczy, że możesz tak po prostu stanąć w progu i spodziewać się... — Urwała i zaczęła masować sobie kark. — Tamtej nocy było fantastycznie. Naprawdę. Ale to była tylko jedna noc. I nie zamierzam skrzywdzić Alistaira z powodu jednej nocy.

— Oczywiście, że nie — powiedział Dan. — Byłem głupi, że tu przyszedłem. Ale nie potrafiłem o tobie zapomnieć i pomyślałem sobie... och, to już chyba nieważne.

— Zerwałeś z Cordelią i to była twoja decyzja — powiedziała z naciskiem. — To nie moja wina, Dan. Ja cię o to nie prosiłam. I nie życzę sobie, żebyś do mnie przybiegał i próbował się przede mną usprawiedliwić.

— Nie próbuję się usprawiedliwić — powiedział. — Nie skontaktowałem się z tobą wcześniej, bo chciałem sobie wszystko uporządkować w głowie. Nie jestem skończonym sukinysem. Uwierz mi. Nie chciałem zrywać z jedną dziewczyną i zaraz pędzić do drugiej. Poza tym nie chciałem, żebyś sobie pomyślała... przecież wiesz, że nie jestem taki, jak mój ojciec.

— Oczywiście, że nie — powiedziała Ash. Otworzyła torebkę i wyjęła klucze do mieszkania. — Posłuchaj, przepraszam, ale wczoraj położyłam się późno, jestem bardzo zmęczona i muszę na chwilę usiąść. To miło z twojej strony, że przyszedłeś, żeby się ze mną zobaczyć i tak dalej, ale moim zdaniem nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie — powiedziała.

— Więc na próżno traciłem czas.

— Trzeba było wcześniej zadzwonić. Powiedziałabym ci o Alistairze i nie musiałbyś tracić czasu.

— Nie pomyślałem o tym — przyznał.

— Postąpiłeś impulsywnie — powiedziała.

— Raczej bezmyślnie.

Ash otworzyła drzwi do mieszkania.

— Muszę już iść — powiedziała. — Przepraszam.

— OK — westchnął Dan. — Ja też przepraszam, Ash. Przepraszam, że namieszałem w twoim życiu. Przykro mi, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Na szczęście, uświadomiłem sobie, że zaręczyny z Cordelią były błędem, nawet jeżeli ty zostałeś w to wmieszana. Ale cieszę się, że i ty ułożyłaś sobie wszystko po swojej myśli.

— Znajdziesz sobie kogoś innego — pocieszyła go. — Tak to już jest.

— Jasne. — Dan uśmiechnął się. — Z moim chłopięcym wyglądem i zabójczym wdziękiem...

— Tak — przyznała z uśmiechem.

— Lepiej już pójdę — powiedział. — Ale czy mogę ci przedtem powiedzieć, że teraz twoje włosy podobają mi się znacznie bardziej? Ta fryzura do ciebie pasuje. Wyglądasz mniej oziębłe. Tak jakoś sympatyczniej. Podoba mi się też twój opalony nosek.

— Przestań, Dan. — Nagle dotarło do niej, że prowadzą tę rozmowę na klatce schodowej i słucha jej Bóg wie ilu sąsiadów. Zapraszanie ich na kolację to jedno, ale zmuszanie do uczestniczenia w jej życiu prywatnym to już inna sprawa.

— Pójdę już — powtórzył i popatrzył na nią. — Czasami człowiek ma nadzieję, że wszystko ułoży się po jego myśli, ale nigdy tak nie jest, prawda?

— Może to i lepiej — stwierdziła,

— Może. — Uśmiechnął się do niej. — Do widzenia, Ash.

— Do widzenia, Dan.

Ash patrzyła za nim, jak zbiega na dół po schodach. Stała przed drzwiami mieszkania i czuła, że cała dygocze i ledwie może złapać oddech. Jeżeli nie będę uważać, pomyślała, zaraz będę potrzebowała papierowej torby. A przecież wyrzuciłam wszystkie torby z szarego papieru. Objęła się ramionami i oparła o ścianę.

Próbowała nie myśleć o tym, co musiało się dziać między nim a Cordelią w Stanach. Zastanawiała się, czy istniał bodaj cień szansy na porozumienie. Nie mogła się pozbyć uczucia, że powinni byli się dogadać. Przecież przeszli przez wstępne rozmowy przedzარęczynowe. Może jednak Dan miał rację, że przebojowa brunetka to nie to, czego mu trzeba. Może miał rację, kiedy mówił, że nie jest dość ambitny, jak na nią, na Stany i na życie, jakie dla nich zaplanowała. Może oboje mieli szczęście, że uniknęli potwornej pomyłki. Jeżeli Dan zdał sobie z tego sprawę po jednej nocy spędzonej z inną kobietą, to znaczy, że było warto.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie tę noc. Widziała Dana, jak siedzi naprzeciw niej w restauracji, roześmiany. Jak stoi obok niej, oparty o balustradę, i razem patrzą na granatowe morze. Jak spogląda na nią z przerażeniem, kiedy wrzuciła but do wody. Jak niesie ją na barana po sosnowych igłach, bo nie była w stanie iść o własnych siłach. Pamiętała te momenty znacznie bardziej wyraźnie niż to, co zaszło później, w basenie. To, to była przyjemność, ale tamto wcześniej — tamto było dzieleniem się czymś z drugą osobą. A z nim człowiek chętnie się dzielił.

Teraz miała jednak Alistaira. I mogła się wszystkim dzielić z Alistairem. Ciężko nad tym pracowała, by mogli się zejść na powrót. Zmieniła się w taką osobę, jaka mu odpowiadała. Wszyscy też mówili im, że są dla siebie stworzeni. Wszyscy. Gdyby go teraz rzuciła, znienawidziłby ją na zawsze. Nie chciała, żeby ją znienawidził, nie chciała też go rzucić. Chciała go kochać. Więc, powiedziała sobie, nie robi teraz nic, czego mogłaby w przyszłości żałować. Już ona wie swoje. I zawsze wiedziała.

Weszła powoli do mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy, a Bajgiel otarł się o jej nogi i głośno zamiauczał. Otworzyła oczy i poszła za nim do kuchni, gdzie już na nią czekał, obok pustej miski. Nałożyła trochę Whiskasa do miseczki, postawiła ją przed nim i patrzyła, jak je z apetytem.

Alistair nie lubił kotów. Ale Bajgla tolerował tylko ze względu na nią. Oczywisty dowód, jak bardzo mu na niej zależy.

Wzięła głęboki oddech i przeszła szybko przez salon, zostawiając Bajgla samego z jego miską. Otworzyła drzwi mieszkania i zatrzymała się niezdecydowana na podeście. A potem popędziła na dół, przeskakując po dwa stopnie, aż znalazła się na parterze i niemal katapultowała do pustego holu budynku. Nie rób żadnych głupstw, powiedziała sobie. Nie rób nic, czego mogłabyś później żałować. Bądź rozsądna. Potrafisz przecież być rozsądna.

Nacisnęła guzik domofonu, otworzyła szklane drzwi i wyszła na dwór. Słońce odbijające się od mętnych wód rzeki Liffey niemal ją oślepiło.

Dan szedł wzdłuż nabrzeża, w kierunku ujścia rzeki, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie dzinsów. Stała przez chwilę na chodniku, patrząc w ślad za nim. Nie rób głupstw, powtórzyła sama do siebie. Żadnych głupstw!

— Dan!

Zatrzymał się i odwrócił.

Poszła w jego kierunku, a on na nią czekał. Miała wrażenie, jakby wyszła z siebie i patrzyła z boku, jak podchodzi do niego, w zwolnionym tempie — jakby miała tak iść bez końca. Ale wreszcie stanęła przed nim, a on spojrzał na nią niepewnie, a potem objął ją i pocałował. Nigdy w życiu nie całowała się na ulicy. Przynajmniej nie w biały dzień. Kiedy wszyscy mogli ją zobaczyć. I to z kimś, kto wydawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na to, że robią z siebie widowisko!

W końcu Dan oderwał usta od jej ust, lecz nadal trzymał ją w objęciach. Serce waliło jej jak młotem, ale oddech miała prawie równy. W kąciakach jego oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki. Uśmiechnął się do niej.

— Ash?

— Tak? — Była zdumiona, że jest w stanie wydać z siebie głos.

Dan koniuszkiem wskazującego palca dotknął jej ust.

— Ash, jeżeli w taki sposób dajesz komuś kosza, muszę ci powiedzieć, że robisz to o całe niebo lepiej niż inne. I zapamiętam to sobie jako moje najmiłsze pożegnanie wszech czasów. Nic dziwnego, że robisz to tak często, skoro jesteś w tym tak piekielnie dobra.

— Czy to musi znaczyć „żegnaj”? — Ash zagryzła wargi, a potem uśmiechnęła się do niego, uśmiechem, który opromienił jej twarz i rozświetlił oczy. — Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że mogłoby to znaczyć „witaj”.

